Joyce Carol Oates

KSIĘGA AMERYKAŃSKICH MĘCZENNIKÓW

MARGINESY

Książka na nasze czasy – zadająca niewygodne pytania, zaskakująca, mocna.

Elaine Showalter

Joyce Carol Oates

KSIĘGA AMERYKAŃSKICH MĘCZENNIKÓW

PRZEŁOŻYŁA DOBROMIŁA JANKOWSKA

MARGINESY

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Żołnierz Boga – Luther Amos Dunphy
2 listopada 1999
- Muskegee Falls, Ohio
- Zwroty
- Cud Małej Dłoni
- Obrona bezbronnych
- Utracona córka
- Grzech
- Powołanie
- Żołnierz Chrystusowy

Archiwum życia i śmierci Gusa Voorheesa
- Córka abortera
- Wspomnienie, niedatowane
- Wspomnienie, niedatowane. Latające szkło
- Gnij w piekle
- Wywiad(y)
- Zemsta
- Zło – niebo
- Specjalny zabieg
- Czy tata by mnie skrzywdził?
- Adoptowana

Białe pudełko
Fajtłapa
W okolicy mieszka zabójca dzieci
Podanie, Wydział Sztuk i Nauk Ścisłych Uniwersytetu Michigan
Fałszywy alarm. Czerwiec 1997
„Nie czyń dobra, nie spotka cię zło”. Osobiste zeznanie, sierpień 2006
Układanka
Jak zdmuchnięta świeca
Przesłuchanie archiwistki
Zasady potęgowania
Szczątki
Radujcie się!
Dzieci zmarłych
Poczta głosowa
Nowy pomysł
Śmiech
Stan Ohio kontra Luther Amos Dunphy. Grudzień 2000
Proces nierozstrzygnięty. Wdowa
Proces nierozstrzygnięty. Dzieci zmarłego
Tylko dla was
Już nie mogę
Mrówka

Młot
18 grudnia 2000 – 4 marca 2006

Sąd Okręgowy Hrabstwa Broome. 18 grudnia 2000
Dziś ze Mną będziesz w raju
Chrześcijanka
Proces
Wielki ucisk. Wrzesień 2001
Werdykt
Wyrok

Zła wiadomość
Przedwiośnie
Odroczenie
Zastrzyk
Nieczysty
Święte niewiniątka
Wykonać wyrok

Uścisk
marzec 2006 – marzec 2010

Choroba autoimmunologiczna
Sama
Wstrząs wtórny
Nienawiść
Pustka. Styczeń 2007
Niechciane – chciane
Młot Jezusowy. Marzec 2008 – luty 2009
Jezus jest Panem

Pocieszenie w żałobie
wrzesień 2011 – luty 2012

Prawdziwy temat
Muskegee Falls, Ohio. Wrzesień 2011
Wyspa Katechay. Październik 2011
Walka, Cincinnati. Listopad 2011
Rodzina
Pocieszenie w żałobie. Luty 2012

Podziękowania

Przypisy

Tytuł oryginalny: *A Book of American Martyrs*
Przekład DOBROMIŁA JANKOWSKA

Wydawca KATARZYNA RUDZKA
Redaktorka prowadząca DOMINIKA POPŁAWSKA
Redakcja MARIA WIRCHANOWSKA
Korekta BERENIKA WILCZYŃSKA, MAŁGORZATA KUŚNIERZ, KINGA KOSIBA
Projekt okładki i stron tytułowych ANNA POL
Koordynatorka produkcji PAULINA KUREK
Zdjęcie na okładce Chanikarn Thongsupa / © rawpixel
Opracowanie typograficzne, łamanie manufaktura

A Book of American Martyrs
Copyright © 2017 by The Ontario Review, Inc.
Published by arrangement with HarperCollins Publishers. All rights reserved.
Copyright © for the translation by Dobromiła Jankowska
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2023

Warszawa 2023
Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-67674-83-6

Wydawnictwo Marginesy Sp. z o.o.
ul. Mierosławskiego 11A
01-527 Warszawa
tel. 48 22 663 02 75
redakcja@marginesy.com.pl
www.marginesy.com.pl

Konwersja: eLitera s.c.

Dla Chase’a Twichella i Russella Banksa
oraz dla Charliego Grossa – mojego męża i pierwszego czytelnika

Żołnierz Boga –
Luther Amos Dunphy

2 listopada 1999

Muskegee Falls, Ohio

Powiedz tylko słowo, a będzie uzdrowiona dusza moja.

Pan mi rozkazał. W tym wszystkim, co się wydarzyło, to Jego ręka nie zadrżała.

Rozległy się krzyki: „Cofnąć się!”.

Voorhees jako pierwszy znalazł się na muszce. Lekarz aborter ochrypłym głosem żądał:

– Cofnij się! Odłóż broń!

I inni krzyczący: „Nie! Nie!”.

Pan poprowadził moje ruchy tak płynnie, że w oczach wroga nie zdążyły się nawet pojawić strach czy zaniepokojenie. Nie było przerażenia, tylko czyste zaskoczenie. Kiedy wszedłem na podjazd w ślad za dodge’em należącym do aborterów, trzymając na ramieniu wycelowaną strzelbę, wielu gapiło się na mnie w zadziwieniu i z podziwem, ponieważ prawo zabraniało protestującym zbierać się tak blisko budynku, a od kilku lat zakazywano nam również zgromadzeń z transparentami czy choćby modlitwy na pozbawionym trawy podwórzu przed Kliniką dla Kobiet Hrabstwa Broome. Jednak znalazł się jeden, jeden z Armii Boga, znany niektórym jako Luther Dunphy, i on sprzeciwił się temu prawu, odważnie przechodząc przez barierę i idąc za minivanem aborterów po podjeździe szybciej, niż można by się spodziewać po człowieku jego postury, i bez wahania.

Boże, prowadź moją dłoń! Boże, nie pozwól, bym zawiódł.

Jeden z wrogów, znany jako Augustus Voorhees, właśnie wysiadł z samochodu. Była siódma dwadzieścia sześć. Przychodnię otwierano, by przyjąć klientki (to znaczy ciężarne dziewczyny i kobiety, którym wydawało się, że nie chcą zostać matkami), dopiero o ósmej. Lekarz aborter (niemal dokład-

nie mojego wzrostu, czyli stu osiemdziesięciu pięciu centymetrów, i z rozczochranymi siwiejącymi włosami przypominającymi moje) postanowił przyjechać wcześniej, by uniknąć protestujących i wejść do budynku od tyłu, ale w tym jego sprycie była głupota, ponieważ policjanci z Muskegee Falls pojawiali się dopiero koło siódmej trzydzieści (a czasami później), a kiedy tamtego ranka wezwano funkcjonariuszy na miejsce, życie już z lekarza wyciekało, jak życie postrzelonej w brzuch świni. Voorhees mnie nie zauważył – szedłem niecałe dwa metry z tyłu i gwałtownie ich wyminąłem – dopóki wyraz twarzy ochroniarza nie sprowokował go, by się odwrócić, z miną wyrażającą absolutne zaskoczenie i szok.

– Nie! Cofnij się! Nie...

Ale w tej sekundzie spust został pociągnięty, lufy wycelowane w lekarza abortera i huk pierwszego strzału powalił Augustusa Voorheesa, wdzierając się w jego dolną szczękę i gardło w sposób wręcz potworny, jakby Pan postanowił wyrazić swój gniew jednym drapnięciem potężnego pazura; zmyślnie celowałem wysoko, nie wiedząc, czy aborcyjny morderca ma na sobie kamizelkę kuloodporną. (Później ujawniono, że Voorhees nie miał takiej ochrony – nie mógł obronić się przed losem, który nań spadł). Mimo to w środku ogłuszającej eksplozji Pan uspokoił moje dłonie i mogłem spokojnie zwrócić broń w stronę ochroniarza winowajcy, stojącego blisko i krzyczącego: „Nie! Nie! Nie strzelaj!”, w niezdarnej desperacji próbującego się wycofać, rękami nieporadnie zasłaniającego ciało, ale te słowa nadeszły zbyt późno i znaczyły tyle co skrzeczenie czarnych ptaków przelatujących po zimowym niebie nad nami, kiedy drugi strzał oderwał twarz i większość gardła winowajcy, którego pozbawione życia ciało padło w tył, tak jak wcześniej ciało Voorheesa, i oba ciała zwaliły się na asfaltowy podjazd przed samochodem, obficie brocząc krwią – trwało to kilka sekund, tak jak pragnął Pan.

W ekstazie, gdy Pan przechodził przez moje ręce i dłonie niczym prąd elektryczny, ledwo poczułem odrzut wystrzału, który walnął mnie w ramię niczym kopiący muł; było tylko odrętwienie, które pojawiło się potem, i ból do szpiku kości.

– Boże, miej litość! Bóg wam wybaczy...

Te słowa wyszeptałem, klękając nad upadłym grzesznikiem (wierzyłem bowiem, że Voorhees umrze, nie pokajawszy się), ale prawdopodobnie zrobiłem to zbyt cicho, by ktokolwiek usłyszał je wśród krzyków i płaczu za moimi plecami.

Świadków egzekucji było niewielu. Z powodu wczesnej pory przed centrum zdążył się zgromadzić może z tuzin protestujących.

Sekundy mijały tak bardzo powoli. I zdawało się, że Luther Dunphy odszedł na bok i obserwował. To, co widział i słyszał, dochodziło do niego przytłumione z tej odległości.

Równie spokojnie, bo wszystko to Pan rozłożył przede mną jak mapę geologiczną, która nie zawiera dezorientujących nazw miejsc zwyczajnej mapy, a tylko wyrzeźbione kontury Ziemi, położyłem ostrożnie dwulufową strzelbę Mossberga kaliber 12 na podjeździe, na niewielkim wzniesieniu, gdzie pęknięcia biegły prostopadle do siebie i przypominały – przynajmniej w moich oczach – krzyż.

Jakieś trzy i pół metra od poległych mężczyzn i (położonej na krzyżu) broni, prostopadle do niej, ukląkłem.

Między poległymi mężczyznami a strzelbą, między strzelbą a Lutherem Dunphym, między Lutherem Dunphym a poległymi mężczyznami można by narysować linie wyznaczające trójkąt o nierównych bokach, którego wierzchołkiem byłby Krzyż Ukrzyżowania, wydawałoby się, przypadkowo powstały na asfalcie, którego nigdy nie odkryłoby ludzkie oko, gdyby nie Boska interwencja i Pan prowadzący moją dłoń.

Jestem potężnym mężczyzną i nie jestem (już) sprawnym mężczyzną. Stawy kolanowe często bolą, to początki artretyzmu. Kości biodrowe i mięśnie dolnej części pleców też często doskwierają, ale wbrew tym przypadłościom nigdy nie narzekam przed moim pracodawcą ani innymi dekarzami, nie daję też poznać po sobie bólu w trakcie prac domowych (chyba że moja droga żona coś zauważy, a trudno to przed nią ukryć, bo poznała mnie doskonale przez szesnaście lat małżeństwa), a teraz, po zabójstwie abortera i jego wspólnika musiałem bardzo ostrożnie klęknąć z podniesionymi rę-

kami (zdającymi się ważyć tonę, drżącymi i zdrętwiałymi), by czekać na przyjazd policji z Muskegee.

Dobry Boże, powierzam Ci swoją duszę. Jeśli taka jest wola Twoja, wkrótce złączę się z Tobą w niebie.

Schyliłem głowę, zamknąłem oczy, które zaszły łzami. Zrozumiałem bowiem, że moje życie Luthera Dunphy'ego (to śmiertelne) właśnie dobiegło końca, na asfaltowym podjeździe przychodni dla kobiet, drugiego dnia listopada 1999 roku. Moje życie jako kochającego męża chrześcijanina, ojca i obywatela Muskegee Falls w stanie Ohio. Było dla mnie jasne, że urodziłem się w Sandusky w Ohio 6 marca 1960 roku i umrę teraz, w tym miejscu, ponieważ ledwie poprzedniego wieczoru „przeczytałem" tę inskrypcję na nagrobku. *Bóg dał, Bóg wziął*.

Znajdą mnie pogrążonego w głębokiej modlitwie, z rękami uniesionymi w poddańczym geście, z otwartymi dłońmi nietrzymającymi broni. Głęboko pogrążonego w modlitwie „jak w transie, ale współpracującego" (tak zapisano w raporcie), kiedy policjanci hrabstwa Broome podchodzili do mnie z wymierzoną bronią.

W sercu prosiłem Pana, by dał mi w tej chwili schronienie u Siebie. Prosiłem Pana: pozwól mi teraz to zakończyć. Inaczej wezmą mnie do niewoli i zostanę osądzony w ich socjalistycznym, ateistycznym sądzie prawa, które się wyrzekło Ciebie. Zaczną się ze mnie śmiać i szydzić, a w końcu ten ich ateistyczny sąd skaże mnie na śmierć. Ale to będzie śmierć na ich warunkach – bynajmniej nie szybka. Doskonale rozumiem, że będzie przedłużana i pełna wstydu i może nie znajdę w sobie dość siły, by wytrzymać tę rozpacz. Bowiem czekanie na wyrok w celi śmierci zniszczy moją duszę, tak jak wielka otchłań pochłania skałę. Prosiłem Pana, by w swojej łasce pozwolił mi wykonać jakiś niebezpieczny gest w stronę policjantów, gdy przyjadą, by zastrzelili mnie tam, gdzie klęczałem. By stracili mnie, otwierając do mnie ogień; leżelibyśmy wtedy wszyscy trzej, pozbawieni życia, na asfaltowym podjeździe tamtego ranka, jako znak dla całego świata, że aborcyjna rzeźnia musi się zakończyć.

Ale Pan w swojej wszechmocnej mądrości nie dał mi tej łaski. Choć Pan był tak blisko mnie jak bijące serce w klatce piersiowej, teraz wycofał się ode mnie na górę, by obserwować swego sługę i żołnierza w pokłosiu Jego misji.

Nie umarłem tamtego ranka. Zamiast tego Pan zesłał mi odrętwienie, całkowite poddanie. Zakuto mnie w kajdanki i zabrano do aresztu stanu Ohio, z którego miałem już nie wyjść żywy.

Zwroty

Życie składa się ze zwrotów. Tak je nazywam.

Zwrot to niespodzianka. Kiedy ktoś łapie cię od tyłu za ramiona, musisz się odwrócić, by zobaczyć coś, co do tego momentu było przed tobą ukryte.

Zwrot – i już nigdy nie będziesz taki sam. Przejrzysz na oczy. Choć wszyscy, którzy cię znają, będą przysięgać, że właśnie takiego cię znają.

Dziesięć dni przed egzekucją Voorheesa „zupełnym przypadkiem" pojawiłem się pod kliniką dla kobiet kilka minut wcześniej niż zwykle, czyli między siódmą czterdzieści pięć a ósmą rano. Tamtego dnia na autostradzie panował chyba mniejszy ruch, więc kiedy przyjechałem i zaparkowałem na ulicy, oprócz mnie był w centrum tylko jeden protestujący, znany mi z widzenia mężczyzna jakieś dziesięć lat ode mnie starszy (wkrótce miałem skończyć trzydzieści dziewięć), ale nie poznałem jego pełnego imienia i nazwiska – Stockard mogłoby być zarówno jednym, jak i drugim. Na jego twarzy malowały się godność i determinacja, dzięki którym z miejsca uznawałeś go za człowieka Boga, być może katolickiego księdza bez formalnych szat. Albo, jak się czasem zdarza, byłego księdza. Tak jak ja jestem byłym, co prawda nie pastorem, ale cywilnym duchownym w Kościele Jezusowym Świętego Pawła. Przywitaliśmy się jak przyjaciele, ale powściągliwie, bo nie należę do ludzi, którzy pochopnie podają dłoń, uważam też na tych „wylewnych" (jak ich nazywają). Zaczęliśmy cicho rozmawiać (w tym czasie przybywali inni, pojedynczo lub w parach, ale my staliśmy trochę dalej) i wtedy powiedział mi, że lekarz aborter Voorhees jest już w budynku kliniki. Voorhees przyjechał przed siódmą trzydzieści, przywiozła go vanem eskorta (wstyd, ale ten ochotnik z Kliniki dla Kobiet Hrabstwa Broome był emerytowanym majorem armii amerykańskiej, nazywał się Timothy Barron, miał pięćdziesiąt osiem lat) i podjechali od tyłu, by za-

parkować z dala od ulicy. Personel (same kobiety, w tym kilka zarejestrowanych pielęgniarek) zatrudniony w centrum lub pracujący tam ochotniczo zwykle przyjeżdża przed ósmą, a teraz właśnie jest punkt ósma i zaczynają się pojawiać pierwsze matki, wtedy zdążyła też już przyjechać ochrona policyjna, między siódmą trzydzieści a siódmą czterdzieści pięć. Jednak tego dnia policjanci (czyli dwóch funkcjonariuszy z Muskegee Falls, którzy przez cały czas siedzą w aucie albo stoją w jego pobliżu, chyba że mają jakiś powód, by zbliżyć się do budynku) nadjechali dopiero o siódmej pięćdziesiąt jeden.

Ostrożnie zapytałem mego towarzysza:

– Czy to oznacza, że lekarz aborter przyjeżdża tu czasami dużo wcześniej, przed ochroną?

I Stockard odparł, że tak, ostatnio nawet częściej niż kiedyś.

– Voorhees przyjeżdża tutaj wcześniej, żeby znaleźć się bezpiecznie w środku, zanim otworzą drzwi – dodał.

W tym, jak wymawiał nazwisko „Voorhees”, słyszałem wściekłość.

Voorhees był nowym szefem kliniki, pojawił się tu w lipcu 1999 roku, poprzednio pracował jako aborter w Michigan. Wiedzieliśmy, że od dawna jest związany z ruchem planowanego rodzicielstwa i specjalizuje się w położnictwie i ginekologii. Przyjechał do Muskegee Falls po tym, jak zrezygnowała poprzednia dyrektorka, kierująca przychodnią zaledwie przez siedem miesięcy.

Przez krótki czas wydawało się możliwe, że Klinika dla Kobiet Hrabstwa Broome zostanie zamknięta. Celem naszej kampanii było zniechęcenie i zdyskredytowanie wszystkich związanych z kliniką. Niektórzy proponowali jej podpalenie (ja do nich wówczas nie należałem). Jednak potem pojawił się Augustus Voorhees, człowiek o wiadomej reputacji, którego nazwisko znajdowało się na liście *Poszukiwani: mordercy dzieci są wśród nas*, publikowanej w newsletterach biuletynu Armii Boga „Strażnik”.

W tamtym czasie, w październiku 1999 roku, Voorhees był na tej liście numerem trzy. Do momentu zabójstwa abortera Paula Ericha w Livingston

w stanie Kentucky, którego Shaun Harris dokonał sześć tygodni wcześniej, Voorhees był numerem cztery.

Kiedy jeden morderca zostaje usunięty z listy, pozostali przesuwają się w górę.

Obecnie znajduje się na niej dziewiętnaście nazwisk, wyłącznie lekarzy – mężczyzn odrzucających swoje powołanie: po pierwsze nie szkodzić.

W socjalistycznych, ateistycznych mediach agituje się intensywnie za ocenzurowaniem strony internetowej Armii Boga. I za usunięciem z niej listy „poszukiwanych". Ale wolność słowa to nasze prawo wynikające z pierwszej poprawki do konstytucji Stanów Zjednoczonych.

Podobnie jak prawo obywateli amerykańskich do noszenia broni.

Armia Boga wierzy, że każdy zamordowany aborter morderca oznacza ratunek dla życia dzieci. Jeśli Voorhees zostałby zdjęty, dzieci, które zginęłyby z jego ręki oraz z ręki innych naśladujących go lekarzy, miałyby szansę żyć.

Codziennie w samej tylko klinice w Muskegee z użyciem narzędzi aborcyjnych zabijało się od piętnastu do dwudziestu niemowląt (według naszych szacunków). Te przerażające liczby można pomnożyć przez liczbę wszystkich aborterów w całych Stanach Zjednoczonych – bywają dni, w których dokonuje się setek morderstw!

To potworne, że choćby jedno dziecko może umrzeć w ten sposób i nawet jedna taka śmierć powinna inspirować chrześcijan, by powstawali i protestowali.

W sposobie, w jaki mój towarzysz wymawiał nazwisko „Voorhees", znalazły się całe to obrzydzenie i gniew.

Tamtego ranka nie wypytywałem już dokładniej o czas przyjazdu abortera Voorheesa. Nie okazywałem przy mym towarzyszu żadnego szczególnego zainteresowania czy zmartwienia. Nie należę do ludzi, którym mówienie przychodzi z łatwością, i moim instynktem jest chronić innych – taki mam zwyczaj jako mąż i ojciec. Nie chciałem, by – gdybym zdecydował się działać dzięki informacjom dostarczonym przez Stockarda – ten nie-

winny człowiek został aresztowany jako wspólnik jakichkolwiek moich czynów. Przywódcy ostrzegali nas, że nie powinno się angażować innych w nasze działania, bo mogłoby to sprowokować policję do zbiorowego oskarżenia, oczernienia i ukarania niewinnych, poczynając od naszych rodzin oraz pozostałych protestujących. Zamiast tego podniosłem więc transparent, jakby to był po prostu kolejny zwyczajny poranek w moim życiu, choć w mojej głowie rozległ się ogłuszający szum – z radości nie potrafiłem logicznie myśleć.

Bóg przesłał mi osobistą wiadomość, której nie mogłem zignorować ani błędnie zinterpretować: *Morderca nie jest chroniony! Będzie wystawiony na cel!*

Ze wstydem przyznaję, że nie miałem (jeszcze) siły, by skonfrontować się z tym zwrotem. Rano, kiedy opuściłem posterunek pod kliniką, by pojechać do pracy, uczucie radości zniknęło, byłem wzburzony i nerwowy – próbowałem o tym nie myśleć.

Przez kilka dni to czułem. Jak coś dryfującego w moim oku, nie do końca prawdziwego, a jednak dekoncentrującego. Tak jak wtedy, kiedy gapiąc się na coś, próbujesz nie widzieć maleńkiego pływającego w oku pyłku, ale nie możesz go nie zauważać.

To. Możliwość, że Pan Bóg, który przemawiał do innych i pokazywał sposób, w jaki Jego wola może zostać wypełniona w świecie ludzi, być może w końcu przemówił do mnie – przerażające, bo nie mogłem podzielić się tym z nikim, nawet z moją drogą żoną.

Jednak zawsze, kiedy byłem sam albo kiedy odpływałem myślami od innych (nawet od moich młodszych dzieci ciągnących mnie za rękaw, trącających głowami, proszących: „Tatuuuś, pacz!” w ten swój sposób, który rozdzierał mi serce), byłem wciąż świadomy tego.

Ostatnio przyjeżdża wcześniej. Przed policyjną ochroną.

Ile minut? Może dziesięć, dwanaście...

Ten człowiek jest mordercą i w dodatku tchórzem. Ukrywa się wśród kobiet, nad którymi się pastwi. I które okalecza.

Voorhees. Jeden z listy.

Czy Stockard wypowiedział do mnie te słowa? Czy przekazał mi je bezgłośnie?

Za ośmiokątnymi szkłami okularów bez oprawek jego oczy lśniły od emocji. Nie musiał wcale mówić: „Mordercę trzeba powstrzymać! Jeden z nas musi go powstrzymać”.

W pracy, kiedy układałem gonty na dachu domu nad parowem w rezydencjalnej okolicy Muskegee Falls (nowy dom kolonialny, tak wielki, że pomieściłby dwa moje, bo sama działka miała ponad hektar, sześć razy tyle co moja) i wbijałem gwoździe, każde uderzenie młotka było jak cios w serce: *Dziecko zabite młotkiem*, *dziecko wysysane z macicy matki*, *dziecko, któremu odmawia się urodzenia*, *dziecko, które umrze*. Ciało kobiety czy dziewczynki zostaje zbezczeszczone narzędziem abortera i jej dusza jest zbezczeszczona. Te, które Pan chce uczynić matkami, często poddawane są praniu mózgu, nie wiedzą, na co się godzą.

Kobieta nie zna własnego umysłu. Szczególnie kobieta, która zachodzi w ciążę, wtedy bowiem jej stan psychiczny zostaje zaburzony przez tak zwane hormony.

Wszystkie kobiety, które znam – moja matka, siostra i moja droga żona Edna Mae – przyznają, że tak jest. I dręczone problemami kobiety, które pocieszałem, będąc cywilnym duchownym w naszym Kościele. Kobieta często mówi, że nie miała na myśli tego, co powiedziała w złości lub zdenerwowaniu, że naszło ją jakieś szaleństwo. Że to „ten czas w miesiącu”. Albo „uderzenia gorąca”. Kiedy szatan mówi przez kobiece usta, te robią się brzydkie i wykrzywione. A w myślach kobiety pojawia się szatańskie uczucie. Słabość kobiety czy dziewczyny poddającej się mężczyźnie to nie najgorszy grzech, to grzech, który zostaje wybaczony, tak jak Jezus wybaczył Marii Magdalenie. Ale to fakt: kobietę należy chronić przed największym błędem jej życia.

Myśl, że nasze własne ukochane dzieci mogłyby zginąć z ręki abortera, gdyby okoliczności były inne. Bo przecież los jest ślepy, nie da się go kontrolować.

Dziecko to ty sam. A jednak oczywiście dziecko to nie ty sam, to niewiadoma.

Jesteśmy tu, na ziemi, by się nawzajem chronić i kochać, a największą odpowiedzialność ponosimy za najmniejszych – dzieci i niemowlęta.

Na dachach domów obcych ludzi często nachodziły mnie takie myśli. W moim zawodowym życiu, rozpoczętym, kiedy miałem czternaście lat w Sandusky, gdzie mój ojciec był stolarzem i dekarzem, to on pierwszy zabrał mnie na budowę. Ojciec niewiele mówił i rzadko mnie dotykał (tak jak moich braci czy siostry), chyba że wtedy, gdy musiał złapać mnie za rękę, bym bezpiecznie wszedł na jakiś dach – „Mam cię!”.

To było jak błogosławieństwo: tata mocno łapiący za rękę.

Martwi mnie, że w obecnych czasach młodzi chłopcy nie mogą pracować na dachach i w stolarce. Nie mogę zabierać ze sobą Luke’a na budowę i oczekiwać, że Fischer Construction go przyjmie. Nie jestem też pewien, czy Luke chce pracować tak jak ja. I czy będzie miał tak sprawne ręce jak ja w jego wieku.

Jeśli wespniesz się na dach jakiegokolwiek budynku, zostajesz wyniesiony ponad swój stan naturalny. Są takie myśli, które przyjdą do ciebie tylko na dachu, bo przede wszystkim, kiedy się wyprostujesz i uniesiesz wzrok, niebo otworzy się nad tobą w sposób inny niż wtedy, kiedy jesteś na ziemi. Drzewa cię nie przerastają, niektóre są pod tobą albo na równym z tobą poziomie. Gdy miałem czternaście lat, ekscytowało mnie takie wspinanie się na dachy, cudownie było wziąć młotek i pracować razem z ojcem, wiedzieć, że jest ze mnie „cholernie dumny”, jak mawiał (nie do mnie, do innych), i widzieć zazdrość w oczach mężczyzn, że mój ojciec ma takiego syna jak Luther, tak dobrze pracującego, nigdy nienarzekającego czy znudzonego jak to często chłopcy. Nie byłem przygotowany na mądrość Pana (w tamtym czasie w mojej duszy była jeszcze chropowatość), jednak od początku to „rozstąpienie się” nieba robiło na mnie duże wrażenie. Trudno wyjaśnić, co to było, poczułem jednak niepokojącą świadomość, że żaden mój czyn nie pozostanie niezauważony i nieosądzony.

To jest pierwszy fakt – owo „otwarcie się” nieba – a drugi to ten, że dach zazwyczaj ucieka ci spod stóp, a to coś zupełnie innego od stania na ziemi. Żadnego dachu nie bierze się za pewnik, bo jest bardzo prawdopodobne, że będzie miał spadek, więc nieustannie musisz się mieć na baczności. Gdy stoisz mocno na ziemi, jest inaczej. Nawet pijak wie, że ziemia jest równa. Na dachu musisz mieć robocze buty z gumowymi podeszwami. Potrzebujesz czapki, by osłonić oczy od słońca. Musisz włożyć rękawice. W koszmarnym śnie stoisz na dachu (bardzo stromym) nieosłonięty, bez kasku, rękawic i porządnych butów, a kiedy szukasz drabiny, widzisz, że ktoś ją zabrał i nie masz jak zejść.

Pot oblewa cię całego, kiedy widzisz, że ktoś zabrał drabinę.

Jeśli zeskoczysz z dachu, możesz połamać nogi. Możesz złamać kręgosłup, skręcić kark. Chodzisz po dachu na miękkich kolanach, przysiadasz na piętach, szukasz drabiny, której tam nie ma. Ale dziwne, że nie ma też nikogo innego. W prawdziwym życiu nigdy nie znajdziesz się sam na dachu z młotkiem w dłoni, nie znajduję czegoś takiego w swojej pamięci od czternastego roku życia, jednak we śnie ktoś zabrał drabinę i wszyscy sobie poszli, w tym brygadzista, a niebo nad tobą jest otwarte.

Przez pierwsze lata każdego ranka ekscytowało mnie, jakie nowe myśli pojawią się tego dnia! Bo zawsze są nowe myśli, jak wiadomości z nieba.

Wtedy Pan często do mnie mówił. Jezus mówił, by pocieszyć mnie w chwili troski, ale również by radować się ze mną w chwili szczęścia.

Ponieważ nie zawsze wiesz, że jesteś szczęśliwy, dopóki nie zostanie ci to powiedziane. Że otrzymałeś błogosławieństwa – na przykład dzieci i kochającą żonę, oddaną chrześcijankę, oraz stałą pracę, nawet w czasach „recesji” – o tym musi poinformować cię ktoś, kto ma wiedzę większą od ciebie.

Tyle że od czasu Daphne te myśli nie są nowe. Jak lep, do którego muchy przyczepiają się i bzyczą. Żadna mucha, która utknie na tym klejącym papierze, nie uwolni się, a pojawią się kolejne i ugrzęzną, także bzycząc.

To są bzyczące myśli.

Tak działo się szczególnie w gorących miesiącach. Smród papy miękną-cej na słońcu przypomina woń myszy, mysiego truchła w piwnicy. Z daleka słyszałem, jak inni rozmawiają. I hałas młotka. Ale bzyczące myśli wciąż przeszkadzały.

Wbiłem się piętami w pochyłe deski, oddech zgęstniał z wysiłku. Pot płynął po skroniach. Smród mojego ciała wydzielającego pot jak łzy.

Jednak odkąd Stockard się do mnie odezwał i zapanowało między nami niewypowiedziane porozumienie, nastał nowy czas. Niebo miało perłowy i jasny kolor. Nie było widać słońca, ale powietrze i tak lśniło. Obłoki przy-bierały zaskakujące kształty, kusiły, by gapić się na nie długimi minutami. Kusiło też obserwowanie przepływających chmur. A teraz lato minęło, zro-bił się późny październik i wydawało się, że białe światło odbija się od papy.

Boskie światło. Teraz masz otwarte oczy.

Uderzenia mojego młotka były silne, precyzyjne. Wbijałem trzycalowe gwoździe w gonty, zabezpieczałem je w zstępujących rzędach. Z każdym uderzeniem pojawiało się pytanie – kto będzie następny? Kto następny wy-stąpi? Kto uderzy na wroga? Moi towarzysze wystąpili już z odwagą na Florydzie, w Kentucky, w Michigan, w Nowym Jorku i w Ohio.

Obrona nienarodzonego. Uzasadnione zabójstwo.

Utkwiło mi w świadomości, że jeden z towarzyszy z Armii Boga, James Kopp (nie znałem go osobiście), zamordował lekarza abortera Barnetta Sle-piana w Buffalo niemal rok wcześniej – w Dzień Weterana (11 listopada) 1998 roku, i niedawno skazano go na dożywocie bez możliwości wcześniej-szego zwolnienia. Wielu z nas modli się, by nie wpadł w rozpacz. Kilka lat wcześniej męczennik Michael Griffin wystąpił, by zamordować wielokrot-nego abortera Davida Gunna w klinice dla kobiet w Pensacoli na Florydzie, i wymienił jego życie na swoje. Był jeszcze Terence Mitchell w Traverse City w Michigan (za którego modliliśmy się w zeszłym roku), uznany za winnego morderstwa i skazany na dożywocie. W Livingston w Kentucky był Shaun Harris, który zastrzelił abortera Paula Ericha i wciąż czeka na proces...

A teraz Pan zwrócił swój wzrok na Luthera Dunphy’ego i nie mogłem się ukryć. Na dachu domu wychodzącego na parów, domu bogacza, pod okiem słońca tłukącego w moją głowę przez szmacianą czapkę, prosto do mózgu. Jakby to był problem z podręcznika do geometrii mojego syna Luke’a – kazano mi zrozumieć, że pojawiła się kolejna osoba, która musi działać, i tą osobą będę ja.

Powiedz tylko słowo, a będzie uzdrowiona dusza moja.

W moim życiu były inne ostre zwroty. Zwroty, które zmieniły bieg mojego życia, choć zwykle zdawałem sobie z tego sprawę dopiero później. Jednak nigdy żaden zwrot nie był tak jasny jak misja wyznaczona mi przez Pana.

Przez resztę tamtego dnia pracowałem ciężej niż ktokolwiek inny z naszej ekipy. Ciężej niż młodsi mężczyźni, którzy zbyt wiele czasu marnowali na rozmowy i żarty, przeklinanie, opowiadanie świńskich dowcipów. Jakby opowiadanie świńskich dowcipów nie zatruwało ust. A taki śmiech, zbyt głośny, jak skowyt hieny, męczy ludzką duszę.

Ty, Lutherze Dunphy. Ty jesteś wybranym.

Ty masz zabić abortera mordercę Voorheesa, by twoi bracia chrześcijanie mogli się radować.

Przy wbijaniu gwoździ pojawia się niepokój, ale to kontrolowany niepokój. Ciesielka to działanie kontrolowane, zmierza do celu. Jeden gwóźdź, potem kolejny. Sekwencja gwoździ przy budowie domu. Ile gwoździ, ile uderzeń młotka! *Pan spogląda w zadziwieniu na Luthera Dunphy’ego, któremu bardzo jest rad.*

„Luther? Hej...”

Unoszą się ku mnie głosy z dołu, które słyszałem (oczywiście, że słyszałem), ale z odległości, ledwie przebijają się przez ten ważniejszy głos szepczący mi do ucha.

Wołał mnie brygadzista, Ed Fischer. I ktoś jeszcze – wołał po imieniu. Ale z szoku, że Luther Dunphy został wybrany przez Pana i że Luther Dun-

phy to ja, nie byłem w stanie odpowiedzieć, więc tylko gapiłem się na nich otępiały.

Oczywiście, że Luther Dunphy był doskonałym dekarzem. I pod każdym względem świetnym pracownikiem. Odpowiedzialny, mogłeś na nim polegać, nigdy się nie spieszył, nigdy nie zrobił nic byle jak albo nieuważnie, nigdy nie pił w pracy, nigdy nie wdawał się w kłótnie, pracował dla nas od jedenastu lat, a wolne – może z sześć tygodni – wziął tylko wtedy, gdy leczył się po wypadku, w którym o mało nie zginął. Ale nawet wówczas wrócił tak szybko, jak tylko mógł, i choć czasami na jego twarzy było widać ból, nigdy nie narzekał.

W przeciwieństwie do większości ludzi, z którymi pracujemy, Luther rzadko tracił cierpliwość. Nie przeklinał też i nie mówił sprośności, zupełnie inaczej niż ci wszyscy, którzy tylko kurwa to, kurwa tamto, kurwa mać, tylko tyle potrafią powiedzieć... Nie zaskoczyło mnie, kiedy dowiedziałem się z wiadomości, że zanim się tutaj przeniósł, uczył się na pastora w jakiejś szkole biblijnej w Toledo.

Było oczywiste, że Luther uważa na to, co mówi. Z pewnością nie obgadywał nikogo za plecami. I nigdy się nie złościł – tak żeby było widać.

Z powodu recesji nie budujemy już tak dużo jak kiedyś. Niektórych ludzi musiałem zwolnić, ale Luthera Dunphy'ego chciałem zatrudniać, kiedy tylko się dało. Miał doświadczenie i umiejętności, no i rodzinę, małe dzieci, więc oczywiście się martwił, kiedy mu mówiłem, że jest mniej godzin pracy, widziałem troskę na jego twarzy. Ale nigdy się nie złościł.

Czasami Luther „odlatywał" – patrzył na ciebie, gdy do niego mówiłeś, ale cię nie widział, w jego spojrzeniu pojawiał się taki pusty wyraz jak u osoby, która śpi z otwartymi oczami...

Ten okropny wypadek, który przeżył w zeszłym roku na autostradzie... Jedno z jego młodszych dzieci zginęło, Luther prowadził. Nikt nigdy z nim o tym nie rozmawiał, bo u diabła, nie wiadomo, co powiedzieć...

Wiedzieliśmy, że Luther jest członkiem tego Kościoła protestanckiego – nazywa się Kościół Jezusowy Świętego Pawła. Wiedzieliśmy, że bierze ak-

tywny udział w pikietach pod przychodnią dla kobiet, które nazywają czuwaniem. Ale nikomu nie przyszło o głowy, że to zajdzie tak daleko – że to akurat Luther Dunphy z zimną krwią zastrzeli dwie osoby, nawet jeśli to byli mordercy dzieci, Jezu, nikt by tego nie przewidział.

Cud Małej Dłoni

Kiedy pierwszy raz dowiedziałem się o Małej Dłoni, byłem zaskoczony.

To wtedy w moim życiu na nowo pojawiła się Edna Mae. I Kościół Jezusowy Świętego Pawła. Był to czas wielkiego szczęścia, ale też czas, kiedy często coś dławiło mnie w gardle, aż miałem trudności z oddychaniem i nie mogłem nic powiedzieć, do oczu napływały łzy, takie łzy, które pojawiają się w gorącym powietrzu, a nie ze smutku; bo ja nie byłem wówczas zatroskany, nie patrzyłem wstecz, ale radowałem się, że wkrótce się ożenię i razem z moją drogą Edną Mae założymy rodzinę.

Z kościoła mieliśmy brać ulotki do rozdawania znajomym czy sąsiadom, do zostawiania w wybranych miejscach, i na jednej z nich, na pierwszej stronie, widniała rączka, która wyglądała na dłoń niemowlęcia tak małego, że dopiero co narodzonego albo jeszcze nienarodzonego.

CUD MAŁEJ DŁONI

W trakcie zabiegu usuwania ciąży, kiedy lekarz aborter zamierzał swoimi krwawymi narzędziami siłą usunąć żyjące niemowlę z łona matki, nagle zobaczył u ujścia macicy jakiś ruch i poczuł dotyk – gdy zaskoczony wpatrywał się w to miejsce, na jego palcu zamknęła się mała dłoń i ścisnęła, jakby chciała krzyknąć:

Ja żyję! Ja żyję! Nie zabijaj mnie, ja żyję!

Zabieg aborcyjny wstrzymano, bowiem ani lekarz, ani pomagająca mu pielęgniarka (która widziała Małą Dłoń) nie byli w stanie go kontynuować. Od tamtej chwili chirurg nie przeprowadził już żadnej aborcji, stał się za to obrońcą nienarodzonych i zorganizował krucjatę lekarzy przeciwko aborcji. Pielęgniarka już nigdy nie asystowała przy żadnym zabiegu i pomogła zorganizować się innym pra-

cownikom medycznym w krucjacie przeciwko aborcji. Również młoda matka doświadczyła przemiany i postanowiła zachować dziecko, które w pełni dojrzało i urodziło się w wyniku naturalnego porodu, zdrowe i ważące ... kilogramów.

I tak Mała Dłoń wciąż chwyta wszystkich za serca.

Edna Mae dała mi tę ulotkę do przeczytania. Potem po cichu podeszła, dotknęła mego ramienia i zobaczyła, że mam twarz koloru popiołu, a w sercu miłość i trwogę przed Panem, i wtedy w milczeniu mnie objęła.

Obrona bezbronnych

„Każda aborcja ma dwie ofiary: martwe dziecko i martwe sumienie”.

To są słowa Matki Teresy. Rzymskokatolickiej świętej, o której nie słyszeliśmy. Jej wypowiedź przytoczył profesor Willard Wohlman.

Pytania brzmiały: Czym jest twoje sumienie? Co Bóg mówi tobie? Skąd wiesz, że zostałeś wybrany przez Boga, by działać wbrew państwu? Skąd wiesz, że życzeniem Boga jest, byś odebrał życie innemu, który zginie z twojej ręki?

W czerwcu 1998 roku przejechaliśmy ponad trzysta kilometrów z Muskegee Falls, które leży nad rzeką Muskegee (jakieś sześćdziesiąt kilometrów na północ od Marion w Ohio), przez cały stan do Huntington w Wirginii Zachodniej, by posłuchać znanego profesora Willarda Wohlmana, który mówił o problemach chrześcijańskiego ruchu pro-life. Tytuł wykładu brzmiał: *Obrona bezbronnych. Ochrona życia w epoce aborcji*.

To było wkrótce po Daphne, w piątym miesiącu żałoby, więc towarzyszyła mi Edna Mae, ponieważ moja droga żona niechętnie zostawała sama w domu, beze mnie, z dziećmi bez ich ojca, z powodu tak dziwnego, że nie mogę o nim tutaj wspominać, zresztą mam opowiadać o tym słynnym profesorze.

Edna Mae mówiła: „Musisz mnie pilnować, Lutherze. Musisz być przynajmniej w pokoju obok. Nie wystarczy, że będziesz o mnie myślał i się o mnie martwił, to nie wystarczy, Lutherze”.

W domu starsze dzieci opiekowały się młodszymi. I siostra Edny Mae, Noreen, zaglądała każdego dnia, by sprawdzić, co u nich.

Oto profesor Willard Wohlman z uznanego uniwersytetu w Nowej Anglii. Napisał wiele uczonych książek i doradzał prezydentowi w kwestiach mo-

ralności i etyki. Występował w telewizji. W debatach o aborcji, antykoncepcji, planowanym rodzicielstwie i małżeństwach jednopłciowych. Jego najbardziej znana książka to *Święta wizja świeckiego świata*, przez wiele miesięcy na listach bestsellerów. Edna Mae i ja czytaliśmy i omawialiśmy jego eseje – *Jeden mężczyzna, jedna kobieta. Chrześcijańskie małżeństwo* oraz *Sumienie chrześcijanina*.

Teraz czasami wydaje mi się, że to głos profesora Wohlmana usłyszałem w głowie, kiedy dotarły do mnie słowa Pana, i te dwa głosy zmieniły się w jeden przetaczający się grzmot.

Martwe dziecko. Martwe sumienie.

Co mówi Ci Bóg?

Profesor Wohlman przemawiał w sali przy katolickim kościele pod wezwaniem Świętego Józefa w Huntington. Wykład sponsorowała Amerykańska Koalicja Aktywistów Życia. Na to spotkanie kilkoma samochodami przyjechało nas chyba osiemnaścioro: z naszego kościoła w Muskegee Falls, kościołów należących do Armii Boga Hrabstwa Broome, oraz kilka innych osób (jak nasz pastor, który nie chciał, by oficjalnie łączono go z Armią).

Członkami Koalicji są protestanckie i katolickie organizacje, które połączył wspólny sprzeciw wobec decyzji Sądu Najwyższego w sprawie Roe kontra Wade z 1973 roku. Nie podoba im się, że ateistyczne/socjalistyczne państwo oraz rządy federalne wtrącają się w życie obywateli. To fakt: aborcja jest morderstwem – wszyscy w to wierzymy.

Nie jest istotne, czy ciąża to wynik gwałtu, kazirodztwa czy innych okoliczności „łagodzących”. Bo jakie to ma znaczenie dla niemowlęcia w macicy albo dla Boga, który jest ojcem wszelkiego stworzenia? Oczywiście nie ma żadnego.

Nasze żony nie dyskutują o tych kwestiach. Ale uważnie nas słuchają i rzadko się nie zgadzają.

Edna Mae „nie wie”, że jej mąż jest członkiem Armii Boga i złożył pewne przyrzeczenia. Nie ma potrzeby o tym mówić i nie ma potrzeby mówić o tych rzeczach głośno, to rzecz bezdyskusyjna.

W naszym kościele młody pastor, wielebny Dennis, wiele razy mówił o Willardzie Wohlmanie. To on podsunął pomysł, byśmy pojechali kilkoma samochodami z Muskegee Falls do Huntington w Wirginii Zachodniej.

Ależ to było ekscytujące! Wielebny Dennis mówił, że dzięki tej podróży stajemy się pielgrzymami. Od wielu lat nie czułem takiego przypływu nadziei i oczekiwania, od czasu, kiedy po raz pierwszy jechałem do Toledo, by zacząć naukę w seminarium, a byłem wtedy młodym człowiekiem.

W internecie odkryłem, że w młodości Willard Wohlman uczył się w seminarium jezuickim w Chicago, ale odszedł przed złożeniem ślubów. Przez całe życie był „zatwardziałym demokratą", dopóki Partia Demokratyczna nie poparła aborcji na żądanie; wtedy odszedł z partii, by zająć, jak to nazywał, niezależne stanowisko.

– Och! Tylu...

Edna Mae mocno złapała mnie za rękę, chcąc wyszeptać: „Tylu ludzi", ale jej głos ucichł, kiedy weszliśmy do sali przy kościele w Huntington. W tamtym okresie Edna Mae rzadko bywała w miejscach, w których nikogo nie znała, a tu tyle nieznajomych twarzy! Nie chodziła na inne nabożeństwa, tylko do naszego kościoła, gdzie wszyscy znają wszystkich i jesteśmy jak rodzina, nie musimy nawet spoglądać na drugą osobę, by potwierdzić jej tożsamość.

Z bólem patrzyłem na twarz mojej drogiej żony w owym czasie, bowiem jej młodzieńcze rysy pobruździł smutek, a duch Pana, tak jasno świecący w jej oczach, od kiedy była dziewczyną, zniknął jak płomień świecy, której za krótko przycięto knot.

Miała poszarzałą cerę i podpuchnięte oczy na skutek przyjmowania leków, które jej przepisano. Nie chciałem, by moja droga żona zażywała leki, ale lekarz zapewnił nas, że na razie to konieczne.

Edna Mae złapała się mnie jak dziecko ciągnące dorosłego za rękę. Pojawiła się w niej niezwykła ekscytacja połączona ze strachem, który objawiał się w dziwnej postawie ciała, ramionach pochylonych do przodu, jakby opierających się silnemu wiatrowi. Niepokoiło mnie to. Edna Mae miała na sobie bardzo pognieciony płaszcz przeciwdeszczowy z ciemnofioletowego

materiału cienkiego jak folia, a na nogach lekkie buty przypominające domowe kapcie, odsłaniające większą część białych stóp, które były gołe jak całe nogi, gołe i bardzo białe.

Nie chciałem się nawet zastanawiać, co Edna Mae może mieć pod tym płaszczem, który w pośpiechu zgarnęła z szafy. Bałem się, że pod okryciem moja droga żona nie jest odpowiednio ubrana, ale nie pomyślałem, by to sprawdzić przed wyjazdem, ponieważ bardzo się spieszyliśmy.

– Lutherze! Prędko. Tutaj.

Nie jestem dość odważny, by siadać w pierwszym rzędzie na jakimkolwiek zgromadzeniu. Jestem wysoki, szeroki w ramionach i rzucam się w oczy. Kiedy obcy ludzie patrzą na mnie bez sympatii i zrozumienia, policzki robią mi się czerwone, szczególnie znamię w kształcie pika, na którym skóra jest szorstka jak papier ścierny i czerwona, na lewym policzku. Edna Mae również do niedawna była nieśmiała, ale to się zmieniło, kiedy jakiś szalony rodzaj smutku chwycił ją niczym niewidzialny potwór w swoje szpony, w których czasami śmiała się piskliwie bez żadnego powodu.

Z naszych miejsc w przedniej części sali, ale bardzo z boku, Edna Mae wyciągała szyję, wpatrując się w scenę. Szczupłe blade ręce złożyła na wysokości piersi jak do modlitwy, co wydałoby się gestem na pokaz każdemu, kto nie znał mojej drogiej nieszczęśliwej żony.

Dla niektórych z nas to coś nowego, zachowywać się swobodnie w obecności katolików. Od dawna wiadomo, że Kościół rzymskokatolicki uważa sam siebie za jedyny prawdziwy Kościół chrześcijański, co jest niedopuszczalne i historycznie nieprawdziwe, jednak Koalicja (utworzona pod koniec lat siedemdziesiątych) opiera się na opozycji wobec wspólnego wroga i przedkłada ją nad podziały. Protestanci i katolicy łączą się, by służyć nienarodzonemu zagrożonemu przez aborterów, nic nie jest bowiem ważniejsze niż obrona nienarodzonych, którzy nie mogą bronić się sami.

Nie akceptujemy również środków zapobiegających ciąży – nazywają się brzydko antykoncepcją – zachęcających do rozwiązłego stylu życia, na który podatne są szczególnie nastolatki, bowiem wpływają na nie telewizja,

prymitywna współczesna muzyka, filmy i zajęcia z edukacji seksualnej w szkołach publicznych.

Przed utratą Daphne nigdy nie rozmawialiśmy z Edną Mae o takich rzeczach. Dzieci, które nam się urodziły, przychodziły od Pana bez problemów, tylko dzięki Jego błogosławieństwu. (Przynajmniej Edna Mae nigdy nie narzekała na dyskomfort fizyczny w trakcie ciąż, porodów, wychowywania dzieci ani, jak teraz, na „zasłonięty" umysł). Ostatnio jednak Edna Mae zapragnęła rozmawiać o pewnych sprawach, które mnie zawstydzały, nie tylko mających związek z Daphne, ale również z innymi dziećmi oraz z kobiecymi problemami, jak je nazywała, także w obecności dzieci, jakby nie do końca pojmowała, co mówi. Było to szczególnie krępujące dla naszej jedenastoletniej Dawn, która zaczęła okazywać matce brak szacunku. Istniały również pewne problemy, mnie nieznane, między Edną Mae i jej rodziną – matką i siostrami. Stawały się coraz bardziej widoczne, bo Edna Mae zaczęła lekceważyć sprawy domowe, by w ciągu dnia oglądać chrześcijańską telewizję, od której robiła się podekscytowana, niespokojna i płaczliwa, kiedy wracałem z pracy.

Jeśli było trzeba, przygotowywałem posiłek. Razem ze starszymi córkami.

Operację Ratunek szeroko omawiano w chrześcijańskich programach w telewizji i radiu, a także w kościołach i lokalnych ośrodkach w całym Ohio. W naszym kościele pastor mówił o tym od miesięcy. Z ekscytacją patrzyłem na ludzi wchodzących do sali i wiedziałem, że ci nieznajomi są naszymi sprzymierzeńcami. Według moich szacunków (mój umysł dodawał liczby i mnożył je z własnej woli: na przykład tu dwadzieścia dwa miejsca w rzędzie i trzydzieści rzędów krzeseł) o godzinie dziewiętnastej dziesięć, kiedy zaczął się program, w sali było sześćset sześćdziesiąt osób.

Powitał nas pastor kościoła Świętego Józefa. Potem przewodniczący Koalicji, duchowny z kościoła baptystów Gallipolis (w Ohio), wszedł na podwyższenie, by przedstawić profesora Willarda Wohlmana.

Wtedy wśród zgromadzenia wezbrała ekscytacja. Nie było mowy o pomyłce – duch Pana jest z nami!

Profesor Willard Wohlman nie był onieśmielającym mężczyzną. Wyglądał jak naukowiec albo nauczyciel: po sześćdziesiątce, średniego wzrostu, lekko przygarbiony, przerzedzone siwe włosy zczesane do tyłu z wysokiego czoła i wąski błyszczący nos. Miał na sobie ciemnobrązowy garnitur, zdaje się, dobrej jakości, białą koszulę i krawat. Ale te oczy! Lśniły od emocji za szkłami bez oprawek, zdającymi się żarzyć, kiedy profesor mówił. Miał też jedwabiście miękki, radiowy głos, który potrafił nagle stać się ostry.

Tym głosem, którego słuchało się z fascynacją, bo po prostu musiałeś chłonąć każde słowo, profesor Wohlman mówił przez sześćdziesiąt pięć minut. Nie jak kaznodzieje, do których byliśmy przyzwyczajeni, ale ciszej, jakby zwracał się wprost do ciebie. Mówił o moralnej zgniliźnie świeckiego państwa – o barbarzyńskiej brutalności sprawy Roe kontra Wade, którą wymawiał jak Woe[1] kontra Wade, na co ze smutkiem się uśmiechaliśmy. „To usankcjonowało mordowanie niewinnych przez państwo”.

Potem profesor zaczął gwałtowniej opowiadać o potrzebie istnienia chrześcijańskiej armii, która przeciwstawi się siłom aborcyjnym. Z jego ust padł zwrot, którego dotąd nie znałem i który pojąłem z przerażeniem: „morderstwo płodu”. W tym momencie Edna Mae zaczęła szlochać. Niemal bezgłośnie. Moja droga żona przycisnęła chusteczkę do oczu, schylając głowę, drżały jej ramiona, jakby miała wzdrygnąć się przed każdym, kto próbowałby ją pocieszyć. Dlatego jej nie dotykałem, siedziałem z rozpalonymi policzkami i mocno bijącym sercem, ledwie słuchając słów profesora, choć nie spuszczałem wzroku z jego twarzy, kiedy tak stał na podwyższeniu przede mną, mówiąc ze spokojem o prawości.

Wiele z tego, o czym opowiadał profesor, trudno było zrozumieć. W naszym Kościele duchowni inaczej prowadzą wywody. Stało się jasne, że różnica między katolickim profesorem a nami leżała w rozumowaniu, które do pewnego momentu mogłeś śledzić, ale nigdy nie udałoby ci się go później odtworzyć, nie mówiąc już o powtórzeniu go drugiej osobie. Profesor bowiem używał pojęcia „prawa naturalnego”, by udowadniać fałsz w rozumowaniu zwolenników aborcji.

– Ich błędem jest twierdzenie, że płód, który tworzy się z kobiecego jajeczka i męskiego nasienia, staje się zupełnie nowym bytem, nie jest istotą ludzką w formie embrionalnej. Potem zaś, kiedy ten argument zostaje zakwestionowany, twierdzą, że tak, płód jest istotą ludzką, ale nie jest osobą w sensie prawnym.

Profesor Wohlman przerwał, by słuchacze mogli sobie przyswoić, jak oburzające jest to stwierdzenie, potem zaś kontynuował:

– Taki argument pozwalałby społeczeństwu utylizować istoty ludzkie, które nie są w pełni „osobami”: dzieci z fizycznymi i psychicznymi niepełnosprawnościami, dorosłych po wylewach i innych uszkodzeniach ciała, starsze osoby, które nie są już samodzielne i zależą od innych. Jeśli stwierdzi się, że jedna klasa ludzi ma prawo osądzać wszystkich innych, decydować, kto jest, a kto nie jest osobą, otwiera się drzwi do nazistowskiego Holokaustu, ludobójstwa, daje się państwu prawo, by decydowało o naszym życiu. Na to nie wolno pozwolić. Morderstwo żadnego niewinnego dziecka nie może przejść niezauważone i nieopłakane!

Śledzenie toku myśli profesora przypominało stąpanie po bagnistym gruncie, w którym stopa nagle może zatonąć. Wydawało się, że mówił po łacinie (na to wyglądało, te obco brzmiące dźwięki musiały być łaciną), opowiadał o ojcu Kościoła (imię wymawiał: „Au-*gus*-tin”) i o katolickim teologu czasów średniowiecza (Tomaszu z Akwinu). Obaj byli, jak mówił profesor, świętymi.

Świętymi! W Nowym Testamencie wszyscy chrześcijanie są świętymi.

Dla nas to dziwne stwierdzenie, że niektórych ludzi określa się mianem świętych w sposób inny niż ten wzięty z Nowego Testamentu. Tam bowiem jasno określono, że do Boga prowadzi tylko jedna droga, czyli przez Jezusa Chrystusa, naszego Zbawcę, ale nie świętego.

Była to dla mnie nowa myśl, że podejście do Boga może nie jest takie proste, jak nas uczono. Nawet w seminarium w Toledo brałeś z Biblii jakiś temat, który miał być sednem twojego kazania, by przeczytać znajomy ustęp całemu zgromadzeniu i opowiadać historię wersetami, i już to było dla mnie wyzwaniem, nie miałem bowiem oryginalnych pomysłów na

żadne kazanie, potrafiłem jedynie naśladować te, które już słyszałem albo które dostałem do przestudiowania jako przykłady dobrych kazań, a czasami nawet wtedy nie wiedziałem, co powiedzieć, język zdawał się puchnąć w ustach, głowa robiła się pusta. Ale profesor Wohlman nie przeczytał ani jednego wersetu z Biblii!

Okazało się, że profesor Wohlman nie miał ze sobą na podium Biblii. Nie zdążyłem się wówczas zastanowić, jakie to dziwne.

Po drugiej stronie przejścia, w pierwszym rzędzie, siedziała starsza kobieta, która wyglądała na żonę profesora Wohlmana. Była przyciężkawa, o bladej, jakby woskowanej skórze, z drobnymi zmarszczkami. Miała poważną, surową twarz. Wąskie wargi mocno zaciskała, patrząc w górę, na męża stojącego na podium, skąpanego w świetle. Zastanawiałem się, czy pani Wohlman jest dumna z profesora. Czy ona go rozumie.

Z ulotki Koalicji dowiedziałem się wcześniej, że Wohlmanowie są małżeństwem od czterdziestu sześciu lat. Mieli siedmioro dzieci, z których dwoje przedwcześnie zmarło – jedno na białaczkę dziecięcą, drugie w Wietnamie, w wypadku drogowym z udziałem amerykańskich żołnierzy.

Zastanawiałem się, czy profesor zna jakiś wyjątkowy sposób, który pozwoliłby lepiej pojąć sens śmierci młodej osoby niż te stosowane przez protestantów.

Z ulotki Koalicji dowiedziałem się również, że Willard Wohlman jest wybitnym filozofem chrześcijańskiego konserwatyzmu. Na jednym z uniwersytetów Ligi Bluszczowej (jak je nazwano) profesor wykładał filozofię moralną, teorię polityczną oraz jurysprudencję (która, zakładam, zajmuje się prawem i sądem). Jeden z jego byłych jezuickich wykładowców z Uniwersytetu Loyoli w Chicago powiedział o Willardzie Wohlmanie, że to najbardziej błyskotliwy student, jakiego kiedykolwiek uczył.

W wywiadzie zapytano Wohlmana, dlaczego porzucił seminarium i nie został księdzem. Odpowiedział z pokorą: „Zdałem sobie sprawę, że Bóg ma inny plan wobec mojego życia”.

Jezuici to najbardziej wymagający ze wszystkich zakonów katolickich, mówił Wohlman. Ubóstwo, czystość, posłuszeństwo – zamierzał się im po-

święcić. Jednak Bóg zainterweniował, mówiąc mu, że życie poza zakonem będzie większym wyzwaniem.

Profesor Wohlman zmienił ton, by opowiedzieć o osobach, które dobrze znaliśmy: Michaelu Griffinie. Lionelu Greenie. Terence'u Mitchellu. Ich zdjęcia wyświetliły się na ekranie za przemawiającym, budziły zaskoczenie i prowokowały komentarze widowni. Byli to bowiem uznani żołnierze tajnej Operacji Ratunek, którzy zastrzelili lekarzy aborterów i zostali w konsekwencji swoich czynów uwięzieni przez państwo.

Michaela Griffina i Lionela Greene'a osądzono, skazano na dożywotnie więzienie, jednego w Pensacoli na Florydzie, drugiego w Waynesboro w Indianie, odpowiednio w 1994 i 1995 roku. Terence'a Mitchella aresztowano w marcu 1998 roku za zamordowanie abortera w Traverse City w Michigan i mężczyzna wciąż oczekuje na proces.

Profesor Wohlman mówił, że ci ludzie odważyli się wystąpić z szeregu i zastosować ekstremalne środki w obronie nienarodzonych, popełnili zatem uzasadnione zabójstwo.

Terence Mitchell, dwudziestodziewięciolatek, były żołnierz piechoty morskiej i członek Owieczek Chrystusa, katolickiej organizacji chroniącej życie, najpierw przez wiele godzin się modlił, a potem pojechał do kliniki aborcyjnej w Traverse City z dwulufową strzelbą. Zastrzeliwszy lekarza abortera, nie próbował uciekać przed policją, ale oddał się w ręce władz.

– I co powiedział Terence Mitchell? „Nie miałem wyboru. Gdybym nie powstrzymał tego lekarza, zabiłby tego dnia jeszcze więcej dzieci".

Profesor Wohlman spojrzał na zdjęcia Griffina, Greene'a, Mitchella. Znaliśmy ich twarze, widzieliśmy je w sieci wiele razy. A jednak zrobiły na nas w tamtej chwili wielkie wrażenie.

Poczułem, jak coś ściska mnie za serce – Terence Mitchell wyglądał bardzo młodo. Nawet z brodą wyglądał tak młodo, że chyba mógłby być moim synem. Zaniepokojone oczy żołnierza piechoty morskiej patrzyły prosto na nas. Mieliśmy poczuć wstyd, że żyjemy bezpiecznie i samolubnie. Jezus spojrzałby na nas karcąco, gdyby nie był naszym Zbawcą, który darzy nas miłością i nie osądza surowo.

Profesor Wohlman kontynuował poważnym głosem:

– W niektórych środowiskach uważa się tych odważnych mężczyzn za kryminalistów – morderców. Ale my wiemy, jaka jest prawda. Wspominałem już, że takie działania to moralnie uzasadnione zabójstwo. Tyle że na wojnie nie ma zabójstw – żołnierz nie staje się przestępcą ani mordercą, walcząc z wrogiem. Tutaj mamy taką samą sytuację. Wszelkie akty obywatelskiego nieposłuszeństwa, w przeciwieństwie do usankcjonowanego przez państwo morderstwa, są usprawiedliwione. Czy bowiem można nie zareagować w sytuacji, kiedy ktoś na twoich oczach atakuje i morduje dziecko? Gdyby tutaj, na tej scenie, w tej właśnie chwili ktoś zadźgał nożem małe dziecko, zarżnął je na śmierć rzeźnickim nożem, krzyczące z bólu i przerażenia, a wy moglibyście powstrzymać tego zboczeńca mordercę od zabicia dziecka, to oczywiście byście to zrobili. Gdyby coś tak potwornego wydarzyło się na waszych oczach, nikt z was nie stałby bezczynnie i bezradnie. Nie moglibyście.

Profesor mówił cicho, ale głosem drżącym z emocji. Zaciskał dłonie w pięści i je rozluźniał. W szkłach okularów odbijało się światło. Dostrzegłem jego lśniące czarne buty, skórzane i eleganckie, na gładkiej podeszwie, która nie trzymałaby się pochyłości i na śliskiej powierzchni stałaby się niebezpieczna.

W sali panowała cisza wstrzymywanych oddechów. Tylko Edna Mae obok mnie wciąż szlochała.

Mrugałem intensywnie, by powstrzymać łzy – gniewu, nie smutku. Moje dłonie, większe od dłoni profesora, również ściskały się i rozluźniały. Poczułem niebezpieczeństwo zbliżającego się upadku jak ktoś, kto nierozważnie cofa się do krawędzi dachu.

Potworne uczucie utraty równowagi.

Przez kilka sekund profesor stał, jakby się modlił, nic nie mówiąc, ze schyloną głową, a my, słuchacze, wpatrywaliśmy się w niego, przerażeni obrazem niewinnego dziecka zamordowanego na naszych oczach.

Widziałem już wcześniej fotografie usuniętych płodów. Ściskające za serce, makabryczne zdjęcia na tablicach, które na pikiety dostarczała nam

Koalicja, żeby pokazywać je przed klinikami aborcyjnymi, a czasami na ulicach, by zmusić ludzi do spojrzenia na to, czego nie chcieli widzieć. Jest też Mała Dłoń, którą widać wszędzie. Takie zdjęcia zawsze rozdzierają mi serce, co zresztą powinny robić. Ale profesor Wohlman sprawił, że zobaczyliśmy żyjące dziecko na tej scenie, mordowane na naszych oczach.

– I zawsze, zawsze, jeśli ich nie powstrzymamy, mordercy aborterzy będą niszczyć i rozczłonkowywać niemowlęta w macicach ich matek za zgodą bezbożnego rządu. Chyba że ich powstrzymamy.

W sali rozległy się pomruki aprobaty. Moje dłonie, zwinięte w pięści, naciskały na kolana.

Potem profesor Wohlman powiedział, że przygotowuje rewolucyjną petycję, którą udostępni nam za pośrednictwem naszych duchownych lub przez newsletter Koalicji, z nadzieją, że weźmiemy ją sobie do serca i opowiemy o niej innym. Wierzył, że podpiszemy petycję, wyślemy kopie do osób z listy opublikowanej w internecie, na której znajdą się wybrani urzędnicy, kongresmeni i prezydent Stanów Zjednoczonych.

– Oto treść petycji: „My, niżej podpisani, ogłaszamy wojnę w obronie niewinnego życia ludzkiego. Deklarujemy wierność Słowu Jezusa, a nie prawu ludzkiemu. Deklarujemy, że nie powstrzymamy się przed żadnym działaniem koniecznym do obrony niewinnego ludzkiego życia – w tym przed użyciem siły. Deklarujemy, że każde działanie w obronie życia narodzonego dziecka można zastosować do obrony życia nienarodzonego. Deklarujemy, że męczennicy Michael Griffin, Lionel Greene, Terence Mitchell, choć może złamali prawo ludzkie, nie złamali prawa boskiego; choć zastrzelili aborterów mających dokonać zabójstw płodów, nie są winni morderstwa – oni zapobiegli morderstwom z premedytacją. Ci odważni ludzie stanęli przeciwko mordercom po to, by chronić nie własne życie, ale życie nienarodzonych dzieci. Dlatego też wykorzystanie śmiercionośnej broni było usprawiedliwione. Będziemy się modlić, by sąd zrozumiał to w sprawie Terence’a Mitchella i oczyścił go z zarzutów nałożonych przez stan Michigan”.

Profesor Wohlman spojrzał badawczo na słuchaczy, jakby patrzył wprost w nasze serca. Jego spojrzenie przeczesywało rząd po rzędzie. I spoczęło na mnie.

Profesor zdawał się teraz mówić do mnie, do Luthera Dunphy'ego, ze szczególną szczerością kończąc swoje przemówienie:

– Musicie wiedzieć, siostry i bracia w Chrystusie, że każda sprawa przemawiająca do serca ludzkości ma swoich męczenników. Być może Terence Mitchell zostanie uniewinniony i dożyje swoich dni, wiedząc, że został zmuszony do rozlewu krwi. Być może jednak Terence Mitchell nie zostanie uniewinniony, podobnie jak jego towarzysze, i państwo go uwięzi. Jak Michael Griffin i Lionel Greene może zostać skazany na życie w więzieniu. Tego losu nikt nie przewidzi. Jednak Pan obserwuje i Pan będzie nagradzał. Nasza sprawa miała już męczenników i będzie ich miała więcej. Módlmy się za naszych odważnych męczenników i módlmy się za nas samych, byśmy mieli siłę działać tak, jak musimy i kiedy musimy.

W pełnej sali rozległy się okrzyki i pomruki: „Amen".

Wśród nich i mój:

– Amen.

Po wykładzie zostałem na swoim miejscu. Nie potrafiłem zebrać sił, by od razu wstać i wyjść. Niektóre osoby również pozostały na krzesłach, inne stały między rzędami, rozmawiając półgłosem.

Moja droga żona ciągnęła mnie za rękę, ale nie mogłem się ruszyć. Jak to się stało, że profesor zwrócił się do mnie?!

– O co chodzi, Lutherze? Gdzie my jesteśmy? Dlaczego tu jesteśmy? – Edna Mae mówiła z dziwnym podenerwowaniem, ale uśmiechała się, czy też próbowała uśmiechać, z wahaniem dotykając mojej ręki.

Zaniepokoiłem się, widząc, że moja droga żona, choć przez ostatnią godzinę uważnie słuchała profesora (byłem tego pewien), zachowywała się teraz jak osoba wybudzona ze snu i niemająca pojęcia, gdzie się znajduje.

Delikatnie wytłumaczyłem Ednie Mae, gdzie jesteśmy i dlaczego przyjechaliśmy tego wieczoru do Huntington w Wirginii Zachodniej z przyjaciółmi z naszego Kościoła. W jej zatroskanym spojrzeniu zobaczyłem ślad zrozumienia.

Nie miałem wątpliwości, że Edna Mae wkrótce zorientuje się, gdzie jesteśmy, szczególnie gdy zobaczy znajome twarze. Kiedy brała leki, często zdarzało się, że potrzebowała kilku minut, by zrozumieć, co się dzieje, szczególnie gdy byliśmy w obcym miejscu, ale pomagało, jeśli wszystko jej wyjaśniłem.

– A gdzie są dzieci, Lutherze? Na zewnątrz, w aucie?

– Nie, kochana. Nie przywieźliśmy ich tutaj, pamiętasz? Zostały bezpiecznie w domu.

Dziwnie było to mówić – „bezpiecznie w domu”. Jakby dzieci wyjechały i teraz wróciły do domu. Często tak dziwnie mówiłem, bo niełatwo rozmawia mi się z innymi, a jeśli ktoś patrzy na moje usta, czasami wypowiadam słowa, które przychodzą mi na myśl, ale nie rozumiem do końca, co znaczą.

– Jesteśmy w Huntington w Wirginii Zachodniej, kochana. Ale teraz jedziemy do domu.

– Oczywiście, Wirginia Zachodnia. Wiedziałam. – By ukryć dezorientację, Edna Mae uśmiechnęła się jak dziecko, które coś zbroiło. – Tylko cię sprawdzałam, Lutherze.

Edna Mae nie zauważyła, że jej pomięta, mokra od łez chusteczka upadła na podłogę, szybko więc się schyliłem, by ją podnieść i schować do kieszeni. Próbowałem nie myśleć, że Edna Mae sprzed kilku miesięcy okropnie by się zawstydziła taką niedbałością, za którą często karciła dzieci. Podobnie krytycznie spojrzałaby na siebie w tym wymiętym płaszczu, z potarganymi włosami założonymi za ucho, ustami maźniętymi szminką i plamami, chyba z różu, na zapadniętych policzkach.

Na chodniku przed kościołem czekało kilkoro członków naszej kongregacji; mieliśmy pojechać z powrotem do domu czymś w rodzaju karawany, prosto w noc.

Wielebny Dennis i pozostali z przejęciem rozmawiali o spotkaniu. Było mi przykro, że zachowuję się wobec nich szorstko, ale nie ufałem sobie, nie mogłem normalnie rozmawiać po tym, jak słowa profesora Wohlmana trafiły mi do serca. Bolał mnie również widok ludzi rozmawiających z moją drogą żoną, która próbowała odpowiadać; nie podobał mi się sposób, w jaki mierzyli ją wzrokiem, szczególnie kobiety, z chciwością dziobiących w ziemi ptaków.

Nie chciałem unikać rozmów z wielebnym Dennisem, którego szanowałem jako prawdziwie chrześcijańskiego duchownego, nie miałem też w zwyczaju zachowywać się niegrzecznie wobec jego żony. Pamiętam tylko, że szybko odeszliśmy do naszego auta, które zaparkowaliśmy nieopodal – ja ściskałem Ednę Mae za ramię i ciągnąłem ją, by szła jak najszybciej. Nawet jeśli zdziwił ją widok tych znajomych twarzy w nieznajomym miejscu, nie miała czasu zareagować. Za nami rozległy się szepty, ale nie pamiętam, czy usłyszałem: „Biedna Edna Mae!”.

W samochodzie moja droga żona usiadła obok mnie i niemal natychmiast zasnęła. Kiedyś denerwowałaby się i zachowałaby czujność w czasie nocnej jazdy międzystanową, na której wielkie ciężarówki z rykiem pojawiały się z tyłu, mrugając światłami, by oślepić cię we wstecznym lusterku i minąć niebezpiecznie blisko z prędkością stu trzydziestu kilometrów na godzinę. Teraz jednak Edna Mae w ogóle nie przejmowała się sytuacją, jak stworzenie, któremu zależy tylko na tym, by ułożyć się do snu.

Wydawało mi się, że podciągnęła pod siebie gołe nogi, jak czasem robią dzieci, i zasnęła. Ale za każdym razem, kiedy na nią zerkałem, widziałem, że jest inaczej – siedziała bezwładnie na siedzeniu, wyprostowana, z odrzuconą w tył głową i otwartymi ustami.

Wkrótce usłyszałem jej oddech, zdławiony jak u dyszącego konia. Od czasu Daphne Edna Mae albo nie spała w ogóle, albo spała za długo ciężkim, męczącym snem, z którego trudno było ją obudzić. (Nieprzyjemnie słuchało się dzieci krzyczących do matki, by ją obudzić tam, gdzie zasnęła, na przykład na kanapie, a czasami nawet w salonie albo na podłodze

w kuchni. Szczególnie rozdrażnionego głosu Dawn – „Mamu! Obudź się!”).

W tym ciężkim śnie Edna Mae znów dziwnie oddychała, tak jak przytrafiało jej się często w ostatnich miesiącach. Słuchałem, choć próbowałem nie słuchać, bo zdarzało się, że na kilka sekund jej oddech zamierał, i liczyłem sekundy, gdy przestawała oddychać – raz, dwa, trzy... sześć, osiem, dziesięć – a potem z jej gardła dobiegało coś jak szczęknięcie zamka i nagły chrapliwy odgłos tak donośny, że Edna Mae się budziła i łapała oddech jak tonący... Wkrótce jednak ponownie zapadała w sen i po kilku minutach przestawała oddychać. Zdarzało się to coraz częściej, trącałem wtedy moją drogą żonę i wołałem ją po imieniu, by sprowokować do oddychania, bo te dziwne rzeczy miały miejsce tylko wtedy, kiedy bardzo mocno spała; najważniejsze było więc, by Edna Mae pamiętała o oddychaniu, choć nikt z nas nie musi o tym pamiętać.

Co by się stało z Edną Mae, gdybym jej nie budził, nie przypominał o oddychaniu? Czy była w tym jakaś nauka zesłana przez Boga, którą powinienem zinterpretować? Bardzo mnie to martwiło, jakbym wybierał spod mankietów spodni drobne kłujące nasionka, które nigdy się nie kończyły – nie rozumiałem.

Wiedziałem jednak, że Operacja Ratunek ma być zwrotem w moim sercu. I wiedziałem to, już chyba zanim zaplanowaliśmy wyjazd do Wirginii Zachodniej.

Myślałem ze spokojem o tym, jak profesor zajrzał w moje serce, jak zobaczył mnie.

Módlcie się za naszych dzielnych męczenników. I módlcie się za nas samych...

Od wielu tygodni planowałem wysłuchać *Obrony bezbronnych*. Nie myślałem jednak, że Edna Mae będzie mi towarzyszyć w tak długiej podróży samochodem, nie czuła się bowiem najlepiej. Zaskoczyła mnie, mówiąc: „Zabierz mnie ze sobą, Lutherze. Boję się być sama w domu, bez ciebie. Musisz mnie pilnować”.

Na początku nie rozumiałem, co to może znaczyć. Bo przecież Edna Mae często zostaje sama w domu, kiedy dzieci są w szkole, a ja cały dzień w pracy. Ale potem, kiedy mówiła dalej, chaotycznie, od czasu do czasu zanosząc się śmiechem, okazało się, że moja droga żona boi się być sama w domu w nocy, bez pilnującego jej męża. To zaś mogło oznaczać tylko jedno (tak mi się zdawało): Edna Mae bała się, że pod moją nieobecność może zrobić sobie krzywdę. Przypadkiem zażyje zbyt dużą dawkę leków. Albo, mniej przez przypadek, zrani się ostrym nożem lub w jakiś inny okropny sposób.

Oczywiście Edna Mae nie mówiła tego serio. Chciała mi przez to powiedzieć, jak bardzo jest smutna i nieszczęśliwa. Jak bardzo potrzebuje, by mąż ją chronił. Myśl o tym zadaniu wypełniła moje serce mężowską miłością. I miłością do dzieci – uczuciem ojca chrześcijanina.

Tamtej nocy, kiedy wróciliśmy już po dwunastej do Muskegee Falls, do ciemnego domu, Edna Mae z trudem powstrzymywała się przed zamknięciem oczu, kiedy pomagałem jej wysiąść z auta i wejść do domu; miała trudności z utrzymaniem równowagi, więc niemal zaniosłem ją na górę, do naszej sypialni. Gdy wchodziliśmy po schodach, właściwie jednocześnie wydarzyły się dwie rzeczy: w korytarzu na górze zamknęły się drzwi i u szczytu schodów pojawił się nasz trzynastoletni syn Luke w piżamie, boso. Patrzył na nas zatroskanym wzrokiem. Choć w tamtej chwili nie dość szybko to pojąłem, najprawdopodobniej jedna z naszych córek, pewnie Dawn, zamknęła drzwi i szybko weszła do pokoju, który dzieliła ze swoją siostrą Anitą, zanim zdążyliśmy ją zobaczyć; w tym czasie Luke, najbardziej podobny do mnie, chłopiec z oczami młodego dorosłego, został, by się przywitać i zapytać, co się stało z matką, a ja odparłem, siląc się na radosny ton:

– Wszystko w porządku, tyle że mama od dawna powinna być w łóżku.

Syn patrzył jednak na nas nieprzekonany. Rzadko widzi się dziecięce czoło w tak oczywisty sposób zmarszczone jak wtedy u Luke’a; trudno się też patrzy na chłopca przygryzającego dolną wargę, jakby chciał, by zaczęła krwawić. Często wydaje mi się, że dostrzegam niewielkie bladoczerwone

znamię na lewym policzku syna – choć w rzeczywistości go tam nie ma. (Nie mogę jednak przestać patrzeć i zerkam wiele razy w ciągu dnia). Miałem wrażenie, że ktoś ściska mi serce w imadle, bo nasz pierworodny z pewnością wyrośnie na wysokiego i potężnego jak ojciec mężczyznę, i jest w tym jakaś bezradność, bo to swoją odpowiedzialnością będzie chronić innych, mniejszych i słabszych. Z taką posturą bardzo trudno stracić równowagę, jesteś też zawsze odkryty – niebo nad tobą jest zawsze otwarte.

Ściszonym głosem powiedziałem:

– Wracaj do łóżka, synu. Jutro idziesz do szkoły.

Jednak zatroskany chłopiec nalegał:

– Czy Mamu nic nie jest?

– Mamu jest zmęczona. I ja też jestem zmęczony, synu. Nie kuś mnie! – powiedziałem wciąż wesołym głosem, ale syn dostrzegł moje karcące spojrzenie miłości połączonej z ostrzeżeniem, ostrzeżenie przykryte miłością; wycofał się szybko i wrócił do pokoju, który dzielił z młodszym bratem, bosy i milczący, jakbym podniósł na niego rękę, choć tego nie zrobiłem.

Spłodzić nowe życie to potworna odpowiedzialność. We śnie, który miałem wiele lat temu po tym, jak urodziło się pierwsze dziecko, usłyszałem: „Bądźcie płodni i rozmnażajcie się”, to przekleństwo rodzaju ludzkiego.

Jednak to nie był (rozpoznawalny) głos Pana Boga czy Jezusa. To był (zapewne) głos szyderstwa, by przetestować Luthera Dunphy’ego, który w owym czasie planował zostać duchownym Kościoła Jezusowego i przechodził kolejne próby.

W naszej sypialni niezdarnymi palcami zdejmowałem ubranie z Edny Mae. Pod płaszczem przeciwdeszczowym moja droga żona nie była naga, czego się obawiałem, ale miała poplamioną flanelową koszulę, która mogła należeć do jednego ze starszych dzieci, oraz poplamioną sztruksową spódnicę, którą chyba wyjęła z kosza na brudy; nie miała rajstop ani skarpetek, a bielizna (której i tak bym nie zdejmował) była poszarzała od wielu prań i luźno wisiała na wychudzonej sylwetce.

Od czasu Daphne moja biedna droga żona schudła przynajmniej siedem kilogramów. A ja zyskałem na wadze od pasa w górę, moje serce otoczył niczym pięść tłusty guz.

Równie niezdarnie włożyłem Ednie Mae przez głowę koszulę nocną, która na moment się zaplątała, a Edna Mae bez przekonania szamotała się z zasłoniętą twarzą. Za późno zauważyłem, że koszula jest na lewej stronie. Edna Mae zdążyła już paść na łóżko i zasnąć z otwartymi ustami. Strużka śliny popłynęła na policzek. Pomogłem jej się położyć, nakryłem ją i modliłem się, żebyśmy przetrwali tę noc, bo takie noce stały się moim zdaniem niebezpieczne; noce, tygodnie, miesiące po Daphne, jak wtedy, kiedy ława przysięgłych próbuje ustalić werdykt w twojej sprawie, werdykt, którego ty w pełni nie pojmujesz.

Sypialnia była pogrążona w półmroku. Modliłem się przy łóżku, klęcząc. Taki miałem zwyczaj w podobnych chwilach – najstarsza modlitwa mego dzieciństwa, której uczyłem się, powtarzając jak echo głos mojego ojca: „Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje. Przyjdź królestwo Twoje...”. Te słowa stały się pocieszeniem, którym kiedyś była whisky.

Przez jakiś czas leżałem w ciemności obok mojej drogiej żony, nie spałem. Byłem bardzo zmęczony, a jednak nie mogłem zasnąć; moje ciało zdawało się wielkie i niezdarne, powinienem wziąć prysznic, bo śmierdziałem potem, ale nie było już czasu, zbliżała się druga w nocy. Prawa stopa bolała mnie od naciskania pedału gazu i dostałem skurczu (nocą często zdarzają mi się skurcze stóp i łydek). Międzystanowa pędziła na mnie, kiepsko oświetlona reflektorami mojego auta, i nie byłem pewien, czy moje dłonie ściskające kierownicę mają jakąkolwiek moc kierowania pojazdem (w swoim niepokoju wolałem tego nie sprawdzać), czy też kierownica jest fałszywą kierownicą, która miała mnie fałszywie uspokoić. Tak jak wtedy, gdy o martwym dziecku powiedziano: „Teraz jest z aniołami”.

A jednak powiedział to ojciec, czyż nie? Bo moim zadaniem było przekazanie wiadomości pozostałym dzieciom.

„Wasza siostra jest teraz z aniołami. Nie ma powodu płakać”.

Odgłos łez jak drapanie paznokciami po tablicy. Takiego dźwięku nie da się znieść.

Gdzieś z góry dobiegał zduszony głos Edny Mae mówiącej do dzieci, że nie wolno im płakać, nie wolno, bo płacz zdenerwuje ojca, a jeśli muszą płakać, mają to robić w ukryciu albo czekać, aż ojciec nie będzie słyszał, rozumiecie? Zduszony, pełen rozpaczy, a jednak praktyczny kobiecy głos, który albo słyszałem, albo sobie wyobraziłem, bo głosów odpowiadających dzieci chyba nie słyszałem.

Taki zmęczony! To stan, w którym pod zamkniętymi powiekami pojawiają się małe gwiazdki i twarze obcych ludzi.

W łóżku, w którym pachniało naszymi ciałami i z którego sączył się smutek, nie było wygodnie. Sączył się z niego również gniew. I obrzydzenie. Zapomniałem ostatnio zmienić pościel, a moja biedna droga żona nie mogła sobie przypomnieć, czy ją zmieniała czy nie, a oczywiście tego nie zrobiła. Moja biedna droga żona nie pamiętała też, by się wykąpać, choć dawniej była taka pedantyczna, jak mówiła o sobie ze śmiechem. A teraz mijały dni, a Edna Mae – jak mi się zdawało – nie zmieniała bielizny, nie myła się, a czasami nawet nie czesała.

Wyjaśniałem, że matka jest wyczerpana. Przepisano jej leki, które wywołują zmęczenie, zatem dzieci muszą opiekować się Mamu w tym smutnym okresie naszego życia.

Łóżko w sypialni miało królewskie rozmiary. A jednak stopami naciskałem na jego koniec i zawsze wyciągałem stamtąd prześcieradło. Leżałem na boku, plecami do Edny Mae, mocno zaciskając powieki. W tej pozycji czułem się jak pomnik na cmentarzu, który się przewrócił, spadł ciężko na trawę z jakiegoś nagrobka i nie dało się go już ustawić. Edna Mae obok mnie, nie na boku, odwrócona ode mnie, ale na plecach, czyli w złej pozycji, ponieważ na plecach oddychała nieregularnie i mokro, pod białym wełnianym pledem, który teściowa zrobiła dla nas w prezencie ślubnym diamentowym ściegiem (jak wyjaśniała), a który kiedyś był taki piękny. Zachwycałem się, że teściowa zrobiła go na drutach, i uważałem się za obdarzonego łaską, że rodzina Edny Mae przyjęła mnie jak syna, choć (co dla

mnie było jasne, nawet jeśli dla nich nie) Luther Dunphy nie był godzien.

A teraz, po tym, jak spoczęło na mnie spojrzenie profesora, znów wydawało mi się, że nie jestem prawdziwym obrońcą słabych, bezbronnych, ale tchórzem, który nie ma prawa nazywać się chrześcijaninem.

Bowiem chrześcijanin to ten, który poświęci swoje życie, zostanie męczennikiem. Wiedziałem to od dawna, ale nie chciałem tego przyznać, bo dużo łatwiej ukryć się w rodzinie, dużo łatwiej twierdzić, że miłość i ochrona bliskich to twój jedyny obowiązek.

Jak długo to trwało, ile minut leżałem i próbowałem zasnąć mimo tych potępiających myśli, próbując nie słyszeć ciężkiego oddechu leżącej obok kobiety? Aż w końcu – wiedziałem, że tak będzie – jej oddech jakby się zatrzymał, a potem, po kilku rozpaczliwych sekundach, w trakcie których zdawało się, że ktoś ją dusi, trąciłem żonę, by ją wybudzić, i poprosiłem:

– Edno Mae, oddychaj.

Moja biedna droga żona wydała dziwne chrapnięcie i przez jedną chaotyczną chwilę zdawała się wybudzona; potem znów zapadła w sen, blisko mnie.

Teraz jest z Daphne. Ma ją nasze dziecko.

Niemal widziałem drobne rączki córki zaciśnięte wokół szyi Edny Mae, ściągające ją w dół, w czerń jak czarne błoto.

Jednak dziecko nie wydało żadnego dźwięku. Rzadko spotyka się dziecko, które nie wydaje dźwięku.

Z Daphne jest najszczęśliwsza. Są z aniołami. To najbardziej miłosierne, wysłać tam matkę, by była z dzieckiem, by je pocieszyła.

Tamtej nocy nie po raz pierwszy zastanawiałem się nad odpowiedzialnością za moją biedną drogą żonę. Po raz pierwszy jednak ośmieliłem się oprzeć na łokciu obok niej, wziąć w ręce poduszkę i zastanawiać się, jak wybawić zrozpaczoną matkę od boleści; to byłby akt łaski. Słowa „boleść” i „łaska” odbijały się echem w mojej głowie jak popularna piosenka, od której czasem nie można się uwolnić jak od resztki jedzenia, która utknęła

między zębami. Boleść, łaska. Jezus zdawał się namawiać mnie do tej kontemplacji. Bo przecież to nie mógł być przypadek, prawda? Sam dźwięk tych słów, jak muzyka.

Ze wszystkich istot Jezus jest najłaskawszą i nie chce, byśmy cierpieli tak, jak On za nas cierpiał. Z wahaniem podniosłem poduszkę, by położyć ją na twarzy Edny Mae, wykrzywionej coraz bardziej, bo oddech znowu zaczął zwalniać, stawać w ściśniętym gardle, a usta drgały i wykrzywiały się jak u halloweenowej dyni; nigdy nie widziałem na twarzy mojej biednej drogiej żony takiego wyrazu i napełnił mnie on smutkiem.

Nie będzie długo walczyć. Jesteś silny, wiesz, co trzeba zrobić.

To prawda, jestem dużo silniejszy od Edny Mae. A jednak siła mniejszego stworzenia, na przykład dziecka czy kota, potrafi być znaczna i zaskakująca. Jeśli stworzenie podrapie cię pazurami, twoja siła osłabnie.

Mimo to, jeśli przycisnąłbym mocno poduszkę do jej twarzy i unieruchomił głowę drugą poduszką, przyciskając ją do materaca, gdybym nie osłabł, Edna Mae nie walczyłaby długo. I to byłaby łaska, wyrwać tę biedną kobietę z jej boleści.

Edna Mae nie musiałaby wtedy opłakiwać straconego dziecka, które jest z aniołami i Jezusem. Edna Mae źle robi, że opłakuje tak Daphne, skoro Bóg postanowił zabrać ją do Jezusa. Stanowi zły przykład dla dzieci.

Nie zawsze jest dla nas oczywiste, jakie mamy obowiązki. Ja jestem ojcem, człowiekiem odpowiedzialnym. Gdybym wyrwał Ednę Mae z jej boleści, nie można by mnie winić. To znaczy Bóg by mnie nie obwiniał.

Jej spojrzenie by mnie nie obwiniało. Nie ostrzegłaby dzieci, by nie płakały w obecności ojca.

Rankiem Edna Mae prawdopodobnie nie będzie pamiętała, gdzie byliśmy dziś wieczorem. Jeśli jej przypomnę, opowiem o wykładzie Willarda Wohlmana, od razu powie, że tak, pamięta. I z pewnością coś jej się przypomni.

Różnica między fałszywymi i prawdziwymi wspomnieniami nie zawsze istnieje.

Zacząłem mocniej przyciskać poduszkę do twarzy Edny Mae. Cała twarz musi być zakryta (przed moimi oczami), choć zasłonięte muszą być tylko usta i nos. Gdzieś blisko w ciemności stał Jezus. Obserwował.

Jeśli będzie się opierać, natychmiast zabierz tę poduszkę. To ma być jej wybór, Lutherze. Nie twój.

I nacisk poduszki na twarz nie był najmocniejszy. Tak jak radził Jezus, to musiał być wybór Edny Mae, nie mój.

Z siłą młota przyszła do mnie jeszcze jedna myśl: *Jeśli uduszę moją żonę, to będzie jasny znak, że Bóg mnie nie wybrał. Bóg nie ma dla mnie żadnego planu*.

Podobne myśli czasami wypowiadałem na głos. Na dachach, gdzie wbijanie gwoździ w świeże drewno zagłuszało moje słowa i nikt ich nie słyszał.

Kiedyś zrozumiałem, że mimo silnego pragnienia mego serca nie będę duchownym w Kościele Jezusowym Świętego Pawła, a tylko niewyświęconym duchownym, ponieważ starsi wątpili w moją zdolność do utrzymywania uwagi zgromadzenia oraz w kwestie związane z innymi aspektami życia duchownego. Na początku ta świadomość mnie bolała, ale potem wyjaśniły mi wszystko osoby, które podziwiałem – to decyzja Boga, nie należy do nich. Taka jest wola boska, my mamy ją tylko przyjąć.

A potem, kiedy wyjaśnił mi to pewien starszy duchowny, którego szanowałem ponad wszystkich, nagle łuski spadły z moich oczu i zrozumiałem.

Wola boska, my mamy ją tylko przyjąć. Jest wiele sposobów, by służyć Bogu, Lutherze. Niekoniecznie musisz być duchownym.

To jest wielka mądrość. Nie sprzeciwiaj się boskim planom wobec ciebie. Nie próbuj też układać własnego planu, udając, że jest boski.

Poduszka naciskała nieco mocniej na twarz Edny Mae, która teraz zaczęła poruszać głową i się opierać. Mimo to nacisnąłem jeszcze mocniej i wtedy Edna Mae zaczęła się wić niczym kot, w nagłym wybuchu paniki, nie drapała mnie po rękach (czego się obawiałem), ale łapała za nadgarstki, by je odsunąć, i słyszałem jej zduszony szloch: „Nie! Nie, nie...”.

Natychmiast podniosłem poduszkę z wykrzywionej bladej twarzy. Ślina pokrywała usta, a oczy szaleńczo mrugały.

– Edno Mae, kochana, miałaś koszmar... Dusiłaś się we śnie.

To była prawda, Edna Mae rzeczywiście wydawała we śnie odgłosy jak duszący się człowiek. Oddychała płytko i szybko, jak po biegu. Teraz usiadła na łóżku, przestraszona. Nie miała chyba pojęcia, gdzie jest. Dyszała, szlochała, a ja delikatnie złapałem ją za szczupłe ramiona i potrząsnąłem nimi, by się uspokoiła.

– Edno Mae! Przestań! To był tylko zły sen. Jesteś bezpieczna.

Sięgnąłem do lampki przy łóżku, która wyglądała, jakby ktoś przewrócił ją w walce. Ostrożnie ją postawiłem i włączyłem światło. W blasku bladej żarówki Edna Mae wpatrywała się we mnie, jakby próbowała rozpoznać moją twarz. Miała rozszerzone źrenice, oczy zdawały się całkiem czarne. Na małym stoliku po stronie łóżka Edny Mae leżała jej zniszczona Biblia (dostała ją, kiedy była dziewczynką) i jedna z małych pluszowych maskotek Daphne, chyba puchaty cynamonowy miś, którego pozbyłem się wiele tygodni wcześniej.

– Spałaś na brzuchu, Edno Mae, twarzą do poduszki. Spanikowałaś, bo nie mogłaś oddychać. Zobacz, poduszka jest mokra od twojej śliny...

Jakby odezwało się w niej coś z dawnej porządnej Edny Mae – wzdrygnęła się gwałtownie. Zawstydziła się, że ktoś jej pokazał, jak się zachowała, ślad osobistego niechlujstwa. Nie robiłem jej wyrzutów.

Z rodziną i każdą młodą osobą rozmawiam delikatnie, spokojnie i bez ostrych osądów – tego się nauczyłem w seminarium.

Chrześcijanin to ten, który sprawia, że inni czują się dobrze i mają nadzieję. Nie są zawstydzeni, smutni czy niespokojni.

Edna Mae wpatrywała się teraz w zegar przy łóżku. Pokazywał cyfry 2:11, których zdawała się nie pojmować, ale dla nas była to godzina tak późna, że nierzeczywista. Przez oba okna w pokoju widać było tylko ciemność na zewnątrz, przyciśniętą płasko do szyb jak twarz tak bliska, że nie widzisz jej rysów.

– Och, Lutherze! Przepraszam. Nie możesz przeze mnie spać...

Powiedziałem mojej drogiej żonie, by nie była niemądra, wcale nie przeszkadza mi spać.

Mrucząc przeprosiny, Edna Mae wygramoliła się z łóżka.

Przez bawełnianą koszulę widać było pojedyncze kręgi, biedaczka tak bardzo zeszczuplała. Kiedy zaoferowałem pomoc, odepchnęła moją dłoń ze śmiechem, ale i goryczą. Wydawała się całkiem wybudzona. Z wysiłkiem, niepewnie przeszła do holu i łazienki zaraz za drzwiami.

Poruszała się na bosaka tak cicho, że nie słyszałem jej kroków. Miałem nadzieję, że nie upadnie, bo pobiegłbym do niej, dzieci by się obudziły i wyszły ze swoich pokojów... Zdążyłem się już mocno spocić, otarłem twarz brzegiem prześcieradła.

W środku wszystko przewracało mi się na myśl, w którą nie mogłem uwierzyć. Co ja chciałem zrobić mojej drogiej żonie? Udusić Ednę Mae? Uwolnić ją od boleści?

– Ale tak nie można. Wiem, że tak nie można.

Wypowiedziałem te słowa na głos w niemal dziecięcym zadziwieniu. Jeśli Jezus był świadkiem, chciałem, by wiedział.

Usłyszałem dźwięk spuszczanej wody i odkręcania kranu. Rury w tym domu są stare, powinno się je wymienić. Dobiegło mnie szczęknięcie otwieranej szafki z lekarstwami i grzechotanie tabletek wysypywanych z małego pojemnika na dłoń żony.

Niemal wdziałem jej trzęsącą się rękę.

Ale choć byłem tak zmęczony, choć tak ciężkie miałem powieki, rozumiałem, że przecież nie mogę widzieć przez ścianę Edny Mae wysypującej białe tabletki na dłoń.

Potem rozległ się inny dźwięk. Tabletek przesypujących się przez palce na podłogę. Gwałtowne westchnienie: „Och! O Boże!”, kiedy Edna Mae schylała się, by pozbierać małe białe pastylki z linoleum, a to nie była czysta podłoga.

Następnie kran odkręcany ponownie, jęczenie rur. I brzęk, tym razem szkła nieco zbyt gwałtownie stawianego na porcelanowej umywalce.

Kiedy Edna Mae wróciła do łóżka, stała na nogach jeszcze mniej pewnie. Twarz miała białą jak papier, tylko na policzkach niczym pokrzywka gorzała czerwień. Oczy były podkrążone i przekrwione, a jednak (widziałem) tkwiło w nich coś przebiegłego, upór tajemnicy. Włosy miała potargane, sterczące w kępkach jak pióra chudego kurczaka.

Moja ukochana Edna Mae! Serce przepełniała mi miłość do niej, ale nie takiej, jaką była teraz, tylko takiej, jaką była kiedyś, gdy po raz pierwszy zobaczyłem ją, siedemnastoletnią, w kościele w Mad River – chyba w innym życiu – zanim uniosła nieśmiały wzrok i na mnie spojrzała.

Byliśmy tacy młodzi! Zdążyłem już rzucić szkołę średnią. Postanowiłem pójść własną drogą i nie pracować z ojcem tak, jak sobie życzył. Spędzałem lato z wujem i ciotką w Mad River, jakieś pięćdziesiąt kilometrów na południe od Muskegee Falls, i pracowałem w ich gospodarstwie nabiałowym.

Gdybym nie pojechał tamtego lata pomieszkać w Mad River.

Gdybym nie poszedł na tamtą mszę w niedzielny poranek.

Ale tak postanowił Pan i tak się stało. Postanowił, że Edna Mae Reiser i Luther Amos Dunphy spotkają się w konkretnym miejscu i czasie, w czerwcu 1977 roku, że urodzą się im dzieci, każde we właściwym momencie. Nasze życie nie mogło potoczyć się w żaden inny sposób, dzieci urodziły się tak, jak miały się urodzić, i zostały ochrzczone w Chrystusie.

Ta Edna Mae, która jest, i ta Edna Mae, która była. Trudno sobie wyobrazić, że ta kobieta w wieku trzydziestu sześciu czy siedmiu lat (nie byłem całkowicie pewien wieku żony, tak jak nigdy nie jestem pewien dokładnego wieku dzieci, bo to się wciąż zmienia, więc rodzina śmieje się z „Ta-tuusia”, którego zawsze trzeba poprawiać i karcić) mogłaby być matką tamtej siedemnastoletniej Edny Mae Reiser o okrągłej twarzy i nieśmiałym spojrzeniu.

Inna osoba, można by pomyśleć. Inna krew.

W mojej pamięci Edna Mae w kościele ma na sobie białą sukienkę. (Później dowiedziałem się, że była wówczas pomocą pielęgniarską). Ale Edna Mae zawsze się z tego śmieje, mówi, że nie, wcale nie miała na sobie białej sukienki! – z pewnością nie włożyłaby służbowego uniformu do kościoła. Była ubrana w różową sukienkę w kwiaty i białe baleriny.

Teraz Edna Mae narzekała na coś, czego nie mogłem do końca zrozumieć – że bardzo męczy ją nocna jazda samochodem. Że to było samolubne, że kazałem jej prowadzić, choć przecież nie znosiła jeździć nocą, bała się jeździć nocą, szczególnie autostradą, a teraz boli ją głowa, musi wziąć leki i natychmiast wrócić do łóżka.

To dopiero niespodzianka! Przecież Edna Mae nie prowadziła samochodu od strasznego stycznia tego roku. Byłem pewien. Luke albo Dawn by mi powiedzieli. Nigdy nie mógłbym prosić mojej drogiej żony, by prowadziła na autostradzie, nawet kiedy była całkiem zdrowa. Ale nie chciałem się teraz z nią sprzeczać, bo to tylko pogorszyłoby sprawę.

– Wzięłaś jeszcze więcej tych cholernych tabletek, Edno Mae? Chociaż musisz za kilka godzin wstać?

Powiedzieć „cholerne” do Edny Mae było jak policzek. Ale lekki, taki, by zwrócić jej uwagę, nie obrażać jeszcze gorszym słowem.

Zaszokowało mnie, kiedy nasza córka Dawn kilka tygodni temu powiedziała słowo na „p”, w kuchni, trzaskając szufladami, tylko do siebie, kiedy sądziła, że nikogo nie ma. „Pierdolę to, pierdol się, pierdolę cię, rozumiesz?” – pogardliwym tonem wypowiadała kwestie w udawanej rozmowie z kimś w szkole.

Szok był tak wielki, że wycofałem się do garażu. Oszołomiony wróciłem do domu kilka minut później, by uniknąć konfrontacji z córką.

Oczywiście wiedziałem, że Edna Mae wzięła w łazience jedną lub więcej tabletek. Wiedziałem, że nie będzie mogła wstać rano, przed wyjściem dzieci do szkoły i moim do pracy. Starsze dzieci pomogą młodszym, tak jak robią od stycznia, i wcale się nie zdziwią, kiedy po południu wrócą do domu i zobaczą matkę półprzytomną, w nocnej koszuli, mamroczącą coś niezrozumiałego.

Wiem, że lekarz przepisał mojej drogiej żonie uzależniające tabletki. Wiem, że uzależnienie to problem. Ale lekarz przekonywał, że bez nich Edna Mae popadnie w ciężką depresję.

A depresja to grzech przeciwko Jezusowi. Rozpacz to obraza dla Niego, który umarł za twoje grzechy. Jakby Jezus ci nie wystarczał. Ale nie chcę o tym mówić Ednie Mae ze strachu, że to tylko wszystko pogorszy.

W kobiecie słabość mężczyzny jest podwojona lub potrojona. Jej wola, by oprzeć się pokusie rozpaczy, przypomina mięśnie barków i ramion – jest nierozwinięta.

Wstałem szybko z łóżka, które bardzo wymagało zmiany pościeli. (Nie chciałem widzieć, że w momencie paniki, kiedy myślała, że się dusi, moja biedna droga żona zmoczyła siebie i prześcieradła). Pomogłem Ednie Mae się położyć i poprawiłem jej poduszkę pod głową, potem przez chwilę siedziałem obok, głaszcząc jej dłoń, dziwnie gorącą i suchą.

– Jaki jest czas, Lutherze?

– Jaki czas?

– Wiem, gdzie jesteśmy, ale... kiedy?

Nasz duchowny mówi, że istnieje czas poza czasem. Nie ma słów, by go opisać. Ta myśl również do mnie przychodzi, kiedy wstaję, podnoszę głowę, widzę szybko przesuwające się po niebie chmury i ich rodzaje – konkretne kształty, kolory, strukturę.

W milczącej odpowiedzi na pytanie Edny Mae ścisnąłem mocno jej rękę.

Mamy wiarę, że sens przyjdzie do nas z góry. Jak ciepły letni deszcz, błogosławieństwo.

Teraz błogosławieństwem okazało się to, że Edna Mae szybko zasnęła. Byłem pewien, że rano nie będzie pamiętać nocnego koszmaru duszenia.

Błogosławieństwo złych snów polega na tym, że szybko się je zapomina.

Edna Mae spała z otwartymi ustami i oddychała chrapliwie, ale mniej nerwowo niż wcześniej. Czułem, jak i moje zdenerwowanie stopniowo ustępuje, a serce wypełnia mi wdzięczność. Stało się jasne, że nie jest moim

zadaniem uwolnić żonę od boleści. I nie było wcale oczywiste, że Bóg nie ma specjalnego przeznaczenia dla Luthera Dunphy’ego.

Po cichu wyłączyłem światło i wślizgnąłem się pod kołdrę obok kobiecego ciała.

– Dziękuję Ci, Boże. Pokazałeś mi drogę, o którą się modliłem.

Niedługo później, nie informując o tym mojej drogiej żony, zostałem członkiem Operacji Ratunek, o której dowiedziałem się z newslettera Armii Boga. Uczestniczyłem tylko w trzech spotkaniach i nie odzywałem się podczas nich. Ale razem z innymi przysięgałem, że oddam swoje życie dla Jezusa.

Utracona córka

To się stało w styczniu 1998 roku. Choć widziałem tamten samochód wyjeżdżający na drogę, nie mogłem w porę zahamować.

To się stało w lekko padającym śniegu. Szosa zaczynała się pokrywać cienką warstwą lśniącego lodu.

To również był zwrot w mojej duszy. Jezu, wybacz mi!

Niedaleko przed sobą zobaczyłem, jak na szosę, mimo znaku stopu, wyjeżdża ten pick-up. Tuż przy County Line Road, zaraz za miastem. Jeździłem tam czasem na składowisko odpadów. To nie jest często używana droga, dlatego nie ma na niej świateł, tylko znak stopu. W padającym śniegu pick-up nie był tak widoczny, jak byłby w jasnym słońcu, bo nadwozie miało obojętny kolor wytartego kamienia.

Na drodze stanowej na północ od Muskegee Falls ograniczenie prędkości wynosi dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Niewiele jest tam skrzyżowań ze światłami.

To stało się tak nagle, ten pick-up na skrajnym prawym pasie.

Jeśli widok jest potworny, oczy odmawiają zobaczenia tego, co widzą. Że ktoś z taką premedytacją łamie przepisy. To się nazywa wymuszenie pierwszeństwa i jest karalne.

Wracaliśmy do domu po załatwieniu sobotnich spraw, byliśmy niecałe półtora kilometra od celu. W moim rozkojarzeniu (masz o czym myśleć, kiedy zmniejszono ci liczbę godzin pracy o jedną trzecią, a u jednego z twoich pięciorga dzieci zdiagnozowano „przypadłość neurologiczną”) zawahałem się na moment, na ułamek sekundy, pomyślałem: *Nie. Nie wjedziesz na tę drogę. Nie tuż przede mną*.

Rzadko tak myślę. Tylko czasami, za kierownicą, kiedy ktoś próbuje zajechać mi drogę albo mnie wyprzedzić. Nawet kiedy skręcam na światłach, na przykład w lewo, to zazwyczaj pozwalam kierowcy na przeciwnym pasie skręcić pierwszemu, z sympatii, ponieważ tak właśnie postępował młody, bardzo podziwiany pastor w Toledo, naśladując Jezusa, i zrobił tym na mnie wrażenie. Rzadko też przekraczam prędkość na jakiejkolwiek drodze, bo w trakcie terapii radzenia sobie z gniewem nauczyłem się walczyć z agresją. Na drodze i wszędzie indziej.

Nadstawienie drugiego policzka, jak uczył Jezus, to dobra rada, tak nam mówiono. Twój gniew rani tylko ciebie.

Jednak tamten pick-up przy County Line Road właściwie nie zwolnił przed wyjechaniem na ruchliwą drogę. Ktokolwiek go prowadził, musiał widzieć pędzące w jego stronę samochody na prawym pasie i mógł przewidzieć (powinien), że nie wystarczy mu czasu, by wyjechać i zwiększyć prędkość na tyle, by uniknąć wypadku, a mimo to kontynuował manewr.

Pewnie to jakiś młody człowiek, założyłem. Nastolatek.

Może mężczyzna w moim wieku. Ale nie kobieta i nie starsza osoba.

Gdzieś blisko rozległ się przeraźliwy dźwięk klaksonu albo klaksonów. Chociaż nadepnąłem na hamulec, choć mocno go wcisnąłem, nie było szans uniknąć zderzenia z pojazdem tuż przede mną, jadącym z prędkością taką samą jak ja lub podobną. Jego kierowca gwałtownie zahamował, by uniknąć kolizji z pick-upem, a ja bez zastanowienia, bo nie było na nie czasu, szarpnąłem kierownicą i odbiłem w lewo, naciskając pedał hamulca, choć opony ślizgały się na lodzie. Po kilku sekundach w zderzeniu brały udział już trzy samochody, choć (jak dowiedzieliśmy się później) pick-up jechał dalej prawym pasem, a kierowca chyba się nawet nie obejrzał i nigdy go nie złapano.

To się stało w miękko padającym śniegu. Spadło z nieba pełnego skłębionych chmur w kolorze brudnego śniegu. I mój głos, uniesiony w niedowierzaniu i wściekłości: „Nie! Na Boga, niech cię szlag, NIE!”.

Ale potem nastąpiło uderzenie, przód mojego auta walnął w tył samochodu przed nami z prędkością chyba mniejszą, ale niedużo mniejszą, niż

osiemdziesiąt kilometrów na godzinę; dwa samochody zaczęły się ślizgać, kręcić jak autka w parku rozrywki i niemal natychmiast trzeci pojazd, którego wcześniej nie zauważyłem, kombi prowadzone przez kobietę wiozącą na przednim siedzeniu starszą matkę, został uderzony przez nasze dwa auta i zepchnięty na środek szosy, gdzie z hukiem uderzył w barierkę rozdzielającą kierunki ruchu.

Brak czasu, by myśleć: *To jest wypadek. Umrę.*

Brak czasu, by się pomodlić: *Pomóż mi, Jezu! Boże, pomocy!*

To się stało tak szybko – mój samochód wjechał w inne i tak jak pozostałe został zmiażdżony, metal pogiął się jak akordeon; potworny huk, a potem cisza, jak cisza po uderzeniu pioruna, która zawładnęła niebem.

Potem krzyki zaskoczenia, strachu, bólu...

W chaosie zdawało się, że samochód eksplodował, ale to poduszka powietrzna uderzyła w moją pierś i ramiona, uwalniając jakiś kwas, który bardzo poparzył mi twarz. Chyba w tym momencie straciłem przytomność. Głowa poleciała mi do przodu, jakby oderwało ją z karku, w ustach pojawił się kwaśny smak żółci. A potem nie siedziałem już za kierownicą – wypadłem na jezdnię. Powiedziano mi, że odpiąłem pasy, ale tego nie pamiętam. Pamiętam za to, jak na czworakach pełzłem po zamarzniętym asfalcie, próbując poruszać się w rozbitym szkle albo czymś w rodzaju pleksiglasu, w ustach miałem pełno krwi, a ucisk w klatce piersiowej utrudniał oddychanie.

Z chaosu zaczęły dobiegać krzyki i płacz, usłyszałem jakieś kroki przy mojej głowie, a potem ogłuszający dźwięk syreny; czułem, że ktoś mnie podnosi, jednak nie wiedziałem, dokąd zabiera. Nic nie widziałem, ale powódź oślepiających świateł zalewała mi oczy, nie mogłem oddychać, ale moje płuca zmuszano do wdychania przeszywającego pierś mroźnego powietrza.

Pędzącym samochodem przewieziono mnie do szpitala w Springfield, czyli trzydzieści kilometrów dalej. Wtedy tego nie wiedziałem. Nie rozumiałem też, że wydarzyła się katastrofa. Nie wiedziałem, że inne samochody zabierały inne ofiary do szpitala – nie słyszałem wtedy takich słów

jak „karetka” i „szpital”. Dziwne, ale jednocześnie wspaniałe było to, że nie czułem strachu. Nie czułem paniki. Nie czułem nawet żalu, z wyjątkiem łagodnego rozczarowania, że nie wrócę do domu tak, jak planowałem, nie zobaczę już nigdy mojej drogiej rodziny ani żadnej ludzkiej twarzy – to do mnie dotarło. Pojawiła się przede mną struga światła, jakby autostrada, bo wszystko działo się na szosie, i uniosła mnie – a jednak wciąż nie czułem strachu, bo czułem przy sobie obecność Jezusa (choć Go nie widziałem).

Czułem, że moje życie ocalił Jezus (choć nie widziałem Go na własne oczy) – jednocześnie zrozumiałem, że moje życie jest w Jezusie i że nie ma różnicy między Jezusem a Lutherem Dunphym.

Dlatego nie czułem strachu. Jakbym wchodził do wody ciepłej i spokojnej – nie da się odróżnić, gdzie kończy się skóra, a zaczyna woda. I woda unosi cię, jakbyś był niemowlęciem, które nie musi poruszać rękami i nogami ani nie musi się niczego bać.

Nie wiem, jak długo pozostawałem w tym stanie uspokojenia. Potem powiedziano mi, że na ostry dyżur przewieziono mnie nieprzytomnego, z niskim ciśnieniem krwi i w stanie szoku. Potem też przekazano mi okropne wiadomości, że w wypadku zginęli ludzie, choć w tym samym szpitalu przebywał jeszcze jeden ocalały, a ja przez dwie doby leżałem podłączony do aparatury podtrzymującej życie.

Bardzo dziwnie jest się obudzić, jakbyś sam o tym zdecydował, kiedy wcale tak nie jest – nie masz żadnego wyboru. Ze zdziwieniem otworzyłem oczy w sali o białych ścianach, pełnej pikających urządzeń, w której było zimno jak w lodówce. Widziałem obce twarze, które uciekały mi jak rozpuszczająca się klisza – nie potrafiłem zachować przytomności i uwagi dłużej niż przez kilka sekund. Jeszcze później pojawiła się moja droga żona Edna Mae (choć trochę myliła mi się z moją matką, kiedy ta była w jej wieku), dotykała mojej dłoni, szlochała i modliła się za mnie; byli też inni, których znałem, rozpoznawane twarze. Wiedziałem więc, że Jezus odesłał mnie na powrót do tych ludzi, bo jeszcze nie nadszedł czas, bym do Niego dołączył.

Powiedziano mi, że mam pękniętą czaszkę (wąskie pęknięcie na czubku głowy), uszkodzenia dolnego odcinka kręgosłupa, zwichnięte obie ręce, przemieszczone prawe ramię i połamane żebra oraz jestem w ogólnym szoku, jak to nazwali. Wiele ran ciętych twarzy, siniaków i oparzeń kwasem. I podbite oczy! Ból jednak przypominał unoszenie się, jakbym mógł się na niego wspiąć, tak jak wspinasz się na dmuchany materac w basenie; jeśli będę uważał, nie zatonę w bólu, a tego najgorszego rodzaju jeszcze nie czułem, bo on rozgrywał się w jakimś odległym miejscu gdzieś w moim ciele, jak paskudny hałas, który słyszysz w odległym pokoju, pulsujący i nieustający. Później stało się dla mnie jasne, że to wrażenie było konsekwencją podawania dożylnie morfiny i wcale nie było dla mnie dobre, więc gdy tylko potrafiłem przekazać jakieś żądania personelowi medycznemu, powiedziałem: „Dosyć morfiny!”.

W Kościele Jezusowym Świętego Pawła nie uznajemy leków (chyba że na receptę, jeśli to nieuniknione), marihuany, napojów alkoholowych i tytoniu. Uważamy, że w każdej chwili twojego życia dusza komunikuje się z Jezusem i tej komunikacji nie można zagłuszać, tak jak nie zasłania się świeżo umytego okna.

A potem mi powiedzieli, jaka to tragedia, odebrano nam biedną, ukochaną córeczkę. Ednę Mae musieli w szpitalu trzymać z daleka ode mnie, ponieważ tak bardzo płakała i szlochała. Tyle że ja nie pamiętałem, by w samochodzie było ze mną którekolwiek z dzieci. Byłem tego pewien. Kiedy mogłem już spokojnie mówić, powiedziałem: „Nie, nie było jej ze mną. Nikogo ze mną nie było”. A oni powiedzieli: „Ależ była, Lutherze! Wasza córeczka Daphne była z tobą, w foteliku na tylnym siedzeniu, wiozłeś ją do domu od babci, zmarła z powodu ran odniesionych w wypadku”.

Czy to było dziecko, o którym mówili? Moja mała dziewczynka, ledwie trzyletnia? Ale ja byłem pewien, żadnego z moich dzieci nie było na miejscu wypadku.

Potem ujawniono tożsamość pozostałych ofiar katastrofy – dwie z nich zmarły – ale tożsamości kierowcy, który uciekł i się nie zgłosił, choć spo-

wodował wypadek komunikacyjny ze skutkiem śmiertelnym, nigdy nie poznaliśmy.

Ileż razy zaprzeczałem: „Nie wiozłem ze sobą Daphne! Nie wiozłem”.

Bóg mógł mnie ukarać za nikczemność na wiele sposobów, ale nie w ten, bo dziecko było niewinne i Bóg na pewno by je chronił.

Kiedy wróciłem do domu ze szpitala, minęło trochę czasu, zanim zacząłem chodzić bez pomocy, a potem bez laski, i wiele tygodni, zanim wróciłem do pracy, ale robiłem wszystko powoli i uważnie (bolało, szczególnie w dolnej części pleców). Jednak z bożą pomocą wróciłem. Nigdy się nie skarżyłem, byłem wdzięczny za swoje życie i rozumiałem, że kiedy Bóg mi je odbierze, to nie będzie czas smutku, tylko radości.

Okazało się, że moja droga żona nie chciała rozmawiać o Daphne jak inni. Edna Mae nie próbowała mnie przekonać, że nasza trzyletnia córka była ze mną w samochodzie, ponieważ Edna Mae nie mówiła o niej w ogóle. A pozostali członkowie rodziny twierdzili, że nie ma potrzeba o tym myśleć.

Już po wszystkim. Bóg zabrał ją do siebie, teraz jest z aniołami.

Po jakimś czasie Edna Mae mogła już mnie przytulać, a ja mogłem przytulać Ednę Mae i nie mówić o naszej stracie. Uznałem, że żona wybaczyła mi to, że wyjechałem samochodem na drogę stanową w taką pogodę, przy padającym śniegu, złej widoczności i cienkiej warstwie lodu powstającej na jezdni.

O wściekłości w moim sercu na kierowcę pick-upa, która mogła nie spodobać się Panu, nie wspominałem Ednie Mae ani nikomu innemu.

Nie sądzę, bym w momencie wypadku jechał za szybko. Nigdy mnie o to nie oskarżono. Zareagowałem też odpowiednio: wcisnąłem pedał hamulca, skręciłem kierownicę, by uniknąć zderzenia, choć okazało się, że kręcenie kierownicą nic nie dało.

Mimo że to była prawda, rozpraszały mnie moje myśli. Niczym meszki wiszące chmurą nad głową sprawiały, że czułem irytację i zniecierpliwienie, wypełniały moje serce złością na to, że widok pick-upa niezatrzymują-

cego się przed znakiem stopu i wyjeżdżającego na szosę nie przestraszył mnie, tak jak powinien, ale wywołał bunt.

Nie! Nie zwolnię z twojego powodu.

Niech cię szlag!

Moje serce wypełniał gniewny entuzjazm niczym dźwięk trąbki – ale przecież niemal natychmiast nacisnąłem na hamulec. Tyle że za późno.

Powiedziano nam, osobom, które przeżyły wypadek, że nie mogliśmy nic zrobić, by się ratować.

Cokolwiek stało się Daphne, zniknęła z naszego życia. W trakcie rekonwalescencji zrozumiałem, że to kara, choć mówiono, że nie zawiniłem. Pęknięta czaszka, obrzęk mózgu, przemieszczone ramię, uraz dolnej części pleców – choć nie brałem leków przeciwbólowych, pamięć zawodziła i przez długi czas miałem zaburzenia wzroku, jakbym patrzył prosto w słońce. Jeśli ktoś mówił: „Luther, wychodzimy w południe", to dziesięć minut później nie pamiętałem, że cokolwiek mówił. W pracy, kiedy w końcu mogłem do niej wrócić, Ed Fischer musiał mnie bardzo dokładnie instruować, co robić, i to więcej niż raz.

Czasami przypominałem sobie, że powiedziano mi coś ważnego, ale nie pamiętałem, co to było. Innym razem nie pamiętałem, że w ogóle ktoś coś do mnie mówił.

„Nie możesz się obwiniać. Jezus zabrał ją do siebie".

Tak wyjaśniał to nasz pastor, podobnie inni członkowie Kościoła, modlący się o moje uzdrowienie oraz uzdrowienie Edny Mae, która zdawała się podupadać na zdrowiu, gdy ja odzyskiwałem siły.

Kiedy byłem w domu i później, kiedy wróciłem do pracy, nabrałem zwyczaju analizowania wypadku pod każdym możliwym względem. I wyraźnie widziałem, że w samochodzie, w dziecięcym foteliku na tylnym siedzeniu, nie było żadnej trzylatki!

Jako ojciec niezliczoną ilość razy zapinałem małe dzieci w foteliku, czasami dwoje dzieci w fotelikach obok siebie, i jestem pewien, że tamtego

dnia tego nie zrobiłem. Przez moją głowę w chwili katastrofy przebiegła myśl: *Jeśli umrę, przynajmniej umrę sam*.

Czułem to – zaczynało się gdzieś za oczami. Paskudne uczucie, którego nie dało się powstrzymać. Pick-up na County Line Road, nie zwalniając przed znakiem stopu, wpycha się na prawy pas jakieś sześćdziesiąt metrów przede mną; kierowca, którego nie widzę, szybko ocenia, że da radę wystarczająco przyspieszyć, by uniknąć zderzenia z pierwszym pojazdem pędzącym w jego stronę, ponieważ w takiej sytuacji zwykle się spodziewasz, że choć nie masz pierwszeństwa, to inni dla ciebie zwolnią. (Tak, kierowca może podjąć takie ryzyko – takie ryzyko i ja podjąłem w życiu więcej niż raz, ale nigdy, kiedy ktoś jechał ze mną w aucie).

I wtedy kierowca przede mną hamuje, zanim ja zdążam zahamować. Mój samochód wjeżdża w tył jego auta przy dźwięku piszczących hamulców – a potem zderzenie niczym niekończąca się lawina.

Rzuca tobą jak szmacianą lalką. Jesteś stracony.

Kiedy zderzenie już nastąpi, nie można go cofnąć. Jednak zanim nastąpi, pojawia się dziwne uczucie, jakby zwolnienie tempa, kiedy (wydaje się) masz dość czasu na podjęcie decyzji, wierzysz, że zdążysz, skręcasz kierownicę (na przykład), by uniknąć zderzenia, albo zaczynasz hamować wcześniej lub później – i zderzenie może nie nastąpić albo wszystko może się potoczyć inaczej.

Widziałem wypadek w zwolnionym tempie. Budziłem się ze snu i zdawałem sobie sprawę, że widziałem wypadek. Rozmawiając z kimś, widziałem wypadek. Jakby na filmie, w którym na początku wszystko jest jasne, a potem zaczyna się rozpadać i rozpływać. Słyszałem hamulce, to były hamulce mojego auta, słyszałem przeraźliwy dźwięk poślizgu, wizg opon, zderzenie. I słyszałem krzyki. Nie słyszałem krzyku dziecka.

Mój samochód (dodge sedan z 1993 roku, który zabrałem na przegląd ledwie kilka tygodni wcześniej, był w dobrym stanie mimo prawie stu pięćdziesięciu tysięcy kilometrów na liczniku) uderzył w auto przede mną, odbił się od niego, a potem wpadł na barierkę na środku jezdni. Po pierwszej chwili zaskoczenia poczułem drżenie powietrza, czułem w nim wibracje jak

wibracje w wodzie, usłyszałem telepanie się metalu i widziałem rozbite szkło w kształcie śnieżynek, zgniecioną maskę, która wyglądała, jakby stąpał po niej olbrzym, bardzo ciężki. Słyszałem syk pary. I krzyki, wołanie o pomoc.

Później zdałem sobie sprawę, że wypadek był jednym ze zwrotów w moim życiu. W tamtej chwili nie potrafiłem jeszcze zrozumieć jego znaczenia. Długo potem odczuwałem pulsujący ból w głowie, karku, plecach i nogach – kolanach, a nawet w stopach – co mnie rozpraszało, ponieważ nie należę do ludzi, którzy okazują w obecności innych, że odczuwają ból, albo niepokoją kogoś użalaniem się nad sobą. Nie mogłem jednak pojąć, czy w wypadku zawinił Luther Dunphy, o czym nikt poza mną nie wiedział, czy może wypadek był tylko częściowo moją winą albo wyłącznie winą kierowcy pick-upa, a mój udział, tak jak udział innych, był przypadkowy.

Rozumiałem jednak, że moja relacja z Bogiem jest niemal na pewno bliższa niż relacja z Nim kogokolwiek innego biorącego udział w wypadku, podobnie jak mój związek z Jezusem.

Powiedział mi to nasz pastor, pomagający mi po wypadku. Są chrześcijanie, których więź z Bogiem jest głębsza i od których Bóg oczekuje więcej niż od innych chrześcijan, to po prostu fakt – w Piśmie wiele jest takich postaci. Żyły w czasach biblijnych i żyją teraz.

Wiele razy próbowałem apelować do Boga, ale On dał mi jedynie zrozumienie, że nie mogę prosić o więcej i pozostaje mi żyć mimo odniesionych ran.

Na oddziale ratunkowym w Springfield umarłem. Prawdopodobnie. Sądzę, że „zrestartowano” moje serce. Powiedział mi coś takiego kardiolog. Nie chciałem znać szczegółów, ale zrozumiałem, że modlitwy mojej rodziny przekonały Boga, by się nade mną zlitował.

A jednak wydawało mi się to dziwne i bolesne (tylko w sekrecie, bo nie sprzeciwiłbym się Bogu), że Pan odebrał życie mojej małej córeczce, a nie mnie. Bo kiedy wróciłem do domu, Daphne już w nim nie było.

Choć moja kochana córeczka nie zginęła w wypadku, odeszła w tym samym czasie i już jej nie było.

Wiele razy wyobrażałem sobie, jak – gdyby Bóg dał mi szansę – powiedziałbym Mu bez wahania: „Weź moje życie, oszczędź ją” i śmiałbym się, mówiąc te słowa, jasny płomień rozświetlałby moją twarz, a głos byłby głośny i radosny, tak jak bywał wcześniej, dawno temu, kiedy piłem, w ignoranckich i ślepych czasach kawalerstwa.

Biedna malutka! Była dzieckiem z downem, tak je nazywają. Daphne. Najsłodsza dziewczynka, kochaliśmy ją bardzo.

Edna Mae i Luther ją kochali, tak jak cała rodzina – całe rodzeństwo, nawet ta pyskata siostra z buzią łasicy, jak jej było na imię? Dawn. Jej babcia, Marlene Dunphy (która mieszka niedaleko), zawsze prosiła Ednę Mae, by pozwoliła Daphne przychodzić w odwiedziny, ponieważ Daphne była niezmiennie taka szczęśliwa – mała okrągła buzia rozjaśniała się na twój widok, a Daphne chichotała podekscytowana i machała rączkami. Lubiła być noszona, przytulana i całowana – lubiła się tulić i nigdy się nie wyrywała, jak to robią inne dzieci, niespokojne, jeśli przytula się je zbyt mocno i trwa to zbyt długo.

Z jamą ustną Daphne coś było nie tak. Podobno niewłaściwie się ukształtowała, okazała się zbyt ciasna dla języka. Dlatego czasami język Daphne wysuwał się jak u dyszącego psa. Ale człowiek się przyzwyczajał. Nie zawsze mogłeś zrozumieć, co Daphne mówi, właśnie z powodu zbyt dużego języka, miała też piskliwy głos jak świergoczący ptak, ale zwykle dawało się zgadnąć, że mówi na przykład: „Kocham babcię” – czego ją nauczono.

Jak to mówią, dzieci z downem Bóg kocha wyjątkowo. Daphne nie była jedynym takim dzieckiem w Muskegee Falls. Są też te opóźnione – „lekko opóźnione w rozwoju”. One są z pewnością wyjątkowe w porównaniu z innymi dziećmi, tak zwanymi normalnymi.

Nie ma podobno „rozwydrzonego” dziecka z downem. Na jakiejś stronie internetowej o tej chorobie, którą pokazała mi Marlene Dunphy, podano to jako fakt udowodniony medycznie.

Marlene kontaktowała się online z rodzicami i dziadkami dzieci z downem, poświęcała na to czas. Ale Edna Mae i Luther się tym nie intereso-

wali. Nie można było nawet nawiązać przy nich do tematu, bo Edna Mae się denerwowała, a Luther wpadał w szał.

Córeczka Dunphych, Daphne, była najmłodszym z ich dzieci i ostatnim (zapewne), które urodziła Edna Mae. Edna Mae myślała, że oprócz niej nikt tego nie wie. Przed zamążpójściem uczyła się na pielęgniarkę, a może na pomoc pielęgniarską, i planowała wrócić do pracy, kiedy dzieci podrosną – nie tylko dlatego, że potrzebowali pieniędzy (to było oczywiste, że ich potrzebowali – tyle dzieci, dom wymagający napraw, stary poobijany samochód, którym musiał jeździć Luther, ciągłe choroby w rodzinie), ale i dlatego, że lubiła pracować, uwielbiała pracować w szpitalu lub w domu opieki (tak mówiła), że uszczęśliwiało ją pomaganie innym. „Po to żyjemy na ziemi" – mówiła. Edna Mae Dunphy zdecydowanie była najszczęśliwsza, mając w domu niemowlę. Karmienie piersią ją uszczęśliwiało. Zajmowanie się chorym dzieckiem ją uszczęśliwiało. Są takie kobiety – ja do nich nie należę, ale znam kilka, nawet w mojej rodzinie. To stan umysłu, żałosny, bo w końcu niemowlęta urosną i nadejdzie czas, kiedy nie będą chciały, byś na nie choćby patrzyła, a co dopiero dotykała ich i je przytulała, a ty będziesz marzyć, by te wyrośnięte dzieciaki znów były małe, i nie będzie nic, co by je zastąpiło.

Za to dziecko z downem nie dorośnie nigdy. Dziecko z downem nigdy cię nie odepchnie i nigdy się nie skrzywi. Ani nie wyprowadzi się z domu.

Daphne była wyjątkowa, bo zdawała się nieustannie szczęśliwa. Nawet jeśli – co się okazało – wcale nie czuła się dobrze. Kaszlała i dusiła się, jakby była na coś uczulona, na przykład na pyłki albo kocią sierść, i potrafiła się wiercić, jeśli kazano jej siedzieć w czymś ograniczającym, na przykład w wózku. Śpiewanie ją ekscytowało, piosenki, które słyszała w radiu, śpiewała razem z radiowymi głosami, jakby to były rzeczywiste osoby siedzące obok niej.

Jako niemowlę Daphne ochrzczono w Kościele Jezusowym Świętego Pawła. Rodzina zabierała ją na msze niemal w każdą niedzielę i środowe wieczory, a jeśli zbytnio się ekscytowała i za głośno piszczała, Edna Mae wynosiła ją na dwór i czekały w samochodzie.

Wszyscy w zborze uwielbiali małą Daphne Dunphy. Pastor błogosławił ją jak Jezusową owieczkę.

Mówi się, że dzieci z downem wyglądają dziwnie z powodu spłaszczonej, księżycowej twarzy przypominającej mongolską, ale Daphne właściwie tak nie wyglądała – przypominała lalkę o ładnych, namalowanych rysach. Włosy miała jasnobrązowe, falujące, oczy piękne, choć małe i lekko skośne, a także odrobinę zezowate, więc nigdy nie wiedziałeś, które oko na ciebie patrzy. Jej babka powiedziała nam, że mała urodziła się ze słabymi płucami i słabym sercem – rodzice nie wiedzieli, czy powinni zdecydować się na zabieg, który sugerowali lekarze, czy pokładać zaufanie w Bogu.

Zaskoczyła nas jedna informacja. Wydawało się, że operacja kardiologiczna (w szkole medycznej w Columbus) będzie bardzo droga, ale Luther mówił, że jakiś kardiolog pediatra zgodził się operować Daphne za darmo albo za niewielką opłatą, którą miał uiścić ktoś inny. Luther obawiał się jednak, że to jakiś społeczny czy federalny projekt rządowy, w który nie wierzył. Czy chodziło o jego przekonania religijne czy o samego Luthera Dunphy'ego, denerwował się, gdy słyszał o zasiłkach federalnych, opiece społecznej i państwie socjalistycznym, które, jak mówił, było bezbożne i ateistyczne.

Daphne miała słaby słuch, ale wydawała się czytać z ruchu warg. Wpatrywała się w twoją twarz, wstrzymując oddech. Żadne inne dziecko nie przejmowało się tak żadnym dorosłym! Jej rodzice martwili się o nią, bo zaczęła raczkować, dopiero gdy miała roczek, a nauczyła się chodzić mniej więcej w wieku dwóch lat, i to gdy ktoś trzymał ją za rękę. Nie mogła jeść tego, co inne dzieci, miała kłopoty z żuciem i przełykaniem. I problemy z tarczycą, więc musiała brać leki (których rodzice nie chcieli jej podawać). Wystarczyło na nią spojrzeć, by zobaczyć, że ma problemy rozwojowe. To było smutne, bo kiedy Daphne podrosła, widziała, że inne dzieci robią to, czego ona nie potrafi. To ją frustrowało i prowokowało do płaczu. Ale wystarczyło jej przebywanie z matką, nie musiała się bawić z innymi dziećmi. Potrafiła rozpoznać się w lustrze, w przeciwieństwie do kota czy psa, lubiła też machać rączkami i śmiać się do siebie jak małpka.

W rodzinie Dunphych nie było nic niezwykłego. Do narodzin Daphne stanowiła raczej normalną rodzinę. A nawet potem – bo przecież problemy z uczeniem się czy upośledzenie nie są aż tak niezwykłe. Luther Dunphy pracował dla firmy Fischer Construction, dekarstwo i ciesielstwo. On i Edna Mae należeli do tego ewangelickiego kościoła przy Cross Creek Road, w którym Luther wykonywał wiele prac stolarskich, dekarskich i malarskich i zawsze poświęcał czas, by coś w nim naprawiać. Nawet po tym okropnym wypadku, w którym o mały włos nie zginął (spędził w szpitalu sześć tygodni), kiedy tylko wrócił do pracy, przyszedł do kościoła i pomagał. Mieli jeszcze dwóch chłopców i dwie dziewczynki, starszych od Daphne. Starszy syn, Luke, wiecznie się martwił – mówiła jego babcia – tak jak Luther, ale też był dobrym, porządnym chłopcem, jak jego tata. Starsza córka Dawn miała problemy w szkole, nie dogadywała się z innymi dziećmi, ale młodsza była ładną dziewczynką, cichą i lubianą.

Siostra Edny Mae, Noreen, opowiadała nam, że w trakcie ciąży Edna Mae miała krwawienia – to była jej szósta czy siódma ciąża, bo w minionych latach poroniła raz czy dwa. Ludzie gadali, że Luther powinien chronić żonę, a nie ciągle ją zapładniać. Jej własna rodzina twierdziła, że Edna Mae jest za stara, że powinna postępować mądrzej. Ale to przecież nie wina kobiety! Bardziej mężczyzny. Jeśli spojrzysz na Luthera Dunphy'ego i na Ednę Mae, od razu zobaczysz, czyja to była wina – to na pewno Luther właził na tę kobietę jak wielki ogier rozpłodowy. Czasami w jego oczach widziało się to spojrzenie, jak raptownie gaszona zapałka – tylko ślad. Luther z pewnością miał gwałtowne uczucia, niezależnie od tego, jak je ukrywał.

A Edna Mae zawsze wszystkim ustępowała, z tym uśmiechem jak gumka naciągnięta do granic możliwości. Wypadały jej włosy, było widać skórę na głowie, a wokół paznokcia na lewym kciuku miała ranki tam, gdzie go obgryzała. Porządna chrześcijanka, która nie podniosłaby ręki, by się obronić, gdyby ktoś zaatakował ją kijem baseballowym.

Lekarz z Muskegee Falls wysłał Ednę Mae na ultrasonografię do szpitala w Springfield, ponieważ miała bóle i krwawienia, ale ona nie chciała pojechać, bała się, że w szpitalu „coś jej zrobią" w trakcie badania. Niechętnie

zgodziła się nawet na badanie miednicy, choć wyjaśniono jej wszystko dokładnie, a obok była pielęgniarka. Luther też nie ufał szpitalom. Ufali jedynie swojemu Kościołowi – nie każdemu chrześcijańskiemu Kościołowi, tylko ich własnemu (który uczył wyznawców, by podejrzliwie podchodzić do innych chrześcijańskich wyznań). Ale Edna Mae w końcu poszła na badanie, w czwartym miesiącu ciąży, na „a-mnie-punkcję", i poinformowano ich, że dziecko urodzi się z upośledzeniem, oddechowym, neurologicznym i kardiologicznym – teraz można wszystko zobaczyć w macicy matki na prześwietleniu. Oczywiście widzą też, czy to chłopiec, czy dziewczynka, ale ci nie powiedzą, jeśli nie chcesz wiedzieć. (Oni nie chcieli). Lekarz powiedział Ednie Mae i Lutherowi, że istnieje duże prawdopodobieństwo zespołu Downa i wyjaśnił, co to jest. Kazał im się zastanowić, czy chcą „przerwać" ciążę, co mógł zrobić w szpitalu jako zwykły zabieg chirurgiczny.

Oczywiście Edna Mae i Luther bardzo się zdenerwowali. Od razu opuścili szpital i odjechali.

Edna Mae absolutnie nie wierzyła w tę diagnozę. Odmówiła rozmów o „przerwaniu" z jakimkolwiek lekarzem. Przecież dziecko żyło, czuła, jak rusza się w jej brzuchu! Mówiła, że Jezus zaopiekuje się nią i maleństwem, w przeszłości rodziła tylko zdrowe dzieci i teraz Jezus się nią zaopiekuje. Wszyscy modlili się o zdrowe niemowlę. Luther był nawet bardziej zdecydowany niż Edna Mae, niewiele mówił, ale nigdy absolutnie by się nie zgodził na „przerwanie", bo to robili w nazistowskich i komunistycznych krajach – podobnie jak sterylizację. Wszyscy modlili się żarliwie o zdrowe dziecko i to miało wystarczyć.

(Niektórzy z nas nie są wcale pewni, w co wierzymy. W naszym Kościele, który nie jest ewangelicki jak Kościół Dunphych, nie ma takich zdecydowanych przekonań. Właściwie to lepiej nie mówić o takich rzeczach jak polityka, kto uwielbia prezydenta, a kto go nienawidzi albo co ludzie myślą o wojnie w Zatoce czy w ogóle o wojnie. Luther Dunphy niewiele mówił, a już na pewno nie dyskutował. Im głębsze są ludzkie uczucia, tym człowiek jest bardziej milczący. A to może być zwodnicze, jak udowodnił uczynek Lu-

thera. W jego twarzy, odkąd go poznaliśmy, było widać upór. Szczęki miał zaciśnięte jak koń, który się zaparł, i nic nie mogło tego zmienić).

Niektórzy znajomi twierdzą, że jeśli Bóg zsyła ci dziecko, robi to, bo wie, że temu podołasz. Bóg nie ześle ci dziecka, którego nie będziesz mógł pokochać albo którym nie będziesz mógł się zająć – ja w to wierzę. Jednocześnie istnieją chrześcijanie, którzy przerwaliby taką ciążę jak ta Edny Mae, jak zalecano, w szpitalu, a nie w klinice aborcyjnej.

Nie jest to powód do wstydu. Moim zdaniem. Oczywiście Edna Mae i Luther uważali inaczej. Dla nich to byłoby morderstwo. Ale ja myślę, że jeśli matka jest mężatką, jeśli dziecko ma ojca, a lekarz sugeruje taki zabieg, to nie jest aborcja, czyli po prostu morderstwo, którego powinno się zakazać.

Wrócili do domu i nigdy już nie pojawili się w Springfield. Edna Mae dbała o siebie, próbowała nie pracować zbyt ciężko, by donosić ciążę do końca. Dużo się modlili, cała rodzina. A w kościele ludzie modlili się za nich. Dziecko urodziło się w terminie i nie wydawało się bardzo upośledzone. Kiedy zaproszono mnie do Marlene, bym zobaczyła Daphne, dziewczynka miała kilka tygodni i nie wyglądała dziwnie, choć była drobna i pomarszczona, miała okrągłą buzię i małe skośne oczy, a z ust wystawał śmieszny, uroczy języczek. Okazała się wdzięczna i uważna jak na niemowlę. A kiedy płakała, nie było w niej takiej złości, żeby człowiek chciał zasłonić uszy i uciec z pokoju.

Po jakimś roku ludzie zaczęli gadać, że z najmłodszym dzieckiem Dunphych coś jest nie tak. Niektórzy mówili, że dziecko jest opóźnione albo ma downa. Ale w Daphne było też wiele cudownych rzeczy, jeśli tylko się jej przyjrzeć. Widziałeś wtedy, dlaczego Edna Mae ciągle ją przytula i nieustannie się z nią cacka.

Kiedy dowiedzieliśmy się, że ten mały aniołek zginął w wypadku na autostradzie, wszyscy wybuchnęliśmy płaczem. To był szok! Trzy latka, a nawet na tyle nie wyglądała. Takie smutne. Wydawało się, że, że ta biedna mała dziewczynka nigdy nie miała prawdziwego życia, a teraz nawet to jej odebrano.

Niezbadane są wyroki boskie, to fakt. Nie da się tego inaczej wyrazić.

Współczuliśmy bardzo Ednie Mae, która ogromnie kochała córeczkę. I Lutherowi, który również ją kochał i który prowadził wtedy samochód.

Z tym Luther Dunphy nigdy się nie pogodzi. Że to on prowadził samochód.

Grzech

Kiedy miałem dwanaście lat i przez długi czas potem, pławiłem się w plugastwie i wstydzie.

Wszyscy moi znajomi byli tacy jak ja. Wszyscy chłopcy, których znałem. Wstrętne jest nawet wspominanie tego. Szczególnie brzydziłem moją matkę. Patrzyła na pościel na moim łóżku i bieliznę brudną od plugastwa. Ale gdybym próbował ją uprać, matka i tak by wiedziała.

Kiedy zostawaliśmy w pokoju sami, robiło się niezręcznie. Niewiele mieliśmy sobie do powiedzenia; nie winiłem matki za to, że mnie nie znosi, nikogo bym nie mógł winić. A jednak czasami, jedząc z rodziną czy sprzątając ze stołu po posiłku, z premedytacją upuszczałem widelec, talerz, szklankę, by matka zareagowała, choćby tylko zaskoczeniem. Bracia się śmiali, bo zawsze zgodnie występowali przeciwko mnie, najmłodszemu; ojciec kazał mi sprzątać ten bałagan, a ja robiłem to pokornie i w milczeniu.

Kobiety widziały, jak się na nie gapię, na ich piersi, brzuchy i nogi. Moja twarz tężała, oczy zdawały się chować jak oczy węża, ale nie mogłem odwrócić wzroku. A między moimi nogami – „to”, niczym wąż, który poruszał się z własnej woli i twardniał, i nie dawał się powstrzymać. W szkole, w ósmej klasie, uczyły same kobiety. Na wszystkich lekcjach siedziałem na końcu sali z pozostałymi chłopcami, których nauczycielki nie lubiły albo których się bały. Tył mojej ławki można było przycisnąć do ściany, żeby obdrapać farbę i zostawić ślad. Kolanami mogłem podnieść blat i hałaśliwie go opuścić. Zaskoczone spojrzenie nauczycielki oznaczało, że chciałaby mnie skarcić i wyrzucić z klasy, ale nie ma odwagi.

W gimnazjum w Upper Sandusky paskudnie obmawiano Felice Sipper. Do jednej ze starszych klas chodziła Beverly Sipper, która musiała rzucić

szkołę w dziesiątej, bo zaszła w ciążę, a kilka klas niżej – w podstawówce – byli Irene Sipper i jej brat z ogoloną (by zapobiec wszom) głową, Ronald Sipper. O Sipperach mieszkających w przyczepie przy torach mówiono, że to biała hołota.

W ósmej klasie opowiadano obrzydliwe, okrutne rzeczy o Felice Sipper. Gardziły nią nawet miłe dziewczyny i wszyscy chłopcy. Jej imię wypisywano na ścianach. Na betonowej estakadzie czerwonym sprejem nabazgrano FELICE SIPPER SSIE DRUTA.

Takie rzeczy wypisywali moi koledzy. Z pustej klasy zabierałem ogryzki kredy, którymi mogliśmy bazgrolić na ceglanych murach, choć litery szybko zmywał deszcz. Publicznie wyszydzano również inne nazwiska, dziewczyn i chłopców, ale Felice Sipper wzbudzała najwięcej ekscytacji i uwagi. Nauczycielki na nią nie patrzyły, bo raził je widok pryszczatej dziewczyny w tanich poliestrowych swetrach i za dużych spódnicach, które przesuwały się wokół jej chudej talii tak, że suwak nigdy nie był we właściwym miejscu.

Było mi żal Felice Sipper. Próbowałem mokrą ręką zetrzeć niektóre z tych paskudnych słów, kiedy nikt nie patrzył.

Widziałem w jej twarzy ból i słabość, kiedy tak stała przy swojej szafce w korytarzu ósmej klasy, próbując ignorować spojrzenia i szepty, i ogarniało mnie pożądanie, jakbym pożądał czyjejś śmierci.

Po szkole samotnie śledziłem Felice Sipper. Kiedy mnie zobaczyła, wyglądała na przestraszoną. Jeśli zaczęłaby biec, nie ruszyłbym za nią. Gwizdałem głośno i śmiałem się do siebie. Odwracałem się w przeciwnym kierunku, ale szedłem bez pośpiechu; nie chciałem, by Felice myślała, że ją śledziłem, a teraz przestałem śledzić.

Weszła pod ociekającą wodą betonową estakadę przy Union Street. Odczekałem, aż kilka starszych dziewczyn ruszy na schody i zniknie z pola widzenia, a potem poszedłem od drugiej strony. Felice kroczyła powoli, ze spuszczonym wzrokiem, jakby nieświadoma mojej obecności, nawet kiedy stanąłem tuż przed nią.

– Jesteś nieczysta. Po śmierci pójdziesz do piekła.

Felice próbowała mnie ominąć. Zablokowałem jej drogę.

Była dużo niższa ode mnie. Głową ledwie sięgała mi do ramienia. Miała skołtunione włosy w dziwnym kolorze słomy. I ziemistą, ciemną cerę – nie była „biała” jak my wszyscy. Jednak jej włosy ani usta nie były murzyńskie.

Kiedy próbowała się odwrócić i uciec, złapałem ją za chudą jak patyk rękę.

– Nie obchodzi cię, że jesteś zdzirą, która pójdzie do piekła?

– Zostaw mnie w spokoju! Sam jesteś zdzirą i sam pójdziesz do piekła.

Poczułem zaskoczenie i ekscytację. Oczy Felice Sipper błysnęły nienawiścią i buntem, patrzyła niczym zwierzę zapędzone w pułapkę na chwilę przed tym, jak zatopi zęby w twoim gardle.

Kiedy to zobaczyłem, ustąpiłem i puściłem Felice Sipper. Rzadko się zdarzało – nigdy się nie zdarzyło – by ktoś młodszy, dziewczyna czy chłopak, stawiał mi się w taki sposób, mnie czy któremuś z moich kumpli. Nigdy bowiem nie atakowaliśmy nikogo naszej postury i w naszym wieku, kto mógłby się postawić.

I Felice pobiegła, a biegnąc, krzyknęła przez ramię:

– Pierdol się, dupku! Nienawidzę cię, obyś zdechł!

Głos Felice był piskliwy jak u ptaka. Jej słowa tak bardzo mnie zdziwiły, że nie pobiegłem za nią, tylko stojąc pod mokrą śmierdzącą estakadą, patrzyłem, jak dziewczyna znika.

Nie powiedziałem kolegom o tym spotkaniu. Nikomu nie powiedziałem, ale i tak wszyscy zdawali się wiedzieć, że Luther Dunphy ma jakieś prawo do Felice Sipper, którego moi kumple nie mogli kwestionować.

Widywałem ją po sklepem i jeśli była sama, podchodziłem. Felice miała ten dziewczyński zwyczaj stawania jak sarna, która zaraz skoczy i ucieknie, z jedną stopą ustawioną krzywo, palcami dotykającą chodnika.

Zatrzymywałem się kilka metrów od niej, jakbym w ogóle jej nie zauważał. Albo wchodziłem do sklepu, kupowałem butelkę coli, wracałem, a Fe-

lice Sipper patrzyła ze złością w moim kierunku, ocierając nos brzegiem dłoni.

– Ty! Czego chcesz, do diabła?

Jeśli dawałem Felice butelkę coli, ona z pogardą kręciła głową – „Nie!” – ale jeśli zaproponowałem drugi, trzeci raz, czasem ustępowała, brała ode mnie butelkę i piła, dotykając ustami tego miejsca, w którym były moje usta, i ten widok – Felice Sipper przytykającej usta do tego samego miejsca – wywoływał we mnie podniecenie i oszołomienie.

– Co powiesz, Felice? – pytałem, a ona wydymała wargę i mówiła:

– Dziękuję.

A ja:

– Dziękuję i co dalej? – Miałem na myśli to, że powinna powiedzieć: „Dziękuję, Lutherze”.

Ona, uśmiechając się szyderczo, dodawała:

– Dziękuję, dupku.

Na tyłach tamtego sklepu, na bocznicy kolejowej, gdzie wśród wysokich traw rdzewiały wagony towarowe, Felice Sipper pozwalała starszym chłopakom się dotykać i robić sobie różne rzeczy. Palili razem papierosy, pili piwo. Czasem kumple dawali Felice drobne podkradzione z portmonetek matek. Ze mną było inaczej – ja zawsze chodziłem sam, bo między Felice Sipper i mną istniało wyjątkowe porozumienie.

Czasami Felice nie chciała robić tego, czego ja chciałem, ale nie mogła odmówić, bo wolała mnie nie złościć. Obrzydzenie wyrażała tym głośnym piskliwym śmiechem zdenerwowanego ptaka, ale w przeciwieństwie do ptaka nie uciekała. Nigdy nie krzyczała i nie walczyła, przynajmniej tego nie pamiętam.

Czasami „dyscyplinowałem” ją, tak jak w dzieciństwie dyscyplinowali mnie rodzice – matka ręką, ojciec pasem zapętlonym jak wąż. To potęgowało doznania. Ekscytowały mnie jej łzy, cieknący nos i rozmazane usta. Moja dłoń na karku Felice dociskała jej głowę w dół, jak u psa podporządkowanego swemu panu.

Felice Sipper smakowała ostro, jak sól. Lubiłem, że za paznokciami miała obwódki brudu, tak jak ja, choć jej paznokcie były mniejsze, kostki dłoni delikatne jak u wróbla; mogłem je zmiażdżyć w każdej chwili, ale tego nie robiłem. Felice o tym wiedziała i chyba mnie za to lubiła. Jej starsza siostra Beverly malowała paznokcie Felice na jaskrawą czerwień albo ciemny fiolet, co mnie ekscytowało, nawet gdy lakier zaczynał się łuszczyć. Felice nosiła czasami ciemnozielony, chyba plastikowy krzyżyk (twierdziła, że z jadeitu), który należał do jej babki, ale jej rodzina nie chodziła do kościoła. Podobno nikt u nich nie wierzył w Boga, chyba że działo się źle – wtedy to zawsze była „wola boska”.

Zapytałem Felice, czy nie boją się nie chodzić do kościoła, może Bóg wpadnie w złość i ich ukarze, a Felice, wzruszając ramionami, odparła, że to już się stało.

Pewnego razu – ostatniego, choć wówczas o tym nie wiedziałem – byliśmy w jednym ze starych wagonów towarowych, ja klęczałem na suchych liściach i śmieciach, a Felice Sipper przeklinała mnie, wierzgając gołymi nogami. Ekscytował mnie widok jej nagiego bladego brzucha i rzadki meszek między nogami. Kiedy skończyłem, nie mogłem się ruszać, tylko leżałem na plecach, dysząc, wśród liści i śmieci, zaszokowany, jakby przebiegł przeze mnie paraliżujący prąd elektryczny.

Nie wiedziałem dlaczego, dlaczego akurat wtedy, a nie innym razem, wcześniej, Felice Sipper poczuła obrzydzenie i złość. Kiedy już się ubrała, otarła oczy i wpatrując się we mnie, wyjęła z kieszeni scyzoryk. Zobaczyłem tylko w jej dłoni błysk ostrza, które zaraz zatopiło się w moim udzie, a ból był taki, że nie mogłem pojąć, co się dzieje, i zacząłem szukać ucieczki, kiedy ostrze pojawiło się znowu, tym razem w boku, między żebrami, a Felice zawołała do mnie coś w rodzaju: „Nienawidzę nienawidzę nienawidzę cię, świnio”. Potem zniknęła – wyskoczyła z wagonu i uciekła.

Krwawiłem z czterech ran zadanych nożem. Ból był jak ogłuszający hałas. Nie mogłem go pojąć, ale spróbowałem usiąść, jęcząc, i powstrzymać krwotok. Rany zadano szybko, ale były płytkie i nie uszkodziły żadnej żyły

ani tętnicy (na to wyglądało). Ciężko dyszałem. Trzęsły mi się ręce. Chwilę trwało, zanim krew przestała płynąć. Uciskałem rany i jakoś zatamowałem krwawienie.

Kiedy wyczołgałem się z wagonu, zmierzchało. Wiedziałem, że spóźnię się na kolację, więc wszedłem do domu od tyłu, by uniknąć siedzącej w kuchni rodziny. W łazience na piętrze obmyłem rany i starałem się zakryć je bandażami, schowałem też zakrwawione ubrania w miejscu, z którego mogłem je potem wyrzucić. Kiedy zszedłem na dół, matka zapytała:

– Lutherze, jesteś chory? Masz taką bladą twarz.

Ojciec widział, że jestem chory, więc mnie nie ukarał. Moi bracia, Norman i Jonathan, się śmiali, ale zauważyli, że coś mi się stało. Kiedy próbowałem jeść, poczułem falę mdłości i zawroty głowy, zrobiło mi się słabo i upadłbym na podłogę, gdyby jeden z braci mnie nie złapał.

Matka myślała, że mam grypę. W Sandusky, kiedy nie czułeś się dobrze albo kiedy czułeś się parszywie i chciałeś umrzeć, mawiało się: „Bierze cię grypa”.

Nie znienawidziłem Felice Sipper; chciałem ją znowu zobaczyć. Jednak nie zobaczyłem jej już nigdy, bo okazało się, że Sipperowie musieli wyjechać z Sandusky, ponieważ krewni z domu krytego papą ich wyeksmitowali. Dopiero później zdałem sobie sprawę, że dźgnięcie nożem mojego grzesznego ciała przez Felice Sipper było ostrzeżeniem od Jezusa, że zapędziłem się za daleko i jeśli nie przestanę, czeka mnie gorsza kara.

Niektórych chłopców goniliśmy, przewracaliśmy, kopaliśmy i wciskaliśmy im twarze w ziemię.

Jednego z nich (z klasy specjalnej) ścigaliśmy wzdłuż strumienia, zapędziliśmy w błoto, ściągnęliśmy mu spodnie i wcieraliśmy błoto, małe kamyki i żwir w jego krocze i penisa, aż zaczął wrzeszczeć, płakać i błagać, byśmy przestali.

Innym razem, kiedy pewien chłopak doniósł do dyrektora, że jeden z nas kradnie rzeczy z szafek, ścigaliśmy go aż na bocznicę kolejową i spętali-

śmy: nadgarstki za plecami, kostki z nadgarstkami, a na szyi pętla, więc jeśli próbowałby się uwolnić, toby się udusił.

Ktoś mógłby zapytać, czy nie baliśmy się, że on może umrzeć.

Poszliśmy stamtąd, koledzy wrócili do domu. Ja cofnąłem się na bocznicę, by rozwiązać Alberta Metzera i wyjąć mu z ust brudną szmatę, którą tam wepchnęliśmy. Powiedziałem, że ma nikomu nic nie zdradzić, bo zginie, i Albert, choć ledwo mówił, wyszeptał: „Dobrze”. Był tak wdzięczny za ocalenie, że niemal całował mnie po rękach.

Tyle że następnego wieczoru w naszym domu zjawiła się policja. Ojciec otworzył drzwi i zawołał mnie na dół. Zadawali mi pytania o Alberta Metzera, a ja odpowiedziałem,: nie, nic o tym nie wiem, nie mam pojęcia, co mu się przydarzyło. Ale jąkałem się tak bardzo, że ledwo mnie rozumieli i było jasne, że kłamię.

Policjanci w końcu wyszli. Ojciec stał jeszcze przy radiowozie i z nimi rozmawiał. Cokolwiek powiedział, albo oni powiedzieli, nie aresztowali mnie, tylko odjechali.

W drzwiach pokoju, który dzieliłem z Jonathanem, stał ojciec, patrząc na mnie z obrzydzeniem. Zapytał, co wiem o chłopcu, którego niemal uduszono i który trafił do szpitala, a ja powtórzyłem, że nic nie wiem. Nie miałem z tym nic wspólnego.

Teraz jąkałem się jeszcze bardziej, z oczu płynęły mi łzy.

Ojciec trzymał coś w ręku, na wysokości uda. Nie chciałem się za bardzo przyglądać, ale przedmiot miał rozmiary młotka i był zawinięty w ręcznik albo ścierkę. Kiedy próbowałem ominąć ojca i uciec po schodach, uderzył mnie tym czymś w plecy i pośladki, a kiedy się przewróciłem – w skroń. Upadłem ciężko i pocieszyła mnie myśl, że już po wszystkim. Mogę umrzeć.

W miejscu, w którym upadłem, czekał na mnie Jezus. Zobaczyłem, że jest niezadowolony, ale nie zwrócił się do mnie tak ostro jak ojciec, nie skarcił.

Ojciec nigdy nie wyjaśnił matce (która słyszała nas wtedy z dołu), dlaczego w ten sposób mnie „zdyscyplinował” i dlaczego przez długi czas potem nie patrzył na mnie, nie życzył sobie, bym przebywał w tym samym pokoju co on, dlaczego musiałem jeść posiłki sam, w kuchni, po tym jak reszta rodziny je skończyła. To nie moje zachowanie wobec Alberta Metzera tak bardzo ojca zezłościło, ale fakt, że próbowałem go okłamać.

Nawet kiedy towarzyszyłem ojcu na budowie i pracowałem razem z nim, odzywał się do mnie tylko wtedy, kiedy musiał. Choć był chrześcijaninem, niełatwo wybaczał i niełatwo zapominał. W końcu jednak jego wściekłość i obrzydzenie osłabły, zużyły się, tak jak świeżo położone linoleum traci połysk, matowieje od brudu, aż przestajesz je zauważać.

Chorowałem na myśl, że ojciec mnie już nie kocha. Kochał mnie (może) tak jak ojciec kocha syna, ale teraz, skoro go rozczarowałem i nie miałem jak wyjąkać przeprosin ani wyjaśnienia czy wymówki, że go okłamałem, nie potrafił patrzeć na mnie z miłością ani nawet cierpliwością. A kiedy któregoś razu niechcący odwróciłem się niezgrabnie w kuchni i niemal zderzyłem się w ciasnej przestrzeni z matką, zobaczyłem w jej oczach wyraz przerażenia. *Ona myśli, że ją uderzę. Myśli, że jestem zwierzęciem.*

Moi starsi bracia, jeden po drugim, każdy na własny sposób, rozczarowali ojca. Ale dojrzewali i wyprowadzali się z domu, żenili, płodzili dzieci, a on wtedy patrzył na nich jak na mężczyzn podobnych sobie – i wybaczał. Czy raczej zapominał, że czuł do nich złość, gdy byli chłopcami i mieszkali w tym samym domu, zajmując tak wiele przestrzeni. To w pewnym sensie również im wybaczał.

W tamtym czasie zacząłem rozumieć, że Jezus nas nie karci. Świat oskarża i wymierza kary, ale to Jezus w naszym wnętrzu odzywa się, gdy nadchodzi czas, odzywa się naszym własnym głosem. Bo oczywiście wiemy wszystko o tym, czego nauczał. *Albowiem Bóg nie posłał swego Syna na świat po to, aby świat potępił, ale po to, by świat został przez Niego zbawiony.*

Wiemy też, że Jezus umarł za nas. Choć w swojej ślepocie i lubieżnym grzechu stajemy się tego nieświadomi i udajemy, że nie wiemy.

Jeśli chodzi o dziewczyny, wciąż zachowywałem się nieodpowiednio. Kiedy jakaś mnie ignorowała, nienawidziłem jej za zadzieranie nosa, a kiedy zachowywała się przyjaźnie, nienawidziłem jej za puszczalstwo. Ze wstydem przyznaję, że kiedy poznałem Ednę Mae, pierwsze myśli o niej, które przyszły mi do głowy, miały związek z seksem, a nie z miłością. Ale wiedziałem, że to porządna chrześcijanka, i szanowałem ją. Imponowało mi również, że Edna Mae uczyła się na pomoc pielęgniarską i pracowała na pół etatu w domu opieki w Muskegee Falls.

Po tym, jak się poznaliśmy, przez kilka miesięcy nie spotkaliśmy się ponownie. Byłem wtedy z inną. Widywałem się z dorosłymi kobietami, w tym z rozwódką z małymi dziećmi.

Wtedy zdążyłem już rzucić szkołę średnią. Miałem same dwóje i trójе, jedynie z zajęć praktycznych (w warsztacie) dostawałem czwórki, a nasz nauczyciel, pan Bidenmann, często prosił, bym pomagał innym uczniom, którzy nie radzili sobie z pracami manualnymi wymagającymi zręczności.

Kiedy drugi raz zobaczyłem Ednę Mae Reiser, nie byłem już taki nieśmiały. Choć widziałem, że jest dziewicą i nie miała kontaktów z mężczyznami, zmusiłem Ednę Mae do pewnych czynów wbrew jej woli i płakała przeze mnie. Było mi jej żal, ale też nie miałem cierpliwości, zmusiłem ją do obleśnych rzeczy, dotykania mnie dłonią, sam też jej dotykałem. Wymusiłem na niej zgodę na taki akt, za który Felice Sipper dźgnęła mnie nożem. A później, w okolicy Bożego Narodzenia, kiedy byliśmy sami w domu jej rodziców pachnącym świeżą choinką, zobaczyłem w oczach Edny Mae błagalny wyraz i po chwili usłyszałem swoje słowa: „Zhańbiłaś się, nie chcę cię więcej widzieć”.

Wypowiedziałem te słowa dla samej przyjemności ich brzmienia. Nigdy przedtem czegoś takiego nie mówiłem, ale teraz odszedłem z obrzydzeniem, czy raczej udawanym obrzydzeniem. Nie dzwoniłem do Edny Mae przez dwanaście dni i zacząłem znów spotykać się z inną, starszą dziewczyną z liceum, która nie oczekiwała ode mnie tak wiele. Siedziałem w aucie na parkingu domu opieki i obserwowałem Ednę Mae wchodzącą tylnym

wejściem do budynku w białym pielęgniarskim uniformie, cienkich białych pończochach i białych chodakach, czasami samą, czasami z innymi dziewczynami w uniformach.

W myślach kochałem ją, jeśli ona mnie kochała. Ale między nami zawsze był akt seksualny. Choć go na Ednie Mae wymusiłem, uznałem, że okazała słabość, bo nie próbowała mnie powstrzymać. Nie podobało mi się to, że mi się poddała. Ale nie mogłem się pohamować, byłem jak ogier. Widok mojego nasienia na dziewczęcych udach był tak żywy w mojej głowie, że jeśli wspominałem go później, od razu się podniecałem, mój członek twardniał jak skała.

Podniecenie panowało nad moim ciałem. Krew płynęła szybko, gwałtownie, od krocza do brzucha i piersi. Język w ustach zdawał się powiększony jak członek. Ciało stawało się wielkim czymś, rozrosłym i sztywnym, ledwie mogącym się poruszać. Jeśli nie zrobiłem sobie dobrze, nie mogłem wytrzymać. A jeśli zrobiłem, ogarniało mnie obrzydzenie. Od lat nie chodziłem do szkółki biblijnej i nie uczęszczałem regularnie do kościoła, ale pamiętałem słowa Jezusa: *I jeśli twoje oko jest dla ciebie powodem grzechu, wyłup je i odrzuć od siebie! Lepiej jest dla ciebie jednookim wejść do życia, niż z dwojgiem oczu być wrzuconym do piekła ognistego*.

W starej szopie za naszym domem w Sandusky, przy szafce na narzędzia ojca (której mnie i braciom nie wolno było dotykać), złapałem śrubokręt drżącą dłonią. To był jeden z większych śrubokrętów ze skrzynki. Przez długą, pełną drżenia chwilę ściskałem narzędzie w obu dłoniach, powoli przystawiając koniec do swojej twarzy, i myślałem: *Wyłup je! Wyłup je, świnio!* – ale ostatecznie nie starczyło mi odwagi.

Jednak Jezus nie osądzał. Wtedy była to wielka ulga, która przygotowała mnie na późniejszy czas w życiu, kiedy Jezus z własnego wyboru przyszedł do mego serca, by mnie ocalić.

Razem z kolegami (którzy również rzucili szkołę, żeby pracować na dzienną zmianę) chodziliśmy pić do upadłego. Sikaliśmy i rzygaliśmy. Byliśmy szczęśliwi tylko w swoim towarzystwie, bo nie osądzaliśmy się nawzajem (jak to robiły nasze rodziny), jednak na trzeźwo stroniliśmy od sie-

bie. Często się biliśmy. Nie mieliśmy pojęcia, dlaczego nienawidzimy się jak bracia, którzy muszą przez zbyt długi czas dzielić pokój i śmierdzące łóżko. W syfiastej toalecie knajpy przy Overhill Road zobaczyłem kiedyś jednego z nich przy pisuarze – zaczerwieniona, pryszczata twarz z przyciągającą wzrok czerwoną krostą na policzku – i ogarnęła mnie pijacka furia. Złapałem go za kark i cisnąłem na ziemię, okładałem pięściami i kopałem, leżącego. Gdy upadał, uderzył głową o pisuar, a ja mu nie pomogłem, tylko pospiesznie wyszedłem z knajpy. I nie bardzo niepokoiła mnie myśl, że kumpel może umrzeć z powodu pękniętej czaszki albo skręconego karku.

Po tym ataku miałem spuchnięte i pokrwawione kostki u dłoni. Bolały mnie nawet stopy, którymi kopałem nieopierające się ciało. Na twarzy miałem skaleczenia, oddech był krótki, bolała też stara rana między żebrami, gdzie Felice Sipper zatopiła siedmiocentymetrowe ostrze.

Przez kilka tygodni nie spotykałem się z kumplami. Nie wiedziałem, co się dzieje z tym, którego pobiłem, którego czaszką walnąłem o pisuar, ale uznałem, że nie umarł ani nie trafił do szpitala, bo mówiliby o tym w lokalnej telewizji albo napisali w gazecie. Dzwoniłem do Edny Mae Reiser, ale nie odbierała. Nie odpuszczałem jednak, zostawiałem wiadomości jej matce i dzięki temu poznałem panią Reiser – czułem też, że pani Reiser, która nie znała Luthera Dunphy’ego, z jakiegoś powodu go polubiła. Potem w końcu spotkałem się z kumplami; jeden z nich zaciągnął się do wojska i niedługo wyjeżdżał na obóz dla rekrutów, w tym ekscytującym czasie (bo w telewizji wydawał się ekscytujący), kiedy wojska sowieckie mimo amerykańskich ostrzeżeń najechały odległy azjatycki kraj o nazwie Afganistan i zapowiadało się na nową wojnę między Stanami Zjednoczonymi a ZSRR. Kiedy pojawił się temat pobicia w męskiej toalecie, koledzy patrzyli na mnie zażenowani. „Lutherze, naprawdę nie wiesz, kto ci to zrobił? Nie widziałeś jego twarzy? Powinno się zabić gnoja”.

Kiedy miałem dwadzieścia dwa lata, ochrzczono mnie po raz drugi – zrobił to pastor Kościoła Jezusowego Świętego Pawła. Jezus radował się w moim

sercu. Jezus nie musiał mówić: „Wiedziałem, że przyjdziesz do mnie, Lutherze. Przez te wszystkie lata czekałem, wiedziałem”.

To się stało bardzo szybko. Edna Mae zabrała mnie do nowego kościoła w Muskegee Falls, o którym powiedzieli jej znajomi. Kiedy tylko wszedłem do budynku (jeszcze nieskończonego, pachnącego świeżym drewnem), poczułem w duszy zamęt, jakbym wrócił do domu i został w nim rozpoznany.

Pastor był dużo młodszy od tego z kościoła w Sandusky, który nigdy mnie nie lubił i zawsze mylił z którymś z braci. Ten przywitał mnie z uśmiechem, jak przyjaciela. Był mojego wzrostu, podobnej wagi, tyle że miał falujące włosy koloru piasku i bladoszare oczy patrzące niezwykle szczerze i ciepło. Jego wiek oceniłem na jakieś trzydzieści pięć lat. Serdecznie poprosił, bym zwracał się do niego po imieniu, bez „wielebny”. Gdy tylko wielebny Dennis wspomniał, że w kościele trzeba położyć ocieplenie i gont, powiedziałem, że chętnie pomogę, a gdy wyraził wątpliwość, że nie stać ich na profesjonalnego dekarza, wyjaśniłem, że nie oczekuję zapłaty, zrobię to dla dobra Kościoła i dla Jezusa.

Te słowa wypłynęły z moich ust same. Od razu poczułem, jak moje serce napełnia się radością, a w oczach Edny Mae zobaczyłem podziw i uwielbienie.

Kiedy zostaliśmy sami, Edna Mae płakała ze mną z czystego szczęścia. Mówiła, jak bardzo mnie kocha i że wybaczyła mi krzywdę, którą jej wyrządziłem, i że nie będzie już o tym myślała. Potem jednak, zanim się zorientowaliśmy, była w szóstym tygodniu ciąży z naszym synem Lukiem.

I tak w ciągu kilku tygodni Edna Mae i ja zostaliśmy ochrzczeni w Kościele Jezusowym Świętego Pawła. Niedługo potem byliśmy już małżeństwem.

Powołanie

– Musisz podążać za głosem serca, Lutherze. Jeśli jesteś absolutnie pewien, że tego właśnie chcesz.

Dziwną manierą naszego pastora było, że kiedy się uśmiechał, jego twarz zdawała się na ułamek sekundy krzywić, jakby z bólu, a kiedy się śmiał, to bezgłośnie, i śmiech także zdawał się wykręcać jego ciało, jakby cierpiał.

Odparłem sztywno:

– Nie ja tego chcę, wielebny, ale do tego powołał mnie Pan.

– Powołał! No cóż.

Miałem nadzieję, że wielebny Dennis ujmie moje dłonie w braterskim geście, co często robił przed nabożeństwami i po nich, witając i żegnając mnie, Ednę Mae oraz innych członków zboru przy drzwiach kościoła. Ale tym razem nie okazał sympatii. Dziecięce ożywienie, z jakim do niego poszedłem, było jak ciepły promień słońca, który nie ma gdzie paść. To było niepodobne do naszego ukochanego pastora – zachować się tak niezręcznie wobec chrześcijanina, który przyszedł do niego z radosnym planem.

W podnieceniu opowiedziałem wielebnemu o swoich nadziejach na kościelną karierę, o której rozmawiałem z Edną Mae od wielu miesięcy, i poprosiłem o poradę w sprawie, o którą modliliśmy się wspólnie, lecz wielebny Dennis nie przyjął tej informacji tak radośnie, jak przewidywałem. Kiedy opowiedziałem o swoich planach zostania duchownym w naszym Kościele, duchownym takim jak on, ponieważ zainspirowały mnie jego kazania i przykład, wielebny zmienił temat, zapytał o rodzinę, pracę i o to, gdzie w Muskegee Falls mieszkamy, głosem, w którym nie było entuzjazmu, tylko słabo słyszalne uprzejme zainteresowanie, jakby wcale nie dotarły do niego moje słowa. Przez kilka niezręcznych minut wielebny Dennis

wypytywał nawet o moich mieszkających w Sandusky rodziców, których spotkał zaledwie raz, na naszym ślubie trzy lata wcześniej.

Nie wiedziałem, jak zareagować. Nie potrafiłem znaleźć odpowiednich słów. Rodzice nie byli zadowoleni, że zostałem członkiem Kościoła Jezusowego Świętego Pawła. Matka bardzo chciała widywać wnuki i czuła głęboką urazę, że Edna Mae i ja nie mamy czasu odwiedzać Sandusky tak często, jak ona by chciała; nieczęsto też zapraszaliśmy rodziców do siebie. (To oczywiście nie była wina Edny Mae – ona twierdziła, że uwielbia moich rodziców, całą moją rodzinę. Ale ja nie miałem ochoty odwiedzać ojca, tak jak on nie miał ochoty odwiedzać nas. Z tego powodu sytuacja była patowa – żaden nie chciał ustąpić. Ja byłem teraz mężem i ojcem, wiodłem własne życie, nie zamierzałem poddać się staremu).

– Możesz zacząć od pracy misjonarskiej, Lutherze. Nie musisz być wyświęconym pastorem, by przewodzić naszym braciom w Afryce.

Misjonarz! Nie tego się spodziewałem.

Wielebny Dennis opowiadał mi o tym, o czym wiedziałem z jego kazań – że jako dwudziestokilkulatek na sześć lat wyjechał na misję do Afryki Zachodniej; lubił powtarzać, z jednym z tych przelotnych zbolałych uśmiechów, że spędził tam najradośniejsze dni swego życia mimo wielu trudności, w tym chorób (malarii, dengi).

– Chrześcijanin w takim miejscu ma wiele wyzwań; są niemal przytłaczające! Afrykanie bynajmniej nie czekają na Zbawcę tak niecierpliwie, jak można by pomyśleć, jeśli wziąć pod uwagę ich życie – biedę i brak edukacji. Raczej nie traktowali konceptu piekła zbyt poważnie: uśmiechali się, kręcili głowami. Trudno im było wyjaśnić niebo jako miejsce duchowe. Nie do końca też pojmowali, kim był Jezus – człowiekiem czy bogiem, z pewnością nie rozumieli również, czym jest nieśmiertelność. Bardzo często nie wiedziałem, ile pojmują z naszego nauczania, kiedy udają, że rozumieją, jak to czasem robią dzieci. Założyliśmy tam niewielką szkołę, uczyliśmy angielskiego, arytmetyki oraz Ewangelii. Wielu nawróciliśmy, przynajmniej tak nam się zdawało... Jak mówię, trudno powiedzieć, czy świadomie przyjmowali do serca Jezusa i jak głęboko sięgały nasze nauki. Czasami robili

się bardzo ponurzy, a czasami głośno się śmiali i nigdy nie wiedzieliśmy dlaczego. Nasza misja zakończyła się tragicznie: wybuchła wojna domowa i musieliśmy uciekać. W końcu połowa populacji wyrżnęła drugą połowę. – Usta wielebnego Dennisa drgnęły w uśmiechu. Przez jego ciało przeszedł dreszcz rozbawienia.

Po raz pierwszy, siedząc twarzą w twarz z naszym pastorem, patrzyłem nań z bliska, podziwiałem blady, kamienny kolor jego oczu i zobaczyłem cienką, poszarpaną linię, najwyraźniej bliznę, biegnącą wzdłuż szyi, na widok której wzdrygnąłem się, pomyślawszy, że powstała w Afryce, z winy któregoś z dzikich nawróconych. Wielebny Dennis wcale nie wyglądał tak młodo i przystojnie jak za pulpitem, kiedy jego twarz przeobraziła się dzięki radości Pana.

Co mnie obchodziła jakaś afrykańska misja? Jak wielebny Dennis, który wydawał mi się przyjacielem, prawdziwym bratem, nie jak rodzeni bracia – do nich czułem obojętność – mógł sądzić, że dobrowolnie zostawię dom, rodzinę, pracę i obowiązki, by zamieszkać z Afrykanami i nawracać ich na chrześcijaństwo? Nie czułem się w obecności czarnych swobodnie nawet tutaj, w Ameryce.

– Wiesz, Lutherze, Afrykanie również są dziećmi Boga – mówił wielebny Dennis nieco karcącym tonem, jakby czytał mi w myślach.

Nie wiedziałem, jak zareagować. Wydawało mi się, że duchowny patrzy na moje usta, które zaczęły drżeć.

– Jeśli uważasz, że masz powołanie...

Powołanie. Słowo, które uważałem za święte, Edna Mae również, teraz zabrzmiało wręcz absurdalnie. Przypomniała mi się pani S., której chytra intonacja i denerwujący śmiech tak bardzo nas dezorientowały w szkółce niedzielnej.

– ...chcesz się zapisać do seminarium? Jak sądzisz, kiedy mogłoby ci się to przydać w praktyce?

Próbowałem nie zdradzić rozczarowania, że pastor, którego tak podziwiałem, mówił do mnie powątpiewającym i zniechęcającym tonem, jakby kwestionował moje powołanie, które najwyraźniej on miał w moim wieku.

Wiedziałem, że wielebny Dennis uczył się i został wyświęcony w seminarium w Toledo, i miałem nadzieję, że mnie tam poleci.

Wkrótce po ślubie przeprowadziliśmy się z Edną Mae do Muskegee Falls, by mieszkać bliżej naszego kościoła. To było małe miasto, wielkości mniej więcej Sandusky, mogłem tu znaleźć pracę bez rekomendacji ojca. Byłem dumnym młodym mężem i ojcem i nie chciałem, by znano mnie jako najmłodszego syna Nathaniela Dunphy'ego. Szukałem pracy dekarza czy cieśli, nie zamierzałem pracować dla tej samej firmy budowlanej co mój ojciec, bo robiłem to od czternastego roku życia.

W nowym miejscu, w wynajętym domu na Front Street, który odmalowałem z zewnątrz i w środku, byłem bardzo zadowolony ze swojego życia. Trapiły mnie codzienne troski – czy utrzymam rodzinę, czy któreś z dzieci nie zachoruje albo czy Edna Mae nie wpadnie w melancholię (co zdarzyło się jej po urodzeniu drugiego dziecka, kiedy cierpiała przez kilka miesięcy), ale nie miało to większego znaczenia, bo liczył się fakt, że Kościół Jezusowy Świętego Pawła był prawdziwym Kościołem, a ja miałem zostać – jak wielebny Dennis – duchownym tego Kościoła.

(Nigdy nie zdecydowałem się zwracać do naszego pastora po imieniu, jak prosił. Uważałem, że nie jesteśmy sobie równi. Jeszcze nie).

Po pierwszym kazaniu wielebnego Dennisa, które usłyszałem, kiedy Edna Mae przyprowadziła mnie do tego kościoła, czułem ogromny podziw i uwielbienie dla młodego pastora, a w jego obecności taką ekscytację, jakby Bóg sprowadził mnie tu z jakiegoś konkretnego powodu. Bóg sprowadził mnie przecież do Edny Mae Reiser w okresie, kiedy byłem marnym brutalnym stworzeniem niezasługującym na duchowe szczęście.

Był to również czas śmiertelnego niebezpieczeństwa. Pobicie w toalecie, które mogło się skończyć śmiercią tamtego faceta, pozostawiło we mnie trwały ślad.

Tym razem Bóg cię oszczędził, Lutherze. Ale to jest ostrzeżenie.

Od tamtej pory unikałem dawnych znajomych. Nie zaprosiłem ich na ślub, ponieważ (jak zdecydowała Edna Mae) nie podaliśmy na nim alkoholu, a bez drinków moi kumple nie potrafili się bawić.

Potem już nigdy się nie spotkaliśmy, a kiedy dotarła do mnie wieść, że nasz kolega, który zaciągnął się do armii, zginął w wypadku helikoptera w czasie służby na Bliskim Wschodzie, poczułem przerażenie i współczucie; padłem na kolana, by się za niego modlić. Jednak nie zrobiłem nic, by skontaktować się z jego rodziną ani ze wspólnymi znajomymi.

Tamto życie było bowiem pełne nieprawości i grzechu. Teraz wiodłem inne. Nie piłem więcej niż dwa, trzy piwa tygodniowo, a czasami w ogóle. Edna Mae nie tknęłaby alkoholu, a większość członków Kościoła nie spożywała nawet gazowanych napojów. Choć moja droga żona nigdy jawnie nie skrytykowała tego, że piję, czułem, że nie podoba jej się moje zachowanie; trzymała wtedy dzieci z dala ode mnie, jakby się bała, że mogę im zrobić krzywdę. Jeśli schylałem się, by pocałować ją w policzek, Ednie Mae zdarzało się lekko odwrócić, a w łóżku, jeśli śmierdziałem piwem, mruczała zaspanym głosem: „Dobranoc” i odwracała się do mnie plecami.

Jeśli ją dotykałem, by pieścić jej miękkie, zwarte ciało, które z kolejnymi ciążami robiło się większe i bardziej zwarte, leżała nieruchomo i się nie opierała – żona bowiem nie może opierać się mężowi, o czym wiedziała Edna Mae. Ale nie zwracała się do mnie w łóżku, nie obejmowała mnie za szyję w dziewczęcym geście miłości, jeśli wyczuła choćby lekki odór piwa w moim oddechu. Szanowałem żonę, więc nie zwracałem jej na siłę ku sobie, nigdy, chyba że byłem pijany, a po ślubie nie bywałem już pijany.

Kościół Jezusowy Świętego Pawła naucza życia duchowego, które jest życiem w czystości. Nie zatruwasz swego jestestwa alkoholem, gazowanymi napojami, papierosami ani innym tytoniem, gumą do żucia, cukrem, zamiennikami cukru ani sztucznie barwionymi produktami. Zakazany jest każdy rodzaj hazardu, nawet gry karciane jak remik czy planszowe jak monopol. Członkowie Kościoła nie powinni mieć telewizorów, by nie zatruwał umysłów ich dzieci. Zalecano chrześcijańskie stacje radiowe. Większość filmów była zabroniona. Niedozwolone były też wszelkie formy antykoncepcji oprócz abstynencji.

(Kiedy pierwszy raz usłyszałem to słowo, nie wiedziałem, co ono znaczy! Pomyślałem, że to bardzo dziwne, skoro kobieta i mężczyzna biorą

ślub, to jak i dlaczego mieliby praktykować abstynencję? Powstrzymywanie się od stosunków z żoną, z którą co wieczór kładziesz się do łóżka, zdawało się niemożliwe dla mężczyzny o normalnych potrzebach).

Wtedy nie znałem chyba jeszcze brzydszego słowa – aborcja.

– A co z finansami, Lutherze? Stać cię, by rzucić pracę i zostać studentem na pełny etat?

– Miałem nadzieję na stypendium... Myślałem o seminarium w Toledo.

Wielebny Dennis zmarszczył czoło, słysząc te słowa. Liczyłem na to, że uśmiechnie się z uznaniem, ale zamiast tego powiedział powoli, nie patrząc mi w oczy:

– No cóż, w Toledo niestety nie przyznają zbyt wielu stypendiów. Ledwie kilka i zwykle dostają je młodsi mężczyzni, zaraz po liceum.

Oczekiwałem, że doda: „Ja oczywiście je otrzymałem. Zaraz po liceum. Stypendium”.

Tak jak ćwiczyłem, pokornie wyznałem, że nie zamierzam być studentem w pełnym wymiarze godzin. Czułbym się źle, nie pracując, bo przecież robiłem to od czternastego roku życia.

– Edna Mae i ja policzyliśmy, że mógłbym wciąż pracować w Muskegee Falls jakieś trzydzieści godzin w tygodniu, co pozwoliłoby mi jeździć na zajęcia do Toledo na dwa dni i przynosiłoby wystarczające pieniądze, przynajmniej na jakiś czas. Próbujemy też oszczędzać.

– Ależ Lutherze, to bardzo wyczerpujące! Większość studentów w Toledo poświęca szkole cały czas, a mieszka bliżej niż ty. Niewielka grupa ma rodziny, jak ty, ale i oni raczej nie pracują i nie dojeżdżają.

– Wszystko z Edną Mae zaplanowaliśmy. Ona ma nadzieję, że zostanę duchownym w Kościele Jezusowym Świętego Pawła. A Jezus... czuję, że również on mi pomoże – mówiłem z uporem, nie chciałem ustąpić.

– Cóż, Lutherze! Widzę, że mówisz bardzo poważnie. Powinieneś jednak wiedzieć, że życie pastora nie jest łatwe i nie opływa w dostatki. Prawdopodobnie zarobki są mniejsze niż twoje jako stolarza.

O tym nie pomyślałem. Nie przyszło mi do głowy, że ktoś miałby mi płacić za to, że jestem pastorem.

Widząc zmieszanie na mojej twarzy, wielebny Dennis powiedział:

– Przemyśl tę sprawę nieco dokładniej, Lutherze, i porozmawiajmy innym razem. Zastanów się szczególnie nad praktycznym aspektem, dopiero założyłeś rodzinę...

– Dziękuję, wielebny. Tak zrobię.

Choć rozmowa z pastorem nie potoczyła się tak, jak planowałem, nie dałem się zniechęcić, tylko dalej modliłem się i czytałem wszystko, co znalazłem o seminariach w Ohio i w pobliżu. Szczególnie koncentrowałem się na tym w Toledo i zacząłem korespondować z tamtejszym dziekanem – wysyłałem mu przemyślane listy ułożone przez Ednę Mae. Po kilku tygodniach, w trakcie których często rozmawiałem z wielebnym Dennisem po nabożeństwach i nie tylko, nasz pastor w końcu przyznał, unosząc ręce (jakby w błogosławieństwie), że wygląda na to, że naprawdę odnalazłem powołanie.

– Jesteś bardzo zdecydowany, Lutherze! Bóg z tobą.

Wielebny Dennis uprzejmie zgodził się zarekomendować mnie do seminarium w Toledo, gdzie przyjęto moją aplikację. Jesienią 1986 roku miały się rozpocząć zajęcia. Pastor zaproponował nawet, że poleci mnie również do stypendium (choć na to nie liczyłem, bo miałem wrażenie, że ta rekomendacja będzie pozbawiona entuzjazmu). Większość studentów kończyła wstępny program w jeden semestr, ale ponieważ mogłem uczęszczać do szkoły tylko w niektóre dni i miałem dojeżdżać do Toledo z Muskegee Falls, by zaliczać dwa zamiast czterech kursów na semestr, przy sprzyjających wiatrach mogłem zdobyć dyplom w rok.

– Czy oni gwarantują ci jakiś kościół, Lutherze? Po skończeniu seminarium? – pytała zatroskana Edna Mae.

Zadawała mi to pytanie tak wiele razy, że zacząłem odpowiadać ze wzruszeniem ramion:

– Zapytaj wielebnego Dennisa. On mi to obiecał.

– Jezu, dziękuję za Twoją pomoc! Pragnę jedynie szerzyć Twoje słowo.

Jadąc samotnie do Toledo albo wracając do Muskegee Falls, często powtarzałem sobie w samochodzie te słowa na głos, dla pocieszenia.

Zaczął się wówczas w moim życiu trudny czas, jeszcze bardziej męczący i niebezpieczny zimą na przełomie 1986 i 1987 roku, kiedy podróż samochodem z Muskegee Falls do Toledo, jakieś sto trzydzieści kilometrów, często utrudniały silne wiatry i zaspy śniegu, a raz czy dwa w połowie drogi musiałem zawrócić, bo autostrada zrobiła się nieprzejezdna.

Wkrótce się okazało, że nawet w pogodne dni dojazdy są bardzo męczące. W poniedziałki i środy, kiedy rano miałem jechać do Toledo, budziłem się przed świtem zdenerwowany i podekscytowany, samotnie jadłem w kuchni szybkie śniadanie i wyjeżdżałem przed szóstą na pierwsze zajęcia (Biblia duchownego), zaczynające się o dziewiątej – nie chciałem, by bliscy mnie opóźniali. Drugie zajęcia (Sztuka wygłaszania kazań) zaczynały się o drugiej po południu. Po nich próbowałem uczyć się i odrabiać zadania w bibliotece, a potem koło siedemnastej ruszałem do domu. W dni, kiedy pracowałem – czyli we wtorki, czwartki i piątki – brygadzista nalegał, by zmiany były dłuższe, dlatego często zaczynałem o siódmej rano i pracowałem do dziewiętnastej, z zaledwie półgodzinną przerwą na lunch. (Oczywiście byłem wdzięczny za tę posadę. Rozumiałem, że brygadzista próbuje mi pomóc; wiedział, że uczę się na duchownego, a jednocześnie muszę utrzymać żonę i małe dzieci). Padając ze zmęczenia, jechałem do domu i jadłem posiłek, który czekał na mnie w piekarniku, podczas gdy Edna Mae kąpała dzieci i kładła je do łóżek. W takie wieczory często byłem zbyt wyczerpany, by zamienić z żoną więcej niż kilka słów przed zaśnięciem. Rozumiałem, że takie życie jest dla niej bardzo trudne – nie miała nikogo do pomocy w domu, no i dwoje małych dzieci, w dodatku zdrowie nie zawsze jej dopisywało. (Edna Mae miała problemy z układem oddechowym. Jeśli złapała przeziębienie, nierzadko przeradzało się ono w zapalenie oskrzeli, jeśli nie w zapalenie płuc. Często też myślała, że znowu jest w ciąży, co ją cieszyło i martwiło jednocześnie, a kiedy okazywało się, że to fałszywy alarm, czuła

i ulgę, i smutek). We mnie wciąż była ogromna radość, gdy myślałem o tym, że zostanę duchownym. *Będę jak Chrystus, cieśla. Własnymi rękami zbuduję kościół i będę poważany jak żaden inny pastor w Kościele Jezusowym Świętego Pawła.*

Tyle że w seminarium w Toledo nie było tak, jak się spodziewałem. Oprócz czesnego musiałem ponosić dodatkowe koszty, różne opłaty, a podręczniki okazały się droższe niż jakiekolwiek znane mi książki. Większość studentów była młodsza, zdawali się ledwie uczniakami z liceum, traktowali mnie wyniośle, choć (pewnie) onieśmielała ich moja postura, tak jak drobniejszych chłopców w szkołach w Sandusky, którzy się mnie bali, a jednak uważali się za lepszych ode mnie, bo dostawali wyższe stopnie. *Małe gnojki, załatwiłbym was jedną ręką. Palanty.*

Narastał we mnie dziwny gniew, jak doprowadzana do wrzenia smoła. Nie byłem tego gniewu świadomy, dopóki nagle nie wypłynął, pozbawiając mnie tchu.

W seminarium uczyło się bardzo niewielu starszych ode mnie uczniów – mężczyzn po czterdziestce i pięćdziesiątce, którzy postanowili zrobić zwrot w karierze i zostać duchownymi. Dwóch nauczycieli, jeden księgowy. Inny przez trzydzieści dwa lata był świeckim duchownym w kościele w Michigan! Czułem do nich sympatię połączoną ze współczuciem czy też naganą, podobnie jak wielebny Dennis wobec mnie – rozumiałem bowiem, jak mało jest prawdopodobne, by któryś z tych mężczyzn w średnim wieku otrzymał kiedykolwiek własną parafię.

Preferowano bowiem młodych pastorów, pełnych radości i siły Jezusa, których kongregacja pokochałaby jak synów albo braci. A nie starszych mężczyzn, którym nie udało się w życiu świeckim i teraz wkraczali do Kościoła jak ozdrowieńcy do szpitala.

Zajęcia również nie okazały się specjalnie interesujące. Od kiedy rzuciłem szkołę, nie czytałem zbyt dużo – od każdego dłuższego tekstu wymagającego koncentracji bolały mnie oczy. Analizowanie Starego i Nowego Testamentu na kursie Biblia duchownego oznaczało czytanie wersetów, z których wielu nauczyłem się na pamięć jako chłopiec. Choć nie recytowałem

ich jeszcze na głos, to kiedy próbowałem czytać po cichu, mój umysł znał słowa zawczasu, jak wyuczona małpka, miałem więc problem, by zrozumieć to, co polecono mi przeczytać, stawałem się nerwowy i znudzony.

W bibliotece akademickiej, gdzie spędzałem czas między zajęciami i próbowałem pracować nad zadaniami, często robiłem się bardzo śpiący, choć wciąż byłem niespokojny. Miałem trudności z notowaniem, bo czytałem te same ustępy raz po raz, a nie wydawały się specjalnie różne od innych ustępów na innych stronach innych książek. Czasami podpierałem głowę, siedząc przy stole, aż twarz opadała na blat i orientowałem się, że zasnąłem i minęło sporo czasu, a ja nie pamiętam, gdzie jestem.

– Lu-the-rze!

Naszymi wykładowcami okazali się emerytowani pastorzy z Kościoła Jezusowego Świętego Pawła na Środkowym Zachodzie. Kiedyś, podobnie jak wielebny Dennis, byli misjonarzami w Afryce, ale też w Chinach i Ameryce Środkowej. Teraz, gdy się zestarzeli, mówili powoli i często miałem wrażenie, że nie znają odpowiedzi na pytania zadawane przez studentów. (Nie przeze mnie – ja nie miałem pytań do nauczycieli i dziwiły mnie te stawiane przez kolegów, na przykład: Gdzie był szatan, zanim Bóg stworzył raj? Czy w raju żyły dinozaury albo latające gady? Czy to Bóg stworzył pchły, kleszcze, pasożyty i zarazki i czy wszystkie te gatunki znalazły się na arce Noego i zostały ocalone? Ale dlaczego?). Żaden członek kadry w szkole w Toledo nie był ani w połowie tak ciekawy i fascynujący jak wielebny Dennis, nawet ci w średnim wieku i niedotknięci przez niedołęstwo.

Było dla mnie szokiem (choć nie powinno), że przedmiot Sztuka wygłaszania kazań naprawdę obejmował wygłaszanie kazań. Choć w wyobraźni widziałem siebie jak wielebnego Dennisa za pulpitem, mówiącego do zasłuchanego zgromadzenia, nie wyobrażałem sobie przygotowywania na ten dzień konkretnego kazania. Uważałem, że potrafię mówić równie dobrze lub lepiej niż większość kolegów, ale gdy zaczynałem, często jąkałem się i gubiłem wątek, oblewał mnie pot. Nie znosiłem tego, że inni się gapią i widzą znamię na moim policzku.

Znak Bestii. Luther Dunphy.

Mój wykładowca, wielebny Lundquist, okazywał mi cierpliwość i próbował chwalić, ale ja nie potrafiłem układać kazań inaczej niż na podstawie tych, które wygłaszali inni. Przykładowe mowy z podręcznika *Jak pisać kazania* Williama Evansa (*Jezus jest Twoim najbliższym przyjacielem, Radość rezurekcji, Walka szatana o twoją duszę, Poznaj Ducha Świętego, Fałszywi bogowie w Ameryce, Prawdziwe znaczenie Bożego Narodzenia, Drugie przyjście – czy będziesz gotowy?*) były dobrze znane, bo wszyscy używali ich jako wzorów, i już nie inspirowały. Kiedy mogłem, chodziłem na nabożeństwa w kościele przy uczelni, ale tamtejszym duchownym brakowało zapału i radości wielebnego Dennisa, a ponieważ przez większość czasu odczuwałem ogromne zmęczenie, ucinałem sobie drzemkę w środku ich kazań. Zupełnie nie mogłem pojąć, jak duchowny wymyśla temat, o którym mówi, bez wzorowania się na innym pastorze.

Kazania powinny mieć zróżnicowane tematy i omawiać specjalne wydarzenia – Boże Narodzenie, Wielkanoc, ślub, chrzest, pogrzeb. Na przykład na temat chrztu nie wiedziałem, co można by powiedzieć, czego nie powiedziano już wielokrotnie przedtem i co nie byłoby znane każdej kongregacji; nie wiedziałem na ten temat nic oprócz tego, co powiedzieli mi wykładowcy, czyli głównie cytatów z Biblii. (Ulubionym był ten z Jana 3,5. *Jezus odpowiedział: Zaprawdę, zaprawdę, powiadam ci, jeśli ktoś nie narodzi się z wody i z Ducha, nie może wejść do królestwa Bożego*). Ale kiedy próbowałem powtórzyć to, co mówili inni, słowa wyczytywane z kołonotatnika brzmiały pusto, nieprzekonująco i moje kazanie robiło się bardzo krótkie.

Nawet temat aborcji, obecny często w prasie od czasu, kiedy prezydent Reagan obiecał na powrót zdelegalizować aborcję w Stanach Zjednoczonych, temat, który w innych budził taką pasję, mnie nie inspirował. Kiedy próbowałem naśladować wielebnego Dennisa głoszącego, że aborcja to rzeź niewiniątek, moje słowa nie brzmiały przekonująco, choć wiedziałem, że są całkowicie prawdziwe.

Powiedziano nam, że Kościół Jezusowy Świętego Pawła, podobnie jak inne ewangelickie Kościoły w Stanach Zjednoczonych, zjednoczył się w sprzeciwie wobec tak zwanej aborcji na życzenie, podobnie jak prze-

ciwko socjalizmowi, komunizmowi, ateizmowi i homoseksualizmowi. We wszystkich stanach znajdowali się legislatorzy sprzyjający naszej sprawie, a wiele grup zorganizowało się, by złożyć skargi do Sądu Najwyższego, który mógłby zdelegalizować aborcję – tak jak przed 1973 rokiem – i kliniki aborcyjne zostałyby zamknięte. Kiedy słyszałem wielebnego Dennisa głoszącego kazanie na ten temat, czułem, że moje serce niebezpiecznie przyspiesza, tak trudno było rozważać słowa „rzeź niewiniątek", mimo to kiedy nadeszła pora, bym stanął za pulpitem i wygłosił kazanie na ten temat w sali wykładowej w Toledo, głos i kolana mi drżały, mówiłem tak cicho i szybko, że wielebny Lundquist musiał mi przerwać:

– Lu-the-rze! Zwolnij, synu. Prosimy.

Zrobiłem się czerwony. Nie śmiałem podnieść wzroku i patrzeć, jak pozostali studenci wymieniają ironiczne uśmieszki.

Na koniec semestru dostałem z tego przedmiotu czwórkę z minusem. Nie chciałem myśleć, że była to najniższa ocena w grupie dwunastu studentów, bo wtedy zacząłbym zazdrościć moim kolegom i nienawidzić ich oraz dobrego siwowłosego wielebnego Lundquista (który przez większość zajęć opowiadał o swoich pierwszych dniach bycia duchownym w kościele metodystów w Barnstead w Oklahomie), a to byłoby dla mnie jako dla chrześcijanina bardzo przykre.

Ten stary nigdy nie zarekomenduje cię do żadnej parafii. Nawet jeśli zrobisz dyplom. Równie dobrze możesz się poddać od razu.

Oszczędzisz na czesnym, głupcze. Oszczędzisz na paliwie.

– Lu-the-rze!

Podczas zajęć Biblia duchownego, gdy czytaliśmy Księgę Rodzaju, wielebny Dilts powiedział nam, że raj istniał mniej więcej dziesięć tysięcy lat temu; jeden z młodszych studentów zasugerował, że było to jednak dawniej, jakieś pięćdziesiąt tysięcy lat temu (tak podobno powiedział mu jakiś autorytet). Istnieją też twierdzenia ateistycznych naukowców, że człowieka nie stworzył Bóg, ale że nasz gatunek pochodzi od małp. Wielebny Dilts gorączkowo przekonywał, że to śmieszne wymysły, które nie mają oparcia w Piśmie.

Zanotowałem te fakty: „10 000 lat / 50 000 lat”. Podkreśliłem starannie „10 000 lat”, czyli liczbę wielebnego Diltsa, która prawdopodobnie pojawi się na egzaminie końcowym.

Inni studenci w grupie podobnie jak wykładowca niepokoili się, że tak wielu Amerykanów zaczyna wierzyć w ateistyczne i socjalistyczne idee, a wszystko z powodu nauk w szkołach publicznych, na lekcjach przedmiotów ścisłych i – co gorsza – edukacji seksualnej. Ja jednak byłem zbyt zmęczony i rozkojarzony, by energicznie dyskutować, i często zaskoczony wybudzałem się z drzemki, zażenowany, że wielebny Dilts mógł to zauważyć. (Jestem pewien, że wykładowca naprawdę to widział!). W takich chwilach odczuwałem wstyd i zdenerwowanie, że marnuję oszczędności na czesne, a Edna Mae będzie zrozpaczona, jeśli nie zrobię dyplomu. Szczękałem zębami, jakby było mi zimno albo jakbym się bał, a któregoś razu chyba odezwałem się na głos, bo wielebny Dilts zwrócił się do mnie z pytaniem:

– Luke? Przepraszam, Lutherze? A co ty sądzisz?

Co ja sądzę? Nie śledziłem dyskusji zbyt uważnie. W tamtym tygodniu żyliśmy obawą, że Edna Mae znowu jest w ciąży, nasze dzieci chorowały na uszy, a jeden z klientów złożył skargę do szefa, że drewniane schody, które wykonałem z innym pracownikiem, go nie zadowalają i trzeba je zdemontować i zrobić od nowa. Przyszło mi tylko do głowy, że tematem dyskusji na zajęciach jest ateizm w szkołach publicznych i zakaz modlitwy nałożony przez Sąd Najwyższy (?) w Waszyngtonie pod wpływem socjalistycznych nacisków na sędziów (?). I rzuciłem:

– To sprawka szatana.

Te słowa spłynęły na moje usta. Nie mogłem wymyślić ani jednej sylaby więcej.

Wielebny Dilts powiedział powoli:

– Sprawka szatana. Tak. Myślę, że masz rację, Lutherze. Tylko za mojego życia, od czasu prezydentury Franklina Delano Roosevelta, legiony szatana bardzo zyskały w Stanach Zjednoczonych na sile.

Całą grupę przebiegł dreszcz. Byłem tak nieprzytomny ze zmęczenia, że potrafiłem wyobrazić sobie w jednym z okien sali ciemną twarz szatana,

szczerzącego zęby zza głowy wielebnego Diltsa, który tego nie zauważał.

Jeden z młodszych, inteligentniejszych studentów, którego zdążyłem znienawidzić za tę błyskotliwość i oczywistą sympatię, jaką darzył go wykładowca, zapytał:

– Czy któregoś dnia ruszymy na wojnę, wielebny?

I wielebny Dilts odpowiedział z satysfakcją:

– Już jesteśmy w stanie wojny z wrogiem ateistą, synu. Ona już się zaczęła i my ich pochowamy.

Wojna? O czym oni mówili? Myślałem, że chodzi im o wojnę taką jak w Wietnamie czy Korei... Minął jakiś czas, zanim pojąłem, że mówią o wojnie wewnątrz Stanów Zjednoczonych, chrześcijanie przeciwko ateistom o duszę Ameryki.

A Ja wam powiadam: każdy, kto pożądliwie patrzy na kobietę, już się w swoim sercu dopuścił z nią cudzołóstwa.

Z bólem wyznaję, że nie pozostałem wierny mojej drogiej żonie przez więcej niż trzy lata, a małżeństwo i rodzinę zdradziłem we wstydliwym czasie, kiedy studiowałem w seminarium w Toledo i (jak można by sądzić) oddawałem się Jezusowi z jeszcze większą pasją, przygotowując się do tego, by służyć Mu przez resztę życia.

Jeszcze przedtem, wyznaję, sercem pożądałem kobiet. W każdym miejscu, nawet w kościele. Nawet mając Ednę Mae i dzieci obok, trzymając w dłoni ciepłą dziecięcą rączkę.

Zauważałem obce kobiety w sklepie albo na ulicy. Inne znałem, choćby żony właścicieli domów, w których pracowałem. Czasami to nie były kobiety, tylko dziewczyny. Kiedy jechałem Front Street przy Drugiej Alei, przy liceum... nagle przy krawężniku na światłach zobaczyłem Felice Sipper, wykręcającą do środka palce u stóp, przez co zwróciłem na nią uwagę, taką bezradną. Chyba mnie nie widziała, kiedy tak gapiłem się przez przednią szybę auta, brudną od pyłków dębu.

Oczywiście to nie była Felice. Miałem dwadzieścia osiem lat, to już nigdy nie była Felice Sipper.

Wczesną wiosną (1987), kiedy w środku dnia zaczęło się robić ciepło i ogarnął mnie tak potworny niepokój, że nie mogłem już dłużej wytrzymać w przegrzanym seminarium, postanowiłem urwać się z zajęć. W tamtym semestrze popołudniami chodziłem na kurs Duszpasterstwo. Wzdłuż rzeki Maumee pojechałem do Toledo; na stare miasto nie było daleko, a znajdowało się tam wiele knajpek, w żadnej nie powinni siedzieć znajomi, którzy choćby słyszeli o Lutherze Dunphym z Kościoła Jezusowego Świętego Pawła. Jakież poczułem szczęście, kiedy wszedłem do jednej z nich! – ulga i satysfakcja, jakbym w końcu trafił do właściwego miejsca, które na mnie czekało.

Ten specyficzny zapach knajpy, nawet smród brudnej toalety, pisuarów, niemytych podłóg, niebieskawego dymu papierosów i cygar – tak wspaniały, że łzy napłynęły mi do oczu. Na lustrze za kontuarem cienka warstwa kurzu. Wysoko nad barem telewizor ustawiony pod kątem, ekran jaskrawy jak dziecięca kolorowanka; ekscytowały mnie nawet reklamy, jakby były tajemnicze i zakazane.

– Hej, kolego. Czego sobie życzysz?

– Coś lanego. Piwo?

Usiadłem przy barze na hokerze ze zużytym siedziskiem pasującym do moich zmęczonych pośladków. Siedziałem, oparty na łokciach, i oglądałem mrugający telewizor, a w lustrze naprzeciwko widziałem szczerzącą się szatańską twarz, przyjacielską i nieoceniającą.

– Mieszkasz w okolicy?

– W Muskegee Falls.

– Gdzie to jest?

– Na północ od Springfield.

– Co cię sprowadza do Toledo?

– Wezwanie Jezusa.

– Co? Wezwanie...

– Jezusa.

Z czasem barman i niektórzy z klientów zdali sobie sprawę, że jestem studentem seminarium, i zaczęli się do mnie zwracać per wielebny. Uśmiechałem się, bo mi to pochlebiało, choć wiedziałem, że żartują, ale nawet te żarty miały w sobie świadomość powagi mojej misji i odrobinę szacunku dla mnie. Chyba.

Czasami bez zastanowienia wdawałem się w konwersację z jakąś kobietą. Bo w barze zawsze siedziała przynajmniej jedna kobieta, bez względu na to, który to akurat był bar – w każdym siedziała jakaś kobieta, która mnie rozpoznawała i nazywała wielebnym. Stawiała mi drinka albo ja stawiałem jej. Kładła delikatnie rękę na moim ramieniu i jeśli już zmierzchało – w zachmurzone dni nawet o szóstej po południu – pytała, czy chcę pójść z nią do domu coś zjeść. Dziękowałem i odpowiadałem, że muszę zaraz wracać do Muskegee Falls na kolację z rodziną.

– Jak daleko masz do domu?

– Sto trzydzieści kilometrów.

– Sto trzydzieści kilometrów! To chyba już za późno na kolację, wielebny?

A potem, ponieważ czas tak szybko mijał, zmierzch przechodził w ciemność i zdarzało się, że znajdowałem się z tą kobietą w jej domu albo pokoju, i moje kończyny ogarniała potworna słabość, w uszach dzwoniło, i nie potrafiłem odmówić kobiecie proponującej mi kolejne piwo; i dotykała mnie tak, by mocno podniecić, a ja dotykałem jej; zapraszała mnie do sypialni i niepościelonego łóżka, i zapachu kobiecego ciała. I tak było nie raz, ale kilka razy, więcej, niż chciałbym pamiętać, wiosną 1987 roku, kiedy moje zachowanie przypominało zatłuszczoną szmatę, którą wycierasz czystą powierzchnię lustra, brudząc je.

Choć byłem żonaty i szczęśliwy w małżeństwie, choć kochałem też nasze dzieci, choć postanowiłem zostać duchownym w Kościele Jezusowym Świętego Pawła, to kiedy ogarniała mnie słabość, często chodziłem na dziwki w Toledo. Dzwoniłem do Edny Mae, tłumaczyłem, że zepsuł się samochód albo złapałem gumę, i zostawałem na noc w jednym z tych miejsc;

często dzwoniłem nawet z telefonów tych kobiet, które stały za mną i ciepłymi dłońmi gładziły po plecach. W głosie mojej drogiej żony słyszałem strach o mnie, a w tle dziecięcy płacz: „Ta-tuuś? Gdzie jest ta-tuuś?”.

Kobieta ci uwierzy, ponieważ chce ci wierzyć.

Taka jest mądrość szatana. I to prawdziwa mądrość, choć pochodzi od szatana.

Wkrótce, wiosną 1987 roku, choć rzadko bywałem z Edną Mae w ten sposób, moja żona znowu zaszła w ciążę. Ale z powodu nerwowości tych miesięcy – kiedy często zostawałem na noc w Toledo i następnego ranka nie zdążałem do pracy w Muskegee Falls, bez przekonującej wymówki dla pracodawcy, a Edna Mae rozumiała, że nie mówię jej prawdy, mimo to mnie nie oskarżała – pewnego dnia dostała skurczy, a była akurat sama, i straciła dziecko w trzecim miesiącu ciąży.

Stało się to w sypialni, w naszym domu. Potworne przeżycie i tyle krwi, że musieliśmy wyrzucić materac i pokrycie łóżka. To było naprawdę straszne, Edna Mae przez dłuższy czas nie mogła wydobrzeć.

Nasze dzieci również doświadczyły czegoś strasznego – widziały matkę we krwi, krwawe skrzepy na podłodze w łazience; matka krzyczała z bólu i rozpaczy, a ojca przy niej nie było, choć powinien być i ojcem, i mężem.

Kobiety z Toledo po wykorzystaniu odtrącałem z obrzydzeniem. Zaskakiwało mnie, że z taką gotowością mi się oddawały, a potem wyrażały zdziwienie, nawet urazę, gdy się odsuwałem.

Modliłem się na klęczkach, w myślach.

Wstydzę się, Jezu, chodziłem do dziwek i zdradzałem ukochaną żonę i dzieci.

A Jezus odpowiadał, tak cicho, że ledwie słyszalnie:

Kobiety nie są dziwkami, Lutherze. Są twoimi siostrami w Chrystusie. Ale to prawda, że wykorzystałeś je, zdradziłeś ukochaną żonę i dzieci.

W seminarium już wiedzieli, że Luther Dunphy wpadł w tarapaty. W drugim semestrze moje oceny były niższe niż w pierwszym, często też w ogóle

nie oddawałem zadanych prac. Czytanie stało się jeszcze trudniejsze, natychmiast wywoływało ból za oczami. Jeśli wymykałem się w południe do knajpy i wracałem na popołudniowe zajęcia, śmierdziało ode mnie piwem, byłem czerwony i rozchełstany, więc wszyscy w klasie wiedzieli, jakim jestem grzesznikiem, jakim nieudacznikiem. Widziałem w ich oczach satysfakcję z tego powodu. Bowiem nawet chrześcijanin nie wie, że jest błogosławiony, dopóki nie widzi, że inni nie są błogosławieni.

Dziekan wezwał mnie do siebie. Był bardzo rozczarowany (podobnie jak wielebny Dennis), że tak słabo radzę sobie na zajęciach, chociaż otrzymałem pomoc i miałem na uczelni specjalne przywileje.

(Pomoc? Nie byłem jej świadomy. Zwolniono mnie z obowiązku złożenia świadectwa szkoły średniej, ale to jedyne, o czym wiedziałem).

Zirytowanym tonem dziekan zapytał, czy chcę zrezygnować. Mógłby mi zwrócić część opłat i czesnego, ponieważ wiedział, jak wiele poświęciliśmy z żoną, bym studiował.

Otrzeźwiałem w sekundę. Odparłem:

– Nie! Nigdy się nie poddam. Prędzej umrę, niż zapomnę o swoim powołaniu, by szerzyć słowo Jezusa.

Kościół Jezusowy Świętego Pawła nie akceptuje przemocy wobec osób czy rzeczy. Kościół zawsze potępiał wszelkie akty łamiące prawo stanowe i federalne i nie jest w żaden sposób związany z radykalnymi organizacjami takimi jak Operacja Ratunek.

Seminarium w Toledo odmawia wydania mediom jakichkolwiek dokumentów akademickich dotyczących Luthera Amosa Dunphy'ego. Informacją publiczną jest to, że w maju 1987 roku pan Dunphy ukończył uczelnię i otrzymał dyplom duchownego.

Ani rzecznik Kościoła Jezusowego Świętego Pawła, ani żaden pracownik seminarium w Toledo nie potwierdził, że Luther Amos Dunphy dołączył do antyaborcyjnych bojówek Armii Boga i Operacji Ratunek dlatego, że nie otrzymał posady duchownego. Informacją publiczną jest, że pan Dunphy

był świeckim duchownym związanym z Kościołem Jezusowym Świętego Pawła w Muskegee Falls w Ohio w latach 1988–1999.

Świecki duchowny to członek kongregacji, który angażuje się w działania Kościoła, pomagając pastorowi na różne sposoby – doradza, odwiedza chorych, uczy Biblii, pomaga w utrzymaniu Kościoła. Jako że pan Dunphy był z zawodu dekarzem i stolarzem, takie usługi również świadczył czasami na rzecz Kościoła.

Świecki duchowny zazwyczaj nie otrzymuje pensji.

Wielebny Dennis Kuhn z kościoła w Muskegee Falls w pełni współpracuje z lokalnymi i państwowymi władzami oraz prokuraturą hrabstwa Broome w śledztwie dotyczącym przypuszczalnego śmiertelnego postrzelenia przez pana Dunphy'ego osób w Klinice dla Kobiet Hrabstwa Broome 2 listopada 1999 roku. Wielebny Kuhn przyznał, że jest członkiem Amerykańskiej Koalicji Aktywistów Życia oraz Ligi Pro-Life, które są organizacjami antyaborcyjnymi, nie jest jednak członkiem Armii Boga ani Operacji Ratunek.

Wielebny Kuhn wystosował oświadczenie do mediów:

„Z wielkim smutkiem i całkowitym zaskoczeniem dowiedziałem się, że Luther Dunphy, od wielu lat członek naszej kongregacji, jest oskarżony o zastrzelenie dwóch osób pracujących w Klinice dla Kobiet Hrabstwa Broome. Ani ja, ani nikt mi znany z naszego zboru nie wiedział o zaangażowaniu Luthera Dunphy'ego w działania Operacji Ratunek. Ani ja, ani nikt mi znany z naszego zboru nie wiedział o (domniemanym) zamiarze zamordowania osób wykonujących aborcje. Choć nasz Kościół jest zdecydowanym obrońcą życia i sprzeciwia się aborcji w każdej formie, uważając ją za prawnie usankcjonowane zabójstwo niewinnych, nie akceptujemy i nigdy nie akceptowaliśmy przemocy wobec wykonujących aborcję czy osób im pomagających. Nie popieramy łamania prawa stanowego i federalnego i nie zamierzamy usprawiedliwiać tych, którzy to prawo łamią, mimo że zgadzamy się z ich moralnymi przekonaniami.

Daleka jest droga od stwierdzenia, że aborcja to usankcjonowane prawem morderstwo, do przekonania, że człowiek ma prawo zamordować

abortera mordercę. Kościół Jezusowy Świętego Pawła zdecydowanie potępia ten akt i w żaden sposób nie jest związany z jego sprawcą.

Choć pozostaję w kontakcie z Lutherem Dunphym, obecnie przebywającym w więzieniu Chillicothe w Ohio, nie jest moim zadaniem przekazywanie mediom i osobom postronnym żadnych informacji na jego temat ani też wygłaszanych przez niego komentarzy. To prawda, angażuję się w działalność Fundacji w Obronie Luthera Dunphy'ego, zbierającej wpłaty na pomoc w złożeniu apelacji do Sądu Najwyższego w Ohio – czeki, gotówkę, przelewy. Dowolne sumy. Wszystkie datki są mile widziane i bardzo dziękujemy za nie w imię Jezusa".

Żołnierz Chrystusowy

[*Jeśli*] *kto przeleje krew ludzką, przez ludzi ma być przelana krew jego, bo człowiek został stworzony na obraz Boga*.

Zdanie to wybrzmiewało w moich uszach przez tę długą noc. Kilka razy budziłem się, wierząc, że słyszałem te słowa z Księgi Rodzaju w naszej sypialni, w naszym łóżku, wypowiedziane przez ochrypły, poważny głos, którego nie znałem. Myślałem, że Edna Mae, śpiąca obok mnie tym swoim nerwowym, wilgotnym, nienaturalnym snem, również obudzi się na ich dźwięk.

W końcu nadszedł bowiem wczesny poranek drugiego listopada, który boskie znaki ustanowiły dniem egzekucji.

– Panie, jeśli taka jest wola Twoja, wypełnię ją.

Kto przeleje krew ludzką... Aborter morderca przelał krew ludzką, przelał krew nienarodzonych dzieci. Sprawiedliwą karą będzie przelanie jego krwi w miejscu publicznym, by cały świat patrzył, jak upada pokonany.

Nie miałem wątpliwości, że taka jest wola Boga. Długo jednak trwało, nim przyswoiłem fakt, że tę boską wolę ma wykonać właśnie Luther Dunphy.

W bibliotece seminarium w Toledo czytałem, czy też próbowałem czytać, *Księgę męczenników* Anglika Johna Foxe'a. Była to bardzo stara księga z XVI wieku (to tak dawno, że nie potrafiłem sobie wyobrazić, jak wyglądali ludzie, którzy wtedy żyli), zaktualizowana na potrzeby współczesnego czytelnika. Mimo to wcale nie okazała się prostą lekturą. Nie potrafiłem dłużej niż przez kilka minut bez przerwy czytać opisów tortur i męczeństwa chrześcijan protestantów sprzeciwiających się rzymskokatolickiemu papieżowi. Potem zaś czułem słabość i podenerwowanie.

Teraz już wiedziałem, że w owym czasie kierował mną Bóg. Jak człowiekiem z zasłoniętymi oczami prowadzonym przez drugiego, któremu niewidzący w pełni wierzy i ufa.

Myślałem – będę czuł dumę, że któregoś dnia szanowany profesor Wohlman wyświetli na ekranie zdjęcie Luthera Dunphy'ego i będzie z podziwem opowiadał o mnie publiczności jako o męczenniku dla sprawy.

Nie miałem żadnych wątpliwości, że jeśli moja misja się powiedzie, zostanę aresztowany i osądzony za morderstwo. Tak jak inni przede mną, a ostatnio Terence Mitchell, którego uznano za winnego i skazano na więzienie w północnym Wisconsin bez prawa do wcześniejszego zwolnienia.

Módlmy się za naszych odważnych męczenników i módlcie się za nas samych, byśmy mieli siłę działać tak, jak musimy i kiedy musimy.

Nie byłem odważnym i dzielnym żołnierzem sprawy. W trakcie spotkań Operacji Ratunek siedziałem w milczeniu, patrząc w ziemię, kiedy inni z pasją przemawiali. Odkąd Stockard mi się zwierzył, bardzo się bałem i nie przestawałem wierzyć, że Pan zmieni swoje plany wobec mnie i pozwoli mi wrócić do normalnego życia.

Ten morderca zaatakowałby twoją własną córkę w macicy jej matki, gdyby miał możliwość.

W najgorszych godzinach nocy, kiedy mój umysł ogarniały zmęczenie i chaos, wydawało mi się, że naszą Daphne na tamtej autostradzie zabili aborterzy mordercy, a nie nieznany kierowca pick-upa. (W głowie zaczęło mi się roić, że tamten pick-up uderzył w moje auto albo że moje auto uderzyło w pick-upa). Dlatego też wykonanie egzekucji na aborterze Voorheesie stało się boskim zamiarem, wyrównaniem rachunków w imieniu naszej córki.

Innym razem wydało mi się, że czuję na ramieniu dotyk Małej Dłoni, a kiedy otworzyłem oczy (bo ze zmęczenia przysypiałem), było tylko wspomnienie Daphne jako małej dziewczynki trzymającej mnie za rękę. „Ta-tu-usiu!"

Dni mijały, jakbym był w transie. Odkąd Stockard wyznał mi w zaufaniu, że aborter ma teraz zwyczaj przyjeżdżać do centrum wcześniej, przed poli-

cyjną ochroną, nie mogłem nie dostrzec oczywistości – z jakiego innego powodu Bóg miałby mi zsyłać taką informację? Otrzymywałem też inne znaki, których nie mogłem zignorować. Trzy noce temu w programie *Godzina z Tomem McCarthym*, który czasami oglądaliśmy z Edną Mae, odbyła się gorąca dyskusja na temat wstydu i gniewu aborcji, na ekranie pokazywano też zdjęcia aborterów morderców – sześć twarzy i nazwisk, które znałem z listy poszukiwanych zabójców dzieci, wśród nich Augustusa Voorheesa.

Zaskoczył mnie ten widok. Na ekranie Voorhees wyglądał jak zwyczajny mężczyzna. Zaszokowało mnie, że na ulicy nie pomyślałbyś, że może być wysłannikiem szatana.

Z rysów twarzy Voorhees przypominał mi jednego z dekarzy z naszej ekipy, zawsze wesołego albo sprawiającego takie wrażenie. Często wołał do mnie: „Luth! Jak leci, kolego?”, jakby nie oczekiwał odpowiedzi innej niż uśmiech i wzruszenie ramion; to mu wystarczało. Voorhees był nieco starszy od Sama, miał czterdzieści sześć lat. Na zdjęciu marszczył czoło i miał poważną minę, spoglądał (moim zdaniem) ze smutkiem i poczuciem winy.

Poczułem dreszcz podekscytowania i ogromny niepokój. Jak wtedy, gdy jako chłopiec miałem pociągnąć za spust, widząc jelenia w celowniku strzelby, a wuj i pozostali ganili mnie za opieszałość.

W telewizji Tom McCarthy pałał gniewem. Jego podniesiony głos wydawał się zwracać do mnie. „Zabójcy dzieci” – mówił. – „Skandal, rzeź niewiniątek. Kliniki aborcyjne, planowane rodzicielstwo promuje rozwiązłość...” Nic dziwnego, ciągnął, że chrześcijanie gromadzą się, by uderzyć na wroga, nie tylko manifestować i protestować przed klinikami aborcyjnymi, ale przedsięwziąć poważniejsze kroki.

Tom McCarthy rozważnie nie używał słowa „zabójstwo” czy „egzekucja”. Nie wypowiadał słów „Armia Boga” czy „Operacja Ratunek”.

Z udawanym współczuciem mówił za to o aborterze, którego zastrzelono w Kentucky sześć tygodni wcześniej, a zrobił to Shaun Harris. „Pomyślcie w ten sposób: lekarza nie zabito, tylko przerwano w trzecim trymestrze”.

Na ekranie pojawiło się zdjęcie Shauna Harrisa. Dobrze zbudowany mężczyzna koło czterdziestki trzymał strzelbę w prawej ręce, kolba oparta o udo, lufa wycelowana w górę.

Potem pokazały się jedna po drugiej fotografie Michaela Griffina, Lionela Greene'a i Terence'a Mitchella.

Wszystkie zdjęcia zrobiono na dworze. Mężczyźni się nie uśmiechali, byli ponurzy, mrużyli oczy przed słońcem. Griffin miał gołą głowę, pozostali włożyli czapki. Tom McCarthy informował, że wszyscy odsiadywali wyroki dożywocia w więzieniach o zaostrzonym rygorze.

Nazwał Harrisa, Griffina, Greene'a i Mitchella żołnierzami w niewypowiedzianej wojnie. Choć nie poparł otwarcie ich obywatelskiego nieposłuszeństwa (jak je nazwał), było widać, że bardzo ich podziwia.

„To żałosny, tchórzliwy, pseudosocjalistyczny kraj, w którym bohaterscy mężczyźni biorący prawo moralne we własne ręce nazywani są mordercami, podczas gdy prawdziwymi cynicznymi mordercami są wasi lokalni przyjacielscy aborterzy".

Tom McCarthy mówił z ironicznym uśmiechem. Poczułem dreszcz nadziei, że któregoś dnia będzie się tak wypowiadał na mój temat.

Potem na ekranie wyświetlono zdjęcie różowego kamiennego nagrobka zakupionego przez Ligę Pro-Life z Simcoe w stanie Illinois i ustawionego na tamtejszym cmentarzu, by upamiętnić śmierć ponad siedmiuset niemowląt, które unicestwiła aborcja w ciągu zaledwie roku.

ŚWIĘTE NIEWINIĄTKA

NIEURODZONE BOŻE DZIECI

1 stycznia – 31 grudnia 1997

Kiedy zaczęła się przerwa na reklamę, odczułem wielką ulgę. Edna Mae intensywnie drżała, wpatrując się w ekran, z którego zniknął nagrobek.

Wiedziałem, że myśli o grobie naszej córki na niewielkim cmentarzu za kościołem, w owym czasie raczej pustym polu z kilkoma grobami, ponie-

waż Kościół Jezusowy Świętego Pawła w Muskegee Falls założono dopiero w 1983 roku. A nasz zbór, jak lubił się chwalić wielebny Dennis, „jest młodą i energiczną kongregacją w dobrym zdrowiu”.

– Co myślisz o tych ludziach, którzy wzięli prawo moralne w swoje ręce i zastrzelili lekarzy aborterów? – Nagle uznałem, że koniecznie muszę zadać Ednie Mae to pytanie.

„Aborter” zabrzmiało w moich ustach dziwnie. Nigdy wcześniej nie wypowiedziałem tego paskudnego słowa na głos i z pewnością nie wypowiedziałbym go w obecności mojej drogiej żony, szczególnie w takich okolicznościach.

Rozumiałem jednak, że mój czas szybko się kończy. Przypomniałem sobie komentarz mojego dziadka w jego osiemdziesiąte ósme urodziny – nie użalał się nad sobą, ale spokojnie i z uśmiechem powiedział: „No cóż. Wygląda na to, że czas waszego staruszka się kończy, co?”.

Edna Mae spojrzała na mnie, powoli mrugając. Zobaczyłem, że ma mokre i lekko przekrwione oczy, a w kącikach ust jakąś kredową substancję. Tamtego dnia nie zdjęła nawet brudnego flanelowego szlafroka. Razem ze starszymi dziećmi przygotowałem kolację, którą żona ledwie tknęła.

Musiałem myśleć, że po moim odejściu Edna Mae otrząśnie się i przestanie zażywać tabletki, które zjadały jej duszę. Nie mogłem już usilniej o to prosić i nie mogłem jej zmusić, by odstawiła leki. Ale kiedy odejdę, nie będzie mnie w domu, by pilnować dzieci i robić zakupy, Edna Mae wróci do dawnej formy – wierzyłem. Jezus ją poprowadzi.

Niewątpliwie moją drogą żonę zaskoczyło, że zadałem jej takie pytanie, bo nie leżało w mojej naturze zadawanie ich komukolwiek. Odpowiedziała powoli:

– Myślę... Myślę, jakie to okropne... bo ich żony i matki, i dzieci, jeśli mają dzieci... Myślę, że życie wielu osób się kończy, jeśli mężczyzna zostaje żołnierzem Chrystusa. Nie tylko życie lekarzy aborterów.

Mnie natomiast zdziwiło, że moja żona odzywa się w ten sposób, z powagą, jakby już wcześniej zastanawiała się nad tą kwestią.

Dodała jeszcze:

– Nie jest naszym zadaniem osądzać. Możemy jedynie namaścić stopy męczennika, nic poza tym.

Oddaj życie dla Jezusa.

Długa była ta noc, kiedy leżałem w niemal zupełnej ciemności, z otwartymi oczami, przy jakimś słabym świetle padającym przez okno, a serce biło mi jak oszalałe ze strachu przed tym, co muszę zrobić. Czubkami palców gładziłem zgrubiałą bliznę z boku, między żebrami, gdzie Felice Sipper zatopiła ostrze scyzoryka; często dotykałem tej blizny i drugiej, na udzie, szukając w nocy pocieszenia. Raz po raz przełykałem ślinę – czy raczej próbowałem przełykać, bo bardzo zaschło mi w ustach.

Jednocześnie przez całą noc drżałem z niepokoju i pociłem się, kilka razy musiałem wymykać się z pokoju, by skorzystać z łazienki. Szczypał mnie pęcherz, przez co oddawałem mocz gorącymi, pienistymi strużkami, a jego zapach był mocny i metaliczny.

Bałem się, że moje wrzące jelita obrócą się w wodę. Nie ma wstydu większego niż ten, kiedy żołnierz, wyruszający na świętą misję, traci kontrolę nad jelitami.

W końcu o piątej dwadzieścia wstałem z łóżka tak cicho, jak tylko mogłem.

To ostatni raz. Moja ostatnia noc w tym łóżku.

Na tę myśl ogarnęła mnie zaduma. Ale nie ucałowałem czoła mojej drogiej żony, by jej nie budzić i nie przeszkadzać.

Komentarz, który Edna Mae wygłosiła tamtego wieczoru, był dziwny. Nie znałem jej od tej strony. Zaskoczyła mnie jak wtedy, gdy dowiedziałem się, że czasami sama odwiedza grób naszej córeczki, ale nie mówi mi o tym ani nie prosi, bym jej towarzyszył.

Edna Mae nie podejrzewała jednak, jakie mam plany. Gdyby było inaczej, z pewnością próbowałaby mnie powstrzymać.

Powoli, jak człowiek we śnie, zamknąłem drzwi sypialni.

Powoli, z korytarza, pożegnałem się z dziećmi – śpiącymi chłopcami: Lukiem i Noahem oraz dziewczynkami: Dawn i Anitą. I przez moment wydawało mi się, że jest jeszcze jedno.

Dziękuję Ci, Boże, za te dzieci. Są moim błogosławieństwem.

Jakąż wielką miłość do nich czułem! Jakiż żal, że już nigdy nie będę ich Ta-tuusiem, a tylko człowiekiem, który wybrał inne życie i miał się im stać obcy, służąc Panu.

Cicho zszedłem po schodach do piwnicy, by się przygotować.

Nie ma straszniejszej godziny niż ta, która ma nadejść.

Poprzedniego wieczoru przygotowałem w piwnicy ubranie. Latem zeszłego roku w J.C. Penney kupiłem dzieciom adidasy, a sobie – z jakiegoś powodu, którego nie potrafiłem nazwać – koszulkę z długim rękawem w kolorze khaki, która przypominała wojskową, i spodnie khaki z głębokimi kieszeniami na nogawkach, w których zamierzałem schować amunicję, jeśli będzie potrzebna. Sprzedawczyni zapytała uprzejmie, czy chciałbym je przymierzyć. Odparłem, że to nie jest konieczne, bo na metce spodni widnieje mój rozmiar.

Edna Mae zwykła się ze mnie śmiać, że czasami kupuję ubrania za duże o kilka rozmiarów. Było tak od czasów dzieciństwa, kiedy matka nie mogła kupować wciąż nowych rzeczy, więc kupowała większe, bym mógł do nich dorosnąć, co wydawało mi się bardzo rozsądne. Później, gdy zamieszkałem sam, zachowałem ten zwyczaj. Nigdy nie czułem się dobrze, jeśli ubrania były zbyt dopasowane.

Uśmiechnąłem się na wspomnienie tamtego popołudnia z dziećmi. Rzadko bywaliśmy sami w takich sytuacjach. Sprzedawczyni zapytała o ich imiona, a ja z dumą odparłem: „Luke, Dawn, Noah, Anita...”. Znowu wydało mi się, że kogoś brakuje, i urwałem w taki sposób, że sprzedawczyni czekała na ciąg dalszy, a dzieci poczuły się niezręcznie.

Ale w centrum handlowym były grzeczne, w przeciwieństwie do innych dzieci, które biegały jak szalone, wrzeszczały i wpadały na kupujących.

Poszły do domu już w nowych adidasach, a stare zabrałem ze sobą w pudełkach. Nowe miały jaskrawe kolory. „Dzięki, tatusiu! Są super”.

Potem zabrałem dzieci na lody. Dochodziła piąta po południu. Edna Mae nie wiedziała. To był nasz sekret skrywany przed matką.

Wtedy zdałem sobie sprawę, że w sennej wizji noc wcześniej widziałem własny nagrobek. W pamięci mylił mi się z grobem Świętych Niewiniątek, Nieurodzonych Bożych Dzieci na cmentarzu w Illinois, ale widziałem napis wyraźnie: „Luther Amos Dunphy, 1960”, tyle że nie dostrzegłem daty śmierci. Zamiast niej na kamieniu była tylko smuga.

Dlatego wiedziałem, że Bóg nie da się ubłagać. Bóg poprowadzi mnie do egzekucji. To się musi dokonać, nie ma odwrotu.

Strzelbę Mossberga, którą dziadek zostawił mi wiele lat wcześniej, również przygotowałem poprzedniego wieczoru. Nie strzelałem z tej ciężkiej broni od dwunastu lat, wyczyściłem ją, ale nie naładowałem. Wciąż jeszcze myślałem, że Bóg da się ubłagać. Zresztą w domu, w którym mieszkają dzieci, nie powinno się trzymać naładowanej broni.

Drżącymi rękami ledwo udało mi się wcisnąć naboje do komory.

Oczy miałem tak wilgotne, że nie widziałem zbyt wyraźnie. Chwila paniki, gdy pomyślałem, że w tej kluczowej chwili nie będę dobrze widział celu.

Wspominałem to, jak polowałem z ojcem, wujami i kuzynami w lasach niedaleko Sandusky i tak bardzo chciałem im dorównać; tak bałem się ich nagany, że właśnie z tej broni więcej niż raz spudłowałem w otwartym polu, chybiając celu – bażanta.

W trakcie innych polowań chciałem zastrzelić jelenia. Ale tylko zraniłem zwierzę (raz) i bardzo mną wstrząsnął ten widok. Zwykle w ogóle nie strzelałem.

Wycelować i strzelić do człowieka stojącego ledwie kilka metrów ode mnie – *Boże, dopomóż! Boże, daj mi siłę*.

Teraz trząsłem się już tak bardzo, że miałem problem z zapięciem zamka czarnej poliestrowej kurtki.

W końcu wszedłem na górę, do kuchni, i włączyłem górne światło. Również po raz ostatni! Na lodówce wisiały rysunki młodszych dzieci, których przedtem uważnie nie obejrzałem – żyrafa, słoń, tygrys. (Kto je zrobił? Anita? Dlaczego zwierzęta? Nagle bardzo zapragnąłem się dowiedzieć). Przy zlewie i przy stole zobaczyłem przetarte linoleum. Obiecałem Ednie Mae, że je wymienię, ale tego nie zrobiłem.

Pospiesznie napiłem się mleka prosto z kartonu. Nie mogłem ryzykować jedzenia, nawet płatków, by nie dostać mdłości.

Czarna, długa do kolan wiatrówka miała ukryć strzelbę. Czy raczej ukrywać ją, dopóki to będzie konieczne. Nikt nie będzie mi się specjalnie przyglądał, aż w końcu zrobi się za późno.

Na czoło mocno naciągnąłem roboczą czapkę. Mam taki zwyczaj, choć gumka zostawia na mojej skórze czerwony ślad, który Edna Mae kiedyś wygładzała palcami.

Z telefonu w kuchni – wiszącego na ścianie plastikowego aparatu w morelowym kolorze – zadzwoniłem pospiesznie do Eda Fischera na służbowy numer, ponieważ wiedziałem, że o tak wczesnej porze nie odbierze. Nagrałem wiadomość, że nie przyjdę tego dnia do pracy z powodów, o których opowiem później.

Nie chciałem myśleć, jak zareaguje Ed, kiedy się dowie. Jak zareagują pozostali koledzy z ekipy, przyjaciele, których znałem od wielu lat, odkąd tu zamieszkałem.

Gdy wyszedłem na dwór i odetchnąłem atmosferą wczesnego poranka, tak jak robiłem to często, poczułem przypływ nadziei. Tego dnia powietrze było zimne i przejrzyste. Podobną przyjemność odczuwam, gdy przekręcam kluczyk w stacyjce i budzę silnik do życia, z myślą, że samochodem można przejechać tysiące kilometrów – do Kalifornii i na Alaskę...

Tego lata, które spędziłem z krewnymi w Mad River, pracując w ich gospodarstwie, chciałem najpierw pojechać z kolegą z liceum na Alaskę, by zatrudnić się na jednej z łodzi rybackich przy połowie łososi. Ale plany się zmieniły.

Wtedy również prowadziła mnie boska ręka. Wówczas nie miałem tej świadomości.

Jechałem znajomą trasą do Kliniki dla Kobiet Hrabstwa Broome. Cztery tysiące dwieście metrów. To również robiłem ostatni raz. Ścisnęło mnie za serce, kiedy na skrzyżowaniu zobaczyłem przed sobą pick-upa zatrzymującego się przed znakiem stopu.

Jako że podjechałem pod przychodnię wcześniej niż zwykle, udało mi się zaparkować znacznie bliżej.

Od czasu aktów wandalizmu, które latem wydarzyły się w klinice, zakazano parkowania na ulicach bezpośrednio do niej przylegających. Wybito wtedy okna. Na ścianach czerwoną farbą w spreju, którą potem zmyto albo zamalowano, wypisano: „Mordercy dzieci. Zginiecie w piekle”. Nie miałem związku z tymi czynami popełnionymi przez członków Armii Boga, których nazwiska ukrywano przed wielebnym Dennisem dla jego dobra.

Tak wcześnie, o siódmej dwadzieścia, manifestantów było niewielu. Stockard stał już jednak na chodniku przed budynkiem, rozmawiając z pięcioma czy sześcioma protestującymi, którzy przyjechali na miejsce minivanem ze Springfield. Nie znałem ich nazwisk, ale rozpoznałem twarze, byli katolikami. Ze sposobu, w jaki Stockard z nimi rozmawiał, i z szacunku, jaki oni mu okazywali, było widać, że kiedyś służył jako duchowny, co mnie zastanowiło, ale nie miałem już czasu rozmyślać.

Przeżywałem takie męki! Pragnąłem być duchownym w Kościele Jezusowym Świętego Pawła i głosić Słowo Pańskie wszystkim, którzy chcieliby słuchać. Ale Kościół mnie nie chciał, a Bóg odrzucił mnie jako tego, który miałby głosić Słowo.

Kilka lat wcześniej w Ohio przyjęto prawo, że protestujący muszą zachowywać dystans przynajmniej dwóch metrów od lekarzy i personelu wykonującego aborcje, zabronione było również zbieranie się przed budynkiem i blokowanie dojścia do głównych drzwi kliniki, jednak przepisy te często łamano.

Przychodnię otwierano dopiero o ósmej rano, wcześniej nie pojawiały się żadne matki, zaś kiedy już przyjeżdżały, często niechętnie wysiadały z sa-

mochodów, dopóki nie podeszła do nich ochrona, by pomóc przejść obok protestujących, którzy wykrzykiwali: „Nie! Nie! Nie rób tego!”. I znajome hasła, tak często odbijające się echem w moim mózgu niczym wściekle bijący puls: „Wolny wybór? Przestań kłamać – żadne dziecko nie chce umierać!”.

Zostało postanowione. Nie było odwrotu. Dzieci, które miały zostać zamordowane tego ranka, nie zginą, jeśli zadziałam tak, jak zostało postanowione. Dzieci, które ten aborter zamordowałby w nadchodzących dniach, zostaną oszczędzone.

Czekałem w samochodzie z wyłączonym silnikiem. Pociłem się obficie, ale też czułem nadchodzący spokój. W końcu około siódmej dwadzieścia pięć pojawił się ciemnoniebieski dodge i wjechał na podjazd przed kliniką. Na początku nie widziałem, który z siedzących z przodu mężczyzn jest Voorheesem, bo było ich dwóch – potem zauważyłem, że Voorhees jest pasażerem, a obok siedzi jego ochroniarz, „eskorta”, jeden z ochotników, którego często widywaliśmy i który zachowywał się wobec nas wyjątkowo agresywnie i prowokująco.

W mgnieniu oka wysiadłem z samochodu.

Na podjeździe poruszałem się szybko. Voorhees też już wysiadł. Bez trudu go rozpoznałem, dobrze znałem tę twarz. Bez trudu też widziałem cel, bo moje pole widzenia nagle się zawęziło – to wspaniałe, jak Bóg je zawęził, uformował niczym tunel lub teleskop, bym widział tylko cel, by nic mnie nie rozpraszało.

Ułożyłem strzelbę na ramieniu, celowałem i strzelałem, nawet kiedy aborter próbował mnie powstrzymać, ochryple krzycząc: „Cofnij się! Odłóż broń!”.

W swojej głupocie, zupełnie zaskoczony, przeklęty człowiek uniósł rękę z wyciągniętymi palcami – jakby chciał do mnie zaapelować albo osłonić twarz przed podmuchem.

Uklęknąłem przy leżącym krwawiącym mężczyźnie i poruszałem bezgłośnie ustami: „Boże, miej litość! Bóg wam wybaczy...”.

Niedługo potem było po wszystkim. Na klęczkach czekałem na policję.

Gdy zamykałem oczy, potrafiłem również wygłuszyć wszystkie głosy. Okrutne głosy profanów, którzy nie wiedzieli, co czynią.

Od tamtej chwili zwracam się do Boga, nie do rodzaju ludzkiego.

Nie do tych, którzy mnie kochają, ani do tych, którzy mnie nienawidzą.

Jeśli Bóg mi nie odpowie, to nie znaczy, że Bóg mnie nie słyszy i nie błogosławi jako swego żołnierza.

Powiedz tylko słowo, a będzie uzdrowiona dusza moja.

Archiwum życia i śmierci Gusa Voorheesa

Córka abortera

Pewnie jesteś wdzięczna, że nie zabił ciebie.

Wspomnienie, niedatowane

– Dlaczego nie możemy mieszkać z tatą?
– Bo to niebezpieczne.
– Nie kochasz taty? Jesteś zła na tatę?
– Tak, jestem zła na tatę. Ale kocham tatę.

Wspomnienie, niedatowane. Latające szkło

W ustach zaschło jej tak bardzo, jakby język był cały pozszywany!

Pozszywany czarną nicią, którą widziała na przedramieniu taty, kiedy zdjęto opatrunek. Widok był tak okropny, że odsunęła się gwałtownie i nie mogła nawet krzyknąć.

„Och co się stało tatusiowi co się stało...”

Mówili, że latające szkło. Coś wrzucono przez okno i pojawiło się latające szkło.

Sześćdziesiąt sześć szwów na lewej ręce taty pokrytej kręconymi ciemnymi włosami.

Sześćdziesiąt sześć szwów czarną nicią tak brzydkich, że ich widok kaleczył mózg niczym szrapnel.

Sześćdziesiąt sześć szwów czarną nicią, ale tata śmiał się, mówiąc, jak jest wdzięczny, bo na ostrym dyżurze powiedzieli, że miał szczęście – żaden z siedmiocentymetrowych odłamków szkła nie uszkodził tętnicy ramiennej.

Zacisnęła mocno powieki. Nie chciała patrzeć. Jej brat Darren gapił się i gapił.

Mój brat chyba wszystko zapamiętywał.

Tamto życie w Michigan, które straciłam.

Niczego nie pamiętam wyraźnie. Jak rozbite szkło. Widzisz, że upadło na podłogę, ale nie potrafisz sobie wyobrazić, jak było przedtem, zanim się rozprysło, nie pamiętasz kształtu ani nawet wielkości.

Nie pamiętam, ale kiedy zapisuję kilka słów, czasami nieoczekiwanie pojawiają się inne słowa.

W ustach zaschło jej tak bardzo, jakby język był cały pozszywany!

Gnij w piekle

Po śmierci taty nasza matka dostawała listy pocztą albo wpychano je do skrzynki, albo wsuwano pod drzwi wejściowe, albo – kilka razy – wkładano za wycieraczki samochodu, którym jeździła.

Wiedziała, że otwieranie tych kopert było błędem. A jednak.

Były tak okropne, że upadała na kolana, na drewnianą podłogę, ściskając taki list w dłoni.

Jej twarz wykrzywiał grymas potwornego bólu. Na jej twarz nie śmiałaś patrzeć, ze strachu, że wybuchniesz śmiechem jak niemądre dziecko przestraszone na śmierć.

> Teraz wiesz, jak to jest, ty ateistyczna suko. Ty i bachory zgnijecie w piekle.
> ZABÓJCY DZIECI

Wywiad(y)

Co pamiętasz najlepiej, jeśli chodzi o twojego ojca, doktora Augustusa, „Gusa”, Voorheesa?

Co pamiętasz najlepiej z życia waszej rodziny w Michigan?

Gdzie konkretnie mieszkaliście w Michigan? Ann Arbor, Grand Rapids, Saginaw, Bay City i jeden lub dwa adresy w Detroit?

Czy zawsze mieszkałaś z obojgiem rodziców, czy ojciec czasami mieszkał gdzie indziej? A jeśli tak, to czy często przyjeżdżał do domu?

Czy ty kiedykolwiek go odwiedzałaś?

Jak jego nieobecność wyjaśniała twoja matka (o ile w ogóle)? Czy ty i twoje rodzeństwo chcieliście widywać ojca częściej?

Co czuła wasza rodzina, gdy musieliście tak często się przeprowadzać?

Czy utrudniało ci to naukę? Życie towarzyskie? Czy miałaś w ogóle życie towarzyskie?

Czy nauczyciele wiedzieli, kim jest twój ojciec? Koledzy z klasy, przyjaciele? Sąsiedzi? Jaki to miało wpływ na twoje związki?

Czy byłaś dumna z ojca?

Czy czułaś czasami urazę do ojca?

Czy kochałaś ojca?

Podobno – tak mówił twój ojciec – twoja matka Jenna Matheson była dla niego idealną żoną / towarzyszką. Czy tobie, twojemu bratu i siostrze, jeśli możesz mówić w ich imieniu, wydawało się, że małżeństwo rodziców jest idealne?

Czy twoja matka kiedykolwiek okazywała żal, rozczarowanie lub frustrację tym, że musiała przerwać karierę prawniczą, by pomagać w pracy wa-

szemu ojcu, gdy została matką na pełny etat i na wiele lat asystentką doktora Voorheesa?

Czy twoja matka była matką „na pełny etat”, czy to przesadzone stwierdzenie?

Czy ty i twoje rodzeństwo wiedzieliście, że ojciec jest niezmordowanym orędownikiem praw kobiet na Środkowym Zachodzie, szczególnie w Michigan?

Czy wiedziałaś, że twój ojciec jest zwolennikiem prawa do aborcji?

Czy wiedzieliście, będąc dziećmi, co to jest prawo do aborcji?

Czy wiedziałaś, że twój ojciec przeprowadzał aborcje?

Czy wiedziałaś, że twój ojciec miał wielu wrogów?

Czy wiedziałaś, że twój ojciec był uważany za „trudnego”, nawet przez swoich sprzymierzeńców?

Czy czytałaś opublikowane teksty swojego ojca? Jego słynną kontrowersyjną odezwę wygłoszoną na konferencji Narodowego Przywództwa Kobiet w 1987 roku w Waszyngtonie? Znasz jej treść?

„Nie istnieje pełna demokracja w kraju, w którym płeć jest sprowadzana do przeznaczenia biologicznego” – czy znasz to po wielokroć powtarzane stwierdzenie doktora Gusa Voorheesa?

Czy jako dziewczynka kiedykolwiek czułaś – lub czujesz teraz – że jesteś „sprowadzana do biologicznego przeznaczenia”? Czy odziedziczyłaś silne feministyczne przekonania swoich rodziców?

Czy żałujesz czegokolwiek z dzieciństwa w Michigan? Czy chciałabyś, by coś potoczyło się inaczej? (Oczywiście oprócz tragicznego zakończenia życia twojego ojca).

Czy twoi rodzice byli szczęśliwi?

Jak to jest być dzieckiem Gusa Voorheesa?

A twoja matka – jak myślisz, co czuła, będąc żoną Gusa Voorheesa?

Czy jako dzieci mieliście świadomość, że wasz ojciec otrzymywał wiele gróźb?

Czy wiedziałaś o aktach wandalizmu, grożeniu śmiercią, zagrożeniach bombowych w klinikach dla kobiet, z którymi związany był twój ojciec? Jak reagowała na nie twoja matka?

W ruchu pro-choice Gusa Voorheesa nazywa się wielkim człowiekiem, odważnym męczennikiem za sprawę, ale przez ruch pro-life, na przykład przez konserwatywnego katolickiego filozofa Willarda Wohlmana, był nazywany do szpiku kości złym, niemoralnym człowiekiem, ludobójcą równie nikczemnym jak nazistowscy zbrodniarze. Co sądzicie, ty i twoja rodzina, o tak ekstremalnych opiniach o doktorze Voorheesie?

Jak ty i twoje rodzeństwo dowiedzieliście się, że ojciec został zamordowany 2 listopada 1999 roku w hrabstwie Broome w Ohio, w klinice dla kobiet w Muskegee Falls?

Czy poinformowano was wówczas, że doktora Voorheesa zastrzelił samotny strzelec związany z prawicowymi chrześcijańskimi organizacjami: Armią Boga i Operacją Ratunek? Czy dowiedzieliście się tego później, gdy byliście starsi?

Czy wolno wam było – z upływem czasu – czytać o śmierci ojca, oglądać wiadomości telewizyjne i filmy dokumentalne na ten temat? Czy uczestniczyliście w którejś z uroczystości żałobnych ku pamięci doktora Voorheesa w Ann Arbor, Lansing, Detroit?

Czy śmierć ojca była dla ciebie, twojego brata Darrena i siostry Melissy wielkim szokiem? Czy ta strata zbliżyła was do siebie, czy miała odwrotny skutek?

Twoja matka Jenna Matheson odmawia wszelkich wywiadów od śmierci twojego ojca – z powodu potrzeby zachowania prywatności, dla zdrowia psychicznego, czy może przygotowuje wspomnienia o swoim życiu z Gusem i nie chce dzielić się prywatnymi wspomnieniami z mediami?

Gdzie w chwili obecnej mieszka twoja matka? (Czy wiesz, że poczta wysyłana do Jenny Matheson na wszystkie jej poprzednie adresy wraca do nadawcy z adnotacją „adresat nieznany”?).

Czy obecnie jesteś blisko ze swoją matką?

Czy ty i twoja rodzina uważacie, że wyrok śmierci to właściwy wyrok dla zabójcy twojego ojca? Czy taki wyrok stanowiłby „zamknięcie” dla ciebie i twojej rodziny?

Doktor Voorhees był zdeklarowanym przeciwnikiem kary śmierci – czy ty również jesteś jej przeciwna?

Zemsta

Boże, pomóż mi być silną.

Pomóż mi być okrutną jak ten świat.

Byliśmy dziećmi, które żałoba uczyniła złymi. Byliśmy dziećmi o małych, zasuszonych, zdziczałych serduszkach i uśmiechach trupich główek. Grzeczne dzieci wolały trzymać się od nas z daleka.

Mówiłam: „Dlaczego oni mają mieć ojca i matkę? Nienawidzę ich”.

Czasami mówiłam: „Dlaczego mieliby być szczęśliwi? Nienawidzę ich”.

Postanowiliśmy porwać ich małego szorstkowłosego psa, który za dużo szczekał. Wymyśliliśmy, że ukryjemy tego teriera, którego nazywali Kundlem, w jakimś miejscu, gdzie nie przyjdzie im do głowy szukać, będziemy karmić Kundla i Kundel zacznie kochać nas. A Darren mówił, że jeśli Kundel nie będzie współpracował, to go zabijemy.

– Jak współpracował? – musiałam zapytać.

– Będzie nam posłuszny.

– Jak posłuszny? – musiałam zapytać. Musiałam usłyszeć, jak mój brat mówi, co dokładnie zrobimy, by poczuć dreszcz, że może naprawdę to zrobimy.

– No będzie robił to, co mu rozkażemy, idiotko. Machał ogonem i nas kochał.

Ekscytowałam się i niepokoiłam myślą, że naprawdę porwiemy psa sąsiadów. Bo z tymi sąsiadami się przyjaźniliśmy – współczuli nam i podzi-

wiali naszą matkę. Czasami moje serce stawało, a potem biło szybciej i znów stawało, kiedy Darren nachylał się nade mną i mówił szeptem:

– Co zrobimy? Zabijemy go.

– Zabijemy go? Jak? – musiałam zapytać.

– Tak samo, jak zabiję ciebie, debilko!

Wtedy Darren okładał mnie pięściami, uderzał mnie w twarz raz, drugi, trzeci, nie bardzo mocno (potrafił to robić doskonale), ale szybko, by upokorzyć, aż płonęły mi policzki i oczy wypełniały się łzami, ale nie płakałam.

To było najważniejsze, nie płakałam.

Oczywiście z naszego planu porwania Kundla nic nie wyszło. Nic nie wyszło z naszego pragnienia zemsty. Tak naprawdę byliśmy za starzy, by być dziećmi. Trzeba by wyjątkowych oczu, by zobaczyć, jak żałoba zżera nas od środka, karłowate, brzydkie dzieci-trolle, dla których łaską byłoby zastrzelenie ich z karabinu snajperskiego – raz-dwa.

Zło – niebo

– Dobre wieści, dzieciaki! Zło nie istnieje.

Tak właśnie powiedział. Kiedyś.

Potem zapewnił nas, że nie ma diabła, szatana, nie ma piekła.

Jest (być może) niebo, ale nie znajduje się wcale jakoś daleko i nie jest niczym wyjątkowym.

Chcieliśmy wiedzieć, dlaczego niebo nie jest niczym wyjątkowym.

(Bo przecież ciągle słyszysz, jakie niebo jest wyjątkowe).

Tata powiedział:

– Ponieważ niebo to po prostu dwie rzeczy: ludzka miłość i ludzka cierpliwość. A miłość to tylko cierpliwość. Niespieszenie się. Uwaga, niespieszenie się. To jest miłość.

Ależ nas rozczarował! Nie to pragnęliśmy usłyszeć. Byliśmy za młodzi, by mieć pojęcie, jak wyjątkowe są ludzka miłość i ludzka cierpliwość, jak rzadkie i ulotne, a jeśli tata się z nas śmiał, to nigdy nie było wiadomo, czy jest poważny, czy rozbawiony, czy poważny i rozbawiony jednocześnie.

Ostatni raz na wyspie Katechay.

Żadnego ostrzeżenia. Żadnej wskazówki.

Na wybrzeżu wyspy Katechay, w zatoce Wild Fowl (odnodze zatoki Saginaw jeziora Huron). Nie piaszczysta plaża, przy której ludzie pływają, gdy jest ciepło, ale bardziej oddalona, szorstka i kamienista, zbite wydmy, zimno nawet w słońcu. Brzeg przykrywały wodorosty, kawałki spróchniałego drewna, od dawna zgniłe niewielkie ryby i ciała ptaków, porozrzucane małe kości. To był oślepiająco jasny dzień nad jeziorem, zimny dzień, wietrzny dzień, więc woda zdawała się wstrząśnięta, ostra jak folia alumi-

niowa, nie było na czym zawiesić oka, woda nieustannie się ruszała, a jeśli wpatrywałeś się zbyt mocno, bolały oczy.

To był spacer wzdłuż brzegu, ostatni spacer, o którym nikt nie wiedział, że jest ostatni. „Cztery kilometry”, powiedział tata.

Podczas naszych spacerów tata ogłaszał odległość, gdy wychodziliśmy i gdy zaczynaliśmy wracać. Bo nie wszyscy byliśmy tak wytrzymałymi piechurami jak on. Niektórzy z nas potrzebowali zapewnienia, że tata weźmie nas na ręce i zaniesie z powrotem, jeśli rozbolą nas nogi, jeśli zmiękną kolana.

A tata zawsze, puszczając oko, zapewniał: „Nikogo nie porzucimy”.

Gus Voorhees był lekarzem, cenił precyzję. Badania krwi, ultrasonografia narządów wewnętrznych, prześwietlenia, rezonanse. Niewiedza nie jest cnotą, możesz zapłacić życiem za to, że nie wiesz.

„Dzieci, zapamiętajcie na zawsze: nieświadomość nie jest błogosławieństwem”.

Jeśli zadał ci pytanie, należało dać precyzyjną odpowiedź. Nie można było mamrotać pod nosem i trzeba było patrzeć w oczy.

„Hej, podnieś głowę. Spójrz tutaj”.

Tata z natury dużo się uśmiechał. Dlatego kiedy się nie uśmiechał – to wiedziałeś.

Bez tchu próbowaliśmy za nim nadążyć! Wydmowe wzgórza i niewielkie wąwozy, które rozsypywały się, kiedy podchodziliśmy bliżej, i wciągały nasze stopy. Wiatr uderzał w twarz, odbierał oddech i wywoływał głupie łzy, jakbyśmy płakali.

Ale udawało nam się dotrzymywać kroku tacie. Naomi i Melissa, małe dziewczynki, zdeterminowane, by nadążyć za swoim długonogim bratem Darrenem, a Darren – za tatą, który robił się roztargniony, zapominał, gdzie jest, i maszerował naprzód.

„Och, tato! Poczekaj!”

„Czekaj na nas, tato!”

Tamten dzień, kiedy wędrowaliśmy brzegiem zatoki Wild Fowl, wcale nie wydawał się jakiś wyjątkowy. Nie wydawał się dniem, który trzeba zapamiętać, więc większość wspomnień zniknęła. Jak obdarte flagi powiewające w knajpce w latarni morskiej w Bay Point. Nie wiadomo, co na tych flagach widniało, bo były już takie wyblakłe. Tata przywiózł nas tam kombiakiem z (wynajętego) domu niedaleko Bay City, oddalonego o godzinę i dwadzieścia minut jazdy samochodem od wyspy Katechay, gdzie stał domek, z którego korzystaliśmy; należał do przyjaciół mamy i taty, dostawaliśmy klucz. Ale był już koniec lata, późny wrzesień, więc robiło się zimno, nawet w słońcu. A jeśli słońce przykrywały chmury ciemne jak zamazane kredką, dostawało się dreszczy.

Nie rozumieliśmy, gdzie tata spędził tygodnie przed przyjazdem tutaj. Czasami był w więcej niż jednym miejscu, a my nie potrafiliśmy zapamiętać nazw, które – być może – nas denerwowały, więc nie chcieliśmy ich pamiętać. Tamtego dnia tata wrócił rano z miejsca, w którym akurat był, gdzieś w północnym Michigan, bo tam, jak mówił, desperacko potrzebowano jego pomocy.

– Desperacko! – śmiała się mama. – Czy kiedykolwiek to nie jest desperacka potrzeba? – I dodała: – A co z nami? Czy my nie potrzebujemy desperacko?

No i tata mówił – nie do mamy (która nie poszła z nami na spacer, tylko została przy stole piknikowym ze swoją maszyną do pisania), ale do nas – że nie ma zła, ale istnieje niebo, jeśli się pamięta, że niebo nie jest niczym wyjątkowym ani zaskakującym. Może to być choćby spacer wzdłuż brzegu w wietrzny dzień pod koniec września, z pozoru niewart zapamiętania, ale jeśli pamięta się, że to zrobiliśmy, że byliśmy tutaj razem, zatrzymaliśmy się na lunch w Bay Point, nawet jeśli nie był to najlepszy lunch, że byliśmy razem, w piątkę, nieważne, co wydarzy się później – to jest niebo.

– Rozumiecie, dzieciaki?

– Okej, tato – powiedzieliśmy. Wstydziliśmy się, kiedy tata mówił do nas jak do dorosłych, zbyt poważnie.

– Wiecie co, dzieciaki, obiecajcie, że kiedy umrę, rozrzucicie tutaj moje prochy.

Kiedy umrę. Możliwe, że żadne z nas tego nie słyszało.

Dziecko nie słyszy słowa „umrę” z ust rodzica. Nie.

Oczywiście powiedzielibyśmy, że tak. Powiedzielibyśmy wszystko, co chciałby usłyszeć tata, i uwierzylibyśmy we wszystko, w co chciałby, żebyśmy wierzyli. Nawet jeśli nie mieliśmy pojęcia, o czym mówił – wtedy i przy innych okazjach.

Specjalny zabieg

Coś mającego związek z dziećmi. Co to znaczy?

Wiedzieliśmy, skąd się biorą dzieci. Zdawało nam się, że wiemy, bo przecież rodzice nam powiedzieli. Dzieci zwierząt i ludzkie dzieci. (U ptaków i gadów jest inaczej. Ich dzieci biorą się z jajek. Ale dlaczego niektóre dzieci pochodzą z brzuchów matek, a inne z jajek, tak jak z kurzych jajek, które się zjadało – tego nam nigdy nie wyjaśniono). Na myśl o miejscu, z którego się wzięliśmy, robiliśmy się zawstydzeni i podekscytowani – bo przecież to był brzuch mamy.

Tak naprawdę w to nie wierzyliśmy. To było takie zabawne! Jak jeden z żartów taty, które rozśmieszały nas tak bardzo, że siusialiśmy w majtki. Musieliśmy jednak udawać, że wierzymy. Wyszliśmy z brzucha mamusi, kiedy nadeszła odpowiednia pora.

(Naomi nerwowo mówiła Darrenowi, że brzuch mamy nie jest dość duży. Niemożliwe, byśmy byli tak mali, by się tam zmieścić. Naomi głośno przełknęła ślinę na samą myśl, straszną myśl, od której drgały jej powieki, a w gardle pojawiało się okropne, duszące uczucie, bo co, jeśli – jakiś cudem – to jest prawda i Naomi miałaby znowu wcisnąć się do brzucha mamy, choć była za duża? Na tę myśl robiło się jej niedobrze i dostawała dreszczy. To było coś tak niewypowiedzianie okropnego jak ilustracje w ulubionej książce Naomi, w której biedna Alicja nierozważnie spróbowała grzyba i urosła tak duża, że nie mieściła się w normalnym pokoju i musiała wypchnąć jedną rękę przez komin, drugą rękę przez okno, a głową uderzyła w sufit... Naomi bała się na samą myśl o tym, a Darren się z niej śmiał i czule ją szturchał, wybaczając, że jest taka niemądra, bo o tyle młodsza i słabsza od niego).

(Ze wszystkich dzieci to Naomi była czarnowidzem, jak nazywał ją tata. „Jak się ma mój mały czarnowidz?” Naomi nie była pewna, czy to słowo ma coś wspólnego z widzeniem na czarno i czy w rzeczywistości to w ogóle jest miłe określenie, choć wiedziała, że tata tylko się z nią droczy, a kiedy tata się droczy, to trzeba się śmiać).

Nie powiedziano nam dokładnie, co robi nasz ojciec, dlaczego mieszkanie z nim jest niebezpieczne.

Wiedzieliśmy, że ojciec jest lekarzem – doktorem Voorheesem. Ale nie byliśmy pewni, jakiego rodzaju lekarzem.

Miał coś wspólnego z dziećmi. Tak nam się zdawało.

Wyjaśniono nam, że niektóre kobiety i dziewczęta potrzebują specjalnego zabiegu, który mogą wykonywać jedynie niektórzy lekarze, jak nasz ojciec. Chodzi o kobiety i dziewczęta, które dowiedziały się, że są w ciąży, ale jest to ciąża niechciana.

Ciąża bywa niechciana z wielu powodów, jednym z nich może być to, że życie matki jest zagrożone. Innym – że pojawiła się w życiu matki w nieodpowiednim czasie. Jeszcze innym – że jest wynikiem czegoś wymuszonego na matce, czego ona nie chciała i nie powinna była przeżywać.

Z nami wiązał się fakt, że lekarze tacy jak ojciec wykonywali ów zabieg nie tylko dlatego, że był bardzo potrzebny, ale również dlatego, że niektórzy lekarze się mu sprzeciwiali ze względów religijnych, moralnych, a lekarz taki jak nasz ojciec musiał bardzo uważać, by nie zaatakowali go ci, którzy się sprzeciwiali.

Nie wiedzieliśmy, co to znaczy „zaatakować”.

Jak w filmie? W telewizji? Zaatakowany nożem, z pistoletu? Zaatakowany bombą?

To Darren zadawał pytania. Naomi ssała palce i niemądrze się uśmiechała. (Melissa była za mała, by jej mówić cokolwiek, co mogłoby ją przestraszyć).

Z dzieci Voorheesów Darren był najstarszy, Naomi była trzy lata od niego młodsza, a Melissa dwa lata młodsza od Naomi. Darren nieustannie okazywał dumę, że zawsze będzie starszy od swoich sióstr. Zawsze będzie wyższy, większy, mądrzejszy i silniejszy.

To oznaczało, że Darren mógł chronić swoje siostry, jeśli będą tego potrzebować. Mógł je również dyscyplinować, jeśli to będzie konieczne pod nieobecność rodziców.

Nie do końca wiedzieliśmy, co znaczy „cię-żar-na”. Powiedziano nam, ale chyba do końca nie zrozumieliśmy. Przynajmniej Naomi nie zrozumiała. Słowo „cię-żar-na” brzmiało strasznie, jak choroba, nie chciałeś tego mówić głośno, by nie usłyszeli dorośli.

Ciąża to kwestia wolnego wyboru, tak nam mówiono.

Kobieta musi mieć kontrolę nad własnym ciałem, to podstawowe prawo człowieka.

Darren, który lubił się kłócić i pokazywać, jaki jest mądry i o ile poważniejszy od swoich młodszych sióstr, mądrala Darren zapytał:

– Mężczyzna również?

A mama i tata odparli:

– Tak, oczywiście. Mężczyzna również.

Czy tata by mnie skrzywdził?

Melissa była adoptowana. Melissa została wybrana. W przeciwieństwie do Darrena i Naomi, oni pojawili się w rodzinie przez przypadek.

Mimo to któregoś dnia Melissa zwróciła się do mamy tym swoim cichutkim mysim głosikiem:

– Czy gdybyście z tatą mnie nie chcieli, to czy tata by mnie skrzywdził?

A mama szybko odpowiedziała:

– Ależ mama i tata bardzo cię chcą. Wszystkich was.

Mówiąc „wszyscy”, miała na myśli również Darrena i Naomi.

Mówiąc „wszyscy”, mama chciała powiedzieć, że Melissa nie jest nikim obcym, ale jedną z nas: brat, siostra, siostra.

Czy Naomi była świadkiem tej rozmowy? Musiała chyba siedzieć wtedy w kuchni z mamą i Melissą i słyszeć te słowa. Nie mogła przecież być w innym pomieszczeniu. Przecież by nie podsłuchiwała. Siedziała z mamą i Melissą w kuchni domu krytego gontem na Drummond Street w Grand Rapids, gdzie Melissa i Naomi chodziły do szkoły Montessori, Darren do gimnazjum, tata był lekarzem chirurgiem w Centrum Medycznym Uniwersytetu Grand Rapids, a mama gospodynią domową, która pracowała jako doradca prawny w biurze ruchu planowanego rodzicielstwa.

Dziewczynki bardzo lubiły pomagać mamie w kuchni. Przygotowywać posiłki, sprzątać po jedzeniu. Naomi sprawiało to wielką przyjemność, bo była dwa lata starsza od Melissy i mogła więcej od niej zrobić, a mama o tym wiedziała. Mama zachęcała Naomi, by uczyła Melissę, i wtedy Naomi było miło. Każda dziewczynka miała własną gąbkę do mycia naczyń – Naomi różową, Melissa zieloną. Kolory zawsze takie same. Dziewczynki

ostrożnie odkładały opłukane naczynia do zmywarki, bo lubiły, kiedy mama je chwaliła: „Dziękuję, dziewczynki. Świetnie się spisałyście”.

Jednak dzisiaj Melissa powiedziała tym swoim cichym, mysim głosem:

– Mnie nikt nie chciał. Moja prawdziwa mama mnie oddała.

– Ale... ale... – Mama jąkała się, jakby nie wiedziała, co powiedzieć. – To nie dlatego, Melisso.

„Nie dlatego”. Te słowa mojej matki były takie słabe i nieprzekonujące. Naomi udawała, że ich nie słyszała.

Adoptowana

„Po co oni ją wzięli. My im nie wystarczymy?”

Kiedy w domu pojawia się nowe dziecko, to pytanie zadają wszystkie pozostałe dzieci. Pytanie najrozsądniejsze pod słońcem, ale żadna odpowiedź nie będzie zadowalająca.

Darren był oburzony i rozżalony. Naomi głęboko zraniona.

„Dlaczego my nie wystarczymy?! Och!”

Lata później Naomi przypomniała sobie, jak obserwowała ze schodów rodziców z nowym dzieckiem. A zmartwiony Darren stał na stopniu poniżej.

Znajomi wpadali z wizytą, by obejrzeć nowe dziecko. Działo się to w (wynajętym) domu na Siódmej Ulicy w Ann Arbor. W salonie, dokąd przyniesiono niemowlę, lśniące aureole światła. Radosne piski, podniesione głosy kobiet i mężczyzn. Rozemocjonowani dorośli, przez których dzieci czuły się nieswojo.

Oczywiście rodzice przygotowywali Darrena i Naomi na nowe dziecko, na adopcję. Ale to i tak był szok. A już z pewnością niespodzianka.

Sześcioletni Darren szukał (ukrytych? tajemnych?) motywów działań innych, którym nie ufał. Nie podobało mu się, kiedy pierwsze nowe dziecko pojawiło się w domu kilka lat wcześniej, ale rodzoną siostrę Naomi nauczył się tolerować.

Jednak to nowe dziecko było wyjątkowo niemile widziane. Teraz bowiem w domu mieszkały dwie małe dziewczynki zamiast jednej, a dziewczynki budziły w dorosłych wyjątkową łagodność, emocje, jakich Darren nie potrafił wzbudzić.

Trzyletnia zaledwie Naomi była bardzo mała, a jednak martwiła się, w sposób, którego nie potrafiła określić, że nowe dziecko wywoła w jej życiu jakieś niepojęte zmiany.

Dwadzieścia lat później to pytanie wciąż raniło ją w najtrudniejszych chwilach.

„Dlaczego my nie wystarczyliśmy...”

Śliczna, przypominająca laleczkę Melissa o gęstych, ciemnych rzęsach i idealnych drobnych rysach była chińską sierotką, którą mama i tata adoptowali dzięki swoim kontaktom w Szanghaju. Darren ponoć pamiętał, że polecieli tam, by przywieźć ze sobą Melissę, ale Naomi nie do końca bratu wierzyła.

Darren twierdził, że był na lotnisku i widział odlatujący samolot, a potem był na lotnisku, kiedy samolot wylądował. (Ani jedno, ani drugie nie było prawdą, ale Darren się upierał).

Naomi, która nie pamiętała, kiedy nowe dziecko przywieziono do domu, tylko okres, kiedy było już z nimi, powiedziano, że bardzo się ekscytowała z powodu młodszej siostry i chciała ją cały czas nosić – ale żadne z tych wspomnień w niej się nie ostało.

Wiele z tego, co mi opowiadano, muszę przyjąć na wiarę. Wspomnienia innych pomieszane z moimi, które zniknęły.

Zamykam oczy, widzę błysk strzelby celującej w twarz ojca i w tej jednej sekundzie tata zostaje unicestwiony razem z dziecięcymi wspomnieniami o nim, więc jaki sens ma ich wydobywanie, skoro zaginęły?

Jednak kiedy Naomi oglądała albumy fotograficzne matki, w których pełno było luźnych odbitek i polaroidów, znajdowała wiele zdjęć z dzieciństwa, wiele z połowy i końca lat dziewięćdziesiątych, po tym jak Melissa pojawiła się w domu Voorheesów. Rozkładała te fotografie na stole i się im przyglądała.

Dowód: wizualny zapis życia szczęśliwej rodziny.

Kiedy zbyt dokładnie oglądała te zdjęcia, robiła się roztrzęsiona i łzy napływały jej do oczu. Mała Melissa i Naomi tulące się do mamy na huśtawce na ganku, mała Melissa i Naomi w silnych ramionach taty...

Czasami tata zapuszczał brodę. Czasami tata nie zapuszczał brody. Broda taty nie miała takiego koloru jak włosy (jasnorude), broda taty była kręcona i biała, przetykana ciemnymi falującymi włosami. Broda taty była drapiąco-śmieszna.

W Grand Rapids nie mieszkało zbyt wielu Chińczyków. Rzadko się ich widywało poza chińskimi knajpami, ulubionymi restauracjami mamy i taty. Do szkoły Naomi nie chodziły żadne chińskie dzieci.

Od razu widziałeś, że Melissa różni się wyglądem od innych dzieci, ale też szybko przestawałeś to dostrzegać. Nie zauważałeś w Melissie nic niezwykłego oprócz tego, że ma bardzo czarne, bardzo jedwabiste i lśniące włosy, a oczy są kształtu innego niż u większości ludzi, była też śliczna jak laleczka. Biły z niej spokój i uważność, których nie znajdowałeś u jej rówieśników.

Dlatego czasami w szkole lub w innych miejscach publicznych (na przykład w centrum handlowym) zaskakiwało Naomi, że ludzie tak otwarcie gapią się na Melissę, widząc ją z rodziną, albo że starsze dzieci ośmielają się mówić głupie, wredne rzeczy, będące dowodem ich ignorancji.

„Mała Chińczyczka?”

„Mały Kitajec?”

„Skąd przyjechałaś, Chinolko?”

Melissa zdawała się nie słyszeć tych kpin. Mama kazała nam szybko iść dalej. Nie odwracaliśmy się.

„Ko-mu-nistka!”

Tata rzadko chodził z nami do centrum handlowego albo sklepu spożywczego. Ale jeśli był z nami, nikt nie ośmielał się wygłaszać wrednych uwag.

Darrenowi i Naomi wyjaśniono, czym jest adopcja. Zaczęło się od niezobowiązującej rozmowy, potem temat odłożono na inny moment, a potem przywołano go znowu i tym razem omówiono bardziej szczegółowo. Za

trzecim razem – jeszcze bardziej szczegółowo. Tak właśnie nasi rodzice podchodzili do tego typu spraw: metodycznie. Tak, byśmy zrozumieli, że będziemy mieli w rodzinie nową siostrę, która zostanie adoptowana. Mama i tata uświadamiali nas stopniowo, czytali chińskie książeczki dla dzieci, pokazywali chińskie rysunki i puszczali w telewizji filmy o Chińczykach, chińskiej sztuce i historii.

Wszystko łączyło się w całość: Melissa jest tylko małą dziewczynką, ale pochodzi ze wspaniałej starożytnej cywilizacji, która rozwinęła sztuki, naukę, rolnictwo, budowała akwedukty i drogi, wzniosła Wielki Mur, kiedy – tak mówił tata – nasi przodkowie wciąż chodzili po drzewach. Przez długi czas w jednym z moich stanów rozbawienia widziałam ludzkie postacie zwisające z gałęzi jak małpy. Czułam niepokój, martwiłam się, a jednocześnie się uśmiechałam.

Jego istota mnie wypełnia. Spróbowałabym uciec, ale wcale nie chcę. Jego istota jest wszędzie. To przez jego oczy patrzę na widoki, których on nigdy nie widział, a jednak wyjaśnia je dla mnie.

Przed adopcją mama i tata pokazywali nam zdjęcia Melissy. Już samo to zdawało się nam zdradą. Przynosili te fotografie, wołali nas, sadzali na kanapie, to było takie nienaturalne, wręcz pozowane; rozumieliśmy, że rodzice mają te zdjęcia od jakiegoś czasu i rozmawiali o nich w zaciszu swojej sypialni, z której czasami nas wypraszano. Teraz jednak zachowywali się tak, jakby zdjęcia były nowe i jakby oczekiwali, że zareagujemy na nie równie entuzjastycznie jak oni.

– No i? Co myślicie?

Darren nic nie mówił. Naomi nic nie mówiła.

– Wasza nowa siostra jest piękna, prawda?

Darren z wahaniem wzruszył ramionami. Naomi zmarszczyła czoło, ssąc palce.

Mimo dowodu, który stanowiły zdjęcia, urażone rodzeństwo nie do końca przyjmowało to, że będzie miało nową małą siostrę z Chin czy jakiegokolwiek innego kraju. Darren wcale w to nie wierzył, a Naomi w ogóle o tym nie myślała.

Ale pewnego dnia w domu w Grand Rapids w ramionach mamy pojawiło się siedmiomiesięczne niemowlę z miękkimi jak piórka kępkami rzadkich czarnych włosów. Tata był przy nich i w tamtej chwili Melissa stała się ich małą siostrą.

To był szok – dziecko okazało się prawdziwe. Dotąd nie potrafili nawet przyswoić myśli o dziecku, a teraz ono było prawdziwe.

Mogłaś uciec i się ukryć. Mogłaś rozdziawiać usta i mrugać do łóżeczka. Mogłaś zachowywać się idiotycznie, gaworzyć i chichotać jak małpa albo zachowywać się bardzo cicho i zaciskać szczęki, aż bolały tylne zęby. Żadnej różnicy – mama i tata i tak ledwo cię zauważali.

Darren łypał na nią z niechęcią i zazdrością, Naomi wiedziała, że gotów jest udusić tę nową siostrę. Długo nie potrafił choćby wymówić imienia „Melissa” – jak robiła to Naomi.

Knuli więc razem, szepcząc. Marzyli, by rodzice odesłali Melissę z powrotem do Chin! Nikt jej nie potrzebował.

Zbyt młodzi, by rozważyć, że najwyraźniej w rodzinie czegoś brakuje, skoro rodzice poczuli potrzebę posiadania trzeciego dziecka, kiedy ojciec był sporo po czterdziestce, a matka w wieku, w którym ciąża zaczynała być problematyczna – i w czasie, kiedy praca ojca stawała się coraz bardziej niebezpieczna.

Ale Melissa okazała się taka mała, że Darren i Naomi nie potrafili jej zbyt długo nienawidzić.

To było miłe, kiedy zaczęła ich rozpoznawać, uśmiechać się do nich kilka tygodni po pojawieniu się w domu. To było miłe, kiedy zaciskała małą piąstkę wokół twojego palca! A na widok Darrena potrząsała obiema rączkami z radości, jakby chciała mu przekazać jakąś specjalną wiadomość. Kocie piski, które wydawała, nie dawały się zrozumieć, ale Darren udawał, że je rozszyfrował.

– Jak takie niemowlę może rozumieć, co mówimy? – chciała wiedzieć Naomi.

– Niemowlę widzi, czując.

(To Szekspirowska fraza, myślała Naomi wiele lat później. Ale wtedy, kiedy tata wypowiadał ją tak, jakby należała do niego, z jego perspektywy rzeczywiście tak było).

Dopiero kilka lat później, kiedy Melissa urosła na tyle, by zrozumieć albo choć częściowo zrozumieć, mama i tata wyjaśnili jej, że została adoptowana.

Powiedzieli Melissie, że została wybrana. W przeciwieństwie do większości dzieci, które się rodzą swoim rodzicom – jak na przykład Darren i Naomi – i pojawiają na świecie niespodziewanie („ale to wyjątkowe niespodzianki"), Melissa została wybrana aktem ich woli.

Poważnym głosem tata powiedział:

– Adoptowane dziecko to dziecko wybrane. Adoptowane dziecko jest upragnione. Adoptowane dziecko ma dwie pary rodziców i istnieje na świecie podwójnie. Są rodzice biologiczni, których pewnego dnia może pozna, jeśli będzie chciała, a przynajmniej biologiczną matkę. I są rodzice adopcyjni, którzy wybrali ją z mnogości innych dzieci.

Dziwne słowo ta „mnogość". Nie wiedzieliśmy, jak je rozumieć. W samej idei było coś okropnego – wielkie morze małych dzieci i Melissa pośród nich, ledwo się odróżniająca. Nic dziwnego, że spuściła wzrok i czekała, aż gehenna się skończy.

Białe pudełko

– Hej, Naomi! Coś do ciebie.

Białe pudełko. Ale nie czyste białe pudełko.

Jedno z tych pudełek na pączki, z tłustymi plamami.

To już nie była szkoła Montessori w Grand Rapids. Przeprowadziliśmy się do Saginaw w Michigan. Z każdej kolejnej szkoły zapamiętywałam coraz mniej imion i nie znałam tych dziewcząt, które szczerzyły się do mnie i Melissy.

Potem zrozumiałam, że to nie one przygotowały dla nas pudełko. Ktokolwiek wymyślił ten „prezent”, musiał być starszy. Z gimnazjum albo nawet liceum.

– Hej, Naomi. Możesz to wziąć, dla siostry i dla siebie.

(Nie chciałam słyszeć, że tak naprawdę ktoś wymamrotał pod nosem: „Dla twojej skośnej siostry i dla siebie”).

Były podekscytowane. Ich oczy lśniły, patrzyły w różnych kierunkach.

Mimo to myślałam: *Lubią mnie? Naprawdę?*

Ręce drżały mi z podniecenia albo ze strachu.

– No dalej, otwórz je, Na-o-miii. Jest dla ciebie.

Serce mi podskoczyło, pełne nadziei. Uniosło się jak liście wessane nagłym wiatrem. Byłam tutaj strasznie samotna, gdziekolwiek (akurat) mieściło się „tutaj”.

Rozwiązując byle jak zawiązany sznurek i pochylając się, próbowałam zapomnieć, że inni, starsze dzieci, chłopcy i dziewczynki, stoją w pobliżu, przy ścianie, i obserwują. Melissa w milczeniu wpatrywała się w karton.

Otworzyłam pudełko. Rozniósł się ohydny smród.

Mrugnęłam, gapiłam się. Melissa cicho jęknęła.

Kopnęłam pudełko, złapałam Melissę za rękę i na oślep pociągnęłam ją za sobą do szkoły.

W ustach wezbrała mi fala żółci, schyliłam się, zadławiłam.

Wymiociny na podłodze, na moich adidasach. I biedna, przerażona Melissa pytająca: „Co to było? Co tam było?”, bo nie zdążyła obejrzeć zawartości, na pewno nie tak dokładnie jak ja.

Tamtej nocy Melissa obudziła się z krzykiem w łóżku obok mojego łóżka.

Po tym, jak mama wyłączyła przy naszych łóżkach lampkę w kształcie kudłatej owcy, leżałam z zaciśniętymi powiekami, próbując nie widzieć tego pudełka, tego, co tam było, pokaleczone i zakrwawione, ale nie mogłam spać.

– To tylko sen, skarbie. Zły sen.

Mama przytulała Melissę, która jęczała i drżała.

Mama zapytała, czy może wiem, co tak bardzo przestraszyło moją młodszą siostrę – co to za „zły sen”.

– Nie mam pojęcia.

W objęciach mamy Melissa po chwili się uspokoiła. Byłam potwornie zazdrosna, gdy patrzyłam na nie, przytulone: matkę, bardzo piękną (według mnie), i młodszą siostrę. Biała, wełniana owieczka, nasza nocna lampka, dawała ciepłe światło, ale rzucała też mocne cienie, które przypominały ostrza noży chowające się w pościeli na obu łóżkach i pod nimi, gdzie coś mogło się ukrywać.

– To przez to miejsce – Saginaw. Nie chcą nas tutaj. My nie chcemy tu być.

Mama mówiła ochrypłym szeptem. Mama przytulała Melissę, która przyklejała się do jej ciężkiego oddechu. W głosie mamy słychać było nutkę wyrzutu: „To wina waszego ojca. Nie moja!”.

– Naomi, jesteś pewna, że nic się nie wydarzyło? Melissie? Tobie? W szkole?

Potrząsnęłam głową. Nie. Nie lubiłam, gdy mnie budzono, nawet jeśli tak naprawdę nie spałam.

Zresztą co miałam powiedzieć matce? Nie było odpowiednich słów.

Kiedy zapytałam Darrena, czy tata zabija dzieci, mój brat skrzywił się i wyniośle oznajmił, że tak się ich nie nazywa.

Nie rozumiałam. Jakich „ich”? Kim są „one”?

– Płody – powiedział Darren. – To są płody, głupku.

Fajtłapa

Innym razem na schodach do sali gimnastycznej szkoły podstawowej w Saginaw wielka dziewczyna od Biedenków popchnęła mnie, a ja upadłam i skręciłam kostkę. Próbowałam nie płakać, ale naprawdę bolało.

– Jak ci się to podoba, gnojówo? Twój stary jest cholernym zabójcą dzieci.

Dorosłym powiedziałam, że miałam wypadek na schodach. Spieszyłam się, nie patrzyłam pod nogi. Ominęłam stopień. Upadłam.

– Moja wina, jestem taką fajtłapą.

W okolicy mieszka zabójca dzieci

Kiedy te musztardowożółte ulotki pojawiły się po raz pierwszy, wpychane do skrzynek pocztowych sąsiadów i za wycieraczki ich samochodów lub pod drzwi, przybijane do słupów telefonicznych w okolicy, ponaddzierane, postrzępione, zwiewane wiatrem, rozpłaszczone na siatkowych płotach, nawet na naszym, dryfujące w kałużach jak nieme, martwe przedmioty, nie wiedzieliśmy, bo przecież „jesteśmy dziećmi, nie musimy wiedzieć”.

A jeśli cokolwiek wiedzieliśmy, to się nie przyznawaliśmy, bo wiedzieć to nie to samo co przyznać, że coś wiesz, szczególnie przed rodzicami; jeśli się nie przyznasz, że coś wiesz, to nie musisz tego wiedzieć ani o tym pamiętać.

Darren wiedział, ale Naomi nie. Melissa nie wiedziała.

Bardzo długo, przez wiele lat Melissa nie wiedziała.

Mimo to: widzieliśmy, jak Melissa schyliła się, by podnieść jedną z tych brzydkich musztardowożółtych ulotek z mokrego od deszczu chodnika koło domu, jak się w nią wpatrywała, wygładzała małymi rączkami, wpatrywała i wpatrywała. Zaciekawiona? Skonsternowana? Najwyraźniej nie zdenerwowana ani przestraszona. Złożyła ją i schowała do plecaka, jakby chciała zachować.

I jeszcze: małe białe drewniane krzyże wbite w ziemię nocą przed kliniką kierowaną przez Gusa Voorheesa, pospiesznie usuwane przez personel, który przyjechał rano.

Krzyże, których nie widzieliśmy na własne oczy, więc nie możemy ich pamiętać.

Podobnie jak nie słyszeliśmy recytowanego „Ojcze nasz, Zdrowaś Mario!”.

Podobnie jak nie słyszeliśmy śpiewnych wersów, które brzmiały jak zepsuta kołysanka:

Wolny wybór? Przestań kłamać
– żadne dziecko nie chce umierać.

Podanie, Wydział Sztuk i Nauk Ścisłych Uniwersytetu Michigan[2]

Proszę nam opowiedzieć o swoim pochodzeniu. Gdzie się pani urodziła, gdzie dorastała, proszę opowiedzieć o dzieciństwie i rodzinnych wspomnieniach. Dlaczego chciałaby pani studiować na Uniwersytecie Michigan i co ma pani nadzieję tu znaleźć.

Ponieważ tę historię opowiadano nam po wielokroć. Byliśmy rodziną z Ann Arbor.

Ponieważ urodziłam się w szpitalu uniwersyteckim w Ann Arbor 7 kwietnia 1987 roku.

Ponieważ wtedy byliśmy szczęśliwi.

Ponieważ na Uniwersytecie Michigan są specjalne budynki dla studentów z niepełnosprawnościami.

Ponieważ mój ojciec, doktor Gus Voorhees, w 1974 roku z wyróżnieniem ukończył Wydział Sztuk i Nauk, otrzymał dyplom licencjata, a w szkole medycznej tej uczelni zrobił specjalizację z położnictwa i zdrowia publicznego. Ponieważ mój ojciec chciał, by wszystkie jego dzieci uczęszczały na Uniwersytet Michigan, i mam nadzieję to zrobić, by uczcić jego pamięć.

Ponieważ ojciec mnie nie porzucił, tylko kochał.

Ponieważ moja rodzina się rozsypała. Ponieważ ja się rozsypałam.

Ponieważ jako studentka Uniwersytetu Michigan w Ann Arbor będę mieszkać tu, gdzie mieszkali moi rodzice.

Ponieważ opowiadano mi, że matka woziła mnie w wózku po ulicach Ann Arbor, po ścieżkach i kampusie, kiedy byłam niemowlęciem. Ponieważ młody ojciec nosił mnie w nosidełku, kiedy spacerowaliśmy po arboretum.

Ponieważ opowiadano mi, że mieszkaliśmy w wynajętym dwupoziomowym mieszkaniu na Third Street, a potem w bloku na State Street. Ponieważ opowiadano mi, że ulubioną restauracją rodziców była Szechuan Kitchen na State Street, gdzie stoliki ustawiano na dworze, gdy tylko było ciepło, i tam sadzano mnie na w dziecięcym wysokim krzesełku.

Ponieważ opowiadano mi, że byliśmy wtedy tacy szczęśliwi!

Ponieważ był to czas, zanim tata zaczął nas ciągle zostawiać.

Ponieważ był to czas, kiedy – jeśli taty nie było – nie baliśmy się, że nie wróci.

Ponieważ niewiele pamiętam wyraźnie z tamtego czasu, a to, co pamiętam, przypomina film, który widziało się bardzo dawno temu i tylko raz.

Ponieważ tak wspominasz film, który w tamtym momencie zrobił się nieważny, bo akurat zgłodniałeś albo zachciało ci się do łazienki – matka musiała cię jak najszybciej zabrać, zanim zdarzy się wypadek.

Błahe udręki, (fizyczne) istnienie dziecka. To nasze pierwsze wspomnienia, ale nie cenimy ich wysoko.

Mam więc nadzieję, że jeśli zostanę przyjęta na Uniwersytet Michigan w Ann Arbor, przypomnę sobie nieco szczęścia z mojego utraconego życia.

Ponieważ Uniwersytet Michigan w Ann Arbor jest jednym z wielkich państwowych uniwersytetów w Stanach Zjednoczonych.

Ponieważ moi rodzice wierzyli w publiczną, a nie prywatną edukację, wierzyli w demokrację, która dzisiaj nie jest już taka popularna.

Ponieważ mieli nadzieję – dla swoich dzieci. Ponieważ jestem jednym z ich dzieci.

Ponieważ próbuję zrozumieć odpowiedzialność płynącą z więzów krwi.

Ponieważ mój ojciec nie wierzył, że można kwestionować to, o czym instynktownie wiesz, że jest twoim obowiązkiem.

Ponieważ mój ojciec Gus Voorhees jako osiemnastolatek wstąpił na Uniwersytet Michigan w Ann Arbor, a moim pragnieniem jest odkryć, jak stał się osobą, którą był potem – o ile to w ogóle możliwe.

Ponieważ za kilka miesięcy skończę osiemnaście lat.

Ponieważ w tym miejscu się poznali – w Ann Arbor, w stanie Michigan. Bez tego miejsca i tamtego czasu nigdy by się nie spotkali.

Mojego brata Darrena nie byłoby na świecie. Mnie by nie było.

Nasza siostra byłaby na świecie, ale mieszkałaby w Szanghaju (?). A może Melissy też nie byłoby na świecie?

W latach osiemdziesiątych, w trakcie podróży do Chin i wycieczki łodzią po rzece Jangcy, ojciec widział ciała niemowląt dryfujące w błotnistej wodzie.

Niemowlęta, dziewczynki, tak nam powiedzieli.

Ponieważ widział i nie zapomniał.

Ponieważ tak niewiele możemy zrobić. A jednak naszym obowiązkiem jest to zrobić.

Ponieważ on nie stracił wiary i ponieważ ja mam nadzieję dowiedzieć się, czym jest wiara.

Ponieważ kiedy 2 listopada 1999 roku ojciec został zamordowany, eksplozja wystrzału w jednej sekundzie unicestwiła całą jego pamięć o naszej rodzinie.

Ponieważ my jesteśmy tą rodziną, zostaliśmy w tamtej sekundzie unicestwieni.

Ponieważ to, co straciliśmy, można odzyskać tylko wysiłkiem.

Ponieważ jeśli zostanę przyjęta na Uniwersytet Michigan, będę kontynuować budowę archiwum życia (i śmierci) mojego ojca Gusa Voorheesa. Ponieważ wykorzystam uniwersytecką bibliotekę, by szczegółowo i metodycznie poszukiwać informacji tak, jak dotąd nie próbowałam.

Ponieważ straciłam lata, kiedy nie mogłam zacząć.

Ponieważ po śmierci ojca nieregularnie i bez planu zaczęłam budować to archiwum, nie wiedząc, co robię, tak jak szczur zbiera przedmioty i wtyka je do gniazda, a teraz, kiedy jestem starsza i mniej niepełnosprawna, będę z większym rozmysłem kontynuować badania. Ponieważ matka była na mnie zła, kiedy odkryła, że to, co robiłam, robiłam nie z rozmysłem, ale w tajemnicy (jak sądziła), bo nie chciałam, by to widziała, więc chowałam wszystko w nieodpowiednim miejscu, gdzie panowała wilgoć, dlatego duża część materiału została zniszczona, zgniła, rozpadła się. Ponieważ matka uznała, że robiłam to z rozmysłem i w tajemnicy (jak sądziła), choć nie miałam pojęcia, co robiłam, bo sama nie wiedziałam, co robię, bo moje myśli były chaotyczne i nie miałam pewności, czy Naomi jest tą samą osobą jednego dnia co następnego i czy tej osobie można ufać.

Ponieważ jeśli zostanę przyjęta na pierwszy rok tego uniwersytetu, będę się zachowywać jak pierwszoroczniak na tym uniwersytecie. Ponieważ będę naśladować widoczne zachowanie innych studentów, a z niego uda mi się chyba wywnioskować, na czym polega zachowanie, które nie jest widoczne, i się go nauczyć.

Ponieważ matka powiedziała: „Przepraszam, nie mogę już być waszą mamą”.

Ponieważ matka powiedziała: „Musicie iść własną drogą. Przepraszam”.

Ponieważ po śmierci ojca moją duszę ogarnęła choroba.

Ponieważ jako dziewczynka nienawidziłam tych, którzy mają oboje żyjących rodziców.

Ponieważ był we mnie ogromny gniew, nawet kiedy się do nich uśmiechałam, i myślałam wtedy: *Kiedyś się dowiecie, jak to jest. Któregoś dnia oni umrą.*

Ponieważ minęło tyle lat, a morderca wciąż żyje, w więzieniu w Ohio.

Ponieważ czekamy na jego śmierć – jego egzekucję.

Ponieważ to chore, nienawistne uczucie: czekać na czyjąś egzekucję.

Ponieważ jeśli zostanę przyjęta na ten uniwersytet, wykorzystam wszystkie możliwości jego biblioteki, by poszukać informacji o życiu i śmierci Gusa Voorheesa. To, co robiłam chaotycznie i po dziecinnemu, teraz zostanie zrobione uważnie, przysięgam.

Ponieważ w bibliotece są mikrofilmy, które nauczę się badać. Wykorzystam komputery.

Będę szukać listów, zdjęć, rękopisów – każdego możliwego dokumentu. Będę szukać.

Będę szukać w Ann Arbor i w Ypsilanti ludzi, którzy znali mojego ojca, i będę z nimi rozmawiać. Ludzi, którzy znali moich rodziców. Lekarzy, pracowników szpitala, przychodni dla kobiet. Znajomych, sąsiadów. Pójdę do nich i zapytam: „Pamiętacie mnie? Jestem Naomi, córka Gusa Voorheesa”.

Fałszywy alarm. Czerwiec 1997

Czy pani rodzice byli szczęśliwi?

Jak to jest być dzieckiem Gusa Voorheesa?

A pani matka – jak przez szesnaście lat żyło się Jennie Matheson jako żonie Gusa Voorheesa?

– Bo tak mówię.

W mózgu mojego dziwnego brata Darrena utknęło przekonanie – tak jak między zębami może utknąć coś nitkowatego, co doprowadza cię do szału, bo nie możesz tego wydłubać – że decyzja naszej matki, czy raczej nagła zmiana planów naszej matki, to zły pomysł.

– Dlaczego? – pytałam uparcie. – Dlaczego nie? Co to za różnica?

– Niedobrze jest zmieniać plany pod wpływem impulsu.

– Jesteś śmieszny.

– Sama jesteś śmieszna.

Zirytowany brat gapił się na mnie. Ja za to specjalnie wpatrywałam się w trądzik na jego czole i policzkach, bez którego Darren byłby wyjątkowo atrakcyjnym chłopakiem.

Ze słusznym jego zdaniem uporem, który ćwiczył, rycząc w swoją trąbkę w garażu (dokąd wygnała go matka, błagając: „Darren, proszę! Niektórzy z nas próbują odzyskać zmysły”), oznajmił:

– Ona powinna zadzwonić pierwsza.

– A skąd wiesz, że nie dzwoniła?

– Bo ją zapytałem. Odparła: „To nie jest konieczne”.

Darren dobrze uchwycił wyniosły spokój głosu naszej matki, ale nie ukryte w nim drżenie. Owa kpina, jeśli to była kpina, wywołała we mnie skrępowanie, bo oczywista i niezmienna prawda była taka, że kochałam matkę dużo bardziej, niż kochałam mojego trudnego brata.

– Dlaczego w takim razie sam nie zadzwonisz do taty? Skoro to takie konieczne.

– Dlaczego ja mam dzwonić do taty? To ona jest jego cholerną żoną.

W ustach Darrena „ona” było pełnym nienawiści, twardym słowem, które miało mnie zaszokować.

I dodał:

– Ma jakiś koncept.

– Koncept? Co to znaczy?

– Pomysł. Jakiś powód. Jakiś cholerny motyw.

Tyczkowaty Darren z nieporadnymi kończynami. Miał trzynaście lat, ale był już prawie tak wysoki jak matka i górował nade mną, jakby próbował straszyć swoją posturą. Z dziwną nieśmiałością zdawał się unikać Melissy, której nie chciał zastraszać, ale z którą nie potrafił rozmawiać.

W gruncie rzeczy Darren stawał się opiekuńczy wobec młodszych sióstr. Jeśli było trzeba. Ponieważ taka opiekuńczość jest braterskim obowiązkiem.

– A kogo to, do diabła, obchodzi.

Darren mówił z irytacją, obrzydzeniem.

Staliśmy na górze, w wąskim, niskim korytarzu, który czasami bzyczał od much, choć nie zawsze było je widać. Brat gwałtownie mnie minął, jakby pytania go rozdrażniły. Mógłby mnie nie potrącić, gdyby się postarał, ale się nie postarał; oddychał głośno przez usta jak dyszące zwierzę, tak bardzo chciał uciec, zanim zrobi większą krzywdę swojej siostrze.

W rodzinie z więcej niż dwojgiem dzieci zawsze jest to najstarsze, czasem dziewczynka, u nas chłopak, obciążone przedwcześnie nabytą wiedzą o rodzinnych układach, której nie mają inne dzieci, przez co te ostatnie po-

zostają młode i nieświadome. To niewdzięczny obowiązek, co Darren zdawał się wiedzieć już wcześniej, w dodatku nie da się przed nim uciec.

Pewnego dnia ktoś mnie zapyta, czy przed śmiercią naszego ojca brat był dzieckiem pełnym złości, czy też niezwykle emocjonalnym. Odpowiem zatroskanym tonem: „Mój brat był normalnym chłopcem jak na swój wiek, pochodzenie i czasy. Byliśmy normalną rodziną i byliśmy szczęśliwi, chyba że akurat nie mieliśmy pewności, czy jesteśmy szczęśliwi czy nie, ponieważ kazano nam o tym myśleć i się zastanawiać. Czy się kochaliśmy? Tak. Kochaliśmy się".

– Hej, dzieciaki, chodźcie! Spóźnimy się.

Mama wołała nas z dołu. Ten głos!

Radosny głos, szczęśliwy głos, głos matczynego rozsądku. Głos mamy z telewizji, na granicy cierpliwości i rozbawienia, uniósł się po schodach:

– Złaźcie tu, *mes amis*, albo jedziemy bez was!

To był uroczysty głos. Tak by się mogło zdawać.

Nie ten głos, który podsłuchiwaliśmy w telefonie, błagający: „Gus, proszę, oddzwoń. Gus, tak bardzo się martwię, gdzie jesteś, kochanie?".

Melissa czekała już zapięta w foteliku w naszym kombi – ponieważ Melissa (adoptowana, ontologicznie niepewna) nigdy się nie spóźniała.

Rzeczywiście, skoro mama chciała, byśmy wyszli z domu równo w południe, a było już kilka minut po, to miała prawo zdradzać zniecierpliwienie.

Zeszliśmy szybko po schodach. Prowadził Darren, stawiając ciężkie kroki, jak często w tym (wynajętym) domu na Salt Hill Road, którego nie znosił, jakby próbował połamać drewniane stopnie.

Za nim Naomi. Nie ośmielała się iść zbyt blisko, żeby nie nadepnąć bratu na pięty, bo wtedy Darren odwróciłby się z wściekłością i uderzyłby ją wierzchem dłoni, jak dyscyplinuje się zbyt gorliwego psa.

Czasami (trzeba przyznać) Naomi nadeptywała bratu na pięty z czystej złośliwości, jak to robi rodzeństwo; taką małą napaść z premedytacją łatwo można pomylić z przypadkową napaścią, za którą nie można nikogo winić.

– Uważaj!

– Nie zrobiłam tego specjalnie.

Wybiegliśmy z domu niemal w tandemie. Ponieważ zawsze był w nas na wpół przyjemny ślad dziecięcej paniki.

– Czekaj! Zaczekaj na mnie!

Pogodny ciepły dzień w hrabstwie Huron, połowa czerwca, ledwie tydzień po zakończeniu szkoły.

Oślepiający blask bił z nieba bez koloru, odbijającego pomarszczoną wodę jeziora Huron, które leżało osiem kilometrów na północ, niewidoczne z Salt Hill Road.

Niczym smuga bladego wrzosu – lniane spodnie, dopasowana marynarka – matka wślizgnęła się na fotel kierowcy chevroleta kombi. Lśniące ciemne włosy zaplotła w gruby, opadający na plecy warkocz. Oczy, często łzawiące w ostrym powietrzu, ukryła za przeciwsłonecznymi okularami, a usta, które ojciec (żenująco) nazywał „wybitnie całuśnymi”, miały kolor ciemnej śliwki.

Obok matki siedziała nasza młodsza siostra Melissa, zadziorna, ciemna i urocza. Taka mała, ale tak nieprzeszkadzająca, że można by nie zauważyć jej obecności.

Ale Melissa zawsze była.

Nie lubiliśmy myśleć o tym (Darren i Naomi nie lubili myśleć), jak często Melissa siedziała z przodu z naszą matką albo – rzadziej – z ojcem. To się zaczęło w mgnieniu oka i nieodwołalnie, gdy tylko Melissa była dość duża, by nie siadać w zawstydzającym dziecięcym foteliku z tyłu – usiadła na siedzeniu pasażera obok kierowcy.

Nie narzekaliśmy, w ogóle tego nie zauważyliśmy.

Ale siedzieć tak na tylnej kanapie, nam, dwojgu starszych dzieci, skazanym na swoje towarzystwo, gapić się zimnym wzrokiem przez boczne szyby, celowo ignorując siebie nawzajem – nie było fajnie.

A teraz byliśmy spóźnieni. Prawie. Mama pospiesznie wycofała chevroleta na pełnym kolein i kałuż podjeździe, przeklinając pod nosem.

– A niech to szlag!

Nasz (wynajęty) dom, pięć kilometrów na zachód od małego miasta St. Croix w Michigan, był pokryty szalunkiem i miał kolor szarej bieli, jak brudne mewie pióra. Dom do zapomnienia, dom, którego nie zauważałeś, póki nie stanąłeś przed nim; taki dom nie tworzy wspomnień, choć tworzy – miał tworzyć – żal, rosnący jak muchomory wyłaniające się z mokrej ziemi wokół jego fundamentów.

Jedenaście kilometrów w kierunku przeciwnym do St. Croix (11 400 mieszkańców) znajdowało się mniejsze miasto, Bad Axe[3] (3040 mieszkańców). Kiedy przeprowadzaliśmy się z Saginaw do wiejskiego hrabstwa Huron, matka powiedziała, że przynajmniej nie mieszkamy w miejscu o nazwie Zły Topór. Nikt by mi nie uwierzył!

Oszalowany wiejski dom zbudowano na nierównym pagórku, kupie ziemi wyniesionej niczym kciuk. W kamiennym fundamencie widniało niewyraźne „1939”.

Niebrukowany podjazd wił się ostro w dół, do Salt Hill Road, gdzie stała skrzynka pocztowa – przekrzywiona i poobtłukiwana od niezliczonych kolizji.

W St. Croix był też drugi dom, który rodzice wynajęli (albo zamierzali wynająć) kilka miesięcy wcześniej. W stylu rancza, w dzielnicy mieszkaniowej (ledwie trzy przecznice od szkoły podstawowej Melissy), do którego częściowo się już przeprowadziliśmy, ale coś poszło nie tak – spór o warunki wynajmu, nieporozumienie (albo „dyskusja”) między właścicielem i naszym ojcem – i pudła, które rozpakowaliśmy, trzeba było pospiesznie i pokornie pakować na nowo, potem ładować na wynajętą przyczepę i w ciągu jednego nerwowego dnia znowu się przeprowadzić, do tego właśnie wiejskiego domu na Salt Hill Road, który moi rodzice odrzucili (matka ze szczególną stanowczością), obejrzawszy go kilka tygodni wcześniej.

Ojciec bez przekonania obiecywał, że wkrótce znajdziemy inny, odpowiedniejszy dom w St. Croix.

By oszczędzić nam wiejskich szkolnych autobusów, którymi żadne z nas nie lubiło jeździć, w pierwszych tygodniach nauki matka zazwyczaj odwoziła nas do szkoły i przywoziła do domu.

Rodzice prosili, byśmy nie mówili o szkolnych autobusach. Żeby nie narzekać. Dręczenie, zaczepki, seksualne aluzje, „chuligańskie zachowanie” – oszczędzono nam doświadczeń dojazdów do szkoły na amerykańskiej wsi, ale nie wolno nam było myśleć, że w jakikolwiek sposób jesteśmy lepsi od synów naszych sąsiadów z hrabstwa Huron.

Bo nasi rodzice byli stanowczymi, idealistycznymi, nieustępliwymi (na ogół) liberałami. Wierzyli wyłącznie w publiczną edukację i próbowali przekonywać siebie nawzajem, że kształcenie dzieci w państwowej szkole hrabstwa Huron nie zniweczy ich szans na studia na najlepszych uniwersytetach.

W samochodzie Darren był zmartwiony i niespokojny.

– Mamo, dzwoniłaś do taty? Czy on wie, że po niego jedziemy? – Darren nie mógł się powstrzymać przed zadaniem tego pytania.

– Nie, Darren. Muszę najpierw oddać samochód na przegląd do warsztatu. Wiesz o tym.

– Ale...

– Dotrzemy do kliniki, zanim wasz ojciec wyjedzie. Nie katastrofizuj!

To było najpoważniejsze napomnienie naszego ojca: „Proszę, nie katastrofizuj”. Całkiem zmyślone słowo – o czym dowiedzieliśmy się później. Które nigdy nie odnosiło się do samego ojca.

Tata operował według tak napiętego i tak dokładnie ułożonego grafiku, niemal zawsze spóźniony, uciekający przed telefonami, szukający kluczyków, portfela, czasami nawet butów, że nie mógł znosić jeszcze niepokojów innych ludzi.

To czujny wzrok Darrena odkrył tego ranka na naklejce serwisowej, że przegląd chevroleta jest nieważny od pięciu miesięcy. Z ponuro-zadowolonym wyrzutem pobiegł powiedzieć matce, że grozi jej mandat, a być może

aresztowanie, bo jeździ bez ważnej naklejki na 1997 rok, wydawanej przez Wydział Komunikacji Stanu Michigan.

– Musicie szybko oddać samochód do przeglądu, ty albo tata!

Tata miał nowsze auto, używane volvo rocznik 1993, a mama odziedziczyła do swojej dyspozycji chevroleta z 1991 roku. Odpowiedzialność za kombi spadła więc między dwoje dorosłych jak przypadkowo rzucona piłka, tocząca się niezauważenie koło ich stóp.

Według pierwotnego planu dnia mieliśmy spotkać się z tatą o pierwszej, na lunch w restauracji Nad Zatoką – nowej ulubionej knajpie rodziców, z widokiem na jezioro Huron, jakieś osiem kilometrów na północ od naszego domu. Tata miał tam przyjechać z centrum St. Croix, trochę ponad trzy kilometry od domu. Jednak tego ranka mama, bez konsultacji z tatą, wpadła na „genialny i praktyczny” pomysł: pojedziemy do St. Croix, zostawimy chevroleta w warsztacie, przejdziemy tę niewielką odległość do kliniki, w której Gus Voorhees jest szefem, i zrobimy mu niespodziankę: „Dzieciaki, nigdy nie widziałyście ojca w pracy, musimy to nadrobić”. Potem, wymyśliła mama, ojciec zawiezie nas wszystkich do knajpki Nad Zatoką, a kiedy zjemy lunch, wczesnym popołudniem, kombi będzie gotowe do odbioru po przeglądzie.

Oczywiście pedantyczny Darren oprotestował tę zmianę planów z dwóch powodów: po pierwsze, to była zmiana planów, a coś takiego z założenia go irytowało, po drugie, co będzie, jeśli ojciec wyjedzie na lunch, zanim zdążymy dojść do kliniki? Jak dotrzemy do restauracji?

– Nie bądź śmieszny, Darren. Dotrzemy do kliniki przed wpół do pierwszej. Ojciec nie będzie wychodził do restauracji wcześniej niż za piętnaście pierwsza. Gus Voorhees nigdy nigdzie nie przyjechał wcześniej i raczej nie zdarzy się to dzisiaj.

– Uważam, że i tak powinnaś zadzwonić do taty.

– Ojciec nie lubi, kiedy przeszkadza mu się w pracy takimi telefonami. Zrobimy mu niespodziankę.

– To nie jest „taki telefon”. To my!

– Wasz ojciec nie lubi zbędnych telefonów. Jest zajętym człowiekiem.

– Ale jeśli wyjedzie na lunch wcześniej?

Mój bezmózgi brat powtarzał się jak papuga. Przedstawiał swój kiepski sprzeciw z tak ponurą miną, że matka tylko się z niego śmiała. Jak niby mogłoby się to zdarzyć! Dlaczego jest taki niemądry! W śmiechu naszej matki było coś drażniącego i prowokującego, jak drapanie paznokciem po tablicy.

– A co... a co, jeśli kombi nie będzie gotowe, kiedy wrócimy z lunchu? Jak dotrzemy do domu? – To był niezdarnie zadany śmiertelny cios Darrena.

– Jak dotrzemy do domu? Darren, mieszkamy kilka kilometrów dalej. Zawsze znajdzie się sposób, żeby dotrzeć do domu.

We wstecznym lusterku widzieliśmy ostrzegawczy błysk w oczach matki, choć wciąż się do nas uśmiechała. Była radosna, energiczna.

Ależ wydawała nam się piękna! Przed katastrofą.

Mama powiedziała, że jeśli kombi nie będzie gotowe, gdy wrócimy z lunchu, zaczekamy w bibliotece.

– I tak chciałam tam pójść po książkę. Może to nie Ann Arbor, ale biblioteka nie jest zła.

Matka często zaczynała jakąś smutną uwagę zdaniem: „Może to nie Ann Arbor, ale...”.

Mieszkaliśmy w Ann Arbor dawno temu. Dla mnie całe życie temu.

Darren z pogardą zaprzeczał większości moich wspomnień z Ann Arbor, mówił, że są fałszywe. Ale ja bardzo chciałam pamiętać miejsce i czas, w którym matka była szczęśliwsza (co wszyscy wiedzieliśmy, bo nie kryła swoich uczuć). Urodziłam się (tak mi przynajmniej powiedziano) w szpitalu Uniwersytetu Michigan, gdzie wówczas pracował Gus Voorhees; wkrótce potem zmienił zawodowe zainteresowania i zajął się zdrowiem publicznym, leczeniem kobiet i opieką nad nimi, więc się przeprowadziliśmy. Z Ann Arbor niewiele pamiętam wyraźnie, oprócz ogromnego górzystego parku ze ścieżkami spacerowymi, po którym ojciec nosił mnie w nosidełku – pamiętam radość z tych spacerów, przyjemne podskakiwanie, jak kołysa-

nie w kołysce, park rozpościerający się cudownie przed oczami, mimo że niesiono mnie tyłem do kierunku marszu.

Mama oczywiście chodziła z nami po tym pięknym miejscu, które nazywali arboretum. Darren również – tak zakładałam. Choć akurat jego nie bardzo pamiętałam.

W drodze do St. Croix mijaliśmy pola, farmy, niewielkie szalowane domy, brudnobiałe i obrzydliwe (ostatnio było to ulubione słowo Darrena) tak samo jak nasz. Brat ułożył ramiona i długie nogi na siedzeniu obok mnie i wciąż wyrażał obawy, scenicznym szeptem, by słyszała go matka. W końcu odezwała się, zerkając na niego w lusterku:

– Darren, posłuchaj: są już niemal moje urodziny. W urodziny chcę robić to, co mi się, do diabła, podoba.

– Masz urodziny dopiero w przyszłym tygodniu!

Oczywiste przeinaczanie faktów przez matkę szczególnie irytowało Darrena. Miał trzynaście lat, brał wszystko dosłownie i stawał się coraz bardziej drobiazgowy i krytyczny – nie wobec siebie, ale wobec nas. Żarty rodziców, które miały rozbawiać, obrażały go, ponieważ Darren uważał, że maskują ciemniejszą i głębszą rzeczywistość, która niczym mgła unosiła się nad smętną roślinnością otaczającą nasz dom.

Matka powiedziała błagalnym tonem:

– Posłuchaj, jestem pewna, że właśnie dlatego wasz ojciec chciał się dzisiaj wybrać na tę wycieczkę. W przyszłym tygodniu wyjeżdża do Waszyngtonu. W poprzedni weekend też go nie było. Darren, spróbuj się odprężyć, proszę. Jesteś taki... zły...

Darren mruknął coś, co brzmiało jak: „Zły! Jezu”, i skurczył się na siedzeniu, kopiąc w tył fotela kierowcy.

W naszej rodzinie rozwinęła się tradycja rodzinnych wycieczek. Były to niespodziewane przygody zaplanowane przez ojca – zwykle improwizowane, kiedy pojawiało się okienko w jego ciasnym grafiku – kilka ukradzionych godzin, jak lubił mawiać. Rodzinna wycieczka była niespodzianką. Nie mógł w niej uczestniczyć nikt oprócz rodziny Voorheesów

(dwoje dorosłych, troje dzieci); zawsze oznaczała jazdę samochodem, tak daleko, jak pozwalały czas i zdrowy rozsądek – raz nad jezioro Houghton, innym razem nad zatokę Saginaw, do Katechay Point. Gus Voorhees rzadko mógł wziąć kilka dni wolnego z rzędu (czy raczej: Gus Voorhees rzadko chciał wziąć kilka dni wolnego z rzędu), ale kiedy to się udawało, a my nie szliśmy akurat do szkoły, zabierał swoje „plemię" na wyspę Mackinac w północnym Michigan, do rozpadającej się chaty należącej do jakichś krewnych.

To były nasze najszczęśliwsze chwile. Tak się zdawało.

Matka nieczęsto bywała taka energiczna i zabawna jak tamtego dnia, nieczęsto tak dużo się uśmiechała. I tak olśniewająco.

Może tylko zbyt olśniewająco.

Wystroiła się na tę wycieczkę. Nie włożyła jak zwykle flanelowej koszuli, koszulki, podartych dżinsów i brudnych nike'ów (ostatnio, przynajmniej w domu, w ogóle chodziła boso), ale stylowy wrzosowy lniany garnitur kupiony w komisie w Birmingham, na przedmieściach Detroit (mama kupowała większość ubrań w komisach z zasady, uważała za moralnie oburzające ceny większości ciuchów). Uczesała i zaplotła włosy sięgające jej niemal do pasa i „zrobiła" sobie twarz. *Zrobiła się piękną dla Gusa Voorheesa, choć nie jest (wie to i przyjmuje) piękną kobietą, ale kobietą namiętną i pełną pasji, kobietą, która potrafi (czasami) przekonać mężczyznę (tego mężczyznę), że jest piękna, a jeśli nie jest piękna, to że uroda nie ma znaczenia – liczą się namiętność i pasja.*

Zwykle było inaczej – przez całe dnie, tygodnie nasza matka rzadko się uśmiechała. Jej uśmiech przypominał za mocno naciągniętą gumkę. Zwłaszcza w najgorszych okresach niekończącej się zimy w Michigan, teraz już za nami. (Woleliśmy nie myśleć: tak, za nami, ale i przed nami). W te wieczory, kiedy ojciec nie wracał do domu na kolację, bo był gdzie indziej, na innym posiłku albo w ogóle wyjechał do innego miasta czy innego stanu, jadł kolację z bogatymi darczyńcami (w Birmingham, Bloomfield Hill, Grosse Pointe) wspierającymi organizacje kobiece, a tymi darczyń-

cami zwykle były bogate kobiety (starsze, samotne), u których czas spędzony z Gusem Voorheesem wywoływał dreszcz emocji.

W Michigan w pewnych kręgach ojciec stał się kimś w rodzaju męskiego feministy po tym, jak w 1981 roku wygłosił w legislaturze stanowej pełne pasji przemówienie, które przekonało wystarczająco wielu prawodawców (z założenia konserwatywnych), by głosowali za stworzeniem specjalnej komisji zajmującej się prawami reprodukcyjnymi kobiet, w której działał potem Gus Voorhees. Zwiększono również budżet na usługi medyczne dla kobiet, co w Michigan było kwestią równie kontrowersyjną jak w całych Stanach Zjednoczonych: czy publiczne fundusze powinno się wydawać na zabiegi aborcji? I na jakiego rodzaju aborcje – na żądanie, terapeutyczne, w wypadku ciąży będącej wynikiem gwałtu lub kazirodztwa? Czy powinno się wydawać publiczne fundusze na środki antykoncepcyjne? Kwestie opieki społecznej, które zdawały się ustalone wiele lat wcześniej, bynajmniej nie były ustalone – podlegały nieustannym atakom i stawały się coraz bardziej kruche od czasu wyborów prezydenckich, które w 1980 roku wygrał Ronald Reagan. Żaden temat nie wywoływał w obu partiach politycznych większych emocji i każdy kolejno wybrany rząd i każda kolejna kampania, która miała na celu utrzymanie, zwiększenie albo zmniejszenie budżetu, wykorzystywały autorytet Gusa Voorheesa jako rzecznika do spraw zdrowia publicznego i lekarza.

Nasz ojciec od dawna był atakowany przez wrogów (o czym dowiedzieliśmy się po jego śmierci). Pozwalano nam oglądać w mediach niektóre bardziej przyjazne reakcje – artykuły w gazetach w Ann Arbor i Detroit, teksty w „University of Michigan Alumni Bulletin”, „Michigan Public Health” czy „Michigan Life” i reportaż *Krucjata o prawa kobiet* w „New York Times Magazine” przedstawiający sylwetkę Gusa Voorheesa.

W wieku czterdziestu lat właściwie zrezygnował z życia prywatnego. Dlatego matka mówiła z żalem i jednocześnie (zdawało nam się) z nutką dumy:

„Sława? Niesława. Trudno je rozdzielić”.

W zimowe popołudnia przechodzące w zmierzch znajdowaliśmy matkę leżącą na zapadającym się metalowym łóżku w pokoju rodziców na piętrze, smutnym pokoju z tapetą odłażącą jak mokra chusteczka. Matka zakrywała twarz wilgotnym ręcznikiem (bo co dwa, trzy tygodnie cierpiała na coś, co nazywała „idiopatetyczną migreną"), albo (w lepsze dni) siedziała na górze w pokoju, który nazywała swoim biurem, pod skosem dachu, przy stole, twarzą do mansardowego okna, pracując na komputerze IBM, marszcząc czoło w skupieniu lub z przejęcia. Bowiem Jenna Matheson (dyplomowany prawnik stanu Michigan) wysyłała i otrzymywała niezliczone mejle, wykonywała i odbierała niezliczone telefony; potrafiła zatopić się w swojej pracy tak jak ojciec – albo prawie. Udzielała porad prawnych organizacjom kobiecym w Ann Arbor, Grand Rapids i Saginaw, a także w Planowanym Rodzicielstwie w Michigan, z którym była najbardziej związana; współredagowała „Kobiety i Prawo. Przegląd Amerykański", publikowany przez związek kobiecych organizacji prawnych na Wydziale Prawa Uniwersytetu Chicagowskiego. Nieustannie pisała recenzje, eseje, przez wiele lat redagowała swoją stustronicową pracę magisterską (z literatury, Uniwersytet Wisconsin) zatytułowaną *Kobieta sponiewierana. Portrety bohaterek literackich*, z nadzieją na publikację.

Czasami, kiedy zbliżaliśmy się do gabinetu matki, słyszeliśmy ją rozmawiającą przez telefon; mówiła ostro i zdecydowanie; czasami śmiała się tak, jak niemal nigdy w naszej obecności. Słyszeliśmy, jak mówi coś do siebie i wzdycha. I znów śmiech. Jeśli zapukaliśmy do drzwi (zwykle uchylonych), matka odwracała się z przelotnym, niewyraźnym, trochę skruszonym uśmiechem. „O Jezu, już tak późno? Pora jeść?"

W warsztacie Dantego mama oddała mechanikowi kluczyki do kombi.

– To oczywiście nie jest nowe auto. Może wymagać naprawy. Coś grzechocze w silniku albo gdzieś pod maską już od jakiegoś czasu. Lewa tylna opona trochę traci powietrze. Proszę zmienić olej czy co tam zwykle robicie. Dziękuję!

Niczym mała procesja przeszliśmy trzy przecznice przez South Main Street do Kliniki dla Kobiet Hrabstwa Huron. Zdążyło się już trochę wypogodzić: blade, olśniewające światło zdawało się padać prosto z góry, od słońca przefiltrowanego przez lotne chmury. Chodniki w St. Croix nie były tak zaludnione jak na obrazie Edwarda Hoppera, więc nie myśleliśmy: „Ktoś nas obserwuje. Rodzina doktora Gusa Voorheesa, zabójcy dzieci”.

Od rodziców wiele słyszeliśmy o klinice w St. Croix, w której ojciec najpierw był konsultantem, a teraz szefem, ale jej nie odwiedziliśmy – to znaczy Darren, Naomi i Melissa nigdy nie odwiedzili kliniki; nie mieliśmy pewności, czy matka tam była, bo jej komentarze o przychodni były zdawkowe i dwuznaczne. „To miejsce! To miejsce zabrało życie waszemu ojcu. Poczuję ulgę, kiedy stąd wyjedziemy. To jest czasowe, nie stałe”.

Klinika dla Kobiet Hrabstwa Huron okazała się nijakim betonowym budynkiem na dalekim końcu South Main, w okolicy magazynów, sklepów z tanimi meblami i dywanami, zagruzowanych pustych działek. Obiekt mógłby równie dobrze być niewielką fabryką, a nie przychodnią – z pewnością nie wyglądał jak nowo otwarte centrum zdrowia. Jednopiętrowy, na gołej ziemi, z oknami za roletami niczym wielkie ślepe oczy. Widać było – widzieliśmy – że na ścianach piaskowego koloru nabazgrano kiedyś graffiti, teraz byle jak zamalowane farbą odchodzącą nierównymi płatami jak świerzb. Obok budynku asfaltowy parking pełen samochodów, zwyczajnych, w rodzaju naszego chevroleta z roku 1991 – samochodów, które Darren nazwałby paskudnymi.

Większa część South Main wyglądała na porzuconą i zaniedbaną. Co za rozczarowanie! To niemożliwe, żeby tutaj pracował nasz ojciec Gus Voorhees, o którym myśleliśmy, że jest kimś naprawdę wyjątkowym.

Potem zobaczyliśmy na chodniku przed kliniką ze dwanaście albo więcej osób (mężczyzn i kobiet), stojących dziwnie nieruchomo; na ramionach mieli oparte tablice z hasłami. Nie widzieliśmy wypisanych tam słów ani zdjęć (bo czasem są na nich zdjęcia). Kilku demonstrantów trzymało w dłoniach coś jakby naszyjniki z paciorków – kiedyś miałam się dowiedzieć, że

to różańce. Ci ludzie zdawali się ożywać na nasz widok. Matka rzuciła pospiesznie:

– Zignorujcie ich! Proszę. Nie patrzcie na nich!

Przeszliśmy szybkim krokiem przez parking, na ukos, w stronę frontowego wejścia do kliniki, by uniknąć tych ludzi. Mimo to Darren bezczelnie się na nich gapił. Na jego chłopięcej twarzy z bladymi plamami, jakby od wiatru lub słońca, malowały się wstyd i oburzenie, ale oczy nie zdradzały, że patrzą. Przestraszona Melissa i przestraszona Naomi, idąc za poleceniem matki, ciągnięte przez nią za ręce, nawet nie próbowały patrzeć.

Demonstranci wołali za nami, my jednak nie słyszeliśmy.

„Modlimy się za was. Nich was Bóg błogosławi”.

„Bóg wam wybaczy”.

„Bóg was kocha”.

Bezsensowne słowa, których naprawdę nie słyszeliśmy. Naomi oparła się silnej potrzebie wetknięcia palców do ust i ssania, co pomogłoby nie słyszeć.

„Te piękne dzieci się urodziły – są boskim błogosławieństwem!”

„Módlcie się za wszystkie dzieci – boskie błogosławieństwo!”

Ciężkie, metalowe drzwi bez szyby zamknięto na klucz. Na wielokrotnie malowanych betonowych ścianach przy wejściu widać było zarysy liter nabazgranych pod farbą, ale nie dało się odczytać słów. Inne kształty, pajęcze i kanciaste, mogły być swastykami.

Jakiś cichy spokojny głos ostrzegał mnie: „Nie przyglądaj się, Naomi”. Ten głos często przychodził w chwilach, kiedy czułam się jak człowiek idący po trapie, bardzo wąskim, szerokości deski. Ostrzeżenie brzmiało: „Nie przyglądaj się, bo spadniesz”. Ten głos po raz pierwszy pojawił się w mojej głowie w czasach białego pudełka.

Czy to dziwne, że ten głos mówił do Naomi, jakby to nie sama Naomi była jego źródłem?

Nie pytałam żadnego psychologa, terapeuty ani lekarza, czy taki głos jest „normalny” – czy to może schizofrenia. Bo tak naprawdę nie słyszę tego

głosu, bardziej go czuję.

Czasami odczuwasz wibracje w czaszce i wzdłuż kręgosłupa. Jakby drżenie zakończeń nerwowych. Bez tych nerwów nie ma bólu – bez bólu nie ma świadomości.

Czy jako dziesięciolatka wiedziałam, co to jest swastyka i co oznacza? Nie wiedziałam.

Choć bardzo prawdopodobne, że Darren wiedział.

Milczeliśmy. Matka przestała nerwowo trajkotać i nacisnęła dzwonek przy frontowych drzwiach. Jakże bardzo chcieliśmy być gdzie indziej!

Demonstranci wciąż do nas wołali, jak się nawołuje bezdomne psy, z którymi nie wiąże się już nadziei: „Halo? Tutaj! Słuchajcie, proszę. Z Bogiem". Musiał istnieć jakiś przepis, prawo, które zabraniało im iść za nami do frontowych drzwi kliniki, ale matka i tak się niepokoiła, zerkała przez ramię, jakby się bała, że demonstranci na nas ruszą. Znowu nerwowo nacisnęła dzwonek. I jeszcze raz, kiedy nikt ze środka się nie odezwał. Ależ to było okropne! Tutaj pracował nasz ojciec!

W mojej piersi narastało przerażenie. Nie potrafiłam się zmusić i spojrzeć na brata, zobaczyć w jego ściągniętej twarzy, że miał rację: „Nie powinniśmy byli tutaj przychodzić! To błąd".

W końcu ciężkie drzwi otworzyła zdenerwowana kobieta w białym pielęgniarskim uniformie i powiedziała, że przykro jej, ale przychodnia jest zamknięta. Matka zaprotestowała:

– Zamknięta? Nie może być zamknięta! Pracujecie od dziewiątej do piątej. Czy coś się stało?

– Przychodnia zostanie ponownie otwarta po południu... W tej chwili nie przyjmujemy nowych klientek, tylko te umówione.

– Nie jestem klientką, nie przyszłam na zabieg. Jestem żoną doktora Voorheesa, czeka na mnie.

Jakie to było cudowne, jakie przyjemne, kiedy słowa: „Jestem żoną doktora Voorheesa" otworzyły nam drzwi, które były przed nami zamknięte.

Tak czy owak matka zamierzała wejść do środka.

– A to są dzieci doktora Voorheesa. Przepraszam!

Jeszcze jedna osoba, również w białym fartuchu, przyszła zobaczyć, czego chce nasza matka. Tej kobiecie matka także przedstawiła się nerwowym, bojowym tonem, a potem przedstawiła i nas.

– To są dzieci doktora Voorheesa. On na nas czeka.

Kobiety w białych uniformach próbowały wyjaśnić matce, że doktor Voorhees jest w tej chwili bardzo zajęty, ale powiedzą mu, że przyszliśmy i na niego czekamy. Matka spytała niespokojnie:

– Czy coś się stało? Czy ktoś jest ranny? Dlaczego zamykacie w środku dnia?

– Doktor pani wytłumaczy...

– Nic mu nie jest? Komuś coś się stało? Czy tutaj jest bezpiecznie?

Matka przesłuchiwała pielęgniarki, które nie wiedziały, jak odpowiedzieć, a może nie znały w ogóle odpowiedzi na te pytania. Wyglądało na to, że dzieci doktora Voorheesa nie mają dokąd pójść – ani do przodu, ani do tyłu.

Zawrócić nie mogliśmy, bo matka ciągnęła nas za sobą.

Chorzy ze zdenerwowania poszliśmy za nią w głąb budynku. Lśniący, ciemny, gruby warkocz między łopatkami, podniesiona wysoko głowa. Śmierdziało mocno czymś dezynfekującym, jakby amoniakiem, od którego się dusiliśmy, kiedy mama przemywała nim ugryzienia owadów i drobne rany przed nałożeniem plastra.

Jarzeniówki w suficie świeciły zbyt jaskrawo, oślepiająco. Słyszeliśmy tylko podniesiony głos matki.

– Co się stało? Dlaczego tak wszyscy stoicie? Gdzie jest mój mąż?

Byliśmy w poczekalni, w której ludzie rzeczywiście stali niezdecydowani, jakby po jakiejś katastrofie. Nikt nie siedział – wszystkie plastikowe krzesła wzdłuż ścian były puste. Nie zauważyliśmy ojca, w ogóle żadnego mężczyzny. Były pielęgniarki i pomoce pielęgniarskie, kilka kobiet i dziewczyn w zwykłych ubraniach, pewnie pacjentek i/lub ich matek – „klientek”. Jedna z dziewczyn, może szesnastoletnia, cała się trzęsła, inną młodą ko-

bietę pocieszała jakaś starsza, pewnie matka. Poczekalnia jak każda inna, tylko że nikt w niej nie siedział. Matka zapytała jedną z klientek (tych starszych), co się wydarzyło, a ta odpowiedziała bez tchu:

– Nie wiemy. Nie chcą nam powiedzieć. Może ktoś umarł...

Te słowa, wypowiedziane tak brutalnie przez obcą osobę. Cudem podsłuchane, zupełnie przypadkiem. Może ktoś umarł...

To możliwe w takim miejscu, prawda? Smród środków dezynfekujących, gabinet zabiegowy. Wiedzieliśmy, że nasz ojciec jest chirurgiem.

Nie wyobrażasz sobie, co robi chirurg. Nie chcesz sobie wyobrażać.

Jeśli chirurgiem jest twój ojciec, jeszcze mniej chcesz to sobie wyobrażać.

W tej sali, w tej poczekalni, chyba nikt nie wiedział, co się wydarzyło, jeszcze nie. Jeśli personel wiedział, nie chciał mówić. Zajmował się uspokajaniem pacjentek – to było jego zadanie. Nie wolno im wpaść w histerię!

Nasza matka miała inny plan. Ciągnęła nas – dosłownie – ściskając ramię Darrena i Naomi i tak ustawiając małą Melissę, że musiała iść z nami, zmuszona do szybkiego marszu. Wyprowadziła nas z poczekalni na korytarz, potem korytarzem przed siebie, na ślepo (chyba). Choć to raczej matkę prowadziła (chyba) tamta starsza pielęgniarka, która przejęła odpowiedzialność za nią i za nas, ponieważ matka potrafiła domagać się uwagi, mimo zdenerwowania i dezorientacji, i ludzie byli jej posłuszni. A teraz nagle zobaczyliśmy ojca, który jeszcze nas nie dostrzegł: doktor Voorhees w białym lekarskim fartuchu, czystych spodniach khaki w kant, stał przy wysokim do pasa laminowanym blacie, na którym leżała częściowo otwarta paczka opakowana w zwykły brązowy papier. Ojciec próbował pocieszyć jakąś kobietę w średnim wieku, pielęgniarkę, która była w szoku i siedziała zgarbiona na krześle za blatem.

Miała twarz barwy popiołu, wyraźnie wstrząśnięta przyciskała dłoń do obfitej piersi, jakby bolało ją serce; oddychała szybko i płytko. W tej bez wątpienia alarmowej sytuacji nasz ojciec, doktor Voorhees, pocieszał zaszokowaną kobietę. Mówił do niej spokojnie, nazywał ją „Ellen”. Tłumaczył Ellen, że wszystko jest w porządku.

– Wszystko jest w porządku. Nie ma żadnego niebezpieczeństwa. To fałszywy alarm. Wszystko dobrze!

Cokolwiek się stało, stało się kilka minut przed naszym przyjściem: oglądaliśmy skutki tego wydarzenia.

Matka nie ośmieliła się zawołać ojca. Zawahała się i przytrzymała również nas.

Dostrzegłszy, że inni na nas zerkają, ojciec obrócił się i wyraz jego twarzy się zmienił – w zaskoczenie i więcej niż zaskoczenie.

– Jenna! Jezu! Co wy tu robicie?

– Co się stało? Coś groźnego?

– Nie! Ależ skąd. Nic takiego.

– Czy to była... czy to jest bomba?

– Nie. To nie bomba.

Ale paczka tam leżała, na laminowanym blacie, częściowo odpakowana. Ogniskowała uwagę. Najwyraźniej to Ellen otworzyła przesyłkę. Albo zaczęła otwierać.

(Czy ktoś powstrzymał Ellen? Krzyknął na nią? Odsunął od blatu? W pomieszczeniu panowała atmosfera podwyższonej czujności, jakby przed chwilą o mały włos nie doszło tu do katastrofy).

Tajemnicza paczka miała jakieś dwadzieścia na trzydzieści centymetrów. Wydawała się zwyczajna – oczywiście. A jednak bardzo przestraszyła wiele osób.

Ojciec podszedł do nas i uściskał każdego po kolei. Zdawał się oszołomiony. Próbował się uśmiechnąć. Powiedział coś, co zabrzmiało jak: „Dzieciaki! Jezu!”. Przytulił nas bardzo mocno, potem puścił. Choć chciał to zrobić naturalnie, nie nerwowo, od razu wyczuliśmy, jak jest spięty. Wiedzieliśmy, że nie zdaje sobie sprawy, jak mocno nas ściska; Melissa aż zakwiliła. Nie mogliśmy odpowiedzieć na uścisk, bo był zbyt mocny i zbyt przelotny; nie mogliśmy oddychać, bo wtedy wdychalibyśmy ostry medyczny zapach, który nas odstręczał. Nawet Darren się bał, a Naomi była przerażona, my-

ślała, że zwymiotuje. Melissa pochlipywała ze strachu, więc matka musiała przykucnąć i ją pocieszyć:

– Melisso, skarbie! Nic się nie stało, wszystko dobrze. Nikomu z nas nic się nie stało!

Matka śmiała się do utraty tchu, jakby to miało przekonać spanikowane dziecko.

Melissa wyszeptała mamie na ucho:

– Czy ktoś umarł?

Matka odparła z tym swoim zdziwionym śmiechem bez tchu:

– Oczywiście, że nie, głuptasku. Absolutnie nie.

Wszyscy trwali w zakłopotaniu. Naomi bardzo chciała być gdzie indziej, possać palec i się uspokoić.

Ale tutaj dowodził nasz ojciec, doktor Voorhees. Obecność doktora Voorheesa dawała ukojenie i pocieszenie.

Ojciec stanął tak, by przed nami zasłonić pudełko, a przed personelem – swoją zdenerwowaną rodzinę. Pielęgniarki gapiły się na nas i naszą matkę zaskoczone i zaniepokojone.

Rodzina doktora Voorheesa. Jego dzieci...

Wszyscy są zawsze ciekawi dzieci abortera.

Co było w tej paczce, w kartonowym pudełku, zasłonięte pogniecionymi gazetami? Coś małego, mechanicznego, może tykający budzik? – nie widzieliśmy.

Zirytowany i przejęty ojciec mówił:

– To nic takiego. To fałszywy alarm. Rhodo, opróżnij biuro i zajmij się, proszę, Ellen. Wracajmy do pracy, zmarnowaliśmy już dosyć czasu.

Fałszywy alarm? Bomba? Ale nie, nie bomba.

Paczka nie zawierała też teg,o co wytłuszczone białe pudełko, które dali mi koledzy ze szkoły w Saginaw.

W każdym razie nie widzieliśmy nic takiego w pudełku stojącym na blacie. Ktoś je zakrył, wepchnął z powrotem gazety. Czy powinni wezwać po-

licję? Doktor Voorhees powiedział, że nie.

– Fałszywy alarm, policja jest niepotrzebna. Nie ma sensu ściągać uwagi na klinikę. Poradzimy sobie. Wracajcie do pracy. Natychmiast.

I tak się po kilku minutach stało: większość pielęgniarek wyszła, a kobieta w średnim wieku, Ellen, która siedziała spanikowana i oszołomiona, ocierała rozpaloną twarz chusteczką, żartując z „uderzeń gorąca".

– Pokażcie mi to pudełko.

Było oczywiste, że matka wypowie to zdanie.

Wiedzieliśmy, nie wiedząc, że wiemy, że Jenna Matheson, nasza matka, powie: „Pokażcie mi to pudełko".

Wiedzieliśmy też, że ojciec zdecydowanie odpowie: „Nie".

– Nie sądzisz, że powinniście wezwać policję, Gus?

I znowu krótka odpowiedź: „Nie". Sytuacja jest całkowicie pod kontrolą, i tyle.

Ojciec wyprowadził nas z tego pokoju do drugiego, mniejszego, który okazał się jego gabinetem. Wyraźnie chciał porozmawiać z matką i wolał, by personel tego nie słyszał.

Na biurku w gabinecie piętrzyły się papiery, dokumenty, teczki. Aluminiowe półki pod ścianami były pełne. W bałaganie na biurku stało jedno rodzinne zdjęcie w ramce ze skaju – rodzina Voorheesów kilka lat temu, kiedy Melissa była brzdącem, a broda taty miała ciemniejszy kolor.

Dziwnie było patrzeć na nas tak radośnie uśmiechniętych do aparatu – nawet mała Naomi z nieśmiałym spojrzeniem.

– To zdjęcie! Zastanawiałam się, gdzie zniknęło. – Matka mówiła tonem wyrażającym przyjemne zaskoczenie.

Napięcie między rodzicami jeszcze nie zelżało.

Na ścianie w gabinecie ojca przyklejone byle jak taśmą wisiały artykuły z gazet i zdjęcia. W większości nieosobiste: *Władze Ohio za ograniczeniem praw aborcyjnych, Komitet Doradczy stanu Michigan o rezolucji dotyczącej praw reprodukcyjnych kobiet, Orzeczenie Sądu Najwyższego USA zagraża prawu Roe kontra Wade?*, ale było tam też nieostre zdjęcie naszego wyraź-

nie zażenowanego ojca w birecie, todze i narzutce, z podpisem: *Kontrowersyjny obrońca praw aborcyjnych i absolwent Uniwersytetu Michigan Voorhees otrzymuje podczas uroczystości na tej uczelni honorowy doktorat za służbę publiczną*.

Na półce stał szklany prostokąt – nagroda z 1992 roku dla „Doktora Gusa Voorheesa" od Narodowej Ligi Walki o Prawo do Aborcji; na innej półce, częściowo schowany za stosem ulotek, leżał medalion z brązu wydany przez Amerykańską Federację Planowania Rodziny w 1995 roku.

Niewiele wiedzieliśmy o publicznym, zawodowym życiu naszego ojca. Kiedy żył, utrzymywano nas w bezpiecznej niewiedzy.

Widzieliśmy, że w ścianie gabinetu było kiedyś pojedyncze okno, teraz zamurowane. Ten widok uświadamiał, że okna w klinice naraziłyby jej wnętrze i ludzi w środku na ataki z zewnątrz.

– Poczekamy tu tylko kilka minut. Możemy zamknąć drzwi – mówił ojciec energicznie, jakby zaraz miał zacząć klaskać.

I jakby nie był zły na matkę, tylko czuł ulgę, że wszyscy jesteśmy bezpieczni i kryzys minął, złapał mamę za rękę i żartobliwie ją ucałował. Często ściskał nasze dłonie, ramiona, czochrał włosy, schylał się, by ucałować nas w policzki, pokazać, że nas kocha i jesteśmy j e g o. Takie gesty ojcowskiej miłości były czysto fizyczne, odruchowe.

Gus Voorhees był wysoki, onieśmielający. Dobrze zbudowany, z szerokimi ramionami, potężny. Włosy kiedyś miały kolor rudawego brązu (jak miękkie futerko pluszowego misia Naomi), teraz były w większości siwe, a krótka, sztywna broda nabrała jaśniejszego odcienia, jakby należała do innego mężczyzny. Miał kurze łapki od uśmiechania się, mrużenia oczu, grymasów. Na czole widać było nierówne poziome zmarszczki, a policzki stały się lekko pobrużdżone i szorstkie. Zużyty, zmęczony człowiek, który nie jest młody i dobrze o tym wie; człowiek, któremu można zaufać, który jest dla ciebie dobry.

Ani trochę nie oskarżycielskim, a tylko zaciekawionym tonem, z lekko wymuszonym uśmiechem ojciec zapytał matkę, dlaczego przyjechała do

kliniki, zamiast nad jezioro, gdzie mieliśmy się spotkać, tak jak zaplanowali, a ona odparła, tylko lekko podenerwowana:

– Dlaczego tutaj przyjechałam? To miejsce publiczne, prawda? Dlaczego miałabym tu nie przyjeżdżać?

Wtedy ojciec powiedział spokojnym głosem, wciąż trzymając matkę za rękę, która zdawała się wyślizgiwać z uścisku:

– Cóż. Czasami zdarzają się tutaj niespodziewane rzeczy. Na przykład dzisiaj.

– Bo dzisiaj nie było zwyczajnie, prawda? – zapytała matka, a ojciec odparł:

– Nie. Dzisiaj nie było zwyczajnie. W istocie. – I po chwili milczenia dodał: – Mogłaś wcześniej zadzwonić, Jenno.

– Tak! Mogłam zadzwonić.

Nie było jasne, czy matka mówi ze skruchą czy obronnym tonem. Chyba chciała powiedzieć więcej, ale tego nie zrobiła.

– Chodzi o to, że w tym miejscu czasami coś się zdarza nieoczekiwanie. Nieczęsto, wręcz rzadko, ale może się zdarzyć. Tak jak dzisiaj.

Na twarzach dorosłych malowało się rozgorączkowanie, jakby przyłapali się nawzajem na spiskowaniu. My, dzieci, mogłybyśmy zniknąć, bo rodzice byli zahipnotyzowani sobą, tym, co może powiedzieć to drugie.

– Chyba chciałam, żeby dzieci zobaczyły, gdzie pracujesz. Żeby były naprawdę z ciebie dumne, tak jak ja.

– Czy to sarkazm, kochanie?

– Nie! Na Boga, nie.

Matka zaśmiała się nerwowo. Ojciec ugniatał jej rękę, delikatne kostki na wierzchu dłoni, mocniej, niż zamierzał, więc odsunęła się, ale nie dość stanowczo, by się uwolnić.

Czuło się między nimi erotyczny żar, napięcie tego, co niewypowiedziane, odgrywali scenę dla świadków (dzieci).

Matka, ostrożnie dobierając słowa, wyjaśniła, dlaczego przyjechaliśmy do St. Croix, zamiast jechać do restauracji: mieliśmy „domowy kryzys” związany z kombi i nieważnym od pięciu miesięcy przeglądem. Śmiała się teatralnie, odsłaniając zęby.

– Na szczęście odkrył to twój spostrzegawczy syn. Uważa, że mogli mnie za to aresztować.

– Tego nie powiedziałem – zaprotestował Darren.

– Pięć miesięcy. Jezu! Dobra robota, Darren.

Darren wzruszył ramionami, jakby uznał, że ojciec się z nim droczy. Odezwałam się złośliwie:

– A właśnie że powiedziałeś, że mamę mogą aresztować. Słyszałam.

– Wcale nie.

Ściszonym, napominającym głosem matka mówiła do ojca, że jeśli uważa, że tak będzie lepiej, to powinien zostać w klinice i nie zabierać nas na lunch.

– Tutaj jest niespokojnie. Nawet fałszywy alarm budzi niepokój. Może powinieneś zapewnić personel...

Ojciec szybko wtrącił, że nie, oczywiście nie zamierza zmieniać planów na popołudnie. Dał sobie czas na lunch nad jeziorem Huron – dwie godziny. Środowe popołudnia zwykle zachowywał na sprawy niezwiązane z kliniką. Przed wieczorem miał jeszcze spotkanie i zostanie w klinice mniej więcej do siódmej, następnego dnia ma poumawiane wizyty od rana do nocy, a pojutrze leci do Waszyngtonu na konferencję w Krajowym Instytucie Zdrowia.

– Tak rzadko was widuję, wszystkich razem, to wyjątkowa okazja. Rodzinna wycieczka.

– Ale...

– Nie. To moje życie prywatne. Tylko naprawdę nagły wypadek mógłby to zmienić. – I dodał po chwili: – Nie możemy pozwolić, by ci ludzie nas zastraszyli.

Matka odezwała się szybko, nim ktokolwiek z nas zdążył zapytać, kim są „ci ludzie”:

– Wiem o tym, Gus. Oczywiście.

– Nigdy na to nie pozwalamy. Jesteśmy czujni. Jeśli to nie jest konieczne, nie mówimy o tym, co się dzieje.

– Masz rację, wiem. Tak.

– Tu są kluczyki do volvo, Jen. Poczekajcie w aucie, przyjdę za dziesięć minut. Ignorujcie protestujących. Może wiedzą o tym incydencie, a może nie. Nie wdajemy się z nimi w dyskusje.

– Oczywiście, wiem! Wiem: nie wdajemy się w dyskusje z wrogiem.

W końcu pojechaliśmy tamtego popołudnia nad jezioro Huron. Rodzinna wycieczka nie została udaremniona.

Samochodem ojca, z nim za kierownicą.

To był autorytet i to było pocieszenie. To było coś znajomego – spokój.

Nad brzegiem jeziora Huron, nad kamienistą plażą pokrytą glonami, niemal pustą w ten wietrzny dzień, oślepiające niebo otworzyło się przed nami oszałamiająco.

Jakby ktoś odjął z głowy ból. Zdjął ciasną opaskę, która go wywoływała.

Cokolwiek mogło się wydarzyć, nie wydarzyło się.

To jest szczęście. To jest miłość.

Restauracja Nad Zatoką nie była taka wspaniała, jak nam się wydawało. Może ucierpiała w trakcie ostatniej burzy. Poluzowany szyld kołysał się i hałasował na wietrze, co denerwowało matkę. Mimo to cudownie siedziało się na tarasie restauracji z widokiem na jezioro – tak ogromne, że nie widzieliśmy przeciwległego brzegu kanadyjskiego Ontario.

Ledwie dostrzegalna linia horyzontu, zamglona i niewyraźna – trzeba było sobie wyobrażać tamten brzeg.

Ojciec oznajmił, że to świąteczny lunch niespodzianka – urodzinowy lunch dla naszej matki. Nie kupił jej jeszcze prezentu (tak powiedział), ale

ma zamiar dać jej coś wyjątkowego, o czym dowie się w przyszłym tygodniu, w dzień urodzin.

– Gus, dziękuję! Kocham cię.

– My kochamy ciebie.

Poniżej restauracji mieściła się przystań, gdzie można było wynająć łódki, kajaki i kanu. Ale jezioro Huron tamtego dnia było wzburzone, a powietrze zimne jak na połowę czerwca, więc klientów mieli niewielu. Mimo to Darren chciał wypożyczyć kajak, na złość matce, która się o niego martwiła.

– Jezu, mamo! Nic mi nie będzie.

– Może weźmiecie z tatą dwuosobowy?

– Nie mają dwójek.

– To może kanu?

Ale Darren nie chciał wypożyczać kanu. Poznaliśmy, że tata jest rozczarowany, po tym, jak bardzo popierał Darrena, co miało pokazać, że nie jest rozczarowany.

Wiedziałam, że mojemu upierdliwemu bratu się uda. Dopnie swego, żebyśmy musieli się o niego martwić.

Szliśmy po plaży, skrajem błotnistej zatoczki, w której pełno było krzyczących ptaków, bo coś tam zdechło. Lekki słony odór zgnilizny, ciała pozbawionego muszli, niechronionego, nad którym opalizujące owady bzyczały jak opętane.

Opętane życiem.

Żadne dziecko nie chce umierać.

Szczypało cię w nozdrzach, poczułaś w gardle żółć i szybko się odwróciłaś.

Patrzyliśmy, jak Darren wiosłuje wzdłuż brzegu. Wzburzone, nierówne fale. Nauczył się świetnie pływać kajakiem – ojciec go uczył. Nawet na nas nie spojrzał, ale na pewno czuł na sobie nasz wzrok.

Myślałam złośliwie: *Mam nadzieję, że się przewróci*.

Nie chciałam, żeby mój brat utonął. (Chyba). Ale uśmiechnęłabym się, gdyby przewrócił się w tym kajaku. Tyle że musieliby wtedy po niego pobiec. Oboje rodzice weszliby w fale, żeby „ratować” Darrena.

Niełatwo się szło po ubitym piachu. A wiatr odbierał nam oddech, jakby wysysały go jakieś mokre usta. Szłyśmy za rodzicami, którzy szczerze ze sobą rozmawiali – moja młodsza siostra i ja, ręka w rękę (ujęłam drobną dłoń Melissy, uwielbiałam czuć tę małą rączkę w swojej i ciągnąć siostrę nieco szybciej), podsłuchując urywki ich rozmowy.

– Dlaczego dzisiaj przyjechałaś, Jenno?

– Ja... nie wiem.

– Przywiozłaś dzieci. Planowałaś to.

– Nie wiem, Gus. Chyba nie.

– Na pewno wiesz.

– Chyba... chciałam im coś pokazać.

– I co, pokazałaś? To, co chciałaś?

– Nie. Albo... nie wiem.

Przez chwilę szli w milczeniu, zobaczyłam, że ojciec ściska matkę za rękę i idą blisko siebie, niezręcznie blisko, tak że na moment stracili równowagę, ale szli w ten sposób, pochylając głowy przed wiatrem, który rozwiewał włosy matki na pojedyncze kosmyki i pasma wokół czoła. Myślałam wtedy, tak jak miałam myśleć przez całe życie, że między ludźmi istnieją powiązania, tajemne powiązania między ludźmi, którzy teoretycznie są ci obcy, których nie możesz znać, nie możesz odgadnąć. I nie możesz osądzać.

– Czy to była bomba, Gus?

– Mówiłem ci, że nie.

– Mam na myśli taką amatorską, która oczywiście nie zadziałała. Możesz mi powiedzieć.

– Mówiłem ci, Jenno, to nie była bomba.

– Ale czy to miała być bomba? Która miała was wszystkich zabić?

– Raczej chcieli nas przestraszyć, zastraszyć. Ale to był fałszywy alarm.

– Były inne?

– Tutaj? W St. Croix? Nie.

– A gdzie indziej?

– Może.

– W Ann Arbor? Grand Rapids?

– Może...

– Nie sądzisz, że udowodniłeś swoje racje, Gus? Że mógłbyś teraz przestać?

– „Udowodniłeś racje”? Jakie racje? Jestem lekarzem. Pomagam tym, którzy mnie potrzebują.

– Są inni lekarze. Młodsi.

– Chcesz, żebym się poddał? Naprawdę byś mnie wtedy szanowała?

– To nie byłoby poddanie się. Tylko pozwoliłbyś, żeby inni cię zastąpili. Wróciłbyś do normalnej praktyki.

– W Ann Arbor?

– Tak! Gdziekolwiek zresztą.

– Jenno, zrobię to, obiecałem. Ale jeszcze nie teraz.

– „Zbawca zdesperowanych”, „krzyżowiec”... To jest szantaż emocjonalny, nie pozwolą ci.

– Posłuchaj, nie mogę rozmyślać nad swoją pracą za każdym razem, kiedy pojawia się kryzys. Nie jestem taki.

– Ale ty nie jesteś tylko sobą, Gusem Voorheesem. Jesteś ojcem naszych dzieci i moim mężem.

– Na razie moja praca to misja, i tyle.

– Dzisiaj mogła się zakończyć...

– Jenno, nieustannie pojawiają się groźby. Nie damy się zastraszyć.

– Dzieci tak się dzisiaj przestraszyły. Jutro na pewno zaczną mnie wypytywać.

– Dzieci przejmują emocjonalne wskazówki od rodziców. Oczekują, że matka im powie, jak mają się czuć.

– Muszę przed nimi ukrywać to, co czuję! Wiesz o tym.

– Po prostu im wyjaśnij: że ojciec jest oddany pracy i istnieją ideologiczni wrogowie...

– „Ideologiczni”! To żądni zemsty fanatycy. Nazywają się Armią Boga.

– Prawo nas chroni. Prawo jest po naszej stronie.

– Prawo nie może chronić cię całą dobę.

– Chcą tylko nas zastraszyć.

– Zabijali już lekarzy. Wysyłali bomby...

– Tych terrorystów złapano. Siedzą w więzieniu.

– I sądzisz, że nie ma ich więcej? Oczywiście, że są – nazywają się Żołnierzami Boga.

– Jenno, proszę. To miał być mój wolny dzień...

– Widziałeś te publikacje? Te ulotki? *Poszukiwany: zabójca dzieci jest wśród nas.* A doktor Gus Voorhees jest wysoko na ich liście.

– Mówiłem, żebyś nie czytała tych śmieci, na miłość boską!

– Nie widzieć i udawać, że nie istnieją?

– Mam gdzieś te listy i groźby. Nie przywiązuję do nich wagi. I nie zamierzam zrezygnować, bo mnie przestraszyli.

– Więc jednak przyznajesz, że cię przestraszyli?

– Nie rzucisz swojej pracy, Jenno. A ja nie rzucę swojej.

– Moja praca jest... teoretyczna! Nikt nawet nie wie o moim istnieniu. Ale nazwisko doktora Voorheesa znają wszyscy.

– To błąd. Przepraszam za niego. Ale często się przenoszę. Nie zostaję w jednym miejscu. A kiedy wyjeżdżam z jakiejś kliniki, sytuacja się uspokaja – tak jak w Grand Rapids.

– Myślę tylko o tym, że gdyby ta bomba dzisiaj wybuchła, twoje dzieci nie miałyby ojca.

– Mówiłem ci, że to właściwie nie była bomba.

– W takim razie co to było?

– Niezdarna groźba. Parodia.

– Parodia?

– Werset biblijny...

– Werset biblijny?

– Ręcznie napisana wiadomość przyczepiona taśmą do budzika: „[Jeśli] kto przeleje krew ludzką, przez ludzi ma być przelana krew jego, bo człowiek został stworzony na obraz Boga”.

– To jest groźba.

– Oczywiście, że to groźba. Ale ja nie dam sobie grozić.

– Gus, musisz powiadomić policję w St. Croix! I policję stanową...

– Zgłaszaliśmy inne groźby. Policja o nich wie.

– Jakie inne groźby?

– Wszędzie indziej. W klinikach aborcyjnych. Policja wie, stanowa również.

– Ale ta groźba dzisiaj...

– Kliniki aborcyjne dostają setki, tysiące gróźb. Nie zamierzamy się wycofać.

– Ale personel w klinice! Jak oni muszą się czuć!

– Powiedziałem im, że zrozumiem, jeśli ktoś zechce odejść. I jestem pewien, że niektórzy to zrobią...

– Cóż, inni lekarze odchodzą, ci, którzy robili to, co ty robisz od ponad dziesięciu lat. Obiecałeś, po Saginaw...

– Ale nie od razu.

– Za rok? Dwa lata?

– Dwa lata to zbyt wcześnie. Nierealne.

– Potem powiesz: „Trzy lata to za wcześnie!”. Twoje dzieci powinny znaczyć dla ciebie więcej niż obcy ludzie...

– Oczywiście, że znaczą. Nie bądź niemądra, Jenno.

– Nie jestem niemądra! Lekarzy aborterów mordowano, bomby w klinikach wybuchały. To się zdarzy znowu, te okropne rzeczy, o których mówili w telewizji, powinni tego zakazać prawem...

– Istnieją też ludzie, którzy nas popierają. Mamy wielu zwolenników. Spróbuj spojrzeć na to jak na misję, która się zakończy, może za jakieś pięć lat...

– Pięć lat! To jest dopiero nierealne. Pierwsze, co Reagan powiedział po inauguracji, to że zamierza cofnąć Roe kontra Wade...

– Ale to się nie stało. I nie stanie.

– Ależ oczywiście, że może się stać. Jeśli republikanie zdobędą większość, jeśli będzie republikański prezydent...

– Jenno, posłuchaj: nasze dzieci muszą wiedzieć, że mamy przekonania. Że się nie poddajemy.

– Mam ci te słowa wyryć na nagrobku?

Darren bezpiecznie przybił kajakiem do plaży. Zgrabnie, niczym małpa, wyskoczył z chybotliwej łódki przy dźwięku naszych oklasków.

Przed wpół do czwartej wróciliśmy do St. Croix. Chevrolet był już gotowy do odbioru.

Z lewej strony przedniej szyby widniała nowa naklejka z przeglądem na rok 1997.

„Nie czyń dobra, nie spotka cię zło”. Osobiste zeznanie, sierpień 2006[4]

„Doktorze Voorheesie! Proszę mi pomóc”.

Przychodziły do niego w desperacji. Przychodziły do niego po zmroku i czasami w przebraniu.

Nie miało znaczenia, gdzie to było. Mogłoby się zdawać, że jest inaczej, ale nie.

Czy to w Ann Arbor, w Detroit, czy w jakimś małym mieście jak St. Croix, czy w Muskegee Falls w Ohio.

Jeśli klinika była czynna do osiemnastej, czasem przychodziły wtedy. Gdy demonstranci poszli już do domów.

Czasami któraś czekała na parkingu. Po prostu stała i czekała.

Jego auto zwykle zostawało na parkingu ostatnie. Ona stała gdzieś niedaleko. W zimie jej ściśnięte dłonie w rękawiczkach, obłoczki słabego oddechu.

„Słucham? Tak? Chciała pani ze mną rozmawiać?” Ale wycofywała się pospiesznie. Zanim zdążył zobaczyć twarz, ona w panice odbiegała i znikała.

W lekkim śniegu ślady stóp były ledwo widoczne. Jakie małe ślady!

W zimowej ciemności śnieg leżał płatami na ziemi. Śnieg w zaspach. Śnieg lśniący zimno w świetle ulicznych latarni.

„Doktor Voorhees? Czy to pan? Proszę mi pomóc...”

Była młoda. Może szesnaście lat, może czternaście.

Albo dwadzieścia kilka. Już była matką o zmęczonej twarzy.

Albo starsza. Ciężka twarz, przestraszone oczy. Otwarte usta dyszące z przerażenia, że śmiała zwrócić się do lekarza-abortera-mordercy.

Desperacja wszystkich tych kobiet, które się pojawiały – uważały się za potępione.

„Co ja robię, co teraz będzie, jaki grzech, jaka kara, jaki wstyd i smutek jak ogień piekielny”.

Pierwszych kilka razy Gus Voorhees był zdziwiony. Zaskoczony na widok jednej z tych, które widział wśród protestujących, klęczących na chodniku przed kliniką całymi miesiącami i recytujących wraz z towarzyszami:

Wolny wybór? Przestań kłamać
– żadne dziecko nie chce umierać.

Wolny wybór? Przestań kłamać
– żadne dziecko nie chce umierać.

Żarliwe i doprowadzające do szaleństwa, nieustanne i niestrudzone powtarzanie w nieskończoność, którego nie słyszałeś przez zamknięte okna kliniki (tylko je sobie wyobrażałeś).

Wolny wybór? Przestań kłamać
– żadne dziecko nie chce umierać.

Jedna z tych, które obnosiły transparenty na ulicy – powiększone zdjęcia usuniętych płodów, okaleczone i pokrwawione; tablice szkalujące personel przychodni: „Mordercy, zabójcy dzieci”; hasła: „Nie zabijaj swego dziecka, Bóg kocha twoje dziecko”.

Pacjentki musiały przebiegać między dwoma rzędami tych zaciekłych protestujących chrześcijan, którzy mieli trzymać się co najmniej dwa metry dalej, ale często ruszali naprzód, kiedy przyjeżdżała kolejna dziewczyna lub kobieta, i krzyczeli do niej. Dziewczyny i kobiety przyjeżdżające po środki

antykoncepcyjne. Dziewczyny i kobiety chcące umówić się na zabieg. Dziewczyny i kobiety przyjeżdżające na zabieg i bardzo przestraszone.

„Nie zabijaj swego dziecka! Bóg kocha twoje dziecko! Bóg kocha Ciebie!”

Klinika miała ochroniarzy ochotników, którzy pomagali kobietom wejść do środka. Czasami ci ochroniarze musieli się przekrzykiwać i przepychać z najbardziej zażartymi demonstrantami.

„Morderca! Zabójca dzieci! Zgnijesz w piekle!”

Późnym popołudniem grupa manifestujących się przerzedzała. O zmierzchu wszyscy znikali. Najbardziej aktywni byli w środku dnia.

Dlatego o zmierzchu dziewczyna/kobieta czekająca na doktora Voorheesa na tyłach przychodni była sama. Zdenerwowana, niezdecydowana i przerażona spotkaniem z niesławnym Voorheesem, który był (wiedziała) posłańcem diabła. Ale ona znalazła się w tragicznym położeniu. Teraz to się przydarzyło jej. Nie czyjaś desperacja, tylko jej własna. Zebrawszy się na odwagę, by porozmawiać z tym tak znienawidzonym i lżonym człowiekiem, zaczynała błagać jak dziecko:

– Proszę, niech mi pan pomoże.

A lekarz odpowiadałał z sympatią, ale przepraszająco:

– Musi pani przyjść do przychodni w godzinach otwarcia i porozmawiać z pielęgniarką na recepcji, bardzo mi przykro, ale dzisiaj wieczorem nie będę mógł pani pomóc.

I protestujący głos:

– Ale może pan! Może pan, doktorze Voorheesie! Wie pan, że może mi pomóc.

– Przepraszam, ale nie mogę.

– Może pan! Może! – Niedowierzanie, że diabeł nie wspomoże jej w popełnieniu tak ogromnego grzechu.

I wtedy ten człowiek o zmęczonym głosie, Gus Voorhees, za którego ona i jej chrześcijańscy towarzysze modlili się od miesięcy, choć zakładali, że nie było dla niego wybaczenia, powiedział:

– Zechce pani podać mi swoje nazwisko? Numer telefonu?

– Nie! Nie.

Zrozpaczona ukrywała twarz. Przecież nie mogła ujawnić mu swojego nazwiska, nie śmiałaby. I nie mogła ryzykować podania numeru telefonu, który dzieliła z innymi. Aż w końcu Voorhees się poddał ze współczucia dla tej zdenerwowanej dziewczyny/kobiety i ustąpił:

– Proszę wrócić jutro o tej samej porze. Ktoś z panią porozmawia i zrobi badanie. A potem będziemy działać, może. Po godzinach. Będę tutaj. Dobrze?

To były oddane chrześcijanki, które „nie wierzyły” w aborcję. Rodzice nauczyli je uważać aborcję za potworny grzech – rzeź niewiniątek. Nie zmieniłyby swoich poglądów, z wyjątkiem tego jednego jedynego razu, wiedząc, że Bóg wybaczy i Bóg zrozumie. Modliły się o to. Jezus zrozumie i wybaczy. Bo w takiej desperacji nie ma się do kogo zwrócić, tylko do diabelskiego Voorheesa, Zabójcy Dzieci.

Bo nie mogę nikomu powiedzieć, że jestem w ciąży, doktorze Voorheesie.

Bo znienawidziliby mnie na zawsze. Nigdy by mi nie wybaczyli, że ich zhańbiłam.

Bo nie mogę urodzić tego dziecka. Bo źle się czuję... Brakuje mi tchu i boli w piersi, czasami mam wrażenie, że zaraz zemdleję. W mojej rodzinie choruje się na cukrzycę, boję się zrobić badania krwi.

Nigdy nie byłam w szpitalu. Nikt z naszej rodziny nie był.

Nie wierzymy w transplantację krwi – tak to się nazywa? – nie wierzymy.

Bo jestem za stara. Już rodziłam dzieci, nie dam rady mieć więcej, bo chyba umrę. Jestem taka zmęczona.

Bo stracę pracę. Bo nie będę mieć siły spędzać półtorej godziny w podróży, jeśli będę w ciąży, jeśli urodzę kolejne dziecko, to mnie wyrzucą z pracy. Nie mogę stracić pracy, bo mnie eksmitują.

Bo ojciec dziecka zniknął. Bo nie wróci.

Bo ojciec by mnie zabił, gdyby się dowiedział.

Bo ojciec dziecka jest żonaty.

Bo ojciec dziecka ma już za dużo dzieci.

Bo ojciec dziecka by się wyparł, powiedziałby, że kłamię.

Bo ojciec dziecka by powiedział, że to moja wina, że to ja do niego przyszłam...

Bo moi rodzice by się wstydzili. Bo mój ojciec nigdy by się do mnie nie odezwał, bo zhańbiłam go w oczach Kościoła i sąsiadów.

Bo jestem za młoda. Bo chcę skończyć szkołę.

Bo dziewczyny, które rodziły dzieci i musiały wychodzić za mąż, nie skończyły szkoły i nie są teraz szczęśliwe. Znam kilka takich...

Bo nie wiem, jak do tego doszło. Nie chciałam, żeby to się stało.

Bo to dziecko chłopaka mojej siostry. Bo on jest zaręczony z moją siostrą. Bo moja siostra nie może się dowiedzieć!

Bo to tajemnica, powiedział, że mnie udusi, jeśli powiem.

Bo próbowałam to zrobić sama szpikulcem do lodu. Ale za bardzo się bałam, nie potrafiłam.

Bo uderzałam się pięściami po brzuchu. Bo się rozchorowałam i wymiotowałam, i dławiłam się, ale to wszystko.

Bo nie ma dla mnie nadziei, jeśli pan mi nie pomoże.

Bo on jest taki stary.

Bo on jest za młody.

Bo poszedł do wojska. Nie może wrócić do domu.

Bo mieszka po sąsiedzku. Ciągle byśmy go widywali i jego rodzina widziałaby nas.

Bo i tak by mi nie uwierzyli, gdybym zdradziła jego imię.

Bo uwierzyliby jemu.

Bo to już kiedyś się zdarzyło, dziewczyna z naszego Kościoła powiedziała, że to jego, ale nikt jej nie uwierzył, wszyscy się nią brzydzili i jej rodzina musiała się wyprowadzić.

Bo nie chciałam z nim być w ten sposób, ale mnie zmusił i kazał udowodnić, że go kocham. A jeśli komuś powiem, to przestanie mnie kochać.

Bo jeśli nie będzie dziecka, to on się nie dowie. I może znowu mnie kiedyś pokocha, ale jeśli się dowie, to już nigdy mnie nie pokocha.

Bo może się zaręczymy. Jeśli to zniknie.

Bo nikt nigdy mnie już nie pokocha i wcale mnie to nie dziwi.

Bo wszyscy znajomi będą mówić o mnie z pogardą i obrzydzeniem. Bo będą mówić, że złamałam serce rodzicom, że jestem dziwką.

Bo Bóg zrozumie. Tylko ten jeden raz.

Ratował życie. Życie dziewcząt i kobiet.

Dziewcząt, które ze wstydu próbowały same usunąć płód. Dziewcząt, które czekały, aż ciąża będzie zaawansowana, jakby nie wiedziały, że są ciężarne, i w środku porodu krzyczały, wypierając to, co się działo. Kobiet, które unikały wizyt u lekarza, choć wiedziały albo się domyślały, że płód obumarł i noszą w macicy śmierć, a nie życie. Dziewczyn, które ukrywały brzuch pod ubraniami, ciasnymi gorsetami. Spłaszczały pełne mleka piersi.

Można by pomyśleć, że jest rok 1955 albo 1935. Nie uwierzyłbyś, że takie okropne rzeczy jeszcze się dzisiaj zdarzają.

Z ignorancji? Z religijnych uprzedzeń?

Bo chciały być porządne. Wyglądać na porządne.

Niektóre należały do zielonoświątkowców. Dwie czy trzy amiszki, z wiejskiego zachodniego Michigan. Niewielka liczba katoliczek z okolic Detroit.

Niektóre z tych bardzo młodych dziewczyn zachodziły w ciążę z... ojczymami? ojcami? wujami? starszymi braćmi? kuzynami? Zbyt przerażone, by mówić. „Nie wiedziały”. „Nie pamiętały”. Do kliniki w Port Huron tuż przed zamknięciem przyszła zdenerwowana matka z trzynastoletnią córką, która była w trzecim miesiącu – mały, okrągły, twardy brzuch odznaczał się pod białymi bawełnianymi majtkami. Matka właściwie nie słuchała, kiedy lekarz próbował tłumaczyć: „To był gwałt, pani córka jest za młoda, by godzić się na stosunek seksualny”, tylko krzywiła się i czerwieniła, słysząc

taki prosty, „wulgarny” język z ust lekarza, a dziewczynka wpatrywała się w ziemię, głucha i niema, sparaliżowana wstydem; blada skóra, jasne brwi i rzęsy, cienkie białoblond włosy i oczy jak u albinoski. Zastanawiał się, czy przypadkiem naprawdę nie jest ślepa, jej oczy nie skupiały się na nim, nawet kiedy zwracał się do niej łagodnym, dobrym, ojcowskim tonem. I myślał: „Może jest upośledzona umysłowo?”. Z frustracją i złością myślał: „Dobry Boże! Nikt nie ma pojęcia, co jej się przydarzyło”.

W ich religii (na ile rozumiał tę religię) nie miało znaczenia, czy ciąża jest wynikiem gwałtu czy kazirodztwa, aborcja była wbrew boskiemu prawu. Aborcja była grzechem i zbrodnią, i niełaską, bo oznaczała rzeź niewiniątek. Tego słowa – „aborcja” – nie mówiło się na głos. Matka nie wypowiedziała go ani razu do doktora Voorheesa, nerwowym szeptem prosiła o pomoc.

Powtórzył to, co powiedział. I powtórzył to, co powiedział. Zwykle bowiem to, co mówił do takich zdenerwowanych kobiet, trzeba było powtórzyć wiele razy. Kilkanaście. Ustawowy gwałt. Zbyt młoda, by się godzić. Trzeba zgłosić. Prawo stanowe. Poważne przestępstwo. To dziecko jest ofiarą.

A matka krzyczała: „Nie, doktorze, proszę, to będzie koniec naszej rodziny!”. Błagała, by ciążę „załatwić”. Przyprowadzi dziewczynkę do kliniki w nocy. Zapłaci tyle, ile ma – oszczędziła 320 dolarów.

Czuł wielki smutek; musiał jej powiedzieć: „Nie. Nie bez zgłoszenia tego gwałtu”.

W końcu wpadła we wściekłość. Była wściekła na niego.

„Zgnije pan w piekle, doktorze! Jezus pana nienawidzi”.

I zabrała tę dziewczynkę, i nigdy ich już nie zobaczył.

Inna, której nie zapomni, N.C. Powiedziała, że ma trzydzieści siedem lat, i błagała: „Nikt nie może wiedzieć”.

Czekała na parkingu za kliniką (w Saginaw) o zmierzchu, drżąc z zimna, przerażona. Powiedziała niepewnym głosem, że jest w ciąży po raz piąty,

w domu ma czwórkę maluchów, nie może powiedzieć mężowi, który kazałby zatrzymać dziecko, bo ich Kościół wierzy, że dzieci pochodzą od Boga, każde jest bożym błogosławieństwem, szlochała i prosiła lekarza, któremu udało się ją przekonać, by wróciła do kliniki za dnia. I wróciła, zapisała się, odbyła rozmowę, zbadał ją jeden z młodszych lekarzy, który ocenił, że to siódmy tydzień; błagała, by ciążę „załatwić", więc wyznaczono jej termin aborcji (u doktora Voorheesa, bo nalegała, by to był on), konkretnego dnia o konkretnej godzinie, co było bardzo skomplikowane, bo kobieta zdawała się nie mieć ani trochę swobody, w ogóle czasu dla siebie – każda minuta każdej godziny każdego dnia była zaplanowana; tego jednego dnia mogłaby się wymówić wyjazdem do Traverse City, by odwiedzić jakąś starszą krewną w domu opieki. I tak po kilku telefonach i dwukrotnym przełożeniu (jedną z wizyt odwołała w ostatniej chwili) umówiono znowu zabieg na taką porę, by mogła po nim odpocząć. Kobieta przyjechała do kliniki blada jak ściana, ale zdeterminowana, by poddać się zabiegowi, który wraz z przygotowaniem zajął niecałą godzinę. Później w sali pooperacyjnej leżała podobno spokojnie, choć mamrotała pod nosem modlitwę, a kiedy pielęgniarka zadawała jej pytania, była rozkojarzona. Ale czuła się dobrze. Twierdziła, że czuje się dobrze. A potem (minęło jakieś półtorej godziny) wyszła.

Wydawało się, że to koniec sprawy. Ale nie.

Dwanaście dni później w klinice pojawił się brodaty mężczyzna w średnim wieku i zażądał rozmowy z Gusem Voorheesem, którego nazwał aborterem mordercą.

Oznajmił, że jest prawnikiem Metodystycznego Kościoła Świętego Emanuela w Saginaw. Miał złożone pod przysięgą oświadczenie jednej z wiernych Kościoła, N.C., która twierdziła, że została oszołomiona lekami i uwięziona przez doktora Voorheesa oraz personel kliniki, który zmusił ją do poddania się nielegalnej operacji i zabicia dziecka. Rodzina N.C. oraz Metodystyczny Kościół Świętego Emanuela w Saginaw żądali piętnastu milionów dolarów odszkodowania, albo zgłoszą sprawę policji w Saginaw. I pójdą do lokalnej gazety i telewizji...

W końcu zgodzili się na trzy i pół tysiąca dolarów.

Jesteś zdziwiona? Często płaciliśmy. Jeśli kwoty były rozsądne i nie mogliśmy ryzykować procesu cywilnego.

Nie dowiedziałabyś się. Takie ugody trzyma się w tajemnicy. Ale twoja matka pewnie wiedziała. Jeśli nie powiedział jej Gus, mógł to zrobić ktoś inny.

Ile? Może z tuzin łącznie. To były fałszywe pozwy inicjowane przez powodów takich jak ten Kościół w Saginaw albo indywidualne osoby reprezentujące kobiety, które przeszły zabieg, a kiedy to wyszło na jaw, twierdziły, że zostały otumanione i zmuszone. Dla naszej firmy (dokładnie zapamiętaj nazwę: Federman, McMahan & Scapalini, Ann Arbor) to były głównie sprawy pro bono, od dawna angażowaliśmy się w kwestie publicznej opieki zdrowotnej, którą twój ojciec i jego współpracownicy zapewniali w Michigan.

Zgodziliśmy się na ugodę z Kościołem w Saginaw, choć było to jawne wyłudzenie. Radziliśmy Gusowi, żeby nie szedł do sądu, bo nigdy nie wiadomo, co przysięgli albo sędzia przyznają takiemu powodowi, jeśli matka „w żałobie" zacznie zeznawać, szlochając i modląc się na miejscu dla świadka. Istniało duże prawdopodobieństwo, że sędzia odrzuci pozew, ale nie mogliśmy ryzykować, biorąc pod uwagę wiejskie sądownictwo w niektórych hrabstwach Michigan.

To nie była ta kobieta, N.C. To nie ona stała za pozwem. Raczej ktoś inny. Zawsze był ktoś inny. To nie kobieta inicjuje pozew sądowy, tylko ktoś, kto ją wykorzystuje. Idź śladem nasienia. Ten, kto zapłodnił kobietę, najczęściej ją wykorzystuje.

Jedno, czego się nauczyliśmy: wyznanie kobiety (nawet jeśli nazywa się nawróconą chrześcijanką) nie ma zwykle znaczenia, jeśli chodzi o aborcję. Nie jest to fakt powszechnie znany i wielu ludzi by nie uwierzyło.

Twój ojciec nie był mściwy. Jeśli mógł, nikomu nie odmawiał. Ufał ludziom – czasami za bardzo.

Zajął się publiczną opieką zdrowotną, choć wiedział, że nigdy się nie wzbogaci. Gdyby miał prywatną praktykę na przedmieściach Detroit,

mógłby się stać bardzo bogatym człowiekiem. I teraz by żył.

Moment – nie zrozum mnie źle, Naomi. Może źle mnie zrozumiałaś.

Jak na lekarza wykonującego aborcje, mającego tak wielu wrogów, twojego ojca bardzo rzadko pozywano. Pozwy o błędy w sztuce są dość częste we wszystkich specjalizacjach. Wiedział o tym. Nie skarżył się. Miał ogromne poczucie humoru, jak stoik ze starożytnej Grecji. Jedna z naszych koleżanek w Saginaw wyszyła mu makatkę do powieszenia na ścianie: „Nie czyń dobra, nie spotka cię zło".

Posłuchaj, kochałem Gusa. Uwielbiałem twojego ojca. Ale praca z nim nie zawsze była łatwa. Podjął wielkie ryzyko, że pojechał do Ohio w tamtym czasie, do kliniki, którą planowano już zamknąć. Wiedział – albo mu powiedziano – że w tej części Ohio działa świetnie zorganizowany ruch antyaborcyjny, finansowany przez konserwatywnych republikanów. Wdepnął wtedy w polityczne gówno i próbował udawać, że tak nie jest. A po przyjeździe do Ohio ignorował wszystko, zajmował się tylko kliniką.

Gus nigdy nie nauczył się delegowania zadań i czasami stawał się zbyt emocjonalny. Brakowało mu pewnego drobiazgu – dyplomacji. Nie pomaga, jeśli nazwiesz legislatora w Michigan moralnym troglodytą. Nawet jeśli to prawda.

Wiesz, mówienie o Gusie Voorheesie w trakcie uroczystości na jego cześć czy pisanie o nim nie jest takie trudne. Stworzono do tego język – wyniosły język peanu. Ale ty mnie pytasz o prawdziwą pracę, którą wykonywał Gus, o pracę, którą my dla niego robiliśmy, szalone pozwy, wymuszenia, szantaże, groźby... Jakby Gus był ze mną w pokoju, potrząsał głową i się śmiał. Często się razem śmialiśmy.

Czy Gus Voorhees był wizjonerem? Nie wiem, Naomi. Myślę, że był idealistą, który bardzo ciężko pracował. Z pewnością miał wielkiego ducha, wspaniałomyślność – większą niż którykolwiek znany mi człowiek.

To jednak niesie za sobą rodzaj ślepoty.

Twój ojciec zawsze zakładał (wbrew wszelkim dowodom), że jego sprawa jest tak słuszna i ważna – ten model stosowany przez opiekuńcze państwa północnej Europy, zapewniające darmową opiekę zdrowotną wszystkim

obywatelom i nieograniczające prawa do aborcji – że w końcu wszyscy to zrozumieją. Zdawał się myśleć, że nawet wróg to w głębi duszy rozumie i że można go przekonać...

Rozważ przykład Jezusa. Nie jako Syna Bożego (jak myślał o sobie biblijny Jezus, co my możemy uważać za urojenie), ale jako wizjonera – człowieka tak przekonanego o swojej dobroci i słuszności swojej misji, że nie mógł pojąć, jak ktokolwiek może się z nim nie zgadzać, a tym bardziej zranić go czy zabić.

Oczywiście nie mam na myśli tego, że Gus Voorhees miał urojenia – nie patrz na mnie tak, jakbym wbił ci nóż w serce. Prosiłaś, żebym mówił otwarcie, więc to robię.

Twój ojciec cierpiał na rodzaj ślepoty typowy dla niektórych wizjonerów religijnych. Nie nazwałbym tego pychą, bo nigdy nie był dumny czy arogancki. Był nieświadomy.

Twoja matka chyba to rozumiała. Jenna zawsze rozumiała. Ale nie potrafiła przekonać Gusa. Nikt nie potrafił.

W Stanach Zjednoczonych toczy się wojna religijna o serca i umysły obywateli – wyborców. To jest wojna.

A na wojnie giną niewinni.

Układanka

– Halo? Och, Gus! Dzięki Bogu! Gdzie jesteś?

Nasza matka przy telefonie. Słyszeliśmy ją przez podłogę, podniesiony głos, podekscytowaną ulgę. Jeśli był w nim jakiś lęk, nuta desperacji, to ich nie słyszeliśmy, bo czuliśmy tę samą wielką ulgę.

Tata! Tata dzwoni do domu.

Flint. Battle Creek. Kalamazoo.

Bay City (na południe od Saginaw Bay, zatoka jeziora Huron).

South Haven (zachodnie Michigan, nad jeziorem Michigan).

Traverse City (na południe od Grand Traverse Bay, nad jeziorem Michigan).

Cheboygan w północnej części stanu, nad jeziorem Huron.

Petoskey, nad jeziorem Michigan.

Sault Ste. Marie w najbardziej wysuniętej na północ części stanu Michigan, na kanadyjskiej granicy; na zachodzie Whitefish Bay (nad Jeziorem Górnym), na wschodzie jezioro Huron.

Port Huron w Sarnii (Ontario), nad najbardziej wysuniętą częścią jeziora Huron.

Lansing. East Lansing. Midland. Jackson.

Owosso. Ypsilanti. Ann Arbor.

Detroit i przedmieścia: Hamtramck, Livonia, Ferndale, East Detroit.

Grand Rapids. Saginaw. St. Croix.

Łatwiej sobie to wyobrazić jako układankę w jajowatym kształcie stanu Michigan. Kwadratowe albo prostokątne hrabstwa – rozmieszczenie miast

i miasteczek – niemal symetryczne ułożenie najważniejszych jezior: Michigan na zachodzie, Huron na wschodzie, obejmujące stan Michigan w kształcie kciuka. Spotykające się pod mostem w Mackinaw na północy.

Układanka i jednocześnie gra planszowa. Pionek, pojedynczy gracz, niestrudzenie przesuwa się po planszy.

Często dzwonił do nas z drogi, z restauracji przy autostradzie albo z domu znajomego: „Hej, to ja, tylko daję znać”. Dzwonił zawsze, kiedy docierał na miejsce i meldował się w motelu.

To Michigan sobie przypominam. Zamykam oczy i mapa stanu wyłania się jak błysk na pomarszczonej powierzchni wody. Chociaż ojciec zginął w Ohio.

Jak zdmuchnięta świeca

Była sama, kiedy zadzwonił telefon.

Sama, bo dzieci zawiozła do szkoły. Sama w obskurnym oszalowanym domu na Salt Hill Road w hrabstwie Huron, w Michigan.

S a m a, s a m a! Długo przypominała sobie dziwność tego słowa, echo budzone przez melancholijne powtórzenia samogłoski – s a m a.

O dziewiątej osiemnaście rano, 2 listopada 1999 roku, kiedy zadzwonił telefon, była sama, bo dzieci siedziały w szkole w niewielkim wiejskim miasteczku St. Croix, a mąż wyjechał do Ohio.

Na razie mieszkamy osobno. Ale nie jesteśmy w separacji.

Skoro jesteś ciekawa, zapytaj Gusa. To była jego decyzja.

Zaskoczenie, szok. Obcy głos, który przekaże informacje, a one rozedrą twoje życie na strzępy.

Jak ręka wyrwana ze stawu – najpierw jest niedowierzanie, potem uderzenie czystego szoku, potem niewyobrażalny ból i tryskająca krew.

Pierwszy moment – niedowierzanie.

Dusza wołająca: „Nie! Nie!”.

Była sama. Zapamięta na zawsze.

On ją porzucił. Nie było go przy niej, by ją pocieszyć, uspokoić. Przytrzymać wierzgające kończyny, ciało niczym ciało drgającej żaby, kiedy skalpel przecina piękną delikatną skórę na brzuchu w kierunku bijącego serca.

Gus, och, Gus!

Cisza i spokój prostego starego domu na wsi rankiem, po wyjściu dzieci.

Po tym, jak odwiozła je do szkół w St. Croix i wróciła sama do domu.

Nie przeszkadzało jej, że musi wozić dzieci do miasta pięć razy w tygodniu – raczej nie. Przez zimowe pola, na których szron lśnił na połamanych łodygach kukurydzy i spustoszonych hektarach pszenicy. Nad głową krążyły drapieżne ptaki, ich obecność wciąż ekscytowała – myszołów rdzawosterny, błotniak zbożowy. Wczesnym popołudniem odbierała dzieci, bo zwykle i tak miała coś do załatwienia.

Ten czas spędzała z nimi sama. Wtedy Darren nie mógł odpłynąć i się wyłączyć.

Melissa zawsze siedziała w fotelu pasażera, obok Jenny. Istniało między nimi magiczne, ekscytujące porozumienie, którego Jenna nie miała już ze starszymi dziećmi (musiała to przyznać). Choć oczywiście kochała Naomi i Darrena tak samo jak Melissę.

Dlaczego zaadoptowali tę chińską osieroconą dziewczynkę? To pytanie chciał zadać każdy, kto znał Gusa i Jennę Voorheesów.

Nie potrafiła powiedzieć. Nie jednoznacznie.

Bo nie powinna przeicież mówić: „Czuliśmy, że to nasz obowiązek”.

Niedelikatna i nieprawdziwa byłaby odpowiedź: „To dla niektórych z nas obowiązek, dla tych, którzy mogą pozwolić sobie na zabranie dziecka do domu, w przeciwnym razie...”.

Bardziej prawdziwe byłoby: „Ponieważ chcieliśmy pokochać jeszcze jedno dziecko”.

Bardziej prawdziwe: „Bo mogliśmy. Bo nadszedł czas na kolejne. Bo rodzenie dziecka byłoby niepraktyczne. Bo mieliśmy miłość do oddania”.

Nie chciała myśleć, że pragnienie Gusa, by mieć kolejne dziecko, adoptowane, najlepiej z Chin, miało w sobie coś głęboko nieracjonalnego i niezrozumiałego.

Nie chciała myśleć, że jej zgoda na zrealizowanie pragnienia męża miała w sobie coś tchórzliwego, niepewnego. Ani że jej strach przed zdenerwo-

waniem Gusa Voorheesa w jakikolwiek, drobny, nieznaczący, istotny, głęboki sposób, był uzasadniony.

„Ono miało odnowić nasze małżeństwo. Być odnowieniem przysięgi”.

Kilka razy wypowiedziała te starannie dobrane słowa o adopcji Melissy.

Czy były prawdziwe? „Odnowienie przysięgi” brzmiało naiwnie radośnie, optymistycznie. Bo przecież nikt nie chciałby powiedzieć: „Ze strachu, że nasze małżeństwo się sypie, sięgnęliśmy na ślepo po kolejne dziecko. Czy tak bardzo różnimy się od innych par?”.

Starsze dzieci stawały się dla niej tajemnicą. Było oczywiste, że nie potrzebują jej nawet w połowie tak bardzo jak Melissa. Dwunastoletnia Naomi była skryta i trudna do rozszyfrowania; piętnastoletni Darren miał nieprzewidywalne nastroje. Przytulić Darrena oznaczało ryzyko, że zostaniesz odepchnięta i obrzucona spojrzeniem bolesnego zażenowania: „Mamo, no Jezu”.

Czasami całe ciało bolało na ich wspomnienie; na wspomnienie tej intymności ciąż, porodów, karmienia, które tak bardzo ją definiowały w pierwszych latach małżeństwa. Teraz syn i córka traktowali matkę z rezerwą. Obwiniali ją o wyjazd Gusa.

Choć tylko Melissa pytała, bo tylko Melissa kochała Jennę dość mocno, by jej ufać.

„Dlaczego nie możemy mieszkać z tatą?”

„Nie kochasz taty? Jesteś zła na tatę?”

„Czy tata nie chce już z nami mieszkać?”

O dziewiątej osiemnaście rano, 2 listopada 1999 roku, kiedy zadzwonił telefon, nie odebrała.

Uznała, że to nie Gus, bo Gus nigdy nie dzwoniłby o tej porze. Każdego ranka w dzień roboczy zwykle operował. A o tak wczesnej porze przeprowadzał trudne aborcje chirurgiczne – usuwanie późnych, upośledzonych płodów u kobiet, których życie było zagrożone. Takich operacji inni chirurdzy nie chcieli przeprowadzać.

Nie wykonywał wyłącznie aborcji na żądanie. Większość to były aborcje terapeutyczne. Przedwczesne rozwarcie i wypadnięcie zdeformowanego płodu w drugim trymestrze, płodu, którego serce nie biło. Wstrzykiwanie digoksyny, by wywołać poronienie zdeformowanego płodu w trzecim trymestrze. Spora część tych zabiegów to było położnictwo – nie niszczył płodów, tylko je ratował. Leczył ciąże pozamaciczne. Leczył ciężarne kobiety chore na raka szyjki, jajników, macicy. Przeprowadzał cesarskie cięcia. Przyjmował porody kobiet poważnie rannych w wypadkach albo ciężko chorych. Chirurgicznie naprawiał uszkodzenia ciała po bardzo ciężkich porodach, które inaczej byłyby śmiertelne. Ale wrogowie Gusa Voorheesa ignorowali to wszystko i szkalowali go jako zabójcę dzieci.

Musztardowożółte ulotki: *W okolicy mieszka zabójca dzieci*.

(Koszmar, Melissa przyniosła taką ulotkę do domu! Znalazła ją na chodniku przed domem w Saginaw).

Fałszywa bomba w klinice w St. Croix. Graffiti na zasłoniętych roletami oknach, małe białe drewniane krzyże rozrzucone na podjeździe przed budynkiem, hasła na tablicach, klęczący demonstranci, różańce... Otępiające skandowanie, które słyszała czasami we śnie, w poświacie między zmierzchem a świtem.

Wolny wybór? Przestań kłamać
– żadne dziecko nie chce umierać.

To była prawda, ale lepiej zapomnieć.

Płód pragnął żyć. Uparcie, czasem zaskakująco – płód walczył o życie. Ale jego życie – lub śmierć – zależały od matki. Nie było alternatywy.

Próbowała nie myśleć o tych sprawach. Szczególnie o tablicach demonstrantów, na których widniały niewyobrażalne potworności – martwe, okaleczone, rozczłonkowane dzieci, z których każde (w innych okolicznościach) mogłoby być jej własnym, ukochanym. I tak... świadomość, że jej mąż jest chirurgiem rutynowo przeprowadzającym aborcje. To zatruwało, wżerało się w duszę, jeśli pozwoliła sobie myśleć o tych zarzutach i o ludziach, których Gus i jego współpracownicy nazywali wrogami.

Denerwowała się, czuła gorycz, że praca aż tak pochłania męża, który zdawał się nie wiedzieć albo ignorować to, jak postrzega go świat.

Czy to była arogancja czy właśnie ignorancja? Gus nie wiedział tego, co mógłby wiedzieć, gdyby bardziej się interesował.

„Posłuchaj, Jenno! Moja praca, moje życie bronią się same. Muszą być moją obroną".

Wchodziła po schodach na drugie piętro. Wąskich, stromych, skrzypiących pod jej ciężarem. Serce radowało się na myśl, że przynajmniej przez kilka godzin będzie sama.

Zaśmiała się, bez tchu. Czuła się tak dziwnie wolna.

Nie powinna była oczekiwać, że zacznie czuć coś w rodzaju stoickiej wygody w domu na Salt Hill Road, który nie był ich pierwszym wyborem w hrabstwie Huron, ale przynajmniej już go tak nie nienawidziła.

W tych licznych miejscach, w których mieszkali, odkąd postanowili żyć razem i się pobrać, to do Jenny należało zorganizowanie (po cichu) gospodarstwa. Oczywiście nikt jej tego nie powiedział – a już z pewnością nie Gus – ale rozumiała, podejmowała wyzwanie i była z tego dumna. Kiedy poznała Gusa Voorheesa, właśnie kończyła ostatni rok prawa na Uniwersytecie Michigan, a Gus był rezydentem drugiego roku w szpitalu uniwersyteckim; już wtedy angażował się w działalność publicznej służby zdrowia, Jenna zaś była wolontariuszką organizacji Legal Aid. Zdała egzamin adwokacki za pierwszym podejściem, ale nie miała ambicji, by robić karierę w zawodzie. Praca nad reformą sytuacji ekonomicznej kobiet, porady prawne dla organizacji chroniącej prawa reprodukcyjne kobiet to była jej misja, ale stała się częścią życia, a nie życiem. Matka ją ostrzegała: „Praca to nie życie".

W trakcie szesnastu lat małżeństwa Jenna nigdy nie przestała pracować, z wyjątkiem okresów zaraz po urodzeniu dzieci i kiedy polecieli do Szanghaju, by zaadoptować Melissę, co zajęło niemal trzy tygodnie. Jednak wykonywała swoją pracę, dostosowując ją do bardziej skomplikowanego gra-

fiku męża. Życie domu skupiało się na nim i na dzieciach, dla samej siebie Jenna stała się smugą, postacią ciągle pozostającą w ruchu.

Wszystko to nie miało znaczenia, dopóki kochała Gusa Voorheesa. Rzadko myślała o karierze, o życiu. Dopóki on ją kochał.

Jednak Gus często wyjeżdżał. Nawet jeśli akurat mieszkał z rodziną, to często wyjeżdżał w weekendy.

W maju 1997 roku przeprowadzili się z Saginaw do hrabstwa Huron, gdzie Gus Voorhees przejął ster tonącej Kliniki dla Kobiet Hrabstwa Huron. Wkrótce po tym, jak klinika w St. Croix zaczęła działać sprawnie, z Gusem skontaktowała się Rada Lekarska stanu Ohio, prosząc, by przejął inną tonącą klinikę dla kobiet, w miasteczku, w którym antyaborcyjni agitatorzy zniszczyli budynek, zmusili dyrektora do odejścia i zastraszyli większość personelu. Miała to być awaryjna sytuacja, a placówka znajdowała się na świeczniku. Wbrew miejscowej opozycji przyciągnęła uwagę mediów i krajowych publikacji, takich jak „USA Today”. Jenna była zaskoczona, że Gus z miejsca nie odrzucił propozycji Rady. Mówił poważnie? Kolejna przeprowadzka?

Wyjaśniał: jeśli Klinika dla Kobiet Hrabstwa Broome zostanie zamknięta, kobiety z okolicy będą musiały jeździć sto sześćdziesiąt kilometrów po recepty na środki antykoncepcyjne, a jeszcze dalej na zabieg.

Przeciwnicy aborcji w Ohio działali wyjątkowo zdecydowanie, co zdawało się tylko prowokować i zachęcać Gusa Voorheesa.

Powiedziała wtedy: „Nie! Jesteś potrzebny tutaj, w Michigan”.

Odparł, że bardziej jest potrzebny w hrabstwie Broome w Ohio.

Odpowiedziała, że pewnie to prawda. Ale co z tego? Ile jest hrabstw w Stanach Zjednoczonych, o których można powiedzieć, że potrzebują Gusa Voorhesa lub kogoś takiego jak on?

„Czy hrabstwo Broome w Ohio jest bezpieczne?”, zapytała.

Gus odpowiedział, tak jak się spodziewała, że niebezpiecznie może się zrobić wszędzie, a on nie będzie brał pod uwagę swojej osobistej wygody.

„Osobistej wygody! Nienawidzę cię”.

Miała ochotę na niego wrzeszczeć. Miała ochotę go odepchnąć. Miała ochotę zahartować swoje serce tak, by nie mógł go już bardziej ranić.

Mimo błagań żony Gus przyjął propozycję z Ohio. Przedsięwzięto środki bezpieczeństwa – ochronę kliniki i personelu przez uzbrojonych ludzi. Gus dostał też możliwość zatrudnienia całkiem nowego personelu medycznego i cywilnego. Kilkoro młodych lekarzy, kobiet i mężczyzn. Mieli pieniądze na gabinet radiologiczny. Na przynajmniej trzy lata obiecano mu większe fundusze od stanu Ohio, niż miał do dyspozycji w Huron.

Jenna nie była pewna, czy Gus naprawdę chce, by oni przeprowadzili się z nim do hrabstwa Broome. Czy naprawdę chce ściągać dzieci w potencjalnie niebezpieczne miejsce. Ale Gus zapytał. Gus pytał kilka razy. A Jenna odpowiadała zdecydowanie, że nie.

Kolejna przeprowadzka! Kolejny dom! Nowe szkoły dla dzieci! To będzie koszmar.

– Wydaje mi się, że wcale nie o to ci chodzi. Prosisz, żebyśmy z tobą pojechali, bo wiesz, że tego nie zrobimy. Czy ty w ogóle powinieneś był się żenić, Gus? Czy powinieneś mieć rodzinę?

– To śmieszne! To okropne oskarżenie, Jenno.

– Czyżby? Zapytaj dzieci.

– Sama zapytaj dzieci, kiedy dorosną i będą potrafiły osądzić.

Każda krytyka, która dotyczyła jego ojcostwa, bolała Gusa, doprowadzała go do szału – Jenna widziała już złość w oczach męża.

Pomyślała, że on nastawi dzieci przeciwko niej. Jeśli dojdzie do separacji albo rozwodu. Nawet jeśli przyznaliby pełną opiekę matce, dzieci szanowałyby ojca, bo nie znają go tak dobrze jak matki.

– Sprawiasz, że cię nienawidzę. I boję się ciebie.

– To śmieszne! Temat zamknięty.

Melissa stanęła na palcach i szeptem powiedziała do matki:

– Nie każ nam się przeprowadzać, mamusiu! Ja wtedy umrę.

Jenna udawała, że nie słyszy tej niepokojącej prośby. Nie całej.

– Oczywiście, że nie będziemy się znowu przeprowadzać, Melisso. Na pewno nie w najbliższym czasie.

Dziwnie słyszeć słowo „umrę” z ust siedmiolatki. Nawet jeśli jest przedwcześnie dojrzała.

Wiedza o śmierci, umieraniu docierała teraz do coraz młodszych dzieci. Jenna i Gus ze zdziwieniem dowiedzieli się, że szesnastoletni syn ich przyjaciół z Ann Arbor popełnił samobójstwo: powiesił się w swoim pokoju w wieczór po pierwszym dniu szkoły we wrześniu – żadnego listu, żadnego czytelnego ostrzeżenia, zupełne zaskoczenie dla kolegów z liceum i rodziny. Voorheesowie znali tego chłopca od dziecka, a jedyne, co potrafili z siebie wydusić, to: „Ale Mikey zawsze wydawał się taki normalny...”.

Jenna uważała, że z najmłodszą córką najlepiej porozumiewa się uściskami i pocałunkami. Słowa były tylko dodatkiem.

Po pierwszym okresie ewidentnego przygnębienia i rozżalenia Darren w końcu zaczął zawierać przyjaźnie w liceum St. Croix. (Jenna widywała przelotnie owych przyjaciół i nie była pewna, co myśleć o tych ponurych chłopcach, którzy mamrotali: „Bry pani”, kiedy Darren bywał zmuszony ich przedstawić. Do głowy przychodziło jej wtedy okrutne określenie – frajerzy). Darren miał nieproporcjonalnie długie kończyny i zrobił się mrukowaty, sarkastyczny, miał zmienne nastroje – potrafił zranić i obrazić matkę czy Naomi przy najmniejszej okazji. Jeśli dostawał dobre stopnie, wzruszał ramionami z zażenowaniem nastolatka; jeśli oceny były słabsze, dopadał go wstyd nastolatka. Decyzja ojca o wyjeździe do pracy w Ohio zaniepokoiła go, zdenerwowała, ale winił za nią również Jennę, co ona rozumiała – bo Daren często obwiniał.

Rozmawiali o tym, że syn pojedzie odwiedzić Gusa. Ale jak dotąd żaden weekend nie był na to odpowiedni.

Na przekór Jennie, by ją zirytować, Darren powiedział, że chętnie przeprowadzi się do Ohio, w dowolnej chwili. Mówił z sarkazmem:

– O ile gorsze może być obrzydliwe wiejskie Ohio od obrzydliwego wiejskiego Michigan?

A Jenna odpowiadała:

– W Ohio obowiązuje kara śmierci. W Michigan nigdy w historii jej nie wykonano.

Gapił się na nią, zaskoczony prawniczą repliką.

Co to znaczy? Dlaczego mu to powiedziała?

Ale rozumiał. Ohio było bardziej konserwatywnym stanem niż Michigan. Już jako dziecko Darren nauczył się mrużyć oczy na widok lub dźwięk słowa „konserwatywny”.

Antyczarny. Antyfeministyczny. Antyrównościowy. Antyliberalny. Antyaborcyjny.

Wróg.

– Ohio jeszcze nie uchyliło kary śmierci. Ich władza ustawodawcza nie daje się przekonać racjonalnymi argumentami. Za to Wisconsin wykonało karę śmierci tylko na jednej osobie w historii, i to dawno temu, a w Minnesocie karę śmierci zniesiono w 1911 roku. Michigan ma najbardziej wyjątkową statystykę ze wszystkich stanów – ani jednej egzekucji.

Jenna mówiła z taką pasją! Te krótkie przemowy, które od czasu do czasu wygłaszała wobec dzieci, często je zaskakiwały. Jeśli byłeś dzieckiem Jenny Matheson, musiałeś zrozumieć, że ogromnie zależy jej na rzeczach, o których wiedziałeś bardzo mało, a to dawało do myślenia, że nie była tylko mamą.

Darren powiedział złośliwie:

– Ale tata i tak wyjeżdża. Więc kogo to obchodzi?

A Jenna, zraniona, odparła:

– Oczywiście mnie. I ciebie też powinno.

– Gdybyś mnie kochał...

– Oczywiście, że cię kocham, skarbie. Ale to nie takie proste.

– A miłość jest prosta?

– Nie mów zagadkami, Jenno. Wiesz, że mamy zadanie do wykonania.

Zastanawiała się, czy jego wyjazd to wstęp do oficjalnej separacji, do rozwodu? Gus by tego nie zasugerował, ale gdyby Jenna zaczęła temat, mógłby skwapliwie potwierdzić. Znała mężczyzn, którzy sprowokowali niespokojne żony czy kochanki do takich pochopnych uwag... Emocjonalnych wybuchów, których nie da się cofnąć.

Od wyjazdu Gusa Jenna nabrała zwyczaju wyglądania przez okno na drogę. Każdy ruch, który dostrzegła (albo wydawało się jej, że dostrzega) na Salt Hill Road, jak mignięcie przejeżdżającego auta, budził w niej dziecięce oczekiwanie: czy ten samochód skręci na podjazd? Czy to Gus niespodziewanie przyjechał do domu?

„Skarbie, zmieniłem zdanie. To był szalony pomysł. Czysta arogancja. Miałaś rację".

Ale wiedziała, że nie ma racji. To było małostkowe, strachliwe i tchórzliwe oczekiwać od męża, że postawi ją i dzieci ponad pracą, która tyle znaczyła dla tak wielu zdesperowanych kobiet i dziewcząt.

Niektóre z nich go uwielbiały. Oczywiście. Uratował im życie i zwrócił im normalność.

Nie tylko kobiety, które musiały przerwać ciążę, ale też pielęgniarki, asystentki, lekarki, z którymi pracował Gus Voorhees. Twierdził (Jenna ze wstydem myślała o tym, że w ogóle musieli odbyć kiedykolwiek taką rozmowę), że ją kocha, zawsze będzie ją kochał, a jeśli jakieś kobiety przelotnie uznał za atrakcyjne, jeśli inne kobiety uznały go za atrakcyjnego, mówił: „To naturalne, Jenno. Ale powtórzę: kocham ciebie".

Wierzyła mu. Chciała mu wierzyć. Ale jakże bardzo za nim tęskniła!

Jeżdżenie do miasta zaczęło boleć – mąż nie pracował już w klinice hrabstwa Huron, nie było też żadnego (oczywistego) powodu, dla którego Jenna i dzieci mieliby tu wciąż mieszkać. Kiedy w sklepie spożywczym spotykała znajomych albo pracowników kliniki, uderzyło ją ich założenie, że doktor Voorhees zamierza wrócić do St. Croix, a przenosiny do Ohio są jedynie tymczasowe. Jenna niepewnie odpowiadała, że ma taką nadzieję. Gus jechał tam, gdzie był najbardziej potrzebny...

– Tęsknimy za doktorem Voorheesem! Zawsze potrafił nas rozśmieszyć.

– Czyżby? No tak.

Odchodziła z uczuciem, że trochę ich zwodzi, a jednocześnie rozweselona. Oczywiście, że za rok lub dwa Gus wróci do St. Croix. Z pewnością wróci do Michigan.

Albo uda mu się przekonać żonę i dzieci, by dołączyli do niego w Ohio, mimo wszystko.

Jenna myślała o poecie Percym Shelleyu, który podobno powiedział o sobie z dumą: „Idę, dopóki mnie nie zatrzymają. A nie zatrzymają mnie nigdy”.

Tyle że Shelleya zatrzymano, w młodym wieku.

I Gusa Voorheesa zatrzymają, w końcu.

Teraz jednak jest sama. I szczęśliwa, że jest sama. Powtarzała to sobie.

Po raz pierwszy, odkąd Gus wyjechał do Ohio w duszącym sierpniowym upale, cieszyła się, że jest sama.

„Jenno, nie mów, że porzucam ciebie i dzieci! Nie porzucam, wiesz o tym doskonale. Pojedziesz ze mną? Za kilka miesięcy...”

Ale nie pojedzie. Postanowiła, że nie pojedzie.

Bo czuła rozgoryczenie, bo wiedziała, że on kocha przede wszystkim swoją pracę. Nie żonę i nie dzieci. Swój ideał Gusa Voorheesa, który inni tak podziwiali i szanowali.

Ależ była wdzięczna, że pojechał! Jego dłonie dotykające jej włosów, gładzące policzki, szyję, ramiona, jego mruczący głos, usta muskające jej wargi. Była chora z miłości do niego, nie mogła znieść myśli o nim. Budzić się w nocy w kraterze zapadniętego materaca, czuć jego ciężar na sobie, czuć jego oddech – pragnęła umrzeć, nie mogła znieść takiej samotności. Dzieci były marnym substytutem, to one potrzebowały jej! Ale ona potrzebowała męża, mężczyzny. Jak w delirium pragnęła tego, co mógł jej dać tylko mąż, nikt inny.

A jednak powtarzała sobie zupełnie inną wersję: jest wdzięczna, że może być sama. Jeśli nie da się zawsze, to przynajmniej tego ranka. Cenne spo-

kojne godziny pracy przy prostym sosnowym stole w niewielkim pokoju na górze, który nazywała swoim gabinetem, ze skośnym sufitem, wąskim widokiem na ciemnobrązowe pola, z odkręconym na maksimum starym grzejnikiem.

Zamykam za sobą swoje drzwi – pisała poetka.

Przekręcam klucz i tam jest – szczęście.

Usłyszała telefon dzwoniący na dole. Cholera jasna.

Poczuła nagłe wyrzuty sumienia. Nie wolność, tylko jakby imadło zacieśniające się wokół piersi.

W tym pokoju nie było telefonu. Nie chciała go tutaj mieć. Jej praca, tak długo dostosowywana do planów męża i dzieci, wzywała ją niczym coś umierającego z pragnienia. Nie, nie! Nie przerywaj tak szybko.

Dopiero zaczęła. W pokoju było wilgotno i panował przeciąg, musiała włączyć grzejnik elektryczny. Ogrzewała dłonie, mocno ściskając kubek z kawą. To niesprawiedliwe, nie chciała, by jej przeszkadzano.

Pisała na elektrycznej maszynie – starym, wytrzymałym biurowym sprzęcie z niemal bezgłośnymi klawiszami. Żmudnie zbierała materiał do wysłania pewnej organizacji kobiecej w Detroit, dla której pracowała pro bono jako konsultant prawny. Choć miała nadzieję, że w końcu ktoś zacznie płacić za jej pracę.

„Skoro wykonujesz coś za darmo, nie możesz oczekiwać, że ktoś ci będzie płacił. To chyba logiczne, Jenno?” – tak mówiła teściowa Jenny, Madelena, nie bez racji.

O teściowej, Madelenie Kein, nie można było powiedzieć, że jest profesjonalistką wykonującą cokolwiek tanio lub za darmo.

(Madelena Kein kierowała Niezależnym Instytutem Badawczym na Uniwersytecie Nowojorskim, gdzie zajmowała się filozofią i językoznawstwem. Kiedy Gus był mały, przez kilka lat nosiła nazwiska Kein-Voorhees, ale już od dawna była Madeleną Kein – profesor Madeleną Kein. Gus nie pamiętał, kiedy dokładnie jego rodzice się rozwiedli – czy raczej kiedy

matka wyprowadziła się, by mieszkać i uczyć w Nowym Jorku, jakiś czas przed orzeczeniem rozwodu z ojcem Gusa, lekarzem, który został w Birmingham w stanie Michigan. Madelena dobrowolnie zrzekła się prawa do łączonej opieki nad synem, wyjechała mimo zakazu sądu, a z tego, co wiedziała Jenna, Gus nie miał żalu do swojej ambitnej matki, że go zostawiła. Nawet jeśli jej postępowanie go zraniło, nie rozmyślał o nim, za to był z niej dumny – na odległość. Madelena nie przyjechała na ślub Gusa i rzadko odwiedzała jego rodzinę, ponieważ – jak lubiła mawiać, używając tego zdania niczym bon motu – „minimalnie interesuje ją bycie czyjąś babcią”).

Gus przekonywał Jennę, by nie dała się onieśmielać teściowej: „Wystarczy, że mnie onieśmiela. Tobie da spokój”.

W rzeczywistości Jenna nawet podziwiała elegancką, tajemniczą i nieobecną matkę, która nie miała najmniejszego zamiaru wtrącać się w prywatne sprawy syna. W innym życiu może zostałyby przyjaciółkami.

W pierwszych latach małżeństwa Jenna była bardzo wdzięczna, że została żoną Gusa Voorheesa, więc nigdy nie narzekała na to, że jest samotna, porzucona czy (subtelnie, nie ordynarnie) wykorzystywana. Gus Voorhees był pierwszym mężczyzną, którego kiedykolwiek kochała – emocjonalnie, erotycznie. Intelektualnie.

Od początku wydawało się jej, że Gus nie kocha jej tak mocno jak ona jego. Nie dlatego, że jego uwaga skupiała się na tylu rzeczach, ale dlatego, że Gus nie potrafił kochać tak mocno jak Jenna. Taką tęsknotę, taką potrzebę Jenna rozumiała jako słabość, a nie siłę.

Ona była słaba, a Gus nie, więc nie mogła go winić.

Chyba że źle rozumiała swojego męża. To, że jeden człowiek nie potrzebuje miłości tak bardzo jak drugi, nie znaczy, że nie kocha równie mocno.

Jenna okazywała stoicką dumę, nie narzekając na trudy małżeńskiego życia, gdy tak wiele spadło wyłącznie na jej barki młodej żony bardzo zajętego lekarza chirurga, oddanego sprawie opieki zdrowotnej dla kobiet. Nie narzekała, zajmując się domem (jednym dzieckiem, dwojgiem, a w końcu trojgiem) w różnych rejonach Michigan, w które ściągnęła Gusa jego praca.

Pomagała mężowi w karierze pędzącej coraz szybciej jak lokomotywa po torach – nie tylko pisała na maszynie (to było oczywiście minimum), ale również zbierała materiały, układała i pisała wykłady czy artykuły na temat zdrowia i reprodukcji oraz problemów prawnych dla doktora Voorheesa, którego wciąż zapraszano jako mówcę, konsultanta lub współpracownika na różne imprezy charytatywne. Od Gusa również często oczekiwano pracy pro bono. Rzadko pracował mniej niż sto godzin tygodniowo.

Chciałaby porozmawiać z Madeleną Kein. Zadać jej jedno pytanie. „Czy opuściłaś rodzinę dlatego, że za bardzo ją kochałaś? Ponieważ rozumiałaś, że miłość i duma są jak haczyk z przynętą, który nieświadomie połykasz, i pewnego dnia odkrywasz, że wbił ci się w trzewia?”

Sama w domu tamtego ranka. Słyszała dzwoniący na dole telefon. Zerknęła na zegarek: dziewiąta osiemnaście.

Cholerny telefon! Nie dała sobie przerwać.

Słyszała dźwięk włączającej się sekretarki, zduszony głos z wiadomością. Była zbyt daleko, by dokładnie usłyszeć, i tak pogrążona w pracy, już opóźnionej o jeden dzień, że nie chciała się rozpraszać, jak zrobiłaby może inna kobieta, dla której samotność była stanem niepokojącym.

Chwilę później telefon zadzwonił ponownie.

I znowu myślała, zirytowana i coraz bardziej zdenerwowana, że przecież to nie Gus dzwoni tak wcześnie i to nie może być też wiadomość ze szkoły, na pewno.

Na pewno!

Znowu telefon. Nerwowo odsunęła krzesło.

Niech to szlag. Dobra. Sprawdzę, o co chodzi.

Szybko zeszła po stromych, wąskich, skrzypiących schodach, odgarniając włosy z twarzy. *Lepiej, żeby to było coś ważnego.*

Niewiedząca, jeszcze niewiedząca.

Przez resztę życia moja matka będzie pamiętała siebie w ciągu tych minut oblanych wilgotnym blaskiem światła padającego przez okno.

Będzie próbowała odtworzyć tamtą scenę. Wyobrazić sobie kobietę, która uważa się za żonę Gusa Voorheesa, jest zła na męża, niepewna swego męża, ćwiczy rozmowę z nieobecnym mężem, nie wiedząc, że już nie jest żoną, tylko wdową, schodzącą po schodach na parter domu.

Kobietą, która (jeszcze nie) jest wdową o dziewiątej osiemnaście 2 listopada 1999 roku w starym drewnianym domu na Salt Hill Road.

Gdzie zdawało nam się, że wcale nie jesteśmy szczęśliwi. Gdzie narzekaliśmy, jęczeliśmy. Muchy w ścianach! Straszna tragedia.

W kuchni Jenna przystaje, nasłuchuje. Włączyła się automatyczna sekretarka. Kobieta, której głosu matka nie rozpoznaje, prosi o pilny kontakt.

– Pani Voorhees? Jeśli jest pani w domu, proszę się z nami natychmiast skontaktować. Zdarzył się wypadek. Nasz numer...

To numer Kliniki dla Kobiet Hrabstwa Broome w Muskegee Falls w Ohio, który matka od razu rozpoznaje.

Podnosi słuchawkę tak szybko, że tamta kobieta wciąż mówi.

– Halo? Halo?!

– Pani Voorhees? To pani?

– Oczywiście. O co chodzi?

– Pani Voorhees, proszę, niech pani usiądzie.

Pielęgniarka. Z pewnością. Ktoś z przeszkoleniem medycznym.

Moja matka ostro odpowiada: „Tak. Siedzę”. (Choć w rzeczywistości, zdezorientowana i coraz bardziej spanikowana, wcale nie siedzi, opiera się o krzesło, krzywo, jedno kolano trzyma na siedzeniu, drżące ciało nie łapie równowagi).

Głos jest wzburzony. Zasapany i niezręcznie bliski. Matka mocno ściska słuchawkę, nie mogąc powstrzymać słów jak krew.

– Obawiam się, że... pani mąż został ranny... ciężko ranny... Pani Voorhees? Jest tam pani?

Mimo ryku w uszach matka słyszy swoje zniecierpliwione „tak”.

– ...nagły wypadek, atak... jeden napastnik... strzelba...

I nagle znalazłam się na podłodze.

Stałam ze słuchawką w ręku, słuchałam i rozumiałam wszystko, ale potem pojawiło się słowo „strzelba”, które usłyszałam jak wystrzał tuż przy uchu. STRZELBA. *I leżałam na podłodze, upadając, uderzyłam głową o krawędź zlewu. Leżałam na zimnym linoleum w pomieszczeniu, którego nie potrafiłam zidentyfikować jako kuchni, a już tym bardziej kuchni wynajętego domu na Salt Hill Road w hrabstwie Huron w Michigan; słuchawka wisiała obok na kablu. Pamiętam, że słyszałam głos dochodzący ze słuchawki – cichy głos. A potem podniosłam się, oszołomiona, czując w ramionach napięcie, jak przy robieniu pompek. W głowie pulsowała krew, myślałam: „Czy zemdlałam? Czy to się właśnie wydarzyło?” – po raz pierwszy w życiu przytrafiło mi się coś takiego.*

To było niesamowite. Zaskakujące. Poczułam ulgę oblewającą mnie jak ciepła woda. „Nie jest tak źle. Jak zdmuchnięta świeca. Już nigdy nie będę się bać umierania”.

Przesłuchanie archiwistki

Czy nazywa się pani Naomi Anne Voorhees, jest córką Jenny i Gusa Voorheesów, urodzoną w 1987 roku w Ann Arbor, w stanie Michigan?

Czy przeprowadza pani to badanie archiwalne z błogosławieństwem matki, czy podejmuje je pani z czystego egoizmu i desperacji, by poznać zamordowanego ojca?

Skoro jest pani Naomi, a nie kimś innym, jak może pani mówić głosem matki? Znać jej najbardziej prywatne, ulotne myśli?

Czy jest pani świadoma, że pani matka, Jenna Matheson, odmawia rozmowy z dziennikarzami o tak prywatnych sprawach od ponad sześciu lat, od śmierci pani ojca?

Czy przyznaje pani, że matka zdecydowanie odmawia rozmowy z panią na ten temat? Że nie ma ochoty „wypluwać serca ustami", jak zrobiła to pani?

Czy przyznaje pani, że naruszyła pani prawo do prywatności matki, siostry Melissy, brata Darrena i innych? Czy pani nie ma wstydu?

Jak osoba, która nie ukończyła studiów, może sobie wyobrażać, że ma intelektualny potencjał, by zostać obiektywną i dokładną archiwistką skomplikowanego życia pani ojca, Gusa Voorheesa?

Jak może pani twierdzić, że coś wie, skoro sama pani tego nie doświadczyła? Jak pani śmie?

Jak może pani również twierdzić, że w wieku lat dziewiętnastu przypomina sobie pani z takimi szczegółami, czego (podobno) doświadczyła pani jako dziecko w okresie chaosu i niepokoju, skoro według relacji innych po śmierci ojca cierpiała pani na amnezję traumatyczną?

Czy w ogóle zna pani niejaką Naomi Anne Voorhees, czy tak jak inni jest ona tylko desperackim wytworem wyobraźni?

Zasady potęgowania

– Naomi.

Siódma klasa, matematyka, pierwszy semestr. Schyla się nad ławką, mocno koncentrując na problemie algebraicznym, który nauczycielka napisała na tablicy. „Stuk, stuk” – kreda wydaje dźwięk jak ptak uderzający ostrym dziobem w szybę.

Lubi matematykę! Szczególnie od początku siódmej klasy, kiedy program obejmuje nie tylko zwykłą arytmetykę.

Ale musi się mocno trzymać. Mocno trzymać ołówek. Boi się upaść.

Nie może bowiem zrozumieć zasad potęgowania.

Próbowała, ale nie potrafi.

Jeśli wykładnik wynosi 1, wtedy otrzymujemy tę samą liczbę (na przykład $9^1 = 9$), ale jeśli wykładnik wynosi 0, wtedy otrzymujemy 1 (na przykład $9^0 = 1$).

Ale dlaczego, pytała, to nie jest 0?

Przecież 9 razy 0 równa się 0, prawda? 0 przemnożone przez 9 to też 0 – oczywiście!

A jednak nauczycielka (która nie jest matematyczką, tylko uczy matematyki w siódmej klasie) uśmiecha się i mówi, że takie są zasady potęgowania.

Uczniowie mają zapamiętać. Nie próbować zrozumieć.

Ale Naomi chce zrozumieć.

Doprowadza ją do szału, że ma po prostu przyswoić zasadę: jeśli wykładnik wynosi 0 – to zawsze, niezmiennie, otrzymujesz 1.

Jak to możliwe, że skoro mnożysz liczbę przez 0, wynik nie wynosi 0? Dlaczego wykładniki są inne od mnożenia, skoro to właśnie robią – mnożą?

Dla Naomi Voorhees istotne jest również to, by zadania rozwiązywać szybko.

Na lekcjach matematyki zadania to wyścig. Szalona gra. Wygrywa ten, kto pierwszy podniesie rękę i udzieli prawidłowej odpowiedzi.

– Naomi?

Podnosi wzrok. Mruży oczy. O co chodzi – czego chce pani Bregman?

Naomi była skoncentrowana na rozwiązaniu równania

$$11^2 - 3 =$$

bo bardzo chciała rozwiązać je pierwsza, i nie zauważyła, że pani Bregman poszła otworzyć drzwi klasy, że dyrektor szkoły pan Cameron rozmawia z nią cicho na korytarzu, a wszyscy (oprócz Naomi Voorhees) obserwują ich z ciekawością. Teraz pani Bregman wraca do klasy i mówi spokojnym głosem, choć widać, że jest zdenerwowana:

– Naomi? Czy możesz tu podejść?

Tego nigdy nie chcesz usłyszeć: swojego imienia.

W takich okolicznościach: swojego imienia.

Pani Bregman ma płaską, pomarszczoną twarz i zbyt często się uśmiecha, ale teraz pani Bregman się nie uśmiecha.

Naomi niezdarnie odkłada ołówek. Bardzo nie chce poddać tego meczu żadnemu rywalowi!

Na marginesie zeszytu już pomnożyła cyfry, ale w pośpiechu popełniła błąd (prawdopodobnie). Nie może jednak tracić czasu i sprawdzać, bo ktoś zdąży odpowiedzieć przed nią. (Naomi na zajęciach matematyki ma dwoje rywali: Johna Beavera i Alice Czechi. John jest zwykle tak mądry jak Naomi, ale nie jest taki szybki – podnosi rękę sekundę po niej. Alice nie jest taka mądra jak Naomi i John, ale potrafi być bardziej od nich cierpliwa i metodyczna; kiedy Alice podnosi rękę, rzadko podaje zły wynik).

Cholera! Ołówek turla się po ławce i spada na podłogę.

Jeśli się po niego schyli, będzie musiała dotknąć czubkami palców brudnej kałuży pod ławką, gdzie zebrały się zielonkawe śmierdzące odchody, choroba niemożności pojęcia podstawowych zasad potęgowania, a to ją złości, aż zgrzyta zębami – dlaczego 9 do potęgi 0 to 1, a nie 0?

– Naomi, kochanie?

Naomi jest uwięziona w swojej ławce – pierwsze miejsce, rząd pod oknami, wszyscy ją widzą. Policzki zaczynają piec. Czuje w gardle coś przypominającego czarny szlam. Zostać wyróżnioną tak bezmyślnie, głupio, niewybaczalnie – „kochanie". Pani Bregman nigdy dotąd do nikogo się tak nie zwróciła! Biedna Naomi Voorhees! Naga, jakby zdjęto z niej ubranie i odsłonięto wychudzone ciało. Zwykła dziewczyna, nieśmiała, dziewczyna o brązowych włosach, ciemnych oczach, dziewczyna z wymuszonym uśmiechem i dziewczyna z sarkastycznym wyrazem twarzy; jedna z wysokich dziewczyn w siódmej klasie z tendencją do garbienia ramion, by wydawać się niższą...

– Weź ze sobą książki i plecak, Naomi.

Jeszcze gorzej niż usłyszeć swoje imię. Kiedy każą ci zabrać rzeczy, już tu nie wrócisz.

We wczesnej fazie *Śmierci Gusa Voorheesa* żona Gusa Voorheesa nie jest jeszcze wdową, ponieważ zachowuje się tak, by udowodnić mężowi, że jest zorganizowana, odpowiedzialna, że można na nią liczyć, że głęboko go kocha. Widzicie? Dam radę. Nie powstrzymają mnie.

Jeszcze nie wdowa, tylko odważna i wyjątkowa żona Gusa Voorheesa – Jenna.

Mimo szoku udaje jej się zadzwonić do naszych szkół: podstawówki, gimnazjum i liceum w St. Croix. Potrafi się przedstawić i wyjaśnić, że miał miejsce wypadek w rodzinie. Podaje imiona dzieci i nie myli jednej szkoły z drugą. Informuje osoby, z którymi rozmawia, że ktoś przyjedzie w ciągu godziny, by odebrać dzieci, i że powinny być gotowe do natychmiastowego wyjazdu.

Z wdową po Gusie Voorheesie skontaktowała się policja stanowa Michigan, z którą skontaktowała się policja stanowa z Ohio. To pilne, mówią, Jenna i dzieci muszą jak najszybciej zostać przewiezione do bezpiecznego miejsca.

Ale najpierw Jenna dzwoni do Ellen Farlane, asystentki Gusa w Klinice dla Kobiet Hrabstwa Huron oraz ich najbliższej przyjaciółki w St. Croix. „Ellen! Mówi Jenna, żona Gusa. W Ohio stało się coś strasznego, potrzebujemy twojej pomocy”.

Dzwoni do rodziców naszego ojca – oczywiście. Rozmawia z naszym dziadkiem (w Birmingham), ale babce (która mieszka w Nowym Jorku, od dawna rozwiedziona z dziadkiem) musi zostawić wiadomość na automatycznej sekretarce. „Gus miał okropny wypadek, nie oddzwaniaj, bo mnie tu nie będzie, pojadę do niego”.

Może zadzwoni pod inne ważne numery. Nie będzie tego dobrze pamiętać. W którymś momencie dzwoni też do swoich rodziców w Evanston w Illinois, ale zostawia niejasną wiadomość. „Zadzwońcie, kiedy będziecie mogli. Ale ja wyjeżdżam. Wypadek w Ohio. Niedługo tam jadę. Dzieciom nic nie jest, bezpieczne. Gus w szpitalu”.

Dzwoni, albo próbuje dzwonić, do najdawniejszych przyjaciół ojca w Ann Arbor. Do prawnika i przyjaciela ojca w Ann Arbor, Lenny’ego McMahana, ojca chrzestnego Darrena. I innych przyjaciół Gusa Voorheesa w całym Michigan. Do jego ukochanego mentora, który odszedł na emeryturę z Wydziału Medycyny Uniwersytetu Michigan. „Coś się stało Gusowi. Nie znam szczegółów. Chciałam, żebyś wiedział”.

Jenna ma świadomość, że jeśli odłoży słuchawkę, telefon od razu zadzwoni, a ona się tego boi.

W tym czasie Ellen Farlane jedzie odebrać dzieci Voorheesów ze szkół znajdujących się niedaleko siebie. Towarzyszy jej jedna z młodych pielęgniarek z kliniki. Ellen Farlane jest smutna, zapłakana, na biały fartuch narzuciła ciemnozieloną wiatrówkę.

Naomi jest oszołomiona i podejrzliwa. Dlaczego wywołano ją z lekcji matematyki? Dlaczego pan Cameron nie mówi jej, o co chodzi z tym „wy-

padkiem w rodzinie”? (czyżby nie wiedział?). Nie chciała usiąść przed gabinetem dyrektora, tylko chodzi tam i z powrotem jak uwięzione zwierzę, a asystentka dyrektora próbuje się uśmiechać i ją pocieszyć.

– Czy coś się stało mojemu ojcu? O co chodzi? – Naomi domaga się odpowiedzi.

Mówią jej tylko, że dzwoniła jej matka, że to „wypadek w rodzinie” i ktoś przyjedzie ją odebrać.

W takim razie nie matka. Nie Jenna.

Czyli to nie matce zdarzył się ten wypadek. Jednak to nie matka przyjedzie ją odebrać.

Pojawia się rodzaj pustki, próżni. Naomi znajduje się w takiej pustce. Jakby próbowała zrozumieć, dlaczego liczba podniesiona do potęgi 0 musi równać się 1, i nie potrafi.

Język jej zdrętwiał, zrobił się zimny. Krew szaleńczo pulsuje w skroniach. Czasami, kiedy Naomi się denerwuje, boi się, że straci zmysły, kiedy puls tak bardzo przyspiesza. Wie, że krew płynie do mózgu i gdy tak wariacko bije, to może wybuchnąć, a jeśli wybuchnie do mózgu, to wywoła szaleństwo – tak sądzi Naomi. Ale strach przed postradaniem zmysłów zwykle jest ograniczony spokojem i porządkiem świata zewnętrznego, który ją surowo osądzi i gdzieś zamknie. Teraz jednak, wnioskując z zachowania dorosłych w szkole, z tego, że nie mogą się wysłowić i spojrzeć jej w twarz, w „świecie zewnętrznym” wydarzyła się prawdziwa katastrofa, która nie ma nic wspólnego z Naomi.

W końcu w gabinecie dyrektora pojawia się zdyszana Ellen Farlane.

– Naomi! Chodź ze mną, kochanie.

Naomi jest zaskoczona. Nikt jej nie ostrzegł, że przyjedzie ona – zwalista kobieta w średnim wieku, dawna asystentka, pielęgniarka z kliniki – która z wypiekami na twarzy i sapiąc, zwróci się do niej „Naomi” i ośmieli wziąć ją za rękę.

Jąkając się, Naomi pyta, czy coś się stało jej ojcu, ale Ellen Farlane powtarza to samo co dyrektor:

– Dzwoniła twoja matka, zdarzył się wypadek w rodzinie.

Naomi wślizguje się na tylne siedzenie kombi Ellen, gdzie jest już Melissa – jak dziwnie ją tu widzieć! Obie są sparaliżowane strachem.

Naomi wie, że powinna pocieszać młodszą siostrę. Tego się oczekuje od dwunastoletniej dziewczynki. Ale potrafi tylko ścisnąć rączkę Melissy. Ma nadzieję, że Melissa się nie rozpłacze, bo wtedy rozpłacze się i Naomi.

Ellen Farlane jedzie do liceum, by odebrać Darrena. Naomi myśli, że to takie dziwne, obraźliwe, wstrętne, być uwięzioną w samochodzie obcej kobiety, w kombi, w którym na podłodze walają się pozostałości życia innych ludzi – rozdarta koperta, damska rękawiczka, dziecięca plastikowa zabawka. Jakby Naomi już straciła swoje miejsce w świecie. Zamyka oczy, by powtórzyć lekcje matematyki z ostatnich kilku dni, szybko liczy w głowie równania od najłatwiejszego:

$$7^3 = 343$$

$$(-10)^4 = 10000$$

$$13^7 =$$

ale to bardzo rozpraszające obliczyć trzynaście podniesione do siódmej potęgi (13 × 13 × 13 × 13 × 13 × 13 × 13) i po chwili jest już zupełnie zdezorientowana.

Kiedy gubi się w matematyce, kiedy nie potrafi zrozumieć jakiegoś działania, czuje gwałtowne ukłucie gdzieś w środku, dreszcz przypominający nadchodzące mdłości. *Głupia. Porażka. Brzydka. Nie zasługujesz na życie*.

Darren czeka przed tylnym wejściem do liceum w rozpiętej polarowej kurtce. Nie jest sam – stoi z nim poważnie wyglądająca kobieta, pewnie ktoś od dyrektora. Tak jak Naomi, Darren jest zdumiony widokiem asystentki ojca, Ellen Farlane. Przez jedną chaotyczną chwilę myśli pewnie (podobnie jak myślała Naomi), że ich ojciec wciąż jest w St. Croix, a nie w Ohio, i że to w Klinice dla Kobiet Hrabstwa Huron wydarzył się Gusowi Voorheesowi ów wypadek.

Blady, niezgrabnie poruszający się Darren łapie za klamkę tylnych drzwi i wsiada.

Szokiem dla Naomi jest to, że brat sinieje z wściekłości.

– Nie żyje. Zastrzelili go. Bo co innego? Kurwa.

Na podjeździe wynajętego domu na Salt Hill Road stoją samochody, których nigdy w życiu nie widzieliśmy. Jednym z nich jest radiowóz policji stanowej Michigan.

Policja! Czy kogoś zabito... w domu?

Zanim zdążamy wejść do środka, matka wybiega, by nas przytulić, jest zimno, pada śnieg, lekki, mokry, a ona jest na dworze z gołą głową i bez kurtki, czeka na nas, wiemy, że coś jest nie tak, i nie podoba nam się to. Widzimy, że matka płacze, ma szarą, opuchniętą twarz i to też nam się nie podoba, jesteśmy obrażeni i przestraszeni, że obcy zobaczą ją w takim stanie. Ma też rozczochrane włosy i wydaje się zupełnie rozkojarzona.

Przytula każdego z nas po kolei, nerwowo, całuje nas na chybił trafił jak jakaś pijaczka, więc odsuwamy się od niej w strachu. Jak to możliwe, że ta kobieta jest naszą matką – nie chcemy, żeby ta obłąkana kobieta była naszą matką.

Nie chcemy być dziećmi takiej matki i nie chcemy być dziećmi katastrofy.

– Coś się stało tacie...

Przestajemy słuchać. Nie słyszymy.

Wasz ojciec. W Ohio.

Atak. Strzelba. Dziś rano.

Zastrzelony na podjeździe.

Sprawca w areszcie.

Część z tego słyszymy. Nie słyszymy (z pewnością) nic przypominającego zdanie: „Wasz ojciec nie żyje”.

W domu są dwaj mundurowi. Witają nas z powagą i na ich twarzach widzimy jasno napisane: „Wasz ojciec nie żyje”.

Ale nikt nam tego nie mówi. Ktoś uznaje, że trzeba nas zabrać do drugiego pokoju, kiedy matka będzie rozmawiać z policjantami.

Wkrótce okazuje się, że matka przygotowuje się do wyjazdu do Muskegee Falls w Ohio. Mówi niejasno, że zobaczy tam ojca i zadzwoni, jak tylko będzie mogła.

Pytamy, czy tata jest w szpitalu.

Matka ogólnikowo odpowiada, że tak, wydaje się jej, że ojciec jest w szpitalu, ale nie ma pewności. Otrzymała sprzeczne informacje. Czeka na wiadomości.

Znajomy zawiezie ją do Ohio, to jeden z wolontariuszy ochraniających Klinikę dla Kobiet Hrabstwa Huron. Jesteśmy zaskoczeni wiadomością, że wyjeżdżają, gdy tylko ten człowiek się pojawi. Błagamy matkę, by pozwoliła nam jechać ze sobą. Błaga nawet Darren, ale ona odmawia.

– Skarbie, to nie jest dobry pomysł. Nie teraz. Ktoś się wami zajmie.

Dzwoni telefon. Odbiera Ellen Farlane, po chwili zakrywa dłonią słuchawkę, mówi matce, kto dzwoni, a matka gwałtownie kręci głową. Nie.

Kto dzwoni? Dlaczego matka nie chce z nim rozmawiać? Przez głowy przelatuje nam myśl, że może to ojciec i matka w tym nieprzytomnym stanie popełnia potworny błąd.

Idziemy za nią na górę, do dużej sypialni, w której pospiesznie wrzuca rzeczy do torby. To taki pośpiech, za jaki często nas karci; niektóre przedmioty – portfel, kluczyki do auta – spadają na podłogę. Pytamy, dlaczego nie możemy jechać z nią, chcemy jechać z nią, chcemy zobaczyć tatę, ale matka potrząsa głową. Nie.

Darren mówi:

– On nie żyje, prawda?

Ale Naomi mówi głośniej od brata:

– Czy tata jest w szpitalu? Czy tam jedziesz?

Matka unika odpowiedzi, kręci głową, jakby nas nie słyszała. Stoi niepewnie na nogach, więc kiedy schodzi po wąskich stopniach na parter, Darren jest tuż za nią, gotowy ją złapać, gdyby miała upaść.

Na dole znowu dzwoni telefon. Policjanci wyszli na dwór, słyszymy potworne trzaski policyjnego radia.

Ellen Farlane próbuje zmusić matkę do wypicia przed wyjazdem do Ohio szklanki soku pomarańczowego – chociaż pół szklanki – ale matka tylko unosi szkło do ust, a potem je opuszcza.

Ktoś podaje jej jabłko z miski na stole.

To miska z mekintoszami, ulubionymi jabłkami taty. Dzieci mniej lubią ten gatunek, skórka jest twarda i włazi między zęby.

– Weź jabłko – namawia ten ktoś Jennę. – Spróbujesz zjeść w samochodzie.

Przy innej okazji bawiłoby nas, że obcy ludzie mówią takie rzeczy do naszej matki w naszej kuchni.

Jest w tym coś zaskakującego, w tym, co się mówi w podobnych chwilach.

Zadzwonię do was. Ktoś zadzwoni.

Muszę załatwić sprawy. Muszę tam być.

Nie bójcie się – będę o was myśleć.

Plan jest taki, że zostaniemy w Ann Arbor u znajomych, Caseyów. Potem, za dzień lub dwa, matka do nas dołączy.

Później chyba ktoś zawiezie nas do Birmingham i przez kilka dni zostaniemy u dziadka.

Kilka dni! To denerwujące.

Nie chcemy zostać u dziadka w Birmingham, skoro ojca nie będzie z nami. To jakieś dziwne.

Błagalnym tonem pytamy, dlaczego nie możemy pojechać z matką do Ohio, a ona odpowiada ostrzej, że to zły pomysł.

– Muszę załatwić w Ohio wiele spraw – mówi. – Ale może potem. Może za dzień lub dwa...

Ma zachrypnięty, ledwie słyszalny głos. Źrenice maleńkie jak łebki szpilek. Ale przytula nas, próbuje. Darren odsuwa się, odtrąca ją, Melissa chce

się przytulić, Naomi jest zesztywniała, oporna.

Nasze głosy pytają, co się stało z tatą. Czy tata jest ranny?

Czy tata jest w szpitalu w Ohio?

Czy tata...

(Te głosy nie mówią „umarł”. Miną miesiące, zanim te głosy będą potrafiły powiedzieć „umarł”).

Przyjeżdża znajomy rodziców, by zabrać mamę do Ohio. Nas trzymają w drugim pokoju, nie wolno nam być przy ich spotkaniu, choć słyszymy podniesiony głos: „Jenno! Mój Boże”.

Do domu na Salt Hill Road przyjeżdża zbyt wiele osób. Na podjeździe nie ma dość miejsca dla tylu samochodów, a na dole nie ma dość miejsca dla tych wszystkich ludzi. Jest jeszcze więcej policjantów!

Znaleźliśmy się w niebezpieczeństwie? Czy rodzinie Gusa Voorheesa coś grozi?

Matka wychodzi z domu. Widzimy, jak niepewnie idzie po podjeździe, i zastanawiamy się, co myślą ci policjanci.

Wiele miesięcy temu, kiedy tata pracował jeszcze w klinice Port Huron, podsłuchaliśmy, jak mówi do matki: „Policja ma do nas pretensje. To oczywiste”.

W ciągu dnia dwóch funkcjonariuszy musiało pilnować kliniki. Byli też ochotnicy (kobiety i mężczyźni), którzy wspomagali ochronę i eskortowali kobiety oraz dziewczęta do budynku obok protestujących. Mimo to na fasadzie kliniki Port Huron kilka razy malowano obraźliwe graffiti, a rankiem często widać było skutki aktów wandalizmu – przewrócone kosze na odpadki, śmieci rozrzucone po całej posesji.

– Mamo? Mamo, zaczekaj! – To Naomi biegnie za Jenną, histerycznie machając, kiedy samochód wyjeżdża spod domu.

Ale kierowca wie, że ma się nie zatrzymywać. Naomi widzi tylko matkę ukrywającą twarz w dłoniach.

Jest tchórzem. Nienawidzimy jej!

Później dowiemy się, że rodzinie Gusa Voorheesa grożono tamtego dnia i przez wiele dni później.

Kilka klinik, w których pracował ojciec, a także lekarze wykonujący aborcje w Michigan i Ohio odbierali telefony z pogróżkami, choć nie mieli już kontaktu z naszym ojcem.

„Wiadomość dla żony zabójcy dzieci Voorheesa: co ty na to, gdyby i twoje dzieci zostały zamordowane? Oko za oko?”

Minęło tyle czasu, a jednak jest dopiero jedenasta rano! Naomi gapi się na tarczę zegara, której wskazówki chyba zamarzły.

Jest bardzo zmęczona. Płakała, bo jej ojciec nie żyje.

A jednak nikt nie wypowiedział słowa „umarł”.

Jeśli jesteś dzieckiem takim jak Naomi, bardzo wobec siebie krytycznym, prawdopodobnie zaskoczy cię, kiedy – w końcu – świat ukarze cię tak, jak twoim zdaniem na to zasługujesz.

To, że jestem brzydka i głupia, i niezdarna, to nie powód, by karać mojego ojca. Proszę, niech to się nie dzieje...

Szok po „wypadku w rodzinie” przychodzi wtedy, gdy dziecko się dowiaduje, że wypadek nie miał nic wspólnego z nim.

Telefon dzwoni i dzwoni. Odbiera ktoś w innym pokoju.

Ellen Farlane powtarza Naomi i Melissie, że muszą być dzielne, że to straszna rzecz.

Ale są bezpieczne. Będą bezpieczne.

Im nic się nie stanie.

Pojawiają się znajomi Jenny. Dużo ściskania, dużo łez. Naomi biegnie ukryć się w łazience na górze.

Plan jest taki, że zostaniemy z tymi znajomymi, dopóki matka nie wróci z Ohio albo dopóki nas nie wezwie do Ohio. Darren już chce powiedzieć „nie”, Darren chce się opierać, ale Naomi i Melissa nie są dość silne, by powiedzieć „nie”.

Dzwoni telefon. Wiemy już, że na pewno nie dzwoni ojciec. Wymykamy się, by się schować.

W piwnicy jest takie miejsce, w którym możemy się ukryć, tyle że boimy się piwnicy. W piwnicy coś śmierdzi. Śmierdzące paskudne rzeczy, które mama znalazła w piwnicy, tak obrzydliwe, że nie można ich nazwać.

Plan jest taki, że ktoś wkrótce przyjedzie, by zabrać nas troje do Ann Arbor, za jakąś godzinę, i tam zamieszkamy u McMahanów, co nas niepokoi, bo nigdy nie byliśmy u McMahanów bez rodziców. Naomi zaczyna się denerwować, bo o czym będzie rozmawiać z tymi ludźmi? Nie przepada za panem McMahanem, to prawnik, który wciąż dyskutuje z ojcem, wciąż się z nim sprzecza i kwestionuje jego dane, choć oczywiście pan McMahan i Gus są starymi dobrymi przyjaciółmi i darzą się szacunkiem. (Wiele razy opowiadali tę historię, jak we dwóch ślubowali na pierwszym roku studiów Uniwersytetu Michigan stowarzyszeniu Sigma Nu, a wkrótce potem, kiedy ktoś powiedział im, o co chodzi w życiu w bractwie i ile wynoszą miesięczne opłaty członkowskie, obaj „odślubowali”. Dzieci przypuszczają, że sensem tej historii jest: Kto by w to uwierzył? Gus Voorhees, Lenny McMahan i bractwo Sigma Nu?). Ale Naomi zauważyła, że pan McMahan rzadko przytakuje, kiedy Gus mówi, jakby wiedział o Gusie Voorheesie więcej niż inni i nie dawał się tak łatwo przekonać.

– On nie żyje. Zabili go.

– Kto? Kto go zabił?

– Ci, którzy mówili, że to zrobią. Zastrzelili go dzisiaj rano. – Darren mówi beznamiętnie, z goryczą.

To oczywiście jest prawda. Wszystko to wiedzieliśmy.

Tyle że Melissa nie wiedziała. Wiele czasu upłynie, zanim Melissa przestanie pytać: „Gdzie jest tata? Kiedy tata wróci do domu?”. „Dlaczego nie możemy mieszkać z tatą?”

Odbędzie się pogrzeb Gusa Voorheesa, ale nie w Ohio. Pogrzeb będzie w Ann Arbor, dokąd wszyscy pojedziemy.

Nie dzisiaj, nie jutro.

Ale kiedy jest dzisiaj, a kiedy jest jutro?

Daren mówi beznamiętnie, z goryczą. Darren mówi, że nigdy nie wybaczy naszej matce. Naomi pyta dlaczego, a Darren odpowiada, że matka nie chciała przeprowadzić się do Ohio i być z ojcem; gdybyśmy wszyscy tam mieszkali, to by się nie wydarzyło.

– Ale skąd wiesz? Jak możesz tak mówić? – pyta zdziwiona Naomi, a Darren odpowiada:

– Idź do diabła. Gówno wiesz.

Niedługo potem Naomi słyszy na zewnątrz wściekły wyjący dźwięk, dochodzący ze starej stodoły – to brat gra na trąbce, jakby chciał obudzić zmarłych.

Kiedy Leonard McMahan przyjeżdża na Salt Hill Road, niebo jest już ciemne. Matka jeszcze nie zadzwoniła, a Ellen Farlane podgrzewa nam rosół i pomaga spakować rzeczy – piżamy, szczoteczki do zębów, skarpetki i bieliznę, ubrania, podręczniki i zeszyty.

– Mam nadzieję, że nigdy nie wrócimy do tego pieprzonego miejsca.

– Musimy wrócić. Mamy szkołę.

Naomi zastanawia się, czy powiedzieć: „Mamy pieprzoną szkołę”, by zrobić wrażenie na pyskatym bracie, ale w ostatniej chwili traci odwagę.

Wkrótce jednak zbierze się na odwagę. „Pieprzyć to pieprzone miejsce”, powie odważnie. „Pieprzyć to nienawidzę popieprzony palancie za kogo się kurwa uważasz idź do diabła!”

Na skraju podjazdu w radiowozie policji stanowej Michigan wciąż siedzi dwóch funkcjonariuszy. Kiedy Naomi nasłuchuje, dociera do niej kakofonia radiowych dźwięków.

O czym rozmawiają policjanci? Śmieją się? Myślą: *No i dostał, na co zasłużył. Jak ktoś zabija dzieci, to musi być gotowy, że któregoś dnia coś takiego mu się przydarzy*.

Jadą do Ann Arbor w gwałtownym lodowatym deszczu. Na przednim siedzeniu Leonard i Chrissie McMahan są sztywni, nie wiedzą, co powiedzieć dzieciom Voorheesów, które straciły ojca – które już nigdy nie zobaczą swojego taty. Słowa współczucia i pocieszenia ze strony McMahanów zniknęły i pozostała niezręczna cisza. Ileś razy powtórzyli: „Wszystko będzie dobrze. Nic się wam nie stanie. Wasz ojciec był z was taki dumny i tak bardzo was kochał. Wasza matka jest bardzo dzielna".

To wszystko bzdura, myśli Naomi. Nikt nie chce być dzielny! Człowiek chce tylko żyć.

To początek serii przenosin. Wożą ich z jednego tymczasowego miejsca do drugiego. Czasami matka jest z nimi, czasami nie. Czasami są we trójkę, czasami nie. (Coraz częściej nie). Każdy im współczuje, pociesza. Słyszą wciąż to samo: „Wasz ojciec był wielkim, odważnym człowiekiem. Wszyscy, którzy go znali, kochali go. Wasz ojciec byłby z was dumny, gdyby wiedział".

„Dumny" to jak „dzielny", myśli Naomi. A liczy się żywy.

Po jakimś czasie łez jest już mniej. Po ich twarzach zamiast łez płynie jakiś mokry popiół.

To gwałtowny koniec dzieciństwa. Nawet dla Darrena, który ma piętnaście lat i (pewnie) mógłby myśleć, że nie jest już dzieckiem. Nagły i nieodwołalny koniec.

W czasie tamtej podróży do Ann Arbor po śliskich od marznącej mżawki drogach Darren opiera głowę o szybę, nieczuły na wibracje szkła dotykającego czaszki, nie słucha niczego, co mówią McMahanowie, a gdyby nawet słuchał, nie znalazłby w tym pocieszenia, ponieważ Darren nie szuka pocieszenia, on szuka zemsty. Melissa jest tylko małą dziewczynką, nie bardzo rozumie słowa „umarł" czy „śmierć", która jest jak ogromna przestrzeń, boli, kiedy próbujesz ją zobaczyć, jej górę i jej dół, to oślepiająco biała przestrzeń jak ogromny magazyn, mózg boli na ten widok. Dlatego Melissa zasypia wykończona. Obok niej Naomi analizuje sytuację: może to wcale nie jest kara dla niej, może ona nie jest na tyle ważna, by ją karać lub by mogła sprowadzić karę na swojego ojca. Właściwie to może ktoś się pomy-

lił, ojciec jest w innym szpitalu, niż powiedziano matce, do ojca strzelił „działacz antyaborcyjny”, ale to był tylko strzał ostrzegawczy i kiedy dotrą do Ann Arbor, będzie na nich czekać wiadomość od matki. *Mam dobre wieści! Przepraszam, że was zdenerwowałam, pozdrowienia od taty.*

Naomi nie wyobraża sobie, co dalej. Jeszcze nie.

Szczątki

– Pani Voorhees?

Czy to pytanie? Czy to pytanie sugerowało, że ma jakiś wybór? Być albo nie być panią Voorhees?

– Proszę przejść, tutaj.

A więc to nie było pytanie. Tylko rozkaz.

Strasznie łzawiły jej oczy. Zespół suchego oka – tak się to nazywa. Paradoksalnie suche oko wiązało się z łzawieniem. Dotknięte schorzeniem, nie było dość wilgotne, co wywoływało łzy i zaburzało widzenie.

Takie łzy łatwo pomylić z tymi wzbudzonymi przez emocje.

– Tutaj. Trzymam drzwi...

Prowadzili ją dokądś. Winda, która jechała powoli. Zjeżdżali pod ziemię.

Od mniej więcej pięciu godzin nie odezwała się właściwie ani słowem. Gardło zdawało się zamknięte.

Zresztą nie było potrzeby mówienia, bo co się miało stać, już się stało.

„Proszę usiąść, pani Voorhees”. „Proszę przejść, pani Voorhees”.

Kimkolwiek byli ci obcy ludzie z hrabstwa Broome w Ohio – lekarz sądowy, policjant, prokurator okręgowy – mówili do niej spokojnie. Przedstawili się na górze, uścisnęła im nawet dłonie (tak?), ale to wspomnienie już zbladło, wessane w jakąś próżnię.

Ten dzień zaczął się bardzo dawno temu, chyba na innej planecie.

Dzwoniący telefon w pustym domu. Pierwsza reakcja była właściwa: nie odbieraj.

Teraz to już było. Za późno.

Kiedy czujesz chaos, uśmiechaj się.

Słaby, uprzejmy, pytający uśmiech: Tak? Słucham?

Jak większość dziewczynek od dzieciństwa uczono ją się uśmiechać. Uśmiechaj się do starszych, do tych, którzy mają nad tobą władzę. Uśmiechaj się, kiedy się boisz. Uśmiechaj się, kiedy nie dosłyszysz, co do ciebie mówią. Uśmiechaj się, by wyrazić siebie. Urocza, skromna, współpracująca, wyjątkowo dobrze wychowana, „grzeczna”. Uśmiechaj się do mężczyzn.

To jak balansowanie na równoważni. Poruszasz się z największą ostrożnością i koncentracją, by nie stracić równowagi i niezgrabnie nie spaść na twardą podłogę sali gimnastycznej.

Tego od niej oczekiwano. Jako wdowa po zamordowanym mężczyźnie będzie się zachowywać z godnością. Nie pozwoli sobie na szlochy i histerię. Nie wpadnie w paroksyzm użalania się nad sobą.

Wdowa musi unikać użalania się nad sobą.

Wyszli z windy i ruszyli korytarzem na parterze szpitala hrabstwa Broome. Od silnego smrodu środków dezynfekcyjnych swędziało ją w nosie.

Otworzono dla niej kolejne drzwi. Ciężkie drzwi.

– Proszę tutaj, pani Voorhees.

„Pani Voorhees”. Wypowiedziane tak starannie, jakby to była nazwa rzadkiego schorzenia.

W tej chwili poczuła przypływ paniki. Instynkt głośno ostrzegał, by nie wchodziła do tego pokoju.

Jednak pomimo ryku w uszach odważnie weszła do dużego zimnego pomieszczenia, w którym szumiały wentylatory.

Automatycznie spojrzała w górę. Sufit był wysoki, pokryty ciemnoszarymi kwadratami. Lodowate powietrze płynęło w dół z otworów w tych kwadratach przypominających szczerzące się zęby.

– Pani Voorhees...

Koroner coś jej wyjaśniał. Był mniej uprzejmy niż pozostali, ale może tylko się jej wydawało. Niski, kanciasty mężczyzna o łysej głowie i gęstych białych brwiach, gnom zamieszkujący podziemie szpitala. Był oczywiście

lekarzem – patologiem. Co Gus mówił o patologach? Nie muszą się ubezpieczać od błędu w sztuce, ich pacjenci nigdy nie narzekają.

Mózg Jenny był zmęczony od napięcia i przez chwilę martwiła się, że powinna znać tego gnoma, może był współpracownikiem Gusa?

W każdym miejscu, w którym mieszkał lub spędził jakiś czas, Gus zaprzyjaźniał się z wieloma osobami, a niektóre z nich z pewnością piastowały jakieś stanowiska. Lekarze, urzędnicy służby zdrowia. Miejscowi politycy – burmistrz, kongresmen, senator. Prawnicy. Teraz Gus pewnie był już z nimi po imieniu.

– To formalność, ale takie jest prawo stanowe. Musi pani tylko spojrzeć, pani Voorhees.

Przez ryk wentylatorów słabo słyszała. A może to ryczało w jej uszach?

Gus wiele razy jej mówił: „To tylko bicie serca. Oddychaj spokojnie, odpręż się. To zelżeje”.

Prowadzono ją – bez możliwości ucieczki – do stołu na aluminiowym wózku, pod bezlitosnym jaskrawym światłem. Na stole leżało ludzkie ciało przykryte białym całunem.

Na podstawie wymiarów ciała i rozmiaru pionowych nagich stóp pod prześcieradłem można było zakładać, że to ciało mężczyzny.

Całun ostrożnie odsunięto z twarzy i piersi.

– Och.

Odsunęła się. Odepchnął ją podmuch zimnego wiatru.

Ale ten potwornie okaleczony człowiek to nie jest Gus, prawda? Jenna niemal poczuła ulgę.

Bo to przecież nie był Gus. Nawet włosy jakby poszarpane, posklejane czymś ciemnym jak farba nie są przetykanymi siwizną włosami jej męża. Zaszło jakieś nieporozumienie...

Była tutaj gościem. Nie chciała zbyt wiele sobie obiecywać po takiej pomyłce. Bo (musiała mieć tę świadomość) szczątki jej męża przecież i tak są w tym pomieszczeniu, tyle że gdzie indziej. Ci uprzejmi dżentelmeni przy-

prowadzili ją do niewłaściwego stołu i zdjęli prześcieradło z niewłaściwego nieżywego ciała.

Poczuła zawroty głowy. Co za ulga!

Absurdalne błędy wciąż się zdarzają. Na przykład nikt nie przewidział upadku muru berlińskiego. Najtęższe mózgi CIA i innych agencji wywiadowczych, doskonale przeszkoleni ludzie, wybitni specjaliści od spraw Niemiec nie przewidzieli tego, co z perspektywy czasu okazało się nieuniknione.

Nie, to nie jest ciało Gusa Voorheesa. Z całą pewnością ta zniszczona, zrujnowana twarz nie była jego twarzą.

Nie rozpoznaje Gusa Voorheesa.

Szczątków Gusa Voorheesa.

– Pani Voorhees?

– Tak – powiedziała cicho, niemal niesłyszalnie.

– Przepraszam, czy powiedziała pani „tak”?

– Tak.

– Tak, to jest doktor Voorhees? Czy to chce pani powiedzieć?

Już wyraźniej potwierdziła:

– Tak. To jest doktor Voorhees.

– To pani mąż, doktor Voorhees.

Już nie pytanie, tylko stwierdzenie. Nie oczekiwano od niej więcej odpowiedzi.

Zrujnowaną twarz ostrożnie zakryto prześcieradłem. Leżące na stole ciało było nieruchome, nie oddychało. W zadziwieniu gapiła się na zarysy białego całunu, który wcale się nie poruszał, nawet w miejscu torsu, gdzie (prawdopodobnie) powinien być oddech.

Stała tak chyba długo, wpatrując się w ciało na stole, przykryte prześcieradłem. Czegoś nie wiedziała. Co robić? Co teraz robić?

To był dylemat egzystencjalny. Gus by zrozumiał.

Jako że nie ma powodu, by robić cokolwiek, trudno zdecydować, którą z bezsensownych opcji wybrać i co właściwie robić.

Albo czego nie robić.

Miała zmęczone, ciężkie nogi. Ręce także zdawały się dziwnie ciężkie, ich podniesienie wymagało wysiłku.

Dziwne za to, że głowa stała się lekka. Żyły i tętnice kurczyły się do grubości ołówkowej linii, dopływ tlenu do mózgu odcinano.

– Pani Voorhees, możemy już iść. Tędy...

Uprzejmie podane ramię, by podtrzymać ją w razie konieczności.

– Tak. Dziękuję.

Traktowali ją, jakby była rekonwalescentką. Czy raczej niepełnosprawną.

Kobieta, która straciła męża, nie jest w pełni sprawna, oczywiście.

Krótka wycieczka powtórzona w odwrotnym kierunku. Wyjście z kostnicy, wejście do windy. Milczenie towarzyszy z szacunku dla jej niepełnosprawności.

(Czy wymieniali spojrzenia? Nie widziała, ale chyba wyczuwała).

Na pierwszym piętrze winda się zatrzymała, drzwi otworzyły. Czekali tu znajomi, którzy przywieźli ją z Michigan – przez ułamek sekundy zastanawiała się, co tu robią, w tym dziwnym miejscu.

W jej twarzy, napiętej i pozbawionej krwi, a jednak zdecydowanej, zobaczyli, że w tym dolnym świecie podjęto jakąś decyzję. Przejście bez możliwości powrotu.

Niemal pogodnie poinformowała ich, że tak, to był Gus. Oczywiście.

– Ależ Gus byłby zdziwiony, gdyby zobaczył was tutaj, w Ohio.

Balansowała na fali, która do tej chwili nie wydawała się taka groźna. Utrzymywała równowagę, wyciągając ręce, nogi, podnosząc głowę. Wiedziała, że musi porozmawiać z przyjaciółmi. Musi ich pocieszyć, przeżyli taki szok. To wdowi obowiązek, w tych dziwnych okolicznościach.

– Wiecie, co powiedziałby Gus, co dokładnie powiedziałby Gus, gdyby zobaczył was wszystkich tutaj? Znajdźmy jakieś miejsce na kolację, zanim

wrócimy do domu.

To nie była twarz, tylko krwawa rana. Usta zniknęły, nie było czego całować. Oczy zniknęły. Wcześniej chyba zamierzałam położyć się koło niego i go przytulić, gdyby marzł albo bał się tego dziwnego miejsca, ale to się okazało niemożliwe. Ta potworna rzecz, którą mu zrobili, niemal rozdarła go na pół. Gdybym nie wiedziała, że to Gus, nie potrafiłabym go zidentyfikować. Ale w tej zrujnowanej twarzy dało się zobaczyć coś z twarzy Gusa. Był kiedyś taki przystojny! W Tybetańskiej Księdze Umarłych *jest napisane, że dusza zmarłego przez dwadzieścia dni pozostaje w ciele albo niedaleko, w stanie bardo. Zatem Gus wciąż mógł tam być. Choć pewnie śmiałby się ze mnie – nie wierzył, że dusza może przeżyć ciało. Wyznawał materializm, był naukowcem. Był idealistą. Wierzył, że jesteśmy istotami duchowymi, ale nasz duch nie żyje poza ciałem.*

Potem pojawiła się nagła obawa, że teraz, skoro nie ma Gusa, odbiorą mi dzieci. Z powodu jakiegoś stanowego prawa, o którym wcześniej nie wiedzieliśmy. I chyba wówczas zaczęłam się sypać, i chyba się rozpłakałam, próbując wyjaśnić temu, kto wtedy był koło mnie, ktokolwiek to był, że dzieci są nasze po równo – ich ojca i moje – i że nie powinni mi ich odbierać, będę dla nich dobrą matką. Proszę, uwierzcie mi...

Radujcie się!

ZABÓJCA DZIECI ZASTRZELONY W OHIO

ZWYCIĘSTWO DLA JEZUSA

RADUJCIE SIĘ, VOORHEES ZABÓJCA DZIECI POWSTRZYMANY!

Czytał takie proklamacje w transie przerażenia i odrazy. Sensacje w jaskrawokolorowych gazetkach, ulotkach i prasie, które trafiały do skrzynki pocztowej albo były wsuwane pod zużytą słomiankę przed drzwiami czy za wycieraczkę samochodu matki.

Nie potrafił się powstrzymać przed oglądaniem tych stron. Nie potrafił się powstrzymać przed czytaniem tych niewiarygodnych rzeczy. Za każdym razem obiecywał sobie, że przestanie, że następnym razem nie ulegnie. Ale nie potrafił.

Któregoś dnia odkrył kartonowe pudło z tymi drukami w bagażniku minivana należącego do prawnika, przyjaciela ojca. „Zbieranie dowodów” – wyjaśniono mu.

Armia Boga, Chrześcijanie, obudźcie się!, Narodowa Koalicja Obrońców Życia, L.I.F.E. America, Dzieci Jezusa, Narodowe Prawo do Życia, Zjednoczeni dla Życia, Krucjata dla Życia, Ewangelia Światła, Służba dla Życia, Aktywiści Libertarianie dla Życia, Koalicja dla Życia Środkowego Zachodu, Narodowa Liga dla Życia.

W gazetach, które na pierwszy rzut oka wyglądały na zwykłe, lokalne wydania:

ABORTER LEKARZ MORDERCA VOORHEES ZASTRZELONY W OHIO

LEKARZ MORDERCA NIE BĘDZIE JUŻ ROBIŁ ABORCJI!

VOORHEES, SERYJNY ZABÓJCA DZIECI, ZABITY W KLINICE ABORCYJNEJ W OHIO

OPERACJA RATUNEK OGŁASZA ZWYCIĘSTWO

RADUJCIE SIĘ! KOLEJNY ABORTER MORDERCA POWSTRZYMANY PRZED CZYNIENIEM ZŁA

ŻOŁNIERZ JEZUSA W RĘKACH POLICJI PO STRZELANINIE W OHIO

FUNDUSZ DLA LUTHERA DUNPHY'EGO, WYSYŁAJCIE CZEKI, PRZELEWY, GOTÓWKĘ NA ARMIĘ BOGA / AMERYKA

Do tych szokujących szczegółów dołączono zdjęcia jego ojca. Gus Voorhees nie uśmiechał się, miał ponurą minę, nie był taki, jakim pamiętał go Darren, na niektórych fotografiach zdawał się oszpecony i zniekształcony.

Zauważył też jedno zdjęcie, które musiało pochodzić z rodzinnego archiwum (jak wrogowie ojca je zdobyli?). Gus Voorhees w kurtce khaki, z rękami skrzyżowanymi na piersi, stoi przed białym murem, uśmiechając się z napięciem, mrużąc oczy w słońcu. Dziwne, ale na tym zdjęciu ojciec wydawał się starszy niż kiedykolwiek za życia, miał bardziej siwe włosy – Darren był tego pewien.

„Voorhees zabójca dzieci idzie po zapłatę do piekła".

Wiele miesięcy wcześniej, jakiś rok, ojciec wymusił na Darrenie obietnicę, że nigdy nie będzie czytał antyaborcyjnej propagandy. Nigdy.

Darren zapytał dlaczego, a ojciec ścisnął jego ramię z bolesnym uśmiechem i odparł: „Ponieważ cię proszę, Darren. Proszę".

Wróg. Aktywiści antyaborcyjni. Groźby. Okropne zdjęcia. Po prostu ignoruj.

Darren nie zdawał sobie wcześniej sprawy, że jego ukochany ojciec był konkretnym celem tych publikacji. W dziecięcej naiwności wyobrażał sobie, a może chciał sobie wyobrażać, że ta wrogość jest ideologiczna, polityczna.

„Ich przekonania są przeciwne do naszych" – wyjaśniał Gus. – „Tę debatę trzeba będzie w Ameryce zakończyć w kabinach do głosowania".

Debatę! Ten rodzaj idealizmu dorosłych brałeś za oczywistość, bez kwestionowania. Zapewne przewracałeś oczami, bo to było takie dydaktyczne. Ale w dobrym rodzaju dydaktyzmu.

Teraz Darren odkrywał świat w lustrzanym odbiciu, w którym morderców lekarzy wykonujących aborcje czciło się jako bohaterów, męczenników. Byli żołnierzami Boga albo żołnierzami Jezusa, którzy oddali życie, by bronić bezbronnych. Nazywali się Griffin, Greene, Mitchell – a teraz Dunphy. W lustrzanym odbiciu, w świecie ruchu antyaborcyjnego, w lepszej jakości publikacjach ich twarze podświetlano niczym twarze świętych.

„Po prostu ignoruj, Darren. Drukuje się tyle śmieci, bo też tyle jest śmieci na świecie, których nie możesz zmienić. Ale możesz żyć, nie musząc wiedzieć".

Czy to prawda? Jego ojciec się mylił, że w to wierzył.

Rodzice nigdy nie pozwoliliby mu czytać takich materiałów przed śmiercią Gusa. Bali się ich destrukcyjnego wpływu na dzieci, dlatego Voorheesowie nie mieli nawet telewizora. Religijna propaganda, publikacje antysocjalistyczne i antykomunistyczne, popularne magazyny pornograficzne takie jak „Hustler" – wszystko to uważali za równie odstręczające, choć (z czego żartował Darren) wierzyli przecież w wolność słowa, wolność prasy i sprzeciwiali się cenzurze. To był wiek niewinności, uświadomił sobie Darren któregoś dnia, zanim internet przyniósł zawartość ludzkiej psychiki do domu – od treści nieskończenie pięknych po niewypowiedzianie obrzydliwe i miażdżące duszę.

Dla tych członków rodziny Voorheesów, którzy pozostali, było to tylko pokłosie życia. Życie pośmiertne. Nie pojawił się nikt, kto nadzorowałby chłopca tak przenikliwego, wyrachowanego i przebiegłego jak Darren. Jego zrozpaczona matka zmieniła się w osobę rozpoznawalną w świecie jako wdowa po Gusie Voorheesie – im bardziej zdruzgotana wydawała się Jenna, tym bardziej postrzegano ją jako męczennicę. Wysiłek bycia wdową po Gusie Voorheesie zabierał całą jej siłę, miała więc niewiele czasu na tak nieistotne zmartwienia jak cenzurowanie lektur swoich dzieci, zresztą i tak rzadko przebywała blisko nastoletniego syna.

Antyaborcyjna propaganda brzydziła, a jednocześnie hipnotyzowała Darrena. Podczas gdy chłopcy w jego wieku odkrywali pornografię, on odkrywał pornografię wyjątkowego rodzaju.

Była dla niego jak dotykanie swoich genitaliów. Nie chciał tego robić, słabość go brzydziła, ale w półśnie łapał się na tym, że jego dłoń poruszała się niezależnie od woli. A w tajemnych miejscach, w których czytywał zabronione materiały, palce z własnej perwersyjnej woli przewracały strony.

Jak śmieci wypływające na powierzchnię wody, świętowanie morderstwa jego ojca nie miało końca. Jak ekskrementy dryfujące wśród śmieci. Kto mógłby przewidzieć, że tylu ludzi będzie się cieszyło? Tylu obcych ludzi o zdecydowanych poglądach. Ludzi, którzy (choć go nie znali) nienawidzili Gusa Voorheesa i radowali się z jego śmierci. Wszyscy ci z własnego powołania chrześcijanie radujący się z zabójstw lekarzy aborterów.

Te śmierci nazywano egzekucjami. Voorhees był najświeższym zwycięstwem.

W dzień zamordowania Voorheesa i usunięcia jego nazwiska z listy *Poszukiwani: mordercy dzieci* lekarze aborterzy pod nim przesunęli się w górę. Pod numerem czwartym, gdzie przedtem widniał Voorhees, znalazł się doktor Friedlander z kliniki aborcyjnej w Tallahassee.

Lista była zaproszeniem do egzekucji. Darren zastanawiał się, czy Friedlander i inni o niej wiedzieli, czy śledzili strony antyaborcyjne. Pewnie tak. Jak mogliby się powstrzymać?

Jednak ojciec upierał się, że nie czyta tych publikacji. Z pewnością nie pozwalał ich czytać Jennie. (Ale też Jenna wcale by nie chciała).

Teraz jednak Darren został sam. Nikt go nie pilnował.

Szczególnie fascynował go morderca Luther Dunphy.

Morderca jego ojca! Zaschło mu w ustach.

Luther Dunphy, 39 l., Muskegee Falls, Ohio. Cywilny duchowny Kościoła Jezusowego Świętego Pawła. Dekarz, cieśla. Żona Edna Mae, dwóch synów i dwie córki. Wcześniej mieszkał w Sandusky, Ohio. „Módlcie się za mnie”.

Na zdjęciach Dunphy uśmiechał się słabo, nieśmiało. Wyglądał jak wycofany mężczyzna, który nie uśmiecha się często i tego nie lubi. Na jednej z fotografii, zrobionej latem na dworze, stał z rodziną – żoną, dziećmi. Chuda uśmiechnięta żona trzymała na rękach niemowlę. Starsza z dwóch córek, potężna, z nijaką twarzą, może dziesięcioletnia, robiła minę do aparatu. Był też chłopak o szczupłej twarzy, na zdjęciu miał mniej więcej tyle lat co Darren. Darren poczuł do tego chłopaka czystą nienawiść – jego ojciec żyje, nie umarł.

Luther Dunphy był wysokim, zwalistym mężczyzną o skulonych ramionach, na kilku zdjęciach w czapce baseballowej nasuniętej nisko na czoło. Głowa wydawała się dość mała w zestawieniu z ciałem. Ręce umięśnione. Twarz nie wyglądała jak twarz mordercy, była nijaka, oprócz przebarwienia na policzku wyglądającego jak zgnieciona malina.

Gapiąc się na Dunphy'ego, Darren poczuł nienawiść wzbierającą w gardle niczym czarny kwas. Wypełniła go gniewem, że morderca jego ojca wciąż żyje i w niektórych środowiskach, wśród gorliwych chrześcijan, Dunphy'ego podziwia się jako bohatera, żołnierza Jezusa i męczennika.

Luther Dunphy przebywa obecnie w więzieniu w Muskegee Falls, a policja bada sprawę strzelaniny. Jak dotąd Dunphy podobno współpracuje ze śledczymi. Nie znaleziono jeszcze żadnych współspiskowców zamachu. Dunphy nie udziela wywiadów i powiedział, że odrzuci większość propozycji. Sąd hrabstwa Broome wyznaczył mu prawnika z urzędu, ale Luther Dunphy odmówił podobno przyjęcia porad prawnych. Za pośrednictwem swojego pastora, wielebnego Dennisa Kuhna z Kościoła Jezusowego Świętego Pawła w Muskegee Falls, Dunphy oznajmił tylko, że nie uznaje przypisywanych mu czynów z 2 listopada 1999 roku za morderstwo czy zabójstwo, ale za akt boski, ponieważ bronił bezbronnych – uniemożliwił lekarzowi aborterowi wykonywanie zabiegów tamtego dnia i w następnych dniach.

Luther Dunphy oznajmił również, że nie będzie uczestniczył w procesie, ponieważ uznaje tylko sąd boski. Zapowiedział, że nie będzie kwestionował swojej sytuacji prawnej. Powiedział wielebnemu Kuhnowi, że nie chce datków na fundusz jego obrony, prosi tylko, by się za niego modlono.

Darren czytał te słowa z trudem. Nie czytał ich po raz pierwszy ani po raz ostatni. Zaszkliły mu się oczy, z irytacją otarł łzy.

– Niech twoja dusza zgnije w piekle. To jest moja modlitwa, gnoju.

Dzieci zmarłych

Powiedział: „Zło nie istnieje”.

Teraz nie mogliśmy mu już wierzyć.

Kolejne dni w szoku i transie próbowały przebić się przez grubą zakrzepłą kurtynę przypominającą ropę, która zlepia rzęsy i utrudnia widzenie.

Przez długi czas nie mogliśmy uwierzyć, że ojciec umarł, ponieważ zawsze istniała możliwość, że zadzwoni telefon i to będzie tata. Albo tata bez uprzedzenia wróci do domu – po prostu wejdzie przez drzwi. „Cześć, dzieciaki! Hejka”.

To była możliwość, która przychodzi do ciebie, ulotna i czarodziejska jak koliber, bo małe skrzydła wibrują tak szybko, że tak naprawdę ich nie widzisz, mimo że wiedziałaś (powiedziano ci), że tata teraz jest prochem – kawałkami kości, prochem.

(Nie widziałaś tego prochu. Ale wiedziałaś, że *Gus Voorhees obrócił się w proch*).

On nieustannie gdzieś podróżował. To było logiczne – skoro taty nie ma, to tata jest gdzie indziej.

Nasza matka narzekała, że ciągle go nie ma – znaczy tata podróżował albo był w tym nowym miejscu w Ohio, ale z pewnością wróci do domu. Któregoś dnia.

Jakąś częścią naszych umysłów rozumieliśmy, że umarł, odszedł. Nie wróci do domu. Obrócił się w proch. Ale ta część naszych umysłów nie zawsze przeważała.

To okropne, że matka kazała spalić naszego ojca. Podjęła tę decyzję bez konsultacji z nami. Podjęła tę decyzję, bo (jak twierdziła) Gus zawsze pozy-

tywnie wyrażał się o kremacji – czy raczej mówił z niechęcią o konwencjonalnym pogrzebie.

Uczestniczyliśmy w uroczystości pogrzebowej, która odbyła się w Ann Arbor. Byliśmy oszołomieni, niepewni. Nie widzieliśmy ciała naszego ojca, bo wtedy już było skremowane.

Jego prochy znajdowały się w ciemnej ceramicznej urnie wysokości nieco ponad pół metra. Nikt chyba nie wierzył naprawdę, że Gus Voorhees zmieściłby się do tej urny! Fascynowało patrzenie na nią, bo wiedziałaś, że to niemożliwe, więc pojawiała się myśl (która rosła w szczelinach umysłów dorosłych, podczas gdy twój umysł ślizgał się i gwałtownie przechylał niczym uciekający samochód na wąskiej górskiej drodze), że ojciec jest gdzie indziej, że ojciec żyje (oczywiście) gdzie indziej i wróci, kiedy tak postanowi.

Wyspa Katechay – tam miały zostać rozrzucone prochy taty.

Kiedy powiedzieliśmy to mamie, w ogóle nas nie słuchała. Zaplanowała już, że prochy ojca zostaną pochowane na cmentarzu w Ann Arbor – zasugerowali jej to przyjaciele, dla których konkretne miejsce, grób Gusa Voorheesa, było czymś absolutnie koniecznym.

Darren protestował:

– Prochy taty powinny zostać rozrzucone na wyspie Katechay, bo on tego chciał. Kochał tę wyspę i był na niej szczęśliwy. Moglibyśmy go wtedy odwiedzić w każdej chwili.

Matka wpatrywała się w Darrena. Ułożyła usta, jakby chciała się uśmiechnąć, ale nie mogła. Wyważonym głosem, który znaliśmy jako „głos migrenowy” (oznaczał, że Jenna z wielkim trudem próbuje powstrzymać łagodny pulsujący ból głowy przed jego przejściem w migrenę), powiedziała, że w chwili obecnej Katechay nie wchodzi w grę.

– Ta wyspa leży daleko. I byłaby to bardzo smutna podróż. Nie mam dość siły, by nawet spróbować. I nikt nie jeździłby tam „w odwiedziny”.

– Ja bym jeździł! Ja bym jeździł w odwiedziny – twierdził z uporem Darren.

Kiedy matka nie odpowiadała, naciskał:

– Chodzi o to, że tata chciałby, żeby jego prochy tam rozrzucić, w jakimś pięknym miejscu. Tak uważam.

– Nie chciałby tego. To nie byłoby w jego stylu. Nienawidził teatralnych gestów.

W głosie matki słychać było narastający szloch, ale nie z żalu (tak myślał Darren), tylko ze złości. Rozważnie się wycofał.

Następnego ranka jednak poruszył ten temat ponownie i tym razem matka przerwała mu, mówiąc, że ta sprawa jest załatwiona – prochy naszego ojca zostaną pochowane w urnie na cmentarzu jakieś trzy kilometry od domu McMahanów, u których mieszkaliśmy.

– Jezu, mamo! Moim zdaniem...

– Proszę. Nie ma już o czym mówić.

Matka przesunęła się, by ominąć Darrena, ale ten zastąpił jej drogę. Przez jedną pełną napięcia chwilę zdawało się, że chce ją odepchnąć albo krzyknąć jej w twarz, i matka się przestraszyła, ale nie ustąpiła. To Darren odwrócił się i wybiegł z pokoju, przeklinając ją:

– Niech cię szlag, nienawidzę cię!

Naomi ostrożnie wycofała się z zasięgu wzroku matki. Nauczyła się już, że od śmierci ojca Jenna nie widzi tak dobrze jak kiedyś; zdarzało jej się ominąć stopień na schodach lub potknąć; choć miała otwarte oczy, nie wiedziała, co się dzieje. Naomi niepokoiła się, że brat powiedział matce takie okropne rzeczy, a jednocześnie jakaś dziecinna jej część była usatysfakcjonowana.

Gdybyś bardziej kochała tatę, toby nas nie zostawił. To wszystko by się nie wydarzyło. To twoja wina, ja też cię nienawidzę.

– Naomi? Co ci się stało?

– Jak to: co mi się stało?

– Cały czas... no cóż, odchrząkujesz i od wielu dni masz chrypę...

– Przepraszam. To niezależne ode mnie.

– Masz chore gardło? Jesteś przeziębiona?

Wściekła Naomi wybiegła z pokoju. Nie mogła tego znieść, takiej kontroli, która złościła ją jeszcze bardziej niż odwrotna sytuacja – roztargnienie matki.

Niedługo po tym, jak ojciec zniknął z naszego życia (choć nie do końca przyznała, że była to śmierć), gardło Naomi zaczęło się zaciskać. Było to bardzo dziwne, coś jakby kaszel i krztuszenie się, denerwujące, żenujące. Naomi miała problemy z przełykaniem i nie zawsze mówiła wyraźnie. W ustach czuła dziwny smak środka znieczulającego. Język zdawał się spuchnięty i był bardzo wrażliwy.

Jeśli próbowała mówić, głos był słabo słyszalny i ochrypły, więc wkrótce przestała próbować. Spoglądała na świat z odległości, jakby zerkała przez niewłaściwy koniec lunety. Często widziała, że ludzie do niej mówią, ale ich nie słyszała. Bała się zacząć szkołę w tym nowym miejscu, gdzie nikt jej nie znał, choć wszyscy wiedzieli, czyją jest córką.

„Córka abortera. Jej ojca zabito”.

W jamie ustnej coś było nie tak. Kiedy otwierała ją szeroko przed lustrem, chyba widziała okropne czarne szwy na języku, przez które mówienie bolało. Jak to się mogło stać?!

Okaleczoną jamę ustną łączyła (w jakiś sposób) z tym, co się stało ojcu w Ohio. *Wystrzał. Strzelba. Z bliska. Górna część klatki piersiowej, gardło, dolna część twarzy – rozerwane.* (Skąd Naomi o tym wiedziała? Skądś wiedziała. Ona i Darren wiedzieli dużo więcej, niż zdawało się otaczającym ich naiwnym dorosłym).

Naomi często zbliżała się do Darrena, byle tylko być blisko. Zapewniała go, że nie musi z nią rozmawiać, nie musi zwracać na nią uwagi, ona nie będzie wtrącać się w to, co on robi (przy komputerze), po prostu nie chciała być sama.

„Pobaw się z Melissą – rzucał protekcjonalnie Darren – ona cię potrzebuje”. Ale Naomi nie chciała być potrzebna, nie miała dość siły.

I jakże ją to obrażało, że brat lekceważył jej smutek – jakby zabawa mogła być lekarstwem.

Zdaniem Darrena Naomi wszystko robiła źle. Była za duża na dziecinne zachowanie, ale za mała, by traktować ją poważnie, jak nastolatkę. Nie miała w sobie nic z modnego, seksownego szyku niektórych dziewczyn z Ann Arbor, wśród których wiele miało pochodzenie azjatyckie, karaibskie, latynoskie czy wschodnioeuropejskie; urodzone w Ameryce dzieci profesorów uniwersyteckich i naukowców, które wiedziały, jak nosić obcisłe dżinsy, obcisłe krótkie topy i błyszczące tenisówki, a nawet jak maskować brzydką cerę, o czym biedna Naomi nie miała pojęcia. Do swojej siostry Darren wolał czuć obrzydzenie, typowe dla nastoletniego chłopaka, niż martwić się o nią. Miała skórę jednocześnie plamistą i białą jak ściana. Co gorsza, miała też fioletowe sińce pod oczami. Ostatnio zaczęła kompulsywnie przełykać ślinę, jakby wciąż zasychało jej w ustach, często też, kiedy próbowała się odezwać, głos jej był ochrypły, ledwie słyszalny.

– Odejdź. Nie łaź za mną. Cholernie mnie dołuje sam twój widok.

– Ale...

– Nie jestem tobą. Zrozum!

Swój smutek nosił ostrożnie w ramionach, jak nosi się ładunek wybuchowy, wrażliwy na najdelikatniejszy ruch.

Własny smutek był dla Darrena bardzo cenny. Smutek jego siostry – nieznośny, dotkliwy.

Ośnieżone pola za domem McMahanów w Ann Arbor, po których grasował nocami. W tajemnicy wymykał się z ciemnego domu i biegł, biegł, biegł jak wściekły kozioł z zawiniętymi śmiercionośnymi rogami, aż serce zaczynało bić mocno ze wściekłą radością.

W takich potajemnych chwilach planował zemstę.

Jego mózg jaśniał ogniem. Darren wyobrażał sobie, że jego oczy wyglądają z daleka jak płomienie.

Oko za oko, ząb za ząb.

Chciałby (chyba) pojechać do Ohio, odnaleźć Dunphych.

Syn Dunphy'ego był mniej więcej w tym samym wieku co on. Chciałby zamordować j e g o.

Nie byłoby trudno nocą podpalić ich dom. Rozlać benzynę wokół fundamentów, sprawić, by nikt nie mógł się wydostać.

Zapalić zapałkę. I ją rzucić.

I biec, biec i biec, aż wyskoczy serce.

Czuł się lepiej, kiedy biegł, dopóki nie poczuł się wyczerpany. Był bardzo szczęśliwy, gdy wiedział, że nikt nie ma pojęcia, gdzie on jest.

Płuca zasysały powietrze. Serce waliło w piersi jak uwięziony oszalały szczur. Wiedział, że rozczarował McMahanów. Otworzyli swój dom dla członków rodziny Gusa Voorheesa, ale nic nie szło tak, jak sobie wyobrażali. Szczególnie nie mogli dotrzeć do Darrena, choć był synem chrzestnym Leonarda McMahana.

Ja pierdolę, co to w ogóle znaczy – syn chrzestny?

Jakiś kaprys ojca. Gus Voorhees i Lenny McMahan byli starymi dobrymi przyjaciółmi, jak bracia. Ale co to miało wspólnego z nim?

Bywały noce, kiedy biegł całe kilometry, aż nogi zaczynały boleć. Wyciągał szyję, patrząc w nocne niebo, jakby nigdy przedtem go nie widział. Rozrzucone gwiazdy, tyle punktów świetlnych! Ojciec opowiedział mu kiedyś o przekonaniu, jakiego nabrał, gdy jako chłopiec wpatrywał się w podręcznik anatomii, podziwiając mięśnie ludzkiego ciała – życie osobiste jest środkiem do większego, bezosobowego życia, życia nauki, obiektywnej wspólnej prawdy, i jest w tym ogromne pocieszenie, w tej b e z o s o b o w o ś c i.

„Bezosobowość – to nasz ratunek. To tam się spotykamy, tam łamie się samotność jednostki".

Darren chciał w to wierzyć. Ale skóra bolała od smutku i złości na ten smutek; serce było jak otwarta rana. Przez większość czasu myślał – i to świadomie – że ojciec, który go kochał, zdradził.

Jednak istniała jeszcze możliwość, gdzieś na nocnym niebie, że to się jeszcze nie wydarzyło, na jednej z tych gwiazd.

W jego ulubionej powieści graficznej *ZeroTimeZero* czas był poszatkowany na paski żeglujące po wszechświecie. Całe floty ogromnych statków rozmiarów Queen Mary, pełne ludzi szukających swego utraconego życia. Coś poszło nie tak, czas się zdefragmentował i nie był już linearny. W takim wszechświecie coś, co jest czasem przeszłym na jednej planecie, jest czasem przyszłym na innej. Ten sam człowiek jednocześnie żyje i umarł, i jeszcze się nie urodził.

Można było na jednym z tych statków przez całą wieczność przeszukiwać odległe galaktyki. Napędzała cię wiara, że to, czego szukasz, gdzieś istnieje.

Poczta głosowa

Nie zamierzała przez jakiś czas wracać do wynajętego domu na Salt Hill Road. Nie zamierzała sprowadzać tam dzieci, dopóki nie było to konieczne, choć oczywiście musieli zabrać kiedyś swoje rzeczy, ubrania. Zostały tam dokumenty, prawne i finansowe. Zostały (nigdy nierozpakowane) pudła z książkami. Powinni zamknąć dom, za który wdowa po Gusie Voorheesie wciąż płaciła miesięczny czynsz, choć myśl o powrocie była odstręczająca i zła, jakby jej mąż umarł w tym domu, a nie setki kilometrów dalej.

Kiedy patrzyli z drogi na ponury budynek, paraliżował ich strach. Melissa zaczęła popłakiwać, Jenna złapała małą dłoń w rękawiczce, by pocieszyć córkę. Z tylnego siedzenia Darren wyszeptał chyba: „Jezu! Kurwa”. Naomi siedziała nieruchomo.

– Nie zastanawialibyście się, kto może mieszkać w takim miejscu? Dlaczego ktokolwiek chciałby mieszkać w takim miejscu?

Po śmierci ojca matka nabrała zwyczaju wypowiadania takich komentarzy, jakby myślała na głos. Rozumieliśmy, że te pytania nie są prawdziwymi pytaniami, ale Naomi zaryzykowała odpowiedź.

– Ludzie muszą gdzieś mieszkać, mamo.

– Oczywiście! Aż któregoś dnia już nie muszą.

Matka nie planowała, że akurat tamtego dnia będziemy wyprowadzać się z domu. Nie zabrała pudeł do pakowania ani walizek. Nie rozmawiała z nami o domu, nie rozmawiała też z nami o przyszłości, chyba że tej najbliższej – w przyszłym tygodniu, jutro. Pojutrze. Dom na Salt Hill Road nazywała ogólnikowo domem na wsi. Starszym dzieciom (bo one uważnie monitorowały zachowanie matki) wydawało się, że Jenna mówi „dom na wsi”, bo po prostu nie pamięta nazwy miasteczka ani ulicy.

Słyszeliśmy też, jak mówi „mój mąż”, jakby zapomniała imienia naszego ojca albo uznała, że wymawianie tego imienia za bardzo boli i boli, kiedy ono pada z ust innych.

Naomi zapytała błagalnie:

– Nie wysiadamy, mamo, prawda? Nie jest odśnieżone.

Matka się zaśmiała. Jej głos zabrzmiał jak trzask łamanych gałązek.

– Myślałaś, że będziemy jechać taki kawał, żeby siedzieć w aucie? Oczywiście, że wysiadamy.

Przedzieraliśmy się z wysiłkiem przez śnieg, który sięgał po kolana; nawet Melissie nie pozwolono zostać w ciepłym samochodzie, musiała iść z nami, stawiając małe stopy w śladach po naszych dużych butach. („Nie możesz zostać w samochodzie z włączonym silnikiem. Możesz się zatruć spalinami”).

Mgliste zimowe popołudnie. Trudno było stwierdzić, czy jest się zupełnie przytomnym, czy może to dalszy ciąg snu. Wszystkie kolory wybielone do odcienia kości, oprócz rdzawej czerwieni kilku niepozornych dzikich jabłek na karłowatych drzewach przy domu. Darren poszedł pierwszy, by pomóc oczyścić drogę dla pozostałych; na stopniach z tyłu domu mocno potupał nogami i kopał w śnieg. Miał zacięty, wściekły wyraz twarzy. Z dachu na nasze głowy spadły grudy śniegu.

– Daj mi klucz, mamo. Jezu!

Darren siłą otworzył drzwi prowadzące do kuchni. Z góry spadło więcej śniegu. Naomi, która od śmierci ojca miała problemy ze snem, przymknęła oczy i zobaczyła (nie po raz pierwszy, ale wyraźniej niż zwykle) śnieżnobiałego ptaka, drapieżnego ptaka, tym razem sowę, z lśniącym dziobem i pazurami, nurkującą w stronę jej twarzy.

Nauczyła się bronić przed takimi (udawanymi) napadami, wzdrygała się tak, by w rzeczywistości wcale się nie wzdrygnąć, więc inni nic nie zauważali. Jakby zyskała nową umiejętność, z której czerpała żałosną dumę.

– Wejdź do środka, Darren. Idziemy zaraz za tobą.

Matka popchnęła Darrena do przodu. Naomi i Melissa weszły za nią.

W starym domu wydawało się zimniej niż na dworze. A pokoje sprawiały wrażenie mniejszych niż kiedyś. (Naomi przyszedł do głowy domek dla lalek, tyle że tutaj nie mieszkały lalki). W środku panował nieporządek, jakby rzeczy porozrzucał silny wiatr. Nad wszystkim wisiała kurtyna patosu. (Naomi próbowała nie myśleć: *Ktoś tutaj umarł*).

Nikt nie chciał iść na górę. Zostało wiele jego ubrań, których nie zabrał ze sobą do Ohio. Buty, bezużyteczne, okropnie było na nie patrzeć.

W dolnej szufladzie biurka pomieszane grube wełniane skarpety. Stary portfel, cienka i zużyta skóra, w środku bardzo stara legitymacja Uniwersytetu Michigan. *Augustus Voorhees, Wydział Medycyny, Uniwersytet Stanu Michigan*.

Żadne z dzieci Voorheesów nie chciało przeszukiwać tych rzeczy, ubrań, podręczników zostawionych przy pospiesznym odjeździe na początku listopada.

(Matka wypisała nas ze szkół w St. Croix. Nigdy nie mieliśmy tam wrócić. W głowie naszej matki czasami ojciec nie ginął na podjeździe kliniki dla kobiet w Ohio, ale na podjeździe kliniki w St. Croix, i w naszych umysłach te dwa miejsca czasem również się mieszały).

W styczniu 2000 roku mieliśmy zacząć chodzić do publicznych szkół w Ann Arbor. Mieliśmy mieszkać u McMahanów, dopóki matka nie podejmie decyzji, gdzie zamieszkamy na stałe. (Tylko czy cokolwiek mogło być teraz na stałe? Nikt z nas tak nie uważał).

Podłoga skrzypiała pod naszymi butami jak pękający lód. Krzywiliśmy się, jakby coś nam groziło. Nasze oddechy lekko parowały – dowód, że żyjemy!

Matka zauważyła:

– Jakbyśmy byli duchami, prawda? Wracającymi do mauzoleum, z którego przyszły.

Od dnia kiedy zabito ojca, a ją zabrano do Muskegee Falls w Ohio, by zidentyfikowała tak zwane szczątki, matka nie była osobą, którą pamiętaliśmy.

Starsze dzieci były świadome tej zmiany. Naomi ukradkiem włożyła palce do ust, by dotknąć ostrych szwów na języku, i uspokoiła ją myśl, że tak, szwy są na swoim miejscu.

– Fuj, okropne muchy.

Melissa się wzdrygnęła. Na kuchennych blatach i zlewie pełno było małych zdechłych czarnych much. Leżały też na parapetach i kafelkach podłogi.

Na parapetach stały rośliny. Porzucone rośliny doniczkowe matki, o których do teraz nikt nie pamiętał.

Geranium zachorowało i uschło, zrzuciło skurczone płatki na parapet i podłogę. Na jednej z roślin, na bezlistnych łodygach, zachowało się kilka czerwonych kwiatów.

Melissa pobiegła do zlewu, by nalać do szklanki wody i podlać geranium, ale gdy odkręciła kurek, rury zabulgotały i poleciała tylko rdzawa strużka.

Niemądra Melissa! Starsze dzieci zaśmiały się, widząc swoją śliczną małą siostrzyczkę, która tak bardzo chciała podlać geranium, jak to robiła często w dawnym życiu w tym domu.

– Zostaw, Melisso. Te rośliny już uschły. Teraz podlewanie nie pomoże.

Mimo to matka palcem wskazującym dotknęła zwapnionego brudu na jednej z doniczek. Przypomnieliśmy sobie teraz to, co zapomnieliśmy – jak to w każdym z kolejnych wynajmowanych domów matka stawiała rząd roślin w ceramicznych doniczkach, głównie geranium. Nie była zapaloną ogrodniczką, ale lubiła patrzeć zimą na wesołe, żywoczerwone kwiaty.

– Patrzcie! Mój notes z adresami.

Jenna ze zdziwieniem odkryła mały kołonotatnik leżący na skraju blatu.

Naomi znalazła plik zadań domowych z matematyki pomieszanych z pospiesznie złożonym stosem starych numerów „New Yorkera”, „Nation”, „New York Review of Books” i dzienników – rozwiązała te równania wiele tygodni temu, przed śmiercią ojca, a teraz wydawały się jej zupełnie nieznane.

Mózg zaczął pracować nad działaniami. Zapomniała o najważniejszym. – $18(12^4)$ – zgubiła klucz z odpowiedziami...

W całej kuchni śmierdziało czymś zepsutym. Darren otworzył lodówkę i pokazał się cały zestaw zwyczajnych rzeczy – dwulitrowa butelka mleka, litrowa butelka soku pomarańczowego, pół bochenka chleba, zgniłe łodygi selera naciowego, zgniła główka sałaty, zgniłe winogrona. To był dla nas szok, zaskoczenie.

– Och, koszmar! Wszystko się zepsuło i śmierdzi.

Matka zatrzasnęła drzwi lodówki.

Potem zauważyliśmy mrugające czerwone światełko na stoliku. Telefon.

Mieliśmy odsłuchać wiadomości na poczcie głosowej. Matka włączyła sekretarkę. Nagrały się rozmowy od początku listopada. W większości przypadków, kiedy dzwoniący mówił: „Halo”, matka od razu kasowała wiadomość: „Odsłuchałam to”. Albo kiedy dzwoniący się przedstawiał, kasowała wiadomość: „Nie muszę tego słuchać”.

A potem nagle odezwał się nasz ojciec.

Głos rozbrzmiał nagle, dokładnie taki, jaki pamiętaliśmy, ale zapomnieliśmy, że pamiętamy.

„Halo? Jest tam kto?”

(Cisza)

„Jenna? Skarbie? Możesz odebrać?”

(Cisza)

„Jest tam kto?”

(Cisza)

„No dobra, spróbuję potem. Może uda mi się wieczorem.

Przepraszam za... No wiesz.

Chyba rozprasza mnie to... co się tutaj dzieje”.

(Cisza)

„Jeśli mam zmęczony głos... Jestem zmęczony”.

(Cisza)

„Mam nowy pomysł, Jenno. Na przyszły rok. Albo raczej na następne lato. Kiedy dzieci skończą szkołę. Sprawdziłem datę – osiemnastego czerwca”.

(Cisza)

„Okej. Szkoda, że cię nie ma”.

„Kocham cię”.

(Cisza)

„Kocham was wszystkich”.

(Cisza)

„Na razie”.

(Cisza)

„Halo? Coś słyszałem – jest tam kto?”

(Cisza)

„No dobra. Kocham was. Zadzwonię niedługo.

Pa”.

Potem cisza.

Szok na dźwięk głosu ojca! Nie pojmowaliśmy do końca, co usłyszeliśmy.

– Mam puścić jeszcze raz? – zapytał od razu Darren.

– Nie! Nie, poczekaj.

Matka musiała usiąść na kuchennym krześle. Zrobiła się blada, drżały jej usta.

Na sekretarce zaczęło się kolejne nagranie, obcy głos, który Darren skasował.

– Wyłącz to na razie, Darren. Proszę.

Darren wyłączył sekretarkę. Małe czerwone światełko zniknęło.

W mroźnej kuchni wynajętego domu na Salt Hill Road, do którego już nigdy nie zamierzaliśmy wchodzić, czekaliśmy, nie mając pojęcia, co teraz robić.

Nowy pomysł

Ileż razy zadawaliśmy sobie pytanie, co Gus miał na myśli, gdy mówił „nowy pomysł”. Co ten nowy pomysł miał wspólnego z końcem roku szkolnego w czerwcu.

Darren twierdził, że to oczywiste: tata zamierzał wyjechać z Ohio i przeprowadzić się z powrotem do Michigan, żeby z nami mieszkać.

Naomi z mniejszą pewnością mówiła, że tata zamierzał (prawdopodobnie) rzucić pracę w przychodni i zostać innego rodzaju lekarzem (którego ludzie nie nienawidzą!).

Melissa powiedziała: „Ojej, czy tata miał dla nas niespodziankę?”.

Jenna podsłuchała ich i oznajmiła z goryczą: „Lepiej, żeby wasz ojciec w ogóle do nas nie zadzwonił, niż żeby zadzwonił i zostawił tę wiadomość, która będzie ropieć w naszych sercach”.

Śmiech

Próbowali mi powiedzieć, że... nie żyjesz! Oczywiście nie uwierzyłam, wiemy, jak ludzie lubią przesadzać.

Często śnił się jej ten sen. Ona i Gus, śmieją się razem. Tyle że to był dźwięk silnego szeleszczącego wiatru, a nie prawdziwy śmiech. Tyle że kiedy zaczęła widzieć wyraźniej, okazało się, że to nie był Gus.

Stan Ohio kontra Luther Amos Dunphy. Grudzień 2000

Wpatrywała się w niego żarłocznym wzrokiem. Taką miała strategię, siedząc w Sądzie Okręgowym Hrabstwa Broome, gdzie mogła obserwować oskarżonego Luthera Dunphy'ego mniej lub bardziej uporczywie, ale nie wzbudzać podejrzeń, wiedziała bowiem (oczywiście, że wiedziała), że inni ją obserwują.

Wdowa istnieje tylko w oczach patrzących. We własnych oczach mogłaby być niewidzialna.

Wiedziała zatem, że się jej przyglądają. Czy to ona? Żona tego lekarza?

Albo, mniej przyjaźnie: żona abortera?

Ci ludzie, którzy w zatłoczonej sali sądowej byli po stronie Gusa Voorheesa, i ci, którzy byli po stronie wroga.

Oskarżony miał na sobie najczęściej piaskową sztruksową marynarkę ciasno opinającą szerokie ramiona, a czasem ciemniejszą, chyba z jakiegoś syntetycznego materiału. Spodnie ciemne i bez kantów. Koszula biała, dość wymięta. (Najczęściej noszona z krawatem, a jeśli bez niego, to rozpięta pod szyją, jakby kołnierzyk był za ciasny na muskularny kark). Wyblakłe włosy Dunphy'ego, mocno przerzedzone nad czołem, zostały ostrzyżone na rekruta. Niedbale ogolone zapadnięte policzki. Widziała go z profilu. Ciężka twarz, twarz starego, bezradnego chłopca. Zarumienione i pobrużdżone policzki, bladoczerwone znamię czy skaza na pomarszczonej skórze i wgłębienia pod oczami twardo wpatrującymi się w sędziego, świadków, gestykulujących i dyskutujących prawników, jakby nie miały odwagi spojrzeć w bok – jakby nie miały odwagi spojrzeć w jej stronę.

Gdyby Jenna nie wiedziała, że Luther Dunphy skończył niedawno czterdzieści lat, dałaby mu dziesięć więcej. Jego masywne wiotczejące ciało przypominało osuwisko. Miał dłonie robotnika, teraz bezużyteczne. O poranku przy stole obrony potrafił jeszcze siedzieć w miarę prosto, ale w połowie dnia ramiona zaczynały się pochylać, głowa opadała. Nie dało się zgadnąć, o czym myślał Dunphy, kiedy słuchał albo udawał, że słucha kolejnych świadków oskarżenia opisujących poranek 2 listopada 1999 roku i identyfikujących go jako samotnego strzelca – czy był przekonany o słuszności swojego postępowania, czy też obojętny, zrezygnowany, arogancki. Co najmniej raz po południu zamykały mu się oczy i dopiero ostrzeżenie sędziego zmuszało obrońcę Dunphy'ego, by ten go szturchnął i obudził.

– Nie na mojej sali sądowej. Niech świadek kontynuuje.

Jenna była bardzo rozczarowana, że Dunphy nie chciał zeznawać w swojej obronie. Tak przynajmniej powiedział jej prokurator okręgowy.

Powiedział też, że żaden kompetentny adwokat nie pozwoliłby temu ewidentnie winnemu oskarżonemu poddać się przesłuchaniu. Tak naprawdę bardzo niewielu świadków miało być wezwanych do zeznawania na korzyść Luthera Dunphy'ego, za to oskarżenie przedstawiło ponad trzydziestu, którzy widzieli zabójstwo na własne oczy i opisali je z dramatyczną intensywnością.

Prokurator oskarżył Luthera Dunphy'ego o podwójne morderstwo pierwszego stopnia i był zdeterminowany (tak powiedział Jennie), by nie godzić się na mniej – ani na inny stopień, ani na zabójstwo.

Zabójstwo! Jenna była wściekła. Kto mógł w ogóle dopuszczać taki zarzut.

– To nie będzie zabójstwo, pani Voorhees. Proszę się nie martwić. Jestem pewien, że ława przysięgłych jednogłośnie uzna to za morderstwo pierwszego stopnia. A kiedy to zrobią, będą ponownie debatować, by ustalić, czy skazać Dunphy'ego na dożywotnie więzienie bez możliwości warunkowego zwolnienia czy na komorę.

Komora. Archaiczne słowo budziło dreszcz. Śmierć czekała w jakiejś komorze, do której musi wejść skazany człowiek. Jenna poczuła przypływ

ekscytacji i strach. *Powinien umrzeć za to, co zrobił Gusowi i drugiemu niewinnemu człowiekowi. Nie zasługuje na życie*.

(Pytała go usilnie, czego chce. Czy chce, żeby mężczyzna, który go zabił, umarł. A Gus dał jej do zrozumienia, nie słowami, bo sen był niewyraźny jak widok za przednią szybą auta w marznącej mżawce, że oczywiście nie chce, by Luther Dunphy umarł. Gus nie wierzył w karę śmierci, nie chciał też, by ktokolwiek umierał z ręki państwa. Poczuła, że jest na niego wściekła, na swojego drogiego utraconego męża, że z taką łatwością wybacza nawet teraz, kiedy jego wrogowie mają w nosie jego wybaczenie i nie żałują jego śmierci).

– Tak, chcę, żeby umarł.

A może:

– Chcę, by skazano go na śmierć. Chcę, by wszyscy wiedzieli, że został skazany na śmierć. Że śmierć mojego męża jest wielką stratą, za którą morderca musi zapłacić własnym życiem.

Czy naprawdę chciała, by ten człowiek umarł – to była inna kwestia.

Jenna oczywiście nie mówiłaby w ten sposób do Gusa. Takie mściwe słowa z ust żony zaszokowałyby go i zasmuciły.

Zawsze byli przeciwko karze śmierci. To barbarzyństwo niegodne cywilizowanego społeczeństwa. Nie znali ani jednej osoby z szerokiego kręgu przyjaciół i współpracowników, która popierałaby karę śmierci, tak jak (lubili to mówić z uśmiechem) nie znali ani jednej osoby, która głosowałaby na republikanów.

Tak naprawdę oczywiście znali. Ale nie zamierzali tego przyznawać.

Czy chciała, żeby Luther Dunphy umarł?

Czy może chciała, by Luther Dunphy odpokutował?

To prawda, że czuła chorą fascynację mordercą męża. Nie wiedziała, czy wścieka ją, czy przynosi jej ulgę, że ten samowolny „żołnierz Boga” zachowuje się, jakby nie dostrzegał jej obecności na sali sądowej, choć siedzieli

sześć metrów od siebie, tak jak nie widział innych na sali, którzy pragnęli nawiązać z nim kontakt wzrokowy, uśmiechnąć się wspierająco albo zawołać coś szybko, zanim zainterweniują strażnicy.

„Modlimy się za ciebie, Lutherze!”

„Bóg o tobie nie zapomni, Lutherze! Jezus nie zapomni”.

Takich ludzi wyprowadzano z sali. Ich twarze dowodziły, że są przekonani o swojej racji. Byli tam członkowie chrześcijańskich czuwań modlitewnych, zgromadzeni przed dostojnym starym budynkiem z granitu, klęczeli na chodniku i kamiennych schodach każdego dnia procesu i zostawiali tylko tyle miejsca, by dało się przejść. Zwykle były to pokojowe demonstracje – na transparentach nie mieli zdjęć usuniętych płodów, a tylko słowa: PRAWO DO ŻYCIA. ŻADNE DZIECKO NIE CHCE UMIERAĆ. UWOLNIĆ LUTHERA DUNPHY’EGO.

Na widok tych tablic Jenna szybko odwracała wzrok. Czuła, że pęknie jej serce – pęknie głowa! To było nie do zniesienia, że Luthera Dunphy’ego ktoś mógł tak bronić.

Ale rozumiała. Oczywiście.

To, co mówił Gus – nigdy nie wdawaj się w dyskusje z wrogiem.

W Muskegee Falls, gdy wchodziła i wychodziła z Sądu Okręgowego Hrabstwa Broome, Jenna nigdy nie mogła być sama. Nawet kiedy szła do toalety, nie mogła być sama; towarzyszyła jej jakaś kobieta. Zawsze był z nią ktoś z biura prokuratora albo z policji, byli też znajomi, starzy znajomi z Ann Arbor i nowsi znajomi z Ohio, związani z kliniką dla kobiet, w której pracował Gus Voorhees, kiedy go zastrzelono.

Te kobiety często brały Jennę za rękę. Splatały palce z jej palcami, ściskały, łapały mocno. Niektóre były wdowami, powiedziano jej. Wdowa będzie wiedziała, że jesteś wdową. Bo między nimi jest więź.

Nie patrz na nich. Patrz na mnie, będziemy ze sobą rozmawiać. Nie pozwól im się zdenerwować, Jenno. Spróbuj się do mnie uśmiechnąć. Tak, właśnie tak.

Dziwiło ją, że protestujący przeciw aborcji jej nienawidzą. Czy nie uznali, że została wystarczająco ukarana utratą męża?

Nawet teraz, rok po śmierci Gusa, Jennie wciąż zdarzało się odbierać nienawistne listy od wroga, które przekazywano jej do Ann Arbor. Rzadko dostawała taką pocztę, bo inni interweniowali i chowali ją lub niszczyli. Bała się, że ktoś zaatakuje dzieci po tych paskudnych groźbach – *Będziesz następna, po zabójcy dzieci. Ty i twoje dzieci nie zostaną oszczędzone*. (Wysłała całą trójkę do dziadków do Birmingham w Michigan na czas nieokreślony; w Ann Arbor Voorheesowie byli zbyt widoczni).

Jednak Jennę należało chronić nie tylko przed przeciwnikami aborcji czy mentalnie niestabilnymi ludźmi lżącymi Gusa Voorheesa, tak jakby on wciąż żył. Chodziło też o dziennikarzy – prasowych, telewizyjnych, reporterów. Większość z nich (wierzyła Jenna) wspierała oskarżenie. Szczególnie kobiety były zagorzałymi zwolenniczkami aborcji i prawa wyboru. Jednak Jenna odmawiała wszelkich wywiadów. „Nie teraz. Jeszcze nie! Może kiedyś. Proszę zrozumieć”. Zaczęła odmawiać takim prośbom nawet od czasopism, z którymi ona i Gus byli wiązani bezpośrednio po jego śmierci.

Rozumiała polityczną wartość zwracania się do zaszokowanej publiczności po zamordowaniu znanego lekarza abortera (i zamordowaniu ochroniarza kliniki), ale była zbyt wyczerpana i pogrążona w żałobie. Ukrywała się nawet czasami przed najdawniejszymi i najbardziej lojalnymi przyjaciółmi, nawet przed rodzicami i dziećmi. A później, kiedy odzyskała nieco siły, nie chciała marnować ich na takie rzeczy; nie chciała mówić o swoim mężu, jakby był kwestią polityczną.

Jeśli chodzi o tak często, tak obłąkańczo opóźniany proces, czuła siłę i potrzebę samoobrony. Proces był absorbujący i rodził obsesje, więc nie miała o nim nic do powiedzenia żadnemu dziennikarzowi; nie lubiła rozmawiać nawet z przyjaciółmi i współpracownikami, a kiedy co wieczór dzwoniła do dzieci, o sądzie mówiła niewiele i chciała tylko wiedzieć (natrętnie, ze szczegółami, co denerwowało Naomi i Darrena), jak się mają.

Dla Jenny proces Luthera Dunphy’ego był jak podwodny maraton – musiała wstrzymać oddech, na tak długo, jak się dało, a potem na jeszcze tro-

chę. Nie miała odwagi nabierać powietrza zbyt szybko, by nie utonąć.

Przyjaciele postanowili ją chronić. Od śmierci Gusa otoczyli Jennę jak murem obronnym. Proces Luthera Dunphy'ego wisiał nad nimi przez ponad rok.

„Doczekamy się sprawiedliwości, Jenno! Wkrótce będzie po wszystkim".

Wkrótce? Po wszystkim? Jenna zastanawiała się, co to niby ma znaczyć. Nieobecność Gusa w jej życiu, w świecie, nigdy się nie skończy, bez względu na wynik procesu.

Na kamiennych stopniach budynku sądu starannie unikała modlących się demonstrantów. Kątem oka widziała, jak na nią patrzą, na wdowę po człowieku, którego śmierć oklaskiwali. Czy nienawidzili jej jak wroga? Czy czuli wobec niej coś bardziej skomplikowanego – żal, jeśli nie współczucie? Była dla nich żoną zabójcy dzieci – to określało jej tożsamość. Chciała się do nich odwrócić, zmierzyć się z nimi: „Jesteście niebezpiecznymi fanatykami – religijnymi szaleńcami! Wasz gniewny Bóg nie istnieje, macie wyprane mózgi, jesteście absurdalni".

Wiedziała jednak, że to nie takie proste. Wiedziała, jak czułby się Gus: choć protestujący się mylili, mieli dobre intencje. Przywódcy religijni mobilizowali ich z powodów politycznych, by osłabiali państwo opiekuńcze, „bezbożny ateizm" bardziej sprawiedliwie rozdzielanej gospodarki. Tak jak prawicowi politycy, którzy udawali populistów, by zdobyć głosy – finansowały ich bogate firmy i korporacje, te zaś interesowało tylko, by został wybrany rząd popierający ich interesy. Między małżeństwami jednopłciowymi, antykoncepcją czy prawami reprodukcyjnymi kobiet aborcja była tym poruszającym tematem, rozdzierającym krzykiem: „Żadne dziecko nie chce umierać!".

Jakże ci ludzie byli zmanipulowani! Jak politycznie naiwni. Jednak ich emocje były szczere. Ich gniew z pewnością był szczery.

W ich obecności Jenna nawet w pochmurne dni nosiła okulary przeciwsłoneczne i ciemne wełniane ubrania – nie dlatego, że była wdową, ale ponieważ proces był poważny i jaskrawe kolory zaczęły obrażać i ranić jej oczy.

„Pani Voorhees?”

Nie. Była grzeczna, była uprzejma, ale nie rozglądała się wokół.

W sali sądowej Jenna każdego ranka zajmowała swoje miejsce w rzędzie za stołem prokuratora. Sąd Okręgowy Hrabstwa Broome mieścił się w starym budynku, z początku XX wieku, ale wnętrze zostało odnowione, zmodernizowane. Sale miały czyste okna i drewniane podłogi, nieco nierówne, ale wycyklinowane i błyszczące. Dwadzieścia dwa rzędy siedzeń były nowe, ale twarde pod pośladkami szczupłej osoby. Jenna czuła przypływ energii, głodu, gdy zastępcy szeryfa hrabstwa Broome wprowadzali na salę Luthera Dunphy’ego ze skutymi z przodu rękami; kiedy sadzano go przy stole obrony z dwoma obrońcami z urzędu, kajdanki zdejmowano. Zawsze zaskakiwało ją to, jak Dunphy górował nad prawnikami: miał sporo ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, ważył ponad dziewięćdziesiąt kilo. Był silnym mężczyzną, gdyby chciał, mógłby to okazać. Nietrudno sobie wyobrazić, że rozgniewany Luther Dunphy potrafiłby stać się bardzo niebezpieczny.

Czekała, aż się do niej odwróci. Poszuka jej. Wdowy po człowieku, którego zamordował. Ich spojrzenia się spotkają. Morderca i wdowa po zamordowanym. *Wstydzisz się, masz zdruzgotaną duszę? Z powodu tego, co zrobiłeś?*

Dunphy zaprzeczył, że miał cokolwiek wspólnego ze śmiercią Timothy’ego Barrona, pięćdziesięcioośmioletniego ochroniarza ochotnika, którego zastrzelił po zabiciu Gusa Voorheesa. Mówiono, że nie chciał rozmawiać o tej drugiej śmierci nawet ze swoim prawnikiem. Choć kolejni świadkowie opowiadali o strzelaninie, o tym, jak Dunphy zastrzelił obu mężczyzn, a kryminolodzy bez wątpliwości potwierdzili, że obu mężczyzn zabito z tej samej broni, oskarżony odmawiał uznania śmierci Barrona; nie mógł zaakceptować, że zabił długoletniego mieszkańca Muskegee Falls, który nie był lekarzem aborterem.

Dla Jenny to było groteskowe, że ten człowiek chętnie, wręcz z dumą zeznawał, że zastrzelił lekarza abortera w samoobronie, a nie przyznawał się do drugiego morderstwa.

Szalony! Albo bardzo przebiegły.

Oczywiście nie było żadnej obrony. Oskarżony nie zaprzeczył, że zabił przynajmniej jedną z ofiar, widziało go też wielu świadków, w tym policjanci.

Jednak zeznał, że jest niewinny. Proces kilka razy odraczano. Strategią obrony było przekładanie rozpraw tak długo, jak to możliwe – typowa zagrywka, kiedy wina jest oczywista. Na początku prawnik Dunphy'ego twierdził, że jego klient jest niewinny z powodu okoliczności łagodzących, potem zmienił strategię i twierdził, że Dunphy nie jest w stanie psychicznym umożliwiającym uczestniczenie w procesie. Jak można było przewidzieć, psychiatrzy wezwani przez obronę oświadczyli, że Luther Dunphy ma urojenia, jest schizofrenikiem borderline, dwubiegunowym, a psychiatrzy ze strony oskarżenia twierdzili, że oskarżony ma wystarczająco zdrowy umysł – jest w stanie zrozumieć, że złamał prawo, i uczestniczyć we własnej obronie. Po wielu miesiącach zwłoki i uników sędzia hrabstwa Broome zdecydował, że Dunphy nie ma takich urojeń, które uniemożliwiałyby mu udział w procesie, więc ten mógł się toczyć dalej.

Czy Jenna uważała, że Luther Dunphy jest szalony? Wszystko, co o nim przeczytała, wszystko, co powiedział jej prokurator, sugerowało, że tak, ten człowiek jest szalony. Twierdził, że słyszy głosy, wierzył, że strzelając do dwóch nieuzbrojonych mężczyzn, wypełnia wolę bożą. Jednak dla wielu to wcale nie było szaleństwo – w kontekście przekonań religijnych to z pewnością nie było szaleństwo.

W Stanach Zjednoczonych mieszka dużo więcej osób religijnych niż niewierzących; zdecydowana większość to chrześcijanie. Poważny chrześcijanin musiałby zaakceptować, że jeśli taka będzie wola boska, Bóg może przemówić bezpośrednio do niego – nielogiczne jest być wierzącym chrześcijaninem i zaprzeczać takiej władzy Boga czy Jezusa. Dlatego Luther Dunphy nie był szalony w swoich przekonaniach; w swoich działaniach złamał prawo, ale nie był szalony.

Argument obrony okazał się przebiegły: Luther Dunphy nie popełnił żadnej zbrodni, ale bronił bezbronnych, czyli nienarodzonych dzieci, które miały zostać usunięte tego właśnie poranka w Klinice dla Kobiet Hrabstwa

Broome. Według prawa człowiek może popełnić zabójstwo, by bronić siebie lub innych. Prezentując ten czyn jako idealistyczny, altruistyczny i motywowany chrześcijańską miłością bliźniego, pod żadnym względem niedokonany dla własnych korzyści, obrońca twierdził, że oskarżony zachował się altruistycznie. Sugerował również, że jego klient, choć obecnie zdrowy na ciele i umyśle, w chwili strzelaniny działał w stanie ekstremalnego przymusu.

Dlatego też każdy przysięgły musiał zadać sobie rozsądne pytanie: „Czy Luther Dunphy był wówczas niepoczytalny? Czy jest niepoczytalny teraz?”.

Jenna nie chciała dopuścić myśli, że Gus zdiagnozowałby Luthera Dunphy’ego jako psychicznie niezdolnego do przejścia procesu. Mąż często wspominał, że wiele z tych najbardziej zdesperowanych dziewcząt i kobiet, najbiedniejszych, które przychodziły do klinik aborcyjnych, wydawało mu się psychicznie niestabilnymi, jeśli nie wręcz chorymi. Wiele miało myśli samobójcze; groziły, że się zabiją, jeśli nie przerwą ciąży.

Jenna zaczęła z dużym zainteresowaniem obserwować rodzinę i krewnych oskarżonego, siedzących w dwóch rzędach bezpośrednio za stołem obrońcy. Wskazali ich ludzie prokuratora. Najbardziej fascynowała ją żona mordercy – ta druga żona. Jenna wiedziała z gazet, że ma na imię Edna Mae, przed ślubem w młodym wieku była pomocą pielęgniarską. A tam, obok Edny Mae, siedziały dzieci mordercy. Dwoje we wczesnym wieku nastoletnim wyglądało na braci lub (młodsze miało nijaką twarz, arogancko bezpłciową) brata i siostrę; byli podobni do ojca z kształtu twarzy i z oczu.

Druga żona przypominała zużytą szmacianą lalkę. Zaniedbane jasnobrązowe włosy niestarannie przykrywała szalem, który wciąż się rozplątywał i ześlizgiwał z głowy. Ubierała się w kurtkę na polarze, spodnie i szerokie gumowe buty. Chuda twarz miała szarawy kolor, a brwi narysowano ołówkiem w łuki wyrażające lekkie zaskoczenie. Pani Dunphy również wyglądała na starszą, niż była, jakby wyssano z niej życie. Kiedy sąd obradował, jej małe usta często się otwierały i poruszały – jak zakładała Jenna – w modlitwie.

Cichej modlitwie do kogo, do czego?, zastanawiała się Jenna.

Czy Edna Mae Dunphy naprawdę myślała, że jej mąż psychopata może być niewinny?

Ta druga żona ani razu nie zerknęła w kierunku Jenny, choć inni obok niej (rodzina, krewni?) często spoglądali na żonę Voorheesa zimno, z pogardą i dezaprobatą. Chłopak o ziemistej cerze, może rok, dwa lata starszy od Darrena. Dziewczyna o nijakiej twarzy (teraz Jenna widziała, że to raczej na pewno dziewczyna) mogła być w wieku Naomi. Ciekawe, jak się czują syn i córka Luthera Dunphy'ego, gdy ich ojciec jest sądzony za morderstwo. Czy kochali go mimo wszystko? Czy popierali ten akt przemocy, czy naprawdę byli jego dziećmi?

Jenna uznała za ciekawe i godne zauważenia, że pani Dunphy pozwala dzieciom uczestniczyć w procesie, w którym ich ojciec niemal na pewno zostanie uznany za winnego morderstwa. Czy może pani Dunphy nie miała władzy, by zabronić nastolatkom przyjścia na salę? Jenna zauważyła, że w sądzie nie było między matką a dziećmi w zasadzie żadnego porozumienia. Od czasu do czasu dziewczyna niespokojnie wierciła się na miejscu; nie chciała słuchać zeznań obciążających ojca i często była zirytowana, zdenerwowana lub zawstydzona matką, ponieważ Edna Mae Dunphy wydawała się czasami nieprzytomna albo uśpiona, jakby nie do końca świadoma, gdzie się znajduje; za to chłopak, dojrzalszy od nadąsanej siostry i bardziej odpowiedzialny, pomagał matce wstawać, prowadził ją, lekko trzymając za łokieć, przez zatłoczoną salę od i do wyjścia. Jenna widziała ich również w innych miejscach w sądzie i chłopak zawsze czuwał nad matką, a niewzruszona córka ignorowała ich oboje. Nastolatek, a tak się troszczy o matkę! Jenna była poruszona, choć wcale nie chciała tego widzieć, nie chciała czuć współczucia dla Dunphych, to skomplikowałoby jej uczucia do ich ojca. Udało się jej zabronić dzieciom obecności na procesie, bo mieszkały daleko od Muskegee Falls, i nie pozwalała im się nawet tu zbliżać.

„Mamo, proszę! Chcę być z tobą na procesie".

„Nie, Darren. To niemożliwe".

Za rodziną oskarżonego siedzieli krewni Dunphych, bywający na rozprawach mniej regularnie niż Edna Mae i dzieci. Kilku mężczyzn, którzy krzywili się złowieszczo w trakcie zeznań świadków oskarżenia, czasami gwałtownie wychodzili z sali. Wśród nich przysadzisty gość w średnim wieku, podobny do Luthera Dunphy'ego, może starszy brat, z ostrą jak brzytwa twarzą, który z niemym niedowierzaniem i gniewem gapił się na przedstawicieli prawa (sędziego, adwokatów, strażników, woźnych), jakby sądził, że zapragną naruszyć jego wolność poruszania się. Czasami wydawał się szczególnie oburzony obrońcą z urzędu swojego brata, który (tak chyba sądził) nie bronił Luthera wystarczająco zapalczywie. Jednak Luther Dunphy i ten człowiek nigdy nie wymienili spojrzeń. Być może Luther w ogóle nie wiedział o obecności tamtego. Obok siedziała czasami starsza para, bardzo wyniszczona, jakby chorobą. Rodzice oskarżonego. Pewnie nieco po osiemdziesiątce. Mężczyzna był potężny, miał w obu uszach aparaty słuchowe. Kobieta krucha, zdenerwowana. Jenna czuła wobec nich współczucie i zniecierpliwienie. To nie ich wina, że ich syn został mordercą (na pewno?), ale musieli teraz prosić swojego Boga, by go ocalił.

Luther jest niewinny. Luther zabił tych dwóch mężczyzn, ale – wiemy – jest niewinny.

Musieli się modlić rozpaczliwie, by ocalić syna od zarzutu morderstwa pierwszego stopnia, co mogło skutkować karą śmierci.

Kiedy sąd obradował, Luther Dunphy nie patrzył na rodzinę i krewnych, choć musiał być świadomy ich obecności za sobą. Niczym człowiek w transie zdawał się słuchać świadków – i nieustannie słyszał swoje nazwisko – ale nie reagował. Jenna nie chciała myśleć, że on jest z Bogiem. Że to sobie wyobraża.

Zastanawiała się, czy Dunphy rzeczywiście uważa się za żołnierza. Takiego, który przyjmuje rozkazy i robi, co mu każą. Zabija, ale nie jest mordercą.

Właściwie to nie wyglądał jak morderca – nie wyglądał jak wróg. Jego żona, Edna Mae, dzieci, większość krewnych Dunphych wcale nie wyglądali jak wrogowie. Może z wyjątkiem dwóch czy trzech gapiących się męż-

czyzn nikt nie wyglądał na okrutnego, wrogiego, złego czy na psychopatę, nawet ta dziewczynka ze skrzywioną miną, której oczy patrzyły na Jennę odważnie i arogancko, nie wydawała się bardzo różnić od innych dziewczynek w jej wieku, które Jenna widywała w Ann Arbor: licealistek, gimnazjalistek, dziewczynek w centrum handlowym Ypsilanti, dziewczynek snujących się za rodzinami po Walmarcie, Targecie, Home Depot, dziewczynek zażenowanych niechlujnym wyglądem matek.

Dziewczynka bardzo różna od córki Jenny, Naomi. Dziewczynka, która pewnie zawstydziłaby Naomi, gdyby chodziły do tej samej szkoły.

Gus łatwo podsumowałby Dunphych: klasa pracująca o niskich dochodach albo żyjąca z zasiłków, mogliby być jego pacjentami w darmowych przychodniach. Nietrudno było sobie wyobrazić Ednę Mae Dunphy przychodzącą do Jenny Matheson, do biura porad prawnych w Ann Arbor, w którym Jenna kiedyś pracowała, z prośbą o pilną konsultację. „Proszę mi pomóc! Mój mąż – ojciec moich dzieci – popełnił potworny błąd i związał się z Armią Boga – wysłali go, żeby zabijał, i on zabił...”

Jenna jednak nie chciała w ten sposób myśleć o Dunphych. Usiadła wygodniej i odwróciła wzrok od kamiennej twarzy Edny Mae. Rodzina Dunphych była wrogiem i Jenna nie mogła sobie pozwolić na to, by myśleć o nich inaczej.

Spływało to na nią jak brudna woda. Fala przerażenia wylewająca się z trzewi, zostawiająca po sobie oszołomienie, wyczerpanie i mdłości.

Gdy tylko znalazła się sama. Gdy już nikt nie mógł zobaczyć wdowy. Gdy tylko uciekła z budynku Sądu Okręgowego Hrabstwa Broome.

Uciekła mimo dobrych intencji i współczucia tych, którzy chcieli jedynie uścisnąć jej dłonie i uwięzić w przypływie zainteresowania – „Proszę przyjąć nasze kondolencje, pani Voorhees! Wszyscy jesteśmy w szoku, coś tak okropnego, nigdy przedtem w Muskegee Falls, to przyjazne miejsce, świat będzie miał tak błędny obraz naszej społeczności...”

Sama w prywatności pokoju hotelowego, w którym zamieszkała na czas procesu.

W Muskegee Falls chciała mieszkać w hotelu, a nie u nikogo w domu. Wiele osób zapraszało ją serdecznie, ale Jenna odrzucała propozycje. Nie miała siły rozmawiać z ludźmi, nawet ich słuchać. Nie zniosłaby nieustannej litości, nie chciała, by po raz tysięczny mówiono jej, że mąż był wspaniałym człowiekiem, dobrym człowiekiem, odważnym człowiekiem, bezinteresownym, drogim przyjacielem, kolegą, za którym będą ogromnie tęsknić.

Wiem, wiem. Też za nim tęsknię. Co więcej mam wam powiedzieć.

Przede wszystkim nie chciała, by ludzie błędnie interpretowali jej ataki paniki, rozpaczy, mdłości. Jej życie runęło, kiedy Gus umarł tak gwałtownie, jakby powaliła go wirusowa choroba. Kiedy trzeba, Jenna znajdowała siłę, ale nie potrafiła się trzymać zbyt długo.

Jak balon, z którego powoli ucieka powietrze i trzeba go napełnić. A kiedy powietrze już całkiem z niej uciekło i pokonana leżała jak w śpiączce na hotelowym łóżku, szczękając zębami z zimna, nie chciała, by ktoś ją widział i się o nią martwił, nie chciała, by żaden troskliwy przyjaciel namawiał ją na wizytę u lekarza czy – jeszcze gorzej – upierał się, że wezwie karetkę. Jakby jeszcze tego brakowało – przymusowej hospitalizacji w Muskegee Falls w Ohio! Tak jak wszyscy lekarze, których znali, Gus opowiadał potworne historie o jakości opieki medycznej w prowincjonalnych szpitalach.

Kolejnym faktem w życiu wdowy (o którym pewnie wiedziała tylko wdowa) było to, że podobne ataki zawsze mijały po jakiejś godzinie. Jeśli nie rozwinęły się tachykardia, migrena albo dokuczliwe mdłości, bo w takim przypadku lepiej, żeby trzymała się przez noc z dala od ludzi.

Jesteś tylko zdenerwowana, skarbie. Nic ci nie będzie. Oddychaj głęboko.

Jedynym rozwiązaniem było czekanie, samotność. Gdy czuła obecność Gusa, który ją pocieszał.

Kiedy odpływała w sen, niemal mogła złapać go za rękę. Czy raczej to Gus łapał ją za rękę.

Już przez to przechodziłaś. I teraz musisz znowu. Spróbuj się chwilę przespać.

Musiała oczywiście ukrywać tę słabość przed dziećmi. Jeśli nie mogła być dla nich silna, lepiej, żeby w ogóle jej nie oglądały.

W ciągu ostatnich kilku miesięcy te napady żałoby przychodziły coraz rzadziej, ale teraz, w Muskegee Falls, gdzie koncentrowała się wyłącznie na procesie i musiała słuchać najkoszmarniejszych relacji o śmierci swojego męża oraz raportów policjantów, ratowników, koronera, stała się równie krucha jak rok wcześniej.

Świadomość, że Gus nie żyje i zniknął z powierzchni ziemi, podczas gdy jego morderca żyje i ma się dobrze w swoim upartym, ograniczonym transie, do którego nikt nie miał wstępu, nachodziła Jennę przynajmniej raz dziennie, kiedy wracała do hotelu, i rozdzierała ją na strzępy.

Czuła, że musi wyjaśnić Gusowi: *Nieważne, dokąd pójdę, ciebie nie ma. Jesteś nigdzie. Albo raczej: zredukowany do popiołów*.

Nie przyniosła prochów Gusa na cmentarz, na którym wykupiła miejsce. (Tylko jedno miejsce, bo choć jej ciało również w końcu zostanie skremowane, to podwójne miejsce nie jest wymagane, kiedy męża i żonę redukuje się do popiołów). Bardzo dużo myślała, ale (jeszcze) nie poddała się Darrenowi, by prochy Gusa rozrzucić na wyspie Katechay.

Jedno, co pragnęłaby zachować w tajemnicy przed Gusem (choć on z pewnością nie byłby zdziwiony), to fakt, że wiele osób uczestniczących w procesie, tak jak i w innych miejscach w kraju, popiera człowieka, który go zamordował. Ta świadomość bolała, choć nie powinna zaskakiwać.

Od czasu aresztowania Luthera Dunphy’ego wiele mówiono o sprawie. A teraz, po rozpoczęciu procesu, jeszcze więcej.

Baer, bogaty przedsiębiorca ze Środkowego Zachodu związany z prawicową polityką, wykupił reklamy telewizyjne pokazujące Dunphy’ego jako męczennika ruchu broniącego życia poczętego. Jakiś kaznodzieja namawiał miliony widzów w kablówce, by modlili się o uwolnienie Luthera Dunphy’ego. W Fox News, relacjonującej proces jako wiadomość dnia, popularny komentator Tom McCarthy, którego Jenna nigdy przedtem nie widziała i wolałaby nigdy nie oglądać, często chwalił Dunphy’ego jako żoł-

nierza Boga, szkalował Gusa Voorheesa i ruch zwolenników aborcji jako bandę ateistycznych i socjalistycznych zabójców dzieci.

Oczywiście Tom McCarthy zawsze robił pauzę, by było absolutnie jasne, że w żaden sposób nie popiera stosowania przemocy.

Jeden raz Jenna zmusiła się, by obejrzeć ten koszmarny program *Godzina z Tomem McCarthym*, i miała wrażenie, że kiedy prezenter wypowiadał te słowa, naprawdę puścił oko do telewizyjnej publiczności. „Przemoc? Nieeeee. Nie ja!”

Organizacje antyaborcyjne (czy, jak lubiły się nazywać – organizacje broniące prawa do życia) urządzały wiece, zbierały fundusze, by zastąpić wyznaczonego z urzędu adwokata Dunphy’ego jakimś znanym prawnikiem, ale Dunphy nieoczekiwanie odmówił przyjęcia nowego obrońcy i współpracy z fundacją na rzecz swojej obrony. Nie zaprzeczył, że zastrzelił lekarza abortera, ale nie zamierzał przyznawać, że jest winny lub niewinny; to adwokat złożył w jego imieniu oświadczenie – niewinny. Wyglądało na to, że oskarżony podda się procesowi, ale nie będzie aktywnie się bronił, ponieważ nie uważał, by popełnił jakiekolwiek przestępstwo. W oczach Boga zabicie Voorheesa nie było zbrodnią.

W istocie zabicie Voorheesa było dla Dunphy’ego powodem do dumy, a zabicie Barrona – powodem do wstydu.

(Timothy Barron od urodzenia mieszkał w Muskegee Falls. Z tego, co wiedziała Jenna, był wyjątkowym człowiekiem. Gus ciepło się o nim wyrażał. Jenna oczywiście nigdy go nie poznała. Myślała, że podczas pobytu w Muskegee Falls, w hotelu, podczas procesu zostanie zaproszona do Barronów i może się z nimi zaprzyjaźni, ale nie wyrazili specjalnego zainteresowania spotkaniem z wdową po Gusie Voorheesie. Przedstawiono ich jej w biurze prokuratora – żonę, dorosłe córki, dorosłego syna, brata zmarłego – ale ku zdziwieniu Jenny byli formalnie uprzejmi, bynajmniej nie serdeczni. Zdała sobie wtedy sprawę, że oczywiście winili Gusa za śmierć Timothy’ego Barrona – gdyby nie Gus, Timothy Barron wciąż by żył).

Każdego wieczoru po rozprawie Jenna dzwoniła do dzieci. To był najmilszy punkt jej dnia – choć wcale niełatwa godzina; robiła się po niej roztrzę-

siona.

Zawsze najpierw rozmawiała z Melissą. Najmłodsze dziecko najbardziej potrzebowało matki i najbardziej za nią tęskniło.

Melissa nigdy nie pytała o proces, ponieważ doskonale wyczuwała życzenia matki, nawet przez telefon, za to Darren i Naomi chcieli wiedzieć, jak toczą się przesłuchania, a Jenna potrafiła im tylko powiedzieć: „Chyba dobrze. Każdy dzień jest wyczerpujący”.

Darren kilka razy wspominał, że chce przyjechać na proces, ale Jenna kategorycznie odmówiła.

– Powinienem tam być, jeśli coś pójdzie nie tak. Jeśli uznają gnoja za niewinnego.

Jenna wzdrygnęła się, gdy usłyszała wyzwisko tak nonszalancko padające z ust syna. Nie było w stylu Gusa przeklinać od niechcenia, robił to tylko, gdy był naprawdę zły. Tyle że Darren coraz częściej był zły. Czy raczej rzadko nie bywał zły.

– Proszę, nie myśl w ten sposób, Darren. Zapewniono mnie, że proces zakończy się tak, jak powinien. Zresztą nic nie możemy teraz zrobić, tylko czekać i mieć nadzieję.

– Jasne. To ta druga strona się modli.

Darren podał słuchawkę Naomi, która rozmawiała z matką cichym, ledwie słyszalnym głosem. Jennie wydawało się wręcz, że jej kiedyś wygadana córka ma od niedawna jakieś upośledzenie mowy.

Po kilku frustrujących minutach rozmowy z Naomi Jenna nabrała ochoty, by na nią wrzasnąć. „Przestań! Niech cię szlag! Nie rób tego. Wszyscy próbujemy nie oszaleć, ani mi się waż wyłamywać”.

– Naomi? Co mówiłaś? Bardzo kiepsko cię słyszę, słabe to połączenie.

– No. Ta.

– Co „ta”?

– Połączenie. – Naomi urwała, a potem zaskakująco wyraźnie powiedziała słowo, którego Jenna nigdy nie słyszała z jej ust: – G ó w n i a n e połączenie.

To było coś nowego w Naomi. Jenna będzie musiała się przyzwyczaić.

Dzieci miały szesnaście i trzynaście lat. Właściwie już nie dzieci. Dzieciństwo dobiegło końca.

Rozmawiała z Naomi jeszcze kilka minut, resztką cierpliwości. Córka odpowiadała zduszonym głosem, jakby dusiła śmiech albo kaszel.

Jenna nasłuchiwała uważnie. Darren pewnie był obok siostry i we dwoje śmiali się z matki.

Dlatego, że ich kochała? Dlatego, że stracili tę wyjątkową więź, która była możliwa tylko wtedy, gdy żył ojciec? Dlatego, że teraz już nie mogli od siebie uciec?

Pod koniec przesłuchań świadków oskarżenia, w tygodniu, który miał kończyć proces, Jenna z przerażeniem zdała sobie sprawę, że to Gus jest sądzony. Nie Luther Dunphy.

Ten zdumiewający fakt przyswajała powoli. Niechętnie.

Kolejni świadkowie oskarżenia ze szczegółami opisywali morderstwa, wciąż i wciąż od nowa, ale przyczyna tych śmierci – temat bardzo ostrożnie podejmowany przez oskarżyciela – zawsze była gwałtownie kwestionowana przez obrońcę, który konsekwentnie (co słyszeli przysięgli) powtarzał, że Luther Dunphy zrobił to, co musiał, by bronić bezbronnych.

Świadkowie widzieli, jak Luther Dunphy zbliża się do doktora Voorheesa i ochotnika Barrona, wyjmuje spod kurtki dwulufową strzelbę i zaczyna strzelać bez ostrzeżenia. Raz po raz opisywali tę scenę, aż Jennę paraliżowało i wstrzymywała oddech, dopóki świadek nie wrócił na miejsce.

Świadkowie wiele razy widzieli Luthera Dunphy’ego na czuwaniach modlitewnych, niektórzy znali jego nazwisko, inni nie, ale wszyscy zidentyfikowali go na sali sądowej.

Większość z nich to byli protestujący przed kliniką. Musieli jednak zeznawać przeciwko Lutherowi Dunphy’emu, bo przysięgali mówić prawdę i gdyby tego nie zrobili, zostaliby oskarżeni o obrazę sądu.

– Czy widzi pan na tej sali mężczyznę, który strzelał? Czy może go pan wskazać?

– Tak. Siedzi tam.

Świadek może i zeznawał z żalem. Może ze smutkiem. Ale nie mógł zaprzeczyć, że rozpoznaje oskarżonego.

Tak wskazany Luther Dunphy kulił z zażenowaniem ramiona. Jego mięsista twarz czerwieniała. Nie podnosił wzroku, wbijał go w stół przed sobą. Wielkie dłonie zaciskał w pięści na kolanach. Należał do ludzi, którzy spędzali życie niezauważani przez innych. Pewnie już od dzieciństwa nie chciał być wskazywany palcem.

Wśród świadków znajdowali się pracownicy medyczni kliniki, którzy w momencie strzelaniny właśnie przyjeżdżali do pracy, a potem uciekali, kryjąc się za śmietnikiem, by ich nie zastrzelono. Zeznawali funkcjonariusze policji hrabstwa Broome, którzy tamtego ranka ochraniali klinikę i których nagły wystrzał zupełnie zaskoczył. Byli też sanitariusze, którzy przyjechali na miejsce zbrodni zbyt późno, by pomóc którejkolwiek z ofiar.

Zeznawał też patolog, który zdejmował przy Jennie prześcieradło ze zmasakrowanych twarzy i ciała Gusa Voorheesa.

– Czy pana zdaniem śmierć obu mężczyzn nastąpiła natychmiast?

– Tak. Z pewnością.

Nie chciała słuchać, a jednak słuchała. Nie chciała oglądać zdjęć zastrzelonych mężczyzn wyświetlanych na ekranie, ale patrzyła. Uznała, że powinna, dla Gusa. Jego potworne cierpienie powinno być widoczne, nawet z oddali. Jego potworne cierpienie powinno zyskać jak najwięcej świadków.

Przysięgli słuchali i przysięgli patrzyli. Przez większość czasu mieli obojętne miny. Wyglądali jak zwykli mężczyźni (dziewięciu) i kobiety (pięć). (Dwunastu przysięgłych, dwoje rezerwowych). Wszyscy biali, wszyscy w średnim wieku lub starsi. Jenna wolałaby młodszych przysięgłych i więcej kobiet. (Z jej perspektywy idealną przysięgłą byłaby młoda czarna kobieta). Nie chciała myśleć o władzy, jaką mają ci obcy ludzie, by ukarać

winnego tak, jak na to zasłużył, by oddać ofiarom choć część sprawiedliwości.

Jenna unikała patrzenia na przysięgłych ze strachu, że zobaczy na ich twarzach coś, co ją zaniepokoi. Zdawkowo opowiadała koleżance z Michigan, z którą często rozmawiała przez telefon, że przysięgli wydają się prości.

I to nie był żart. No dobrze, to był żart. Ale nie do końca.

Ostatniego dnia przesłuchań świadków oskarżenia miejsce dla świadka zajął były katolicki ksiądz. Mimo narastającego bólu głowy Jenna słuchała z coraz większym niepokojem.

To wrogi świadek, uprzedził ją prokurator. Eksksiądz nie chciał zeznawać, choć był naocznym świadkiem strzelaniny; dostał wezwanie od prokuratora okręgowego i nie miał innego wyboru, jak tylko współpracować, pod groźbą kary za obrazę sądu.

Donald Stockard w 1996 roku opuścił swoją parafię w Lincoln w Nebrasce, a rok później przestał być księdzem. Od kilku miesięcy protestował przed kliniką dla kobiet w Muskegee Falls, ale twierdził, że nie znał Luthera Dunphy’ego z nazwiska.

– Panie Stockard, czy raczej, proszę wybaczyć, ojcze Stockard?

– Wyjaśniłem, że nie jestem już księdzem. „Panie Stockard” wystarczy.

– Dlaczego nie jest pan już księdzem, panie Stockard?

– Z powodów osobistych.

– Czy to dlatego, że parafianie w Lincoln nie byli z pana zadowoleni? Wysyłali skargi do biskupa na pana kazania? Czy to był powód?

– Istniały różne powody...

– Różne powody? Czy może pan wyjaśnić?

– Nie czułem (i nie czuję), by Kościół katolicki wystarczająco aktywnie działał przeciwko aborcji, zalegalizowanemu dzieciobójstwu, w Stanach Zjednoczonych...

Stockard mówił z wahaniem. Czuł się wyraźnie nieswojo, miał ziemistą, chyba spoconą cerę, lekko się jąkał. Jego twarz była długa i ponura, a usta

drżały z emocji.

– Zdyscyplinował pana biskup, czy tak, panie Stockard? Został pan usunięty z parafii i otrzymał zakaz rekrutowania demonstrantów antyaborcyjnych.

– Postanowiłem zrezygnować z kapłaństwa. Nie zostałem zwolniony. Podjąłem decyzję o odejściu z wahaniem i rozwagą... Jestem silnie związany z parafią w Lincoln. Jestem silnie związany z moimi przekonaniami. Nie jestem tak samotny, jak myślą niektórzy.

Jenna zobaczyła, że po raz pierwszy od początku procesu Luther Dunphy podniósł głowę i z uwagą przyjrzał się świadkowi. Siedział bardzo spokojnie, pięści trzymał teraz przed sobą na stole. Stockard z miejsca dla świadków, mrugając nerwowo, wpatrywał się w prokuratora, jakby się bał następnego pytania.

Ale prokurator poprosił go tylko, by opisał, co widział przed Kliniką dla Kobiet Hrabstwa Broome 2 listopada 1999 roku.

Stockard odparł, że tamtego ranka zauważył Luthera Dunphy'ego, ale z nim nie rozmawiał. Tuż przed atakiem Stockard stał na chodniku przed kliniką, kiedy Dunphy przeszedł pospiesznie, nie dostrzegając go.

Nie widział samego ataku, widział, jak Luther Dunphy idzie za minivanem, który skręca na podjazd, i sekundę później usłyszał ogłuszające wystrzały. Wtedy razem z innymi skulił się w panice, wycofując się, szukając w tym chaosie miejsca, w którym można się ukryć...

– Czy widział pan zabitych mężczyzn? Czy było dla pana jasne, co się wydarzyło?

– Chyba... chyba widziałem tych zabitych mężczyzn. Nie od razu było jasne, co się wydarzyło. My... byliśmy naprawdę bardzo przestraszeni. W takiej sytuacji najpierw myślisz o tym, że twoje życie jest w niebezpieczeństwie, instynktownie chcesz uciekać...

– Instynkt nie kazał panu pobiec do zabitych mężczyzn i sprawdzić, czy nie potrzebują pomocy?

– Obawiam się, że w tamtych okolicznościach niestety nie...

– A dlaczego?

– Już powiedziałem: bałem się o swoje życie.

– Ukrył się pan?

– Niektórzy z nas... próbowaliśmy się ukryć... Nikt dokładnie nie wiedział, co się wydarzyło. Panował chaos.

– Ale rozpoznał pan Luthera Dunphy’ego, mężczyznę ze strzelbą?

– Nie wydaje mi się, bym znał wtedy nazwisko Luthera. Chyba... chyba się sobie nie przedstawiliśmy. To wszystko stało się tak szybko, że nie potrafiłem logicznie myśleć... Nikt nie wiedział, czy nie ma więcej niż jednego człowieka z bronią. Albo czy ten, który strzelał, nie będzie strzelał dalej.

– Czy na miejscu zbrodni byli policjanci?

– Tak, dwóch funkcjonariuszy. Stacjonowali przy klinice. Ale oni chyba też na początku nie wiedzieli, co robić... Potem pojawiło się więcej policji i karetka.

– A gdzie przez cały ten czas był Luther Dunphy? Czy próbował uciec?

– Nie. Klęczał na podjeździe i czekał. Strzelbę położył na ziemi... Tak mi się zdaje. A może dowiedziałem się o tym później. Ale nie próbował uciekać. Wyglądał, jakby się modlił.

– Modlił się?

– Tak wyglądał. I tak mówili inni.

– Czy widział pan, że Luther Dunphy się modli, czy usłyszał pan o tym od innych?

– No... nie wiem. Mam mętlik w głowie.

– Ale widział pan zabitych mężczyzn?

– No... tak... widziałem zabitych mężczyzn... Ale ich nie rozpoznałem, nie wiedziałem, kto to jest.

– Czy podejrzewał pan, że to doktor Voorhees i jego kierowca?

– Być może. Znałem Voorheesa... Wszyscy znaliśmy Voorheesa. Kierowcę też rozpoznawaliśmy. Jeden z ochotników z kliniki... Nie znałem

jego nazwiska.

– Major Timothy Barron. Tak się nazywał.

– Tak. Teraz już to wiem.

– Panie Stockard, czy spiskował pan z Lutherem Dunphym, by zamordować Augustusa Voorheesa i Timothy’ego Barrona rankiem 2 listopada 1999 roku?

– Nie. Nie spiskowałem.

– Czy wiedział pan wcześniej o zamiarze oskarżonego, by zabić Augustusa Voorheesa i Timothy’ego Barrona rankiem 2 listopada 1999 roku?

– Nie, nie wiedziałem.

– Nie wiedział pan?

– Nie... nie.

– Czy kiedykolwiek rozmawiał pan z Lutherem Dunphym o doktorze Voorheesie? W jakikolwiek sposób?

– Być może. Ale zdawkowo.

– Czy w jakikolwiek sposób go pan zachęcał?

– Nie...

– Czy pamięta pan, o czym rozmawialiście?

– Nie bardzo...

Stockard czuł się nieswojo. Luther Dunphy siedzący za stołem obrony przestał patrzeć na świadka i gapił się na swoje zaciśnięte dłonie.

– Widziano was razem, panie Stockard. Mówiło o tym kilkoro świadków. Ale nie pamięta pan, o czym rozmawialiście?

– Ja... pamiętam, jak Luther Dunphy wspomniał, że lekarz aborter i jego ochrona czasami przyjeżdżają przed funkcjonariuszami policji, około wpół do ósmej rano, i że to jest... zaskakujące. Zapytał, czy jest tak zawsze, że Voorhees pojawia się przynajmniej dwadzieścia minut przed policją.

– I co mu pan powiedział, panie Stockard?

– Powiedziałem... chyba powiedziałem, że nie zauważyłem...

– Czy często przyjeżdżał pan tak wcześnie, skoro klinikę otwierano dopiero o ósmej rano?

– Dla klientów otwierano ją o ósmej. Otwierano ją dla kobiet chcących zabić swoje niewinne dzieci. Ale personel medyczny przyjeżdżał wcześniej. Dlatego część z nas również.

– W tym Luther Dunphy?

– Nie znałem rozkładu dnia Luthera Dunphy’ego. Miałem wrażenie, choć wówczas się nad tym nie zastanawiałem, że większość protestujących przyjeżdża o różnych porach, a czasami niektórzy wcale nie przyjeżdżali. Część pojawiała się rano, inni po południu. Czasami przestawali przyjeżdżać i nigdy nie wracali. Jeśli kogoś nie było, to i tak bym tego nie zauważył.

– Czy Luther Dunphy często opuszczał czuwania?

– On chyba jest stolarzem czy dekarzem. Ma absorbującą pracę. Może pracował na część etatu... Wtedy tego nie wiedziałem, ale po jego aresztowaniu przeczytałem w gazetach. Próbuję wyjaśnić, że nie znałem rozkładu dnia żadnego z moich kolegów demonstrantów.

– Czy często rozmawiał pan z Lutherem Dunphym, choć podobno nie znał pan jego nazwiska?

– Nie. Nie rozmawiałem z nim często.

– A dlaczego akurat przy tamtej okazji rozmawialiście?

– Chyba to on odezwał się do mnie... Miał po prostu ochotę pogadać, tak się czasem zdarza. Łączy nas wspólna troska o to, co jest dla nas ważne – o obronę bezbronnych.

– Panie Stockard, czy może pan rozwinąć to, co powiedział pan Lutherowi Dunphy’emu?

– Mogłem, w odpowiedzi na jego pytanie, wspomnieć, że czasami Voorhees sam prowadził vana, a jego ochroniarz siedział po stronie pasażera. Zazwyczaj przyjeżdżali do kliniki razem. Ale wydaje mi się, że Voorhees nie uważał, że potrzebuje ochrony. Tak słyszeliśmy.

– A dlaczego ktoś z personelu kliniki miałby potrzebować ochrony?

– Nie potrzebowali jej. To wszystko było wyolbrzymione dla reklamy: że protestujący przeciwko aborcji są agresywni i aborterów trzeba przed nami chronić.

– Ochroniarze są niepotrzebni? Policjanci również?

– Zazwyczaj tak.

– Ale nie zawsze?

– Czasami.

– Naprawdę, panie Stockard? Po tym, jak dwie osoby, które przyjechały do pracy w klinice, zostały zabite przez jednego z waszych protestujących, nie wydaje się panu, że ochrona jest potrzebna?

– Zazwyczaj nie. Rzadko...

– Czy może pan odpowiedzieć jaśniej: czy Luther Dunphy pytał pana konkretnie o porę przyjazdu doktora Voorheesa w związku z pojawianiem się funkcjonariuszy policji?

– Nie wiem, co pan ma na myśli.

– Czy Luther Dunphy pana zapytał, czy sam przekazał pan tę informację?

Stockard się zawahał. Jego pociągła, ponura twarz była mokra od potu. Mrugał nerwowo, jakby nie był w stanie patrzeć na prokuratora, nie mógł się też zmusić do spojrzenia na Luthera Dunphy’ego, siedzącego kilka metrów dalej.

– To chyba ja... to ja go zapytałem. A Luther Dunphy dobrowolnie przekazał mi tę informację.

– Ale dlaczego to panu powiedział, o ile rzeczywiście tak było?

– Dlaczego? Nie wiem dlaczego... Rozmawialiśmy o Voorheesie, klinice, aborcjach i konieczności powstrzymania legalnego dzieciobójstwa, tej potworności... Rozmawialiśmy o wielu rzeczach.

– Przed chwilą powiedział pan, że rzadko rozmawialiście.

– Z wyjątkiem tego jednego razu...

– A co powiedział Luther Dunphy po tym, jak przekazał panu informację o przyjazdach Voorheesa?

– Ja... nie pamiętam, czy mówił coś więcej.

– Nie mówił nic więcej?

– Nie mówił. Nie przypominam sobie.

– Nie powiedział: „Voorhees nie jest wtedy chroniony. Można go wtedy zabić. W ciągu tych kilku minut, kiedy jest nieosłonięty, można go zabić”. Luther Dunphy tego nie powiedział?

– Nie! Oczywiście, że nie.

– I pan tego nie powiedział?

– Oczywiście, że nie.

– Kiedy odbyła się ta rozmowa, panie Stockard?

– Kiedy? Nie... nie jestem pewien, może tydzień, dziesięć dni przed...

– Przed strzelaniną?

Stockard siedział nieruchomo i nie odezwał się, dopóki prokurator nie powtórzył pytania, a potem odparł tym swoim głosem pełnym wahania, drżącym od oburzenia i gniewu.

– T-tak. Przed strzelaniną.

Potem prokurator zapytał Stockarda, czy zauważył, że po ich rozmowie Luther Dunphy zaczął każdego ranka przyjeżdżać pod klinikę wcześniej, a Stockard nerwowo odparł, że nie wie, że nigdy nie przywiązywał szczególnej wagi do innych protestujących, bo było ich wielu, jak już próbował wyjaśnić. Przyjeżdżali pod klinikę, uczestniczyli w demonstracjach, później przez jakiś czas ich nie widywano, a potem niekiedy znowu się pojawiali. Nie znał żadnych nazwisk, tylko nieliczne imiona. Żadnych nazwisk.

– Czy zwykle były to pokojowe demonstracje?

– Tak! Nasze demonstracje to przede wszystkim modlitwa.

– Ale zdarza się, że jest ona przerywana?

– Kiedy pojawiają się nowi protestujący. Czasami nowy protestujący jest głośniejszy.

– Czy demonstranci się denerwują?

– Oczywiście. Kiedy kobiety przychodzą „usunąć” ciążę, zamordować dziecko we własnym łonie, to z pewnością jest niepokojące. Powinno być niepokojące.

– W klinice zdarzają się zatem konfrontacje? Regularnie?

– Nieregularnie...

– Ale się zdarzają?

– Tak, muszę przyznać, że tak.

– Protestującym prawo stanowe Ohio zabrania zbliżania się do młodych kobiet wchodzących do takich klinik, prawda?

– Tak, takie jest prawo stanowe.

– Czy przestrzega pan prawa stanowego, panie Stockard?

– To prawo świeckie...

– W odróżnieniu od?

– Świętego prawa.

– W takim razie są dwa prawa?

– Jest święte prawo, które się nie zmienia. I świeckie, które zmienia się po każdych wyborach – odparł z ironią Stockard.

– „Ojcze Stockard”. Czyż nie jest pan czasem wciąż nazywany ojcem?

– N-nie, rzadko.

– Czasami?

– Nie zachęcam do tego...

– Dlaczego ktoś miałby się do pana zwracać „ojcze Stockard”?

– Cóż, to pewnie byłby ktoś młodszy... Albo ktoś, kto znał mnie wiele lat temu z parafii.

– Ale nie zachęca pan do tego?

– Nie.

– A to dlaczego?

– Ponieważ nie jestem już księdzem. Zdjąłem sutannę.

– To był pana wybór, tak? Żeby zdjąć sutannę?

– „Zdjęcie sutanny” miało być ironiczne. Poprosiłem, by zwolniono mnie z posługi kapłańskiej, i po kilku latach starań otrzymałem zgodę. Ale pozostałem katolikiem i pozostanę nim całe życie.

– Nie został pan ekskomunikowany z Kościoła.

– Oczywiście, że nie. To nie wchodziło w grę.

– Czy jest pan członkiem Amerykańskiej Koalicji Aktywistów Życia?

– T-tak.

– I podpisał pan ich publiczne oświadczenie popierające „uzasadnione zabójstwo” osób wykonujących aborcje?

– Ja... być może podpisałem...

– Wierzy pan w uzasadnione zabójstwo osób wykonujących aborcje?

– To zależy od okoliczności.

– Co to znaczy „od okoliczności”?

– Zabójstwo jest usprawiedliwione w obronie drugiego życia. Człowiek może się bronić na przykład. I może bronić innych.

– Zabójstwo, morderstwo jest usprawiedliwione w okolicznościach pana własnej interpretacji?

– Wszyscy wierzymy w wyższe prawo...

– Czy jest pan członkiem tajnej organizacji Operacja Ratunek?

– Nie.

– Wie pan cokolwiek o Operacji Ratunek?

– Nie...

– Naprawdę nie?

– Czytałem trochę...

– Czy był pan świadomy, że Luther Dunphy należał do Operacji Ratunek?

– Nie.

– Panie Stockard, kara za krzywoprzysięstwo może oznaczać kilka lat więzienia. Kłamstwo pod przysięgą...

– Nie wiedziałem, że Luther Dunphy należał do Operacji Ratunek, dopóki nie przeczytałem o tym w gazecie.

– Był pan katolickim księdzem od 1974 do 1996 roku, zgadza się?

– Tak.

– Na początku swoich zeznań wspomniał pan, że opuścił Kościół dobrowolnie, a nie dlatego, że parafianie skarżyli się na promowanie przez pana ruchu pro-life, i nie dlatego, że biskup pana usunął.

– Tak...

– Czy jest prawdą, panie Stockard, że na początku i w połowie lat dziewięćdziesiątych był pan kilkakrotnie aresztowany podczas protestów antyaborcyjnych w Madison w stanie Wisconsin? W Minneapolis-Saint Paul? W Columbus, Youngstown i Cincinnati, niedawno, wiosną 1999 roku?

– Może. Pan zdaje się to wiedzieć.

– Czy nazwałby się pan walczącym antyaborcjonistą, panie Stockard?

– Walczącym? Nie.

– Nie?

– Nie jestem żołnierzem. Jestem aktywistą dla sprawy, ale moje zaangażowanie polega na działaniu bez przemocy.

– A jednak wspiera pan walkę w ruchu antyaborcyjnym?

– Tak, popieram walkę, jeśli to walka o prawdziwe przekonania.

– Nie dla siebie, ale dla innych? Walkę? Przemoc?

– Nie jest moim zadaniem osądzać innych w tej walce. To wojna przeciwko aborcji, która jest mordowaniem bezbronnych, i wojna przeciwko siłom, które wspierają i chronią aborcję, a w tej wojnie stosujemy różne strategie.

– Co pan sądzi, osobiście, o strategii Luthera Dunphy’ego?

– Luther Dunphy jest żołnierzem Boga, który zaryzykował życie za swoje przekonania. Reszta z nas daje świadectwo, nie możemy stać i cze-

kać.

– Zatem podziwia pan Luthera Dunphy’ego?

– Tak. Podziwiam Luthera Dunphy’ego.

– Uważa pan czyn Luthera Dunphy’ego: umyślne, popełnione z zimną krwią morderstwo dwóch bezbronnych osób, za godny podziwu?

– Tak jak mówiłem: nie popieram przemocy w żadnej postaci. Szczególnie gdy chodzi o Timothy’ego Barrona, który nie stwarzał bezpośredniego zagrożenia dla dziecka czy jego matki.

– Ale podziwia pan Dunphy’ego za to, że zastrzelił Voorheesa?

– Voorhees był lekarzem aborterem. Nie ma wątpliwości, że gdyby go nie powstrzymano, zabiłby tamtego dnia jakieś dzieci, tak jak przedtem, przez lata, zabił ich bezkarnie setki.

– Uważa pan, że w tych okolicznościach zabójstwo było uzasadnione?

– A pan nie? Czyż nie wszyscy tak sądzą?

– Pytam pana, panie Stockard. Tu nie chodzi o wszystkich.

– Jeśli życie dzieci jest bezpośrednio zagrożone, abortera trzeba powstrzymać.

– „Trzeba powstrzymać”. I można to zrobić, mordując?

– To nie morderstwo, tylko samoobrona.

– S a m o-obrona?

Prokurator mówił głosem ciężkim od sarkazmu i Jenna aż się wzdrygnęła. Czuła się skrępowana, widzowie na sali sądowej przycichli, jakby okazywali szacunek byłemu księdzu (tak jej się zdawało), jego jąkaniu i żarowi słów będących wołaniem prosto z serca.

– Jeśli zobaczyłby pan kogoś próbującego zabić dziecko, na przykład nożem, musiałby pan go zaatakować, by ratować dziecko, prawda? To pana moralny obowiązek próbować uratować to dziecko przed śmiercią.

– Nawet łamiąc prawo?

– To prawo świeckie. Prawo przyjęte przez stan Ohio jako konsekwencja sprawy Roe kontra Wade z 1973 roku. Ale istnieje wyższe prawo. Zawsze

jest prawo wyższe niż to świeckie, tak jak w nazistowskich Niemczech w okresie obozów śmierci i eksperymentów na ludziach istniało wyższe prawo opierające się świeckiemu.

– Ale stan Ohio to nie nazistowskie Niemcy, panie Stockard! A klinika dla kobiet w Muskegee Falls to nie Holokaust.

– Jeśli zabija się niewinnych, to jest Holokaust. Aborcja w macicy kobiety to Holokaust.

– Panie Stockard, czy kiedy był pan księdzem w Lincoln, sugerował pan parafianom i młodym ludziom, by łamali prawo?

– Nie.

– Na pewno?

– Nie tak często, jak powinienem.

– To jest jasna odpowiedź, ojcze. Dziękuję.

– Nikomu nie sugerowałem, by łamał prawo. Tylko by podążał za swoim sumieniem. Potwierdzą to.

– Mimo to powiedział pan, że nie uczestniczył aktywnie w spisku dotyczącym morderstwa lekarza abortera.

– Bo nie uczestniczyłem.

– Dlaczego?

– Nie jestem dumny z mojej ostrożności. Z mego tchórzostwa.

Stockard cały się trząsł. Jego głos drżał tak, że był ledwie słyszalny.

Przez salę sądową jak prąd przeszła fala emocji. Jenna nie mogła nic zrobić, też ją poczuła. Były ksiądz ze swoją umęczoną twarzą zrobił duże wrażenie na wszystkich, którzy go słyszeli, nawet na starszym sędzi, którego wyraz twarzy zwykle pozostawał obojętny.

Prokurator zbyt późno zdał sobie z tego sprawę. Wyczuł sympatię przysięgłych i nagle zakończył przesłuchanie. Teraz jednak nadeszła kolej obrońcy, który zadawał pełne szacunku pytania, wykorzystywał podziw Stockarda dla Luthera Dunphy’ego i zaangażowanie w ruch pro-life, jak również pogardę dla ruchu aborcyjnego, tak że prokurator musiał kilkakrot-

nie zgłosić sprzeciw. Zrywał się na nogi jak prawnik w serialu telewizyjnym. Mówił ostro. Z nutką sarkazmu. To nie była strategia. To był błąd. Przerażona Jenna poczuła zmianę w atmosferze na sali sądowej, subtelną jak uderzenie serca.

Słowa „obrona bezbronnych” wypowiedziano tutaj tak wiele razy, że wisiały w powietrzu jak brzydki zapach. Nie dało się go zignorować i nie dało się zapomnieć.

W końcu przesłuchanie dobiegło końca. Stockarda przepytywano ponad godzinę. Ale obronił się, wygrał. W jego oczach lśniły łzy.

Teraz, kiedy wracał na swoje miejsce w sądowej ławie, ośmielił się spojrzeć na Luthera Dunphy’ego, który słuchał jego zeznań jakby z zadziwieniem i tęsknotą. Jenna zacisnęła zęby.

Ten ksiądz zaraz go weźmie za rękę. Pobłogosławi go!

Ale to się nie wydarzyło. Stockard przeszedł blisko Luthera Dunphy’ego, który zdawał się słaby, jakby wyczerpany.

Wkrótce potem rozprawa dobiegła końca.

Obrona wezwała niewielu świadków; wszyscy mieli wychwalać charakter Dunphy’ego. Niezwykle przekonujący był pastor z Kościoła, do którego należał oskarżony, twierdząc, że Luther jest najbardziej oddanym chrześcijaninem, jakiego zna, i że dobrowolnie nie zrobiłby krzywdy żadnej żyjącej istocie.

W takim razie jak to możliwe, zapytał go prokurator, że Luther Dunphy zastrzelił dwóch nieuzbrojonych mężczyzn z zimną krwią, bez ostrzeżenia, a pastor Kuhn pokornie odpowiedział, że nie wie.

Mówił, że odwiedzał Luthera Dunphy’ego w areszcie. Modlili się wspólnie, ale nie rozmawiali zbyt wiele o tym, co się wydarzyło.

– Głównie się modliliśmy, by Bóg dał nam siłę, byśmy pojęli. Czekamy, aż ta siła nas wypełni.

Przysięgli zaczęli obrady. Jenna czekała.

Czekała w Muskegee Falls Inn, w swoim pokoju na czwartym, najwyższym, piętrze.

Czekała sama. Czekała przerażona ewentualną decyzją przysięgłych.

Prokurator zapewniał ją, że nie może być werdyktu innego niż „winny". Przysięgli muszą działać zgodnie z prawem. Argument, że Luther Dunphy popełnił dwa morderstwa w samoobronie, był nie do przyjęcia.

Czwartego ranka czekania Jenna obudziła się przed świtem z nagłym pragnieniem, by zobaczyć miejsce, w którym zginął Gus.

Nie widziała jeszcze Kliniki dla Kobiet Hrabstwa Broome, która (jak jej powiedziano) była oddalona od hotelu dziesięć minut spacerem. Nie przejeżdżała nawet w pobliżu. Nie prosiła o to i nikt jej tego nie proponował.

Włożyła szybko ciemne, ciężkie ubranie, zarzuciła szal na głowę i ruszyła pustymi ulicami. Main Street, Ferry Street, Howard Avenue... Oczy zaczęły łzawić na zimnie, gdy próbowała czytać tablice z nazwami ulic. Kiedy zobaczyła klinikę na rogu Howard Avenue i Ventor, poczuła zawroty głowy – jej mąż zginął *za to*?

Klinika dla Kobiet Hrabstwa Broome była nieco większa niż Klinika dla Kobiet Hrabstwa Huron. Jednopiętrowy budynek przypominał przychodnie albo domy kultury finansowane z publicznych środków. Okna zamurowane. Na ścianach graffiti, niestarannie zamalowane. Nieco oddalony od ulicy stał na pozbawionej trawy działce, na którą wiatr nawiewał śmieci, i był częściowo zakryty śniegiem. Jenna wiedziała, że od czasu zamachów oraz gróźb i aktów wandalizmu, które wydarzyły się potem, część personelu kliniki odeszła i przychodnia ledwo działała; teraz na frontowych drzwiach widniał duży napis ZAMKNIĘTE.

Zamknięte tymczasowo czy na stałe? Jenna nie chciała wiedzieć.

Wiedziała za to, że Gus i jego ochroniarz ochotnik Timothy Barron zostali zastrzeleni na asfaltowym podjeździe obok budynku, nie na ulicy, ale bliżej parkingu na tyłach.

Odważnie ruszyła podjazdem. Potwornie się trzęsła. Z powodu zimna oczy wciąż zachodziły łzami. Chodnik przykrywały cienka warstwa lodu

i sypki śnieg, w niektórych miejscach lód pofałdował się i wybrzuszył. Trzeba było iść bardzo ostrożnie. Czy znajdzie w sobie odwagę, by spojrzeć z bliska na ten podjazd, na miejsce, w którym prawdopodobnie umarł Gus? Czy będzie miała odwagę zatrzymać się, spojrzeć w ziemię? Zebrała się w sobie, by spojrzeć...

Gus, dlaczego przyjechałeś do tego żałosnego miejsca? Nienawidzę cię, nigdy ci nie wybaczę. Och, Gus.

Pod lodem nic nie było widać. Otarła oczy, ale to nie pomogło. Wyobrażała sobie, że na chodniku będzie narysowana sylwetka człowieka, z rękami rozłożonymi jak u anioła, dużego mężczyzny, rozmiarów Gusa, ale nic nie widziała.

Wyobrażała sobie ciemne plamy na chodniku. Tyle że cały chodnik, nawet pod lodem, był ciemny. Plamy błota. Pęknięcia w asfalcie, przez które przedzierały się cienkie chwasty, teraz uschnięte. Na siatce ogrodzenia utknęły niesione przez wiatr śmieci i strzępy gazet. Gus mówił, że budynek i działka są dobrze utrzymane, ale jeśli kiedykolwiek tak było, teraz na to nie wyglądało. Niektóre budynki w okolicy wyremontowano, niektóre były opuszczone. Zauważyła w pobliżu duży skład drewna. Czy jej mąż naprawdę umarł tutaj? I ten drugi mężczyzna? W miejscu tak pozbawionym znaczenia? To się wydawało niemożliwe.

Uklękła niezgrabnie. Nie, żeby się pomodlić, ale żeby przyjrzeć się z bliska chodnikowi. Pomarszczony, popękany lód zasłaniał widok. Dłonią w rękawiczce starła śnieg – pod spodem nic się nie pokazało.

W ciężkich ubraniach zaczęła się pocić, wyobrażając sobie minivana skręcającego na podjazd i kierującego się na tył budynku. Zaparkował, od strony pasażera wysiadł Gus, od strony kierowcy Timothy Barron, a potem podbiegł do nich człowiek z dwulufową strzelbą, uniósł ją, wycelował i wystrzelił w ich głowy.

Trwało to zaledwie kilku sekund. Życie zgasło w kilka sekund.

– Boże, nie opuszczaj tych mężczyzn. Oni również cię potrzebują.

Te błagalne słowa po prostu wyszły z jej ust. Później wspominała je ze wstydem i wkrótce zapomniała, że powiedziała coś takiego.

Wróciła do hotelu. Na inny dzień odłożyła wycieczkę na Shawnee Street 81, gdzie Gus wynajmował jednopokojowe mieszkanie, skąd trzeba było zabrać jego rzeczy. Jenna nie miała pojęcia, jak je stamtąd „zabrać", i nie miała siły się nad tym zastanawiać. Na samą myśl o tym jej mózg wyłączał się i obumierał.

„Pomożemy ci, Jenno. Pozwól nam sobie pomóc". Ale nie słyszała tych słów.

W pokoju hotelowym poczuła się tak zmęczona, jakby wspięła się po bardzo wielu schodach, choć w rzeczywistości przyjechała powoli pełznącą windą, tak jak zwykle. Mózg bolał. Zdawało się jej, że tak, naprawdę widziała plamy na asfalcie pod sypkim śniegiem. Tak, już przedtem ostrzegano ją, że klinika dla kobiet jest zamknięta. (Zawsze z ostrożnym uściśleniem – c z a s o w o zamknięta). W śmierdzącym stęchlizną pokoju na czwartym, najwyższym, piętrze Muskegee Falls Inn Jenna usiadła na krawędzi dziwnie wysokiego łóżka, i patrząc w okno wychodzące na kawałek zaśnieżonej rzeki Muskegee, ale nic nie widząc, czekała na telefon od prokuratora, który miał zadzwonić koło południa tego dnia, 18 grudnia 2000 roku, i wezwać ją do Sądu Okręgowego Hrabstwa Broome w stanie Ohio, by wysłuchała decyzji przysięgłych.

Przepraszam. Nie zamierzam tłumaczyć się z tego, jak głosowałam.

Głosowałam „niewinny" z powodu uzasadnionego zabójstwa.

Nie zamierzam bronić mojego głosu ani poglądów religijnych. Kieruję się sumieniem.

Byliśmy w pokoju przysięgłych przez trzy i pół dnia i ścieraliśmy się jak zgrzytające zęby, ale mnie nikt nie zmęczył.

Trzeciego dnia mój głos drżał, ale powiedziałam przewodniczącemu i innym siedzącym przy tym końcu stołu: „To, co robią lekarze aborterzy dzieciom, wy próbujecie zrobić mnie". Spojrzeli na mnie, jakbym była szalona albo chora, albo krzyczała do nich w języku, którego udawali, że nie znają.

Byłam wtedy podekscytowana. Nie bałam się. Mówiłam, że nie jestem bezbronnym dzieckiem w macicy jakiejś kobiety. Tak łatwo mnie nie uciszycie. Nie usuniecie mnie.

Potem już mało się komunikowaliśmy. Byłam przysięgłą numer 8. Miałam sprzymierzeńca w przysięgłej numer 2, która zaczęła głosować ze mną. Edith przyszła usiąść obok mnie. Powiedziała, że modli się, by podjąć właściwą decyzję. Zabrałyśmy Biblię do pokoju przysięgłych, co jest dozwolone. Oczywiście żadnych gazet. Nic oprócz Biblii, którą mogłyśmy czytać, jeśli robiłyśmy to po cichu. Czytałam więc Biblię, moje ulubione ewangelie, Świętego Łukasza i Świętego Jana, fragmenty psalmów i Apokalipsy, kiedy toczyły się te długie dyskusje pięciu przysięgłych, które trwały wiele godzin. Ciągle prosili woźnego, by pobiegł do sędziego z jakimś pytaniem, które miało pokazać, jacy są mądrzy, szczególnie ta kobieta, która była dyrektorką liceum i próbowała przekonywać, kogo się dało. Ale ja podjęłam decyzję podczas wu-ar dir[5] *pierwszego dnia.*

Trzeba wtedy powiedzieć, czy jesteś uprzedzony, czy czytałeś coś o sprawie w gazetach albo oglądałeś w telewizji. Nie przyznałam się, kiedy mnie pytali, bo wtedy nie wybraliby mnie na przysięgłą, a to moje obywatelskie prawo. Byłam już przysięgłą w trzech procesach, ale nie w takim o dwa zabójstwa. Od razu spojrzałam na Luthera Dunphy'ego i wiedziałam, że ten człowiek jest prawdziwym chrześcijaninem, że w sercu ma tylko troskę o nienarodzonych, których się zabija. Nie miał żadnego innego motywu. To był czyn pozbawiony egoizmu, jak powiedział jego prawnik. Wierzyłam, że właśnie dlatego Bóg wezwał mnie do tego sądu, bym głosowała tak, jak On chciał.

Wiedziałam, że zagłosuję „niewinny" i nikt tego nie zmieni. I tak właśnie się stało.

Prokurator próbował oczernić tego człowieka, który spełnił swój chrześcijański obowiązek. Nie pozwolili mu zeznawać tak, jak robili to inni – świadkowie. Kazali mu siedzieć za tym małym stołem z przodu sali. Zamykał oczy i widać było, że się modli, jego usta poruszały się w cichej modlitwie. Z ułożenia ramion i spojrzenia przypominał mi mojego wuja, brata

ojca, który umarł, gdy byłam w ósmej klasie. Wuj był dobrym człowiekiem i widziałam, że Luther Dunphy również taki jest. Im bardziej prokurator starał się pokazać go jako mordercę, tym bardziej stawało się oczywiste, że jest odwrotnie. Bo w sali sądowej siedział z nami Jezus, czuliśmy Jego obecność. Pewnego ranka w ostatnim, czyli piątym tygodniu procesu, w okno wpadł jakiś ptak wielkości gołębia – nie widać było samego ptaka, tylko jego cień, i słyszeliśmy, jak uderzył o szybę – odwróciłam się wtedy do Edith i wymieniłyśmy rozgorączkowane spojrzenia – Duch Pana jest tu obecny!

Nie mogliśmy rozmawiać o sprawie w trakcie procesu, w pokoju przysięgłych. Nie wolno nam było powiedzieć słowa poza budynkiem sądu ani w nim, dopóki proces nie dobiegł końca! Do sądu przywoził nas mały bus, zatrzymywał się przy specjalnych drzwiach na tyłach budynku, strzeżonych przez ludzi szeryfa hrabstwa Broome, i tymi drzwiami potem wychodziliśmy, by wsiąść do busa, unikając protestujących przed budynkiem, którzy krzyczeli do nas, jeśli nas zauważyli. Połowa z nich chciała, żeby uwolniono Luthera Dunphy'ego. A druga, by uznać go za winnego. Nienawidzili siebie nawzajem i trzeba było ich rozdzielać. Były tam też ekipy telewizyjne blokujące ruch na ulicach.

Na sali sądowej musieliśmy słuchać tego całego gadania, gadania i gadania prawników. Każdą cholerną rzecz, którą mówił prokurator, potem powtarzał z dziesięć razy. Mówili dużo o łuskach czy pociskach ze strzelby, jak to się tam nazywa. O zidentyfikowaniu Luthera Dunphy'ego. Bardzo wielu świadków mówiło o lekarzu aborterze i tym drugim – kierowcy vana – o tym, jakim dobrym człowiekiem był doktor Voorhees, jakim altruistycznym i pomagającym kobietom i dziewczynkom, a ten drugi, który chyba stanął na linii ognia (tak mi się zdawało) – jakim był dobrym ojcem i mężem. Po jakimś czasie po prostu przestawałeś słuchać. Za to słuchałam księdza z Nebraski. Mówił z serca i wiedział, o czym mówi – o obronie bezbronnych. I pastora z Kościoła Luthera Dunphy'ego – prawdziwego człowieka Boga, to oczywiste. Prokurator robił się sarkastyczny, próbując namówić ich do zdyskredytowania Luthera Dunphy'ego, ale mu się nie udało.

Po zakończeniu rozpraw w pokoju przysięgłych było już inaczej. Prawie wszyscy chcieli mówić. Jak w wieży Babel, wszyscy odzywali się jednocześnie. Przewodniczący polecił nam mówić po kolei i powiedzieć, czy naszym zdaniem Luther Dunphy jest winny czy niewinny. Zaszokowało mnie, aż zrobiło mi się niedobrze, że dziesięciu na dwunastu przysięgłych uważało, że ten niewinny człowiek jest winny, choć działał, by chronić żyjące dzieci. Jedna przysięgła jeszcze nie podjęła decyzji (Edith), a drugą byłam ja.

A co z prawem, by chronić żyjące dziecko? Dzieci? Nikt nie chciał rozmawiać o tym prawie.

I tak po czterech i pół dnia nie mogliśmy dojść do zgody. Rozmowa robiła się nieprzyjemna i zastraszająca, ale nie zamierzałyśmy się poddać, bo Edith i ja w sercach wierzyłyśmy, że Luther Dunphy nie jest winny żadnej zbrodni przeciwko Bogu. Jakby Poncjusz Piłat mówił do Żydów: „Ten człowiek nie jest przestępcą", a Żydzi mówili: „Tak, tak! Jest przestępcą, ma zostać ukrzyżowany, bo chcemy, by go ukrzyżowano".

Jeśli próbowałam się odzywać, przerywali mi. Edith nie odzywała się w ogóle, bo wiedziała, że na nią naskoczą. Ja więc tylko powtarzałam, raz i drugi, tyle razy, ile mnie pytali, dlaczego nie uważam, by Luther Dunphy był winny prawdziwej zbrodni, i dlaczego nie zagłosuję „winny". Ponieważ chodzi o wyższe prawo – o którym mówił prawnik Luthera Dunphy'ego – prawo boskie, a nasz kraj opiera się na tej zasadzie buntu i na wyższym prawie, dlatego Luther Dunphy jest bohaterem, a nie przestępcą.

No i okazało się, że nie możemy dojść do porozumienia. W każdym głosowaniu było dziesięć do dwóch – Edith i ja nie zamierzałyśmy zmieniać zdania, nigdy. Dlatego sędzia ogłosił, że proces jest nierozstrzygnięty. Widziałam, że sędzia wie, jak głosowałyśmy ja i Edith, więc nienawidził nas do cna, tak jak inni przysięgli. Kiedy o tym mówię, jestem spokojna, ale wtedy nie byłam. Każdej nocy chorowałam z nerwów i nie spałam, ale nie mogłyśmy się poddać, ponieważ Jezus przemówił. Duch Pana przemówił.

Kiedy przysięgłych wezwano z powrotem na salę i sędzia ogłosił, że proces jest nierozstrzygnięty, Luther Dunphy przez chwilę patrzył na nas zza stołu, ale wydawał się nie słyszeć. A kiedy sędzia powtórzył swoje słowa,

w sali rozległy się okrzyki niedowierzania i szczęścia, ale również gniewu i sędzia mocno uderzał młotkiem, a woźni i policjanci podeszli do przodu, by zatrzymać ludzi tłoczących się w przejściu, a wtedy Luther Dunphy ukląkł na podłodze, dziękując Bogu, z twarzą mokrą od łez.

Potem, kiedy opuszczaliśmy budynek sądu, miałam nadzieję, że po raz ostatni zobaczę Luthera Dunphy'ego; wydawało mi się, że może podejdzie i uściśnie moją dłoń, dłoń Edith, bo ocaliłyśmy mu życie, mimo że kilku przysięgłych wyraziło chęć, by Luthera Dunphy'ego skazano na śmierć, a nie tylko na dożywotnie więzienie, ale to się oczywiście nie stało.

Jeśli miałby się odbyć drugi proces, modliłam się, by Bóg zaopiekował się Lutherem Dunphym raz jeszcze w tej godzinie próby.

Te pięć tygodni było pełnych napięcia, ale zawsze będę spoglądała na nierozstrzygnięty proces Luthera Dunphy'ego jak na ten czas w moim życiu, kiedy miało ono sens.

Przedtem i potem nie byłam już taka pewna. Ale wtedy byłam.

Proces nierozstrzygnięty. Wdowa

Proces się zakończył, przysięgłych zwolniono.

Wiwaty i okrzyki triumfu na sali sądowej wylały się w kilka sekund na kamienne schody sądu i na ulicę.

Nie „niewinny”, tylko „proces nierozstrzygnięty”.

Jednak taki wynik uważa się za (tymczasowe) zwycięstwo oskarżonego – jego obrony.

Jest tak zaskoczona, że nie od razu rejestruje, co oznacza „nierozstrzygnięty”.

Przez kilka sekund jak siedzi sparaliżowana, gapi się na sędziego, który już się odwrócił, wstał z wyrazem twarzy zdradzającym dezaprobatę i irytację, jakby sytuacja bez wyjścia ogłoszona przez ławę obraziła go osobiście, jego honor.

Później niewiele będzie pamiętała. Szybka i wywołująca mdłości przejażdżka rollercoasterem, po której człowiekowi brakuje tchu i jest niewyobrażalnie oszołomiony. *To już? Tak?* Luther Dunphy nie odwrócił się w jej stronę (jak to sobie od ponad trzech tygodni wyobrażała) i nie napotkał jej spojrzenia, bo wydawał się równie jak ona zaskoczony brakiem werdyktu.

Proces nierozstrzygnięty. Dzieci zmarłego

Wiedzieliśmy, już wcześniej, nikt nie musiał nam mówić. To znaczy Darren i Naomi. Bliźnięta złączone nienawiścią.

Ktoś zadzwonił do dziadka z wiadomością. Nie nasza matka.

Ktoś, kto razem z nią uczestniczył w procesie w Ohio.

„W Gównodziurze w OHIO" (autor: Darren).

Nie pamiętam nawet, kiedy w końcu mama do nas zadzwoniła. Czy raczej zadzwoniła jakaś jej koleżanka i dała mamę do telefonu, a mama potrafiła tylko mówić: „Przepraszam, przepraszam", płacząc i krztusząc się, aż chciało nam się rzygać. Żenada.

„Tak mi przykro, że go nie skazali. Sędzia zwolnił przysięgłych po czterech dniach. «Nierozstrzygnięty». O Boże".

Pieprzony telefon odłożony tak mocno, że pieprzona słuchawka odskoczyła i spadła na podłogę. Kopana i deptana, pieprzona słuchawka w końcu rozwaliła się na pieprzone kawałki.

„Naomi, przestań! Co ty wyrabiasz, Naomi! Przestań".

Wybiec z pokoju. Wybiec z domu. Co cię to, kurwa, obchodzi, nie jesteś nawet naszą prawdziwą babcią, wal się.

Odesłała nas. Z dala od Ann Arbor, gdzie zbyt wiele osób znało Voorheesów.

Prawdopodobnie istniało jakieś niebezpieczeństwo. Groźby wobec dzieci Gusa Voorheesa. Nigdy nam wprost nie powiedziano. Nawet Darren, który żądał, by McMahanowie powiedzieli mu, co się dzieje – wszystko, co dotyczy naszej matki i nas – nie wiedział na pewno.

Wiesz tyle, ile dorośli ci powiedzą. Właściwie wiesz tylko tyle, ile dorośli chcą, żebyś wiedział.

Zbyt wiele mówiło się w mediach o Gusie Voorheesie, aborterze zastrzelonym przez antyaborcyjnego mordercę. Zbyt wiele mówiło się o procesie zakończonym zaskakującym werdyktem: nierozstrzygnięty.

Miał być następny proces. Dunphy pozostawał w areszcie. (Tak mówiono).

Drugi proces był nieuchronny i kolejne publikacje medialne też. Więcej telewizji, więcej Toma McCarthy'ego plującego nienawiścią, więcej pierwszych stron, zdjęć. Więcej zabójcy dzieci, Armii Boga, męczennika.

Więcej problemów dla naszej matki. Więcej strachu. Jeszcze bliżej punktu krytycznego. (Nie chcieliśmy przyznać).

Jakiś dupek z liceum Ann Arbor High powiedział do Darrena:

– Gdybym był tobą, Voorhees, to wiesz co? Zmieniłbym nazwisko.

– Pierdol się, nie jesteś mną.

– Spoko, tylko mówię.

– A ja tylko mówię: pierdol się, dupku.

Darren nie mówił, co było potem. Hejterskie opowieści mojego brata kończyły się jednozdaniowymi puentami, które wypowiadał jak telewizyjny komik standupowy.

(Szesnastoletni Darren miał sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu przy skulonych ramionach jak u drapieżnego ptaka, który przysiadł na płocie. Rzadko się uśmiechał, a kiedy mu się to zdarzało, uśmiech był wyrazem ostrego jak żyletka, absolutnego cynizmu nastolatka. Długie ręce miał kiepsko umięśnione, a zwyczaj zaciskania i puszczania pięści nie zachęcał innych chłopaków, by z nim zadzierali, nawet jeśli ich obrażał).

W szkole, do której do ósmej klasy chodziła Naomi, najcenniejsza była informacja o unikaniu toalet między zajęciami. To były strefy niebezpieczne, nawet jeśli nikt nic do niej akurat nie mówił. Dziewczyny obrzucające ją ostrymi jak szpikulce do lodu spojrzeniami w lustrze nad umywal-

kami. Być może (prawdopodobnie) rozmawiały o niej przed wejściem, a może to po prostu widok „nowej” zwrócił ich nagłą i bezlitosną uwagę.

– To ona. Voorheesówna.

– O Boże, to jej ojca...

– Lekarza abortera...

– ...zabili?

Próbowała nie korzystać z toalety, jeśli mogła się powstrzymać. A jeśli już musiała skorzystać (często pilnie) – czekała nieszczęśliwa na okazję niestwarzającą zagrożenia.

– Jest żałosna. Jezu!

– Szkoda mi jej...

– No jasne, to smutne, ale czego się spodziewasz? Skoro zarabiasz na zabijaniu dzieci, to na pewno ktoś w końcu zabije ciebie.

Nie była pewna, czy naprawdę usłyszała te słowa. Może się jej przyśniły. Może sama mruknęła je do siebie.

To się zdarzało coraz częściej; widziała, jak się z niej śmieją, a nauczyciele się litują, że unika damskiej toalety i czeka, aż nie może dłużej wytrzymać tego parcia na pęcherz, strachu, że straci nad nim kontrolę, w klasie, w klasie, gdzie wszyscy to zobaczą i poczują, i nigdy, przenigdy nie zapomną, aż w końcu blada i zdesperowana musiała podnieść drżącą dłoń i nauczyciel (zwykle wyrozumiały) pozwalał jej wyjść; biegła wtedy do najbliższej toalety, przerażona i cierpiąca, próbując sobie nie wyobrażać (nie mogła sobie na to pozwolić), że nauczyciel właśnie żartuje w klasie: „Naomi zdążyła dzisiaj w samą porę! Wszyscy na to czekaliśmy”.

Matka o tym nie wiedziała. Oczywiście.

Ale nie byliśmy szczęśliwi, kiedy kazała nam zamieszkać z ojcem naszego ojca i jego żoną w Birmingham w stanie Michigan. Wystarczająco daleko (jak sądziła) od Ann Arbor, by nazwisko Voorhees nie budziło negatywnych skojarzeń.

Bo w Birmingham mieszkał niezwykle szanowany doktor Voorhees – nasz dziadek. Clement Voorhees, lekarz medycyny, Gabinety Gastroentero-

logiczne w Birmingham, budynek Birmingham Medical Arts, 114 Cranbrook Way, Birmingham, Michigan.

Dziadkowie bardzo chcieli wziąć nas do siebie. Przysięgali, że Birmingham w ogóle nie przypomina Ann Arbor, gdzie wszystko jest lewicowe, polityczne.

W Birmingham przestępczość właściwie nie istnieje. Policjanci na przedmieściach są uprzejmi i grzeczni dla mieszkańców. Białych.

Tutaj, w Birmingham w stanie Michigan, to nie mogłoby się wydarzyć, mówił dziadek Voorhees, by ktoś zastrzelił jego syna w biały dzień!

(W Birmingham nie działał odpowiednik kliniki dla kobiet, w której pracował Gus Voorhees, gdzie wykonywano by za darmo aborcje, była za to prywatna przychodnia w West Bloomfield i gabinety w budynku Birmingham Medical Arts, w których przyjmowali szanowani położnicy i ginekolodzy przeprowadzający zabiegi chirurgiczne).

Kiedyś (jak nam mówiono) oczekiwano, że Gus Voorhees dołączy do naszego dziadka, który prowadził lukratywną praktykę w Birmingham. Ojciec i syn byliby chirurgami w wysoko ocenianym szpitalu William Beaumont w Royal Oak. Jednak syn rozczarował ojca i w wyniku gorzkich konsekwencji wojny w Wietnamie zradykalizował się podczas studiów na Uniwersytecie Michigan, i zaczął aktywnie działać na rzecz zdrowia publicznego, praw kobiet i aborcji.

Matka Gusa, Madelena, która w 1967 roku rozwiodła się ze starszym doktorem Voorheesem i wyjechała prowadzić nowe życie w Nowym Jorku, zarzuciła synowi, że ten odrzuca miliony dolarów przychodu, bo rezygnuje z gastrologii na rzecz położnictwa, ginekologii i zdrowia publicznego, na co nasz ojciec podobno odparł: „No cóż, szkoda. Ale nie robię tego dla pieniędzy. To chyba jasne!”.

Niesamowite zdjęcia Gusa Voorheesa jako dwudziesto- czy dwudziestokilkulatka. Długa, szalona fryzura, czerwona opaska, dzika, kręcona broda. Zbuntowany młody człowiek demonstrujący z innymi młodymi mężczyznami i kobietami w swoim wieku, białymi i czarnymi, maszerujący po ulicach pełnych zamaskowanych i uzbrojonych policjantów.

„Och, o Boże. Gus”.

„Tak, to był Gus”.

Wiele razy oglądaliśmy te zdjęcia w rodzinnych albumach. Fascynowały nas, śmialiśmy się z afro taty, kręconej brody, dżinsów z niskim stanem.

Tak w ogóle to nie lubiliśmy, kiedy tata miał brodę. Nawet Melissa narzekała na drapiące całusy.

W trakcie uroczystości ku pamięci Gusa Voorheesa w kościele unitariańskim w Ann Arbor te zdjęcia pokazano na ekranie i wzbudziły wzruszenie i uśmiech, wywołały łzy u zgromadzonych.

Siedzące w pierwszym rzędzie dzieci zmarłego zakrywały oczy. Zakrywały łzy. Nie chciały patrzeć. Nie chciały słuchać. Zdjęcia ich młodego ojca napełniały je smutkiem, rozpaczą. Jakże by chciały znać go takim.

Im więcej miłości dla Gusa, tym okropniejsza jego śmierć.

Tak naprawdę niewiele wiedzieliśmy o skomplikowanych relacjach taty z jego ojcem. Rzadko odwiedzaliśmy starszych Voorheesów, oni zaś nieczęsto, a może nigdy, nie odwiedzali nas w wynajętych domach w Michigan, tak różnych od ich rezydencji w Birmingham. Nie widywaliśmy też rodziców naszej matki, którzy mieszkali w Evanston w Illinois. Być może stosunki między jednymi i drugimi dziadkami były chłodne. Dezaprobata, nawet sprzeciw wobec „radykalnego” stylu życia, który prowadził Gus Vooorhees i w który wciągnął również Jennę, co „zagrażało” dzieciom.

Żona dziadka Voorheesa, Adele, została naszą przyszywaną babcią i bardzo chciała być miła dla przybranych wnucząt, jakbyśmy zostali sierotami, choć nimi nie byliśmy, bo żyła nasza matka.

Prosiła, by mówić do niej „babciu Adele”. Własnych wnuków nie miała.

Babcia Adele szybko zaczęła skarżyć się matce na Darrena i Naomi: według niej byliśmy wycofani, byliśmy wrodzy, byliśmy drażliwi, nie mieliśmy dobrych manier.

Uwaga dla mamy: istnieje różnica między mieszkaniem z kimś a mieszkaniem u kogoś. Jenna sądziła, że mieszkamy z naszymi dziadkami w dużym białym ceglanym kolonialnym domu przy Gascoyne Drive 19 w Bir-

mingham w Michigan, bo tak sobie wymyśliła. Ale nawet Melissa wiedziała, że my tylko mieszkamy u nich.

Jak długo? – naturalne, że o to pytaliśmy.

Jednak gdy zadawaliśmy to pytanie mamie, unikała odpowiedzi: „Nie wiem. Zobaczymy, co się wydarzy”.

Czekaliśmy, aż zorganizuje nam nowy dom. Choć nie tak to ujmowaliśmy – nie mieliśmy odpowiedniego słowa.

Być może nie bez podstaw zastanawialiśmy się, gdzie jest dom teraz, kiedy nie ma taty. Miejsca, w których mieszkaliśmy razem, budynki, które były domami, choć wynajmowanymi i tymczasowymi, wszystkie zniknęły.

Oczywiście musieliśmy opuścić wiejski dom na Salt Hill Road w hrabstwie Huron. W tej części Michigan nie było już nic dla Jenny. Żadnej możliwości życia kilka kilometrów od kliniki St. Croix, która kiedyś stanowiła tak ważny punkt dla naszego ojca.

To nie do pojęcia, że kiedykolwiek myśleliśmy o tym budynku jak o domu.

Zabraliśmy ze sobą tylko to, co tamtego dnia zmieściliśmy do bagażnika kombi: chaotyczny zbiór różnych rzeczy i ubrań, złapanych i zaniesionych do auta, wrzuconych do środka. (W tym kilka kurtek, swetrów, bluz i krawatów taty, których matka nie miała siły zostawić, choć zostawiła wiele własnych rzeczy – „Nie chcę ich już nigdy oglądać”).

Przed wiejskim domem w hrabstwie Huron mieszkaliśmy w (wynajętym) domu w Saginaw, a przed Saginaw w (wynajętym) domu w Grand Rapids. Jeszcze wcześniej, dawno temu, kiedy Darren był małym chłopcem, Naomi dopiero się urodziła, a Melissa jeszcze się nie urodziła po drugiej stronie kuli ziemskiej, mieszkaliśmy w Ann Arbor, jedynym mieście, które rodzice uważali za swój dom – choć dla nas Ann Arbor nigdy domem nie było. Tutaj rodzice mieli przyjaciół. Podobnie jak McMahanowie wielu z nich chciało dla nas otworzyć swoje domy na tak długo, jak zechcemy.

Oczywiście Jenna nie mogła wiecznie korzystać z tej gościnności. Wkrótce miała podjąć jakąś decyzję, wynająć coś, założyć dom.

„Kiedy sprawy się uspokoją”. „Kiedy to szaleństwo zelżeje”. „Kiedy zdecyduję, gdzie będę pracować”. „Kiedy skończy się proces”.

Mama mówiła do nas z uśmiechem, ale ten uśmiech był wymuszony i nieprzekonujący. Wydawało się nam prawdopodobne, że niedługo zacznie pracę w Ann Arbor, ale odkładała decyzję. Obejrzeliśmy kilka domów do wynajęcia, by wyprowadzić się od McMahanów, ale żaden nie był odpowiedni. Kiedyś Jenna Matheson potrafiła szybko i pewnie dokonywać wyborów, teraz zaś sprawiały jej kłopot – im więcej opcji, tym większy kłopot – odkładała na wiele dni najprostsze nawet decyzje: czy przyjąć kolejne zaproszenie, by odebrać nagrodę w imieniu Gusa Voorheesa, czy też zduszonym szeptem odpowiedzieć: „Nie, już dosyć!”.

Pewnego razu Naomi odebrała telefon od babci Matheson z Evanston w Illinois, która chciała rozmawiać z Jenną. Gdy dowiedziała się, że Jenny nie ma w domu, babcia Matheson zaczęła się żalić Naomi, że jej córka nigdy nie oddzwania do niej ani do swojego ojca, nie odpowiedziała na ich liczne zaproszenia ani na propozycję zamieszkania u nich, nie zrealizowała nawet czeków, które jej wysłali...

„Dlaczego twoja matka nie chce z nami rozmawiać? Jest taka zajęta czy nie chce naszej pomocy? Co my jej zrobiliśmy?”

Zaskoczona i zażenowana Naomi obiecała babce, że przekaże Jennie, by oddzwoniła tego samego wieczoru.

(„O Boże, czy moja matka was męczy? Nie odbierajcie telefonu, nawet nie sprawdzajcie numeru. Po prostu nie odbierajcie. Odsłucham wiadomości, kiedy będzie ich więcej. Obiecuję”).

Choć Darren i Naomi zaczęli nienawidzić Ann Arbor, wcale nie chcieli przeprowadzać się do Birmingham. A przede wszystkim nie mieli ochoty chodzić do szkół w Birmingham – kolejnych nowych szkół! Niemal każdy rok życia to nowe szkoły. Matka zniszczyła naszą rodzinę, gdy odmówiła przeprowadzki z ojcem do Ohio, ale w końcu i tak się przeprowadziliśmy – do McMahanów w Ann Arbor.

„Ty i tata dbaliście o prawa kobiet, zasiłki dla dzieci, prawo do aborcji – a co z prawami waszych własnych dzieci? Mamy jakiekolwiek?”

Zadawaliśmy to pytanie więcej niż raz. To był oryginalny pomysł Darrena, którym uderzał w Jennę od czasu do czasu jak nożem sprężynowym.

Nigdy nie śmieliśmy zadać tego pytania tacie, nie do końca.

Mama na to niegrzeczne pytanie odpowiadała tylko nerwowym śmiechem. Taką – zakładaliśmy – przyjęła strategię: udawać, że jej kochane mądre dzieci, Darren i Naomi, próbują być zabawne.

Później, kiedy zabito tatę, a Darren czytał w sieci materiały o zabójstwie, choć mu zabraniano, z krzywym uśmiechem powiedział: „Przez te wszystkie lata byliśmy «stratami ubocznymi». I nie wiedzieliśmy o tym”.

„Chcemy tylko, żebyście wy, dzieci, miały jak najnormalniejsze życie. Zrobimy, co w naszej mocy. Kochamy was!”

Dziadek Voorhees przywitał nas w swoim wielkim starym białym kolonialnym domu z dwupiętrowym holem i lśniącym żyrandolem, przez który w chorym mózgu Darrena zrodziła się szalona myśl – idealny, by zawisnąć na nim jak małpa.

Babcia Adele przytulała nas i całowała. Melissa chyba odpowiedziała uściskiem, sztywno.

Tak, nasz dziadek powiedział „jak najnormalniejsze”. Dziadek Clem (miał nadzieję, że tak będziemy go nazywać) nie powiedział „normalne”. Nie był naiwny.

„Babcia Adele” to taki niemądry pomysł! Tyko dlatego, że nasz dziadek ożenił się z tą przesadnie upudrowaną, „szykowną” starszą panią o jaskrawo umalowanych ustach, oczach pełnych nadziei i włosach czerwonych od płukanki, i tylko dlatego, że była (musieliśmy to przyznać) bardzo, bardzo urocza, bardzo miła, bardzo cierpliwa, bardzo dobra, bardzo wyrozumiała dla nas, przybranych wnuków, ktoś miałby oczekiwać, że my będziemy mili dla niej?

No cóż, oczywiście Melissa była miła dla obojga dziadków.

Być może dlatego, że została adoptowana, a nie płynęła w niej krew Voorheesów, Melissa nie nienawidziła z taką siłą jak my, czy raczej Melissa

zdawała się w ogóle nie wiedzieć, co to nienawiść. Kilka dni po przeprowadzce do domu Voorheesów Melissa już przytulała się do babci Adele, oglądając *101 dalmatyńczyków* na wielkim telewizorze w okazałej bawialni z orzechową boazerią, podczas gdy Darren i Naomi ukrywali się w swoich pokojach na górze.

(W końcu Naomi poszła cicho zapukać do drzwi Darrena. Po prostu nie mogła przebywać z dala od brata, choć jego odpowiedź: „Czego? Co chcesz, do kurwy?" nie była zachęcająca).

Zaszokowało nas, że dziadka Clema, zawsze silnego, gotowego sprzeczać się ze swoim synem, jowialnego, szlachetnego, sprawnego jak na swój wiek, tak bardzo dotknęła śmierć naszego ojca. Dziadek był niższy, niż go zapamiętaliśmy – niższy od Darrena. Drżały mu powieki, trzęsła się lewa ręka, co próbował ukryć, łapiąc ją drugą dłonią. Kiedy dostrzegł, że zauważyliśmy, powiedział, że to nic groźnego – i żeby nie mylić drżenia z objawami parkinsona. Mniej pracował i nie przeprowadzał już operacji. Nie zamierzał jednak przejść na emeryturę, czego pragnęła jego żona; nie zniósłby – jak mówił – siedzenia w wiosce emerytów gdzieś na Florydzie.

Śledził przebieg procesu z daleka. Ale śledził go fanatycznie. Kiedy myśleli, że nie słyszymy, babcia Adele karciła dziadka: „Nic nie możesz na to poradzić, Clem! Twój syn nie żyje. Ale twoje wnuki są tutaj, możesz je kochać".

Te słowa uderzały w nas jak wyrzut sumienia. Musieliśmy się zaśmiać, słysząc je. Myśleliśmy: *Gdyby nas znali, nikt by nas nie kochał*. Mówię o Darrenie i Naomi. Nasza urocza adoptowana chińska siostrzyczka, którą wszyscy uwielbiali, nie była jedną z nas.

Przez większość czasu Darren i Naomi ukrywali się na górze, w swoich pokojach, pogrążeni w dzikich fantazjach o zemście, jak inne nastolatki pogrążają się w dzikich fantazjach o sobie nawzajem.

Darren ujawnił namiętność do rysowania nieporadnych, ale zjadliwie zabawnych komiksów na wzór R. Crumba i *Zap Comix*. Naomi na przemian fantazjowała o podpalaniu domów i ponownie odnalezionym zainteresowa-

niu matematyką, w której – mimo przeszkód tego żałosnego życia – mogła celować.

Wymyślne spiski, jak otruć psa Dunphych. Wiedzieliśmy, że mają psa, bo na zdjęciach Dunphych była rodzina z psem. Darren wiedział (myślał, że wie), jak w Detroit można zdobyć broń (pojechać Woodward Avenue autobusem na południe do niebezpiecznej, wyludnionej, niemal całkiem czarnej dzielnicy, z trzystu dolarami schowanymi pod koszulą). Tą bronią zamierzał potem strzelać w okna domu Luthera Dunphy'ego gdzieś w Ohio, nie mieliśmy pojęcia gdzie.

Naomi powiedziała:

– Moglibyśmy tutaj coś podpalić. Jakieś durne chrześcijańskie kościoły.

Darren powiedział:

– To taki debilny pomysł, że udam, że go nigdy nie słyszałem. Zemstę mamy oszczędzać na wroga.

– No dobra, ale gdzie jest ten wróg?

– W Gównodziurze w Ohio. Znajdziemy go.

Tylko dla was

Wspominanie tego boli. Nie jest łatwo.

Wiedzieliśmy, że matka źle się czuje i nie powinniśmy jej zbyt surowo oceniać. Ale (może) nie mieliśmy blisko siebie nikogo innego, kogo dało się zranić.

„Och, wasza matka jest tak niezwykłą kobietą! Przez ostatni rok była taka silna, taka odważna...”

Gówno prawda, wiedzieliśmy, ale nie odważyliśmy się powiedzieć. Okazanie jakichkolwiek emocji oznaczało zaproszenie do ściskania i wypłakiwania się.

Po śmierci męża Jenna Matheson pracowała jako skromnie opłacana doradczyni klinik dla kobiet w Michigan i na Środkowym Zachodzie. Oprócz tego udzielała porad prawnych kobietom, była pełnomocnikiem procesowym, pisała pozwy. Z kilkoma innymi przedstawicielami ruchu pro-choice zwróciła się do legislatury stanu Michigan z prośbą o zwiększenie budżetu na opiekę zdrowotną kobiet. Gubernator Michigan mianował ją członkinią stanowej rady do spraw kobiet, która spotykała się co miesiąc w Lansing. Jenna była jednym z kilkorga adwokatów reprezentujących koalicję klinik aborcyjnych pozywających pro-life’owe strony internetowe, na przykład Armii Boga, która wciąż publikowała listę *Poszukiwani: mordercy dzieci*, mimo zamordowania kilku lekarzy wykonujących aborcje. (Pozew został odrzucony, kiedy sędzia federalny orzekł, że takie publikacje internetowe, choć odrażające, są chronione pierwszą poprawką w ramach wolności słowa). Koledzy z ruchu pro-choice zaczęli zbierać datki, by założyć Fundację Augustusa Voorheesa, ta zaś miała ufundować pierwszą Profesurę Gościnną im. Augustusa Voorheesa na Wydziale Kobiecego Zdrowia Publicz-

nego Uniwersytetu Michigan. Jenna angażowała się w zdobywanie funduszy na rozwój fundacji i ustanawianie profesur na innych uniwersytetach. Wygłaszała przemówienia, pisała artykuły i odezwy, uczestniczyła w konferencjach, występowała w panelach dyskusyjnych, zagorzale debatując o „ciężkim bucie establishmentu, który przyciska nam karki do ziemi”.

Niczym muchomory wyrastające nocą z wilgotnej gąbczastej gleby, w podziemnym świecie zawodowej kariery Jenny pojawiła się skomplikowana podkariera, która obejmowała przyjmowanie pośmiertnych nagród i wyróżnień dla doktora Gusa Voorheesa, rzadko pieniężnych, choć oczywiście wdowie opłacano podróż i zakwaterowanie. Wszędzie, dokąd pojechała, okazywano jej szacunek i przyjmowano ją serdecznie. Najjaśniejszym momentem kilku minionych miesięcy (wiedziała, że Gus by się cieszył) było przyjęcie pośmiertnego tytułu Humanisty Roku od Amerykańskiego Stowarzyszenia Humanistów. Konieczne było wygłoszenie przemówienia, które Jenna zgrabnie złożyła z niezliczonych mów Gusa. W wolnym czasie niezmordowanie pracowała nad artykułami i recenzjami dla gazet: „Women’s Law Forum”, „Berkeley Journal of Gender Law and Justice”, „Women’s Review of Books”, „Nation”, „New Republic”, „Harper’s”, „Mother Jones”.

Nie było jasne, gdzie mieszka. A raczej gdzie przebywa. W okolicy Ann Arbor albo gdzieś niedaleko. Nie miała stałego adresu ani nawet skrzynki pocztowej. Ciągle była w ruchu, jak nieustający gość żyła na walizkach, w kombi, z plecakiem. Czasami odwiedzała nas w Birmingham, gdzie teściowie mieli zawsze przygotowany na przyjęcie Jenny pięknie umeblowany pokój gościnny. „Jenno, musisz wiedzieć, że jesteś tu zawsze, zawsze mile widziana”. Dziwnie nam się żyło w domu, w którym matka była rzadkim gościem, ale zakładaliśmy, że nie chce z nami zostawać dłużej niż kilka dni ze strachu, że utknie i nie będzie potrafiła wyjechać.

Matka bała się również, że ojciec i macocha Gusa będą się nad nią użalać. Nauczyła się bać łez innych jak choroby, która może ją zniszczyć, tak jak niszczy się droga skóra nieostrożnie spryskana słoną wodą.

Po nierozstrzygniętym procesie większość czasu spędzała w podróży, między zleceniami nie tylko w Michigan, ale również w innych miejscach na Środkowym Zachodzie albo Północnym Wschodzie, na Zachodnim Wybrzeżu, a nawet w Teksasie (Austin), więc nie miało sensu latanie z powrotem do domu, do Michigan. „Dobrze mi tu. Zakwaterowali mnie w college'u jako gościa". Albo: „Mają tutaj domek gościnny, są cudowni, powiedzieli, że mogę zostać tak długo, jak zechcę, i to doskonałe miejsce, żebym skończyła ten tekst dla «Harper's»". Albo: „To tylko na kwartał. Dziesięć tygodni! Muszę mieszkać w kobiecym akademiku z widokiem na Pacyfik, jeść posiłki ze studentami i dać kilka wykładów, posędziować w konkursie na esej *Nowe granice feminizmu*, wygłosić publiczny odczyt... Nie do końca mi płacą, ale jest «rekompensata»".

Dla nas wciąż nie było domu. Ale matka – chciała, żebyśmy to wiedzieli – wcale nie przestała go szukać.

W tym czasie przeniosła trochę rzeczy do domu teściów. Naciskali, więc się poddała. Jej książki, książki Gusa (setki książek) umieścili w różnych pomieszczeniach, nawet w piwnicy, mniej lub bardziej przypadkowo; Jenna zamierzała po znalezieniu stałego domu dla nas uporządkować je, tak jak zawsze planował ojciec. W przeznaczonym dla niej pokoju gościnnym matka zapełniła większą część wyłożonej cedrem garderoby ubraniami ojca – zniszczona stara marynarka z wielbłądziej wełny, tweedowa marynarka z wytartymi skórzanymi łatami na łokciach, sweter z szetlandu ze smutnymi dziurami od moli, krawaty, których tata nigdy nie nosił, jeśli absolutnie nie musiał. Nowy elegancki grafitowy wełniany garnitur z kamizelką, w którym – żartowaliśmy – wyglądał jak bankier, a nie nasz ojciec. Brudne adidasy do biegania, półbuty, sandały. Nawet skarpetki, w parach. Równo poukładane w szafie razem z rzadziej noszonymi ubraniami matki na wieszakach. Jeśli czuliśmy się samotni, zawsze mogliśmy wejść do tej garderoby.

– Proszę, zamknijcie drzwi! To rozmowa tylko między nami.

Dziadek Clem i babcia Adele byli na dole. Chyba mieli gości – słyszeliśmy jakieś głosy. Matka siedziała w swoim pokoju w domu na Gascoyne

Drive w Birmingham – tego popołudnia przyjechała z Chicago, zaledwie na jedną noc, i rano wyjeżdżała na jakąś konferencję do Seattle. Była bardzo zajętą kobietą. Brakowało jej tchu! Zrobiła coś dziwnego i drastycznego z włosami, które od listopada 1999 roku zaczęły siwieć i bardzo się przerzedziły – ostrzygła je na krótko, sczesała mocno z chudej twarzy, przez co wyglądała (zdaniem Naomi) jak oskalpowany ptak z dużymi mrugającymi pustymi oczami.

Bardzo straciła na wadze. Piersi, biodra. Przestała wyglądać jak kobieta. A przestawszy wyglądać jak kobieta, sprytnie przestała być matczyna.

Widząc mamę po kilku tygodniach, gapiliśmy się na nią, jakbyśmy próbowali ją rozpoznać. Potem Melissa zawołała: „Mamuusiu!” i pobiegła, by dać się wziąć na ręce i przytulić. Naomi, marszcząc czoło, trzymała się z tyłu, a Darren, jeszcze bardziej marszcząc czoło, stał jeszcze dalej.

Kim ty, kurwa, jesteś. To twoja wina, że tata nie żyje, zostawiłaś go całkiem samego, a nam kazałaś siedzieć tutaj. Nie kochamy cię.

Tamtego wieczoru w pokoju gościnnym poklepała miejsce na łóżku obok siebie, zachęcając, byśmy usiedli. Zobaczyliśmy na jej chudym nadgarstku luźno zwisający męski zegarek z czarnym paskiem – zegarek taty.

– Tylko między nami. Tylko dla was. Nie powiemy dziadkom. To nasza tajemnica.

Miała ze sobą mały dyktafon. Kiepsko radziła sobie z techniką, ale udało jej się go włączyć.

Och, nie słyszeliśmy tego od pierwszego razu. Zdążyliśmy zapomnieć.

„Halo? Jest tam kto?”

(Cisza)

„Jenna? Skarbie? Możesz odebrać?”

(Cisza)

„Jest tam kto?”

(Cisza)

„No dobra, spróbuję potem. Może uda mi się wieczorem.

Przepraszam za... No wiesz.

Chyba rozprasza mnie to... co się tutaj dzieje”.

(Cisza)

„Jeśli mam zmęczony głos... Jestem zmęczony”.

(Cisza)

„Mam nowy pomysł, Jenno. Na przyszły rok. Albo raczej na następne lato. Kiedy dzieci skończą szkołę. Sprawdziłem datę – osiemnastego czerwca”.

(Cisza)

„Okej. Szkoda, że cię nie ma.

Kocham cię”.

(Cisza)

„Kocham was wszystkich”.

(Cisza)

„Na razie”.

(Cisza)

„Halo? Coś słyszałem – jest tam kto?”

(Cisza)

„No dobra. Kocham was. Zadzwonię niedługo.

Pa”.

Już nie mogę

Obudziła się wcześnie. Bardzo cicho, ukradkiem, zostawiła nas, wyjechała do Seattle.

Przyjechał po nią samochód, zgrabny, ciemny wynajęty samochód jak torpeda, czekał o szarzejącym świcie z włączonym silnikiem, reflektory oświetlały podjazd. Naomi spanikowała, pobiegła za nią boso po schodach, bo matka wyjeżdżała bez pożegnania, tak jak przyjechała (mieliśmy wrażenie) bez przywitania.

– Mamo, czekaj! Kiedy znowu się zobaczymy?

Ale ona była już przy drzwiach, z walizką. Już miała wyjść.

– Mamo! Mamo!

Przerzedzone włosy w kolorze łupku zaczesane mocno do tyłu. Chude, napięte ciało, które cofnęło się do bezpłciowej fazy rozwoju i nie było już ciałem matki, skrywało się pod bezkształtnym ciemnym płaszczem sięgającym niemal do kostek. Jej twarz, kiedyś prawie piękna, teraz zmęczona, wymizerowana, alabastrowoblada, jak bez krwi. (Darren powiedział: „Jezu! Wygląda jak wykrwawiona” – podobało mu się to ekstrawaganckie słowo, zuchwałe i pełne złości, w stylu *Zap Comix*). Jej brwi niemal zniknęły. Rzęsy były kruche i rzadkie. Oczy nagie, surowe.

– Nie pożegnasz się z nikim? Nawet z Melissą?

Naomi mówiła podekscytowana. Nie oskarżycielskim tonem, ale głosem przestraszonego dziecka, przenikającym matczyne kości aż do szpiku niczym rad.

Potrząsała głową. Była całkiem obudzona.

– Mamo? Zaczekaj...

Jenna zawahała się w drzwiach. Chyba nie słyszała pytania Naomi, ale zwróciła na nią szeroko otwarte, wilgotne, niewidzące oczy. I uśmiechnęła się słabym, potwornym uśmiechem.

Zaszokowana Naomi zobaczyła, że to twarz lustro. Właściwie odbicie jej własnej twarzy. Twarz zmęczona, przygaszona, zagubiona. W oczach na moment pojawił się tępy, pusty, niewidzący wyraz.

– Naomi! Nie chciałam cię budzić, żeby się żegnać. Ani... innych. – Mówiła powoli. Przepraszająco.

Potem powiedziała, jakby właśnie na to wpadła, jakby przypadkowe spotkanie ze starszą córką dokładnie w chwili wyjazdu wywołało wyznanie, które w innym wypadku pozostałoby niewypowiedziane.

– Wiesz, to zabawne, kiedy słuchaliśmy wczoraj wieczorem głosu Gusa, pomyślałam, nie po raz pierwszy zresztą, ale tym razem bardziej wyraźnie, że zawsze brałam za pewnik, że tu, na ziemi, jesteśmy po to, żeby sobie pomagać (wybacz, „tu, na ziemi” to taki banał! Gus by się ze mnie śmiał). Żeby być dobrymi, uczciwymi, szczodrymi, żeby się kochać i wybaczać. Gdy kogoś spotykam, to instynktownie się do niego uśmiecham; moim obowiązkiem jest być dobrą, uczciwą, rozważną, myśleć o innych, myśleć świadomie o innych, a nie o sobie. Oczywiście. Wasz ojciec był taki sam, na swój bardziej agresywny sposób. Tam, gdzie ja się boję, Gus był odważny. Namiętnie wierzył w taki sens życia... Ale w ciągu ostatniego roku stało się dla mnie jasne, że tak naprawdę to wszystko nie ma znaczenia.

Naomi nie była pewna, czy dobrze usłyszała. To wszystko nie ma znaczenia?

Wszystko – co?

To ona, Naomi, była tą niegrzeczną, sceptyczną. Ona i jej brat Darren. Oboje sceptyczni. Wyszczekane, rozwydrzone dzieciaki, dzieciaki, które przewracały oczami w trakcie przysięgi na wierność sztandarowi. Przemądrzałe dzieciaki z wysokim ilorazem inteligencji i niską tolerancją wobec innych. Dzieciaki z pomarszczonymi jak dzikie jabłka serduszkami.

Dzieci abortera. Cóż, dostały to, na co zasłużyły, prawda?

Naomi wpatrywała się w matkę i przyszło jej do głowy: *Powinnam się teraz zaśmiać? Ta uwaga to żart?* (Choć Jenna nie wyglądała, jakby żartowała. Czy od listopada 1999 roku matka powiedziała cokolwiek choć odrobinę śmiesznego, zabawnego, ironicznego, dowcipnego?). Czy naprawdę oczekiwała, że Naomi zgodzi się z tymi zaskakującymi słowami?

Jak ktoś, kto sam wpadł na rozwiązanie matematycznego twierdzenia, które wszyscy znają, co wcale nie umniejsza osiągnięcia, Jenna mówiła dalej:

– To nie ma znaczenia, czy będziemy dla siebie dobrzy czy nie. Choć Gus był nadczłowiekiem oddanym swojej pracy, swojej „misji", choć pracował czasami dwanaście godzin dziennie, przejeżdżał tysiące kilometrów rocznie przez piętnaście lat swojego życia, dla sprawy, która... która wydawała się nam wszystkim ważna... To teraz fakt jest taki, że Gus nie żyje, Gusa tu nie ma, Gus milczy, Gus przestał istnieć i Gus nie wróci. Świat poradzi sobie bez niego – za kilkadziesiąt lat nikt nie będzie nawet pamiętał, że Gus w ogóle istniał. Albo że umarł jako męczennik. W tej chwili to jedyny istotny fakt dotyczący Gusa Voorheesa.

Naomi się zaniepokoiła. Matka nie miała w zwyczaju mówić tak długo – od dawna tego nie robiła. Naomi czuła panikę, w jej źle pozszywanych ustach wyschło. Chciała szturchnąć matkę, chciała zawołać: „Ale mamusiu! Jesteś moją mamą!". Wydawało się, że Jenna odruchowo przytuli przerażoną czternastolatkę i pocieszy ją po tych ostrych słowach (tego oczekiwała córka), ale to się nie wydarzyło. Tym samym powolnym, pełnym namysłu głosem Jenna powiedziała:

– Chyba wiedziałam o tym od jakiegoś czasu. Nie czułam się zbyt dobrze. Mówiłam, że jestem słabym człowiekiem, jestem strachliwym człowiekiem. Strach to słabość, osłabia człowieka. Strach jest jak rak, który zżera nasze kości. Już nie mogę być dla was, Naomi. Dla was i dla innych. Wszystkich innych – innych Gusa. Po prostu jestem zbyt zmęczona. Będziecie musieli poradzić sobie sami.

Naomi była zaskoczona. Jej zaszyte usta nie pozwalały zaprotestować.

– Nie mogę już być waszą mamą. Już nie mogę.

Na podjeździe w kształcie podkowy czekał elegancki czarny samochód z włączonym silnikiem. Kierowca podszedł, by wziąć walizkę Jenny i włożyć ją do bagażnika.

– Pani Voorhees? Na lotnisko w Detroit?

– Tak. Dziękuję.

Jenna odwróciła się od Naomi, zostawiając ją w zadziwieniu, wpatrującą się w matkę. Biedna Naomi, której sarkastyczny język wrednej dziewczynki stał się bezużyteczny.

Jenna odwróciła się i szła ostrożnie, jakby schody przed podjazdem pokrywał lód, ściskała barierkę jak ktoś niemal ślepy, widzący tylko natężenie światła.

Żeby upadła! Poślizgnęła się na stopniu, upadła, pokazała, ujawniła, jak bardzo jest chora, jak nie jest sobą, niczego niewinną, żeby zraniła się, potłukła i rozpłakała.

To była scena, która w żadnym filmie, w żadnym z szalonych komiksów Darrena nie mogłaby się tak urwać: matka by się złamała, pospieszyła z powrotem, szlochając, przytuliła szlochającą córkę, a nawet gdyby się nie cofnęła, nie złamała, to przynajmniej obejrzałaby się za siebie, uśmiechnęła i pomachała. „Bądź dzielna, kochanie. Bez mamy będziesz musiała być dzielna, ale dasz sobie radę”.

To jednak się nie wydarzyło. Córka stała w drzwiach boso, w piżamie, czując w ustach gorzki smak czerni, patrzyła na odjeżdżającą matkę, ledwie widząc, jak ta wsiada do czekającego samochodu, kierowca zamyka za nią drzwi i zajmuje miejsce za kierownicą, a potem spokojnie odjeżdża.

Mrówka

Jej życie będzie teraz maleńkie. To nawet nie będzie życie wdowy. Życie mrówki ostrożnie wędrującej po krawędzi talerza – uśmiechnęła się na tę myśl. *Dam radę. Resztka sił pozwoli mi to zrobić.*

Młot

18 grudnia 2000 – 4 marca 2006

Sąd Okręgowy Hrabstwa Broome.
18 grudnia 2000

Nierozstrzygnięty.

Czy to koniec? Wypuszczą go? Jest... wolny?

Bo w sali sądowej nie panowałaby przecież taka radość, gdyby go nie zwolniono? Radość wśród tych, którzy popierali Luthera Dunphy'ego, podczas kiedy inni, ci, którzy go nienawidzili, którzy byli jego wrogami, gapili się tylko w niedowierzaniu i konsternacji.

– Przysięgli są wolni. Możecie odejść. Oskarżony pozostanie w areszcie. Woźni opróżnią salę. – Sędzia mówił pogardliwym, beznamiętnym głosem. Siwowłosy mężczyzna ze zmarszczonym czołem, który spieszył się, by opuścić salę sądową tylnymi drzwiami (tylko dla niego).

On wierzył, że Luther Dunphy jest winny! Teraz to było jasne i w tym momencie Luther poczuł ukłucie radości, buntu.

Zacisnął powieki, by podziękować Panu. Zrozumiał, że proces się nie udał, przysięgli nie głosowali za skazaniem. Na sali rozległy się podniesione głosy, a wśród nich ekstatyczne okrzyki: „Lutherze! Lutherze Dunphy! Bóg cię oszczędził".

Odwrócił się wtedy, szukając twarzy żony i dzieci, którzy siedzieli za nim. Przez wiele dni procesu zdawał się o nich nie pamiętać – rzadko zerkał w ich kierunku. Ale oto Edna Mae wstała, jakby oszołomiona, z niepewnym, nieprzytomnym uśmiechem i oczami tak mokrymi od łez, że właściwie nie mogła widzieć męża. Luke i Dawn, dzieci, które ledwo poznawał, bo podczas jego nieobecności w domu bardzo urosły, również wstały, rozglądały się, uśmiechając z zakłopotaniem.

Jego prawnik bardzo się ekscytował. Potrząsał ręką Luthera, gratulując mu; miał lodowate dłonie i Luther rozumiał, jak bardzo obrońca musiał się denerwować, a teraz jeszcze nie dowierza. Chyba miał nawet ochotę go uściskać, ale Luther stał sztywno w bezpiecznej odległości.

– Jestem... wolny? Mogę iść do domu?

– Nie, Lutherze. Pozostaniesz w areszcie. Wrócisz do więzienia. Ale nie zostałeś skazany: to dobra wiadomość.

Wiedział o tym. Oczywiście, że nie mogli go zwolnić.

Zawierzył swoją duszę Panu, teraz nie mógł jej odebrać. Już nigdy nie będzie znowu zwykłym człowiekiem, mężem, ojcem, synem, i głęboko odczuwał ten brak.

– To bardzo, bardzo dobre wiadomości, Lutherze. Chwilę zajmie... zanim to do mnie dotrze.

Luther zrozumiał nagle, że nawet obrońca uważał go za winnego. Na sali sądowej grał w jakąś grę, w której konkurowali ze sobą prawnicy obu stron, oskarżenie ze zdecydowanie większym wsparciem niż obrona, a mimo to, choć z pozoru słabszy, obrońca Luthera nie przegrał. Dla niego to było zwycięstwo – że nie przegrał.

Był młody, po trzydziestce, miał wydatne dziąsła i uśmiechał się nerwowym uśmiechem psa, było w nim też coś z uległej psiej gorliwości.

– Złożę wniosek o oddalenie zarzutów, Lutherze. To następny krok.

– Ale nie mogę wrócić do domu? Nie będzie... kaucji?

– Zawnioskuję też o kaucję. Ale nie liczyłbym, że się uda, bo zarzut to jednak podwójne zabójstwo.

„Podwójne zabójstwo”. Po tych słowach Luther nie słyszał już nic innego.

Chciał zaprotestować, tak jak protestował już po wielokroć: nie zastrzelił tego drugiego mężczyzny. Od początku zaprzeczał, że zastrzelił Timothy’ego Barrona, ale uparcie go o to oskarżali. To była przykrywka dla policjantów z hrabstwa Broome, którzy przez pomyłkę zastrzelili Barrona – Luther o tym wiedział. Tylko tak dawało się to wyjaśnić. Wszyscy świadkowie

kłamali, nawet były ksiądz Stockard, którego uważał za przyjaciela. (Luther nie mógł tego pojąć, więc przestał o tym myśleć, bo mądrością w Chrystusie jest nie prowokować w sercu gniewu, skoro nie masz siły go przezwyciężyć). Nawet wielebny Dennis, który przecież występował w jego obronie, z Jezusem, zdawał się nie wierzyć, że Luther nie zabił Barrona. To wielka niesprawiedliwość, która nikogo nie obchodziła, nawet jego prawnika, który teraz w podnieceniu i bezmyślnie radował się z informacji o nierozstrzygnięciu procesu.

Przysięgli nie uznali, że Luther zabił tych dwóch mężczyzn. Czy raczej nie myśleli, że Luther Dunphy jest mordercą. To właśnie oznaczało słowo „nierozstrzygnięty" – odrzucili oskarżenie prokuratury, ale sędzia go nie uwolnił. Luther nie do końca rozumiał, że nie jest teraz wolny, choć tak naprawdę nie pragnął być wolny.

Później mu to wyjaśniono: dwóch przysięgłych było przeciwko dziesięciu pozostałym, którzy głosowali „winny". Wydało mu się to oczywistą wolą boską, objawem łaski Pana.

– Lutherze! Lutherze! – zaskoczył go ochrypły głos Edny Mae, w tym miejscu, wśród obcych.

Poczuł nagle lęk o nią. Lęk, że jego droga żona (która chorowała, której siwe włosy były w nieładzie, na której luźno wisiały bezkształtne ubrania, jakby należały do dużo potężniejszej kobiety) zostanie wystawiona na kpiące spojrzenia obcych ludzi, kiedy Luther nie będzie mógł jej chronić tak, jak mąż powinien chronić swoją żonę.

– Lutherze! Dzięki Bogu!

To było zakazane, czy powinno być zakazane, bo funkcjonariusze policji hrabstwa Broome powinni wyprowadzić oskarżonego z sali tak jak zazwyczaj, ale oto szlochająca ze szczęścia Edna Mae i policjanci odsuwający się na bok, i Luther Dunphy obejmuje płaczącą kobietę, która przywiera do niego, mamrocząc słowa takiej radości i boleści, że nie sposób ich przyswoić. Najwyraźniej Edna Mae również myślała, że jej mąż zostanie zwolniony i wróci z nimi do domu – jeśli nie od razu, to bardzo niedługo.

Biedna Edna Mae! Miała szorstkie włosy, które czuć było jakby popiołem. Jej ubrania śmierdziały niemytym kobiecym ciałem i stresem.

Potem podszedł jego ukochany syn, Luke, wyższy, niż pamiętał Luther. Chłopięca twarz o wyrazistych rysach również lśniła od łez. I córka Dawn, która nie płakała, ale śmiała się z jakimś rodzajem zwierzęcej radości, ostrej, triumfującej. Jej małe, głęboko osadzone oczy lśniły jak u rysia w nagłym blasku reflektorów.

Pozostałych dzieci, tych młodszych, Luther nie widział. Przez chwilę ledwie potrafił je sobie przypomnieć. Dziewczynka, chłopiec... Mała dziewczynka. „Idźcie i rozmnażajcie się" – podążał za tym przykazaniem.

Teraz i Luther Dunphy zaczął szlochać, niezręcznie schylając się i obejmując żonę, syna, córkę, dopóki funkcjonariusze go nie pociągnęli – „Panie Dunphy, pora iść" – i nie odprowadzili.

Na zewnątrz, w lekkim śniegu, przy tylnym wyjściu z sądu czekali na niego członkowie zboru Kościoła Świętego Pawła, bracia i siostry z Armii Boga z transparentami, zwolennicy Luthera Dunphy'ego, którym broniono wejścia na salę. Teraz oklaskiwali go, jak oklaskuje się żołnierza wracającego ze zwycięskiej bitwy – „Lutherze! Lutherze! Niech cię Bóg błogosławi!". Na ulicy stały ekipy telewizyjne, rozległy się wołania dziennikarzy: „Luther? Luther, spójrz tutaj", błyskały migawki aparatów osób, które odważyły się zbliżyć, czym narażały się na gniewną reakcję policjantów wołających, by się odsunąć.

„Lutherze! Czy zaskoczył cię pat wśród przysięgłych? Czy to znak od Jezusa, że uznają cię za niewinnego? Lutherze, możesz się uśmiechnąć?"

Był tak zaskoczony tą popularnością przypominającą wielki, lśniący strumień światła pulsującego prosto w twarz, że zatrzymał się gwałtownie, zdezorientowany, i tylko się gapił, a zniecierpliwieni funkcjonariusze siłą popchnęli go do szarej furgonetki, na której bokach czarnymi literami wypisano upokarzające słowa *Więzienie Okręgowe Hrabstwa Broome*.

Tak naprawdę to poczuł ulgę. Był wdzięczny, gdy zamknięto drzwi i furgonetka przejechała przez tłum, którego nie musiał już dłużej zauważać.

A w sądzie: rodzina, droga żona, dzieci, krewni Dunphych, z którymi nie miał czasu porozmawiać... Ulżyło mu, że i od nich może na razie uciec.

Miał skute nadgarstki. Kostki nie, dzięki uprzejmości strażników. W tym dobrze znanym miejscu odnajdował jakiś rodzaj pocieszenia, w pozbawionej okien tylnej części samochodu, w którym siedział na ławce, twardej pod pośladkami, kiedy tak jechali po spękanej i nierównej drodze.

Minęło już wiele czasu, odkąd Luther mógł się zapaść w jakieś siedzisko, na przykład w poduszkę, miękki materac, w miejscu, które choćby trochę przypominało dom. Jeśli się zastanowić, to czuł dreszcz pogardy dla miękkości swojego dawnego życia.

W takich przerwach, w drodze między sądem i więzieniem, czuł największy spokój. Mózg pracował, ale był jak niebo zasnute bladymi chmurami. Nie był szczęśliwy, ale nie był nieszczęśliwy. Ściskając prawy nadgarstek lewą ręką i lewy nadgarstek prawą ręką, wiedział, że (nie ruszając się na siedzeniu) może naprężać mięśnie ramion i rąk, wzmacniając je w ten sposób. Podobne ćwiczenia mógł wykonywać z łydkami i udami, nie ruszając się i nie zwracając niczyjej uwagi. Nawet na sali sądowej, w trakcie ciągnącego się bez końca procesu, mógł w tajemnicy ćwiczyć mięśnie.

Jeden ze strażników powiedział mu, że nierozstrzygnięty proces zdarza się rzadko, jak remis w walce bokserskiej – naprawdę niepopularny. Wyjaśnił mu też, że będzie kolejny proces. To jeszcze nie koniec. Prokurator okręgowy hrabstwa Broome postawił na szali swoją reputację i tak łatwo się nie podda.

– Jednak przewiduję, Lutherze, że następnym razem wyjdziesz z tego sądu jako wolny człowiek.

„Wolny człowiek”. Luther zastanawiał się, czy to kpina.

Strażnik odwrócił się do niego, by móc z nim rozmawiać przez szybę z pleksiglasu (drugi prowadził). Mówił szczerze i bez ogródek. Luther ze zdziwieniem i poniewczasie dowiedział się, że ten strażnik – starszy z dwójki – nie uważał go za winnego, choć nosił szaroniebieski mundur biura szeryfa hrabstwa Broome i nie okazywał mu przedtem żadnej serdeczności czy życzliwości, przynajmniej Luther sobie nie przypominał.

Dziękuję ci, Jezu. Nawet wśród naszych wrogów są przyjaciele.

Było to zadziwiające. Wiele razy na sali sądowej, gdzie czuł się jak schwytane zwierzę pośród tych, którzy chodzili wolno, gdzie chcieli i kiedy chcieli, myślał, że gdyby sięgnął po broń jednego ze strażników, gdyby udało mu się wyrwać ją z kabury, to drugi strażnik oraz zapewne inni uzbrojeni mężczyźni w sądzie zastrzeliliby go na miejscu – i byłoby po wszystkim.

– Hej, Luther... bo wiesz, zrobiłeś to, do czego reszta z nas nie ma jaj. Zabiłeś mordercę dzieci. – Strażnik urwał, zastanawiał się przez chwilę. – No. Do tego trzeba jaj.

Siedzący obok niego funkcjonariusz przez kilka minut jechał w milczeniu. Luther widział spięte ramiona i kark tego człowieka, wyczuł sprzeciw, a w końcu usłyszał z goryczą wypowiedziane słowa:

– Tyle że zabił też Tima Barrona. Co na to powiesz?

– O Jezu! Barron miał po prostu pecha. To nie było zabójstwo z premedytacją.

– Słuchaj, znałem Tima Barrona. Był weteranem z Wietnamu. Świetnym facetem. I nie powinien tak zginąć, zastrzelił go ten dupowaty skurwysyn uważający się za pieprzonego zbawiciela.

Pierwszy strażnik zamilkł speszony.

Siedzący z tyłu Luther Dunphy zamknął oczy i przestał słuchać.

Dziś ze Mną będziesz w raju

To się zaczęło dawno temu. Teraz była już dużą dziewczynką.

Zaszokowaną i zdziwioną, nierozumiejącą, jak ktokolwiek mógłby zabić dziecko.

Swoim głośnym dziewczęcym głosem mówiła jak ktoś wewnątrz wielkiej blaszanej balii, wołający z rozżaleniem, bez nadziei, że zostanie usłyszana.

Wrzeszczący głos jej dzieciństwa został storpedowany, kiedy zabrano tatę. Przynajmniej w to wierzyła.

Zabić dziecko! Oddychała nerwowo, wzdrygnęła się na samą myśl.

Ona nigdy nie mogłaby zrobić czegoś takiego.

To się zaczęło przed Daphne. Choć w pamięci łączyła ten czas z pojawieniem się Daphne, małej siostrzyczki „nie całkiem w porządku".

Matka była bardzo zdenerwowana. Matka nie chciała mówić na temat, który budził dziecięcą ciekawość, odkąd ojciec dołączył do tak zwanego czuwania modlitewnego w mieście przed budynkiem nazywanym kliniką dla kobiet. Choć ojciec niewiele mówił o celu tego czuwania i zbywał pytania, jasno dawał bliskim do zrozumienia, by nie nalegali, Dawn i tak chciała wiedzieć więcej, kiedy taty nie było; ciągnęła Mamu za rękaw i nie odpuszczała, póki nie uzyskała odpowiedzi.

„Siedzisz mi na twarzy zejdź z mojej twarzy do cholery", powiedziałby złośliwie jej brat Luke, bo już jako mała dziewczynka Dawn miała tendencję do nachylania się natarczywie blisko, zbliżania zdezorientowanej, niedowierzającej i pytającej czy oburzonej twarzy do twarzy drugiej osoby, czego (jak się potem nauczyła) nie wolno było robić, bo to obrażało ludzi

i prowokowało ich do odpychania jej. Jednak zdziwiona Dawn nie potrafiła się oprzeć, bo najważniejsze było, żeby się dowiedzieć, musiała wiedzieć. Najczęściej wypytywała Mamu, bo ona była słabsza niż inni dorośli i zawsze się poddawała pod naciskiem.

Wtedy Mamu była kochającą matką. Młodą matką, jeszcze przed trzydziestką. Po ciążach utyła jakieś dziewięć kilo, wypełniły się jej biodra, piersi, policzki. Twarz miała zwykłą i ładną, okrągłą jak talerz, a od częstego uśmiechania się powstały delikatne zmarszczki w kącikach ust – jako młoda matka, młoda żona i młoda synowa Edna Mae chciała robić dobre wrażenie na rodzicach męża; zamierzała zadowalać. Cerę miała naturalnie różową.

Ale była nieśmiałą młodą dziewczyną. Nawet jako kobieta pozostała dziewczyną. O niektórych rzeczach się nie rozmawiało, nawet z mężem, a już z pewnością nie rozmawiało się o nich z dziećmi, tak jak nie rozmawiałoby się (swobodnie) z własnymi rodzicami. I dlatego teraz głęboko zażenowana Edna Mae, nie patrząc córce w oczy, powiedziała ściszonym głosem, że kobiety nie zabijają dzieci urodzonych, ale dzieci, które jeszcze się nie urodziły.

– Ale jak to robią? – pytała Dawn, śmiejąc się z niedowierzaniem. – Gdzie jest to dziecko, skoro się nie urodziło?

Wciąż zawstydzona Edna Mae próbowała wyjaśnić córce, że dziecko przed urodzeniem znajduje się w brzuchu matki. (Czy Dawn nie widziała należącej do cioci Noreen starej grubej kotki Smoky, której brzuch niemal nieustannie pękał od kociaków? To właśnie tak). Dziecko znajduje się w brzuchu matki przez dziewięć miesięcy i przed tym terminem można je zranić, jeśli zrani się matkę lub jeśli (Edna Mae z trudem zmusiła się do wypowiedzenia tych słów) matka zrobi coś sobie, swojemu brzuchowi, dziecku w brzuchu i przez to wywoła jego śmierć.

Dawn stała nieruchomo. Dawn usłyszała te zaskakujące słowa, ale niezupełnie je zarejestrowała, jeszcze nie.

Powoli, jakby po omacku szukając drogi w ciemnym pokoju, Edna Mae dodała, że jej zdaniem te matki nie do końca rozumieją, że zostaje zabite

ich dziecko. Te kobiety (och, niektóre z nich to jeszcze dziewczynki!) wierzą, że zabijają coś, co nie jest dzieckiem, ale (Edna Mae mówiła tak niejasno) karłowatym stworzeniem jak kociak, które nie ma duszy.

To również Dawn niezupełnie rozumiała. Dlaczego ktoś chciałby zabijać kociaka?

Edna Mae zawahała się, nie wiedząc, czy powinna zdradzać, że wielu ludzi (w tym dziadek Dunphy w Mad River) pozbywa się niechcianych kociaków i szczeniąt bardzo często, bo... no cóż, nie chcą ich, postanowiła jednak nie mówić o tym i tak zdenerwowanej córce. Wkrótce sama się dowie.

Edna Mae dodała, że te kobiety – i dziewczęta – nie chcą być obciążone dziećmi, ponieważ wolą nie rezygnować ze swego samolubnego życia i (tak uważała) nie do końca rozumieją, że dziecko to żyjąca dusza od Boga, bo nikt im tego nie wyjaśnił.

Nie chciały również dziecka, bo musiały pracować, albo ze względów finansowych, albo nie były mężatkami i nie chciały wychowywać dziecka samotnie, albo nie były mężatkami i wstydziłyby się wychowywać dziecko samotnie, bez ojca...

– Moment – przerwała jej Dawn. – Jak się pojawiło dziecko, skoro nie ma ojca?

Teraz Edna Mae była już potwornie zażenowana. Odwracała wzrok od Dawn, zerkając w stronę drzwi, jakby liczyła, że ktoś wejdzie do kuchni i przerwie rozmowę.

Dawn nie wiedziała dokładnie, jak matki i ojcowie sprowadzają dzieci na świat. Z szelmowskich komentarzy brata i innych chłopców domyśliła się, że jest w tym coś zakazanego, o czym wiedzą tylko dorośli, i że nie powinna wypytywać. Ale przecież musiała zapytać, skąd się bierze dziecko, skoro nie ma ojca. To nie miało sensu!

Jednak Edna Mae oblała się rumieńcem i nie mogła mówić.

– W takim razie dlaczego Jezus ich nie powstrzyma? – naciskała Dawn.

Edna Mae znów nerwowo zerknęła w stronę drzwi. Ale nikt się w nich nie pojawił.

Niechętnie odpowiedziała:

– Cóż... Jezus niektórych z nich powstrzymuje. Te złe kobiety. Jezus je karze. Kiedy pozbywają się swoich dzieci, potem już nigdy nie odzyskują zdrowych zmysłów, nie mogą mieć dzieci wtedy, kiedy chcą mieć dzieci, i jest dziewięćdziesiąt procent bardziej prawdopodobne, że umrą na...

– Na co, Mamu? Na co umrą?

Edna Mae nie potrafiła zmusić się do wypowiedzenia na głos tych okropnych słów, więc tylko schyliła się i wyszeptała do ucha podekscytowanego dziecka coś, co dla Dawn zabrzmiało jak „nowy otwór w piersi” i „nowy otwór w macicy”.

Kilka lat później, kiedy ojca aresztowano i wszyscy w Muskegee Falls mówili tylko o tym, co zrobił Luther Dunphy na podjeździe Kliniki dla Kobiet Hrabstwa Broome w pewien zwykły poranek, Dawn znowu zapytała matkę, dlaczego Jezus pozwala, by takie rzeczy się działy, a Edna Mae odpowiedziała, że właśnie dlatego ojciec musiał zrobić to, co zrobił – by powstrzymać mordowanie niewinnych dzieci.

– Nie było nikogo innego, kto zadziałałby w imię Jezusa. Tylko twój ojciec. – Edna Mae urwała, jakby szukała słów, a potem dodała na bezdechu: – „Dziś... dziś ze Mną będziesz w raju”.

Co znaczyły te słowa? Czy Edna Mae w ogóle wiedziała? Wyskoczyły z niej jak coś, co długo tkwiło spętane w jej wnętrzu.

Nie była już tamtą młodą Mamu sprzed kilku lat, ale zmęczoną i niespokojną kobietą, której drżały powieki i dłonie. Nie mogła spać, więc doktor Hills przepisał jej tabletki (oxi-con-tin), od których przez większość czasu była śpiąca, a gdy nie była śpiąca, to podenerwowana i niespokojna. Dawn miała wrażenie, że kiedy tata zastrzelił dwóch morderców dzieci na podjeździe po drugiej stronie miasta, jakimś sposobem postrzelił też Mamu. Słyszała o takich przypadkach, że kiedy mężczyźni polowali na polach, to nabój śrutowy czasem trafiał też w innego myśliwego, choć strzelec (jak twierdził) nie celował w tamtym kierunku. Potem zawsze zaciekle się bronili – że to był przypadkowy wystrzał. A ponieważ był przypadkowy, nie

można nikogo winić. Teraz często w trakcie rozmowy, nawet w środku posiłku, który przygotowały starsze dzieci, ich rozkojarzona matka nagle przestawała mówić i jakby odpływała, aż krępujące było patrzeć, zamykały się jej powieki, a usta otwierały lekko jak rybi pyszczek.

Wtedy jednak, kiedy skutki mocnej tabletki zdawały się słabnąć, a nerwowość jeszcze się nie pojawiła, Edna Mae mówiła do swojej starszej córki z pasją. Miała jasne, czujne spojrzenie skoncentrowane na twarzy Dawn tak mocno, że dziewczynka czuła z Mamu dumę, której od dawna nie czuła. A Mamu uśmiechała się jakby zwycięsko. Dawn nie miała tak naprawdę pojęcia, co znaczą jej słowa, ale rozpoznała, że pochodzą z Biblii, słowa Jezusa na krzyżu wołającego do Ojca w niebie, albo z kazania wielebnego Dennisa; zrozumiała też, że ich znaczenie jest dobre – to radość, a nie lament.

Dziś ze Mną będziesz w raju.

Chrześcijanka

„Zaufaj Jezusowi. Jeśli będziesz mieć Jezusa w sercu, nie zrobisz nic złego. I nic złego ci się nie stanie”.

Tak jej mówiono. Odwiedzała tatę w więzieniu i tamtejszy kapelan – emerytowany pastor baptystów i dawny misjonarz w jakimś ciemnym zakątku Afryki (jak mówił z dumą) – wypowiedział te słowa, które znała, choć sama nie potrafiła ich ułożyć – nie radziła sobie ze słowami jak inni. Ale zrozumiała kapelana i wyczytała z milczącej twarzy taty, zmęczonej, ale spokojnej twarzy, twarzy, która nie była tak strapiona jak u zwykłych ludzi, że to jest łącząca ich więź, ich oraz wszystkich Dunphych, i ta więź pozostanie na zawsze.

Ale czy to była prawda? Kiedy zostawała sama i czuła smutek, nie potrafiła sobie przypomnieć pocieszających słów dorosłych. Czy mogła ufać Jezusowi?

Nikomu nie powiedziała, ale zaczęła się bać. Bo w jej sercu pojawiła się wątpliwość, czy może zaufać Jezusowi.

Było jak w telewizji, którą oglądała u koleżanki sąsiadki (bo Mamu i tata nie pozwalali, by mały odbiornik w ich domu przełączać na takie programy): ludzie na ekranie niby rozmawiali normalnie, a potem pojawiała się muzyka, straszna muzyka, której ci ludzie nie słyszeli, a która powinna ich ostrzec, że coś jest nie tak, i w ciągu kilku minut działy się różne złe rzeczy. Takie straszne, że miała ochotę zasłonić oczy, a jednak jakoś to znosiła.

Bo wystarczy się zastanowić: Jezus namawiał tatę, żeby ze swojej strzelby zabił morderców dzieci, ale teraz (na to wyglądało) Jezus porzucił

tatę w Więzieniu Okręgowym Hrabstwa Broome, gdzie mogli go odwiedzać tylko przez godzinę, raz w tygodniu, w soboty. A jeśli coś poszło nie tak i więzienie zamknięto, wtedy nie mogli zobaczyć taty – przy frontowej bramie zawracali ich strażnicy z kpiącymi uśmiechami.

Wystarczyła jedna wizyta w tym brzydkim budynku na wzgórzu ponad Mad River, który wyglądał jak stara nieczynna fabryka włókiennicza, i człowiek od razu rozumiał, że Jezus nawet nie zbliżał się do tego podłego miejsca! Byli tam tylko więźniowie, strażnicy, którzy nie mogli znaleźć innej pracy, i smutni odwiedzający wrzuceni do śmierdzącej poczekalni piekła.

„Podły” to było nowe słowo, którego Luke często używał w nowym miejscu, gdzie musieli zamieszkać. A to, co mówił Luke, Dawn zwykle łapała jak rzepy, które czepiały się ubrania, a potem znajdowało się je już wszędzie. Innym słowem było „zasrany”. Ale to brzydkie słowo.

Dzieci Dunphych wypytywały matkę, kiedy tata wróci, żeby znowu z nimi zamieszkać.

Ale nie Luke. Luke był najstarszy i nie błagał o odpowiedź Edny Mae ani nikogo innego. Luke w milczeniu słuchał tych niepewnych słów, którymi zdenerwowana matka próbowała ich uspokoić, ale wyraz głębokiego smutku i gniewu na twarzy brata sugerował, że nie wierzy on w ani jedno słowo biednej Mamu.

– Tata wkrótce wróci do domu. Odbędzie się proces, a potem tata wróci do domu. – Edna Mae zamilkła, lekko dysząc. Uśmiechnęła się, a jej załzawione oczy spojrzały z udawaną radością: – To tajemnica, ale wielebny Dennis mówi, że jeśli będzie jakiś wyrok, to gubernator może go złagodzić. Gubernator jest gorliwym katolikiem i wierzy w prawo do życia.

Więcej niż raz przez te miesiące, a w końcu przez rok od aresztowania męża Edna Mae wypowiadała z ekscytacją mniej więcej te same słowa, przywołując gubernatora stanu Ohio, a Dawn marszczyła czoło w skupieniu i pytała:

– A potem co? Tata wróci do domu?

– Tata wróci do domu.

– Ale co to znaczy „złagodzić”, Mamu?

„Złagodzić”. Dziwne słowo, którego nigdy się nie słyszało, chyba że w telewizji albo na sali sądowej. Zła-godzić.

– To znaczy to, co znaczy! Gubernator ma władzę, żeby sprowadzić tatę do domu, nawet jeśli będzie proces. Bez względu na werdykt.

Edna Mae była sfrustrowana. Temat zamknięty.

Mimo to jej słowa zawisły w powietrzu. Było w nich coś strasznego, czego dzieci nie chciały rozważać – myśl, że w tym nowym zatłoczonym miejscu, do którego się przeprowadzili, by zamieszkać z Mary Kay Mack, ciotką Edny Mae, w jednopiętrowym domu na przedmieściach Mad River Junction, nie było miejsca dla mężczyzny rozmiarów taty.

W ogóle nie było tam miejsca dla mężczyzny.

– Dlaczego oni to robią?

Z jakiegoś powodu ją to złościło, to pewnie był żart, durny chłopięcy żart, jak wtedy, gdy chłopcy w szkole poruszają językiem w policzku i wybuchają małpim śmiechem, który dziewczynki starają się ignorować.

– Co robią?

– To.

Pokazała ze złością w górę. W Mad River Junction, w okolicy, w której mieszkała ciotka, na głupim stromym wzgórzu, Dawn gapiła się na nieprzyzwoity widok – na kablach wysokiego napięcia wisiały postrzępione stare adidasy zawieszone za sznurówki i zwisające niczym oderwane stopy.

Zaraz po tym, jak przeprowadzili się tutaj, na Depot Street, liczyła je: „Raz, dwa, trzy, pieprzone stare adidasy”, „cztery, pięć”, liczyła je po raz kolejny, wyciągając szyję, patrząc w górę i krzywiąc się, a serce waliło jej ze złości jak szalone.

– No, to trochę dziwne. Głupie.

– Kto to robi?

– Kto? Skąd mam wiedzieć?

Nikt nie potrafił wyjaśnić. Dawn była sfrustrowana, bo adidasy nieustannie kazały jej odruchowo spoglądać w górę, wyglądały w dodatku na całkiem dobre adidasy, nie bardziej brudne czy zniszczone od jej własnych.

Nie lubiła Mad River Junction również z innego powodu – śmierdziało tu kreozotem z bocznicy kolejowej znajdującej się u podnóża góry, na której mieszkała ciotka. I nikt ich tu nie znał tak jak w Muskegee Falls, zanim wydarzyło się to wszystko z ojcem, więc mówiono o nich tylko: „Ci nowi, no wiesz – rodzina Luthera Dunphy'ego – musieli się tutaj przeprowadzić". Albo: „Ten świr, który zastrzelił ludzi w Muskegee Falls, wsadzili go do czubków. To jego żona i dzieci?".

Miała trzynaście lat. A potem miała czternaście lat.

Musiała przenieść się ze szkoły w Muskegee Falls do tej w Mad River, przez co straciła rok. Nienawidziła szkoły w Muskegee Falls, ale po tym, jak pan Barron został zastrzelony (jak jej wyjaśniono), w Muskegee Falls tak bardzo znielubiono Dunphych, że nie mogli już mieszkać w swoim dawnym domu, choć (tego nie wyjaśniono Dawn do końca, ale zrozumiała) Kościół Jezusowy Świętego Pawła i Armia Boga dzięki datkom pomagały rodzinie finansowo, kiedy ojciec nie mógł jej utrzymywać.

Dawn miała jednak w nowym mieście większe problemy z czytaniem ze zrozumieniem oraz pisaniem niż dawniej w Muskegee Falls. Arytmetyka nazywała się teraz matematyką i zmieniła w pędzący wir cyfr, od których Dawn dostawała mdłości.

„Najlepiej, jeśli pani córka powtórzy ósmą klasę. Dzięki temu będzie miała solidne podstawy już zawczasu".

Luke'a również zmuszono do powtarzania roku, dziesiątej klasy, ale on miał już szesnaście lat, dość, by w stanie Ohio legalnie rzucić szkołę, więc wzruszył ramionami i powiedział, że kurwa odchodzi, bo ma dosyć tej zasranej, podłej szkoły.

Dawn nie chciała rzucać szkoły – jeszcze nie. Nie chciała w tym trudnym czasie sprawiać zawodu tacie.

Tyle że miała czternaście lat i była w ósmej klasie (którą ukończyła już w Muskegee Falls), przewyższała więc wzrostem dziewczynki i równała się z wyższymi chłopcami.

Błagała tę kobietę z gabinetu dyrektora, tę w kujonowatych okularach, żeby pozwoliła jej napisać test jeszcze raz, z nadzieją, że za drugim razem przypomni sobie odpowiedzi, ale stało się inaczej, bo pytania w drugim teście były zupełnie inne i Dawn osiągnęła jeszcze gorszy wynik.

„Ósma klasa nie będzie taka zła. Zawsze będziesz trochę wyprzedzać innych uczniów, Dawn. Spójrz na to w ten sposób!”

W ciągu jednego roku bardzo urosła. Miała sto sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu. Ważyła prawie sześćdziesiąt kilogramów. Przez to nieustanne martwienie się o tatę żołądek Dawn zdawał się wiecznie pusty i domagał się wypełnienia. Była zbudowana mocno jak jałówka – dobrze umięśnione ramiona, ręce, uda, ciało, które korciło, by zginać kolana, stanąć w pozycji obronnej. Stopy miała tak duże jak Luke, stały na ziemi mocno niczym kopyta.

Luke i Dawn oglądali w telewizji walki bokserskie, kiedy w domu ciotki Mary Kay wszyscy poszli już spać. W domu ciotki Edna Mae nie miała już nad telewizorem takiej kontroli jak w Muskegee Falls. Tam, kiedy podły stary grat przestał działać, miesiącami nie oddawała go do naprawy, a zresztą i tak nie mogli oglądać nic interesującego.

Boks w telewizji leciał w kablówce późnym wieczorem, od dziesiątej do północy. Ich ulubionymi bokserami byli Roy Jones Jr., Floyd Mayweather, Arturo Gatti i Mike Tyson – który już nie był mistrzem wagi ciężkiej, ale pojawiał się w urywkach filmowych jako ironman Mike Tyson.

Oklaskiwali wygrywających bokserów. Szydzili z frajerów krwawiących na ringu.

– Potrafiłabym boksować tak samo dobrze jak niektórzy z nich – mówiła Dawn. – Dam głowę, że tak.

– Dam głowę, że nie.

– Dziewczyny też boksują. Mogłabym zostać bokserką.

– Babski boks to straszne gówno. Ludzie lubią tylko gapić się na ich skaczące cycki i dupy. Nie łudź się.

Twarz Dawn płonęła. Jej brat był taki sam jak większość chłopców, których znała, mówił okropne rzeczy, żeby ją zaszokować i uciszyć albo żeby głęboko zranić, jakby nieświadomy, że to robi. A jeśli był świadomy, miał to gdzieś.

Teraz, kiedy ojca nie było, a matka przez większość czasu chorowała albo spała, nikt nie słyszał, jak Luke mówi brzydkie, świńskie rzeczy nawet w domu, choć przedtem nigdy nie ośmieliłby się tego robić. I Dawn coraz częściej też mówiła brzydkie rzeczy, jakby jej język był za duży dla ust i nie dawał się kontrolować.

„Zasrany". „Kurwa". Te słowa przychodziły jej do głowy, co napełniało ją wstydem i niepokojem, że Jezus może usłyszeć owe okropności.

Ale Jezus rozumiał. Jezus nie osądzał.

– I tak myślę, że dałabym radę – upierała się. – Gdybym spróbowała.

– Czego spróbowała?

– Zostać bokserką.

Luke pogardliwie się zaśmiał i odparł:

– Bokser używa stóp, żeby szybko się poruszać. Bokser używa mózgu, żeby zdecydować, co robić. A ty stałabyś jak debil i obrywała w twarz, a potem padła jak długa. Nokaut. – Luke zarechotał, jakby właśnie oglądał ten spektakl w telewizji.

– Gdybym trenowała, to wiedziałabym, co robić. Uderzają prostym, widzisz? – Dawn wyrzuciła mocno do przodu lewą rękę.

Samo trzymanie tak ręki i uderzanie prostym – to już był wysiłek. Po sekundzie czy dwóch ręka robiła się ciężka.

Luke szydził:

– Myślisz, że Mamu pozwoliłaby ci pokazać się półnago w takiej koszulce i szortach? Publicznie? Albo on?

Wydawało się, że Luke mówi o ojcu, używając już tylko tego zaimka. Od czasu aresztowania, odkąd zabrali Luthera do więzienia, Luke rzadko kiedy

mówił „tata” czy „ojciec”. To był ogromny brak szacunku! I Dawn robiła się smutna, kiedy rozmowa schodziła na temat ojca.

– Tak czy owak – ciągnął Luke – to wbrew naukom Jezusa. „Nadstaw drugi policzek”.

Ktoś mógłby pomyśleć, że żartuje. Ale on nigdy nie żartował z Jezusa. Wyznał Dawn, że po aresztowaniu ojca wielebny Dennis wziął go na bok i powiedział, że pod nieobecność ojca („na jakiś czas, nie wiemy, na jak długo”) właśnie Luke ma go zastąpić, najlepiej, jak potrafi. To czas próby dla nich wszystkich, nie tylko dla Dunphych, ale również ich przyjaciół i sąsiadów oraz zboru – wszyscy musieli ją przejść. Ludzie będą mówili im i o nich okropne rzeczy, ale nie powinni się poddawać i zniżać do poziomu wrogów, którzy nienawidzili Jezusa.

– Nadstawianie drugiego policzka to najtrudniejsza próba, jaką musi przejść chrześcijanin. – W głosie Luke’a słychać było tłumione wzruszenie i gniew; nie dało się rozpoznać, co było silniejsze.

Jezus szedł obok niej. Wspinając się na wzgórze Depot Street, Dawn zdała sobie ze zdziwieniem sprawę, że On jest obok niej. Ale zachowywał się tak cicho.

Szła sama, litowała się nad sobą jak jakaś mazgająca się idiotka, aż Jezus pojawił się z jej lewej strony, bo to zawsze była lewa strona, tam gdzie obraz na krawędzi pola widzenia był nieco zamazany. Lekko trącił Dawn w lewą rękę, jak zasłona poruszana przez wiatr, i mówił swoim łagodnym głosem: *Radujcie się!*, a ona pytała dlaczego, a Jezus mówił: *Bo dziś ze Mną będziesz w raju*. W tym momencie wszelkie wątpliwości i podejrzenia rozpływały się i Dawn czuła się tak jak dawno temu, zanim odebrano im ojca i zanim odebrano im Daphne, by nigdy więcej nie zobaczyli swojej siostry.

Te słowa brzmiały jak muzyka. Te słowa słyszała w kościele w Wielki Piątek. Wtedy nie do końca je rozumiała, bo wszystko w kościele pojmowała z trudem, wszystkie publiczne wypowiedzi, które mieli usłyszeć inni, przelatywały przez jej głowę. Z jakiegoś powodu nie potrafiła się skoncen-

trować, kiedy wokół byli inni, jakby jechała samochodem – ktoś go prowadzi, ale nie ty, więc nie zwracasz uwagi na to, dokąd jedziecie.

Luke miał prawo jazdy i jeździł. Edna Mae teraz już rzadko. A Luke był dobrym kierowcą, potrafił zaparkować, wycofać samochód uważnie, małymi skrętami, jakby prowadził całe życie.

Po tym, jak rzucił szkołę, Luke zaczął pracować dla hrabstwa. Pracował w terenie, łatał i sprzątał drogi, usuwał zniszczenia po burzy, odśnieżał. Gdyby nie podatki, bardzo dobrze by zarabiał. Dawn była rozczarowana, że brat wyprowadził się z domu ciotki Mary Kay, gdy tylko było to możliwe.

Bo dziś. Ze Mną w raju.

To oznaczało, że Dawn Dunphy z jakiegoś powodu została wybrana – podobnie jak został wybrany Luther Dunphy. Wyboru dokonano i to nie była jej decyzja.

Mimo to musiała zapytać, czy ojciec wkrótce wróci do domu. A Jezus szepnął: *Twój ojciec wróci do domu, kiedy będzie dla niego dom. Módl się*.

Ojcze nasz, któryś jest w niebie.

Zaczynała się modlić, gdy tylko budziła się rankiem. Wieczorne zasypianie było jak schodzenie po schodach – każdy krok to modlitwa, aż ostatni stopień po prostu znikał.

Nie jechała do szkoły autobusem tak jak młodsza siostra Anita i młodszy brat Noah. Wolała iść piechotą – trzy kilometry w jedną stronę. Ciężkie jak kopyta stopy silnie parły naprzód. Umięśnione uda robiły się jeszcze mocniejsze, masywniejsze. Kiedy szła, modliła się. Krok prawą nogą, krok lewą nogą – z każdym krokiem modlitwa. Każda płyta chodnikowa – modlitwa. (Nie wolno jednak stawać na pęknięciach w chodniku, to anulowało wszystkie poprzednie modlitwy). Gdy zbliżała się do nowej szkoły – gimnazjum Mad River Junction – nie śmiała podnieść wzroku (i zobaczyć, kto ją obserwuje), ale musiała mocno koncentrować się na chodniku i mozaice pęknięć. Bo nawet najmniejsze pęknięcie oznaczało unicestwienie modlitwy i kpinę z Pana.

Szkolny dzwonek w korytarzach ranił jej uszy. W nim również była kpina, jeśli uważnie się wsłuchać.

Pierwszego dnia musiała iść do nowej szkoły sama. Edna Mae zawiozła młodsze dzieci do podstawówki, a ciotka Mary Kay poszła do pracy w Walmarcie – jej zmiana w magazynie zaczynała się o czwartej rano. Oczywiście Dawn Dunphy zapisano do nowej szkoły (ciotka tego dopilnowała), więc chodziło po prostu o to, by poszła tam w poniedziałkowy poranek. Ale serce Dawn trzymały jastrzębie pazury, aż zrobiło się lodowate, i gdy tylko otworzyła frontowe drzwi budynku, musiała na ślepo zawrócić i uciec. Następnego dnia dotarła nieco dalej, do drzwi klasy, do której ją przypisano, ale znowu musiała uciec, bo nie mogła złapać tchu. Trzeciego dnia udało jej się wejść do sali, wbić wzrok w podłogę, dysząc i drżąc, aż wychowawczyni, panna Schine, odezwała się łagodnie:

– Ty jesteś... Dawn? Dawn Dunphy? Witaj!

Ich oczy jak rozbite szkło. Czuła drobne płytkie rozcięcia na swojej skórze broczącej krwią.

– Mogę tu usiąść?

– Właściwie to nie. Nie możesz.

Uśmiechnęła się sztywno. Poczuła, jak krew napływa jej do twarzy, i wiedziała, że ten niepokój widać i że będą się z niej śmiać jeszcze bardziej, mimo to się uśmiechała, bo tak zrobiłby Jezus.

– Tam jest dużo wolnych miejsc. Widzisz?

– Okej. Dzięki.

Dzięki! Teraz te oczy się z niej śmiały, bo to była tchórzliwa odpowiedź. Rozpalona odwróciła się na ślepo i poszła do innego stolika, przy którym rozsiedli się chłopcy otoczeni kupą tłustych papierowych toreb, papierowych talerzy, lśniących plam wilgoci. Śmiech hieny i jęki zduszonego rozbawienia. Tutaj też oczy skierowały się na nią, ale to nie były ostre, tnące spojrzenia dziewczyn, przebiegłe i przeciągłe; te były tępe, podekscytowane.

– Hejka. Siadasz z nami, Daw-en?

Tak przeciągle wymawiała jej imię panna Schine. Daw-en Dun-phy – tak ostrożnie, uważnie i niezręcznie, że stało się przezwiskiem.

– Nie gryziemy, Daw-en.

Zaśmiali się. Jak warczące psy obnażyli zęby, by chapnąć.

Usiadła. Nie patrząc, wysunęła krzesło, usiadła. W uszach jej huczało. Nie miała już odwagi podejść do innego stołu. Ale nie usiadła twarzą do chłopców i nie całkiem przy stole. Przycupnęła przy narożniku lepkiego laminowanego blatu, gdzie mogła wyciągnąć lunch z pomiętej papierowej torby, odwinąć woskowany papier, wyjąć kanapki, które zrobiła sobie rano – jaskrawopomarańczowe plastry topionego sera posmarowane musztardą między dwiema kromkami białego chleba. Imbirowe herbatniki, połamane i pokruszone, ale pyszne. Jadła, odwrócona od chłopaków, z nadzieją, że nie będą patrzeć. Schylała głowę, jedząc, jak pies, pospiesznie, chyłkiem, ze strachem, że ktoś ukradnie mu karmę.

Chłopaki były podekscytowane. Chłopaki pocierały swoje ciała, piersi, brzuchy, uda, krocza. Dziewiąta klasa. Wielkie rozkrzyczane wyrostki, których inni chłopcy unikali. Ze swojego miejsca w rogu stołu Dawn na nich nie patrzyła. Jezus powiedział: *Nie opuszczę cię ani nie pozostawię*.

– Hej, Daw-en.

Próbowała to zignorować. Ale nie bała się ich gniewu.

– Dasz nam ciasteczko?

Chciała odpowiedzieć „nie”, ale Jezus nakazał jej powiedzieć: „Tak, proszę”.

Nie uśmiechnęła się. Miała zmarszczone czoło. Podała jednak herbatniki chłopcom, wszystkie oprócz jednego, najbardziej połamanego, który zachowała dla siebie.

Billy Beams, mlaskając, pożarł herbatnik. Szczerzył się jak głupi, choć był (chyba) nieco skruszony, że Dawn Dunphy tak chętnie dała mu imbirowe ciasteczko.

Billy Beams – tak się chyba nazywał. Słyszała to imię i nazwisko tylko wymawiane na głos na lekcjach, nigdy nie widziała go na piśmie.

Billy Beams chodził do dziewiątej klasy, ale był za stary na dziewiątą klasę o rok albo dwa. Został, a teraz przyjaźnił się z młodszymi chłopakami.

– Byłabyś całkiem ładna, Daw-en Dunphy, wiesz kiedy?

Nie chciała wiedzieć. Odwróciła się częściowo i szykowała do ucieczki. Z nadzieją, że postanowią wyjść pierwsi, bo zaraz powinien rozlec się dzwonek na lekcję.

Chłopcy głośno się śmiali. Czy Billy Beams powiedział coś, czego nie słyszała? Nie chciała się do niego odwracać. Zbierała się, by uciec biegiem, ale Jezus kazał jej zostać jeszcze chwilę i pokazać, że się nie boi.

Billy Beams zgarnął papierową torbę, odwrócił ją dnem do góry i udał, że zakłada ją na głowę Dawn, i wtedy chłopcy zaczęli się śmiać jeszcze głośniej i Dawn skurczyła się ze wstydu.

– ...wtedy, Dunphy.

Płonęły jej policzki, zerwała się na nogi, niezgrabnie potrącając krzesło. Mogła tylko wybiec ze stołówki. Nie oglądała się na nich, a oni wiwatowali i ryczeli, Billy Beams był najgłośniejszy i najbardziej ordynarny. Dawn zdała sobie sprawę, że tam, gdzie przedtem był Jezus, blisko, by ją pocieszać i szeptać do ucha, teraz nie ma nikogo.

Okazało się, że wychowawczyni nazywa się Penelope Schine.

Dawn nie wiedziała, jak wymawia się imię „Pe-ne-lo-pe”, ale wydawało się jej, że to bardzo piękne słowo, jak z piosenki.

Panna Schine była wyższa od Dawn Dunphy może o jakieś trzy centymetry, ale talię miała o połowę cieńszą (tak to wyglądało!), a twarz wydłużoną i szczupłą, oczy ciepłe i przyjazne, które rozświetlały się przy uśmiechu. Panna Schine czasem ci dokuczała, ale to było delikatne dokuczanie, a nie bolesne, jak ze strony innych nauczycieli.

Czy panna Schine była ładna? Dawn tak uważała!

Dawn słyszała, jak inni mówią, że panna Schine ma końską twarz, a jej cienkie, niesforne włosy uznawano za dziwaczne, ale Dawn uważała, że wychowawczyni jest bardzo ładna, a jej włosy mają zgaszony odcień brązu pomieszanego z ciemniejszymi i jaśniejszymi pasmami, tak że kiedy panna Schine podchodziła do okna przy tablicy, widać było lśniące w nich słońce – te włosy fascynowały Dawn. A głos panny Schine był jak płynne lśnienie.

– Dzień dobry, Dawn! Piękny mamy dzień!

W pannie Schine miłe było to, że kiedy zadawała pytanie, nie musiałaś odpowiadać, wystarczyło szybkie skinienie głowy. Bo panna Schine mówiła za ciebie i można było uczestniczyć w rozmowie z panną Schine, tylko słuchając i kiwając głową, i mrucząc „dobrze”. A czasami panna Schine mówiła tak mądrze i tak radośnie! Od samego słuchania panny Schine człowiek czuł się mądry i radosny.

Wkrótce dotarło do nich, że będzie drugi proces.

Drugi raz Stan Ohio kontra Luther Amos Dunphy.

Dzieciom powiedziano, że to dobra wiadomość. Bo tata nie mógłby wrócić do domu, do nich, bez drugiego procesu, który oczyści jego imię.

Ten proces miał się odbyć w Sądzie Okręgowym Hrabstwa Broome, tak jak pierwszy, z tym samym sędzią i tym samym prokuratorem, i wyznaczonym przez sąd obrońcą. Kiedy Dawn się o tym dowiedziała, roześmiała się z goryczą i zapytała, po co organizować drugi głupi proces, skoro wszystko będzie tak samo jak podczas pierwszego, a ciotka Mary Kay odparła z satysfakcją, bo nie lubiła, gdy siostrzenica pyskowała:

– Mylisz się, Dawn. Nie wszystko będzie tak samo. Przysięgli się zmienią. Wszyscy.

Nie mogła oddychać. Nie mogła usiedzieć spokojnie. W przegrzanej klasie z jej ciała sączył się tłusty pot, włosy na karku robiły się wilgotne. Mózg działał, ale trochę jak telewizor z wyłączonym głosem. Widziała poruszające się usta nauczycieli, lecz nie słyszała słów.

Niedawno dowiedzieli się, że w Muskegee Falls będzie drugi proces. Wiadomość ogłoszono w gazetach i w telewizji; nie było się gdzie ukryć.

Zdjęcie Luthera Amosa Dunphy'ego. Zdjęcie doktora Augustusa Voorheesa. Jeden obok drugiego. Jak obcy sobie bracia wpatrujący się ponuro w obiektyw aparatu.

„Wiedziałyście, że te kobiety zabijają swoje dzieci?" Te słowa padały jak oskarżenie z ust Dawn Dunphy w dziewczęcej szatni albo toalecie, gdzie między zajęciami zbierały się starsze uczennice. Z pasją i szczerością Dawn Dunphy przekazywała informacje, których nikt nie chciał słuchać: „Wyrzucają je do śmieci albo spłukują w toalecie".

„A wiecie, że dziecko jest w środku, tutaj na górze (przykładała dłoń do brzucha), dopóki nie robi się wystarczająco duże, by samodzielnie oddychać, a potem wychodzi? I czasami kobieta je zabija, kiedy wychodzi".

Wzdrygały się z obrzydzenia i przerażenia. Dziewczynki z brzydkimi oczami i ustami wysmarowanymi na czerwono. I te bardziej nieśmiałe, chrześcijanki tak jak ona, które niewiele wiedziały o tym, o czym wiedziała Dawn Dunphy, i które bały się jej słów jak porywczego proroka ze Starego Testamentu mówiącego surowym, trudnym do rozszyfrowania językiem.

Kiedy tak się wzdrygały, unikając jej wzroku, pospiesznie popychając drzwi, by uciec od Dawn Dunphy, w niej narastały gniew i rozpacz. „Nie wierzycie mi? Myślicie, że kłamię? Jeszcze zobaczycie – wam też się to przytrafi".

Nie miała pojęcia, co mówi. Jej język puchł jak język diabła, jak (widziała to czasami) ta rzecz między nogami Luke'a, która czasami pęczniała, czerwona i sztywna jak żywe stworzenie opętane przez demona. Ku rozgoryczeniu Dawn nie można było cofnąć tych dziwnych słów, które wydobywały się z jej ust.

Wezwano ją do dyrektorki szkoły, pani Morehead. Kiedy dyrektorka mówiła, Dawn milczała zmieszana i wpatrywała się w podłogę, powoli kręcąc głową, jakby nie mogła sobie nic przypomnieć, czy raczej jakby w jej głowie siedziało coś ociężałego, czego powinna się pozbyć, ale co tylko wygodniej tam się układało.

– Zaprzeczysz, że mówiłaś te wszystkie rzeczy, Dawn? To próbujesz mi powiedzieć? – ostrożnie badała pani Morehead.

Nie wolno im ufać – myślała pani Morehead. – *Białe śmieci z przyczepy.*

Dawn siedziała spokojnie, ale oddychała głośno. Dyrektorka zauważyła, że wróble włosy dziewczyny od dawna nie były czesane, i poczuła przechodzący ją dreszcz przerażenia, że uczennica może mieć wszy i jakaś wesz może przeskoczyć na jej głowę.

Pani Morehead wiedziała, czyją córką jest Dawn. Wszyscy w Mad River Junction znali Luthera Dunphy'ego, który urodził się i wychował ledwie kilkanaście kilometrów stąd i przyniósł tej części Ohio wstyd na cały kraj, wykonując instrukcje rzekomo przekazane mu przez Boga.

– Dawn? Słyszysz, co mówię? Odpowiedz, proszę.

Słowa, nieszkodliwe i nieco niemądre, płynęły z jej ust jak miękki opadający puch.

Milczenie, które zapadło po nich między panią Morehead i dziewczyną, robiło się niezręczne. Dyrektorka uważała się za przewodnika wprowadzającego reformę i oświecenie w wiejskim hrabstwie Ohio, ale nie miała nadziei na rozsądną rozmowę z upośledzoną psychicznie uczennicą, choć rozumiała, że obowiązkiem szkoły jest wykształcić lub przynajmniej spróbować wykształcić to dziecko na koszt podatników. Najważniejsze to subtelnie utrzymać dystans, tak by żadna wesz nie mogła przeskoczyć, ukryć się, zagnieździć i rozmnożyć w jej włosach. Z ostrożnym, ale pełnym nadziei uśmiechem doświadczonego urzędnika dyrektorka powiedziała:

– No cóż. Liczę, że nie będziesz już opowiadać tych strasznych rzeczy, Dawn. Inaczej będę musiała porozmawiać z twoją matką.

Dawn w końcu podniosła wzrok. Wstrząśnięta pani Morehead spojrzała w tępe żółte kocie oczy szyderstwa.

– To Mamu powiedziała mi o tym wszystkim, to jest w Biblii. To prawda, i pani to wie. Dlaczego Mamu miałaby się dziwić?

Dowiedzieli się, że proces odroczono aż o trzy miesiące! Przez telefon obrońca Luthera był uradowany, co ciotka Mary Kay uznała za dobrą wiadomość. „Na ile w ogóle jakaś wiadomość może być dobra w tej sytuacji”.

Ale Dawn zastanawiała się, czy to naprawdę dobra wiadomość. Im dłużej odkładano proces, tym dłużej ojciec musiał siedzieć w areszcie, który tak naprawdę równał się więzieniu. Czyli to tak, jakby Luther Dunphy był więziony jeszcze przed wydaniem wyroku. Mimo że był niewinny.

Ojcze nasz. Któryś jest w niebie. Pomóż nam.

Widziano ją, jak chodzi po korytarzach gimnazjum. Pewnie zapomniała, w której klasie ma zajęcia. Która to lekcja. Który dzwonek dzwonił. Wysoka dziewczyna z gęstymi brwiami, które zaczęły zarastać górną część nosa; opuszczone ramiona, krótkie ręce, nogi z dużymi stopami. Przy kranie z wodą, nisko przy podłodze, musiała ukucnąć, zgiąć kolana; piła łapczywie, do zapomnienia, wiedząc, że w takich chwilach wystawia się na atak wrogów, odsłaniając plecy i tył głowy.

Penelope Schine poszła szukać Dawn Dunphy i znalazła ją, siedzącą na schodach w głębi budynku, w połowie drogi między pierwszym a drugim piętrem, bardzo spokojną, wpatrującą się przez okno w niebo, w gęste, ciemne pasiaste chmury przypominające wynicowane wnętrze wielkiego lewiatana, zahipnotyzowaną. Dawn poprosiła o zgodę na wyjście ze świetlicy do toalety, ale nie wróciła – z nieśmiałości, uporu albo przez zapomnienie – dlatego wychowawczyni delikatnie zapytała, czy coś się stało. Nieśmiało schylając głowę, dziewczyna szeptem odparła, że wypatruje „Ojca naszego, który jest w niebie”.

Panna Schine wiedziała o procesie w Muskegee Falls, o tym, że był nierozstrzygnięty. Śledziła uważnie informacje o podwójnym zabójstwie w klinice dla kobiet rok wcześniej i słyszała, że odbędzie się drugi proces Luthera Dunphy’ego. Szczerze współczuła jego córce. Nie podobało jej się, że inni nauczyciele każą Dawn siadać z tyłu klasy, ponieważ była potężną dziewczynką i sprawiała kłopoty; nie lubili patrzeć na nią z bliska, nie lubili

jej wąchać. Zawsze sadzali ją z tyłu, z najgorszymi chłopcami, próbowali o niej zapomnieć.

Panna Schine zapytała Dawn Dunphy, czy podoba się jej w nowej szkole, a Dawn z zażenowaniem wzruszyła ramionami i wymamrotała coś w rodzaju: „Jest okej”.

Panna Schine nie zapytała Dawn, czy już się z kimś zaprzyjaźniła (znała odpowiedź), ale zapytała, czy ma jakieś problemy na zajęciach i czy nie potrzebuje dodatkowej pomocy po szkole. „Albo w świetlicy. Czyli teraz. Mogę ci pomóc, jeśli...” Kiedy Dawn nie odpowiedziała, nauczycielka nie drążyła tematu. Zobaczyła bowiem, że kręcone włosy uczennicy w kolorze piasku są skołtunione, i zaczęła się zastanawiać, czy powinna dać jej grzebień. Albo szczotkę. Czy to ją urazi?

Spod pach Dawn dobiegał silny zapach potu – dziewczynka z pewnością nie kąpała się zbyt często, a może matka Dunphych nie wierzyła w skuteczność dezodorantów. Albo nie uważała, by w wieku Dawn należało ich używać.

W okręgu szkolnym Mad River zdarzali się ewangelicy, którzy zabraniali używania dezodorantów, tak jak oglądania filmów i telewizji, słuchania radia, czytania większości książek, takich jak klasyczne amerykańskie powieści *Przygody Hucka* albo *Zabić drozda*, picia słodkich barwionych gazowanych napojów, stosowania szczepionek. Używanie tamponów było nieprzyzwoite i grzeszne – dziewczynki i kobiety miały używać podpasek z grubej bawełny, które trzeba było prać.

Penelope Schine przypomniała sobie, że na początku roku szkolnego matka Dawn Dunphy była jednym z kilkorga rodziców w okręgu, którzy sprzeciwili się szczepieniu dzieci – ani szkolna pielęgniarka, ani pani Morehead nie przekonały jej, że dzieci muszą przyjmować zastrzyki i że są one niegroźne. Pani Dunphy odparła wtedy, że szczepionka to wyraz braku zaufania do Boga i że jeśli uciekasz się do takich środków, to jakbyś głosił niewiarę w to, że Bóg się tobą opiekuje.

Rodzice zgodnie z prawem stanowym Ohio mogli odmówić szczepienia dziecka. Na szczęście w tym roku (jeszcze) nie wybuchła epidemia grypy.

Panna Schine postanowiła, że kupi małą plastikową szczotkę i następnego dnia da ją Dawn w świetlicy albo po szkole. Ryzykowała, że obrazi tym matkę, ale musiała podjąć takie ryzyko.

Z jakiegoś powodu kupno dezodorantu wydawało się większym wtrącaniem się. Może to po prostu jeszcze nie pora.

Potem panna Schine zapytała Dawn, czy jest smutna z jakiegoś powodu, a jeśli tak, to czy chce o tym porozmawiać. Dawn odpowiedziała z zaskakującą szczerością, że tak, jest smutna.

– Ojciec już z nami nie mieszka i nie wiemy, kiedy wróci do domu.

Panna Schine nie wiedziała, jak zareagować.

– Naprawdę... to bardzo smutne... – Tylko to przyszło jej do głowy.

– Aresztowali go za coś, czego nie zrobił... To znaczy nie tak, jak mówią. Bo tata po prostu musiał to zrobić. A oni nie chcą go wypuścić, choć podobno człowiek jest niewinny, póki nie udowodni mu się winy. To kłamstwo.

Panna Schine zdziwiła się, że Dawn Dunphy wygłosiła taki długi monolog, w dodatku bardzo składny. Po raz pierwszy słyszała, by dziewczynka wypowiedziała pełne zdanie.

Bardzo prawdopodobne, że wcale nie jest lekko opóźniona, jak twierdzili pozostali nauczyciele. Panna Schine znała wyniki sprawdzianów Dawn Dunphy i przyszło jej do głowy, czy problemem nie jest raczej samo pisanie testu. Mniej pewni siebie uczniowie denerwowali się i wypadali kiepsko, przez co następnym razem mieli jeszcze gorsze wyniki.

Panna Schine nie była pewna, co powiedzieć. Nie zdziwiła się, że córka człowieka, który z zimną krwią zastrzelił w miejscu publicznym dwóch mężczyzn, może uważać ojca za niewinnego, biorąc pod uwagę więzy krwi, rodzinną lojalność. Ślepa wiara jest najsilniejsza.

Powiedziała Dawn, że słyszała o tych problemach i że to w istocie bardzo smutna sytuacja. Może drugi proces pomoże wszystko wyjaśnić... Dawn powinna wiedzieć, że w szkole uczy się kilkoro innych uczniów, których

krewni są w więzieniu – w hrabstwie Farloe nie jest to jakaś wyjątkowa sytuacja.

Teraz Dawn wpatrywała się w Penelope Schine. Wciąż siedziała na schodach, przyciskając kolana do piersi, i gapiła się na nauczycielkę. Powiedziała głośno, rozgorączkowana:

– Tacy ludzie to kryminaliści. Ich miejsce jest w więzieniu. Mój tata jest inny. Mój tata, Luther Dunphy, jest żołnierzem Boga!

Wkrótce potem zaczęła się pojawiać po lekcjach. Szykowałam się do wyjścia z klasy, sprzątałam biurko, a ona, jąkając się, mówiła, że czegoś zapomniała, a potem, zawstydzona i podekscytowana, szukała tego pod ławką. Miała problem z niektórymi zadaniami domowymi z matematyki, więc jej pomagałam, bo nie chciała prosić o pomoc nauczyciela matematyki. Miała też problem z „układaniem myśli" przy pisaniu, więc jej pomagałam – uczyłam przecież jej klasę angielskiego, a ona zawsze siedziała na lekcjach milcząca, spięta, zdenerwowana i marszcząca czoło tak, że miałam ochotę podejść i palcami je wygładzić. Przykro było patrzeć na tak zafrasowane dziecko... Wydawała się rozumieć to, co do niej mówiłam, i potrafiła rozwiązywać zadania, kiedy patrzyłam, ale z jakiegoś powodu zapominała, czego się nauczyła poprzednim razem. Jednak pomoc w odrabianiu zadań domowych była tylko pretekstem. Ta dziewczynka była samotna i chciała z kimś porozmawiać. Mniej więcej w tym samym czasie podarowałam jej szczotkę do włosów – niedrogą małą różową szczotkę. Jestem pewna, że miała jakąś w domu – przecież u Dunphych musiała być choć jedna szczotka! – ale chyba ją zainspirowałam, bo zaczęła się czesać (nie w mojej obecności; po prostu kiedy pojawiała się rano w szkole, wyglądała dużo, dużo lepiej). Zastanawiałam się, czy dać jej mały dezodorant w sztyfcie, i w końcu to zrobiłam; zawstydziła się, mruknęła chyba „okej", ale nie podziękowała, myślę jednak, że zaczęła go używać, bo nie śmierdziała już tak jak poprzednio, ale może po prostu się przyzwyczaiłam i mniej mi to przeszkadzało.

Przyniosła mi tuzin owsianych ciasteczek, które podobno upiekły z ciotką – wyglądały jak domowe i bardzo się kruszyły, ale okazały się przepyszne!

Kiedy spadł śnieg, któregoś dnia po szkole Dawn stała na parkingu przy moim małym nissanie. Odgarnęła śnieg i lód z przedniej szyby i ze wszystkich okien! Zupełnie mnie zaskoczyło, że w ogóle wiedziała, który samochód należy do mnie. Nie zaproponowałam jednak, że odwiozę ją do domu. Pewnie by odmówiła, ale gdyby się zgodziła i gdybym ją podwiozła, a matka by się dowiedziała, mógłby być problem. Poza tym gdybym raz odwiozła jakąś uczennicę, ta mogłaby oczekiwać, że znów to zrobię, a gdyby dowiedzieli się inni uczniowie albo inni nauczyciele, to na pewno byłby problem. Nigdy nie dowiedziałam się więc, gdzie mieszka, ale wydawało mi się – nie wiem dlaczego – że miała spory kawałek do przejścia piechotą, a nie chciała jeździć szkolnym autobusem i rozumiałam dlaczego.

Któregoś dnia, kiedy byłyśmy same w klasie, powiedziała: „Panno Schine, wiedziała pani, że ludzie zabijają dzieci? I nikogo to nie obchodzi”. Zapytałam, co ma na myśli, kto zabija dzieci, a ona odparła, bliska płaczu: „W klinikach aborcyjnych. Zabijają je i wyrzucają ciała w różnych miejscach. I nikogo to nie obchodzi”.

Byłam w szoku, gdy usłyszałam ósmoklasistkę opowiadającą o takich rzeczach. Nie wiem, co powiedziałam, chyba coś w rodzaju: „Och, to okropne, Dawn...”. Zapytała, czy kiedyś o tym słyszałam, odparłam, że nie, raczej nie. (Nie mogłam przytaknąć. Nie ósmoklasistce). A ona na to: „Tutaj chyba nie ma żadnej – kliniki aborcyjnej. Tam, gdzie mieszkaliśmy, w Muskegee Falls, była taka przychodnia dla kobiet...”.

Powiedziałam wtedy: „O, czyżby?”. (Myślałam: O mój Boże, to tam jej ojciec zastrzelił tych ludzi, lekarza abortera i tego drugiego, jego kierowcę. *O tym właśnie mówiła, dlatego była taka szczera i emocjonalna. Ale nie mogłam... nie mogłam tego przyznać). Zapytała, czy moim zdaniem dzieci pocięte na małe kawałeczki pójdą do nieba. Przełknęłam głośno ślinę i przytaknęłam.*

W walentynki Dawn zostawiła na moim biurku piękną kartkę, długą na dwadzieścia kilka centymetrów, w dużej białej kopercie. Nadała tej kartce

kształt serca, ze zszytych ze sobą kawałków białej satyny i z tuzinami serduszek narysowanych flamastrem, a w środku czerwonym atramentem napisała:

Droga panno Schine
Jest pani moją Wallentynką
KOCHAM PANIĄ
Pani Wallentynkowy Pszyjaciel

Dostałam jeszcze kilka kartek od innych uczniów, ale żadna nie była tak wyjątkowa jak ta od Dawn Dunphy. Chyba wciąż mam ją gdzieś w domu... W każde walentynki przygotowuję kartki dla wszystkich uczniów z mojej klasy, chłopców i dziewczynek, ale to zwykłe pocztówki, więc oczywiście miałam taką dla Dawn Dunphy, tylko nie było w niej nic wyjątkowego, tak jak w tej od niej. Myślę, że i tak się ucieszyła, ale może było jej trochę przykro, że dostała taką zwyczajną kartkę. (Och, jak ja nienawidzę walentynek! Po prostu boję się 14 lutego! To okrutny dzień, szczególnie w szkole, bo popularne dziewczynki dostają kilkanaście walentynek, a takie jak Dawn Dunphy – żadnej. Dlatego zawsze przygotowuję kartki dla wszystkich).

Potem, w następną sobotę, spotkałam Dawn Dunphy w centrum handlowym z jakąś niską, przysadzistą kobietą; w pierwszej chwili pomyślałam, że to jej matka, ale okazało się, że to ciotka; szliśmy z moim narzeczonym Rollym do Bed, Bath and Beyond i Dawn wpatrywała się w niego, wyraźnie zdenerwowana. W następny poniedziałek czekała przed szkołą przy moim aucie i zapytała, czy brat mieszka ze mną i czy mieszkamy z naszymi rodzicami, odparłam więc, że Rolly nie jest moim bratem, tylko narzeczonym, ale ona albo tego nie usłyszała, albo nie zrozumiała. Potem nie było już jednak między nami tak przyjaznych relacji. To znaczy ze strony Dawn. Nie uśmiechała się do mnie tak często i nie wpadała do klasy – widziałam, że ją rozczarowałam. Mniej więcej w tym samym czasie zaczął się chyba drugi proces jej ojca, w hrabstwie Broome. Pokazywano go co wieczór w telewizji – nie salę sądową, ale relacje z ulicy i raporty o tym, jak postępuje sprawa,

i wiele zdjęć Luthera Dunphy'ego i doktora Voorheesa, co wieczór. Wiedziałam, że to trudny czas dla Dawn. Wyobrażałam sobie, co może przeżywać w szkole. Przychodziła do klasy rano, a godzinę później znikała. Opuszczała zajęcia, miała słabe oceny. A któregoś dnia powiedziała mi z takim dziwnym wyrazem twarzy, z czymś w rodzaju uśmiechu, przy którym oczy się nie uśmiechały: „Ludzie mówią, że jest pani mężatką, panno Schine", a ja zapytałam: „Naprawdę, kto tak mówi?". (Bo to nie była prawda, jako że ustaliliśmy z Rollym datę ślubu na dziesiątego czerwca, o czym wiedzieli wszyscy nasi znajomi), a Dawn powiedziała niejasno: „No po prostu ludzie. Tak mówią". Spytałam: „Ale dlaczego? Dlaczego mieliby mówić coś takiego?". Zaś Dawn, z tym złośliwym uśmieszkiem i niemal całkowicie zmrużonymi oczami, powiedziała: „Bo mówią, że jest pani w ciąszy, panno Schine. Bo pani brzuch robi się duży i jest pani w ciąszy, panno Schine. Tak mówią".

Byłam zaszokowana, nie potrafiłam wydusić żadnej odpowiedzi. A Dawn Dunphy tylko się roześmiała i przecisnęła obok mnie. I to był koniec naszej przyjaźni – czy jakkolwiek to nazwać. To był koniec.

Proces

Ustalono termin rozpoczęcia procesu. Potem go przełożono.

Ustalono nowy termin. Potem ten termin przełożono.

– Bóg nigdy nie pozwoli, by cię sądzono, Lutherze. Myślę, że to znak – powiedział kapelan, kładąc dłoń na ramieniu Luthera.

Ten drgnął, ale nie strącił ciężkiej, uspokajającej ręki.

– Jeśli drugi proces również nie zostanie rozstrzygnięty, to koniec, bo prokurator nie zaryzykuje po raz kolejny.

I:

– Potrzebujemy tylko jednego wstrzymującego się, Lutherze! Jednego z dwunastu. J e d n e g o.

Obrońca z urzędu z chłopięcym entuzjazmem rozmawiał ze swym małomównym, ponurym klientem, którego twarz zarastała teraz stalowoszara broda, a skóra, pokryta cienkimi zmarszczkami, miała kolor pergaminu, jakby minęły całe dekady. Oczy, choć czujne i uważne, miały wyraz zmęczenia, jakby Luther niewiele sypiał.

Zarówno strażnicy, jak i inni osadzeni podziwiali Luthera Dunphy’ego za jego chrześcijańską wiarę, dobroć i spokój. Przede wszystkim nie gadał bzdur jak wszyscy inni.

Strażnicy rozumieli, że mogą ufać Dunphy’emu. Prawdopodobnie nie wyszedłby z aresztu, nawet gdyby drzwi nie zamykano na klucz.

Jeśli ktoś na przykład zaczepił go w stołówce, to Luther nie dawał się sprowokować, choć w jego wzroku pojawiało się coś takiego jak płonąca zapałka i już wiedziałeś, co by zrobił, gdyby znalazł się w innym miejscu, bez strażników.

Luther Dunphy nawet po schudnięciu, gdy i jego twarz stała się szczuplejsza, wciąż był potężnym mężczyzną; ważył jakieś dziewięćdziesiąt kilogramów, a to w placówce więziennej waga, którą zwykle się szanuje.

Zniknął zbędny tłuszcz. W celi Luther robił brzuszki, pompki, skłony, napinał mięśnie rąk i ramion, jakby podnosił ciężary, biegał w miejscu. Biegał w miejscu niezmordowanie. Lał się z niego pot, ale Luther oddychał tylko odrobinę szybciej, jego serce biło powoli i rytmicznie.

Niektórzy oskarżeni mówią. Niektórzy oskarżeni mówią nieustannie. Inni, jak Luther Dunphy, mówią bardzo niewiele. To są najlepsi oskarżeni.

Jezu, ten facet był jak sfinks – przynajmniej dla nas. Tak jakby proces w ogóle go nie obchodził, bo uważał, że jest w miejscu, w którym nic go nie dotknie. Pierwszy raz zobaczyłem z bliska fanatyka religijnego. Luther Dunphy był absolutnie przekonany, że nie zrobił nic złego, a wręcz zrobił coś stuprocentowo dobrego: wykonywał rozkazy jako „żołnierz Boga”.

Jakby po prostu zrobił to, co zrobił. I nie zamierzał już o tym myśleć.

Od razu przyznał, że zabił tego lekarza abortera. Nie przyznał, że zabił tego drugiego mężczyznę.

Nie był jednak szalony. Ściągnęliśmy psychologa z Toledo, który twierdził, że owszem, Luther Dunphy jest psychicznie niezdolny do uczestniczenia w swojej obronie, ale sędzia tego nie kupił.

(Jedyne, co było w nim naprawdę szalone, to to, że odmówił zastąpienia mnie prywatnym obrońcą. Nigdy nie przyjął pieniędzy zebranych na ten cel przez Armię Boga – pozostał w tej kwestii bardzo stanowczy).

W pierwszym procesie nam się udało – prokurator miał wygraną sprawę, ale nie jedna, tylko aż dwie stuknięte przysięgłe chrześcijanki uparły się przy „niewinny”. Wszyscy chcieli udusić te stare kwoki, łącznie z sędzią, ale nie mogli nic zrobić. A ponieważ drugi proces odbywał się w tym samym hrabstwie, z przysięgłymi wybranymi spośród tych samych protestantów, można się było spodziewać, że znów pozostanie nierozstrzygnięty.

Powiedziałem Lutherowi: „Po prostu módl się do Boga, tak jak to robiłeś poprzednio”, a on śmiertelnie poważnie odparł: „Po co mam się modlić?

Bóg już podjął decyzję”.

Rankiem pierwszego dnia drugiego procesu, trzydzieści kilometrów dalej w hrabstwie Broome Edna Mae nie mogła wstać z łóżka, kiedy Dawn zaczęła ją budzić.

– Mamu! Wstawaj.

Ale Edna Mae nie mogła się obudzić.

Letarg ciężki jak ołowiana siatka przykrywał jej ciało, czyniąc ją bezsilną. Powieki również były ciężkie jak z ołowiu.

Córka zuchwale podniosła nawet kciukiem jedną z powiek Edny Mae, wołając: „Obudź się obudź się OBUDŹ SIĘ MAMU”, ale nic się nie wydarzyło.

Starszy brat Luthera, Norman, miał przyjechać tu z Sandusky, by zabrać szwagierkę do Muskegee Falls, ale kiedy dotarł na miejsce razem z trojgiem innych krewnych Dunphych, Edna Mae wciąż leżała w łóżku, nie do końca przytomna.

Dawn wybiegła przed dom, by się przywitać.

– Chyba musicie pojechać bez Mamu.

Poczuła falę wstydu, widząc, jak wujek Norman wymienia znaczące spojrzenia ze swoim młodszym bratem Jonathanem. Jakby nikogo z Dunphych nie zaskoczyło, że żona Luthera go zawiodła, gdy jej potrzebował.

– Mamu znowu źle się czuje? Tak?

Kpiąco zaakcentował słowa „Mamu” i „znowu”. Dawn rozumiała, że wuj jest wściekły na Ednę Mae, a co za tym idzie, również na nią – i na całą rodzinę Luthera.

Mimo to powiedziała:

– Pozdrów od nas tatę, wujku Normanie. Powiedz, że się za niego modlimy. Proszę.

W obecności braci swojego ojca Dawn zwykle była ostrożna i milcząca; wolała, by w ogóle jej nie zauważali. Wpłynął na nią jednak sposób bycia

panny Schine. Choć panna Schine ją zdradziła i już się nie przyjaźniły, Dawn często łapała się na myśli, że tak powiedziałaby panna Schine.

Każdego ranka czesała się małą plastikową szczotką, którą dostała od nauczycielki. Czasami ośmielała się spojrzeć w lustro z nadzieją, że tego dnia nie będzie aż tak brzydka.

Wuj Norman gapił się na Dawn, jakby widział ją pierwszy raz w życiu. W końcu mruknął:

– Jasne. Dobra. Tak zrobię. Jeśli mnie do niego dopuszczą.

Postanowiono, że ani Dawn, ani Luke nie będą chodzić na rozprawy. Dawn nie mogła opuszczać szkoły, a Luke nie powinien zwalniać się z pracy. Ciotka Edny Mae, Mary Kay Mack, wyraziła chęć jeżdżenia do sądu, by zapewnić moralne wsparcie mężowi siostrzenicy, ale bała się poprosić o wolne w Walmarcie, by jej nie zwolniono.

Edna Mae czuła się tak okropnie! Naprawdę zamierzała jechać z rodziną męża do Muskegee Falls (poprzedniego wieczoru naszykowała najlepsze ubranie), ale była tak zmęczona, gdy Dawn próbowała ją obudzić, że ledwie mogła podnieść głowę z poduszki; oczu nie miała już siły otworzyć.

Poprzedniego wieczoru Edna Mae popiła oxycontin wodą z brudnego plastikowego kubeczka w łazience. Nie pamiętała jednak, czy wzięła pojedynczą dawkę (piętnaście miligramów trzy razy dziennie), czy pomyliła się i wzięła o jedną lub dwie tabletki za dużo.

Przed problemami w klinice Luther czasami wyliczał tabletki Ednie Mae i zostawiał je co rano na biurku w sypialni. Próbował ukrywać fiolkę, by Edna Mae nie zażywała więcej niż dzienna dawka. Teraz nikt tego nie pilnował. Mary Kay Mack brała tabletki odchudzające, przez które była nerwowa, podekscytowana i zapominalska, więc nie mogła pilnować leków Edny Mae.

Co gorsze, Edna Mae cierpiała na zatwardzenie. Okropne skurcze w brzuchu! Doktor Hills ostrzegał przed tym przykrym skutkiem ubocznym oxycontinu, ale gdy próbowała zmniejszyć dawkę, jej nerwy stawały się na-

pięte jak struny fortepianu, aż dostawała dreszczy i drgawek wzdłuż kręgosłupa, płakała z byle powodu i nie potrafiła przestać.

– Wygląda na to, że przedstawiają te same dowody co za pierwszym razem. Świadkowie będą mówić, że widzieli Luthera ze strzelbą biegnącego po podjeździe. Że strzały bardzo ich przestraszyły i desperacko próbowali się ukryć.

Norman Dunphy ostro się zaśmiał, gdy wyobraził sobie tę scenę, zabawną jak jakiś głupi program w telewizji.

Nikt inny się nie roześmiał. Dawn próbowała nie postrzegać w ten sposób zachowania swojego taty. Jeśli się nad tym zastanawiała, to rozumiała: tata nigdy się tak nie zachowywał, a jednak ludzie go o to oskarżali.

Dawanie fałszywego świadectwa. To właśnie to.

Edna Mae siedziała, półprzytomna, słuchając słów szwagra, ale ich nie przyswajając. Zapytała potulnie, jak ma się Luther, a Norman zmarszczył czoło i odparł:

– No cóż. Brakowało mu ciebie.

– Tak? – Edna Mae wzdrygnęła się, jakby dostała policzek.

Dawn widziała szyderstwo w ostrej jak maczeta twarzy wuja. Ten lekki ślad przekonania o własnej racji w jego głosie. Dobrze wiedział, że zranił szwagierkę, której nie znosił.

Żaden członek rodziny Dunphych nie lubił teraz Edny Mae. Nawet ci starsi, nawet dziadkowie Dawn.

Gadali między sobą, że to Ednę Mae należy winić za to, co zrobił Luther. Cały ten Kościół Jezusowy Świętego Pawła i bzdurna Armia Boga – to wszystko była jej wina.

Po pierwszym dniu procesu w Sądzie Okręgowym Hrabstwa Broome Norman wraz z pozostałymi wstąpili do domu na Depot Street w Mad River Junction w drodze powrotnej do Sandusky. Było już późne popołudnie,

Edna Mae zdążyła się obudzić i doprowadzić do przyzwoitego stanu, pomalowała nawet wąskie usta czerwoną szminką, bo wiedziała, że Norman Dunphy ceni kobiety starające się, by dobrze wyglądać dla mężczyzn, choć jej próbą pewnie wzgardzi.

Speszona i zdenerwowana Edna Mae podała gościom (samym mężczyznom z pokolenia Luthera – jego rodzice nie przyjechali na rozprawę) pospiesznie przygotowane przekąski wyjęte z lodówki. Nie porządną kolację, ale coś na ząb przed powrotem do domu.

Lekceważącym tonem Norman opowiadał o pierwszym dniu procesu. Nie lubił sędziego.

– Uważa się za lepszego od innych. Ta jego cholerna mina.

I jakie to dziwne, Luther siedział przy tym samym cholernym stole co na pierwszym procesie i miał na sobie te same cholerne ubrania i tego samego cholernego obrońcę z urzędu mówiącego te same cholerne rzeczy, a prokurator powtarzał to samo co wtedy.

– Chyba mógłby więcej dla siebie zrobić. Na pierwszym procesie nie zeznawał. A mógłby spróbować wyjaśnić, co zrobił, tak jak opowiadał za niego ten ksiądz...

Dla braci Dunphych to był szok, że ich najmłodszy brat zrobił coś takiego, w dodatku publicznie. Krewni byli skonsternowani; większość mieszkała w Sandusky i okolicznych wsiach i nie rozumiała, jak Luther mógł zrobić coś tak ekstremalnego, przez co rodzina znalazła się „na widoku”.

Edna Mae czekała na pauzę w gniewnym monologu szwagra, by zapytać swoim potulnym, nieśmiałym głosem, proszącym, by nie zbywać jej, jak odgania się natrętną muchę, czy którykolwiek z nich miał okazję porozmawiać w sądzie z Lutherem. Ale zniecierpliwiony Norman odparł:

– Nie pozwalają na to. Nie można się zbliżać. Uważają, że ktoś może mu podać broń. Jeśli uda się komuś przejść przez bramki z jakimś plastikowym nożem. Chyba tego się boją.

– Czy ma się... dobrze? Czy...

– Czy ma się dobrze?! Chryste, jakie dobrze? Człowiek walczy o życie, od roku siedzi w zamknięciu, a ty się pytasz, czy ma się dobrze? A jak, kurwa, myślisz, Edno Mae!

Nie dało się nie słyszeć pogardy w sposobie, w jaki Norman wypowiadał jej imiona. Słowo „kurwa” było tak szokujące, że Edna Mae może go nawet nie usłyszała. (Dawn miała nadzieję).

Jonathan wtrącił szybko:

– Nic mu nie jest, Edno. Trzyma się. W następną sobotę do niego pojedziemy, ktoś z nas. On wie, że to dla ciebie trudne. Spróbuj się nie martwić.

„Spróbuj się nie martwić”. To była najmilsza rzecz, jaką ktokolwiek z Dunphych powiedział jej od chwili, kiedy zaczęły się kłopoty. Edna Mae zdusiła łzy.

Drugi proces różnił się od pierwszego tym, że na sali sądowej i na schodach przed budynkiem nie było tylu zwolenników Luthera. Mniej demonstrantów z tablicami.

– Jakby ludzie zapominali o Lutherze. Jakiś inny „żołnierz Boga” zajmuje jego miejsce.

Norman mówił z szyderstwem. Ale tak właśnie było: niedawno aresztowano kolejnego działacza antyaborcyjnego, który zaatakował klinikę dla kobiet w Wichita w stanie Kansas. Jake Rachtel również łączony był z Armią Boga oraz Operacją Ratunek i nazywał się „żołnierzem Boga”. Ledwie kilka dni wcześniej w wieczornym programie *Godzina z Tomem McCarthym* prowadzący wychwalał „odważnego męczennika”, który wziął w klinice jako zakładniczki ponad tuzin kobiet i dziewczynek, zranił (ale nie zabił) trzech pracowników medycznych, a potem oberwał od policjantów kulkę w kręgosłup.

Dawn słuchała tych rozmów dorosłych. Tego dnia nie poszła do szkoły: to znaczy podeszła do budynku, ale nie potrafiła zmusić się i wejść do środka. Przerażało ją, że tata jest sądzony, a ona nic nie może zrobić... Większość dnia spędziła, snując się po parszywych przedmieściach miasteczka i nieczynnej bocznicy kolejowej. Zeszła do jakiegoś stromego wąwozu pełnego śmieci, gdzie w przewróconych zardzewiałych beczkach po

oleju zebrały się kałuże wody, a każda z tych kałuż lśniła ekscytująco, jednocześnie zapraszając Dawn i odpychając.

Jezu, jesteś tutaj? Jezu, proszę, pomóż mojemu tacie!

Dawn bardzo chciała zapytać Normana o ojca, ale wiedziała z doświadczenia, że wuj zbyłby ją opryskliwie, ledwie zaszczycając spojrzeniem. Norman przyjaźnie traktował Luke'a i młodsze dzieci, ale wyraźnie nie lubił Dawn i nie próbował tego ukryć.

Nie wiedziała dlaczego. Może wuj uważał, że jest pospolita?

Słowa „pospolita" używali mężczyźni. „Pospolita" odnosiło się wyłącznie do dziewczynek i kobiet.

Źle się czuła z tym, że jest pospolita. Ale po jakimś czasie wezbrała w niej złość, miała ochotę kogoś uderzyć, mocno.

To niesprawiedliwe, że w obecności Luke'a Dawn często czuła się w rodzinie niewidzialna. Teraz, gdy Luke się wyprowadził, ona i tak pozostała niewidzialna.

– Nikt nie zapomina o tacie! W naszym Kościele też nie. Mówią o nim i cały czas się modlą.

(To chyba nie była prawda. Edna Mae od jakiegoś czasu nie zabierała Dawn i młodszych dzieci do Muskegee Falls, do kościoła wielebnego Dennisa; jeździli tam tylko wtedy, kiedy Luke albo Mary Kay zechcieli ich zabrać. Edna Mae rzadko prowadziła samochód).

Norman z politowaniem spojrzał na Dawn i Ednę Mae.

– No cóż. Dobrze. Ale jest problem, zdaje mi się. – Zmienił temat. Zrobił chytrą minę. – Z pieniędzmi.

Wśród Dunphych od dawna był to problem – co zrobić z funduszami zebranymi na obronę przez Armię Boga. Edna Mae wiedziała, że na konto wpływają pieniądze „z całych Stanów Zjednoczonych oraz z zagranicy" – tak chwalili się na stronie internetowej. Ale Luther zdecydowanie oświadczył, że nie chce i nie przyjmie jałmużny. Wielokrotnie odmawiał zastąpienia prawnika przyznanego z urzędu przez hrabstwo Broome kimś z prywatnej kancelarii. Luther zdawał się wierzyć, że Bóg jakimś sposobem zaopie-

kuje się też jego rodziną. Nikt nie musiał się zniżać do przyjmowania jałmużny.

Bez wiedzy męża Edna Mae przyjmowała tak zwane podarunki lub pożyczki od osób współczujących rodzinie, wpływające na konto Armii Boga lub inne konta wspierające Luthera Dunphy'ego. Były też datki z Kościoła Jezusowego Świętego Pawła, na początku hojne, w ostatnich miesiącach coraz mniejsze.

Również rodzina Dunphych wspierała bliskich Luthera, choć niechętnie. Wiele razy mówiono Ednie Mae, że starzy rodzice Luthera nie mają za dużo pieniędzy; bracia i kuzyni utrzymywali też własne rodziny i nie mieli nadwyżek kasy. Nikt z Dunphych nie zamierzał obciążać się drugą hipoteką, by płacić za bałagan, którego narobił Luther.

– Wiesz, co bym chciał wiedzieć? – mówił Norman. – Ile pieniędzy jest, do cholery, na tym koncie, zanim sami się nachapią.

– Nachapią się? Co masz na myśli?

– Ta cała Armia Boga. Co to w ogóle jest? Ludzie wysyłają pieniądze dla Luthera, a dostają je oni. Na stronie internetowej wyczytałem tylko, że ich kwatera główna mieści się gdzieś w Illinois, to skrytka pocztowa! Sukinsyny wykorzystują mojego brata, żeby zarobić.

– Ale... oni dają Mamu pieniądze...

– No jasne. Coś tam jej dają. Ale gdybyśmy sprawdzili, to jak myślisz, czego się dowiemy?

Dawn była zaszokowana. Nigdy nie pomyślałaby o czymś takim!

– Dowiemy się, że gnoje nas okradają.

Edna Mae zaprotestowała bez przekonania. Nie wierzyła, naprawdę nie wierzyła, że ktokolwiek okrada Luthera. Nie wierzyła, bo wszyscy byli dla niej mili i jej współczuli.

– Ale oni dają nam pieniądze, Normanie. Od zeszłego roku setki dolarów... Luther byłby zły, gdyby wiedział. On nie akceptuje jałmużny. Proszę, błagam, nie mów mu nic na ten temat.

Norman zerwał się na nogi. Zamierzał wyjść, miał dosyć swojej denerwującej szwagierki.

– Skoro mój brat jest zły z powodu „jałmużny”, to dlaczego, do diabła, każe nam zajmować się swoją rodziną? Sukinsyn myśli, że jest Jezusem Wszechmogącym, to może Jezus Wszechmogący powinien go utrzymywać?

Mężczyźni wyszli. Zostawili brudne talerze, szklanki, sztućce i zmięte serwetki. I ten smród męskiej pogardy, gniewu, jak swąd spalenizny. Edna Mae szlochała cicho; nie miała siły wstać z krzesła. Dawn posprzątała ze stołu, włożyła rzeczy do zlewu i puściła gorącą wodę, aż oślepiła ją para. Poruszała niemo ustami: „Jezu, pomóż nam. Jezu, pokaż nam drogę, prawdę i światło”.

Wielki ucisk.
Wrzesień 2001

„...nie biegać po korytarzach i po schodach. Wszyscy uczniowie mają natychmiast wrócić do sal wychowawczych. Powtarzam: wszyscy uczniowie mają natychmiast przejść do sal wychowawczych w ciszy i nie biegając”.

Wcześniej nie słuchała. Za to teraz słuchała.

Wybudziła się z transu. Wybudziła się gwałtownie, szybko zerwała na nogi i, tak jak inni w sali, stała zdezorientowana i przestraszona, ściskając podręczniki.

„...w uporządkowany sposób należy wyjść z klas i w uporządkowany sposób natychmiast wrócić do sal wychowawczych. Powtarzam: TO JEST ALARM. Wszyscy uczniowie mają natychmiast, w ciszy i nie biegając po korytarzach i schodach, wrócić do sal wychowawczych, gdzie otrzymają dalsze instrukcje”.

W obronnym geście zakryła uszy, zagięła małżowiny, by wyciszyć dręczący głos nauczyciela. Zasłanianie w ten sposób uszu, wygłuszanie dźwięku do szumu było uspokajające, hipnotyzujące. Taki nawyk wyrobiła w sobie na zajęciach, w ławce z tyłu sali – opuszczona głowa, ramiona skulone, oczy spuszczone, półprzymknięte lub całkiem zamknięte, czoło zmarszczone, jakby intensywnie myślała, zupełnie odłączona i w opozycji do monotonnego brzęczenia nauczyciela stojącego pod tablicą i wypisującego kredą cyfry lub słowa, które rozmazywały się i znikały, gdy Dawn na nie spoglądała.

Kiedy próbowała patrzeć, w jej oczach pojawiała się jakaś dziwna wilgoć. Nie sądziła, by to oznaczało problemy ze wzrokiem. Nie przyjmowała do wiadomości, że może potrzebować okularów. (Na zewnątrz widziała wy-

raźnie. Na dworze! Widziała, co chciała zobaczyć). Chodziło o to, na co kazano jej patrzeć i co kazano jej rozumieć, tam, z przodu klasy, a czym z serca gardziła.

Nie myślała o matematyce, tylko o ojcu znajdującym się trzydzieści kilometrów dalej, w sądzie w Muskegee Falls. Nie myślała o matematyce ani innych lekcjach żadnego dnia nowego semestru, myślała tylko o ojcu znajdującym się w sądzie w Muskegee Falls i robiło się jej niedobrze z poczucia winy, że nie jest tam z nim, była chora z przerażenia, że ojca sądzono.

Nie dało się skupić na nauce, tak jak nie dało się w nocy spać, kiedy ojca sądzono. Żaden element normalnego życia nie był możliwy, choć kazano jej udawać, że jest inaczej. Niesłyszenie tego, co czasami do niej mówiono, okrutnych komentarzy rzucanych w jej kierunku jak kamienie, które mogą uderzyć w cel albo nie: „To ta Dunphy. Jej ojciec to ten świr ze strzelbą, sądzą go, walczy o życie”.

Na dziedzińcu podchodziły do niej dziewczyny z liceum, otaczały ją, któraś mówiła rozbawionym głosem: „Co ty niby próbujesz udowodnić? Że nie jesteś KOBIETĄ? To czym jesteś? Wygląda na to, że urwałaś się z epoki kamienia łupanego”.

Słyszała już wcześniej odniesienia do epoki kamienia, ale nie miała pojęcia, co to znaczy. Kiedy jeden z nauczycieli wspomniał w klasie, że w Stanach Zjednoczonych żyją dziś „pewni ludzie”, którzy chcieliby cofnąć kalendarz do epoki kamienia, Dawn zastanawiała się z niepokojem, czy to komentarz dotyczący jej albo kogoś z jej rodziny...

Czuła taki ogromny wstyd. Pragnęła skurczyć się jak jeden z tych robaczków, na które nadeptuje się na chodniku, kiedy zwijają się, by wydawać się mniejsze.

Nie. Czuła taki ogromny gniew. Gorzał w jej wnętrzu, gwałtowny i gorący. Palce napinały się, chcąc zwinąć w pięść, uderzyć tę dziewczynę w szyderczą twarz i upuścić jej krwi. Kiedy pozostałe zaczęłyby krzyczeć, ruszyłaby i na nie, waląc obiema pięściami w kpiące twarze, aż wszystkie zaczęłyby krwawić i dziewczyny uciekłyby w przerażeniu przed gniewem młota.

Jezus powiedział: *Nie przyszedłem przynieść pokoju, ale miecz*. W wizji Dawn ten miecz Jezusa był młotem.

Bezsenne noce przynosiły młot Jezusowy. Jakimś sposobem ta wizja zawsze była kompletna. Dawn chciała o niej z kimś porozmawiać, może z wielebnym Dennisem, ale nie mogła zmusić się do mówienia, gdy nadarzała się okazja.

Niewiele wiedziała o wielkim ucisku. Miał to być czas trudu, problemów, katastrof, ostatnie dni przed tym, gdy Jezus powróci, by założyć swoje Królestwo na ziemi i nawrócić lud Izraela... Nic z tego nie rozumiała. Nigdy nie słuchała zbyt uważnie. Nie miała pojęcia, kiedy to nastąpi – za sto lat, za tysiąc, za kilka? Nie potrafiła myśleć, że jej ojciec, sądzony przez hrabstwo Broome, jest w jakikolwiek sposób związany z tak ogromnym proroctwem, ale oczywiście w tych kwestiach Dawn Dunphy nie mogła mieć całkowitej pewności.

A pokój Boży, który przewyższa wszelki umysł. Jestem drogą i prawdą, i Życiem.

W szkole miała już teraz nawyk niesłyszenia. Wiedziała, że przepchnęli ją do dziewiątej klasy – nikt tego nie ukrywał. Inni uczniowie, którzy ledwo pisali, czytali i liczyli, również kończyli ósmą klasę i szli do dziewiątej, a potem, po ukończeniu szesnastu lat, mieli odejść ze szkoły i nie przysparzać okręgowi więcej kłopotów, jednak Dawn Dunphy nie zamierzała odchodzić – chciała ukończyć szkołę.

Tata powiedział jej kiedyś, że będzie dumny, jeśli Dawn ukończy szkołę. Tata był niezadowolony, że Luke rzucił naukę w dzień swoich szesnastych urodzin. Dawn powiedziała: „Tak zrobię, tato. Ukończę szkołę. Obiecuję”.

Siedziała z tyłu klasy, gdzie nikt nie słuchał. „Strefa śmierci”, pyskujący chłopcy i wśród nich jedna dziewczyna, Dawn Dunphy, w koszuli wyjętej na ogrodniczki i znoszonych adidasach w rozmiarze dziesięć, z niechlujnie ostrzyżonymi włosami (przez ciotkę Mary Kay) odsłaniającymi kark.

W pierwszym tygodniu zajęć z algebry Dawn próbowała uważać mimo głupich komentarzy i żartów szeptanych przez chłopców, próbowała słu-

chać nauczyciela, zapisującego cyfry i równania na tablicy klikającą białą kredą... Ale potem jakoś się poddała, myślała o ojcu, który jest sądzony.

Młot Jezusowy! Chciałaby mieć taki młot, gdyby mógł być ogromnym młotem, na przykład wychodzącym z chmury, by zniszczyć sąd i areszt tak jak Samson powalił mury świątyni.

W dziewiątej klasie jej wychowawczynią nie była panna Schine. Co prawda Dawn nie kochała już panny Schine (która ją zdradziła), ale bardzo za nią tęskniła. Nie miało jednak sensu chodzić na korytarz ósmej klasy, bo ktokolwiek by ją zobaczył (w tym panna Schine), od razu by wiedział, po co Dawn tam przyszła, i szydziłby, i się śmiał.

W klasie wychowawczej panny Schine (w której odbywały się też angielski i zajęcia świetlicowe) Dawn Dunphy siedziała z przodu. Jednak w nowej sali posadzono ją na samym końcu. Na wszystkich lekcjach w dziewiątej klasie siedziała na samym końcu. Nienawidziła z całego serca tego, że nauczyciele ją lekceważą, oczekują, że po szesnastych urodzinach odejdzie jak inni kiepscy i sprawiający kłopoty uczniowie, chłopcy i dziewczęta, do których nikt nie miał cierpliwości.

W tamten wrześniowy wtorek zajęcia nagle przerwano. Dobiegający z głośników głos dyrektorki ledwo można było poznać, taki był nerwowy i zdyszany.

„To jest alarm. Wszyscy uczniowie mają natychmiast opuścić sale wykładowe i wrócić do klas wychowawczych, gdzie otrzymają dalsze instrukcje...”

Wychodzenie z sali na korytarz oznaczało chaos i tumult. Można by pomyśleć, że w szkole wybuchł pożar, ale przecież alarm pożarowy nie zadźwięczał, a do hałasu byli przyzwyczajeni, bo próbne ewakuacje przechodzili raz w tygodniu, teraz jednak panowała cisza, tylko głos z głośnika powtarzał komunikat o niebezpieczeństwie niczym robot, tyle że mówiła żywa osoba, słychać było oddech i lekkie zacinanie się.

Tak jak pozostali Dawn zabrała swoje rzeczy. Podręczniki, plecak. Serce waliło jej w piersi, bo wyobraziła sobie, że to młot Jezusowy uderzył w szkołę...

W jednej chwili przyciskała palce do uszu, by zdusić dźwięki i słyszeć wyraźniej – BUM BUM BUM – pulsowanie swojej krwi, a minutę później, wyszedłszy z innymi, próbowała się nie przepychać, nie potrącać (panika na schodach), a potem w klasie wychowawczej ciężko usiadła w swojej ławce na końcu, którą potrącali inni uczniowie próbujący dostać się na miejsca, zdezorientowani pustymi spojrzeniami dorosłych, pustymi, przestraszonymi spojrzeniami dorosłych, zazwyczaj opanowanych, kontrolujących i wszystkowiedzących.

Kiedy już usiedli, z głośnika znowu dobiegł urywany, drżący głos:

„Stany Zjednoczone zostały zaatakowane przez wrogi kraj. W Nowym Jorku i w Waszyngtonie miały miejsce ataki bombowe. Nie wiadomo, czy prezydent Stanów Zjednoczonych żyje, ale wiadomo, że tysiące ludzi zginęły w wyniku eksplozji, spodziewane są kolejne ataki terrorystyczne. Zaleca się, byście pozostali w klasach wychowawczych do czasu, kiedy będziecie mogli wrócić do domów..."

W klasie Dawn pani Lichtman musiała usiąść, nagle osłabła, jej twarz pobladła. Okropnie jest widzieć tak przestraszonego nauczyciela, nie rozumieć, co się dzieje i co wydarzy się za chwilę. Zwykle dowcipkujący chłopcy zamilkli jak reszta, przerażeni i zdezorientowani. Wśród nich siedziała zahipnotyzowana Dawn Dunphy, jakby Jezus odpowiedział na jej modlitwy w sposób, którego nie przewidziała i jeszcze nie potrafiła pojąć.

Nasłuchiwaliśmy samolotów, myśleliśmy, że zaraz zrzucą bomby. Pozwolono nam wierzyć, że to inwazja jakiegoś wrogiego kraju. Dyrektorka, pani Morehead, powtarzała cały czas to samo, jakby tylko to wiedziała i potrafiła powiedzieć i nie umiała przestać. A potem w końcu głośnik przełączono na audycję radiową i słuchaliśmy wiadomości, nie wiedząc, co oznaczają, i tak czekaliśmy, aż bomby spadną na naszą szkołę, aż wbiją się w nią samoloty, i dopiero kiedy po dzieci zaczęli przyjeżdżać rodzice, wszyscy mogliśmy wyjść i wróciliśmy do domów oglądać telewizję z rodzicami, tamtego dnia, 11 września 2001 roku, kiedy zniszczono World Trade Center, i patrzyliśmy, jak dwie wieże eksplodują i zapadają się, eksplodują i zapadają się tysiące razy w gorejącym kataklizmie jak w boskim gniewie.

W Sądzie Okręgowym Hrabstwa Broome w Muskegee Falls przerwano proces Luthera Dunphy'ego. Przysięgłych zwolniono do odwołania, salę i budynek sądu opróżniono, oskarżonego przewieziono w kajdankach na rękach i nogach z powrotem do aresztu. Proces wznowiono dopiero w następny wtorek, kiedy miejscowe siły bezpieczeństwa uznały, że ryzyko ataku terrorystycznego w Muskegee Falls jest niewielkie.

W całych Stanach Zjednoczonych ogłoszono wysoki stopień zagrożenia.

Sąd Okręgowy Hrabstwa Broome miał być chroniony dodatkowymi siłami policji stanowej, które były obecne zarówno w sali, jak i przed budynkiem. Każda osoba wchodząca do środka i przechodząca przez bramkę z wykrywaczem metali była dokładnie sprawdzana, wielu wchodzących również przepytywano. Pojawiły się plotki (niepotwierdzone) o bombach, które miały wybuchnąć w sądzie i jego pobliżu, ale nigdy nie sprecyzowano, kto miał je podłożyć – islamscy terroryści czy aktywiści pro-life.

Na Depot Street po południu, wieczorem i nocą 11 września 2001 roku oglądano wiadomości telewizyjne. Na początku nerwowo przeskakiwano z kanału na kanał, w końcu jednak przełączono na znajomą kablówkę, która nadawała *Godzinę z Tomem McCarthym*.

Nigdy dotąd Edna Mae nie była tak przyklejona do telewizora. Nigdy dotąd nie pozwalała młodszym dzieciom oglądać tego rodzaju programów w obawie, że będą miały „złe myśli" i koszmary. Ale teraz coś się zmieniło – w Mamu pojawił się dziwny podminowany spokój, który zauważyli Dawn i Luke (chłopak przyjechał do ciotki, by oglądać informacje o atakach terrorystycznych wraz z rodziną, bo pracowników zwolniono do domów), jakby wszystko to, czego Mamu się bała i na co miała nadzieję, właśnie się spełniło i chronienie młodszych dzieci przed świadomością potwornego boskiego gniewu straciło sens.

Ogniste eksplozje bliźniaczych wież World Trade Center pokazywano raz po raz. Filmy z ogarniętych chaosem ulic Nowego Jorku, szokujące widoki, których nie chciało się oglądać – ludzie spadający z drapaczy chmur, ciała

nieodróżnialne od gruzów, w których leżały. Pożary, syreny. Choć był środek dnia, w Ground Zero panował zmierzch. Długo po pierwszych eksplozjach w powietrzu wisiało coś jakby popiół, rozdrobniony papier i sproszkowane kości. Dziennikarz, zaszokowany tym, co widział, rzucił jakiś niezdarny żart o szczurach – podobno w Nowym Jorku żyły miliony szczurów, co się teraz z nimi stało? – ale nikt się nie roześmiał. Znów powtórka upadających wież. Nakładające się, kłócące głosy.

Stany Zjednoczone zostały zaatakowane przez inny kraj.

Który kraj?

Jeden z krajów arabskich. A może więcej niż jeden. Z Bliskiego Wschodu.

Dlaczego? Bo Arabowie wierzą w Mahometa, a nie w Jezusa Chrystusa. To są mahometanie, którzy nienawidzą amerykańskiej demokracji i chcą nas zabić.

To są muzułmanie...

Czasami nazywa się ich mahometanami – takiego terminu się używa.

Zwykle nazywa się ich muzułmanami. A ich religia to islam.

Islam – tak sami siebie nazywają, czy to nasza nazwa dla nich? Czczą jakiegoś proroka – Mahometa...

Nienawidzą chrześcijaństwa i nienawidzą Żydów, i od 1948 roku to jest ich cel: zniszczyć państwo Izrael.

Dlaczego? W muzułmańskim świecie nienawidzą otwartego, kochającego wolność społeczeństwa wykształconego tak jak Amerykanie.

Nienawidzą Żydów, bo Żydzi są lepsi od swoich sąsiadów Arabów, co udowodnili w wojnie sześciodniowej...

Dzisiejsze ataki terrorystyczne to dopiero początek. Jeśli nie powstrzyma ich lotnictwo USA, to zniszczą wolny świat. Nienawidzą wszystkich chrześcijan. Są również wrogami Żydów, a ich celem jest zniszczyć państwo Izrael przed przyjściem Chrystusa i nawróceniem Żydów.

I znowu oglądali, jak płomienie pochłaniają wieże. I znowu oglądali, jak w drugą wieżę uderza samolot. I (to był zawsze cud, choć cud przerażenia)

znowu oglądali, jak wieże zapadają się w ogniu i unoszącym się kurzu niczym w obłokach pary.

Edna Mae nagle zrozumiała. To musi być początek ostatnich dni – początek wielkiego ucisku. Przypomniała Dawn i Luke'owi, jak ostatnim razem zabrała ich w odwiedziny do Luthera, jak byli zdziwieni, bo bardzo zeszczuplał, jego włosy posiwiały i przerzedziły się, ramiona i ręce stały się umięśnione, jakby ćwiczył w swojej celi. I jaki był spokojny, innym spokojem, jakby tylko się uśmiechał, nie słysząc większości tego, co mówili. W takich chwilach Edna Mae nerwowo trajkotała i nawet Dawn coś plotła. Potem jednak, kiedy zbierali się do wyjścia, Luther pochylił się do przodu, by położyć otwartą dłoń na pleksiglasowej szybie, w milczeniu.

– Jakby nas błogosławił. Tak zrobiłby Jezus. Nie powiedział ani słowa. Ale może wiedział.

Ciotka Mary Kay zdążyła już pójść do łóżka. Młodsze dzieci wyczerpane zasnęły na kanapie. Dawn i Luke wymienili spojrzenia i się wzdrygnęli.

Edna Mae mówiła dalej, z nieobecnym uśmiechem:

– Może myślał, że już nas nie zobaczy. W tej ziemskiej postaci. Ale nie chciał nas przestraszyć...

– Uważasz, że tata przewidział przyszłość? – zapytał Luke. – To wariactwo.

– Wiecie, jaki jest wasz ojciec – zaprotestowała Edna Mae. – Martwi się o nas, nie o siebie.

– Jezu, mamo! To jest chore.

– To nie jest chore. Jak myślicie, dlaczego to wszystko się dzieje, te bomby i terroryści, i wasz ojciec, to, co mu się przydarzyło... Wszystko w tym samym czasie.

– Jezu!

– Uważaj, Luke! Wzywanie imienia Boga nadaremno...

– Jezus to nie Bóg, Jezus to syn. Tak dla twojej informacji, Mamu.

Luke wymawiał „Mamu" nie z dziecięcą czułością, jak kiedyś, ale z nutą pogardy. Dotknięta jego arogancją Edna Mae otwartą dłonią uderzyła go

w ramię, a Luke się zaśmiał.

– Jezus ci wybaczy. Mam taką nadzieję.

– Nie będę na to czekał, mamo. Jezus ma wystarczająco dużo roboty bez zawracania sobie dupy nami.

– Mówisz okropne rzeczy.

– Mówię prawdziwe rzeczy.

Dawn pomagała młodszym dzieciom trafić do łóżek. Najpierw Noahowi, potem Anicie. Miała nadzieję, że przez noc zapomną większość z tego, co widziały w telewizji. Według niej źle się stało, że Edna Mae pozwoliła im oglądać telewizję.

Kiedy Dawn wróciła na dół, Edna Mae i Luke wciąż się sprzeczali. Luke już wychodził – dlaczego po prostu nie wyjdzie? Edna Mae była tak wyczerpana, że ledwie stała na nogach, kołysząc się i zataczając, jakby była pijana – dlaczego po prostu nie pójdzie spać?

Dawn myślała, jakie to dziwne, niemal żenujące (nie chciałaby, by panna Schine o tym wiedziała!), że o tak późnej porze tego koszmarnego dnia jej matka i brat stali i sprzeczali się o coś tak istotnego jak koniec świata.

Od kiedy siedemnaście lat wcześniej wielebny Dennis przyjechał do Muskegee Falls jako gorliwy młody pastor, nikt ze zboru Kościoła Jezusowego Świętego Pawła nie widział go za pulpitem tak rozemocjonowanego.

Jakby piekielne ognie wież World Trade Center sięgały dachu i okien kościoła. W zarumienionej twarzy i wilgotnych lśniących oczach wielebnego Dennisa było widać blask tego ognia. Zdjął formalny czarny płaszcz duchownego i rozpiął kołnierzyk białej bawełnianej koszuli; podwinął rękawy do łokcia, a kiedy machał rękami, patrzyłeś zafascynowany, jak te rękawy zjeżdżają w dół, a on je niecierpliwie podciąga. Jego siwiejące włosy były mokre od potu jak od żelu. Głos wielebny miał przeszywający niczym syrena, nie dało się od niego uciec, nawet jeśli śmiałeś wsadzić palce do uszu.

Zahipnotyzowana Dawn słuchała. Wcisnęła się między Anitę i Noaha i mocno trzymała ich za ręce, wiedząc, że bardzo się boją, a matka w tym

chaotycznym czasie często o nich zapominała. Potem Dawn niewiele pamiętała z tego, co mówił wielebny Dennis, ale nigdy nie zapomniała euforii w jego głosie, tego, jak bardzo chciała w trakcie kazania, które skręcało i kołysało się jak pijana łódź, by spojrzenie duchownego spoczęło właśnie na niej.

– *Potem ujrzałem: Oto drzwi otwarte w niebie, a głos, ów pierwszy, jaki usłyszałem, jak gdyby trąby mówiącej ze mną, powiedział: „Wstąp tutaj, a to ci ukażę, co potem musi się stać”*. Bracia i siostry w Chrystusie, czy jakieś słowa byłyby bardziej odpowiednie niż te z Apokalipsy Świętego Jana? Ten atak terrorystyczny to dla nas boże ostrzeżenie, którego nie możemy zignorować, tak jak ignorujemy inne ostrzeżenia – powodzie, rosnącą temperaturę, fale piekielne: aborcję, antykoncepcję, wzrost homoseksualizmu oraz inne potworności i obrazy boskie. – Wielebny Dennis mówił drżącym głosem przez ponad godzinę, złorzecząc i szlochając, wciąż poprawiając kołnierzyk koszuli, teraz mokrej od potu, tak że było widać pod nią zarys klatki piersiowej, przez co oddech Dawn przyspieszył, jakby zobaczyła coś zakazanego – jak ojca, częściowo rozebranego, w półmroku sypialni rodziców w dawnym domu, Luke’a wsuwającego nagą stopę do nogawki dżinsów, skupionego tak, że nie zauważył Dawn gapiącej się na jego zwinne ciało, na małe wybrzuszenie w obcisłych białych szortach między nogami, napięte mięśnie ud.

Po kazaniu wielebny Dennis wyglądał na wyczerpanego. Wszyscy, którzy go słuchali, byli wyczerpani. Dawn czekała, aż duchowny powie coś o jej ojcu, ponieważ czasami wspominał Luthera Dunphy’ego w kazaniach, prosząc zbór o modlitwy w jego intencji, dzisiaj jednak podekscytowany atakiem terrorystycznym wielebny Dennis wyraźnie zapomniał o Lutherze.

Edna Mae próbowała porozmawiać z pastorem, ale nie mogła przedrzeć się przez otaczający go tłum.

To niesprawiedliwe! Była żoną Luthera Dunphy’ego, a oni nie pozwolili jej porozmawiać z wielebnym Dennisem.

Luke przywiózł rodzinę do kościoła i teraz odwoził ich do domu. Edna Mae w fotelu pasażera biadoliła i szlochała, jak szlocha zagubione dziecko.

– Zapominają o Lutherze! Zapominają, kim jest, czego dokonał, jak się poświęcił.

– Nie płacz, Mamu – powiedziała Dawn. – Nie zapomną o nim.

– Bóg nie zapomni – dodał Luke. – Tylko to ma znaczenie, Mamu.

Dawn siedziała z tyłu, między drżącymi młodszymi dziećmi, zaskakująco milczącymi. Nie wierciły się, jakby mimo wczesnej pory były już zmęczone i gotowe iść spać. Dawn poszukała we wstecznym lusterku spojrzenia brata, ale on unikał jej wzroku, nie chciał popatrzeć do tyłu.

Niemal kpiąco powtórzył:

– Liczy się tylko Bóg, rozumiecie? Reszta to bzdura.

Pomóż mi, Jezu! Mąż potrzebuje mnie przy sobie w tej godzinie próby.

Rano Edna Mae znowu nie miała siły podnieść głowy z poduszki. W kościach czuła koszmarne zmęczenie, jakby w nocy szpik zmienił się w ołów.

Jak każdego ranka przed wyjściem do szkoły, Dawn przyszła błagać: „Mamu! Obudź się”. Edna Mae chciała zaprotestować, że przecież nie śpi. Jej mózg nie spał. Ale nie mogła otworzyć oczu. Ledwo też poruszała kończynami. Jeśli ręce i nogi nie były jak z ołowiu, robiły się lekkie jak powietrze i oddzielone od ciała, więc też nie dało się nimi poruszyć. W ustach tak bardzo zaschło po lekach, że nie mogła nic powiedzieć.

Tak wyglądał poranek za porankiem przez resztę tego koszmarnego września 2001 roku. I każdy poranek przynosił niespodziankę (pozorną) dla Edny Mae, która poprzedniego wieczoru postanawiała, że następny dzień będzie inny.

Będzie uczestniczyć w procesie. Przysięgała. To już ostatnie dni – tak sądziła. Rozpoczął się wielki ucisk. Kataklizmy, pożary, powodzie. Trzęsienia ziemi, zaraza. Ataki terrorystyczne to pierwsze uderzenie boskiego gniewu. Dziwiło ją jednak, tak jak innych w Mad River Junction, że po zniszczeniu Ground Zero nie wydarzyło się nic więcej – naprawdę nic nie przydarzyło się mieszkańcom Mad River Junction.

– Edno? Edno!

Jakaś twarz tak blisko jej twarzy, że Edna Mae z trudem rozpoznała ciotkę. Mary Kay Mack pstrykała palcami, by obudzić Ednę Mae, która nie spała przy kuchennym stole, gdzie nasypała płatków do miski, ale nie miała już siły, by nalać do niej mleka, wziąć łyżkę i zjeść.

– Edno Mae. Właśnie dzwonili. Ława przysięgłych obraduje. Może powinnaś być przy Lutherze?

Zdezorientowana Edna Mae zobaczyła, że jest dwunasta dwadzieścia pięć. Ostatnie, co pamiętała, to jak schodziła na śniadanie koło wpół do dziesiątej.

– Dzwonił prawnik Luthera. Mają nadzieję na najlepsze. Możemy tam teraz pojechać, jeśli dasz radę.

– Tak.

Ale nagle poczuła się taka zmęczona! Ukryła twarz w dłoniach.

Werdykt

– Czy przysięgli ustalili werdykt?

– Tak, Wysoki Sądzie.

Sędziemu podano kartkę papieru. Rozłożył ją, przeczytał i oddał z powrotem woźnemu.

– Uznajemy oskarżonego za winnego zarzucanych mu czynów. Podwójne morderstwo pierwszego stopnia: winny.

To było zaskoczenie! Z biciem serca zdał sobie sprawę, że oczekiwał innego werdyktu.

Ale ja jestem niewinny. Bóg mnie oszczędzi.

Musiał przyznać, że to było zaskoczenie, a nawet szok, szok, choć uważał się za odpornego, niepodatnego na to, co ziemskie. Ale potem zrozumiał – Bóg wystawił go na próbę.

Dlatego Luther się uśmiechnął, jego twarz odmienił promienny uśmiech.

We wszystkich kończynach, teraz porządnie umięśnionych, bez grama tłuszczu po miesiącach ostrych ćwiczeń w celi, poczuł dreszcz nowo odnalezionej siły, wytrzymałości.

Wrócił do celi w areszcie. Jego celi, jak się z czasem okazało.

Młodszy strażnik nie był już taki przyjazny. Od czasu rozmowy w furgonetce, kiedy zapewniał Luthera, że któregoś dnia wyjdzie z sądu jako wolny człowiek, nie zamienili właściwie słowa. Starszy strażnik, który w ogóle nie lubił Dunphy’ego i wyzywał go, teraz ostentacyjnie okazywał brak sympatii. Wymamrotał coś jakby: „Skurwiel. Dostałeś, na co zasłużyłeś”.

Adwokat Luthera również był zaskoczony. Zdziwiony.

No dobrze, może nie zaskoczony. Ale zdziwiony.

Zapewnił, że będzie się odwoływał.

Bez względu na wyrok, będzie się odwoływał. Tyle że teraz młody obrońca z urzędu nie był już takim optymistą. Mówił powoli, nieskładnie. Miał zatroskane spojrzenie. Zniknęła gdzieś jego dawna niemal radosna energia i u Luthera pojawiła się iskra współczucia, bo zawiódł tego młodego człowieka.

Był jednak pewien, że Bóg go nie opuścił.

Wyrok

Pięć dni później w Sądzie Okręgowym Hrabstwa Broome usłyszał wyrok skazujący go na śmierć.

Właśnie takie słowa usłyszał, choć nie pojął ich do końca:

– Lutherze Dunphy, zostałeś skazany na śmierć.

Tego ranka sędzia przemawiał dłużej. Tym swoim nadętym, skrupulatnym głosem pełnym lekceważenia, antypatii, dezaprobaty (a przecież głosem syna Ohio, zapewne urodzonego niedaleko Muskegee Falls, tak jak Luther Dunphy, który urodził się trzydzieści kilometrów od Muskegee Falls i całe życie spędził w okolicy) sędzia mówił o tym, jak Luther zabił z zimną krwią dwóch ludzi. To były morderstwa z premedytacją, które dokładnie zaplanował – przyjechał z domu oddalonego o niecałe pięć kilometrów z dwulufową strzelbą kaliber 12, czyli narzędziem zbrodni, pozostał w samochodzie do przyjazdu ofiar, a potem ruszył za nimi na oczach licznych świadków. To nie było impulsywne, spontaniczne działanie pod wpływem emocji, ale dokładnie opracowany plan, zemsta, która przybrała wykrzywioną, zdeformowaną maskę chrześcijańskiej wiary.

Zarówno Augustus Voorhees, jak i Timothy Barron, co zeznali świadkowie, błagali o życie, a on mimo to ich zabił.

Świadkowie wspominali o braku emocji u skazanego. Na sali sądowej w trakcie procesu oskarżony też dobitnie pokazał, że nie odczuwa wyrzutów sumienia z powodu tych okrutnych zbrodni, tylko rodzaj dumy.

– Ten wyrok daje jasny sygnał wszystkim, którzy uważają, że mogą łamać, lekceważyć i naruszać prawa stanu Ohio i Stanów Zjednoczonych Ameryki z powodu wiary czy ideologii. Sąd nie będzie tego tolerował, a naruszenia prawa zamierza karać maksymalnymi wyrokami. Lutherze Dun-

phy, niniejszym skazuję cię na umieszczenie w więzieniu federalnym w Chillicothe, gdzie w terminie, który zostanie określony później, zostaniesz stracony przez śmiertelny zastrzyk.

Obrońca złapał Luthera za rękę, by nie jego, ale siebie utrzymać w pionie.

Tamtego ranka na sali sądowej nie było przysięgłych. Pojawiło się tylko kilka osób. Personel sądowy, woźni. Wszystko szło bardzo sprawnie. Luther czekał, czy sędzia powie coś więcej, ale ten już wychodził z sali. To wszystko, co działo się tak powoli przez wiele miesięcy, teraz nagle wydarzyło się szybko – to było nie w porządku.

Do Luthera podeszli już strażnicy, by go wyprowadzić. Zaskoczony zobaczył, że na sali są jego bracia Norman i Jonathan; patrzyli nań z przerażeniem. Nie zauważył ich przedtem, prawda? Podniósł słabo rękę w braterskim geście jednocześnie zakłopotania i uspokojenia: Nie martwcie się! To się nigdy nie wydarzy. To próba od Boga. Miejcie wiarę.

Później zdał sobie sprawę, że drugi proces trwał krócej niż pierwszy. Mniej świadków opisujących jego charakter zeznawało na jego korzyść. Nie pojawił się były ksiądz Stockard. Przyjaciel Luthera.

Zła wiadomość

Wiadomość dotarła do Mad River Junction.

Na początku Edna Mae nie rozpoznała nazwiska. Ani ochrypłego głosu.

Dzwonił obrońca Luthera. Przejęty, pełen troski młody człowiek, z którym rok wcześniej wymieniła kilka niezręcznych zdań, a którego twarz i nazwisko zupełnie wyleciały jej z głowy.

Mówił, że nie ma dobrych wiadomości. Zwracał się do niej: „Pani Dunphy”.

Mówił, że sędzia nie znalazł okoliczności łagodzących. Że sędzia skazał jej męża na śmierć.

– Śmierć? – Edna Mae nie rozumiała.

Stała nieruchomo, trzymając słuchawkę w ręku; miała tak otępiały wyraz twarzy, że Mary Kay Mack szybko odebrała jej telefon. Zapytała:

– Czy można... czy pan może złożyć apelację?

Prawnik powiedział, że tak. W wyrokach śmierci apelacja jest oczywista.

Więc tak, może złożyć apelację w imieniu Luthera i to zrobi. Tylko że...

– Tak? Słucham?

Tyle że powinni być przygotowani, że wyrok się nie zmieni. Sędzia bardzo uważnie prowadził proces, bardzo profesjonalnie, drobiazgowo. Dobrze znał kontrowersyjny charakter tej sprawy i wiedział, że apelacja zostanie złożona...

– Och. Mój Boże.

Mary Kay wydała dźwięk przypominający szloch – ostry, suchy, zaskakujący u kogoś zwykle tak radosnego i zadowolonego.

Edna Mae wciąż stała obok niej nieruchomo, jakby zabrnęła do kuchni bez konkretnego powodu albo o nim zapomniała.

Kiedy Mary Kay rozmawiała przez telefon ściszonym, pełnym niedowierzania, zaskoczenia i strachu głosem, przyszły młodsze dzieci, jakby je zawołano (oczywiście nikt ich nie wołał), a potem wbiegła zasapana Dawn, przerażona, jakby z odległego zakątka domu udało się jej usłyszeć te kluczowe słowa.

– O co chodzi? Z kim rozmawiasz? Czy to...

Mary Kay gestem kazała Dawn się cofnąć i milczeć.

– Chodzi o tatę? Zapadł werdykt?

I wtedy Edna Mae straciła nad sobą panowanie i równowagę; próbując ominąć opryskliwą denerwującą starszą córkę, jakby szukała spokoju w innej części domu, zakołysała się i ciężko upadła na podłogę, cicho jęknąwszy. Dawn nie udało się uchronić matki przed upadkiem. Uklękła obok kwilącej Edny Mae i zawodziła:

– Mamu! Mamu!

Młodsze dzieci zaczęły płakać. Mary Kay powiedziała prawnikowi, że musi kończyć i oddzwoni w ciągu godziny.

Edna Mae leżała na boku na podłodze, półprzytomna, blada, z zaciśniętymi powiekami. Dawn wciąż klęczała nad nią, zawodząc „Mamu” (jak później opowiadała rodzinie Mary Kay), jakby dziewczynce pękło serce.

Przedwiośnie

– To ona? Ta Dunphy?

– Jej ojciec zabił tamtych ludzi...

– Siedzi w celi śmierci...

– Rany, jaka ona pospolita! Ma gębę jak buldog.

Ukryła się za śmierdzącym śmietnikiem. Czekała.

Błędem było chodzenie do spożywczaka na Szesnastej Ulicy w pewnych godzinach.

Zbyt wcześnie po szkole. (Ale tego błędu Dawn nigdy by nie popełniła). I w innych porach, jeśli w środku byli głośno rozmawiający chłopcy albo dziewczyny, które znały Dawn Dunphy ze szkoły albo wiedziały o niej.

Tego, co mówiły te donośne głosy, nigdy nie słyszała.

Nie przeszkadzało jej czekanie. Była przyzwyczajona do czekania. Była przyzwyczajona do śmierdzących śmietników.

Co z nami będzie? Nikt nie chciał pytać.

Przy Ednie Mae trzeba było szczególnie uważać. Nie dawało się już nawet powiedzieć „tata” ani „Chillicothe” (tam osadzono Luthera), bo to ją denerwowało: przyciskała wtedy dłoń z błękitnymi żyłami do serca, a oczy łzawiły jej z bólu.

Cela śmierci.

Skazany na śmierć.

Śmiertelny zastrzyk.

Unikali rozmów na ten temat. Nawet Luke.

By odnieść się do sytuacji, używali tylko słowa „sprawa”. Na przykład „przed sprawą” albo „po sprawie”. Choć nie było do końca jasne, czy „sprawa” oznacza dzień, w którym ojciec zastrzelił dwóch mężczyzn przed kliniką, czy fakt, że go aresztowano i osadzono, czy drugi proces, werdykt i potworny wyrok skazujący.

Zarzut podwójnego morderstwa pierwszego stopnia.

Skazany na śmierć.

Apelacja czeka na rozpatrzenie.

W apelacji cała nadzieja! Oprócz obrońcy z urzędu w sprawę Luthera był teraz zaangażowany zespół prawników specjalizujących się w karze śmierci.

Wnosili, że był niewinny z powodu (czasowej) niepoczytalności.

Albo wnosili, że był niewinny z powodu niepoczytalności.

Luther Dunphy ze złością odrzucał tę strategię obrony, ale z jakichś powodów formalnych obrona mogła zaprezentować taką wersję w sądzie apelacyjnym Ohio bez zgody oskarżonego.

Nikt z Dunphych nie wierzył, że egzekucja kiedykolwiek się odbędzie, ponieważ republikański gubernator Ohio mógł złagodzić wyrok Luthera Dunphy’ego, zmienić go na dożywocie, jeśliby zechciał, a wiadomo było, że gubernator otrzymuje petycje od polityków wspierających ruch antyaborcyjny oraz od członków wspólnot chrześcijańskich z Ohio i Środkowego Zachodu. Mówiło się też, że pewien bogaty przedsiębiorca z Ohio wywiera naciski na gubernatora, którego kampanię pomógł sfinansować (nazywał się Bear lub Beard) – Dawn to podsłuchała... Edna Mae nie lubiła rozmawiać o takich rzeczach, ponieważ nadzieja ją niepokoiła, ale Dawn chciała wiedzieć jak najwięcej, ponieważ pragnęła zachować nadzieję.

I dobre wiadomości naprawdę nadeszły. Któregoś dnia prawnik Luthera zadzwonił z dobrymi wiadomościami.

Egzekucję zaplanowaną na 16 kwietnia 2002 roku przełożono na 29 października 2002 roku. Istniało też duże prawdopodobieństwo, że zostanie po-

nownie przełożona, by zespół apelacyjny miał szansę przedstawić sprawę w sądzie.

Każdego wieczoru Dawn wykreślała kolejny dzień w kalendarzu, który chowała w szufladzie biurka w swojej sypialni. Każdego ranka odnotowywała, ile zostało dni do 29 października...

To się nie wydarzy, Jezus zainterweniuje.

Wiemy to. Wierzymy.

Edna Mae byłaby zła, gdyby zobaczyła kalendarz Dawn, w którym data 29 października była zakreślona czarnym krzyżykiem. Nawet Mary Kay mogłaby się zdenerwować.

Dopóki Luther Dunphy żył, była nadzieja.

Luthera osadzono w więzieniu federalnym w Chillicothe w Ohio. A dokładniej osadzono go w celi śmierci – tak nazywała się ta część więzienia: cele śmierci.

Odwiedziny stały się teraz trudniejsze, bo Chillicothe leżało trzy godziny drogi samochodem od Mad River Junction. Więzienie w Muskegee Falls było oddalone o niecałe trzydzieści kilometrów.

Odwiedziny okazały się trudniejsze również z innych powodów. Edna Mae bardzo często czuła się źle, a Luke nie zawsze miał czas, żeby pojechać. Raz, kiedy w końcu się wybrali (Luke prowadził samochód Mary Kay, który grzechotał i podskakiwał na międzystanowej, Edna Mae siedziała z przodu, a Dawn z młodszymi dziećmi – ściśnięta z tyłu), okazało się, że Luther Dunphy również źle się czuje, cierpi na jakiś rodzaj grypy, która uniemożliwa mu przyjmowanie odwiedzających. Innym razem całe więzienie Chillicothe zamknięto, bo jeden z osadzonych próbował zadźgać strażnika.

– Wasz ojciec wie, że o nim myślimy i się za niego modlimy. Może na razie to wystarczy – powiedziała im Edna Mae z dzielnym uśmiechem.

Koniec marca 2002 roku. Przedwiośnie, czas błota, jak mówią w Mad River Junction.

Topniejący śnieg i lód. Kapanie z dachu. Wysokie zaspy śniegu powoli schodzącego do rynsztoków i rowów. Mokre chodniki, kałuże. Błoto na polach i ścieżkach. Wszędzie pozostałości zimy – nagie gałęzie drzew, zgniłe liście, szkielety choinek porzuconych w pustych miejscach, podarte papiery, butelki. Słońce jasno i mocno świeciło w połowie dnia, a po południu zaczynało słabnąć. Robiło się zimno i śmierdziało metalicznie, aż Dawn szczypało w nozdrzach.

Miała piętnaście lat. Powtarzała dziewiątą klasę.

Przez kilka tygodni tamtej zimy grała w koszykówkę w dziewczęcej drużynie licealnej. To się wydarzyło nagle, jak cud. Dawn Dunphy na chwilę wróciła do łask: „Nie jest taka zła. Jest po prostu nieśmiała. Szkoda tylko, że kiedy się ekscytuje, zaczyna śmierdzieć”. Dawn Dunphy nie była najszybszą zawodniczką w drużynie ani też najzdolniejszą, ale za to najbardziej niezawodną, najsilniejszą i jedną z najwyższych – miała sto siedemdziesiąt dwa centymetry wzrostu, ważyła sześćdziesiąt sześć kilo. Okazała się najbardziej wytrzymała, potrafiła grać przez cały mecz bez przerwy, choć dyszała i szaleńczo się pociła, z mokrymi plamami na ciemnozielonym stroju, zawsze też gotowa podać piłkę tym dziewczętom, które rzucały dużo lepiej od niej – „Doskonała gra zespołowa Dawn Dunphy. Jeśli cię nie stratowała jak koń”.

Raz została tak podstępnie przewrócona na parkiet przez zawodniczkę z przeciwnej drużyny, że sędzia orzekł faul, Dawn dostała dwa rzuty wolne – i oba spudłowała. Jednak aplauz na sali gimnastycznej i tak był ogłuszający, wiwaty, okrzyki, tupanie. „Dun-phy! Dun-phy!” Entuzjazm dla zarumienionej Dawn i jej potężnych, umięśnionych i owłosionych jak męskie nóg podszyty był śmiechem, ale ona czuła, że to śmiech sympatii. A nie złośliwy.

(*To najszczęśliwszy dzień mojego życia. Dziękuję ci, Jezu.* Dawn wiedziała: Jezus sprawił, że to wszystko w ogóle się wydarzyło. Nie pomagał jednak w rzucaniu do kosza, bo to już coś innego, coś, co nazywa się wolną wolą).

Potem jednak zaczęły się skargi. Dziewczęta niewybrane do drużyny skarżyły się dyrektorowi, że nauczycielka wychowania fizycznego faworyzuje Dawn Dunphy, która przecież w ogóle nie powinna znaleźć się w drużynie, ponieważ ma słabe stopnie, ledwo zaliczała testy, choć powtarza dziewiątą klasę, a w dodatku skoro jest dopiero w dziewiątej klasie, to (teoretycznie) ma jeszcze dość czasu, by występować w drużynie w następnych latach. (Jakby Dawn Dunphy miała pozostać w szkole po ukończeniu szesnastu lat). I tak Dawn musiała odejść i nigdy całkiem się po tym nie otrząsnęła, bo nie zdążyła się nawet przyzwyczaić do tego, że jest w drużynie, w której przez magiczne trzy tygodnie czuła się tak wyróżniona.

„Dawn, naprawdę mi przykro. W przyszłym roku, obiecuję. Dobrze?” Nauczycielka wuefu, która również sędziowała mecze, naprawdę lubiła Dawn. Być może po prostu jej współczuła (wiedząc o mordercy Lutherze Dunphym czekającym na wyrok w celi śmierci), ale nie dlatego włączyła ją do drużyny. Zrobiła to, ponieważ Dawn była niezłą zawodniczką, jej wzrost i sylwetka onieśmielały przeciwniczki, a reszta drużyny się nie sprzeciwiła, przynajmniej nie zdecydowanie. Moda na Dawn Dunphy w liceum Mad River Junction oznaczała, że uczniowie byli zadowoleni z tego, jak wspaniałomyślnie się zachowują. Skończyło się to jednak równie nagle, jak się zaczęło.

W jej życiu często zdarzały się takie niespodzianki. Przyzwyczaiła się. Albo chciała tak myśleć.

– Dun-phy – pasz-tet!

– Dun-phy – zdech-lak!

Tak intensywnie myślała o drużynie koszykarskiej i rzutach wolnych, które spudłowała, czy raczej prawie trafiła (przy drugim piłka obiecująco toczyła się po obręczy, a publika szalała), że nie rozglądała się wokół i nie usłyszała zbliżających się chłopaków, gdy schodziła pod wilgotny wiadukt na Fort Street. Nagle ich głosy zrobiły się głośne, pobrzmiewało w nich zadowolenie, odbijały się w betonowym przejściu. Dawn przyspieszyła niemal do biegu, by uciec. Ledwie słyszała skandowane słowa, tak mocno waliło jej serce. „Dun-phy – zdech-lak”.

To z jej ojca się wyśmiewali. Z opóźnieniem zdała sobie z tego sprawę; wściekłość i wstyd zabolały.

Chłopaków było pięciu, sześciu albo siedmiu. Starszych od niej, ale z zachowania młodszych; byli jak dzieciaki z podstawówki. Znała niektórych z imienia, znała ich twarze. Nie wiedziała, że jej nie lubią. Nie wiedziała, że jej nienawidzą. Ale w Dawn było coś, co ich irytowało, budziło szyderstwo – coś mającego związek z jej ciałem, kobiecym, ale noszonym jak męskie. Dawn kołysała się, idąc, mocno stawiała stopy od pięt, brnąc do przodu ze spuszczonymi rękami. Brwi rosły gęste nad głęboko osadzonymi oczami. Miała niskie, często zmarszczone czoło, mocne ręce i ramiona. Wkładała ubrania, które mógłby nosić chłopak, ciemne lub khaki, nijakie: sztruksy, flanelowa koszula, pod spodem ciemna bawełniana koszulka, poliestrowa kurtka i znoszone adidasy.

Obserwowała ich kątem oka spod zmrużonych powiek.

– Dun-phy! Twój ojciec zdechnie!

Śmiech idioty, jak kamyki potrząsane w metalowym pojemniku. Nie było w nim nawet okrucieństwa, raczej brak treści, pustka. Brzydzili ją, mierzili. Nie odwracając się do prześladowców, Dawn zaczęła biec, a oni zwinęli dłonie w trąbkę i zaczęli wrzeszczeć:

– Dun-phy, pasztecie! Gdzie leziesz, cipo!

Wyłoniła się spod wiaduktu, ciężko dysząc. By uciec przed szydercami, weszła po spękanych kamiennych schodkach na opuszczoną działkę pełną gruzu z zawalonego budynku, przekroczyła ją i znalazła się na krzaczastej ziemi niczyjej otwierającej się na błotniste pole; ruszyła po nim na ślepo – uznała, że raczej za nią nie pójdą, bo musieliby biec w błocie, w którym ich adidasy zapadałyby się tak jak teraz jej, i zachlapaliby sobie spodnie.

Okrzyki za jej plecami cichły. Dawn dotarła do ślepego końca Fort Street, gdzie o krawężnik zdrapała trochę błota z butów. Bicie serca się uspokajało, niebezpieczeństwo minęło. Jednak czuła się upokorzona, zawstydzona. Ośmielili się szydzić z Luthera Dunphy’ego!

Poczuła dreszcz morderczej wściekłości. Gdyby miała w ręku dwulufową strzelbę, zasypałaby ich śrutem.

Na moście przy Fort Street nad Mad River czekała, aż przejadą samochody. Minął ją hałaśliwy traktor z przyczepą z tablicami z Illinois. Wysoko w kabinie kierowca przechylił głowę, przyglądając się stojącej na przejściu Dawn, gapił się, ale ostatecznie zignorował samotną dziewczynę w bezkształtnym ubraniu. I w tej chwili Dawn poczuła dreszcz ulgi: *Nikt mnie nie zobaczy! Jestem bezpieczna*.

Wtedy podjęła decyzję, by iść do domu na Depot Street krótszą drogą, a nie tą dłuższą, uczęszczanymi ulicami.

Przeszła przez most, schylając głowę przed wiatrem. Pod spodem sunęła wąska, wzburzona rzeka, która tak ją fascynowała; w marcowych roztopach wielkie jak głazy kawały lodu mieszały się z ciemną pędzącą wodą. Dźwięk rzeki płynął kaskadowo, jak wodospad, jak niezliczone głosy mamroczące jednocześnie i ledwie słyszalne.

Bezpieczna. Jeśli wróg nie widzi, bezpieczna.

Po drugiej stronie rzeki wdrapała się na wzgórze porośnięte splątanymi drzewami i krzewami i wyszła na przeciwległym końcu bocznicy kolejowej Baltimore–Ohio, gdzie stały wagony towarowe i inne sprzęty. Były tu tablice z zakazem wstępu, ale nikt jej przecież nie zobaczy, bo na tym odcinku torów rzadko ktoś się pojawiał. Dawn była jakieś czterysta metrów od Depot Street, kiedy usłyszała gdzieś blisko podekscytowane głosy; zbyt późno zdała sobie sprawę, że są teraz przed nią. Pierwsi przeszli przez rzekę. Ku swemu przerażeniu zobaczyła kilku spośród chłopców, którzy ścigali ją pod wiaduktem. Zbliżali się bocznicą z szerokimi, szyderczymi uśmiechami – „Dun-phy! Siema!” – a kiedy się odwróciła, zobaczyła pozostałych za sobą; byli coraz bliżej i wołali: „Dun-phy! Hejka!”.

Oczywiście wiedzieli, dokąd szła Dawn: na Depot Street. Wiedzieli i przechytrzyli ją, a teraz było za późno na ucieczkę, bo ją złapali: ten wielki chłopak z nalaną twarzą – Billy Beams, ten z długimi kończynami – Jay-Jay, kolejny w czapce Cleveland Browns z daszkiem odwróconym do tyłu – ten miał krótki zarost. Ktoś popchnął Dawn na Billy’ego Beamsa, który zaśmiał się i ją odepchnął. Nagle rzucili się na nią, zbyt wielu, by mogła walczyć, powalili ją na ziemię; desperacko próbowała się wyrwać, na-

wet kiedy złapali ją za kostki, nogi, ręce i nadgarstki, kiedy przerzucili gwałtownie na plecy i leżała tak, bezradna, miotając się, próbując uwolnić kopnięciami. Jak szybko to się stało – leżała. Nazywali ją pizdą – głupią pizdą. Nazywali ją zdzirą. Jej krzyki zmieniły się w ochrypły szloch. Nie mogła złapać tchu, by krzyknąć. Jeden z nich ukląkł z tyłu i przytrzymał Dawn za nadgarstki. Drugi złapał za kostki. Wiwatując i śmiejąc się, rozpięli i zdjęli jej sztruksy – niespiesznie rozwiązali i zdjęli adidasy, a potem zdarli białe bawełniane majtki, które opinały ją i zostawiały czerwone ślady w talii i górnej części ud. Na widok gęstych kręconych włosów łonowych, które rosły aż na białym podbrzuszu, zaczęli z ekscytacją wyć i wrzeszczeć: „Jezu! Tylko patrzcie! Co za świnia!”. Pewnie myśleli o ciałach swoich matek, tych ciałach, z których wyszli jako niemowlęta, i dlatego musieli ukarać Dawn.

Ich niezgrabne ręce łapały gałązki, zgniłe liście i błoto, które wcierali jej w twarz, włosy i między nogi. Ze szczególną zaciekłością między nogi. Nie chciało im się zdejmować koszulki Dawn i zadowalali się ściskaniem jej piersi i wcieraniem w nie błota – nie miała dużych i miękkich piersi, ale twarde i sprężyste jak piankowa guma. Coś w ciele Dawn wywoływało w tych chłopakach wściekłość, widziała ich twarze, czerwone i złe, krwiożercze. Ten wysoki, z długimi kończynami, w odwróconej czapce złapał trzydziestocentymetrowy patyk i wepchnął go między nogi Dawn, do środka; patyk był przegniły i niemal od razu się złamał, ale Dawn i tak poczuła przeszywający ból i cudem złapała oddech, by krzyknąć.

– Głupia pizdo! Podoba ci się. Wiesz, że ci się to podoba.

Billy Beams stęknął, podnosząc kawałek betonu, który zawiesił nad głową Dawn, dręcząc ją. Patrzyła przerażona w górę, wiedząc, że jeśli beton wyślizgnie mu się z rąk, zmiażdży jej czaszkę. Z trudem udało się jej wykrztusić:

– Nie, proszę, proszę, nie...

Billy Beams upuścił beton – nie na głowę Dawn, ale na błotnistą ziemię obok. Miał minę pełną obrzydzenia, gniewu.

– Jeśli komuś powiesz, to nie żyjesz. Głupia pizdo, masz nikomu nie mówić, rozumiesz? Albo nie żyjesz!

Niedługo potem się wycofali. Słyszała, jak odbiegają, słyszała cichnące gardłowe wybuchy ich śmiechu. Potem zapadła cisza i Dawn została sama.

Długo leżała na ziemi. Widziała, jak niebo nad głową pokrywa się srebrem, jakby słońce zrezygnowało i stało się tylko bladą, jasną poświatą. Oczy Dawn zaszły łzami. Ziemia była mokra i zimna. Dawn zdała sobie sprawę, że cały czas drży, bo od pasa w dół jest naga. W kończynach czuła potworną słabość.

– Jezu. Pomóż mi.

Gdzie się podział Jezus? Czy wycofał się z obrzydzeniem, tak jak tamci?

Udało się jej podnieść. Głowa pulsowała od bólu, piekły oba nadgarstki, a prawe ramię rwało, jakby wyrwano je ze stawu. Między nogami także czuła potworny ból i cienką, zimną strużkę krwi na udzie. Sięgnęła po zabłocone sztruksy, krzywiąc się, ale z determinacją, by pozbierać się choć trochę, gdyby ktoś ją zobaczył, bo oczywiście ktoś ją zobaczy – była przecież niecałe sto metrów od Depot Street, gdzie jeździły nieliczne samochody widoczne między drzewami. A jednak najwyraźniej nikt nie widział Dawn i chłopaków kucających nad nią przez tych kilka minut napaści. Wyrzuciła podarte majtki, ale znalazła rzucone kilka metrów dalej adidasy, które udało się jej włożyć i zasznurować. *Nic mi nie jest. Nie krwawię mocno. Nic mi nie będzie. Poradzę sobie.*

Wyprostowała się niepewnie. Poczuła, jak spomiędzy nóg wypływa jej krew – ale nie ciemna, przypominająca krwotok krew menstruacyjna, która przerażała i brzydziła Dawn co kilka tygodni, tylko cieńsza, chłodna strużka, inny rodzaj krwotoku, który nie był taki poważny (miała nadzieję) i zaraz się skończy. Patyk podrapał miękkie wnętrze waginy. Ale to tylko powierzchowne zadrapania, które wkrótce zaschną. Tak sobie powtarzała.

Otarła się mokrymi liśćmi między nogami, niezręcznie. Bardzo chciała szybko zapiąć sztruksy, by nikt nie widział jej na wpół nagiej. Mokrymi liśćmi wytarła też twarz. Wyjęła z włosów grudki błota. Oceniła sytuację

i zmusiła się do zachowania spokoju. *Naprawdę nic mi nie jest. Nikt się nie dowie.*

– Dziękuję Ci, Jezu, że mnie oszczędziłeś.

Wiedziała, że to tylko jej wina – bo chciała pójść do domu na skróty.

Utykając, ruszyła wzdłuż bocznicy kolejowej, w stronę Depot Street. Zamierzała wejść cicho do domu tylnymi drzwiami. Jeśli Edna Mae będzie w kuchni, Dawn ominie kuchnię. To proste. Edna Mae może zawołać: „Kto tam?", a Dawn tylko odpowie: „A jak myślisz, Ma? To ja", minie drzwi i pójdzie na górę. (Dawn nie zwracała się już do matki Mamu. Nawet młodsze dzieci nie nazywały już tak Edny Mae). Jeśli Anita albo Noah będą w pobliżu, raczej nie zauważą siostry. Mary Kay jeszcze nie wróciła z pracy. Dawn szybko wejdzie do łazienki na drugim piętrze i nikt nie będzie świadkiem jej upokorzenia – wierzyła, że Jezus ześle jej chociaż tę małą łaskę.

Tak, zerżnęliśmy ją. Dun-phy. Kilku z nas. Podobało się jej.

Głupia pizda. Cipa. Powiedzieliśmy, że jak komuś sypnie, to ją zabijemy, ale nie powie, bo jej się podobało.

Nie wróciła do szkoły. Ani następnego dnia, ani kolejnego.

Nie dlatego, że była chora czy ranna, bo (wiedziała) nie była chora ani ranna.

Do późnego popołudnia czekała za spożywczakiem. Obok śmietnika.

Czekała koło wiaduktu na Fort Street.

Aż w końcu w następnym tygodniu, w późne wtorkowe popołudnie, zauważyła kilku z tamtych chłopaków – Beamsa, Jay-Jaya, tego w czapce Cleveland Browns i jednego czy dwóch pozostałych. Schodzili pod wiadukt na Fort Street. Szybko przeszła przez ulicę i podeszła do nich. W kieszeni miała młotek ciesielski, który znalazła w garażu ciotki; trzonek dokładnie owinęła czarną taśmą, by lepiej trzymał się dłoni.

Zobaczyli ją. Na ich twarzach pojawiło się przelotne zaskoczenie, jakby omiotły je samochodowe reflektory. Potem wyszczerzyli zęby, jeden wyko-

nał szyderczy gest pozdrowienia.

– No hejka, Daw-en Dun-phy.

Zobaczyli jej minę, a potem dostrzegli młotek i wtedy przestali się szczerzyć.

Ruszyła na Billy'ego Beamsa, najwolniejszego i najbardziej niezdarnego, bo to on był największy. Młotek uderzał jak szalony, poruszał się w dłoni Dawn jakby z własnej woli – walił w twarz, głowę, odsłoniętą szyję, kiedy chłopak próbował robić uniki. Chciała złamać mu kark, ale był za gruby. Usłyszała za to wdzięczne gruchnięcie – z pewnością rozwaliła czaszkę Billy'ego Beamsa i mózg zaraz wyleci na brudny chodnik, na który chłopak upadł w konwulsjach, płacząc i jęcząc jak dziecko. Potem rzuciła się na kolejnego oprawcę, zamachnęła się młotkiem. Tępą stroną, ostrą, tępą stroną, ostrą, tępą stroną, ostrą – machała i uderzała, i robiła na czole rany jak ślady po poślizgu samochodowym. Chłopak upadł, a Dawn ruszyła za tym w odwróconej czapce, powaliła go na schodach po drugiej stronie przejścia, uderzywszy młotkiem, który trzymała oburącz, w tył głowy. Upadł, wrzeszcząc z bólu; pozostali próbowali wyrwać Dawn młotek, ale była za silna i za szybka. Zwróciła narzędzie przeciwko Jay-Jayowi uderzyła go w czubek głowy tak mocno, że gnojek padł na brudny chodnik jak worek ziemniaków.

Potem wróciła do tego, który leżał na schodach. Upuściła młotek i uderzała pięściami w twarz. Waliła w zaskoczone oczy i nos. Waliła w usta, z których od razu zaczęła lecieć krew.

Nos był złamany. Z nozdrzy też buchała krew.

W oczy waliła pięściami, jakby chciała go oślepić. Rozwalić naczynka, podbić oczy pałające nienawistnym spojrzeniem, które widziały ją nagą od pasa w dół. Nigdy nikogo tak nie okładała. Biła się z Lukiem, ale nigdy aż tak. Bo Luke był dla niej za silny, nie mogła z nim wygrać. Ci tutaj wzięli ją wtedy z zaskoczenia. Choć pięści bolały, a podrapane kostki lekko krwawiły, Dawn była podekscytowana, radosna. *Skurwiele! Macie za swoje.* Myśleli, że skoro jest porządną chrześcijanką, to mogą ją upokarzać bez konsekwencji. Ale Dawn Dunphy nie da się upokarzać. Jezus nie zawsze nadsta-

wiał drugi policzek, by go uderzono. Jezus wyrzucił przekupniów ze świątyni. Głośnym, triumfującym głosem Jezus powiedział: *Nie przyszedłem przynieść pokoju, ale miecz*. Machała pięściami, kopała obutymi stopami, dla Jezusa, dla Jezusa i dla jej ojca, Luthera Dunphy'ego, który był żołnierzem Jezusa i miał umrzeć za Jezusa.

Ruszyła za pozostałymi wzdłuż wiaduktu, ale nie ścigała ich Fort Street. Zakrwawiony młotek schowała do kieszeni. Nie chciała, by ją widziano, nie chciała świadków, ponieważ wiedziała z procesu ojca, jak świadkowie mogą cię pogrążyć, choć na początku nie wiesz nawet o ich istnieniu. Jeśli poszłaby za nimi Fort Street, ktoś by ją zauważył.

Uciekli więc, pozwoliła im uciec, wołając szyderczym głosem:

– Gnoje! Idźcie do diabła!

A Jezus patrzył i widział, że dobrze robi.

Jesteś moją poddaną, Dawn Dunphy, z której jestem zadowolony.

To wszystko wydarzyło się w dziewiątej klasie; wydalono ją.

Dziewczyna Dunphych – ta, której ojciec zabił dwie osoby w klinice dla kobiet i skazano go na śmierć...

Przekonaliśmy dyrektora, by ją wydalił ze szkoły. Wszyscy mówili o tym, jak zaatakowała chłopców z liceum (którzy podobno jej dokuczali) młotkiem czy nożem, czy jakimś innym narzędziem. Chłopcy nic nie mówili, bo się wstydzili albo nie chcieli się pakować w kłopoty, więc my poszliśmy do dyrektora i przekonaliśmy go, że ona jest niebezpieczna – i tyle. Dziewczyna Dunphych zniknęła.

Po jej twarzy widziałeś, że będą z nią kłopoty. Choć akurat w szkole jeszcze nie nabroiła, a przynajmniej nic o tym nie wiedzieliśmy. Może była dyslektyczką. W tych biednych białych rodzinach to się zdarza, bo nikt nie kończy liceum, a czasami nawet gimnazjum, i często nie chodzą do szkoły, więc nic dziwnego, że ojciec albo jakiś inny członek rodziny siedzi w więzieniu.

Zaskakujące było to, że ta dziewczyna od Dunphych, Dawn (później nazywała się D.D., ale nie wtedy, kiedy chodziła do naszej szkoły,), miała

młodszą siostrę Anitę i młodszego brata Noaha. Oprócz tego, że na lekcjach prawie się nie odzywali, to nie byli złymi uczniami, szczególnie dziewczynka. Byli raczej przeciętni, zwykle czyści i grzeczni. Zupełnie inni od starszej siostry i pewnie pozostałych członków rodziny.

Po wydaleniu ze szkoły Dawn pracowała gdzieś w okolicy, w sklepie Home Depot. Potem z Cleveland nadeszły informacje, że została mistrzynią boksu – D.D. Dunphy „Młot" – to dopiero była niespodzianka. W jakiejś kablówce w Cleveland ktoś robił z nią wywiad po walce, a kiedy zapytali, skąd pochodzi, powiedziała, że z Muskegee Falls w Ohio. Jakby nigdy nie mieszkała w Mad River Junction.

Odroczenie

Edno Mae! Pójdź. Jezus wyciągnął do niej ręce.

Poczuła, jak chwyta jej dłoń. Silne palce Jezusa. Cierpliwe palce Jezusa. Gdyby nawet chciała się odsunąć, nie mogłaby tego zrobić.

Nie spała, mózg zdawał się obolały, ale był żywy i czujny. Nie mogła się jednak poruszyć. Poprzedniego wieczoru zażyła jakąś nową tabletkę, sześciokątną, zieloną, która rozpuściła się pod językiem. Teraz język zdrętwiał jak coś, co umarło w ustach.

Edno Mae! Szybko. Krzyż leżał na gołej ziemi. Zmuszali człowieka, by położył się na plecach, z rozłożonymi rękami, na krzyżu, który miał ponad dwa metry wysokości. Przybiją do niego dłonie i stopy tego mężczyzny.

Moczyła kawałek materiału w zimnej wodzie. Przyciśnie mokrą szmatkę do krwawiącego czoła. Przyciśnie mokrą szmatkę do krwawiących dłoni, krwawiących stóp, w które wbito potworne, siedmiocentymetrowe gwoździe.

Był cieślą. Tak żył, zanim Bóg wybrał dla niego specjalne powołanie.

To była smutna ironia, że on, który kiedyś posługiwał się młotkami, wbijając siedmiocentymetrowe gwoździe w drewno, cierpiał właśnie w ten sposób.

Edno Mae! Teraz chodź.

Pospiesznie zmoczyła i podniosła szmatkę, by dotknąć jego rozpalonej twarzy. Woda z materiału kapała na jej oczy, aż westchnęła z przyjemnością, bo oczy wyschły od tego wszystkiego, co widziała nocą. Była taka zmęczona! Ale ze snu wybudził ją dźwięk Jego głosu.

Próbowała uważać, wytrząsnęła jedną z zielonych sześciokątnych tabletek na dłoń. Nowy lekarz w Mad River Junction przepisał inne leki, ponie-

waż (powiedział) uzależniła się od poprzednich.

Ale trochę poprzednich jeszcze zostało. Sprytnie zachowała cenne białe pigułki na chwilę, w której nowe nie okażą się dość silne.

Ktoś biegnie po schodach. Pukanie do drzwi łazienki, podekscytowany głos wykrzykuje jej imię i w tej sekundzie pigułka wypada z dłoni. Och! Edna Mae na kolanach po omacku szuka tabletki, która wtoczyła się pod umywalkę na brudnej podłodze.

– Edno Mae! Edno Mae! Otwórz!

Był ranek 29 października 2002 roku.

Jezu, zmiłuj się nad jego duszą. Boże, zmiłuj się.

Ukochany mąż Luther Dunphy, który oddał życie, by inni mogli żyć.

Dziś ze Mną będziesz w raju.

Tyle że zaskakująca wiadomość brzmiała: gubernator odroczył egzekucję.

Po raz kolejny, z powodu apelacji, która próbowała przedrzeć się do sądu stanu Ohio, życie Luthera Dunphy’ego zostało ocalone.

Na początku to do niej nie dotarło. Gapiła się na ich radosne twarze.

Odroczenie egzekucji!

Dzięki bożej łasce Luther został uratowany.

A ona uznała go już za zmarłego. Jej ukochany mąż. Modliła się za jego duszę, powierzyła ją Bogu, a teraz okazało się, że Bóg ich ułaskawił.

Jeden z prawników Luthera zadzwonił 29 października o godzinie dziewiątej czterdzieści.

Mniej niż dziesięć godzin przed tym, jak w więzieniu federalnym Chillicothe niedaleko Lucasville miały się zacząć przygotowania do egzekucji.

– Pani Dunphy? Dobra wiadomość! Właśnie dostaliśmy informację od gubernatora...

Słuchała. Ręka ściskająca słuchawkę drżała. W uszach huczało coś jakby lód i śnieg zsuwające się po stromym dachu.

Ten prawnik, którego nazwiska sobie nie przypominała, mówił, że razem z zespołem będą składać petycję do gubernatora, by złagodził wyrok Luthera do dożywocia bez możliwości zwolnienia.

– Moim zdaniem mamy spore szanse. Pani Dunphy? Halo? Jest tam pani?

Ktoś wyjął jej słuchawkę z ręki, zanim spadła na podłogę.

W rodzinie Dunphych zapanowała radość. Dawn wezwano z marketu, Luke przyjechał niedługo później. Wcześniej plan był taki, że Luke zawiezie ich po południu do więzienia Chillicothe – Ednę Mae, Mary Kay i Dawn – by mogli pożegnać się z Lutherem w trakcie ostatnich odwiedzin między godziną trzecią i czwartą.

Przygotowania do egzekucji miały się rozpocząć o szóstej. Samą egzekucję zaplanowano na ósmą wieczorem. Ale telefon od prawnika zmienił wszystkie plany na ten wyjątkowy dzień.

Odkąd zaczęli odwiedzać Luthera w Chillicothe, Edna Mae pozostawała w kontakcie z przyjaznym więziennym kapelanem, wielebnym Daveyem. Czy raczej to wielebny Davey był w kontakcie z Edną Mae, miał bowiem w zwyczaju przyjaźnić się z żonami i bliskimi krewnymi osadzonych, którym ofiarowywał współczucie i dobrą radę. Powiedział Ednie Mae, że jej mąż jest wyjątkowym chrześcijaninem w stanie łaski, że z więźniów znajdujących się w celach śmierci, a był ich tuzin, to właśnie Luthera Dunphy’ego najbardziej podziwiali strażnicy i inni osadzeni. Wielebny Davey mówił, że będzie tęsknił za Lutherem jak za bratem.

Powiedział też, że duszy Luthera ulżyłoby, gdyby wyraził skruchę, że zabił Timothy’ego Barrona, ale Edna Mae zdawała się tego nie słyszeć.

W miarę jak zbliżała się data egzekucji, siostra Edny Mae, Noreen, zaczęła się z nimi częściej kontaktować, oferując wsparcie i współczucie. Siostry od lat nie były blisko, a teraz Edna Mae nie miała siły, by zadzwonić do Noreen z dobrą wiadomością o odroczeniu, nie miała zresztą siły dzwonić do kogokolwiek z rodziny.

Zadzwoniła więc Mary Kay, w radosnym nastroju, jakby wygrała na loterii. Powiedziała starszym dzieciom o zamiarze prawników, by ponownie

apelować do gubernatora o złagodzenie wyroku do dożywocia, i w tym jej opowiadaniu słychać było niemal pewność, że wyrok zostanie zmniejszony. Kiedy mówiła, zdawało się również, że istnieje możliwość zwolnienia: „Ale to może dopiero za wiele lat, niestety. Za baaardzo wiele lat, dzieci”.

Luke wyjął sobie piwo z lodówki Mary Kay. Mary Kay również piła, nalawszy sobie napoju do szklanki.

– Edno Mae? Dawn? No chodźcie tutaj! Świętujemy, Luthera uratowano!

Od kiedy Dawn pojawiła się w domu, wyglądała na oszołomioną i nerwowo mrugała. W markecie Home Depot, gdzie pracowała w magazynie, nie było ogrzewania, więc wkładała grube sztruksy, dwie koszule, sweter i bluzę z kapturem plus wełniane skarpety i ciężkie buty. Od kiedy odeszła ze szkoły (mówili, że Dawn odeszła, a nie że została wydalona), nie pilnowała już wyglądu tak jak kiedyś i włosy zwisały teraz w ponurych tłustych strąkach wokół twarzy. Na czole miała pryszcze, paznokcie połamane i z obwódkami brudu. Kiedy ciotka zaproponowała jej piwo, Dawn roześmiała się, podejrzewając żart, ale Mary Kay się nie śmiała i kazała jej wziąć puszkę.

– Rozchmurz się, D.D. Dzisiaj jest pierwszy dzień reszty twojego życia.

D.D. miało być czułym i zabawnym imieniem, które wymyśliła dla Dawn Mary Kay, ale jakoś się nie przyjęło i teraz tylko ciotka z głupim uporem używała tego skrótu.

Dawn z wahaniem wzięła bardzo zimną puszkę z piwem. Mruknęła pod nosem, że ma szesnaście lat i jest za młoda na picie alkoholu.

– Daj spokój. To prywatna impreza, możesz pić, co tylko chcesz, do dia...ska. – Mary Kay śmiała się, sprytnie wymawiając ostatnie słowo.

Telefon wciąż brzęczał – dzwonili krewni Luthera. Dzwonili krewni Edny Mae. Już się rozeszło, że egzekucję Luthera Dunphy’ego znowu przełożono.

A czy wyznaczono nowy termin? Nikt chyba tego nie wiedział.

W swoim zdezorientowaniu Edna Mae nie chciała z nikim rozmawiać przez telefon. Nie chciała rozmawiać z Noreen ani ze swoją matką. Nie chciała rozmawiać z wielebnym Daveyem (a może to dzwonił wielebny Dennis?). Nie chciała rozmawiać z dziennikarzem z „Mad River Junction Weekly”. Dzwonili też sąsiedzi i znajomi Mary Kay Mack, z którymi ciotka rozmawiała głośnym rozradowanym głosem i ku przerażeniu Edny Mae zapraszała tych obcych ludzi do domu.

Edna Mae siedziała na kuchennym krześle. Gapiła się na pianę piwa świeżo nalanego do szklanki Mary Kay, czekając, aż się przeleje i spłynie po szkle na stół albo, co gorsza, na linoleum, gdzie zacznie się kleić pod stopami i nie zauważy tego nikt oprócz Edny Mae.

Zastrzyk

Wolałaby nie wiedzieć. To był błąd.

Odkrycie, co znaczą słowa „zastrzyk trucizny”.

Nikomu nie mówiąc, poszli do biblioteki publicznej i wpisali w wyszukiwarkę internetową „zastrzyk trucizny”.

Wkrótce po ogłoszeniu werdyktu i wyroku skazującego ich ojca na śmierć przez podanie zastrzyku trucizny poszli razem (co zdarzało się rzadko w ostatnich latach, bo Luke nie miał czasu dla siostry) do biblioteki Mad River Junction, gdzie stały komputery do ogólnego użytku. Luke wpisał te okropne słowa, które nabrały dziwnie spokojnego, rzeczowego charakteru, kiedy tak je wklepywał na klawiaturze w jasno oświetlonym pomieszczeniu zajętym przez wielu innych użytkowników.

Dawn miała problem z przeczytaniem definicji, bo oczy wypełniły się jej łzami. Musiała czytać, pochylając się nad ramieniem brata, co było niewygodne.

Luke czytał powoli, mrużył oczy i się krzywił. Przysunął się bardzo do ekranu, jakby nie radził sobie z odcyfrowaniem liter. W szkole nigdy nie czytał specjalnie dobrze i miał trudności z przesuwaniem wzroku wzdłuż wersów bez uciekania nim na boki, co można robić, gdy ogląda się zdjęcie, grę wideo czy coś za oknem.

„Zastrzyk trucizny” miał w Wikipedii długą definicję. Pobieżnie przeczytali nazwy substancji, z których znali tylko jedną – barbituran. Pozostałe to chlorek potasu, tiopental sodu i pankuronium – tej ostatniej nie potrafili nawet wymówić. Dawn zaczęła się trząść, przeczytawszy, że właściwie przeprowadzona egzekucja skutkuje śmiercią skazanego w czasie od siedmiu do

jedenastu minut od rozpoczęcia procedury, czasami jednak pojawiają się trudności ze znalezieniem żyły, w którą można wstrzyknąć preparaty, a czasami popełniano błędy w dawkowaniu, ponieważ dawka była stała, bez względu na wagę, wiek czy kondycję fizyczną skazanego. Żaden lekarz ani pracownik medyczny nie mogli uczestniczyć w egzekucji ze względów humanitarnych i profesjonalnych, więc truciznę podawali członkowie personelu więziennego, bez fachowego przygotowania.

Z narastającym przerażeniem Dawn czytała, że tylko anestezjolodzy – z dyplomem lekarza – są szkoleni do podawania środków znieczulających. To nie było usypianie, jak wszyscy zakładali.

Jeden z preparatów podawanych do krwiobiegu był zwiotczający, uniemożliwiał mówienie, ale nie likwidował bólu. Nie było gwarancji, że znieczulenie nie przestanie działać, zanim serce przestanie bić.

Czasami skazańcy długo cierpieli, zanim zgodnie z planem stracili przytomność, albo odzyskiwali świadomość w trakcie zabiegu, co było bardzo przykre.

Najdłuższy zarejestrowany nieudany zastrzyk trucizny trwał przez kilka godzin, w którym to czasie skazaniec często przytomniał i krzyczał z bólu. Potem ujawniono, że truciznę wstrzyknięto nie w żyłę, ale w otaczającą ją tkankę miękką.

Naukowiec, który wymyślił zastrzyk trucizny jako „bardziej litościwą” formę egzekucji niż gaz, powieszenie czy krzesło elektryczne, powiedział podobno: „Nigdy nie przyszło mi do głowy, że zastrzyki będą podawać idioci”.

Było jeszcze więcej do czytania, ale Luke nagle zamknął stronę.

– Kurwa – mruknął pod nosem.

Dawn zaprotestowała słabo.

– Ale gubernator złagodzi wyrok. Wszyscy tak uważają.

Luke odsunął w tył krzesło, na którym siedział. Twarz mu błyszczała od oleistego potu.

– Wszyscy tak uważają? Bzdura.

– Co masz na myśli?

– To, co powiedziałem, D.D. Bzdura.

Luke wymówił „D.D.”, jakby się nad tym nie zastanawiał. Ruszył do tylnego wyjścia z biblioteki, a Dawn poszła za nim, z niedowierzaniem wpatrując się w plecy brata.

– Ale... egzekucję przełożono. Prawnicy mogą apelować. Gubernator...

– Pieprzyć gubernatora. I... zamknij się już.

Zasapana i oszołomiona Dawn dreptała za bratem. Zanim doszli do drzwi, Luke odwrócił się do niej i patrząc na siostrę wściekłymi, mokrymi oczami, mocno ją popchnął.

Dawn krzyknęła z bólu i zaskoczenia.

– Co... o co chodzi? Dlaczego...

– Mówiłem: zamknij się.

Dawn pacnęła brata w ramię. To był błąd, bo Luke w odpowiedzi jej bynajmniej nie pacnął, ale ją po prostu uderzył.

Kiedy Dawn próbowała dosięgnąć pięściami jego głowy, brat popchnął ją tak mocno, że wpadła na stolik biblioteczny i się przewróciła.

Wszyscy się gapili. Dawn upadła na podłogę w rozkroku, krzywiąc się z bólu w kości ogonowej.

Podeszła do nich bibliotekarka.

– Przestańcie! Co wy robicie! Tutaj nie wolno...

Podeszła druga bibliotekarka. Obie były wyraźnie przestraszone.

– Nic ci nie jest? Nie zrobił ci krzywdy? – zapytała młodsza z kobiet.

Luke zdążył już otworzyć drzwi i wyjść. Dawn wymamrotała, że wszystko w porządku, i zerwała się na nogi, zanim którakolwiek z bibliotekarek mogłaby jej pomóc.

Nie słyszała, jeśli coś do niej mówiły. Utykając, wyszła na dwór, gdzie zobaczyła, że wściekły brat na nią nie czeka – uruchomił auto i wyjeżdżał już z parkingu, kiedy Dawn próbowała podbiec do niego, płacząc.

– Czekaj! Luke! Niech cię szlag! Czekaj...

Do domu na Depot Street były ponad trzy kilometry.

Płakała, ale to były łzy gniewu, a nie smutku czy rozpaczy. Zanim doszła do domu ciotki, oczy miała już przejrzyste, a twarz suchą.

Niedługo potem dotarła do nich wiadomość, że egzekucję ojca przełożono na 9 sierpnia 2003 roku – za osiem miesięcy.

Nieczysty

Pierwsza mucha, tak mała, że wydawała się zaledwie drobinką brudu, pojawiła się na drzwiach lodówki, kiedy Edna Mae miała właśnie wyjść z kuchni. Próbowała ją zabić zwiniętą gazetą, ale wtedy zauważyła drugą bardzo małą muchę, na oknie nad zlewem, a potem trzecią bardzo małą muchę, bzyczącą na parapecie... Edna Mae niezdarnie machała zwiniętą w rulon gazetą i udało jej się zabić trzy owady, choć nie bez problemów, bo jej koordynacja ruchowa w ostatnich miesiącach czy latach bardzo osłabła. Edna Mae miała też problemy ze wzrokiem, oczy zachodziły jej łzami, kiedy wpatrywała się w coś, co chciała zobaczyć.

Edna Mae miała już wyrzucić pomięty i podarty numer „Mad River Junction Weekly", kiedy jakby w złym śnie zauważyła następną muchę, na suficie nad kuchenką – zbyt wysoko, chyba że stanęłaby na krześle.

Czy to na pewno była mucha? A może drobinka brudu? Wpatrywała się w nią tak usilnie, że oczy zrobiły się wilgotne i obraz się zamazał.

Tak naprawdę o sufit obijały się dwie muchy... nie, trzy! Zdecydowanie muchy, a nie drobinki brudu.

– Dawn! Gdzie jesteś? Chodź, pomóż...

„Dawn" było bardziej piskliwym, niecierpliwym jękiem. Edna Mae rzadko wymawiała imię starszej córki głosem niejęczącym i bez wyrzutu.

Ale Edna Mae przypomniała sobie, że Dawn pracuje w markecie Home Depot i wróci dopiero za kilka godzin. Mary Kay też pracowała, a młodsze dzieci były w szkole – nie miał jej kto pomóc.

Obecność tylu much w kuchni była obrzydliwa i bardzo ją denerwowała. Edna Mae przypomniała sobie wiosenne inwazje małych mrówek w dawnym domu w Muskegee Falls. I ataki myszy polnych po pierwszych przy-

mrozkach. Te zdarzenia nie miały (z pewnością) nic wspólnego z czystością w domu, a jednak bardzo się wtedy niepokoiła. Luther kupił płyny owadobójcze w spreju, pułapki na myszy i pomógł pozbyć się z domu szkodników.

Nie mogła stanąć na krześle, by zgonić muchy z sufitu. Nie zaryzykuje – zrobi jej się słabo i zemdleje. Już słabła na widok kolejnych owadów – trzy, cztery, pięć, sześć... dziesięć – tyle obrzydliwych much w kuchni obijających się o okna, sufit i ściany! Skąd one się biorą?

Może coś zdechło w domu i muchy rozwijają się z larw w truchle? Co za okropna myśl.

– Boże, proszę, nie.

Nie było nic tak wstydliwego i strasznego jak nieczysty dom, w którym Edna Mae musiała mieszkać.

W kuchni rzeczywiście unosił się słaby, a może nie taki słaby zapach, kwaśny, nieprzyjemny, który zauważyła Edna Mae i może również inni, ale nikt nie zamierzał szukać jego źródła. Bo w kuchni, jak w całym domu Mary Kay, czuć było również inne zapachy, których nie można było się pozbyć, nawet mimo wietrzenia.

Młodsza siostra matki Edny Mae, Mary Kay Mack, zaprosiła ją, by zamieszkała u niej z dziećmi z chrześcijańskiego miłosierdzia – przynajmniej na początku. W to miała uwierzyć siostrzenica. Ale kiedy przeprowadzili się do domu na Depot Street, to na nich (głównie na starsze dzieci, Luke’a i Dawn) spadło utrzymanie zaniedbanego domu we względnej czystości, sprzątanie małego, zarośniętego krzakami ogródka, cotygodniowe wynoszenie śmieci na krawężnik. Również Anita i Noah otrzymali obowiązki. Edna Mae robiła, co mogła, mimo swoich problemów zdrowotnych i nieustannego napięcia związanego z uwięzieniem Luthera. W Muskegee Falls Ednie Mae udawało się utrzymywać dom w porządku, choć dzieci były wówczas małe – wszyscy krewni, zarówno jej, jak i Luthera, podziwiali, jak dobrą jest gospodynią i kucharką. Wielebny Dennis chwalił Ednę Mae za jej chrześcijański optymizm i chrześcijańskiego ducha, za to, że udzielała się w Kościele tak samo lub bardziej niż inne kobiety, które nie

miały nawet połowy jej obowiązków. Wielebny Dennis chwalił Ednę Mae szczególnie za to, że z takim zaangażowaniem i miłością opiekuje się swoim najmłodszym dzieckiem – Daphne. Rozumiał potworny smutek, który czuła, kiedy odebrano im Daphne.

– Nic już nie będzie jak dawniej, wielebny. Tego się obawiam.

– Masz jeszcze pozostałe dzieci, Edno Mae. Masz męża.

– Nie. Nie mam, wielebny.

Jakie dziwne słowa wypowiedziała! Wielebny Dennis patrzył na nią, zaszokowany.

Nie zwierzała się duchownemu bardziej. Nikomu nie ośmieliła się powiedzieć o tym, że Luther pozwolił ich małej córeczce Daphne zginąć w wypadku samochodowym. Czy raczej że Luther nie chronił ich córeczki tak, jak powinien. Bo Luther tak naprawdę nie kochał Daphne. Wstydził się najmłodszego dziecka, ponieważ nie było „normalne” – takie jak inne maluchy w tym wieku. Widziała to na jego twarzy. Mężczyzna nie potrafi ukryć emocji, patrząc na swoje dziecko.

Tak samo wstydził się Edny Mae po śmierci Daphne. Smutek wywołał w niej bowiem chorobę, zmienił w inną kobietę. Mniej matkę, mniej żonę. Czasami wydawało się jej (choć nikomu o tym nie powiedziała, nawet wielebnemu Dennisowi), że Luther zabił z zimną krwią dwóch ludzi, by zakończyć swoje małżeństwo i całkowicie zmienić swoje życie.

I to się wydarzyło – Bóg karał go za popełnienie tego strasznego czynu. A karząc Luthera Dunphy’ego, Bóg karał ich wszystkich.

Och, ale to przecież nieprawda? Edna Mae przypomniała sobie, że w każdej chwili gubernator Ohio może złagodzić wyrok Luthera. Może ułaskawić jej męża. Odbywały się przesłuchania, apelacje. Było tyle pracy, że prawnicy obu stron mieli co robić – ci reprezentujący stan Ohio i ci reprezentujący oskarżonego. Edna Mae nie do końca pamiętała, co znaczy „złagodzenie wyroku” – co dokładnie może oznaczać w przypadku Luthera – ale bardzo często słyszała, jak wspominali o tym prawnicy i krewni Dunphych, więc zaczęła wierzyć, że to możliwe. Nowi znajomi, wielebny Trucross i jego żona Merri, pocieszali Ednę Mae: „Pan zawsze może zmienić

bieg życia. Zesłać burzę, zarazę, powódź, ale również żniwo. Jałowa ziemia może zrodzić wspaniałe owoce. Pan Bóg zabiera, ale również daje”.

Problemem dla Edny Mae i dla dzieci było to, jak żyć bez Luthera. Gdzie mieszkać i z kim. Edna Mae nie potrafiłaby utrzymać rodziny, nawet gdyby była pielęgniarką, a nie tylko pomocą pielęgniarską. Pensja zarejestrowanej pielęgniarki nie wystarczyłaby na życie w kryzysowych czasach, nawet gdyby Luke pomagał im bardziej, niż chciał to robić, kiedy już zaczął pracować dla hrabstwa – po prostu pieniędzy byłoby za mało. Edna Mae nie pracowała w zawodzie od niemal osiemnastu lat. (Uwielbiała tę pracę – miała nadzieję, że kiedyś zostanie pielęgniarką, ale życie ułożyło się inaczej). Musiałaby ponownie przejść szkolenie i uzyskać licencję. Nie przyszło jej nawet do głowy, by starać się o pracę w Walmarcie czy Home Depot, tak jak Mary Kay i Dawn, ponieważ w głębi duszy uważała, że to praca poniżej jej możliwości. Nie mogła wrócić do rodziców, choć wspaniałomyślnie proponowali, że przyjmą ją z dziećmi, nie mogła też mieszkać z nikim z Dunphych, ponieważ nie chcieli jej tak samo, jak ona nie chciała ich.

Dlatego rodzina Luthera zamieszkała u Mary Kay. Wkrótce jednak Edna Mae przekonała się, że młodsza siostra matki jest szokująco niedbałą i obojętną gospodynią. Wszędzie fruwały kłęby kurzu, podłogi się lepiły, klepki odchodziły, było brudno. Siding na domu bardzo potrzebował naprawy. Przerośnięta chwastami trawa domagała się koszenia. Wszędzie zbierały się śmieci. Nawet Luke z pogardą komentował stan domu ciotki i kiedy tu jeszcze mieszkał, nigdy nie zapraszał swoich kolegów.

Mary Kay była dobrą, ale niechlujną osobą, często niegrzeczną i wulgarną. Miała pięćdziesiąt kilka lat, ważyła przynajmniej o kilkanaście kilogramów za dużo, ale nie wydawała się gruba, raczej kształtna. I promieniowała „osobowością” jak telewizyjna pogodynka. Lubiła tanie, pretensjonalne ubrania – fioletowy zamsz, czarną skórę, kolorowe bluzki i buty z pasków. Włosy farbowała na czerwonawy brąz. Karcącym tonem mówiła o Ednie Mae, że się zapuściła i jest chuda jak szczapa, jakby bycie chudą było moralnie naganne.

Co gorsza, Mary Kay miała cięty język, jeśli w jakikolwiek sposób ośmieliłeś się skrytykować jej styl życia. Jej dobór ubrań albo przyjaciół. Jej swobodny stosunek do religii. Jeśli zauważyłeś, że trzeba wyczyścić albo zmienić dywan lub naprawić schody, jeśli śmiałeś wspomnieć, że jedyną łazienkę (z której korzystało sześć osób) wypadałoby posprzątać, Mary Kay mówiła: „Czyżby? W takim razie wiesz, co robić, Edno. Nie jesteś kaleką”.

Edna Mae nie była kaleką. W istocie.

Ale nie miała siły. Niesprawiedliwie i nie w porządku ze strony jej krzepkiej ciotki było sugerować, że Edna miga się od obowiązków domowych.

Ednę Mae często łapały duszności, jakby żelazna obręcz ściskała jej pierś. Nie potrafiła zasnąć bez leków – jeśli próbowała, w mózgu szumiało jak w ulu. Tętno przyspieszało, oczy wypełniały się łzami, w głowie pulsował tępy ból. Nieustannie słyszała to okropne słowo: „winny”. Słyszała słowa „skazany na śmierć przez podanie zastrzyku trucizny”. (Choć tak naprawdę Edna Mae nie słyszała tych słów wypowiadanych przez sędziego Sądu Okręgowego Hrabstwa Broome. Ktoś jej je powtórzył. Ale wciąż miała wrażenie, że tam była i teraz nie może zapomnieć wyroku).

Musiała znaleźć w Mad River Junction innego lekarza. Doktor Hills odmówił przepisywania leków, których Edna potrzebowała, poszła więc do innego, starszego doktora, który miał słuch tak słaby, że musiała kilkakrotnie powtarzać, jakie ma objawy, ale ten przynajmniej przepisywał, co trzeba – pigułki na nerwy, pigułki na sen. Ulżyło jej, że kiedy odwiedzała Luthera w Chillicothe, mąż już nie wypytywał o jej uzależnienie od tabletek, jak je nazywał, jakby o tym zapomniał.

Na początku Edna Mae dzielnie próbowała utrzymywać dom w jako takiej czystości mimo swoich problemów zdrowotnych, ale stary odkurzacz Mary Kay był nie tylko nieskuteczny, lecz także bardzo ciężki dla słabych rąk Edny Mae. Próbowała utrzymywać w czystości kuchnię i łazienkę – najbardziej obrzydliwe, nigdy niekończące się obowiązki. Dzieci powinny pomagać, ale nie mogła na nie liczyć. Na Dawn można było polegać tylko do pewnego momentu – potrafiła nagle się zbuntować i mówiła do matki

okropne rzeczy. Zawsze towarzyszyła im świadomość, że ojciec siedzi w więzieniu. Ten niepokój wisiał nad nimi wszystkimi niczym ciężkie, zachmurzone niebo.

Edna Mae wiedziała, że z powodu Luthera Dunphy'ego dzieci są wyśmiewane, dręczone i wykpiwane. Wiedziała i pękało jej z tego powodu serce, ale nie miała pojęcia, jak to zmienić, próbowała więc o tym nie myśleć.

Gdy budziła się każdego ranka w nieznajomym domu na Depot Street, półprzytomna i rozkojarzona, zwykle nie wiedziała, gdzie jest i jak się tu znalazła. Potem do głowy przychodziła ta sama myśl: *Twój mąż siedzi w więzieniu. Twój mąż siedzi w celi śmierci*.

Edna Mae nie uczęszczała już do kościoła wielebnego Dennisa w Muskegee Falls. To się skończyło – dawne życie zdawało się istnieć w innym czasie, na przeciwległym brzegu rwącej rzeki. W nowym miejscu dołączyła do innej wspólnoty – Kościoła Zielonoświątkowego Mad River Junction. Wielebny Trucross i jego żona Merri odszukali Ednę Mae, by zaoferować jej pomoc i współczucie. „W godzinie próby nasze modlitwy będą z panią, z waszą rodziną i pani dzielnym mężem Lutherem, pani Dunphy". Kiedy Merri Trucross ze wzruszeniem uścisnęła ją jak siostra, Edna Mae zesztywniała zaskoczona, choć potem poczuła się głęboko wzruszona. Nikt z rodziny, nawet siostra Noreen, nie przytulał jej tak po przeniesieniu Luthera do celi śmierci. Wkrótce potem wielebny Trucross zaczął prosić któregoś z wiernych, by przyjeżdżał po Ednę Mae i dzieci i zabierał ich na niedzielne nabożeństwo, bo Edna Mae nie miała już samochodu.

Od kilku miesięcy nie mogła odwiedzać Luthera w Chillicothe. W więzieniu wybuchały epidemie kolejnych chorób (grypa, zapalenie płuc, półpasiec) i zakazywano odwiedzin. Więźniowie w celach śmierci byli chronieni przed resztą osadzonych, ale nie przed zarazkami roznoszonymi przez strażników i innych pracowników więzienia.

Edna Mae otrzymywała wiadomości od więziennego kapelana, wielebnego Daveya, który przekazywał jej, jak dzielnie i spokojnie Luther znosi stres związany z osadzeniem w celi śmierci.

W Chillicothe przebywało jedenastu mężczyzn oczekujących egzekucji. Wszyscy tak jak Luther Dunphy otrzymali odroczenie, czekając na rozpatrzenie apelacji i przesłuchania w sprawie złagodzenia kary. Z tego, co wiedziała Edna Mae (choć tak naprawdę wcale nie chciała znać takich informacji), od dnia, kiedy Luthera skazano na karę śmierci, wykonano egzekucje tylko dwóch mężczyzn, po wielu opóźnieniach i wieloletnich odroczeniach. To jednak byli mordercy, którzy zasłużyli na śmierć, zupełnie inaczej niż jej mąż.

– To nasza nadzieja, Edno Mae. Zawsze musimy mieć nadzieję! – pocieszał ją wielebny Davey.

W końcu znalazła w szafie starą, potwornie brudną packę na muchy. Mogła nią załatwić owady.

Tyle że muchy pojawiały się ciągle od nowa. Im więcej Edna Mae ich zabijała, tym więcej wylatywało jakby znikąd. Nie tylko w kuchni, ale też w przedpokoju i w salonie.

Od dzieciństwa, kiedy spędzała czas na farmie u dziadków, nie widziała tylu much! Tam latały wszystkie ich rodzaje, w tym wielkie, końskie, bzyczące nad górami łajna. Drzwi na farmie były zawsze otwarte, siatki w oknach źle dopasowane albo porwane, więc muchy łaziły po kuchennych blatach, stole, kuchence, wszystkim, co zostawiono na wierzchu i czego nie przykryto. A jeśli przykryto, muchy chodziły po przykrywkach. Jako obsesyjną czyścioszkę Ednę Mae denerwowały owady i ich bezczelne bzyczenie, które teraz wzbudziło w niej wstyd i mdłości.

– Szlag! Niech was szlag!

Coraz lepiej radziła sobie z packą, która okazała się bardziej śmiercionośna niż zwinięta w rulon gazeta, choć miała mniejszą powierzchnię.

Trzeba było jednak postępować delikatnie, żeby rozpłaszczając muchę, nie rozmazać jej i nie zostawić śladu na ścianie, co nie zawsze się udawało. Edna Mae zrobiła się nieuważna, niecierpliwa. Złościło ją, że muchy tak bardzo walczą o życie – uciekają przed jej szaleńczymi, rozpaczliwymi machnięciami, jakby potrafiły przewidzieć chaotyczny ruch łapki i śmiały

się Ednie Mae w twarz. Przez większość poranka była nieprzytomna po kiepsko przespanej nocy, ale teraz pobudziły ją zmęczenie i emocje związane z zabijaniem owadów. Jednak niezależnie od tego, ile udało jej się unicestwić, wciąż było ich mnóstwo.

Jezus zsyłał jej znaki. Jezus tego ranka nie był zadowolony z Edny Mae Dunphy. *Twoje schronienie jest nieczyste.*

Widać muchy naprawdę się gdzieś lęgły. Choć myśl była obrzydliwa, to najwyraźniej musiało tak być. Edna Mae kucnęła, by odszukać źródło; na pewno znajdowało się gdzieś przy podłodze. Potem zobaczyła muchę wyłażącą z narożnika przy szafie wnękowej w holu. Kiedy bojaźliwie ją otworzyła, kilka owadów wleciało jej prosto w twarz. Krzyknęła, zamachnęła się gwałtownie i niemal upuściła packę.

W szafie było pełno rzeczy ciotki Mary Kay. Stare ubrania, stare buty, sztywne od brudu rękawiczki. Zardzewiałe czyściki z wełny stalowej. Stary, brudny mop z drewnianą rączką, plastikowe wiadra, ścierki wymagające prania. Niedbale złożone papierowe torby ze sklepu spożywczego. Wiekowe pudełko psich herbatników z dawnych czasów, kiedy Mary Kay jeszcze miała psa. To z tego pudełka wylatywały mole, które wpadały w twarz Edny Mae.

Fetor był nie do wytrzymania. Szturchając rzeczy trzonkiem od miotły, Edna Mae z obrzydzeniem odkryła, że w ciemnym kącie na dnie szafy leży wciśnięte coś miękkiego, z futrem – wyglądało na rozkładające się truchło małego gryzonia.

– O Boże...

Zrobiło się jej słabo. Bała się, że zaraz zwymiotuje. Zatrzasnęłaby drzwi szafy, ale w domu nie było nikogo, kto mógłby cokolwiek poradzić w tej awaryjnej sytuacji.

Muchy zdawały się wyłazić z tego trupa. A może był więcej niż jeden trup.

Co za wstyd! Gdyby Luther wiedział, jak muszą teraz żyć...

Jak mogłeś nam to zrobić!

Nigdy ci nie wybaczę.

W szafie Edna Mae znalazła też puszkę spreju na insekty. Dokładnie spryskała kącik. Kilka oszołomionych owadów wyleciało w jej stronę. W górnej części szafy siedział teraz mały pluton podtrutych much machających skrzydełkami. Edna poczuła dreszcz satysfakcji: *Teraz wiecie, jak to jest!*

W dzieciństwie różne stworzenia często właziły pod dom, żeby tam zdechnąć. Na starej farmie dziadków nie było piwnicy, tylko pusta przestrzeń pod podłogą. Myszy, szczury, susły, a nawet szopy i większe zwierzęta. Psy. Koty. Potworny smród utrzymywał się tygodniami. Odór biedy i bezradności. I muchy – oczywiście. Wszędzie muchy i inne owady. Jeden z wielu znaków tego, że Bóg cię opuścił.

Za każdym razem, kiedy odwiedzała Luthera, mąż pytał ją, jak sobie radzą pod jego nieobecność, a Edna Mae za każdym razem odpowiadała z dzielnym uśmiechem: „Dobrze! Radzimy sobie". I myślała: *On nie chce wiedzieć. Trzeba go chronić*.

Luther nigdy nie ustąpił w kwestii funduszu na obronę, który założyła Armia Boga na swojej stronie internetowej. W więzieniu nie miał do niej dostępu; osadzeni nie mogli posiadać komputerów i prywatnych telefonów. Luther nie wiedział więc, że zbiórka wciąż trwa, choć (jak poinformowali Ednę Mae przedstawiciele Armii Boga) wpłaty prawie całkiem ustały, ponieważ uwagę ludzi koncentrowali na sobie teraz inni aktywiści ruchu antyaborcyjnego, pojmani niedawno za protesty pod klinikami, akty wandalizmu, podpalenia i próby zabójstwa lekarzy aborterów.

Nowym męczennikiem ruchu antyaborcyjnego został James Kopp. W 1998 roku zastrzelił lekarza abortera w Buffalo, w stanie Nowy Jork, ale dopiero niedawno odbył się proces. Koppa osądzono i skazano na dożywocie bez prawa do warunkowego zwolnienia. Internetową sławę Kopp zyskał dzięki temu, że znalazł się na wydawanej przez FBI liście dziesięciu najbardziej poszukiwanych zbiegów. Żaden inny żołnierz organizacji nie dostąpił tego zaszczytu, bo większość od razu poddała się policji lub została schwytana na miejscu przestępstwa. Koppa wiązano z bojówkarską katolicką or-

ganizacją antyaborcyjną Owieczki Chrystusa, ale miał również wielu fanów w Armii Boga i Operacji Ratunek, których członkowie byli głównie protestantami.

W trakcie ostatniej wizyty Luther powiedział cicho, jakby czytał w myślach żony:

– Nie rozpaczaj, Edno Mae. Bóg mnie tobie nie odbierze.

– Wiem. Wiem o tym.

– Jeśli będziesz rozpaczać, nasi wrogowie zwyciężą.

– Nasi wrogowie... Tak. Wiem.

– Wiesz. Ale musisz wierzyć i musisz przekazywać tę wiarę naszym dzieciom. Nie możesz im pozwolić pogrążyć się w rozpaczy.

– Nasze dzieci sobie radzą. Luke pracuje dla hrabstwa, a Dawn w Home Depot. Anita i Noah chodzą do szkoły, mają dobre stopnie...

– A Dawn nie chodzi do szkoły?

Dała się złapać. Edna Mae nie powiedziała Lutherowi, że Dawn usunięto ze szkoły, a teraz nie potrafiłaby go okłamać. Przez długą chwilę w ogóle nic nie mówiła, czując na sobie wzrok męża przez porysowaną pleksiglasową barierę.

Zaczęła się pocić na samo wspomnienie. Zanim Luther zdążył powtórzyć pytanie, rozległ się dzwonek, sygnalizując głośno, że do końca odwiedzin pozostało pięć minut.

W trakcie tych wizyt Edna Mae rzadko rozmawiała z Lutherem o jego sprawie – o której zresztą niewiele wiedziała, bo sytuacja wciąż się zmieniała, albo powoli, albo niespodziewanie i gwałtownie. Apelacja czekała na rozpatrzenie. Istniała też możliwość złagodzenia wyroku i ułaskawienia.

Kolejne amerykańskie stany zakazywały kary śmierci. Niedawno zrobił to stan Illinois. Niewykluczone, że wkrótce to samo wydarzy się w Ohio i wtedy wyrok Luthera Dunphy’ego zostanie automatycznie zmieniony na dożywocie, tak jak wyrok Jamesa Koppa.

Ednę Mae – podobnie jak innych członków rodziny – bardzo bolało, że tak wielu chrześcijan w Ohio sprzeciwia się jakiemukolwiek łagodzeniu

prawa karnego. Ci sami senatorowie, którzy wyrażali poparcie dla ruchu antyaborcyjnego, rygorystycznie sprzeciwiali się zmianie statusu kary śmierci, choć taka zmiana ocaliłaby życie Luthera Dunphy'ego.

Edna Mae nigdy nie rozmawiała z mężem o tych sprawach. Jej małżeńskim obowiązkiem było zachować optymizm i okazywać pogodę ducha.

Odwiedziny w więzieniu zawsze kończyły się modlitwą. Jakąż ulgę odczuwała Edna Mae, kiedy nadchodził czas na modlitwę!

Ojcze Nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje.

Przyjdź królestwo Twoje, bądź wola Twoja...

Edna Mae podglądała przez palce i widziała sztywno wyprostowanego Luthera ze ściągniętymi ramionami, twarzą ukrytą w dużych dłoniach. Przyzwyczaiła się do oglądania męża w bezkształtnym więziennym drelichu – kombinezonie w kolorach więzienia Chillicothe, granatowym i białym. W celi śmierci, jak mówił, koncentrował się na dwóch rzeczach: czytaniu Biblii i wzmacnianiu kondycji. Luther zawsze był umięśniony, ale nieco ociężały, a teraz, kiedy osiągnął wiek średni, zmężniał, stwardniał, wyglądał jak wyrzeźbiony w drewnie. Jego brwi zrobiły się gęste, w nozdrzach i uszach widać było siwiejące włosy. Twarz nabrała rysów ojca, który (o czym Edna Mae wiedziała) nie akceptował synowej. To był surowy, obojętny wyraz, z tendencją do marszczenia się, nie uśmiechu. Skóra Luthera zjaśniała, był bardzo blady. Wolno mu było wychodzić na zewnątrz na godzinę dziennie, ale zdarzało się, że z jakiegoś powodu całkiem tego zakazywano. Oczy nabrały koloru popiołu, jakby zbyt długo wpatrywał się w słońce.

Windex! Edna Mae zawsze uwielbiała silny, cierpki zapach tego płynu czyszczącego.

Trzymała w ręku pół butelki windeksu, którą znalazła pod zlewem. Papierowe ręczniki i ścierki. Po kryzysie muchowym wpadła w szał sprzątania, który teraz zdawał się słabnąć. Nie spryskiwała wszystkiego windeksem tak obficie, nie wycierała i nie polerowała tak energicznie, nie szorowała, nie zamiatała, nie czyściła tak intensywnie, odkąd była rozgorączko-

waną młodą matką w domu w Muskegee Falls. Szybko zużyła wszystkie papierowe ręczniki. Wzięła więc papier toaletowy, by wytrzeć podłogę. Wyjęła brudny mop z szafy, nalała gorącej wody do czerwonego wiadra, dodała mydło i zaczęła myć podłogę w kuchni. Śpiewała cicho:

To moje małe światełko,
Niech mi świeci!
To moje małe światełko,
Niech mi świeci!
To moje małe światełko,
Niech mi świeci!
Niech świeci.

Umyła okna i parapet. Wytarła ściany, na których zginęły muchy. Zebrała stosik muszych trupków na szufelkę. Czyścikiem wyszorowała zlew, matowy od tłuszczu; nie czyszczono go porządnie od lat. Umyła blaty. Umyła stół. Umyła plastikowe krzesła, klejące się od resztek z wielu miesięcy, a może i lat. Kuchnię wypełnił silny, rześki zapach środka dezynfekującego. Edna Mae z wysiłkiem otworzyła okna. Była zmęczona, ale też podekscytowana. Od dawna tak się nie czuła.

Rozkładające się mysie truchło z szafy zgarnęła zmiotką na szufelkę i odwracając wzrok, wyniosła na dwór i wrzuciła do beczki ze śmieciami na ganku. Raz w tygodniu Dawn albo Noah ciągnęli beczkę na skraj chodnika, by śmieciarka ją opróżniła.

Teraz miała zamiar posprzątać przedpokój na dole. Potem łazienkę.

Kiedy późnym wieczorem wróciła Mary Kay, zaskoczyły ją zapach mydła i wybielacza oraz lśniące kuchenne powierzchnie.

– Edno Mae, co tu się stało? Co zrobiłaś?

Edna Mae odpowiedziała z zadowolonym uśmiechem:

– To, co powinnam była zrobić dawno temu. Posprzątałam dom.

Święte niewiniątka

– Mamo, proszę, nie zmuszaj mnie. Mamo, to wariactwo. I jeszcze stracę tę cholerną pracę! A potrzebujemy pieniędzy.

Ednę Mae to zabolało. Nie lubiła, jak jej córka wulgarnie się wyraża, używa brzydkich słów, takich jak „cholerny”. Edna Mae nie lubiła, kiedy Dawn jej się sprzeciwiała, nawet jeśli – niedługo potem, po godzinie czy dwóch – córka poddawała się z pełnym złości szlochem.

– Okej, mamo. W porządku.

To niesprawiedliwe! Właśnie dostała awans w Home Depot (tak powiedziano), choć jeszcze nie podwyższono jej stawki za godzinę, za to zwiększono liczbę godzin w tygodniu i wciąż traktowano jak nowego pracownika. Miała w miesiącu tylko dwa dni wolne z rzędu, więc złościła się, że we wrześniu musi właśnie wtedy jechać na czuwanie modlitewne do Cleveland.

Edna Mae się uparła. Dawn nie potrafiła odmówić.

Był 13 września. Dzień pamięci nienarodzonych dzieci, zamordowanych w wyniku aborcji.

Dwudziestu trzech ochotników z Kościoła zielonoświątkowego w Mad River Junction miało pojechać do Cleveland, by uczestniczyć w czuwaniu i pochówku w poświęconej ziemi. Wynajęte autobusy przywoziły ochotników ze społeczności antyaborcyjnych w całym Ohio i Wirginii Zachodniej.

Trucrossowie sugerowali, by nie zabierać dzieci na czuwanie i pochówki w Cleveland. Edna Mae upierała się, że sytuacja jej rodziny jest wyjątkowa i jej dzieci muszą pojechać.

– Łuski spadną z ich oczu i odzyskają wzrok.

Edna Mae Dunphy stała się zdecydowaną kobietą! W tym nowym okresie życia była pełna energii jak słońce przebijające przez prześwit w burzowej chmurze. Jak wilgoć wessana w żyjącą łodygę, która gwałtownie rozkwita. Ostrzygła skołtunione włosy koloru pszenicy tak, że układały się w przylegający do głowy czepek fal i loków. Poszła do dentysty – czego od lat potwornie się bała – i wyleczyła kilka zębów. Ostatnim razem, kiedy poczuła potrzebę zażycia leków, Jezus wytrącił je z jej ręki, aż rozsypały się na mokrą podłogę w łazience, a Edna Mae klęczała, jęcząc i błagając: „Nie, nie, proszę", jednak tabletki były już tak mokre, że rozpuściły się na dłoni i mogła tylko w desperacji oblizywać palce jak pies, mimo brudu i włosów w rozmokniętym proszku. W tej chwili upodlenia Jezus stał niedaleko, obserwując ją zimnym wzrokiem, i Edna Mae poczuła wszechogarniający wstyd, podniosła więc na Niego spojrzenie i przysięgła: *Nigdy więcej, Chryste. Pokazałeś mi drogę, prawdę i światło.*

I tak było. Nie wróciła już do lekarza, by błagać o lekarstwa. Zamiast tego w chwilach słabości wychodziła na surowe zimne powietrze i wznosiła wzrok w poszukiwaniu pomocy, która zawsze nadchodziła. *Dziękuję Ci, Jezu!*

W mroczne poranki to Jezus podnosił ją z łóżka.

W żyłach Edny Mae w szaleńczym tempie krążyła krew – krew Jezusa. Wielu członków Kościoła zielonoświątkowego z zaskoczeniem i podziwem obserwowało tę zmianę w pokornej dotąd i chorowitej żonie Luthera Dunphy'ego.

Wielebny Ben Trucross również obserwował przemianę Edny Mae Dunphy. Na początku postęp był powolny i niepewny. Potem nagle Edna Mae dostrzegła światło. I to światło zaczęło bić z jej oczu. Merri Trucross namówiła Ednę, by wraz z kilkoma kobietami z Kościoła zaczęła chodzić na basen do YWCA, i te wypady okazały się tak potrzebne, że Edna Mae czasami chodziła pływać samotnie. Szła do miasta, ponad półtora kilometra, w dresie i tenisówkach, ze sportową torbą. (Luke któregoś ranka zobaczył matkę idącą South Street i ledwo ją poznał. Czy to Edna Mae? Ostrzyżone włosy? Zdecydowany krok? Sportowa torba? Luke był tak zasko-

czony, że niemal wjechał w inny samochód ciężarówką do naprawy dróg, którą wtedy prowadził). W YWCA Edna Mae zobaczyła na ścianie listę zajęć dostępnych w Farloe Community College i następnego dnia zapisała się na kurs dla pomocy pielęgniarskich, by odnowić uprawnienia.

Dwadzieścia lat wcześniej była taką gorliwą studentką! Teraz potrafiła w sobie odnaleźć ledwie resztki tamtych chęci, ale to wystarczyło (Jezus ją zapewnił), by ukończyła kurs.

Edna Mae wiedziała bowiem, że musi zacząć utrzymywać rodzinę. Przynajmniej Anitę i Noaha.

Rankiem 13 września obudzone przed świtem młodsze dzieci były nieprzytomne. Szczególnie trudno wstawało się Noahowi, który przez sen odepchnął Ednę Mae. Zapomnieli, że dzisiaj jadą na pielgrzymkę do Cleveland? Edna Mae mówiła im tylko, że jedzie wiele osób z ich nowego Kościoła i że zapamiętają ten dzień do końca życia.

– Żyjemy w płytkiej rzeczywistości tego świata. Mamy zamknięte oczy, jesteśmy jak lunatycy. Ale łuski spadną z naszych oczu i odzyskamy wzrok.

Dzieci dotknęły swoich powiek. Łuski?

W żyłach Edny Mae płynęła teraz nieśmiertelność. Jezus nauczył Ednę Mae, jak wskrzeszać umarłych – albowiem i ona umarła.

To był smak jej nowego życia. Nie smak popiołu – smak, z którym tak długo musiała wytrzymywać.

Dawn denerwowała się, że matka mówi z takim podekscytowaniem i jakby nauczycielską pewnością, aż trudno było zrozumieć, co ma na myśli. Oby w Cleveland, oddalonym o ponad sto kilometrów od Mad River Junction, nie wydarzyło się nic okropnego, bo Edna Mae od wielu dni powtarzała, że zapamiętają ten dzień do końca życia.

W tych słowach wyczuwało się coś proroczego. Matka rozmawiała nawet przez telefon, robiąc jakieś plany – ona, która od lat bała się dotknąć słuchawki!

Dawn miała niejasne wyobrażenie tego, co ma się wydarzyć. Czuwanie modlitewne? Pochówki? Święte niewiniątka?

Bardzo chciałaby zostać w Mad River Junction. Dwa wolne dni zamierzała wykorzystać na swoje prywatne sprawy. Nie mogła jednak pozwolić, by Anita i Noah pojechali z matką sami w tę tajemniczą podróż, która wymagała nocowania – goszczenia – w domu obcych ludzi.

I jakie to dziwne, że Edna Mae dobrowolnie chce spędzić czas u obcych. Nawet jeśli to byli zielonoświątkowcy.

Dawn obiecała kiedyś ojcu, że pomoże zająć się młodszymi dziećmi. Luther wymusił tę obietnicę na niej i na Luke'u po swoim aresztowaniu, ale Luke nie dotrzymał słowa i zostawił z tym siostrę samą.

Wal się. Jestem silna, dam radę. Poradzę sobie.

– To tylko plotka. Niepotwierdzona.

W trakcie podróży autokarem ochotnicy usłyszeli, że czuwanie i pochówki być może będą relacjonowane w krajowej telewizji informacyjnej przyjaznej chrześcijanom. Wielebny Trucross ekscytował się, że taka reklama z pewnością ściągnie do Cleveland więcej ochotników oraz zachęci do wpłat na fundusz świętych niewiniątek.

W Cleveland pojawiało się coraz więcej ludzi – przyjeżdżali autokarami, minivanami, samochodami. Od razu się rozpoznawali – szalona radość rozprzestrzeniała się między nimi jak ogień. W miejscach publicznych, w parkach i na chodnikach klękali i odważnie się modlili. Modlili się głośno. Recytowali. Otoczyli Szpital Planowanego Rodzicielstwa Hrabstwa Cleveland. Niektórzy byli stamtąd odciągani przez policjantów, ale nie przerywali modlitw. Inni odmawiali różaniec. Chwalili się, że ich modlitwy są tak głośne, że słychać je w piekle.

W miejscach publicznych podnosili plakaty z napisami: 13 WRZEŚNIA: DZIEŃ PAMIĘCI ŚWIĘTYCH NIEWINIĄTEK, DZIECI ZAMORDOWANYCH PRZEZ ABORCJĘ. Chętnie rozdawali ulotki wszystkim przechodniom: *Szanuj życie – twoje dziecko pragnie się urodzić*. Z tuzina ulotek wciskanych w ręce obcych dziesięć rzucano na ziemię, ale dwie prawdopodobnie zostawały w czyichś rękach i były przekazywane dalej. Maszerowali z tablicami, na

których widniały zdjęcia okaleczonych noworodków, napisy: ŻADNE DZIECKO NIE CHCE UMIERAĆ oraz UMARŁEM ZA GRZECHY MOJEJ MATKI.

Powiększone krwawe fotografie dziecięcych ciałek nie były dobrze przyjmowane przez większość przechodniów. W parkach i na chodnikach ludzie pospiesznie mijali ochotników, nie patrząc w ich stronę, albo zwracali się do nich ostro lub błagalnie, ale kierowcy nie mieli innego wyjścia i musieli zwalniać, kiedy demonstrujący z tablicami wychodzili na jezdnię. Przywódcy ostrzegli ich, by nie utrudniali ruchu i nie byli agresywni, jednak ci najbardziej zagorzali nie słuchali i prowokowali trąbienie klaksonów i okrzyki: „Wynocha stąd! Idźcie do diabła! Jesteście chorzy!”. Pojawiła się policja, by ściągnąć ich z jezdni na chodnik. Choć straszono aresztem, nikogo (jeszcze) nie zatrzymano.

Takie reakcje ochotnicy przyjmowali bez zdziwienia, byli na nie przygotowani. Wielu już wcześniej uczestniczyło w czuwaniach modlitewnych i zachęcało mniej doświadczonych, by się nie bali i nie zniechęcali. Jezus nie poddawał się w gorszych okolicznościach. Wszyscy wiedzieli, że wypełniają wolę bożą. Wiedzieli to nawet ich wrogowie – ateiści, socjaliści, aborcjoniści. W klinice planowania rodziny wiedział o tym cały personel. W takich miejscach również mieli przyjaciół i zwolenników, którzy nie mogli się odezwać ze strachu przed konsekwencjami. Nawet wśród sił porządkowych znaleźliby się przyjaciele i zwolennicy. I często zdarzało się, jakże pięknie, że jakiś człowiek zatrzymywał się, by popatrzeć, dać się poruszyć, wciągnąć w rozmowę, wziąć ulotkę, a nawet wcisnąć pieniądze w dłonie ochotników. „Niech was Bóg błogosławi. Wykonujecie Jego wolę”.

Ci najbardziej odważni klękali na podjeździe przed przychodnią. Prawo zabraniało im wchodzić na teren budynku. Z niesłabnącym entuzjazmem modlili się i skandowali. Byli wśród nich księża. Były zakonnice. Były nastolatki i były dzieci. Byli ludzie starsi i niedołężni. Niektórzy na wózkach inwalidzkich pchanych przez dorosłe dzieci. Z dumą podnosili transparenty. A na nich hasło: 13 WRZEŚNIA: DZIEŃ PAMIĘCI ŚWIĘTYCH NIEWINIĄTEK, DZIECI ZAMORDOWANYCH PRZEZ ABORCJĘ. Tamtego dnia niewiele kobiet

i dziewczyn ośmieliło się wejść do przychodni aborcyjnej, bo nikt nie chciał przeciskać się między rzędami krzyczących manifestantów.

Ale kliniki nie zamknięto. Wróg potajemnie obserwował ich przez okna, a przy drzwiach stali ochroniarze.

Obawiali się podpalenia? Podłożenia bomby? Ostrzału? Zasłużonej fali ognia piekielnego – tego bali się ci mordercy?

Na ulicy stały ekipy telewizyjne, co zwiększało tylko tłok i chaos.

Edna Mae przyjechała pod przychodnię aborcyjną w centrum Cleveland razem z innymi członkami Kościoła w Mad River Junction. To było jej pierwsze czuwanie modlitewne i nie zamierzała dać się zmęczyć. Razem z Dawn, Anitą i Noahem klęczała, modliła się, skandowała. Dokoła siebie mieli armię wiernych, którzy nie dadzą się zniechęcić. Wkrótce jednak młodsze dzieci poczuły się wyczerpane i Edna Mae musiała pozwolić im zdrzemnąć się na chodniku. Dawn z ponurą miną klęczała obok Edny Mae ze swoją tablicą opartą na ramieniu pod zuchwałym kątem.

Marudnym głosem powiedziała, że powinni wracać do domu. Anita i Noah powinni wracać do domu.

Edna Mae szorstko odparła, że nie pojadą do domu, dopóki dzień pamięci się nie skończy. Nie zamierzała być tą ochotniczką z Kościoła wielebnego Trucrossa, która osłabnie i się wycofa.

– Mamo, na miłość boską!

– Nie wymawiaj imienia... Uważaj, co mówisz.

– W ogóle cię nie obchodzi, że Anita i Noah są zmęczeni...

– Zamordowane dzieci są bardziej niż zmęczone. Wszyscy powinniśmy się wstydzić.

Od czasu do czasu rozlegały się okrzyki. Nie było wiadomo, co dokładnie się dzieje, ale widziały funkcjonariuszy policji z Cleveland, którzy odciągali ochotników. Czyżby manifestanci odważyli się podejść do frontowych drzwi przychodni? Próbowali powstrzymać jakąś ciężarną kobietę czy dziewczynę? Dawn tak często powtarzano, że policjanci popierają manifestantów antyaborcyjnych, że teraz nie mogła zrozumieć, dlaczego tak

źle ich traktują i z taką wściekłością na nich wrzeszczą: „Cofnąć się! Zrobić przejście!”.

W końcu o zmierzchu w klinice zgasły światła.

– Mamo? Dlaczego nie wracamy?

– Dlaczego? Bo nie wracamy.

Dawn nie pojmowała, dlaczego Edna Mae i kilka innych osób nie odjeżdżają spod kliniki planowania rodziny. Ostatni członkowie personelu wynieśli się szybko, odprowadzani skandowaniem: „Mordercy! Tchórze!”.

Edna Mae złapała dzieci za ręce.

– Szybciej!

Prowadził ich wielebny Trucross.

Dawn była potwornie zmęczona. Dawn nic nie rozumiała. Dokąd idą? Klinikę zamknięto na noc. Nie było za kogo się modlić, kogo straszyć i nękać. Na ulicy stała już tylko jedna ekipa telewizyjna.

Na miejscu pozostało kilkanaścioro ochotników – mniej niż dwadzieścioro. Wszyscy jednak okazali się członkami Kościoła wielebnego Trucrossa.

Zaprowadzono ich na tyły przychodni, na uliczkę, na której stały śmietniki. Było tam ciemno. Zapalono latarki. Dawn niewiele widziała. Młodsze dzieci potykały się i marudziły. Edna Mae mówiła głosem drżącym z podekscytowania. Wielebny Trucross rozmawiał z reporterem. Uliczkę oświetliły reflektory jakiegoś samochodu i Dawn zobaczyła jasno zarysowane twarze ochotników. Większości nie znała, ale wśród nich stała Edna Mae Dunphy. Mieli takie miny, jakby nie wiedzieli, gdzie się znajdują i dlaczego. Dawn rozpoznała Jacqueline, także z Mad River Junction, przysadzistą astmatyczkę, którą podobno Jezus ocalił, kiedy w dzieciństwie zacisnęło się jej gardło i nie mogła oddychać. To się wydarzyło w Kościele zielonoświątkowym i tuzin świadków zeznał, że Jezus wlał życie w Jacqueline i przywrócił ją światu.

Edna Mae trzymała latarkę. W zaułku czuło się smród zgniłych owoców, zepsutego mięsa. Czegoś kwaśnego i zjełczałego. Dawn przełknęła ślinę, żeby powstrzymać mdłości. Matka złapała ją za rękę z zaskakującą siłą.

– Dawn! Chodź ze mną.

Nie zamierzała iść z Edną Mae! Wbiła pięty w ziemię. Matce jednak udało się zwyciężyć. Kto by pomyślał, że ma tyle siły!

W zaułku za kliniką, w obezwładniającym smrodzie, przewrócili pojemniki na śmieci i zaczęli w nich grzebać. Bez wahania otwierali wielkie kontenery, by zajrzeć do środka, świecąc sobie latarkami.

Ktoś zawołał. Odkrył kartonowe pudła w jednym z dużych śmietników. Wyjęto pierwsze, dokładnie zaklejone lasotaśmą. Rozcięli ją nożem i otworzyli. W środku było pięć czy sześć plastikowych zamkniętych torebek, a w każdej z nich coś małego, w kształcie gwiazdy... Rozległy się jęki grozy i okrzyki entuzjazmu.

Edna Mae rzuciła ostro:

– Widzisz? To dzieci. Nie urodziły się tak jak ty.

Ale Dawn widziała, że Edna Mae również jest bardzo przestraszona. Miała ściągniętą, ziemistą twarz, a usta ułożone w nienaturalny półuśmiech jak u manekina. I bardzo zimne palce.

W drżącym świetle latarki obejrzano pierwsze dziecko. Trzeba było (jak powiedział wielebny Trucross) określić, czy naprawdę nie żyje.

Choć od razu było widać, że biedactwo nigdy nie żyło. Maleńkie jak kociak stworzenie z nieproporcjonalnie dużą głową. Przykurczone kończyny, brak jednej ręki.

Dawn próbowała się wyrwać z uścisku Edny Mae. Serce biło jej jak szalone. Czuła, że zaraz zabraknie jej tchu. Nie potrafiła jednak odwrócić wzroku od maleńkiego martwego dziecka wyjmowanego z brudnej plastikowej torebki.

Drżącym głosem powiedziała do matki:

– Te dzieci nie żyją. Nie wiedzą, co dla nich robicie.

(Gdzie są Anita i Noah? Dawn miała nadzieję, że gdzieś daleko, że ktoś ich pilnuje, bo Edna Mae najwyraźniej zapomniała o swoich dzieciach).

Matka spojrzała na nią z obrzydzeniem.

– Jesteś taką ignorantką! To żałosne, jaką jesteś żałosną ignorantką. Dlaczego chowamy zmarłych? Bo umarli. Ale ich dusze nie są martwe. Oddajemy cześć duszom tych dzieci, a nie ich biednym, okaleczonym ciałkom. Wstydź się.

– Ale... one nigdy nie żyły...

– Oczywiście, że żyły! Wszystkie żyły w macicach swoich matek. Tak samo jak ty, zanim się urodziłaś. – Edna Mae mówiła z zajadłością, jakiej Dawn nigdy przedtem u niej nie słyszała, choć było widać, że matka również drży ze strachu.

Ochotnicy wyrażali zaskoczenie, żal, przerażenie. Dawn przygotowała się na to, co ma nastąpić. Wielebny Trucross głośno się modlił.

– Pomóż nam, dobry Boże. Boże, który gładzisz grzechy tego świata, pomóż nam uratować te święte niewiniątka...

W promieniu latarki zademonstrowano kolejne małe stworzenie. Wyjęto je z woreczka, do którego było wciśnięte. Większe niż poprzednie dziecko, miało ciało koloru mięsa mokrego od krwi. Widać było maleńkie zagięte nóżki, drobne palce u rąk i nóg, niewymiarową główkę. Widać było oczy – zdawały się duże i zaciśnięte. Miniaturowe wydęte usta, które nigdy nie zapłakały.

Inne dzieci wyglądały na rozczłonkowane. Ich duże głowy były nietknięte, ale ciała jakby porwano na kawałki.

Wszystkie nieruchomo leżały na ziemi. Dawn wydawało się to niewłaściwe, by dziecko, nawet martwe, leżało na ziemi.

Choć oczy martwych dzieci były zamknięte, a buzie skurczone w grymasie, miało się wrażenie, że te powieki zaraz się otworzą. Nie dawało się odwrócić od nich wzroku.

Dawn błagała Ednę Mae, by ją puściła.

– Puściła cię dokąd? Masz na mnie zaczekać. Wszyscy razem pojedziemy rano do domu.

Dawn stała przerażona, patrząc, jak Edna Mae i pozostali gołymi rękami wyjmują kolejne pudła ze śmietników. (W Home Depot Dawn i jej koledzy nosili rękawiczki, wypakowując towar. Jeśli nie włożyłeś rękawiczek, przynosił ci je kierownik!). Niektóre kartony były odwrócone do góry nogami, jakby ktoś wrzucał je do kontenerów w pośpiechu.

Wszystkie pudła ułożono ostrożnie w bagażniku minivana stojącego w zaułku. Planowano pochować płody na cmentarzu, w poświęconej ziemi, kilka kilometrów dalej. Porządny chrześcijański pochówek, chrześcijańskie modlitwy.

Edna Mae nalegała, więc Dawn pomogła ładować pudełka. Ze smrodu nie mogła już oddychać, kręciło się jej w głowie.

Gdzie jest Jezus? Czy to był Jego plan, od początku, by Dawn pomagała pochować te dzieci?

Nie ostrzegł jej. Co za potworny szok!

Od czasu młotka z trzonkiem owiniętym czarną taśmą, który uderzał z taką siłą uciekających, krzyczących chłopaków, Dawn zaczęła szanować Jezusa w inny, nieoczekiwany sposób. Jezus jest sprzymierzeńcem człowieka, ale nie wolno tego poparcia brać za pewnik.

W końcu ze śmietników wyjęto czternaście pudeł zaklejonych taśmą. W każdym znajdowało się pięć lub sześć plastikowych woreczków z usuniętymi dziećmi.

Wyrzucone jak śmieci! Boże, miej litość dla ich morderców.

Kiedy nadszedł czas, by pojechać na cmentarz, Dawn znowu błagała Ednę Mae, by pozwoliła jej wrócić do domu, ale matka ostro odpowiedziała, że nie może jechać, bo jak niby chce jechać do domu, nie ma przecież pojęcia, jak wrócić z tego nieznajomego miasta, a dziewczyna w jej wieku nie może chodzić sama po ulicach, bo to niebezpieczne.

– Jedziesz z nami. Zajmiesz się siostrą i bratem.

Dawn widziała, jak się jej przyglądają. W wiatrówce wyszywanej srebrną nitką, dżinsach ogrodniczkach brudnych od śmieci, była najmłodszą z osób w zaułku pomagających przy pudłach.

– Dawn, no chodź. Wsiadaj z nami.

Edna Mae ciągnęła córkę w stronę minivana, w którym siedzieli już Anita i Noah. Ale Dawn wyrwała rękę.

I nagle była wolna od uścisku swojej matki. Była też od niej wyższa i silniejsza.

Edna Mae wołała, ale Dawn przebiegła przez smugi światła samochodowych reflektorów. Widziała wpatrzone w siebie błyszczące oczy, dostrzegła, jak gapią się na nią wielebny Trucross i jego żona Merri.

– Dawn? Dokąd idziesz, Dawn?!

Nienawidziła tego, że Trucrossowie wołają do niej, jakby była ich córką. Jeśli Jezus wbił jej do głowy jakąś prawdę, to tę, że nie jest niczyją córką.

Przy końcu uliczki stała furgonetka stacji telewizyjnej, której światła oślepiły Dawn, kiedy biegła w tym kierunku. Minęła ekipę, zasłaniając twarz, nie zważała na to, że Edna Mae woła za nią wściekłym i błagalnym tonem:

– Dawn! Dawn! Wracaj tu natychmiast!

Dawn potknęła się, zakołysała, biegła. I biegła.

To chyba był największy szok w moim życiu! Większy niż ten telefon, po którym dowiedzieliśmy się, że mój szwagier Luther Dunphy w listopadzie 1999 roku zastrzelił z zimną krwią dwóch ludzi.

No i to też był telefon – dzwoniła sąsiadka. „Noreen, włącz szybko telewizor”, powiedziała June Gallagher. Kanał czterdziesty dziewiąty.

Pokazywali modlitewne czuwanie na cmentarzu w Cleveland, nocą; ludzie klęczeli na dużym cmentarzu, ze złożonymi rękami, modlili się ze schylonymi głowami, a wśród nich była Edna Mae – moja siostra!

Gapiłam się i gapiłam. Co tam robi Edna Mae, na cmentarzu w Cleveland? I dlaczego pokazują ją w telewizji?

Poinformowano, że to szczególna część cmentarza baptystów, przeznaczona na chowanie usuniętych płodów, przedwcześnie urodzonych dzieci Boga – jak je nazywano. Płody wyrzucano jako odpady medyczne w klinikach aborcyjnych, a „ratowali je" członkowie organizacji antyaborcyjnych, by pochować po chrześcijańsku w poświęconej ziemi, no i najwyraźniej moja siostra Edna Mae brała w tym udział. Wiedzieliśmy, że zaczęła uczęszczać do jakiegoś nowego kościoła w Mad River Junction, gdzie musieli się przeprowadzić po procesie, ale nigdy nie słyszeliśmy o czymś takim jak Dzień Pamięci Nienarodzonych Dzieci Zamordowanych w wyniku Aborcji.

Ledwie poznałam Ednę Mae. Obcięła włosy, wyglądała inaczej, niż zapamiętałam – taka pobudzona, nerwowa, jakby w napięciu. Nie widziała kamer telewizyjnych albo nie dała tego po sobie poznać. Wraz z innymi klęczała i się modliła, a potem zaczęła układać w grobie jakieś rzeczy, podczas gdy ksiądz je błogosławił – wyglądały jak małe plastikowe woreczki z czymś w środku – resztki płodów! – ale tam, gdzie były torebki, ekran telewizyjny zamazano jak pod wodą albo we śnie. Chyba to było za mocne, żeby pokazywać.

Zrobili za to zbliżenie kilku twarzy. Ale kamera nie zatrzymała się dłużej na Ednie Mae.

Prezenterka telewizyjna, blondynka, wyraźnie sympatyzowała z tą ceremonią, ale widziałam, jaka jest przerażona. Trzymała mikrofon i nie zbliżała się za bardzo do grobów, odwracała wzrok od tego, co w nich chowali. Oddychając z trudem, mówiła o wiernych przyjeżdżających z kościołów w całym Ohio, oddalonych o setki kilometrów, by ratować usunięte płody przed wyrzuceniem na śmietnik. Duchowny, z którym rozmawiała, należał do Kościoła zielonoświątkowego w Mad River Junction – najwyraźniej tego samego co Edna Mae. Miał taką miękką twarz, jakieś pięćdziesiąt lat, dziwnie smutny uśmiech i zapłakane oczy, które mrużył przed telewizyjnymi światłami, gdy mówił: „Proszę pani, to są święte niewiniątka Pana Boga, tak jak pani i ja, tyle że im nie pozwolono się narodzić. I to jest między nami

jedyna różnica – my się urodziliśmy, a one nie. Nie otrzymały nawet chrześcijańskiego pochówku. Dlatego niektórzy z nas – by chronić tych maluczkich – robią to, czego większe chrześcijańskie Kościoły w swojej służbie nie robią.

Jasnowłosa kobieta próbowała wymyślić jakąś odpowiedź na te słowa, wypowiedziane cichym, naglącym głosem kogoś, kto łapie cię za łokieć i każe ci się zatrzymać i słuchać. W końcu wydusiła jedynie: „Ach... Tak... Dziękuję, wielebny!”.

„Na tym cmentarzu pochowane są już sto trzy usunięte płody – dodał pastor. – A dzisiaj ta liczba zbliży się do stu pięćdziesięciu”.

Kamera ponownie skierowała się na miejsce pochówku, choć wciąż nie dało się wyraźnie zobaczyć, co znajduje się w plastikowych torebkach – tylko blade, rozmazane kształty. A na krawędzi grobu klęczała moja siostra Edna Mae, ze schyloną głową i twarzą mokrą od łez.

To były najdziwniejsze minuty w moim życiu. Patrzyłam w telewizji na siostrę – tak odległą, jakbyśmy w ogóle się nie znały. Zdałam sobie sprawę, że Edna Mae i ja przez większość dorosłego życia właściwie nie utrzymywałyśmy kontaktu. A od czasu wydania wyroku śmierci na mojego szwagra trudno było rozmawiać z którymkolwiek z Dunphych. Bo co powiedzieć? Co można powiedzieć? Próbowałam skontaktować się z Edną Mae, ale ona nigdy nie odbierała telefonu i nie oddzwaniała. A kiedy zadzwoniłam i odebrała Dawn, to mówiła, że przekazała Ednie Mae, że dzwoniłam, ale ona nigdy nie oddzwaniała. Kiedy pytałam, jak sobie radzą, Dawn tym swoim sarkastycznym tonem odpowiadała: „A jak myślisz?”.

No tak. Dawaliśmy Ednie Mae pieniądze. Tyle, ile mogliśmy.

Później dowiedzieliśmy się, ile tysięcy dolarów przekazano na fundusz pomocy Lutherowi, który założono na stronie internetowej. Ludzie przysyłali pieniądze, gotówkę w kopertach, i tylko Bóg jeden wie, ile z tych pieniędzy naprawdę dotarło do rodziny Luthera Dunphy’ego.

Scena na cmentarzu zakończyła się zbliżeniem na ziemię sypaną do grobu. Poważne słowa duchownego: „Niech Bóg zlituje się nad naszymi duszami”. Poczułam niemal nieznośny smutek. Pomyślałam, że to szaleńcy

– oddawać się tak jałowej czynności. Pomyślałam też, że oni wiedzą, że to nie ma sensu, robić chrześcijański pochówek dzieciom, które nigdy nie żyły. Modlić się do Boga o łaskę, skoro to Bóg nie okazał łaski, bo gdyby to zrobił, te dzieci nie zostałyby zamordowane w macicach swoich matek.

Wiedzą, że to jałowe, ale działają tak, jak im podpowiada sumienie. Tak jak Luther Dunphy. Ich wiara uczyniła z nich potwory – i to również zaakceptowali.

Wtedy nie potrafiłam już rozpoznać Edny Mae pośród innych. Straciłam ją.

Na tym samym kanale telewizyjnym pokazali później film dokumentalny o męczennikach za życie nienarodzonych: Shaunie Harrisie, Michaelu Griffinie, Terensie Mitchellu, Jamesie Koppie i teraz o Lutherze Dunphym – moim szwagrze!

Wszyscy ci mężczyźni zastrzelili lekarzy aborterów w amerykańskich klinikach aborcyjnych. Ich groźne twarze pokazano na ekranie, ale tylko na chwilę. Męski głos z offu mówił o nich tonem pełnym szacunku.

W tamtym czasie wszyscy ci ludzie byli skazani za morderstwo i osadzeni, trzech w celach śmierci. W tamtym czasie wszyscy żyli i czekali na rozpatrzenie apelacji.

Wykonać wyrok

Nie podpisujcie petycji w mojej obronie. Nawet się za mnie nie módlcie. Nie będę protestować przeciwko mojej śmierci bardziej niż przeciwko życiu, jedno i drugie jest w rękach Boga.

Te słowa przekazał Luther Dunphy mediom 21 lutego 2006 roku w związku ze swoją egzekucją zaplanowaną na 4 marca 2006 roku.

Ułożył je z wysiłkiem. Zapisał sylaba po sylabie. Na żółtym papierze w linie, który dostał od swojego prawnika, zapisał te starannie dobrane słowa, niezręcznie ściskając ołówek.

Nie był przyzwyczajony do pisania. Od kiedy skończył szkołę, właściwie w ogóle nie pisał. Nie czytał też książek, oczywiście oprócz Pisma Świętego, które czytał każdego dnia swego życia, zawsze z zapartym tchem, by dowiedzieć się, co będzie dalej, tak jak dziecko czeka z zapartym tchem, by poznać zakończenie historii, nawet jeśli ta historia jest wstępem do innej, a koniec tej historii wstępem do kolejnej; nawet jeśli wszystko już wiadomo, to nic naprawdę nie wiadomo. Luther mógł raz po raz czytać Ewangelie, które napełniały go zadziwieniem, nadzieją, strachem i radością; za każdym razem zaskakiwało go, że Jezus został przybity do krzyża, nawet nie próbował uciekać przed oprawcami, i że Jezus powiedział do złodzieja ukrzyżowanego razem z nim: *Zaprawdę, powiadam ci, dziś ze Mną będziesz w raju*, że Jezus rozpaczał na krzyżu i cierpiał, i umarł, jak umiera zwykły człowiek, a potem został złożony do grobu, ale wstał z martwych i poszedł do nieba.

Mózg Luthera przeszyło światło, jakby błyskawica gorąca. Nagle przestał widzieć i znalazł się na podłodze swojej celi; upadł, nie zdając sobie z tego sprawy, ale w jego sercu była radość.

Zaprawdę, powiadam ci, dziś ze Mną będziesz w raju.

– Lutherze, jesteś pewien? – Prawnik nie był zadowolony z oświadczenia, które przeczytał.

– Tak, jestem pewien.

Mówił z uporem. Ale cicho, nie obronnym tonem. Głos miał ochrypły, jakby w gardle osiadł kurz.

Młody prawnik ze szkoły Columbus należał do zespołu specjalizującego się w prawie dotyczącym kary śmierci. Przed Dunphym jego klientem był inny osadzony w celi śmierci w Chillicothe, stracony w listopadzie poprzedniego roku.

– W Ohio rozesłano petycje z protestem przeciwko egzekucji. Jeśli opublikujemy to oświadczenie, przekreślisz wysiłki tych, którzy z zasady sprzeciwiają się karze śmierci, i zaskoczysz i zdenerwujesz tych, którzy sprzeciwiają się karze śmierci dla ciebie.

– Nie.

– Co: nie?

– Nie chcę tego.

– Czego nie chcesz?

– Żeby ludzie protestowali. Podpisywali petycje. Wtrącali się.

– Ale Lutherze...

– Powiedziałem: nie.

– Ale odrzucono naszą apelację. Ostateczną apelację. Wiesz o tym.

Luther wiedział: nie może sprzeciwiać się egzekucji. Miał zasadę: człowiek nie powinien sprzeciwiać się woli boskiej w tak kluczowej kwestii.

Nie pozwalał jednak sobie myśleć: „To się nie wydarzy. Bóg nie pozwoli, by to się stało. Przekładano ją wiele razy i przełożą ją znowu”.

W Chillicothe były szczęśliwe chwile. Właściwie to całkiem sporo szczęśliwych chwil.

Codzienne ćwiczenia sprawiały mu wiele przyjemności. Mocno bijące serce, pot spływający po twarzy i skroniach, kiedy pojawiała się w nim chłopięca radość: żyję.

Człowiek, którego zabił, lekarz aborter Voorhees nie żyje.

Może ta świadomość nie całkiem była przyjemna. Ale to było sprawiedliwe.

Nosił ubrania wydawane w więzieniu: kombinezon, tiszert, koszulę z długim rękawem, bokserki, skarpety, wszystko z tanich, szorstkich materiałów produkowanych przez American Corrections, Inc. Wiele razy prane ubrania, które zaczął nosić z zadowoleniem.

Każdego dnia w swojej celi o wymiarach metr osiemdziesiąt na dwa siedemdziesiąt, wysokiej na dwa metry, robił przysiady – powoli, zawsze bez pośpiechu, w skupieniu, licząc dziesiątkami.

Robił brzuszki, pompki, skłony, licząc dziesiątkami.

Stawał na rękach, nawet na głowie. Te ćwiczenia wykonywał bardzo powoli, wymagały wytężonego skupienia.

Jego ćwiczenia. Jego własne.

Tak jak te wyjątkowe modlitwy, jego własne.

Ponieważ siedział w celi śmierci, a nie w normalnej celi Chillicothe, nie miał pozwolenia na spacerniak. Ani na siłownię. Nie mógł trzymać w celi hantli ani ciężarków. Nauczył się zastępować je napinaniem mięśni górnej części ciała w trakcie energicznych ćwiczeń wykonywanych przez określony czas, dokładnie i według planu.

Na przykład przyciskał dłonie do ściany i napierał. Liczył (powoli) do dziesięciu, napinając się tak, że ręce i ramiona zaczynały drżeć, a ścięgna w karku zdawały się grozić zerwaniem.

Każde z tych ćwiczeń rozkładał na precyzyjne partie dziesięć razy dziennie.

Na godzinę dziennie wyprowadzano go z celi na zamknięty teren podwórza przypominający zagrodę dla bydła poddanego kwarantannie. Mniej więcej cztery i pół metra na sześć. Niebo było tu plamką słabego światła bardzo, bardzo wysoko nad smutnoszarymi betonowymi ścianami, a jeśli padało, to często deszcz zdawał się nie docierać do Luthera Dunphy'ego podnoszącego twarz ku niebu.

W tej przestrzeni mógł biegać, co w celi było niemożliwe.

Raz dziennie na dworze mógł wykonywać cały zestaw ćwiczeń, z przyjemnością większą niż w celi.

Teraz coraz częściej pojawiał się ból. Przy zimnej, wilgotnej pogodzie – ból.

Wyraźny ból w kolanach, udach i ścięgnach. Przysiady powodowały łzy.

Na plecach, z ugiętymi kolanami, szybko biegającymi nogami – uderzenia bólu w biodrach, od których łzy spływały na policzki.

Już nie jest młody. Musiał to przyznać.

W tym miejscu, w odosobnieniu celi śmierci, stał się mężczyzną w średnim wieku.

(Choć swego wieku nie zawsze był pewien. Kiedy to się zaczęło, ta seria nieuniknionych wydarzeń, które doprowadziły go do celi w Chillicothe, miał trzydzieści dziewięć lat, to wiedział. A teraz, sześć lat później? Siedem? Miał czterdzieści pięć albo sześć. Zapomniał wieku swoich dzieci. Kiedy o nich myślał, miał w pamięci ich bardzo dawny obraz. Wśród nich Daphne, najmłodsza. I choć niedawno widział się z Edną Mae, w wyobraźni wciąż postrzegał ją jako dziewczynę z niemowlęciem w ramionach. Kobieta zawsze jest szczęśliwa z niemowlęciem w ramionach).

Włosy na czubku głowy zaczęły mu się przerzedzać. Przez te miesiące i lata tak powoli, że ledwie to zauważał. Ale teraz, gdy dotykał skóry, czuł twardą, gruzłowatą czaszkę z prawie nieowłosionymi miejscami, których przedtem nie było.

W celi śmierci nie ma luster. Nie chcesz oglądać osoby, którą zamieszkujesz. Nie chcesz oglądać swojej twarzy, gapić się w swoje oczy.

Zapomniał swoją twarz. Oprócz znamienia na policzku.

Było lekko szorstkie. Powierzchnia tego znamienia pod czubkami palców.

Kiedy próbował sobie przypomnieć swoją twarz (co robił rzadko, bo po co?), najczęściej widział w głowie twarz brata Jonathana, nie własną.

Jego bracia przy kuchennym stole. Podobne nastroje między chłopcami, którzy wykluczali Luthera.

Zawsze lubił Jonathana, o dwa lata starszego. Zawsze bał się i nie lubił najstarszego, Normana.

Na sali sądowej w Muskegee Falls na twarzy Normana widział niedowierzanie, szok, ból i konsternację, kiedy zapadł wyrok „winny".

Głęboki wstyd za tego „winnego".

Bracia rzadko odwiedzali go w Chillicothe. Rodzice podobno byli zbyt chorzy, by przyjechać.

„Przybici", ktoś posłużył się tym słowem.

Egzekucję Luthera Dunphy'ego planowano pięciokrotnie i cztery razy była odraczana nakazem sądowym przysyłanym do Departamentu Więziennictwa Stanu Ohio. Pierwszą wyznaczono na sierpień 2000 roku, teraz był luty 2006, a nierzadko zdarzało się (tak mówił prawnik Luthera), że osadzony przed straceniem czekał w celi śmierci dziesięć, dwanaście, nawet piętnaście czy (rzadko) dwadzieścia lat. W tym długim czasie zawsze istniała możliwość apelacji, złagodzenia wyroku czy ułaskawienia. „Nie poddamy się, Lutherze!" – obiecywał młody prawnik.

W niektórych stanach nie przeprowadzano egzekucji od połowy lat siedemdziesiątych XX wieku, choć skazani wciąż czekali w celach śmierci.

Czekali, starzeli się. W końcu umierali. W celach śmierci.

Niedługo po aresztowaniu Luthera Dunphy'ego, jeszcze przed procesami w sądzie w Muskegee Falls, kilka organizacji antyaborcyjnych wyraziło dla niego poparcie, mimo że publicznie sprzeciwiały się przemocy. Po ogłoszeniu kary śmierci wyrażały w mediach oburzenie, że Dunphy'ego skazano. Kościoły sprzymierzone z Kościołem Jezusowym Świętego Pawła deklaro-

wały solidarność z Lutherem. Kilku kongresmenów stanu Ohio sympatyzujących z ruchem pro-life potępiło surowy wyrok i wezwało do jego złagodzenia. Luther przypuszczał, że to te protesty były powodem przekładania egzekucji, jednak z czasem zelżały (co przekazała mu niechcący Edna Mae), kiedy inni antyaborcyjni męczennicy zajęli miejsce Luthera Dunphy'ego. On jednak nie miał powodu przewidywać, że tym razem będzie inaczej, choć po raz pierwszy dowiedział się, że obcy ludzie organizują protest przeciwko jego egzekucji.

Zapytał prawnika, kim oni są, a ten odparł, że to przeciwnicy kary śmierci, którzy demonstrowali pod różnymi więzieniami przeciwko zbliżającym się egzekucjom. Niektórzy mieli obiekcje natury religijnej. Inni żądali reformy prawa. Wielu z nich było prawnikami, studentami prawa, pracownikami społecznymi, nauczycielami, którzy sprzeciwiali się karze śmierci jako barbarzyńskiej i dyskryminacyjnej, ponieważ ci, których stracono w Stanach Zjednoczonych, byli z reguły albo czarni, albo bardzo biedni, albo jedno i drugie.

Luther nie był przekonany. W Biblii jasno napisano, a Jezus nie odrzucał tego w swoich naukach: *Oko za oko, ząb za ząb*.

– Tak, Lutherze, ale *ten, kto jest bez winy, niech pierwszy rzuci kamień*. – Prawnik Luthera uśmiechnął się jak jeden z tych popisujących się, zadowolonych z siebie studentów, których Luther miał ochotę zamordować w seminarium w Toledo. – W miarę zbliżania się terminu egzekucji – ciągnął młody człowiek – przed więzieniem będą się odbywać demonstracje. Bardzo prawdopodobne, że niektórzy z protestujących będą mieli tablice z twoimi zdjęciami, inni zaś będą protestować przeciwko karze śmierci po prostu z zasady. To ludzie, którzy zwykle nie stoją po tej samej stronie. Ale w osobie Luthera Dunphy'ego znajdą wspólną sprawę.

Luther nie chciał o tym myśleć – „wspólna sprawa". Nie był pewien, co to właściwie oznacza, ale nie podobało mu się samo brzmienie tych słów.

Nie znał nikogo, kto sprzeciwiałby się prawnie wyznaczonym egzekucjom. Nie znał nikogo, kto sprzeciwiałby się wojnie. Podświadomie uważał,

że tacy ludzie to zwykle obcy, socjaliści i ateiści. Nie chciał „wspólnej sprawy” z takimi osobami.

Czasami w obecności prawników, kiedy Luther zdawał się uważnie słuchać kaskady słów płynących z ich ust jak woda z kranu, tak naprawdę napinał (potajemnie) poszczególne mięśnie i liczył do setki dziesiątkami, spokojnie i równo, tylko jedną częścią mózgu, podczas gdy jego dusza dryfowała na wolności i unosiła się niczym chmura muskająca swoje odbicie w powierzchni morza.

– Słuchasz mnie, Lutherze? Rozumiesz?

– Tak.

– Egzekucja będzie tematem dla mediów. W stanie wzbiera silny ruch przeciwko karze śmierci, podobnie jak w Illinois, odkąd Projekt Niewinność zmienił wyroki kilku ludzi z celi śmierci. Dlatego to nie jest dobry pomysł... to znaczy nie pomoże, jeśli wydasz oświadczenie, by ludzie nie protestowali w twojej sprawie. Zrozum, jeśli...

Powieki Luthera się zamknęły. Był przytomny, ale znajdował się gdzie indziej. Poczuł się niezagrożony, spokojny. Jego dusza bezpieczna w środku jak bańka powietrza w poziomicy, odporna na ziemskie krzywdy.

– Lutherze, dziękuję! Niech cię Bóg błogosławi.

Kapelan więźniów z celi śmierci, wielebny Davey, był dużym mężczyzną – ważył przynajmniej sto trzydzieści kilogramów. Miał potężną, okrągłą twarz z wydatnymi policzkami i ustami. Małe oczy głęboko osadzone między fałdkami tłuszczu, ale czujne, uważne jak oczy ptaka. Wielebny ważył już zbyt wiele, by klękać z osadzonymi, których odwiedzał przynajmniej raz w tygodniu, choć Luther pamiętał, że kilka lat wcześniej duchowny klęczał na podłodze celi. Modlili się szczerze, bok przy boku, jak równi sobie.

Za pozwoleniem strażników wielebny Davey przynosił egzemplarze Nowego Testamentu, które Luther Dunphy podpisywał. Na cienkiej jak bibułka stronie jasnoniebieskim atramentem umieszczał swoje imiona i nazwisko:

Każdy podpis wykonywał bardzo starannie. Wielebny Davey przynosił wieczne pióro, by podpisy były ładniejsze. Mówił serdecznym tonem:

– Dla Ligi Młodzieży Chrześcijańskiej to tak wiele znaczy, Lutherze! Tak wiele znaczy dla młodych, którzy otrzymają te piękne książki i zachowają je na całe życie...

Luther był bardzo poruszony, gdy dowiedział się, że egzemplarze Pisma w miękkich czarnych okładkach imitujących skórzaną oprawę będą rozdawane wśród młodych chrześcijan przez ich pastorów. Podpisane przez Luthera Amosa Dunphy'ego, zostaną wręczone w czerwcu 2006 roku w Indianapolis, na dorocznym spotkaniu Koalicji Aktywistów Pro-Life Środkowego Zachodu.

Zwykle osadzonym w celach śmierci w Chillicothe zakazywano trzymania tak dużej liczby książek w celach. Przybory do pisania z ostrymi końcówkami były całkowicie zabronione. Jednak ze względu na tę wyjątkową okazję zakaz uchylono. Luther dowiedział się, że jego podpis jest jak błogosławieństwo na każdym egzemplarzu Nowego Testamentu.

– Dla wielu jesteś bohaterem, Lutherze. Jesteś męczennikiem. Ludzie, którzy nie tolerują przemocy, również cię szanują. Modlimy się za twoją duszę.

Luther lubił wypisywać swoje nazwisko na stronie tytułowej Nowego Testamentu. Nigdy w życiu nie podpisywał się w ten sposób – jakby jego nazwisko się liczyło, miało wartość. „Luther Amos Dunphy" stało się nazwiskiem istotnym, szanowanym i docenianym, z którym on przypadkiem był związany.

Podpisując przez całe dnie egzemplarze Nowego Testamentu, powoli i starannie, wyobrażał sobie młodych chrześcijańskich chłopców i dziewczęta, którzy otrzymają książki, zobaczą jego nazwisko i zaczną czytać. Czuł się wtedy tak, jakby wspinał się po drabinie – z każdym stopniem co-

raz wyżej, zawsze wyżej. Po drabinie większej niż jakakolwiek drabina sięgająca najwyższych szczytów jakiegokolwiek domu.

Wielebny Davey zabierał podpisane egzemplarze Nowego Testamentu w miękkich czarnych okładkach i przynosił następne.

– Nie spiesz się, Lutherze! Nie ma pośpiechu.

Luther zwrócił uwagę na te słowa. Czy miały mu dać do zrozumienia, że choć egzekucję zaplanowano na przyszły tydzień, dokładnie za pięć dni, mógł się spodziewać kolejnego odroczenia?

Możliwe, że wielebny Davey już wiedział, że zostanie wyznaczony nowy termin, ale nie mógł o tym powiedzieć.

Trzecie odroczenie, w sierpniu 2004 roku, przyszło zaledwie dwie doby przed wyznaczonym terminem. Luther pamiętał, jak Edna Mae przyjechała z dziećmi, by „po raz ostatni” odwiedzić go w Chillicothe; wyglądała na bardzo przestraszoną – ale okazało się, że niepotrzebnie.

Wtedy Luther nie martwił się jakoś specjalnie. Czuł się niemal lekko.

Będzie odroczenie albo go nie będzie.

Jakie to proste! Bóg oszczędzi Luthera Dunphy’ego raz jeszcze albo go nie oszczędzi. Z wielkiej wysokości, po wspięciu się na bardzo wysoki dach, patrzysz w dół – różnica nie była wcale tak wielka.

Jakże pragnął, by wtedy, na autostradzie, wcześniej nacisnął hamulec. Kiedy bezradnie sunął w kierunku pick-upa w lekkim mokrym śniegu, było już za późno.

„Da-da!”, zawołało dziecko z tyłu. „Da-DA!”

Ostatnio rozmyślał o tamtym wypadku. Jak w telewizyjnej powtórce, w której krótką scenę puszcza się wciąż od nowa, widział w głowie tamtego pick-upa wyjeżdżającego na autostradę, a teraz słyszał również dziecko na tylnym siedzeniu, którego nie słyszał (na pewno nie słyszał) w momencie wypadku.

Luther poprosił swoją drogą żonę, żeby nie przychodziła spotkać się z nim „po raz ostatni”. Minęło sześć czy osiem tygodni, od kiedy Luke

przywiózł Ednę Mae i Dawn do Chillicothe. Atmosfera była wtedy niezręczna i nie minęło jeszcze dość czasu.

Luther miał bowiem pewność (jak powiedział Ednie Mae), że egzekucja nie odbędzie się w wyznaczonym terminie na początku marca. Poprosił żonę, by dzieliła z nim tę pewność i przekazała ją dzieciom.

– Ale co, jeśli już nigdy się nie zobaczymy? Och, Lutherze!

– Wtedy spotkamy się w raju. Wiesz o tym.

Jeden ze strażników przypisanych do cel śmierci również miał na imię Luther – Luther Crowe. Był czarnym, ale dość jasnym mężczyzną z cienkim wąsikiem, mniej więcej w wieku Luthera Dunphy'ego.

Z pewnych zachowań Luthera Crowe'a, uśmiechu, dobrego spojrzenia, Luther Dunphy mógł wnioskować, że strażnik jest bratem w chrześcijańskiej wierze. Istniała między nimi Jezusowa więź, obaj nosili Jezusa w sercu i nie było potrzeby głośno o tym mówić, bo zwróciłoby to uwagę innych strażników.

Luther Crowe interesował się również szczególnie mocno tym, że Luther Dunphy podpisywał egzemplarze Nowego Testamentu.

Pokazał Lutherowi Dunphy'emu zdjęcia swojej rodziny. Luther Dunphy wpatrywał się w nie oczami tak pełnymi łez, że nie widział wyraźnie.

Ćwiczenia. Posiłki. Lektura Biblii. Podpisywanie Nowego Testamentu.

Ćwiczenia. Posiłki. Lektura Biblii. Podpisywanie Nowego Testamentu.

Dzień więźnia celi śmierci miał za mało godzin, by Luther Dunphy mógł dokonać wszystkiego, czego odeń oczekiwano.

Żaden z nas nie chciał tego robić. Naczelnik powiedział, że mamy losować.

Pewnie, że jest premia – trzysta dolarów. Ale mimo wszystko.

Nikt nie miał doświadczenia. Trzeba fachowca medycznego, żeby wbić igłę w żyłę i zrobić to dobrze, a my gówno wiedzieliśmy. Nie mieliśmy do-

świadczenia, dostawaliśmy tylko tego jednego skazańca. Wtedy już jest za późno.

Pewnie, że nie chciałem tego robić. Luther Dunphy był kimś w rodzaju mojego przyjaciela. Dlatego spoufalanie się jest zabronione.

Możesz się wpakować w niezłe gówno – jak się spoufalasz.

Ale tym razem wiedziałem, że to jakby moja kolej, bo nie podawałem trucizny od niemal czterech lat, a ostatnio, kiedy była moja kolej, to się strasznie rozchorowałem i musiałem odwołać ledwie trzy godziny przed egzekucją, za co nieźle oberwałem.

Nikt nie chciał podawać zastrzyku trucizny. Nie Lutherowi Dunphy'emu.

Luther był wyjątkowym osadzonym. Tego, co zrobił, nie zrobił dla siebie jak pospolity przestępca – jak te zwierzęta, które zwykle siedzą w celi śmierci. Luther protestował przeciwko działalności kliniki aborcyjnej, zastrzelił tam dwóch lekarzy, ale nie uciekł, tylko od razu się poddał. Nie stanowił żadnego niebezpieczeństwa dla policjantów, a w Chillicothe nigdy nie zagrażał nikomu z personelu.

Biedak chyba nie wiedział, że teraz wszyscy próbowali zmienić prawo bez użycia siły. Lobbyści naciskali na polityków, ale nie wolno było atakować centrów aborcyjnych i zabijać. Celem było zdelegalizowanie aborcji.

Ludzie mówili, że człowiek taki jak Luther Dunphy jest więcej wart dla sprawy martwy niż żywy. Jezu! Dobrze, że on nie miał o tym pojęcia.

Luther nie mówił o polityce. Nie mówił nawet – prawie wcale – o swoich religijnych przekonaniach. Nie rozpaczał też, przynajmniej nie w widoczny sposób. W celi głównie ćwiczył i czytał Biblię. Można się zastanawiać, ile razy człowiek może przeczytać Biblię od początku do końca, ale właśnie to robił Luther. To angażowało całe jego życie umysłowe. Zapominał, że nadeszła pora posiłku – a przecież żaden więzień nigdy nie zapomina o posiłku! Kiedy strażnik przynosi jedzenie i wsuwa je w szparę w drzwiach, osadzony musi powiedzieć, że je chce, dać znać, że nie śpi i może zjeść, inaczej nie dostanie jedzenia, a Luther czasami po prostu zapominał – jakby nie słyszał. Ale strażnikowi robiło się go żal i wołał: „Luther? Czy to jest słowna

odmowa? Nie chcesz jeść?”. I wtedy Luther szybko odpowiadał, że nie albo że tak, chce jeść, po prostu nie słyszał.

Ze wszystkich osadzonych na bloku tylko Luther Dunphy nigdy nie narzekał na jedzenie. Modlił się przed posiłkiem bez względu na to, jak był gówniany, i zjadał.

Nie dało się go nie szanować. Rodzina na pewno przysyłała mu pieniądze na zakupy, ale on nigdy nic nie kupił, oprócz szczoteczki do zębów, od czasu do czasu, i pasty. Kiedy osadzono go w celi śmierci, pisał kilka listów, ale nigdy ich nie skończył i nigdy nie wysłał.

Żaden z nas w życiu nie widział kogoś tak poważnie traktującego ćwiczenia. Miał czterdzieści kilka lat i ani odrobiny tłuszczu, tylko mięśnie, i to duże. Robił wrażenie.

Mówiono, że kiedyś był duchownym, więc zapytałem go o to, ale wydawał się zawstydzony i odparł, że uczęszczał do seminarium w Toledo, ale nie wyszło. „Jezus mnie nie powołał. Chyba o to chodziło”.

Ludzie pytali nas, czy Luther Dunphy jest szalony. Czy to on zabił dwóch ludzi, bo Bóg kazał mu to zrobić. I czy twierdzi, że Bóg do niego teraz przemawia. Przeciętny osadzony z celi śmierci, kiedy spędzi tyle lat w odosobnieniu, bo to właśnie znaczy cela śmierci, nie może być zdrowy na umyśle. Może nie wpadają w szał i nie walą głowami o ścianę, ale po prostu nie są zdrowi. Nawet strażnikom na tym bloku może się pomieszać w głowie. Ale Luther Dunphy taki nie był. Mogę przysiąc – tak samo kapelan, który spędził z Lutherem dużo czasu.

Kapelan i naczelnik chyba mieli jakąś umowę, że Luther Dunphy może podpisywać egzemplarze Nowego Testamentu. Podobno miały zostać rozdane wśród wierzącej młodzieży – tak powiedział mi Luther – ale w rzeczywistości po jego śmierci były sprzedawane na eBayu. Niektóre egzemplarze z jego podpisem szły nawet za dwieście siedemdziesiąt dolarów. Za tanio wydrukowaną książkę wartą kilka dolców! Jeśli ktoś na tym zarobił, to naczelnik i wielebny Davey.

Wiedząc, że jestem jak on chrześcijaninem, czy też próbuję nim być, Luther podarował mi jedną z tych książek. Prosił, żebym nie mówił kapela-

nowi. Powiedział: „Lepiej dam ci ją teraz, Lutherze, zanim będzie za późno”.

– Lutherze. Cokolwiek jest w twojej w głowie, musisz ją oczyścić.

Cichym, łagodnym i uspokajającym głosem wielebny Davey mówił, że zbawieniem dla sumienia Luthera byłoby oficjalne oświadczenie dotyczące drugiego człowieka, którego zastrzelił – Timothy’ego Barrona.

– Wiesz sam, Lutherze, że o nim myślisz. Masz go w pamięci. Nigdy nie przyznałeś się do zabicia tego niewinnego człowieka i nie wyraziłeś skruchy, dlatego aktem dobroci wobec rodziny Barronów byłoby, gdybyś to zrobił. I to wkrótce.

Luther Dunphy wpatrywał się w brudną podłogę celi.

Próbował sobie przypomnieć wiele razy. Próbował przywołać tamten obraz. Ale nie potrafił – były tylko pustka i otępienie. Po strzale, który powalił Voorheesa na podjazd, były tylko pustka i otępienie, i huk w uszach.

Bóg zadziałał ręką Luthera Dunphy’ego tylko ten jeden raz. Bóg dał Lutherowi Dunphy’emu siłę, by pociągnął za spust, jakby przepuszczał prąd elektryczny przez żyjące stworzenie. Potem Bóg się wycofał. Nie było drugiego strzału – Luther Dunphy mógł przysiąc.

Jednak wielebny Davey (którego nie było wtedy na podjeździe, nie był świadkiem, nie mógł wiedzieć) nalegał. Twierdził, że dla sumienia Luthera, dla jego duszy będzie uzdrowieniem, jeśli wyda pisemne oświadczenie dotyczące Timothy’ego Barrona, w którym przyzna się do tego, co zrobił, wyzna (być może), że nie miał takiego zamiaru, że nie zamierzał zabić Timothy’ego Barrona. Więc może jednak wyraziłby skruchę z powodu śmierci Timothy’ego Barrona, w akcie dobroci wobec rodziny Barronów.

– Chrześcijańskie miłosierdzie, Lutherze. Ale również uzdrowienie dla twojej duszy.

Luther wyglądał, jakby się zastanawiał. Nikt nie zgadłby, jaką czuł wściekłość, słysząc te słowa. Jak napięły się mięśnie i ścięgna w jego szyi.

I znowu powiedział „nie”, i cierpliwie wyjaśnił, że to niemożliwe, ponieważ w całym swoim życiu zastrzelił tylko jednego człowieka:

– Lekarza abortera, Voorheesa. I nie żałuję tego czynu. Dla niego się urodziłem, wielebny. Teraz to wiem.

Tamtej nocy Jezus odwiedził celę Luthera. Wybudzony ze snu czyjąś obecnością, Luther nie wstał, ale wszystkie jego zmysły się wyostrzyły.

Jezus powiedział cicho: *Zastanów się jeszcze, Lutherze*.

Jezus powiedział: *Teraz jesteś dość silny, Lutherze. A siła jest potrzebna, by wypowiedzieć słowa, które, choć nieprawdziwe, przyniosą pokój dręczonym duszom*.

W Toledo spał w łóżku tamtej kobiety. Wąchał jej ciało, szampon do włosów czy może olejek. Poszewki były brudne od makijażu, więc kiedy uznał, że kobieta nie widzi, odwrócił poduszkę.

Ale druga strona również była nieczysta.

Tak naprawdę z nimi nie rozmawiał. Z tymi kobietami w Toledo.

Przynosił im swój gniew. Napęczniały i pulsujący tęsknotą gniew, który przynosił, gdy wpuszczał gorące, wściekłe nasienie w ich ciała, kiedy leżały pod nim, obejmując go, nieświadome furii gorejącej w jego duszy, potwornej nudy po drugiej stronie furii.

Ależ się nudził w seminarium! Nuda niczym gigantyczne ziewnięcie rozszerzające usta, szczękę. Nuda tak wielka, że mogła unicestwić świat.

Gardził starymi ludźmi, którzy blokowali przejście do stanu duchownego. Nie dali Lutherowi Dunphy’emu błogosławieństwa, by mógł szerzyć Słowo Boże jak pożar lasu pożerający serca obcych.

Chciałem tylko Ci służyć. Nie rozumiem, dlaczego mi tego zakazano.

Tak naprawdę nie rozmawiał z tamtą kobietą, tylko udawał, że mówi. Powiedział, że uczy się, by zostać pastorem, pracuje jako dekarz i cieśla i tak, jest żonaty i ma dzieci. Ale nie mówił jej o sobie, tak jak ona opowiadała

o swoim byłym mężu, który ją bił i upokarzał, i kazał się czołgać, aż pewnego dnia wstała i przysięgła, że nigdy nie będzie się czołgać przed żadnym mężczyzną. Opowiadała o dziecku, które zmarło na jakąś chorobę dziecięcą – odrę. W swojej męskiej próżności i okrucieństwie odciął się od tej kobiety. Chciał o niej myśleć jak o kobiecie upadłej, kurwie, dziwce z ufarbowanymi blond pasemkami, w koszulce z jakiegoś cienkiego materiału koloru nagiej skóry, przez który widział niewyraźny zarys sutków i ledwo przysłoniętą plamkę włosów łonowych. Była dla niego miła, ale była samotna, a mężczyzna boi się samotnej kobiety. Więcej niż raz dla niego gotowała, a on więcej niż raz jadł przy jej stole, wygłodniały, z wdzięcznością, tak jak więcej niż raz zatracał się w jej ciele i uścisku, z wdzięcznością. Powiedziała, że tęskni za tym, by mieć komu gotować. Tęskni za tym, by mieć się kim zajmować. Jej uśmiech znaczył wykrzywiony przedni ząb. Oczy miała orzechowe, tak jak Edna Mae, pamiętał je z czasów, gdy Edna Mae była dziewczyną i tak wiele rzeczy go w niej zaskakiwało.

Kiedy tamta kobieta przebiegała czubkami palców po jego skórze, sztywniał, nie lubił takiego spoufalania się. Kiedy chciała pogładzić znamię na policzku, uderzył ją w dłoń i zaklął.

Jezus powiedział, że chrześcijańskim uczynkiem jest przyjąć na siebie nie swoją skruchę, by ulżyć cierpieniu świata.

Stracił już rachubę, ile minęło dni. Ćwiczenia odliczał dziesiątkami, instynktownie, bo płuca i mięśnie dokładnie pamiętały każdą dziesiątkę energicznych ruchów, stracił jednak rachubę, ile dni, bowiem dni wymykały się poza granice celi.

Jego celi. Tak zaczął o niej myśleć.

Teraz wielebny Davey odwiedzał go codziennie. A czasami nawet dwa razy – rano i wieczorem.

Wielebny Davey powiedział szczerze:

– Modlitwa jest jak pióro.

Wielebny Davey miał oczy ptaka drepczącego szybko w wilgotnym piasku, z długim, cienkim, ostrym dziobem gotowym kłuć.

– Pomyśl o pięknym białym piórze. Dużym piórze, jak u jastrzębia, gdyby jastrząb był biały. Pomyśl o ręce boskiej i białym piórze w Jego dłoni. Każda modlitwa jest takim piórem, lekkim, niemal bez wagi. Jednak każde piórko jest dla Boga cenne. Pióra gromadzą się w boskiej dłoni. Gromadzą się modlitwy i pewnego dnia zobaczysz, Lutherze, wierzę w to, głęboko w sercu...

Luther dokończył w myśli: „że gubernator złagodzi twój wyrok”.

– ...że będziesz z naszym Zbawcą w raju.

Zmieszany Luther się uśmiechnął. Nie był pewien, co wielebny Davey ma na myśli, bo przecież Luther od zawsze wiedział, że w raju przywita go Jezus. Nigdy w to nie wątpił.

Doręczono nakaz wykonania wyroku. Przyniósł go z biura naczelnika młody łysy urzędnik więzienny ze zmarszczonym czołem – Luther nigdy przedtem nie widział tego człowieka. Nakaz dostarczono więźniowi do rąk własnych pewnego ranka po śniadaniu, na które składały się zastygła owsianka, tylko lekko skwaśniałe mleko, odrobina cukru i mały papierowy kubek przesłodzonego soku pomarańczowego.

Nie było wątpliwości, że nakaz jest przeznaczony dla niego, bo na dokumencie widniały słowa „Luther Amos Dunphy” i pozłacana replika Wielkiej Pieczęci Stanu Ohio.

– To dla mnie? – zapytał naiwnie, zdezorientowany.

Rozkojarzonym wzrokiem patrzył na wydrukowane wyrazy. Wydawało mu się, że między słowami i w samych słowach są dziury, jak od kornikόw w drewnie.

> ...ni niejszym nakazuje się, by ska z any L uther Amos Du phy, którego u znano za WINNEGO MORDERSTW A PIERWSZ EGO STOPNIA i którego wer dykt ław y przysięgły ch oraz są du skaz ał na ka rę śmie ci, ma by ć za trzyma ny przez Wł adze Penitencjarne Stanu Oh o do dnia 4 marca 2006, kiedy to wła dze te o godzinie 19:00 w s li przeznacz onej do c elów egze kucji, za pośredni ctwem egze ku-

tora wyznacz oneg o przez nacz elnika, jak nakaz uje prawo i niniejszy n akaz wykon ają wyrok śmierci przez za trzyk tru cizny w śmiertelnej da wce wystarcz jącej do wywołania śmierci wspomn nego Luth era Amosa Dunphy'ego, aż wspo mniany Lu ther Am os Du phy umrze.

Wydrukowane słowa nagle się urwały. Luther szybko obrócił kartkę – po drugiej stronie nie było nic.

Podniósł wzrok. Urzędnik zniknął. Cela opustoszała, został w niej tylko osadzony, którego nogi, ręce i dłonie widział przed sobą.

Czy ja jestem nim czy kimś innym? Kim?

Na podłodze obok łóżka leżał stos pięciu czy sześciu egzemplarzy Nowego Testamentu, czekających na podpisanie, i plastikowe czarne pióro wielebnego Daveya. Luther odłożył na bok nakaz wykonania wyroku i energicznie podniósł przedmioty z ziemi.

W nocy przed egzekucją nawet nie próbuję spać. Leżę na łóżku w bieliźnie i skarpetkach, telewizor jest włączony, ale go nie słucham. A może głos jest wyciszony. Butelka szkockiej, szklanka i papierosy mają mi pomóc przetrwać noc.

Kiedy mieszkałem z żoną, często się tak pokładałem na kanapie. Ale ona nie mogła tego znieść, denerwowała się, kiedy leżałem całymi dniami – do diabła, może nawet tygodniami. Mówiłem: „A gdybym był weteranem z Wietnamu? Litowałabyś się nade mną". A ona odpowiadała: „No dobra, ale nie jesteś weteranem z Wietnamu. Powinieneś się wstydzić, że gadasz takie durne rzeczy".

Wiedziała, jak to jest być żoną strażnika więziennego. Połowa facetów w jej rodzinie to strażnicy; tak poznałem Dolores. Więc to wredne, że się mnie czepiała, udając, że picie to dla niej coś nowego – połowa facetów w jej rodzinie to alkoholicy. Na miłość boską.

Chodzi o to, że nieważne, ile razy wykonujesz procedurę śmiertelnego zastrzyku, zawsze coś może pójść nie tak.

W więzieniu mówią, że jeśli coś może pójść nie tak, to pójdzie, a ty nie będziesz wiedział kiedy.

I tak wczesnym rankiem, koło czwartej, pojawiała się pierwsza fala prawdziwego podekscytowania. Kiedy byliśmy razem, Dolores mówiła: „Hej! Naprawdę czuję twoje serce". To ją chyba fascynowało. Fascynowało, ale też się bała. Z powodu picia nie jestem taki jak zwykle, mówiła, że jestem innym człowiekiem. W tym stanie łatwo coś upuścić albo rozbić, albo na coś wpaść. Łatwo zasnąć z otwartymi oczami. I wychodziła ze mnie jakaś wilgoć – tak mówiła Dolores – jakbym się pocił, ale zimnym potem, jak człowiek stojący przed otwartą lodówką.

To tak silne uczucie, że ledwo da się je znieść.

Niektórzy pieprzą, że w taką noc przed egzekucją przeżyli najlepszy seks w życiu, ale tylko ktoś, kto gówno wie, im uwierzy.

Bo lekarz czy pielęgniarka, czy choćby ratownik medyczny z jakichś tam etycznych powodów nie mogą wykonać tej procedury. Nie mogą uczestniczyć w egzekucji.

Czasami w ambulatorium był lekarz więzienny. Ale on też nie uczestniczy w egzekucji. Wiele razy go prosiliśmy, dupek zawsze odmawia. Pojawi się tylko po to, żeby stwierdzić śmierć, podpisać akt zgonu i zgarnąć za nadgodziny. Tyle zrobi ten lekarz. (I w dodatku jedzie od niego whisky. Pieprzony hipokryta).

Gdyby ci medycy byli tacy etyczni, przynajmniej by się wkłuli – to najtrudniejsze i amator najczęściej właśnie to spartoli. Gdyby założyli wenflon, a ktoś inny wpuszczałby tam powoli truciznę – to by było etyczne.

Najpierw daje się znieczulenie. Potem środek zwiotczający. Potem właściwą truciznę.

Chodzi o to, żeby kiedy trucizna popłynie do żyły, skazany był już pogrążony w głębokim śnie i się nie obudził.

Środek zwiotczający jest po to, że gdyby się obudził, to ma nie krzyczeć i się nie szarpać, żebyś nie wiedział, że jest przytomny.

Staram się o tym za dużo nie myśleć, jeśli się da. Za dziewięć lat będę mógł przejść na wcześniejszą emeryturę i już odliczam dni.

Moje małżeństwo jest chyba tak popaprane, że już sam nie wiem, czy chcę być z tą kobietą czy nie. Dzieci z jej poprzedniego małżeństwa pomogły wszystko spieprzyć.

Taka praca jak moja, każda związana z więzieniem, ale szczególnie na bloku śmierci, robi z ciebie kogoś wyjątkowego – trędowatego. Dlatego fach strażnika dziedziczy się w rodzinie jak fach policjanta. Jak robotę w celach śmierci. Nikt inny tego nie zrozumie i nikt inny się na to nie zgodzi. Ludzie będą cię unikać, nawet w więzieniu. Nawet twój zwierzchnik. Jakby się bali spojrzeć ci w twarz – jakby to było zaraźliwe czy coś. Niektóre sukinsyny chowają się za winklem, unikają mnie. Gdy mnie widzą przy bramce, czekają. Pieprzeni hipokryci.

Jesteśmy jak żołnierze ze specjalną misją. Płacą nam, żebyśmy zabili człowieka – ale to nie jest morderstwo.

W niektórych stanach na Zachodzie mają pluton egzekucyjny. Wtedy jesteś jednym z pięciu czy sześciu ludzi. Ktoś to dobrze wymyślił – jeden na pięciu czy sześciu, nie wiesz, czy strzelasz ślepakami. To by było miłosierne. Ale gdybyś musiał celować z karabinu do człowieka, w jego serce, tylko ty – nie dałoby się.

Wiedziałem, że z Lutherem Dunphym to nie będzie proste. Bo Luther był chrześcijaninem, jak ja, tyle że lepszym, niż ja kiedykolwiek będę. Jednym z tych niewielu ludzi w moim życiu, którzy naprawdę nie zauważali koloru mojej skóry, a nawet jeśli – to nie miał on dla nich znaczenia.

Dał mi egzemplarz Nowego Testamentu, którego nigdy nie sprzedam i nie oddam. Jest dla mnie cenny.

Odmówił ostatniego posiłku. Zdecydował, że będzie pościł.

Przez dwie minione doby przyjmował wyłącznie płyny.

I jeszcze: Bóg go nie opuści. Wiedział.

Umysł miał tak pobudzony, że aż bolało, jak bolałyby kawałki szkła wewnątrz mózgu.

Tamtego ranka obudził go odór moczu. Zapach śniadania i czegoś kwaśnego, jak wymiociny. Nigdy nie widział więźniów z innych cel śmierci, ale często ich czuł, często też słyszał ich głosy – przenikliwe i wzdychające, i gardłujące, słyszał też wściekły śmiech, który budził go ze snu.

Jezus położył palec wskazujący na ustach. *Musisz pocieszyć rodzinę człowieka, którego nie zabiłeś. Nie możesz dołączyć do mnie w raju, jeśli nie zrobisz tego w moim imieniu, Lutherze.*

Był świadomy i czujny, i przygotowany, ale nie potrafił w pełni wejść w świadomość, jak czasami nie da się przejść przez drzwi – są za małe albo próg jest krzywy, albo stawiasz badawczo stopę, szukając równowagi. Albo drzwi okazują się oknem, przez które trzeba się przeczołgać. A dach za oknem (bo to okno osadzone jest w połaci dachu) jest stromy, ty zaś nie masz butów roboczych, tylko buty z idiotyczną gładką podeszwą jak zwykły człowiek.

Podniósł oczy do nieba. Jakże był szczęśliwy, choć nie miał na tym dachu porządnych butów.

– Lutherze Dunphy. – Ktoś ostro wymówił jego nazwisko.

Czy to nakaz wykonania wyroku? Ale przecież już go dostarczono.

Uniewinnienie od gubernatora!

W przeszłości prawnik informował Luthera Dunphy’ego, że egzekucję przełożono. Tym razem jednak wiadomość nie nadeszła.

– Lutherze.

Kierownica, którą nie skręcił wystarczająco mocno. Gdyby zrobił to ostrzej i szybciej, mógłby uniknąć tamtego pick-upa. Ale samochód już ślizgał się po chodniku, mokrym od padającego śniegu, a Daphne na tylnym siedzeniu krzyczała: „Da-da! Da-DA!”.

Wiadomość od gubernatora nie nadeszła (jeszcze). Niektórzy skazańcy nie szli pieszo do komory egzekucyjnej albo nie mogli iść. Luther Dunphy

oczywiście mógł iść, ponieważ był jak na swój wiek wyjątkowo sprawny, silny i zwinny.

Obok niego szedł wielebny Davey. Kapelan oddychał chrapliwie, jakby przybiegł pod celę. Jego szara twarz lekko się pociła. Duża dłoń dotknęła dłoni Luthera Dunphy'ego w ciepłym uścisku, który stał się mocniejszy, mając przynieść Lutherowi spokój i pocieszenie.

Ściszonym głosem, który zaskoczył Luthera, bo zabrzmiał blisko jego ucha, wielebny Davey powiedział:

– Są tutaj, Lutherze. Dwoje z dorosłych dzieci Timothy'ego Barrona.

Na te słowa Luther nie miał odpowiedzi. Niczym lekka mgła ogarnęło go dziwne odrętwienie.

Wielebny Davey mówił:

– Rozmawiałem z nimi. Wciąż czują się pokrzywdzeni po tym, jak stracili ojca.

– Nie ma nikogo z mojej rodziny? – zapytał Luther.

– Nie, Lutherze, nie ma.

Zrobiło mu się lżej na sercu. To była ulga. Nie chciał ich już bardziej rozczarowywać.

– Czy odeślą im moje ciało? Do... pochówku?

– Tak.

Wciąż nie było za późno na ułaskawienie. Była też możliwość... jak to się nazywało...? Złagodzenia wyroku. W przeszłości dużo wcześniej zawiadamiali o przełożeniu egzekucji, ale nawet teraz nie było za późno.

Próba od Boga. Tak jak Bóg wystawił na próby i mękę swego jednorodzonego Syna. *Boże*, *mój Boże*, *czemuś mnie opuścił?* – płakał Jezus na krzyżu.

– Przed więzieniem jest wielu protestujących, Lutherze. Niektórzy mają tablice z twoim nazwiskiem i zdjęciem, inni z napisami przeciwko karze śmierci: „Cywilizowany naród nie zabija".

Luther poczuł się winny. Kim są ci ludzie i dlaczego robią coś w jego imieniu? Tylko boska interwencja ma przecież znaczenie, a jeśli jej nie będzie, to ci ludzie wysilają się na próżno.

– To bardzo wzruszające, Lutherze. Widzieć tylu protestujących.

Ale Luther nie słuchał uważnie. Prowadzono go korytarzem bez okien. A potem kolejnym korytarzem bez okien. Poczuł urażoną dumę, bo strażnik, który go prowadził, nie pozwolił mu iść szybciej – co Luther zrobiłby z własnej woli – ale popychał go, jak popycha się niesubordynowanego człowieka albo takiego, który niepewnie stoi na nogach.

Podobno niektórych skazanych trzeba zanosić do komory egzekucyjnej. Odmawiają chodzenia, jakby byli sparaliżowani i nie potrafili iść – nosi się ich w krzesłach, pcha w wózkach inwalidzkich lub wiezie na noszach.

Przypomniał sobie, że nie skończył podpisywania egzemplarzy Nowego Testamentu, które wielebny Davey zostawił w jego celi. Półprzytomnie planował, że dokończy podpisywanie tego wieczora lub rano, ale kiedy próbował to wyjaśnić wielebnemu, ten przerwał, jakby nie słuchał.

– Już niedaleko, Lutherze. Teraz Jezus jest z nami.

Zwolnił kroku – czy to jest to pomieszczenie? Niski sufit, w środku bardzo jaskrawe światło, jak na sali operacyjnej. Luther zawahał się, a wtedy został brutalnie złapany pod oba ramiona i przeprowadzony przez niskie drzwi.

– To niepotrzebne! – powiedział do strażników z dezaprobatą wielebny Davey.

Lutherowi zaczynało się kręcić w głowie. Z powodu mocnych świateł niewiele widział w tej ciasnej przestrzeni śmierdzącej środkiem dezynfekcyjnym i jakimiś słodkimi chemikaliami. Ledwie też słyszał, jak wielebny Davey pyta, czy Luther chce wypowiedzieć ostatnie słowa, i ledwie zauważył, że podaje mu niewielki mikrofon.

„Ostatnie słowa” – ta myśl była tak dziwna, że usta ułożyły się w uśmiech.

Nigdy nie należał do kawalarzy (jak niektórzy jego koledzy ze szkoły), ale poczuł gwałtowną chęć poklepania się po kieszeniach i poszukania „ostatnich słów”. Ale w ubraniu nie miał kieszeni.

Luther nie mógł mówić, bo zdawało mu się, że wykorzystał w życiu już wszystkie możliwe słowa.

I jakie to dziwne, że wielebny Davey podał mu mikrofon. Luther uświadomił sobie, że pierwszy i ostatni raz, kiedy trzymał mikrofon w dłoni, zdarzyły się dokładnie w tym samym momencie.

Ogarnęła go nieśmiałość. Gardło się zacisnęło.

Mikrofon! Jak w telewizji.

Komora egzekucyjna była dużo mniejsza, niż się spodziewał, a sufit zaskakująco niski. Martwił się, że jest dźwiękoszczelna (tak słyszał), a to znaczyło, że jeśli przyjdzie informacja o odroczeniu egzekucji, telefon może nie zostać usłyszany.

Nie widział też nic przez pleksiglasowe okno, poziome, wysokie na jakieś dwadzieścia centymetrów, szerokie na dwa metry, z zasuwanymi czarnymi kotarami po obu stronach. Wiedział jednak, że za tą przegrodą siedzą świadkowie – naczelnik więzienia i inni urzędnicy, policjanci, krewni zmarłych. Obcy ludzie zebrani, by być świadkami śmierci.

Nie j e g o śmierci, ale j a k i e j ś śmierci. Śmierć, jak duży niezgrabny ptak machający skrzydłami, mogła przydarzyć się każdemu w pobliżu.

Jest – leżanka, do której przypina się skazanego pasami. Zaskakująco wąska, naga. Zdawała się za krótka na ciało Luthera Dunphy’ego i nie dość wytrzymała.

Z leżanki wystawał prostopadle metalowy pręt z pasami, jakieś trzydzieści centymetrów do góry. Luther wpatrywał się w niego, zastanawiając, do czego służy.

– Lutherze? Czy chcesz coś powiedzieć? – powtórzył wielebny Davey.

Przez cały ten czas serce Luthera biło mocno i miarowo. Serce nie wierzyło, że to się wydarzy naprawdę. W końcu zaczął mówić do mikrofonu, powoli, jakby każde słowo z trudem wysysał z powietrza.

– W imię Boże, żałuję za grzechy. To, co zrobiłem... że umarł pan Barron... nie miałem zamiaru. Może to strzelba wystrzeliła... – Luther urwał, głośno oddychając. Na czoło wystąpiły mu krople potu.

Wielebny delikatnie ponaglił:

– Tak, Lutherze?

– ...ale wiem, że to moja wina. Bo ja trzymałem tę strzelbę. Ja... proszę o wybaczenie rodzinę pana Barrona, który... któremu niesłusznie odebrano życie... Jeśli nie możecie mi wybaczyć, zrozumiem... Liczy się tylko wybaczenie Jezusa. – Luther znowu urwał. Nerwowo przełykał ślinę, do oczu napłynęły mu łzy.

– Tak, Lutherze? I?

– Niech Bóg zlituje się nad moją duszą za to, że się tego dopuściłem. I wszystkich innych... innych błędów w życiu, które są tylko moimi błędami, nikt inny nie jest ich winien.

Luther gwałtownie przerwał, jakby zabrakło mu słów.

Wielebny Davey był bardzo poruszony. Po jego rumianych policzkach spływały jasne łzy.

– Lutherze, dziękuję! Niech cię Bóg błogosławi, synu. A teraz się pomódlmy.

Luther chciał odruchowo uklęknąć, ale mu na to nie pozwolili. Trzymali go mocno za ręce. Modlił się na stojąco, podczas gdy wielebny Davey stał niezręcznie w obecności Pana, dopóki nie zaczęły mu drżeć kolana.

Parszywie się czułem, przyjeżdżając do więzienia.

Na podjeździe stali protestujący z transparentami. Machali nimi, krzyczeli w moją stronę.

Ich spojrzenia... jakby wiedzieli, że to ja – kat.

I szok w oczach Luthera, kiedy zobaczył, kto na niego czeka.

Parszywie się czułem. Jak Judasz.

Ale w jego oczach zobaczyłem też wybaczenie. Luther Dunphy wiedział, że jestem jego przyjacielem.

Poprosiłem, żeby położył się na leżance, i zrobił to. Kiedy musiał się na mnie oprzeć, poczułem, jak jest silny, poczułem twarde i drżące mięśnie jego ramienia. Zawsze dziwnie jest stać tak blisko białego. Oczekujesz, że się wzdrygnie i odsunie. Pomyślałem, że gdyby próbował stawiać opór, to potrzebowalibyśmy przynajmniej czterech ludzi – dwóch do trzymania nadgarstków, dwóch do trzymania kostek. Ale Luther Dunphy nie stawiał oporu.

Przypięliśmy go pasami. Babraliśmy się z tym cholerstwem. Słychać było, jak oddycha przez usta, nie przez nos – jak dyszące zwierzę.

Po drugiej stronie szyby patrzyli, ta banda sukinsynów. Gnoje siedziały jak w teatrzyku, najbliższe krzesła znajdowały się może pół metra od okna. Na pewno opierali się o nie kolanami. Światła są tak ustawione, że świadków nie widać zbyt wyraźnie z powodu refleksów, ale wiesz, że sukinsyny tam siedzą.

Naczelnik i zastępca, i urzędnicy z prokuratury. Policjanci, dziennikarze.

Byli też syn i córka jednej z ofiar. Tak nam powiedziano.

Luther Dunphy leżał już nieruchomo, przypięty, z lewą ręką wyciągniętą na metalowym wsporniku. I oczywiście zdarzyło się to, czego najbardziej się baliśmy – nie dało się znaleźć odpowiedniej żyły.

Wciskasz igłę w jego rękę, próbujesz zrobić zastrzyk podskórny i czujesz, że facet sztywnieje z bólu (ale nic nie mówi – jakby chciał mnie oszczędzić). To było cholernie trudne.

Szybko zacząłem się pocić.

Sprawdziłem wszystkie możliwe żyły w lewej ręce i żadna się nie nadawała. A może po prostu nie potrafiłem tego zrobić – kurwa!

Zawiązujesz gumową rurkę wokół ramienia, aby żyły się pokazały, ale żyła może się przemieścić – po prostu odsunąć od pieprzonej igły.

Jeśli człowiek jest odwodniony, żyły nie są dość twarde. Może Luther Dunphy od jakiegoś czasu nic nie pił?

W prawej ręce spróbowałem wkłuć się w dużą, ale słabo widoczną niebieską żyłę biegnącą przez całą długość ręki. Tylko że zapomniałem o gu-

mowej rurce, więc musiałem ją zacisnąć na ramieniu i spróbować jeszcze raz – bez skutku. Cholerna żyła po prostu odsunęła się od igły. Pociłem się strasznie, a biedny Luther próbował nie jęczeć z bólu od tej pieprzonej igły. I krwawił bardzo w miejscu ukłucia.

Po ośmiu chyba próbach uznałem, że podłączyłem się do żyły w zgięciu ramienia, przez delikatną skórę w dole łokciowym, i mogliśmy wpuścić pierwszy lek – barbituran.

Potem ten nasenny – anestetyk.

Pojemniki są ponumerowane. Jest numer jeden, potem numer dwa i numer trzy.

Instrukcje są wydrukowane, każdy krok. Od tego momentu powinno minąć maksymalnie jakieś dziesięć, jedenaście minut, zanim człowiek umrze.

I wtedy ta pieprzona igła wypadła! Wbiłem ją przez skórę w zgięciu łokcia, ale ona wyskoczyła i popłynęła krew.

(W tym momencie do komory wszedł zastępca naczelnika, klnąc pod nosem, zasunął gwałtownie czarne zasłonki, żeby świadkowie już nie patrzyli. Widziałem na jego twarzy, jaką budzę w nim odrazę).

Musiałem zacząć od nowa, ale tym razem bardzo trzęsły mi się ręce. Luther Dunphy był blady i próbował się nie dławić. Ja próbowałem uspokoić dłoń, przytrzymać lewą ręką prawą, tę ze strzykawką. Przecież nie piłem od wielu godzin – od kiedy przyjechałem do więzienia.

W schowku w samochodzie trzymam ćwiartkę szkockiej. Myślałem tylko o tym, jak wrócę do auta, otworzę ten schowek i się napiję – zrobię to, jak będzie po wszystkim. Poczuję ciepły płyn w ustach, spłynie do gardła i piersi jak promienie słońca. Będzie mi się chciało płakać z wdzięczności.

Nie chcę już nawet pamiętać, ile razy musiałem się wkłuwać.

Zostawiłem prawą rękę, spróbowałem na lewej i teraz obie krwawiły od tej cholernej igły (która stępiła się od tych wszystkich prób). Wtedy rozcięliśmy spodnie Luthera, szukając żyły po wewnętrznej stronie uda, bo tam jest (wiedziałem dzięki poprzednim doświadczeniom) – duża, gruba żyła. Ale trząsłem się już potwornie. Więc i to spaprałem.

Trzeba próbować. Nic więcej nie zrobisz. Ileś razy dziabnąłem igłą, aż w końcu podłączyłem kroplówkę – minęła jakaś godzina, albo i więcej. Palce mi zdrętwiały, kark zesztywniał od napięcia. A Luther Dunphy wił się na leżance, próbując nie jęczeć, nie krzyczeć. W końcu anestetyk zaczyna skapywać do żyły, przynajmniej powinien (chyba że popieprzyliśmy kolejność leków), a Luther modli się na głos: „Ojcze nasz, któryś jest w niebie" i nagle zaczyna wołać: „Płonę, ja płonę!" – jakbyśmy podali zły płyn, truciznę, a nie znieczulenie – ale jesteśmy pewni, że podłączyliśmy właściwy, tyle że Luther i tak płacze i jęczy, a potem krzyczy i się wije, i zaczyna wymiotować i przewracać oczami, ale nie traci przytomności – nie zasypia – musimy odłączyć kroplówkę, bo ktoś popełnił błąd i musimy znaleźć nową żyłę.

Rzygać mi się chce. Jak cholera! Mówię do siebie: „Niech cię szlag, wiedziałeś, że powinieneś poprosić naczelnika, żeby znalazł kogoś innego, i pieprzyć te trzysta dolców".

Od momentu, kiedy Luther Dunphy został unieruchomiony na leżance, do chwili, kiedy lekarz, doktor E., ogłosił zgon, minęły dwie godziny i osiemnaście minut.

Jego mózg stopniowo gasł. Dusza stopniowo gasła jak spanikowany ptak bijący skrzydłami w małej przestrzeni, którego tłucze się miotłą, raz, drugi, trzeci.

Gorąca trucizna zaczęła sączyć się do żyły w lewej kostce, a kiedy popłynęła, nie można jej było zatrzymać.

Zaskoczyło go, że czuł tę gorącą truciznę. A jednak nie mógł uwierzyć, że to j e g o śmierć właśnie nadchodzi.

Kiedy krwiobieg rozprowadzał truciznę, organy po kolei się wyłączały. Wątroba, nerki, serce. Krew zmieniła się w zastygającą lawę. Postanowił, że nie będzie krzyczeć, ale słyszał, jak krzyczy. Surowy głos młodego chłopaka. *Boże, o Boże, pomóż mi, Boże.* Pocił się, miał dreszcze, szczękał jak szalony zębami, temperatura ciała podskoczyła. Serce biło jak opętane, by uciec przed trucizną. Zaczął umierać szybciej. Zaciśnięte palce zrobiły się białe i lodowate, palce u stóp i stopy również. A kiedy palce drętwiały,

przestały się zaciskać, rozszerzyły się sztywno jak pazury. Ciało ogarnęła mroźna mgła, niczym diabelski uścisk. Za mało zastanawiał się w życiu nad diabłami i demonami – to była jego porażka. Tak naprawdę nie wierzył w piekło. Wierzył w niebo, ale już w piekło nie do końca. Zdziwił się sobą i pomyślał: *Czy ja wciąż żyję?* I wtedy już nie żył.

Neurony zaczęły się wyłączać jak gaszone jedno po drugim światełka – bożonarodzeniowe lampki. Zgasły najbardziej bolesne wspomnienia. Zgasło znamię na twarzy, jakby nigdy nie było przyklejone do policzka niczym wściekły nietoperz. Zgasły najszczęśliwsze wspomnienia. Jakieś bardzo małe dziecko śmiało się do niego, obejmowało go za szyję i nagle zniknęło. Inne zapłakało – „Da-DA!" – i również zniknęło. Ktoś go podniósł, z troską – delikatna kobieca dłoń w dolnej części jego pleców, delikatna kobieca dłoń na karku. Ogarnął go słodki zapach mleka. Wykąpano go w płynnym żarze, otworzył szeroko oczy w oślepiającym świetle, szerzej, patrząc na ten cud. Doktor E., który przebywał poza komorą egzekucyjną, jak robił to zawsze, weteran, od trzydziestu lat w Chillicothe, nie chciał być świadkiem tej potwornej egzekucji, więc czekał niewyobrażalne dwie godziny i osiemnaście minut, podczas których musiał wyjść do toalety, nie raz, ale dwa razy, choć kilka łyków whisky zwykle spowalniało produkcję moczu. Dlatego doktor E. był pokorny, upokorzony i wściekły i czuł obrzydzenie, a potem wracał, by dalej czekać, próbując nie słuchać wrzasków agonii umierającego przez dźwiękoszczelną podobno ścianę oraz niedorzecznych oskarżeń tych dupków, strażników odpowiedzialnych za śmiertelny zastrzyk, którzy obwiniali siebie nawzajem za porażkę chyba gorszą, bardziej potworną i oburzającą niż poprzednia egzekucja kilka lat wcześniej. Teraz ponury doktor E. wbiegł do śmierdzącej komory, by zbadać ciało zmarłego, cuchnące treścią jelit, krwią, chemikaliami i przerażeniem, ręką w gumowej rękawiczce sprawdził puls, serce, brak pulsu, serce nie bije, zaświecił latarką w długopisie w niereagujące oko zmarłego, ogłosił czas zgonu na dwudziestą pierwszą osiemnaście 4 marca 2006 roku i podpisał akt zgonu na odwal się i nieczytelnie.

Gdyby powiedzieli: „Dziękujemy, doktorze”, powiedziałby: „Jasne, pierdolcie się”. Ale nikt mu nie podziękował. Wyszedł.

Ciało szybko przestało się wić i teraz spokojnie leżało nakryte białym, brudnym od krwi prześcieradłem wielkości obrusu. Plamista, czerwona, wykrzywiona twarz z otwartymi oczami i ustami rozdziawionymi w dziecięcym przerażeniu i zdziwieniu została litościwie zakryta.

Ciało na noszach zawieziono do więziennej kostnicy; zrobili to strażnicy, którzy przedtem podawali lekarstwa. Zawstydzeni i posępni, chwiali się ze zmęczenia. Mundury mieli brudne od krwi po niezliczonych próbach wbicia igły. W kostnicy rozpalone ciało od razu zaczęło stygnąć; nagle w miejscu spokojnym, cichym. Spadek temperatury ciała z trzydziestu dziewięciu stopni do trzydziestu siedmiu, a potem – w nieodwracalnym i nieuniknionym procesie – do trzydziestu dwóch, po godzinie do dwudziestu siedmiu, w końcu do piętnastu i ostatecznie do dwóch stopni – do temperatury aluminiowych noszy pod ciałem i nieruchomego powietrza w kostnicy.

W tym miejscu panowała zupełna ciemność, nie wpadał najmniejszy promień światła. Ani śladu blasku. Ciemność w czeluści przed stworzeniem światła, przed pierwszym dniem stworzenia, i absolutna cisza, bez wdechu ani wydechu.

Uścisk

marzec 2006 – marzec 2010

Choroba autoimmunologiczna

– Jeszcze nie.

Czekanie na wiadomość. Czekanie, by dowiedzieć się, że w końcu wykonano wyrok śmierci na Lutherze Dunphym.

W tym nie swoim pokoju w Ann Arbor zdążyła zapomnieć, gdzie się znajduje. I Darren, ponad trzy tysiące kilometrów dalej, w Newhalem w stanie Waszyngton.

Czekali razem całymi godzinami. Od siedemnastej pięćdziesiąt pięć, a teraz była dwudziesta pierwsza osiemnaście i z Chillicothe nie dochodziły żadne wieści; to napięcie było wyczerpujące.

Na podłokietniku skajowej sofy, na której sztywno siedziała Naomi, leżał włączony zestaw głośnomówiący. Po drugiej stronie linii był jej brat Darren, trzy tysiące dwieście kilometrów dalej, w miejscu, którego nie potrafiła sobie wyobrazić (bo nigdy go nie widziała), z podobnym telefonem, tak samo ułożonym.

To Darren zorganizował te dwa telefony. Stacjonarny był połączony z Naomi w Ann Arbor, a na komórkę miała przyjść wiadomość z więzienia Chillicothe w Ohio.

W Chillicothe dziennikarz Elliot Roberts, który znał rodzinę Voorheesów, kiedy jeszcze mieszkali w Detroit, był świadkiem egzekucji Luthera Dunphy’ego i miał o niej napisać dla Associated Press. Skontaktował się z Darrenem i umówił się na prywatną rozmowę, by go powiadomić, kiedy egzekucja dobiegnie końca, jednak okazało się, że musiał zostawić swoją komórkę w aucie zaparkowanym przed więzieniem, bo do środka nie wolno było wnosić urządzeń elektronicznych. Dopiero kiedy po egzekucji wyszedł z budynku, pewnie z pozostałymi świadkami, mógł zadzwonić do Darrena.

Roberts musiał przyjechać do Chillicothe o osiemnastej, żeby zdążyć przejść przez ochronę do oddziału cel śmierci. Egzekucję zaplanowano na dziewiętnastą. Ale było już po dwudziestej pierwszej.

Naomi zadzwoniła do brata w Newhalem godzinę przed tym, kiedy powinna była zadzwonić. Darren i tak nie mógł mieć wiadomości od Robertsa wcześniej niż po dziewiętnastej.

Zirytowany Darren odebrał od razu.

– Słucham? Czego chcesz?

– Tylko pogadać. Zanim...

– Jest za wcześnie! Jezu.

– Ale... proszę.

Ustąpił. Słyszał strach w jej głosie.

W tym okresie życia, który (jak z urazą myślała Naomi) można by nazwać postrodzinnym, a który z pewnością był postmodernistyczny, Darren zrobił sobie przerwę w studiach, potem całkiem rzucił college i postanowił poświęcić czas swojej sztuce – komiksom pisanym w sarkastycznym tonie, z obsesją na punkcie szczegółów. Były to mroczne komiczno-groteskowe fantazje o współczesnym amerykańskim życiu na przedmieściach, skonfliktowanym z tym, co Darren nazywał „drugą stroną”.

Komiksy D. Voorheesa nie były łatwe w odbiorze. Przynajmniej tak uważała Naomi. Pierwszy miał tytuł *Witajcie po Drugiej Stronie*. Środkowy Zachód, przedmieścia, rodzina żyje denerwującą normalnością i w zadowoleniu, dopóki nie zaczynają jej nawiedzać demony przypominające latające mrówki, zwykle niewidzialne. Tematem drugiego, *Czy mam ci powiedzieć kiedy, gdzie, dlaczego?*, była seksualna niejednoznaczność nastolatków w Ann Arbor w stanie Michigan. Trzeci – najambitniejszy i najbardziej znany, *Śmiertelny zastrzyk. Powieść*, przedstawiał krwawe sceny egzekucji przez podanie śmiertelnego zastrzyku w amerykańskich więzieniach, oddane z potwornymi szczegółami. (Każda z egzekucji opisana była w inny makabryczny sposób). Naomi kilka razy próbowała przeczytać *Śmiertelny zastrzyk*, ale nigdy nie udało się jej dobrnąć do końca.

Praca Darrena jednocześnie ją fascynowała i odstręczała; jego talent robił wrażenie. Ale przede wszystkim Naomi zazdrościła mu sposobu, w jaki wyrażał swoje dwie obsesje: na punkcie komiksu i śmiertelnego zastrzyku.

On jest mną. Ocalałą mną.

Od kiedy Darren rzucił na drugim roku college i przeniósł się na Zachodnie Wybrzeże, najpierw do Seattle, potem w okolice Puget Sound, a teraz w rejon Skagit River Valley, był związany się z niewielkim wydawnictwem z Seattle, które opublikowało jego wszystkie trzy komiksy, ilustrował też dla nich inne książki, których Naomi nie widziała. Prowadził również bardzo popularną stronę internetową *Czy mam ci powiedzieć kiedy, gdzie, dlaczego?* Zastanawiała się, z czego utrzymuje się brat, z kim mieszka, jak wygląda teraz jego życie – wiedziała bardzo niewiele.

Jej własna obsesja przynosiła głównie porażki. Utrata ojca była jedynym znaczącym wydarzeniem w życiu Naomi, która nie potrafiła nadać temu doświadczeniu kształtu, mogła tylko bezradnie w nim trwać, jak dziecko zamieszkujące miejsce odosobnienia albo jak ktoś, kto nosi używane niewygodne ubrania.

Próbowała! Bóg jeden wie, że próbowała zebrać w całość *Archiwum życia i śmierci Gusa Voorheesa*, ale pokonał ją ogrom postaci, która rozpadała się na kawałki, jak coś, co rozbito i nieumiejętnie posklejano i co znowu pęka pod najlżejszym naciskiem.

W początkowym zapale zgromadziła tuzin teczek. Setki stron notatek. Wycinki z gazet, nagrane wywiady z ludźmi, których znał i z którymi pracował jej ojciec (większości jeszcze nie spisała i nie zredagowała – tak naprawdę do niektórych nigdy nie wróciła). Kserokopie pisanych przez ojca listów przekazane przez adresatów oraz listy do ojca, które pozwoliła jej wziąć matka. (Oczywiście Jenna zachowała nieokreśloną liczbę listów dla siebie, może chciała je zniszczyć, może były „zbyt prywatne”, by Naomi mogła je czytać). Dokumenty, osie czasu, szkice. Zdjęcia – wszelkiego rodzaju, w tym te z wczesnego dzieciństwa. Sporo materiału Naomi wprowadziła do komputera, ale istniał tylko w porozrzucanych plikach, z których kilka straciła przez psujący się sprzęt...

Najdziwniejsze było przeprowadzanie „wywiadów” z krewnymi. Coś z pozoru najbardziej oczywistego i najłatwiejszego okazało się wyjątkowo trudne. Matka w ogóle odmówiła rozmów na ten bolesny temat, a zawsze nieobecna babka Madelena Kein zbyła Naomi szorstkim mejlem: „Może kiedyś. Teraz jest za wcześnie. Proszę, nie pytaj mnie ponownie”.

Nawet Darren ją zniechęcał. Naomi przypuszczała, że brat chciałby zebrać własne archiwum Gusa Voorheesa.

Wydawało się jej również, że pełna historia *Życie i śmierć Gusa Voorheesa* nie może zostać napisana, dopóki morderca pozostaje przy życiu.

Co gorsza, w archiwum musiałyby się znaleźć informacje o mordercy oraz wywołującym emocje środowisku politycznym, z którego się wywodził.

To dopiero była pełna goryczy ironia: uhonorowanie pamięci ojca oznaczało skupienie się na jego zabójcy, co napełniało Naomi rozpaczą, gniewem i wstydem.

Nie chciała interesować się Lutherem Dunphym – tym, czy ów człowiek żyje czy umarł. Nie chciała, by zżerała ją nienawiść do niego oraz do wielu (setek? tysięcy?) ludzi popierających ruch antyaborcyjny, którzy przyklasnęli zabójstwu (jak je nazywano).

Mimo to Voorhees i Dunphy byli ze sobą nierozerwalnie związani.

Historia krwawym węzłem związała mordercę z ofiarą. Z wielu upokorzeń łączących się ze śmiercią to było najdotkliwsze.

Za każdym razem, kiedy wyznaczano termin egzekucji Dunphy’ego, Naomi podświadomie rozpoczynała liczenie. Nie musiała zaznaczać daty w kalendarzu – była wyryta w jej pamięci.

Podobnie jak Darren, stała się kimś w rodzaju amatorskiego eksperta w temacie śmiertelnego zastrzyku. Wiedziała, że władzom Stanów Zjednoczonych coraz trudniej kupować śmiertelne substancje od europejskich producentów, i to często był powód odraczania egzekucji.

Możliwe, że w Chillicothe nie mieli właściwych środków potrzebnych do egzekucji Dunphy’ego. Albo coś poszło nie tak z ich podawaniem. Albo sąd

stanu Ohio po raz kolejny odroczył wykonanie wyroku. Naomi wiedziała bowiem, że gdyby truciznę podano skazanemu w przewidziany sposób, o zaplanowanej porze, to egzekucja zakończyłaby się przed dziewiętnastą trzydzieści.

Była dwudziesta pierwsza dwadzieścia i skoro Roberts nie zadzwonił, to coś poszło bardzo źle.

Spekulowanie nie miało sensu. Naomi jednak była zbyt niespokojna, by siedzieć w milczeniu.

– Najgorsze byłoby, gdyby ją odroczyli. Znowu.

– Nie wydaje mi się.

– Co ci się nie wydaje?

– Nie wydaje mi się, by znowu ją odroczyli.

– Ale skąd wiesz?

– Bo odrzucono ostateczną apelację.

– Ale prawnicy Dunphy'ego wniosą kolejne skargi, prośby czy jak to się nazywa. Wnoszą je z automatu, nawet jeśli to ostateczna apelacja.

– No nie wydaje mi się.

– Ale skąd wiesz?

– Jezu, przecież mówiłem! Nie wiem.

– Ale powiedziałeś, że nie.

Animozje z dzieciństwa wybuchały szybko jak rozpalająca się zapałka. Serce Naomi biło w sprzeciwie wobec brata, którego autorytet zawsze podważała, nawet jeśli chciała (bardzo), żeby Darren ją lubił.

Miłość nie wchodziła w grę. O miłości nawet nie było mowy. Naomi wiedziała, że Darren jej nie kocha, bo prawdopodobnie nie kochał nikogo z rodziny, oprócz ojca, który umarł.

Bardzo prawdopodobne, że Darren w ogóle nikogo nie kochał. Naomi miała w pewnym sensie nadzieję, że tak jest.

Bardzo chciała, żeby się nie rozłączał. Bała się rozłączyć, zanim Darren dostanie wiadomość.

– Darren? Która tam jest u ciebie?

– Godzina? Przecież wiesz, że tu jest trzy godziny wcześniej niż u ciebie.

– Więc czekasz od trzeciej po południu.

To była niedorzeczna uwaga. Dziecinna uwaga, którą Darren ledwo zarejestrował.

W takim razie powiedz mi coś o swoim życiu! Powiedz mi coś, co jest tajemnicą, czego nie wie nikt inny, jak nasza nienawiść do Luthera Dunphy'ego i nasze pragnienie, żeby umarł.

Ale Darren był jakiś rozkojarzony. (Czy ktoś tam z nim był? Ktoś do niego mówił? Wyobrażała sobie, że brat zakrywa dłonią słuchawkę).

Bardziej prawdopodobne, że siedział w sieci. Rozmawiał z siostrą przez telefon i grzebał w internecie, wyszukując: „Luther Dunphy, egzekucja, Chillicothe, Ohio".

Naomi nie dałaby rady tego robić. Nie mogłaby wpisać tego znienawidzonego nazwiska do komputera, by zobaczyć setki, tysiące jasnoniebieskich adresów rozlewających się jak ścieki.

Nie dałaby rady czytać o L u t h e r z e D u n p h y m w sieci i nie potrafiła myśleć o tym, co ogląda Darren.

On nigdy nie umrze. To będzie trwało wiecznie. To jest nasze piekło.

Za każdym razem, kiedy egzekucję Dunphy'ego przekładano, Naomi przeżywała szok, jakby ktoś wbił jej nóż w serce i go przekręcał.

Ich ojciec umarł 2 listopada 1999 roku. Teraz był 4 marca 2006. Gus Voorhees nie żył od tylu lat, od tylu miesięcy. Wydawało się niemożliwe, żeby człowiek kiedyś tak pełen życia, energii, dobry, kochający, ceniony – od tak dawna nie żył. A jednak tak było. Za to przez te wszystkie lata i miesiące żył jego morderca, Luther Dunphy.

Nie czekali na z a m k n i ę c i e (to by ich obrażało), czekali na k o n i e c.

Jej życie nie mogło się zacząć, dopóki nie nadszedł koniec.

Nie potrafiła nikogo pokochać. Zawsze pojawiało się coś w rodzaju kurtyny, przez którą patrzyła na inną osobę. Naomi była zamyślona, nie do

końca szczera. O tym, co liczyło się dla niej najbardziej, nie mogła powiedzieć nikomu, jak o wstydliwej chorobie, o której nie ma się odwagi mówić.

Choć i tak opanowała już w pewnym stopniu gesty miłości i przyjaźni. Wykreowała sobie sprytnie osobowość, w której mogła żyć, pozszywała ją tak, jak zszywa się narzutę z kolorowych, niedopasowanych kwadratów materiału, rażących dla oka.

A może to był rodzaj maski na twarzy lalki. Ona sama tkwiła gdzieś w środku, w ukryciu.

Z nikim nie mogła się blisko przyjaźnić – ani z kobietą, ani z mężczyzną. Ledwo znosiła czyjkolwiek dotyk i wobec bliskości drugiej osoby zaczynała panikować.

Nie potrafiła o tym mówić – o utracie, o gniewie z jej powodu. Nikomu oprócz Darrena.

Bliźnięta złączone nienawiścią.

Bliźnięta pragnące wolności!

Miała osiemnaście lat, czuła się jednocześnie i staro, i niedojrzale, niczym karłowaty dorosły. Zachowywała się ostrożnie, jak ktoś, kto zapędził się blisko krawędzi urwiska. Nie była zła w tak oczywisty sposób jak w nastoletnich czasach. Trądzikowa cera się wygładziła, paznokcie już nie dziobały twarzy. Gniew stał się bardziej subtelny, złość kierowała głównie przeciwko sobie.

– To przypomina chorobę autoimmunologiczną. – Darren pierwszy postawił im diagnozę.

Smutek, który nie jest czysty, bo towarzyszy mu wściekłość. Morderczy smutek, którego nie złagodzi żadna ilość łez.

– Nie. To jest choroba autoimmunologiczna – sprostowała Naomi.

Przez pierwsze tygodnie i miesiące po śmierci ojca była zbyt zaszokowana, by w pełni zrozumieć, że ojciec już nie wróci. Wiedziała, że nie żyje, ale nie mogła zaakceptować tego, że odszedł.

W liceum w Birmingham nienawidziła być dziwadłem. Dziewczyna, której ojca zamordowano na oczach świadków. Dziewczyna, której ojciec był lekarzem aborterem.

Dodatkowe upokorzenie i wstyd, że matka ich zostawiła i kazała mieszkać z dziadkami. Tłumaczono to załamaniem Jenny, jak je zaczęto nazywać.

Naomi najbardziej bała się nachalnego współczucia, litości. Musiała się nauczyć znosić wszystkie te: „Nie potrafię sobie wyobrazić, jakie to dla ciebie trudne". Albo co gorsza: „Wiem, jakie to dla ciebie trudne".

„Nie. Nie wiesz. I nigdy nie będziesz wiedział".

Naomi lodowatym tonem ćwiczyła te zdania. Jeszcze nigdy nie wymówiła ich na głos.

Trzęsąc się z wściekłości, bliska płaczu.

Choć Naomi rzadko płakała. Tak jak zwykle płaczą ludzie.

Łzy napływały jej do oczu, ale nie płakała.

Na pierwszym roku studiów na Uniwersytecie Michigan zrobiła się szczególnie wyczulona na punkcie swojej prywatności. Nazwisko „Voorhees" nie było tak znane wśród studentów, jak przypuszczała, ale z pewnością rozpoznawali je starsi mieszkańcy Ann Arbor, którzy znali Gusa Voorheesa. Naomi nie mogła unikać tych ludzi, choć byli naprawdę wyjątkowi, wyjątkowo szczodrzy, „dobrzy" – zapraszali ją często na kolacje, chcąc wypytać o Jennę i powspominać.

„Czy mówiłem ci kiedyś, Jenno, jak poznałem twojego ojca..."

„Przepraszam, nie jestem Jenna, jestem Naomi".

Uciekała przed serdecznymi zaproszeniami na „rodzinne" kolacje. Seder, Boże Narodzenie, Święto Dziękczynienia u McMahanów.

Przepraszała: „Wybaczcie! Nie wiem, co jest ze mną nie tak".

Myślała: *Na miłość boską, zostawcie mnie w spokoju*.

Zmieniała wybrane na studiach przedmioty, kiedy zdawało jej się, że prowadzący wie, kim jest, czyją jest córką, i że zechce z nią rozmawiać na osobności. Wykładowczyni językoznawstwa, profesor psychologii społecz-

nej – Naomi bez wyjaśnienia rzuciła ich zajęcia w drugim tygodniu semestru i nigdy więcej ich nie spotkała.

Przesadzała? Darren tak uważał. Ona nie.

(Oczywiście opowiadała o tych fanaberiach Darrenowi. Tylko bratu mogła się zwierzyć z tego, jaka jest dziecinna, jaka niepewna, niedojrzała, nieżyczliwa, podejrzliwa i przekupna. Tylko on wiedział – choć mu nie mówiła – że Naomi Voorhees pomaga jako wolontariuszka w Ann Arbor, uczy czytania czarne dzieci i dzieci nielegalnych imigrantów, nie dlatego, że jest dobrym człowiekiem, ale dlatego, że jej dobrzy, liberalni rodzice tradycyjnie pomagali w ten sposób, a ona wciąż próbowała zrobić na nich wrażenie, choć od dawna nie miała na to szans).

Stała się szczególnie wrażliwa na pewien wyraz twarzy obcych ludzi, wyraz zaskoczenia, współczucia i skrywanej ekscytacji, że Naomi Voorhees to na pewno córka Gusa Voorheesa, który po śmierci zdobył sławę bohatera w lewicowych kręgach politycznych na Środkowym Zachodzie i był szanowany przez aktywistów zaangażowanych w reformę legislacyjną dotyczącą praw reprodukcyjnych kobiet.

Naomi zrobiła się też bardzo wyczulona na próby kontaktu ze strony takich osób. Zwykle byli to ludzie w średnim wieku lub starsi, częściej kobiety niż mężczyźni. „Naomi – prawda? Nie znałam osobiście twojego ojca, ale bardzo podziwiałam Gusa Voorheesa”. Jak niby odpowiedzieć na takie stwierdzenie poza zbolałym „Dziękuję”? I z przerażeniem czekać na następne zdanie: „Co za tragedia! Ten okropny człowiek! Co się z nim stało? Mam nadzieję, że siedzi w więzieniu”.

Chciała tylko uciec. Ale była zbyt uprzejma, by odwrócić się i odejść.

Nienawidziła rozmawiać o Lutherze Dunphym. Nawet pośrednio, ogólnie. Nienawidziła przyznawać, że tak, Dunphy siedzi w więzieniu w Ohio, żyje. Czuła też żal, że jako córka Gusa Voorheesa musi być taka cholernie dobra.

Z pewnością dlatego Jenna wycofała się z życia publicznego, i to tak zdecydowanie. Odwołała zobowiązania, zrezygnowała z pracy, czym zszokowała i rozczarowała towarzyszy, którzy z wdową po Gusie Voorheesie wią-

zali nadzieje na przedłużenie jego działalności. Mejle wysłane bez przeprosin: *Nie mogę już wypełniać zobowiązań, szukajcie kogoś innego*.

To jednak nie wyjaśniało, dlaczego Jenna uciekła również od własnych dzieci. Od życia rodzinnego.

Naomi nigdy nie powtórzyła Darrenowi, co powiedziała jej matka, kiedy tamtego ranka wyjeżdżała z domu w Birmingham. „Nie mogę już być waszą mamą. Już nie mogę".

I gorzej. „Gus przestał istnieć i Gus nie wróci".

Brat i tak znienawidził Jennę. (Niesłusznie?). Naomi nie chciała, by znienawidził ją jeszcze bardziej.

Wkrótce po tym, jak zostawiła dzieci z dziadkami w Birmingham, Jenna trafiła do szpitala (w Chicago) z powodu ciężkiej anemii, wyczerpania i niedożywienia. Zdiagnozowano u niej rzadką autoimmunologiczną chorobę powodującą, że jedzenie w żołądku nie jest właściwie trawione. Istniało podejrzenie trwałego uszkodzenia wątroby.

W szpitalu Jenna nie chciała przyjmować gości. Teściowie mieszkający w Birmingham zakładali, że jej rodzice, którzy mieszkali w pobliskim Evanston, odwiedzali ją regularnie, ale nikogo innego w szpitalnym pokoju nie przyjmowała.

Jenna do pewnego stopnia wydobrzała. Mówiła, że jej zdrowie jest słabe, ale stabilne. Kiedy wypisano ją ze szpitala, postanowiła nie wracać do Birmingham ani do Ann Arbor. Zamieszkała najpierw w Nowym Jorku, a potem w Vermoncie.

Mieli numer jej telefonu komórkowego i adres mejlowy. Ale to nie sprawiło, że matka stała się dla Naomi dostępna.

Niedługo po Nowym Roku, kiedy zbliżała się data egzekucji Dunphy'ego, Naomi zaczęła częściej dzwonić do brata.

Darren nie zawsze odbierał. Nie zawsze oddzwaniał. A kiedy to robił, Naomi wydawało się czasami, że ktoś z nim jest, gdzieś tam, na prowincji w stanie Waszyngton, w mieszkaniu, którego nie potrafiła sobie wyobrazić. Raz czy dwa słyszała jakiś głos – głosy – w tle. Na pewno. Ale kiedy zapy-

tała Darrena, kto z nim jest, odpowiedział zimno: „Daruj, ale to moja sprawa”.

Poczuła bolesne ukłucie zazdrości. Czy to możliwe, że Darren jest zakochany?

Niemożliwe. Miała pewność. Daren może (może) z kimś sypiał – lecz nawet to było mało prawdopodobne. Nie stały związek. Na pewno nie.

Gdyby Darren był jej bratem bliźniakiem, instynktownie skurczyłby się pod cudzym dotykiem.

Rozumiała, że brat już jej nie współczuje. Obawiała się, że jedyne, co jeszcze ich łączy, to rodzice – śmierć Gusa, odejście Jenny.

Uciekł ze Środkowego Zachodu, jak mówił, żeby nabrać dystansu do historii rodziny.

Jak mógł to zrobić! Naomi była przerażona.

Darren twierdził, że przede wszystkim nie chce rozmawiać o Lutherze Dunphym, jeśli może tego uniknąć.

Ale nie może tego uniknąć! Nie, skoro zaplanowano egzekucję.

– Czujesz się tak samo jak ja, prawda? – Naomi musiała zapytać. – Czekasz na śmierć Dunphy’ego?

– Tak. – Darren zaśmiał się cierpko. To było w pewnym sensie wstydliwe: przyznać, że czeka się, aż ktoś umrze.

Zapytała, czy kontaktował się z nim ktoś z więzienia Chillicothe. Darren skończył dwadzieścia jeden lat, jeśli chciał, mógłby być świadkiem egzekucji.

Był zaszokowany samym pomysłem.

– Jezu! Nie.

Zaszokowała go jeszcze bardziej, mówiąc, że sama chyba mogłaby być świadkiem.

– Pieprzysz, Naomi. Bzdura.

– Po prostu tak bardzo go nienawidzę. Wszystkich ich nienawidzę, Dunphych.

Samo nazwisko budziło w niej odrazę. Kiedy widziała je w druku, czuła wzbierające mdłości.

Z Jenną jako wdową po zamordowanym władze więzienia na pewno się skontaktowały. Nie mówiła nic o tym Naomi ani Darrenowi, ale też niezbyt często się kontaktowali.

Oczywiście Jennie nawet nie przyszłoby do głowy pojechać na egzekucję. Kilka razy zresztą wyjaśniała: „Gus był przeciwnikiem kary śmierci. Ja też jestem. Stracenie tego człowieka nie wróci nam Gusa”.

Przez telefon Jenna często brzmiała jak ktoś, kto publicznie wygłasza starannie przygotowane przemówienie, a nie jak matka rozmawiająca z córką, która zadzwoniła do niej, bo czuła się samotna i niespokojna.

Naomi wiedziała tylko, że Jenna mieszka teraz w Bennington w stanie Vermont, pracuje w małej firmie prawniczej, pewnie z samymi kobietami, także w Bennington, i gościnnie wykłada w Bennington College.

Jeśli tylko Naomi proponowała, że ją odwiedzi, Jenna szybko odpowiadała: „Tak, oczywiście, niedługo. Zaplanujemy to”. Albo: „Wkrótce! Kiedy tylko ten bungalow, który wynajmuję, będzie się nadawał do przyjmowania gości”.

Naomi była zameldowana w domu dziadków w Birmingham w stanie Michigan. Clem i Adele stali się de facto opiekunami prawnymi dzieci Jenny. I byli bardzo dobrymi ludźmi! Śmierć Gusa zupełnie zniszczyła dziadka Clema, ale rzadko mówił o swojej stracie i ani on, ani Adele nie wyrażali się z naganą o zbłąkanej synowej. Naomi próbowała utrzymywać z nimi stały kontakt, ponieważ była im bardzo wdzięczna – za nieustające wsparcie i uczucie. Próbowała nawet kochać uśmiechającą się przybraną babkę.

No dobrze, „kochać” to za dużo powiedziane.

Próbowała również utrzymywać kontakt z Melissą, która była jeszcze taka młoda – miała szesnaście lat. Mieszkała z dziadkami w Birmingham i chodziła do prestiżowej szkoły Cranbrook w Bloomfield Hills, gdzie uczęszczała na zajęcia z mandaryńskiego, wiolonczeli, grała w piłkę nożną

i zbierała wysokie oceny. Życie, które ich ojciec nazwałby drobnomieszczańskim, wymuskanym.

Kiedy Naomi rozmawiała z Melissą, nigdy nie wspominała o nim. Nie potrafiła się zmusić, by wypowiedzieć nazwisko „Dunphy". Podejrzewała, że Melissa wie o zbliżającej się egzekucji w Ohio, bo lokalne media na pewno o niej mówiły, biorąc pod uwagę sławę Gusa Voorheesa w tej części stanu Michigan. Nie potrafiła jednak rozmawiać o tak delikatnych sprawach ze swoją wrażliwą młodszą siostrą.

Melissa była nieśmiałą dziewczyną, którą można było namówić do entuzjastycznego opowiadania o lekcjach i szkolnych aktywnościach. Naomi wydawało się, że należy do innej epoki, do dawnych czasów, kiedy Voorheesowie byli innymi ludźmi.

Naomi opowiadała Darrenowi o Melissie, kiedy o dwudziestej pierwszej trzydzieści cztery brat jej przerwał:

– Jezu! Dzwoni. Musiało się skończyć.

Naomi uważnie nasłuchiwała. Darren rozmawiał z Robertsem – to musiał być Roberts.

– Darren? Halo? Halo? Co tam się stało? Czy on... nie żyje?

Słyszała głos Darrena (zadawał Elliotowi pytania), ale nie rozróżniała słów. Zaczynało jej się kręcić w głowie, jakby podłoga tego obcego miejsca poruszała się pod jej stopami.

Potem wyraźny głos Darrena w słuchawce:

– Tak! Nie żyje.

Naomi nie była pewna, czy dobrze usłyszała.

– Nie żyje...

Darren posępnie opowiadał, że egzekucja została spaprana. Trwała dwie godziny. Ale widzowie większości nie widzieli.

– Zasunęli zasłony, żeby nikt nie widział, jakie to okropne... Jezu!

Nie żyje! Luther Dunphy nie żyje.

Naomi próbowała wydusić z siebie pytanie, ale Darrena nie było przy telefonie. Słyszała, jak rozmawia z Elliotem Robertsem, a chwilę później połączenie przerwano. Próbowała zadzwonić jeszcze raz. Bez skutku. Po kilku sygnałach włączyła się poczta. Naomi prosiła:

– Darren! Odbierz! Porozmawiaj ze mną. Błagam.

Próbowała połączyć się z bratem przez kilka rozpaczliwych minut. Na stacjonarny, na komórkę.

– Niech cię szlag! Darren. Nie zostawiaj mnie teraz samej.

Wysłała mu mejl. Darren rzadko odpowiadał na mejle.

Zadzwoniła ponownie, brak odpowiedzi.

W końcu to się stało: Luther Dunphy nie żyje.

Już po wszystkim. Koniec.

Czuła się... cóż, właściwie jak się czuła? Jakby ktoś pozbawił ją górnej części czaszki. Taka lekkość! Czy to jest... radość?

Była na dworze. Na ulicy. (Ale na jakiej ulicy? Zapomniała, gdzie jest – mieszkanie odstąpiła jej na ten wieczór koleżanka, studentka z Ann Arbor).

Zaskoczenie – słabła z głodu. Uznała, że to z głodu, bo nie jadła nic od śniadania. W dodatku nic nie piła i robiło się jej słabo, była odwodniona.

W użyczonym mieszkaniu zastanawiała się, czy nie wypić kieliszka lub dwóch wina, które znalazła w szafce. Ale nie miała odwagi, ze strachu, że straci kontrolę i wypije większość butelki.

Zaczęła pić jako siedemnastolatka, na licealnych imprezach w Birmingham. Nie jakoś na poważnie. I oczywiście nigdy nie piła samotnie.

To, co powiedział Darren – że egzekucję „spaprano”... Trwała ponad dwie godziny. Naomi czytała o takich egzekucjach, o mękach skazańca. Poczuła przerażenie, uświadomiwszy sobie, że Luther Dunphy tak właśnie cierpiał.

Po raz pierwszy pomyślała o rodzinie Dunphych – żonie, dzieciach. Ile będą wiedzieli o tym, co się wydarzyło. Czym dla nich była egzekucja.

Jakiś czas temu razem z Darrenem czytali o Dunphych. Widzieli w internecie zdjęcia Edny Mae, Luke'a, Dawn, Anity i Noaha. Były niewyraźne, zamazane, zrobione bez zgody rodziny.

Dawn była w podobnym wieku co Naomi. Już nie dziecko, tylko grubokoścista dziewczyna z eskimoską twarzą i groźnym spojrzeniem. Luke mógł mieć mniej więcej tyle lat co Darren.

Naomi zastanawiała się, co się stało z członkami rodziny Dunphych. Mało prawdopodobne, by wciąż mieszkali w Muskegee Falls. Minęło siedem lat, w ich życiu na pewno też się dużo zmieniło.

Szła szybkim krokiem. Ale nie szła równym krokiem. Gdyby ktoś spojrzał z daleka, mógłby pomyśleć, że jest nieprzyzwyczajoną do alkoholu studentką, która za dużo wypiła.

(Czyli jednak nalała sobie kieliszek czerwonego wina z butelki Mercedes? Raczej nie... Zastanawiała się, czy śmierdzi jej z ust).

I kolejna niespodzianka – padał śnieg. Każdego dnia w tym tygodniu padał śnieg. Mimo ostrzeżeń o globalnym ociepleniu zima w Michigan okazała się bardzo mroźna. I coś było nie tak – Naomi jak głupia wybiegła na dwór bez polarowej kurtki. Zapodziała też kolejną parę rękawiczek. Miała gołą głowę, włosy wilgotne i splątane od nawiewanego wiatrem śniegu. Biegła niezdarnie, ślizgając się na chodniku. Zaniedbała zajęcia na uczelni. Przestała dawać lekcje czytania. Wszystkich zawiodła, dokładnie tak, jak zawiodła wszystkich Jenna.

Uśmiech wykrzywiał skurczem jej twarz. Ktoś zawołał:

– Hej! Uważaj, dziewczyno.

Na rozpalonej twarzy zatrzymywały się płatki śniegu. Rozszerzone żyłki i naczynka krwionośne. Gorąca krew pod skórą natychmiast topiła śnieżynki.

Wydawało się jej, że biegnie w stronę kampusu, skrótem przez zaśnieżony odcinek przed budynkiem Rackhama, który powinien doprowadzić ją do akademika, ale z jakiegoś powodu źle skręciła albo w ogóle nie była na State Street. Albo źle skręciła ze State Street.

Ciężko dyszała. Poczuła nagle ogromne zmęczenie. Nie chciała, by ktoś ją widział, rozpoznał. Skuliła się pod jakimś rusztowaniem. Po drugiej stronie ulicy zobaczyła chińską knajpkę, kiedyś ulubione miejsce rodziców w Ann Arbor, teraz miało jednak nową nazwę, a witryna była zaparowana. W głowie Naomi jakiś głos powtarzał z zaskakującą radością: *Martwy! Luther Dunphy nie żyje*.

Uśmiech został na jej twarzy jak przyklejony. Kropelki łez zamarzały na policzkach.

Wyszła spod osłaniającego ją rusztowania. Musiała być sama. Nie chciała odpowiadać na żadne pytania. Nie chciała udzielać wywiadów.

„Jak się teraz czujecie, pani i brat? Teraz, kiedy morderca waszego ojca, Gusa Voorheesa, został stracony?” Pędziła uliczką. Przez jakiś otwór wentylacyjny dobywał się smród piwa i tłustego jedzenia, przyprawiający Naomi o mdłości. Przepełniony kontener, śmieci wysypujące się na ziemię. Najbardziej gorzki fakt, o którym nie chciała mówić Darrenowi – żaden student, którego poznała, nie wiedział, kim był Gus Voorhees. Nie wiedziały współlokatorki. Jej najbliższa przyjaciółka w akademiku nigdy nie słyszała nazwiska „Voorhees”. Ktoś zapytał ze zdziwionym uśmiechem – czy „Voorhees” to nie nazwa któregoś z budynków uniwersyteckich?

Byli w jej wieku, tak jak Naomi urodzili się pod koniec lat osiemdziesiątych. Chodzili do gimnazjum, kiedy zginął Gus Voorhees.

Fakty są takie: to wszystko nie ma znaczenia.

Gus przestał istnieć i Gus nie wróci.

Nieostrożnie przekraczała pokrytą śnieżną breją ulicę. Światła samochodów zamazane, jakby pod wodą. Ktoś mocno nacisnął klakson („Złaź z ulicy, suko!”). Było jej zimno, nie pamiętała, gdzie, do diabła, zostawiła polarową kurtkę z kapturem. I piękne skórzane rękawiczki, które babka Madelena niespodziewanie przysłała jej na Boże Narodzenie. *Myślę o tobie, Naomi. Nie musisz odpowiadać, ale bądźmy w kontakcie.*

Przed nią były betonowe stopnie prowadzące w dół – dokądś. Wydawało jej się, że to może droga do arboretum – choć było ciemno, padał śnieg, a arboretum znajdowało się kilometry dalej.

Tam byli szczęśliwi, w tym arboretum. Nie pamiętała, ale wiedziała, bo tak jej mówiono.

Mała Naomi w nosidełku na silnych plecach taty. Dlaczego nie pamiętała? Nienawidziła Darrena, który ukradł jej wszystkie wspomnienia.

Nie patrzyła, gdzie stawia kroki, poślizgnęła się, ciężko upadła na pokryte lodem kamienne stopnie i leżała zaskoczona na lodowatym chodniku dwa metry niżej. Rozcięła wargę, ale nie czuła bólu. Ogarnęło ją cudowne odrętwienie. Gdzieś w oddali słyszała radosne głosy, ruch uliczny. Nie było jeszcze późno na State Street w Ann Arbor: knajpy były otwarte.

„Byliśmy tam tacy szczęśliwi, w Ann Arbor, zaraz po ślubie”.

Jak bardzo chciała z nimi być! Ze swoimi młodymi rodzicami.

Chciała pamiętać to wyjątkowe szczęście, które czuli, zanim się urodziła.

Sama

Krewni? Kogo powiadomić?

Nie ma portfela? Dowodu? Nazwiska?

Wczesnym rankiem znaleźli ją sprzątacze ulic, tam, gdzie spadła z kamiennych schodów przy Terrace Place, w ślepym zaułku między opuszczonymi budynkami. Zaschnięta krew przy ustach i stwardniała strużka na czole. Śnieg przykrył nieruchome ciało jak całun.

Żyła, choć była w stanie hipotermii; serce jeszcze biło.

W karetce sprawdzili puls, oddech, zmierzyli ciśnienie i częściowo przywrócili ją do życia, położyli na noszach i zawieźli na ostry dyżur szpitala uniwersyteckiego, w którym dawno temu rezydentem był młody Gus Voorhees.

Palce u rąk i stóp miała sztywne z zimna. Temperatura ciała – 35,1 stopnia.

Może wzięli ją za bezdomną. Albo chorą psychicznie. Wiek mniej więcej dwadzieścia lat, rasa biała, waga około pięćdziesięciu kilogramów.

Czy ktoś ją pobił? Okradł? Zaatakował seksualnie?

Czy piła alkohol? Upadła i doznała pęknięcia czaszki?

Mimo dzwonienia w głowie i poranionych ust próbowała wyjaśnić: nie jest bezdomna, studiuje na uniwersytecie. Nie jest chora ani pijana, ale tak, najwyraźniej upadła wieczorem na oblodzonych stopniach i uderzyła się w głowę.

Czy był z nią ktoś jeszcze, kto ją skrzywdził? I zostawił leżącą na ulicy?

Nie! Nikogo nie było. Szła sama.

Bez kurtki czy płaszcza, w takim zimnie? Bez rękawiczek i czapki?

Uciekała przed kimś? Ktoś ją gonił?

Brała jakieś leki? Na receptę, nielegalne substancje? Narkotyki?

Badania krwi nie wykazały śladu alkoholu ani narkotyków, co jej nie zdziwiło. Wykryto jednak lekką anemię.

Tomograf nie ujawnił pęknięcia czaszki ani wstrząśnienia mózgu. Żadnych widocznych obrażeń.

Uśmiechnęła się. *A więc nie ma śladu. Ani trochę!*

Miała podłączoną kroplówkę do żyły w zgięciu łokcia. Nie pamiętała, by ktoś wbijał tam igłę. Podobno była bardzo odwodniona, tak jej powiedziano.

Leżała na ostrym dyżurze, przykryta warstwami cienkich białych wełnianych koców. Zdjęto jej ubranie, na stopach miała bawełniane kapcie. Wokół łóżka zaciągnięto zasłony, by zapewnić pacjentce prywatność.

Było tak bezpiecznie. Na ostrym dyżurze szpitala uniwersyteckiego każdy chory w swojej wnęce za białymi zasłonami, anonimowy, wyciszony. I żadnych butów, jedynie białe bawełniane kapcie.

Gdyby tylko Jenna wiedziała. Gdyby ją widziała.

Zobacz, co się dzieje z twoją córką. Wszystko ma swoje konsekwencje.

Tak naprawdę konsekwencje nie były poważne. W południe Naomi mówiła już z sensem. Dzwonienie w uszach zelżało. Mogła się zaprezentować jako inteligentna i w pewnym stopniu towarzysko obyta studentka Wydziału Sztuk i Nauk Ścisłych Uniwersytetu Michigan. Powoli przeliterowała swoje nazwisko: V-o-o-r-h-e-e-s. Młoda stażystka, Azjatka, która zapisała tę informację, nie uznała nazwiska za niezwykłe.

Naomi uparła się, że może wyjść ze szpitala. To, co się zdarzyło, już się nie powtórzy, była pewna.

– W rodzinie ktoś umarł. Zdenerwowałam się, ale już mi lepiej.

Umarłam, ale mnie ożywiono.

Tak bardzo chciałam zostać w tamtym miejscu, w którym byliśmy szczęśliwi.

Wstrząs wtórny

Dzień, noc. Ponad doba od egzekucji.

W Ann Arbor chyba nikt o tym nie wiedział. Nikt, z kim się widziała i rozmawiała. Nikt, kto się do niej zwracał. Nikt nie wypowiedział nazwiska Luthera Dunphy'ego.

Czy informacji o egzekucji nie opublikowano w gazetach? W telewizji, w internecie?

Czyż nie wszyscy wiedzieli?

Nie mogła spać. Nie chodziła na zajęcia. Unikała przyjaciół. Unikała obcych. Nie potrafiłaby wyjaśnić. Nikt nie wiedział, nikomu się nie zwierzyła. To był wstrząs wtórny po egzekucji.

Przysięgała, że już nie zadzwoni do brata. Ale wykręciła numer Darrena w stanie Waszyngton.

Nie odebrał.

Wiele razy przysięgała, że już nie zadzwoni do matki. Ale wykręciła numer Jenny w Bennington w stanie Vermont.

Nie odebrała.

Naomi była tylko trochę rozczarowana. Czuła radość i ulgę, i wdzięczność, mogła świętować, że Luther Dunphy w końcu umarł.

Zakrzywiona linia rany na czole przypominała wystającą żyłkę, drgającą, żyjącą. Rozcięcie po lewej stronie ust zrobiło się fioletowe.

Kiedy ktoś pytał, co się stało, odpowiadała, że miała mały wypadek, poślizgnęła się na oblodzonych schodach.

Odchodziła, ciesząc się w sekrecie. Tak długo czekała i nareszcie koniec!

Moje życie może się teraz rozpocząć.

– Tamtego dnia w moim życiu wydarzyło się coś fantastycznego.

Tak oświadczyła. Ale kiedy pytanie: „Naprawdę? A co?” dotarło do niej jak ekspresowo odbita piłeczka pingpongowa, nie potrafiła odpowiedzieć.

Niebezpieczne uczucie. Oszałamiające szczęście.

Pijana, upalona. Na haju.

I... no cóż, tylko lekko zdołowana.

Czy to nowe życie się zaczęło? Była pewna, że nowe życie się zaczęło.

Ale gdzie?

Nie mogła, kurwa, spać. Nie chodziła na pieprzone zajęcia. Nic dziwnego, że Jenna miała jej dość, tak jak Gus miałby jej dość (gdyby tylko wiedział), a przecież zaczęła semestr z taką nadzieją, taką energią, takim oczekiwaniem, takim entuzjazmem, wysokimi ocenami – a potem nieunikniony zjazd, kataklizm. Nie pocieszało jej wcale, że wśród kolegów z uniwersytetu ten wzór powtarzał się często – radosny, świeży początek semestru, a potem powolna katastrofa. Tyle że córka Gusa Voorheesa rozumiała, że jest wyjątkowa, że przypadł jej wyjątkowy los, przeznaczenie. Wpisała w wyszukiwarkę nazwisko „Luther Dunphy” i słowo „egzekucja”.

ANTYABORCYJNY ZABÓJCA DUNPHY STRACONY W CHILLICOTHE W OHIO

ZASTRZYK TRUCIZNY KOŃCZY LATA ODROCZEŃ

RUCH ANTYABORCYJNY WYDAJE OŚWIADCZENIE: „LUTHER DUNPHY NIE UMARŁ NA PRÓŻNO”

A więc to się stało! Luther Dunphy umarł.

Czytała szybko. Zapominała słowa, gdy tylko je przeczytała.

Nieuchronnie łączone z Lutherem Dunphym nazwisko Augustus Voorhees. Nagłówek z listopada 1999 roku, którego na pewno nie widziała przedtem.

LEKARZ ABORTER VOORHEES I BYŁY ŻOŁNIERZ PIECHOTY MORSKIEJ ZASTRZELENI

SAMOZWAŃCZY „ŻOŁNIERZ BOGA” DUNPHY ODDAJE SIĘ W RĘCE POLICJI

Wstrząsem wtórnym po tej śmierci była dla Naomi świadomość, że w jej życiu tak naprawdę nic się nie zmieniło.

Jej ojciec nie żył. Luther Dunphy wciąż był jego zabójcą. Dwa nazwiska połączone ze sobą na zawsze, a jedno z tych nazwisk nosiła i ona.

Znowu zadzwoniła do matki w Bennington w stanie Vermont.

Naomi wyobrażała sobie telefon dzwoniący w pustym pokoju.

Czy to już marzec? Wciąż zima.

Wciąż biało, wciąż bardzo zimno.

Wyobraziła sobie ogromną dziką przestrzeń bieli w Bennington w stanie Vermont.

Kiedy już się miała rozłączyć, ktoś odebrał telefon. Kobiecy głos. Ale nie głos Jenny Matheson.

– Czy mogę rozmawiać z Jenną? Mówi jej córka.

– Córka! – W głosie słychać było zaskoczenie.

Potem jednak głos zniknął, nie zadawszy żadnych pytań. Choć można by oczekiwać pytania: „Która córka?”.

Naomi nie miała pojęcia, czy dodzwoniła się do mieszkania Jenny czy do jej biura. A może to było jedno i to samo. Zdała sobie sprawę, że nie wie właściwie zupełnie nic o obecnym życiu matki. I chyba Darren też nic nie wiedział.

Od wielu lat czuła taki żal, że matka ich porzuciła! Taki, że niemal pragnęła, by Jenna umarła razem z Gusem. Wtedy dzieci mogłyby dalej ją kochać, tak jak kochały ojca.

Rozłącz się. Co ona cię obchodzi.

To jest teraz twoje nowe życie. Ona jest twoim dawnym życiem.

Wtedy jednak matka podeszła do telefonu.

– Tak? Halo?

Jenna mówiła niepewnie, z wahaniem. Naomi była przygotowana, by znienawidzić matkę, ale na dźwięk jej głosu poczuła przypływ emocji, który ją osłabił.

– Halo. To j-ja.

– Naomi?

Tak. Naomi.

Nastąpiła chwila pełnej zaskoczenia ciszy. Ile czasu minęło, odkąd ostatnio rozmawiały? Miesiące? Rok?

Naomi próbowała mówić spokojnie i się nie jąkać.

– No więc. Pewnie wiesz, dlaczego dzwonię, mamo. On nie żyje.

Jakże dziwnie zabrzmiało to słowo. „Mama”. Wyszło z ust Naomi samoistnie, bez jej woli. Od tak dawna nie powiedziała „mamo”.

Jenna odparła:

– Tak, wiem.

Potem znowu niezręczna chwila ciszy.

Czy Jenna nie zamierzała powiedzieć nic więcej? Czy Naomi miała mówić za nie obie?

Przypomniała sobie znienawidzone słowa: „Nie mogę już być waszą mamą”.

Naomi próbowała mówić. Logicznie i jasno, jak na zajęciach, by zrobić wrażenie na wykładowcach. Mówiła, że egzekucję odkładano tyle razy, że czasem wydawało się, że nigdy do niej nie dojdzie. W niektórych stanach skazańcy spędzali całe lata w celi śmierci...

Jenna mruknęła „tak”, a Naomi wyobraziła sobie odrazę malującą się na twarzy matki.

Zapytała, czy ktoś z Chillicothe kontaktował się z nią w sprawie jej obecności na egzekucji, a Jenna znów mruknęła „tak”.

– I odmówiłaś.

– Tak. Odmówiłam.

W głosie Jenny pojawiło się drżenie i coś jeszcze – smutny śmiech?

– Oczywiście. Odmówiłam.

Naomi oznajmiła odważnie:

– Chyba zaszokowałam Darrena, bo powiedziałam, że gdyby mnie zaproszono, mogłabym być świadkiem egzekucji. On chyba uważa, że to barbarzyństwo.

– Cóż. Pewnie nie mówiłaś poważnie.

– Pewnie tak.

Na moment zapłonęła między nimi iskra ekscytacji. W Naomi pojawiło się łaskoczące uczucie, jakby Jenna lekko jej dotknęła, jak zrobiłaby to matka.

Jeśli wygłosi mi zaraz kołtuńskie kazanie na temat sprzeciwu jej i Gusa wobec kary śmierci, to się rozłączę.

Ale tak naprawdę bała się, że to Jenna nagle się rozłączy. A miała jej tyle do powiedzenia!

Mówiła, że rozmawiała z Darrenem w czasie egzekucji dwie doby temu.

– Stary przyjaciel ojca, Elliot Roberts, pamiętasz go, mamo? Z Detroit? Pisał kiedyś dla „Daily News”. Relacjonował egzekucję dla Associated Press i zaoferował, że zadzwoni do Darrena z Chillicothe, jak tylko będzie po wszystkim. Elliot wiedział, że chcielibyśmy wiedzieć. Gdy tylko będzie po wszystkim. Zanim oficjalnie ogłoszą...

Naomi mówiła w podnieceniu, jak dziecko przybiegające z dobrymi wiadomościami do rodzica, który wcale nie chce ich słuchać. Zastanawiała się, czy między nimi zawsze tak było – czy przybiegała do swojej chłodnej, zdystansowanej, pięknej i nieobecnej matki z jakimś strzępem informacji, która w najmniejszy choćby sposób mogłaby poprawić jej pozycję córki.

Ale dlaczego to miało takie znaczenie, zastanawiała się. Jeszcze tamtego wieczoru jej i Darrenowi wydawało się najważniejsze, by wiedzieć najszybciej, jak się da, czy i kiedy umarł Luther Dunphy. Teraz to wcale nie była cenna wiedza, tylko coś obrzydliwego, smutnego.

Jenna powiedziała, jakby nagle sobie przypomniała:

– Darren też do mnie dzwonił. Zostawił wiadomość.

– Tak myślałam, że zadzwoni! Jaki miał głos?

– Jaki miał głos? – zdziwiła się Jenna.

– To znaczy co powiedział?

– Zostawił tylko wiadomość o Dunphym. Tak się dowiedziałam, że umarł. Że egzekucja jednak się odbyła po tylu przełożeniach.

– I jak... co wtedy poczułaś?

– Co poczułam? Ja... nic.

Jenna mówiła z bezbrzeżnym smutkiem. Nie było słychać ulgi. Nie było słychać radości. Nie mówiła ze złością, ale była rozczarowana.

– A więc nie rozmawiałaś z Darrenem?

– Nie. Nie rozmawiałam z Darrenem.

To znaczy nie oddzwoniłaś do niego.

– A wiesz, gdzie Darren teraz mieszka? W Newhalem, w Waszyngtonie?

– Chyba tak. To znaczy powiedział mi.

Naomi poczuła przelotne ukłucie satysfakcji. Darren nie był bliżej z Jenną niż ona.

– Czekaliśmy... tak długo. A on tak długo żyje. To znaczy żył... Luther Dunphy. A teraz... – Naomi urwała i zapadła niezręczna cisza. Nie wiedziała, w którą stronę zaprowadzą ją te słowa. Niepewnie mówiła dalej: – To chyba takie „wstrząsy wtórne”. Jak po trzęsieniu ziemi... – Po co wygadywała takie rzeczy? Bała się, że Jenna się rozłączy. Bała się, że jeśli Jenna się rozłączy, to Naomi znienawidzi ją z taką pasją, że się od tego pochoruje. – Ja czuję coś w rodzaju... chyba ekscytacji. Po tym, jak to się stało.

Nasłuchiwała uważnie. Czy Jenna odpowiedziała? Bardzo ciche mruknięcie – „tak”. „Tak?”

Zastanawiała się, czy w pokoju z matką ktoś jest. Nie zniosłaby, gdyby Jenna zerkała na kogoś, na obcego, kiedy ona, Naomi, jej córka, z taką pasją coś opowiada.

– Od tylu lat byłam wręcz chora, czekając, aż ten sukinsyn umrze... a on nie chciał umrzeć. Tak bardzo się denerwowałam i męczyłam, ale gdy tylko Darren przekazał mi wiadomość, poczułam, że żyję. Jakby walnął we mnie oślepiający piorun, to takie silne, że niemal widoczne na opuszkach palców, jak fluorescencja, jak podmorskie życie.

Co ona opowiada? Gapiła się na opuszki swoich palców i rzeczywiście, niemal widziała, że lśni tam życie.

A teraz, skoro już zaczęła, nie potrafiła przestać. Przypomniała sobie, że kiedy stawiała stopę na oblodzonym stopniu i się poślizgnęła, i upadła, i uderzyła się w głowę, poczuła, jak ogarnia ją to przekonanie. A może przekonanie poprzedziło upadek i go spowodowało?

– Zwykle to się chowa w naszym środku – to ż y c i e. Tak bardzo się go boimy i wstydzimy, a ludzie, którzy tak jak my są niewierzący, nie wiedzą, jak o tym mówić. Ale tego ranka obudziłam się pełna szczęścia i miałam to przekonanie, że to właśnie jest życie, które przez nas przepływa i nas ze sobą wiąże. Dopiero po egzekucji to zrozumiałam... poślizgnęłam się i upadłam na oblodzonym schodku i uderzyłam się w głowę, znaleźli mnie dopiero rano...

– Naomi, co ty mówisz?

– Musiałam wyjść na dwór, zaczerpnąć świeżego powietrza. Miałam jakby atak szczęścia. Byłam na ulicy i biegłam, no i poślizgnęłam się, upadłam i uderzyłam w głowę. Zabrali mnie na ostry dyżur... – Zastanawiała się, czy powiedzieć Jennie, że to był ostry dyżur szpitala uniwersyteckiego. Jenna od razu pomyśli o Gusie, kiedy był młodym lekarzem.

– Dobrze się czujesz, Naomi? Straciłaś przytomność? – Po raz pierwszy Jenna wydawała się zatroskana.

– To był drobny wypadek. Nie zraniłam się jakoś poważnie. Ale nie dlatego do ciebie dzwonię. Dzwonię, żeby ci powiedzieć, że czuję się teraz taka pewna – taka pewna siebie. I życia. Naszego życia.

– O co ci chodzi, Naomi? Nie rozumiem.

– To przekonanie samo do mnie przyszło. Ale nie da się go wytłumaczyć. To, że tata nie żyje i Luther Dunphy nie żyje, ale ty jesteś moją matką, a ja jestem twoją córką, i my żyjemy. To dla mnie wielkie objawienie po latach ślepoty i egocentryzmu. To objawienie, jakby wielki głaz odtoczyć z wejścia do jaskini.

Naomi mówiła teraz szybko. Nawet gdyby chciała przerwać, nie mogłaby.

– Między nami była cisza, i tak bolała. Kiedy tata umarł, źle zrobiliśmy, oskarżając cię, Darren i ja, bo tak jakby myśleliśmy, że to przez ciebie tata wyjechał, zamieszkał gdzie indziej i nas zostawił, i to w tamtym miejscu tatę zamordowali, i to by się nie zdarzyło, a zdarzyło się z twojego powodu. Byliśmy tacy źli i rozgoryczeni. Byliśmy... czuliśmy... tak cię nienawidziliśmy... Ale teraz śmierć Luthera Dunphy'ego wszystko zmieniła.

Nie mogła uwierzyć, że powiedziała „tak cię nienawidziliśmy". Te słowa wyskoczyły z jej ust jak ropuchy. I nie można już było ich cofnąć.

Po drugiej stronie słuchawki panowała cisza.

– Mamo? Jesteś tam jeszcze? Halo?

Ledwie słyszalne mruknięcie. Mogło znaczyć „tak".

Skruszona, podenerwowana Naomi ciągnęła:

– Przepraszam. Ty nas zostawiłaś. Nie raz, ale wiele razy: wciąż nas zostawiałaś. Aż w końcu zostawiłaś nas na dobre w Birmingham z rodzicami taty. Ale nie dzwonię po to, by cię oskarżać, mamo, Jenno. Właściwie to wręcz odwrotnie: dzwonię, żeby cię nie oskarżać. Chciałam tylko powiedzieć, chciałam wyjaśnić, że to się pojawiło jak wizja: że żyjemy... Ja i ty żyjemy, nawet jeśli tata nie żyje i teraz Luther Dunphy nie żyje. – Naomi mówiła z ekscytacją, szczękając zębami, jakby nagle zrobiło się zimno.

Rozpłakała się. Dostała ataku płaczu, gwałtownego, bezradnego płaczu ze smutku.

– Tęskniłam za tobą, w szpitalu. Kiedy mnie przywieźli. Myśleli, że umieram, mówili, że jestem odwodniona, że anemia... Dlaczego do mnie wtedy nie przyjechałaś...

Płakała tak bardzo, że nie mogła już mówić.

Jenna błagała, żeby przestała płakać:

– Pochorujesz się, Naomi.

Ale Naomi nie mogła przestać płakać. Nie potrafiła zrozumieć, dlaczego płacze, skoro nie jest nieszczęśliwa, a tak naprawdę jest bardzo szczęśliwa.

Od lat nie była taka szczęśliwa.

A jednak płakała. Z ochrypłymi, gwałtownymi spazmami. A Jenna mówiła, że jeśli Naomi nie przestanie, to się rozłączy.

– To się rozłącz! Odłóż ten pieprzony telefon! Wiesz, że tak naprawdę chcesz to zrobić! Rozłącz się! – krzyczała Naomi.

Rzuciła słuchawką tak mocno, że ta spadła na podłogę, po czym lekko ją jeszcze kopnęła.

Nienawiść

Nienawiść nienawiść nienawiść

Pustka.
Styczeń 2007

„Istnieje pustka, której nie widzisz – tam, gdzie stały dwie wieże. Niestety ja ją widzę”.

Co za widok! Naomi nigdy przedtem nie patrzyła przez okno z takiej wysokości, przez okno od sufitu do podłogi, z którego rozciągał się widok w dal na całe kilometry, aż do końca wyspy.

Chmury na niebie, poziome, poszarpane i przerzedzające się. Połówka słońca niczym krwawe jajko ułożone tak, by zatonąć w horyzoncie.

Od tej bliskości okna dostała zawrotów głowy. Czuła zimno płynące od szyby. Znajdowała się na trzydziestym pierwszym piętrze mieszkania swojej babki w West Village w Nowym Jorku. Spojrzenie Naomi powędrowało w dół, na ulicę (jak się nazywała? West Houston?), a potem znowu do góry, na płaskie prostokątne dachy, wieże ciśnień, wieże kościołów, walcowate wysokościowce lśniące w późnym popołudniowym słońcu, ciągnące się po horyzont, do dolnego Manhattanu i dalej.

Miała dziewiętnaście lat. Już to okazało się osiągnięciem – po prostu wciąż być.

Miała przerwę w życiu. Wciąż we wstrząsie wtórnym po śmierci mordercy swojego ojca. Wciąż zadziwiona własną furią o sile czarnej żółci wylewającej się ustami, wyciekającej kącikami ust-maski w nieoczekiwanych momentach.

A potem, w środku zimy trzeciego roku studiów, została zaproszona do swojej babki Madeleny Kein, którą ledwie znała – miała spędzić u niej tydzień lub więcej w nowojorskiej West Village.

Tajemnicza i nieuchwytna Madelena skontaktowała się z Naomi zupełnie niespodziewanie: „Droga Naomi, gdybyś chciała porozmawiać o twoim ojcu. Jeśli wciąż masz ochotę”.

Oczywiście, że miała ochotę! Zżerała ją ciekawość, ale też strach przed tym, co może powiedzieć jej babka ze strony ojca.

W rodzinie Voorheesów Madelena Kein uchodziła za postać odległą, elegancką i budzącą lęk. Odeszła od swego męża Clementa, kiedy ich jedyny syn był mały, i od wielu dekad mieszkała w Nowym Jorku. Absolwentka filozofii, potem profesor filozofii i językoznawstwa, autorka wielu esejów, recenzji i książek, osobliwych, wymagających i nieprzystępnych dla zwykłego czytelnika. Nie wyszła drugi raz za mąż, ale wiadomo, że miała wielu kochanków. Podobno miała też cięty język i była zgryźliwa. Nie przebierała w słowach. Inteligencją potrafiła zabić. Rzadko przyjeżdżała w odwiedziny na Środkowy Zachód, a jeszcze rzadziej zapraszała do siebie kogokolwiek z rodziny.

Jednak Madelena Kein była zdolna do nieoczekiwanych aktów dobroci. Przez te wszystkie lata, choć nieregularnie, przysyłała wnukom prezenty na Boże Narodzenie i inne święta. Ufundowała w szkole medycznej Uniwersytetu Michigan stypendium imienia Augustusa Voorheesa. W ostatnich latach szczególną uwagę zwracała na Naomi, jakby pod koniec swojego życia nabrała na nowo zainteresowania życiem innych.

A może to strata jedynego syna tak głęboko nią wstrząsnęła?

W mieszkaniu babki Naomi nie zauważyła żadnych zdjęć Gusa. Oczywiście widziała dopiero kilka pomieszczeń, nie była jeszcze w sypialni Madeleny.

Pokój, w którym miała mieszkać, jedna z kilku sypialni w mieszkaniu, nie był duży, ale wydawał się przestronny, miał trzy białe ściany i jedną całą z okien, na pierwszy rzut oka wychodzących w puste jasne powietrze.

Widok za nimi – rozciągający się po horyzont, unoszący do nieba, wpadający w ulicę na dole – zahipnotyzował Naomi. Mogła się gapić i gapić. Mogła zatracić się w gapieniu. Jej mózg, który często zdawał się poraniony

maleńkimi kawałkami szkła, tutaj uspokoił się po zaledwie kilku minutach samotności.

Pojawiła się pocieszająca myśl: *Tutaj jestem bliżej niego. Mojego ojca*.

W tej wysokości było coś niezwykłego. Niespodziewana przestrzeń, w którą wpadał wzrok, zwykle blokowany po kilku metrach. W najbardziej miejskich krajobrazach widziało się tylko na krótkie dystanse i szybko zapominało, że widok jest nienaturalnie skrócony. Jednak na tej wysokości nic nie zaburzało patrzenia. Miała wrażenie, że spojrzenie sięga poza wszelkie ziemskie sprawy.

To oczywiście głupie. Takie „prymitywne myślenie". Uczono ją, by w ten sposób nie rozumować. Matka byłaby zaszokowana. Ojciec by się śmiał.

Dlatego babka mnie tu zaprosiła. Żebym była bliżej ojca.

Na kremowobiałych ścianach niewielkiego pokoju gościnnego wisiały dzieła sztuki – oprawione rysunki, drzeworyty, obrazy w fowistycznych kolorach. Były też prace współczesnych artystów, o których Naomi pewnie słyszała – Mosera, Dauba, Kahna. I półki z książkami pełne za dużych albumów o sztuce z lekko naddartymi okładkami, zdradzającymi, jak często były czytane, oglądane. Naomi wyjęła jeden z nich – *The Complete Little Nemo*. Ogromna książka z kolorowymi planszami klasycznego surrealistycznego komiksu z początku XX wieku. Naomi chyba pamiętała, że Madelena wysłała identyczny egzemplarz Darrenowi na któreś urodziny.

Czy to właśnie po otrzymaniu *Little Nemo* Darren tak bardzo zaczął się interesować rysowaniem komiksów? A może Madelena wiedziała o jego pasji i dlatego wybrała tę książkę?

Naomi pamiętała też, że na jej trzynaste urodziny, bez żadnej kartki czy wyjaśnienia, babka przysłała *Odyseję* Homera w twardej oprawie. Melissa, ledwie umiejąca wtedy czytać, dostała ilustrowaną wersję *Alicji w Krainie Czarów* Lewisa Carrolla i *Alicję pod drugiej stronie lustra*, to samo wydanie, które Naomi uwielbiała jako dziecko. Naomi nie wiedziała albo zapomniała, że ta ulubiona książka jej dzieciństwa musiała być prezentem od Madeleny Kein!

Dorastała, wiedząc niewiele o matce swojego ojca. Jenna cierpko nazywała ją „widmową teściową”. W rodzinie Voorheesów, wśród niezliczonych książek, gazet, magazynów, codziennej prasy, upchanych na stołach, krzesłach, kanapach, leżących na podłodze i schodach, znajdowały się książki Madeleny Kein, takie jak *Wejrzeć w ludzką świadomość* (Oxford University Press), *Czy mamy na myśli to, co mówimy; czy mówimy to, co mamy na myśli?* (Columbia University Press), *Historia etyki transformacyjnej* (University of Chicago Press). Nie było do końca jasne, czy Gus przeczytał te książki, choć z pewnością to planował. Darren i Naomi próbowali – bez powodzenia. W bibliotece Uniwersytetu Michigan Naomi wyszukała artykuły i eseje Madeleny Kein w publikacjach powszechnie niedostępnych – „Philosophical Studies”, „Philosophical Review”, „Harvard Review of Philosophy”, „Journal of Psychology and Linguistics”, „Ethics”, „Meme”. Nieco lepiej szło jej z czytaniem tekstów Madeleny w takich popularnych wydawnictwach, jak „New York Review of Books” i „Times Literary Supplement”.

Ale też co wiedziała o babce po przeczytaniu, czy też próbie przeczytania jej prac? Były gęste od argumentów, pełne niejasnych wyrażeń, enigmatyczne, zagadkowe, zapewne genialne, odporne na parafrazę. Czy tym stała się filozofia? Mylącymi pytaniami i paradoksami, brakiem odpowiedzi?

Naomi położyła walizkę na cedrowej skrzyni u stóp łóżka. Ma zostać tutaj? W tym idealnym miejscu? Poczuła przypływ ekscytacji i jednocześnie niepokój, zażenowanie.

I ślad tęsknoty za domem niczym słaby błękitny cień padający na twarz.

Co za absurd! Za jakim domem? Gdzie? Od lat nie miała stałego miejsca zamieszkania. Nigdy nie czuła się dobrze w domu dziadków w Birmingham, w dziewczęcym pokoju z tapetą w róże, z dziewczęcym łóżkiem nakrytym różową satynową kapą, z oknami podzielonymi białą kratką. Z ostatniego domu, w którym mieszkała z rodziną przed wyjazdem ojca, pamiętała, że był wynajęty, opanowany przez muchy, znajdował się na Salt Hill Road w hrabstwie Huron w stanie Michigan. Nienawidziła tego domu, tak samo jak nienawidziła go jej biedna uwięziona matka.

Mogę tutaj mieszkać, ze swoją babką – prawda?

Czy to mi zaproponuje? Żebym z nią zamieszkała?

Wstrząs wtórny po śmierci mordercy nie był wcale wyzwoleniem – nie takim, jakiego oczekiwała.

Od jakiegoś czasu chorowała. Na chorobę duszy.

Wróciła do tworzenia archiwum – teraz efektownie i odważnie zatytułowanego *Życie / śmierć / życie doktora Augustusa Voorheesa*.

Lub może mniej formalnie: *Życie / śmierć / życie Gusa Voorheesa*.

Życie / śmierć / życie mojego ojca Gusa Voorheesa.

Życie / śmierć / życie mojego taty Gusa Voorheesa.

Zastanawiała się (nie na poważnie, a tylko z desperacji), czy nie wyjść za młodego doktoranta biologii ze szkoły medycznej Uniwersytetu Michigan (pochodził ze Sri Lanki, jego matka była amerykańską epidemiolożką, a ojciec lankijskim szefem firmy farmaceutycznej), jednak to uczucie, choć intensywne, było krótkotrwałe.

Zastanawiała się, czy nie rzucić studiów. Albo czy nie zrobić przerwy w studiach.

Zastanawiała się, czy nie przenieść się do Bennington. (Czy to w ogóle było możliwe? Bennington College to prywatna instytucja, podobno bardzo droga. Uniwersytet Michigan to uczelnia stanowa, w której czesne i inne koszty dla mieszkańców stanu były względnie niskie).

Zastanawiała się też czasami (no dobrze, nie całkiem na poważnie, bo nie dość dokładnie to sobie wyobrażała, by nazwać zastanawianiem się), czy nie popełnić samobójstwa. (Tyle że gdyby ojciec wiedział, byłby zrozpaczony. Gorzej niż zrozpaczony – niezadowolony! „Co ty sobie zrobiłaś, moja zamartwiaczko? Skarbie, nie!” Dlatego samobójstwo nie wchodziło w grę).

Po raz kolejny wróciła do archiwum. Zebrała już tyle materiału, że nie mogła się poddać, a jednak choć miała go tak dużo, nie mogła się zmusić,

by go ocenić, choćby skatalogować. Jednocześnie wiedziała, że do stworzenia pełnego portretu Gusa Voorheesa potrzeba więcej. Dużo więcej.

A potem niespodziewane zaproszenie do Madeleny Kein.

Proszę, zrozum: nie pozwolę się przesłuchiwać. Będę z tobą rozmawiać, ale nie będziesz mnie wypytywać.

Są rzeczy, o których chciałabym ci opowiedzieć (których nie ukrywałam przed Gusem, wiedział o nich). To tylko kilka faktów, niewiele – ale kluczowych. Jeśli mnie odwiedzisz, mam nadzieję, że to nie będzie jedyny temat naszych rozmów!

Minęło siedem lat – więcej niż siedem – odkąd Naomi widziała Madelenę na pogrzebie ojca. Zapamiętała z tamtego dnia niejasny obraz kobiety – eleganckie czarne ubranie, siwe włosy zasłonięte czarnym kapeluszem z wygiętym rondem, bardzo blada skóra, surowe i suche oczy wśród żałobników, z których wielu emocjonowało się i wydawało różne dźwięki.

Naomi pamiętała zaskoczenie, niezadowolenie, że zaraz po pogrzebie Madelena wyjechała z Ann Arbor. Nie zaplanowała noclegu. Odmówiła Jennie i przyjaciołom Gusa, którzy zapraszali, by się u nich zatrzymała. Była chłodna i uprzejma dla swojego byłego męża Clementa – oczywiście odrzuciła również zaproszenie jego i Adele, by na kilka dni została w Birmingham oddalonym o godzinę drogi od Ann Arbor.

Spędziła trochę czasu z Jenną. Nie wśród innych, na osobności.

Naomi zastanawiała się, o czym rozmawiały.

Jenna była powściągliwa. Skonfrontowana z silniejszymi osobowościami, jak Madelena, bardziej dominującymi i zdecydowanymi, jak jej mąż, wolała milczeć.

Naomi nie pamiętała, by Madelena rozmawiała z nią, Darrenem czy Melissą podczas pogrzebu lub na przyjęciu po nim. Pewnie raczej unikała dzieci zmarłego, zszokowanych i przerażonych, przypominających młode zombie.

Bo co powiedzieć dzieciom, których ojca zamordowano? Nawet jeśli są twoimi wnukami? Inni dorośli już próbowali, niezdarnie. Ale nie Madelena

Kein.

Jednak babcia Naomi nie przestała być świadoma istnienia Naomi.

Na lotnisku Kennedy'ego czekał kierowca limuzyny w uniformie; trzymał tabliczkę z napisem NAOMI VOORHEES. Madelena uparła się, że wynajmie samochód, tak jak uparła się, że zapłaci za bilety lotnicze.

Naomi była wzruszona. Czuła się uprzywilejowana, rozpieszczana. Nigdy przedtem nie widziała tak wyraźnie publicznie zaprezentowanego swojego nazwiska.

W Ann Arbor świadomość tego nazwiska była odczuwalna. Uważała je za piękne – znaczące – „Voorhees". Ale z ulgą założyła, że w Nowym Jorku nie będzie znaczyło nic.

Na uniwersytecie zaczęły się ferie zimowe. Nikomu nie powiedziała, dokąd jedzie. Nie powiedziała dziadkom w Birmingham, bo wiedziała, że im się to nie spodoba albo że poczują się zranieni, urażeni – uznają, że skoro byli tak dobrzy dla Naomi i pozostałych wnuków, skoro tyle dla niej zrobili, to powinna być lojalna wobec nich, a nie wobec samolubnej „karierowiczki", która odrzuciła rolę babki.

Dziadkowie Mathesonowie z Evanston rzadko pojawiali się w życiu Naomi. Zastanawiała się, jak często widywali Jennę, czy raczej jak często Jenna decydowała się na spotkania z nimi.

Oczywiście nie powiedziała też matce. Nie kontaktowały się od tamtej koszmarnej rozmowy telefonicznej w marcu poprzedniego roku.

Nie powiedziała Darrenowi. Próbowała teraz rzadziej dzwonić do brata. Na mejle, które pisała, odpowiadał z opóźnieniem albo wcale. Musiała to przyjąć. *Odsuwa się ode mnie. Przypominam mu o tym, o czym chce zapomnieć, i nie można go za to winić.*

W intensywnym wyczekiwaniu wyglądała przez tylne przyciemniane szyby wynajętego samochodu, który wiózł ją do centrum. Była w Nowym Jorku tylko kilka razy z rodzicami, i to krótko. Jechali teraz powoli, często się zatrzymywali, a na linii wzroku pojawiały się sznury samochodów, ciężkiego budowlanego sprzętu ryczącego ogłuszająco jak rakieta, wiadukty ko-

lejowe, mosty drogowe. Billboardy, małe skrawki nieba. Wiadukty autostrad, rampy. Kolejne wiadukty i mosty. Jeszcze więcej samochodów, powolnych i wciąż się zatrzymujących. Naomi bolała głowa od tego oczekiwania. Wzięła ze sobą niewiele rzeczy, ale nie zapomniała dyktafonu. Miała na sobie najgrubszą zimową kurtkę i wiele warstw ubrań pod spodem. Był styczeń, smutny miesiąc. W Michigan śnieg zbierał się w hałdy.

W Nowym Jorku śniegu było dużo mniej. Przez szyby wynajętego samochodu widziała skrawki brudnego, białawego, plamistego styropianu.

Dręczyła się myślą, że przyjedzie pod podany przez babkę adres na Bleecker Street i znajdzie tam... pustkę.

Pustą działkę, porzucony budynek w parszywym miejskim otoczeniu. I powoli padający śnieg, zasypujący jej ślady.

Złowroga to była fantazja. Naomi nie chciała, by jej życie było złowrogą fantazją.

A potem samochód szybko wjechał na pochylnię – most Williamsburg. Czy pod spodem płynie East River? Drapacze chmur wisiały nad zmierzwioną wodą. Niebo nakrapiane chmurami, głęboko posiniaczone niebo niezliczonych warstw, jak na obrazie El Greca, należącym do ulubionych płócien jej ojca – *Widok Toledo*.

Poczuła ciepło w sercu, pojawiła się nadzieja.

Kierowca jechał Houston Street. Mieszkanie babki znajdowało się przy skrzyżowaniu West Houston i West Broadway, niedaleko parku Washington Square.

W LaGuardia Place znajdowały się trzy wieżowce z pionowymi szklanymi panelami. W Ann Arbor nie było niczego podobnego.

Podała portierowi nazwisko babki oraz swoje. I znów przebiegła jej przez głowę myśl: *To pomyłka. Nikt na mnie nie czeka*.

Wjechała windą na trzydzieste pierwsze piętro.

A tam, przy wejściu do windy, stała jej piękna srebrnowłosa wyprostowana babka, Madelena Kein – kobieta, która wiele lat temu jasno powiedziała, że nie interesuje jej bycie czyjąś babcią.

– Naomi! Witaj.

Potem uścisk – nieco sztywny, niezręczny, lecz serdeczny – na co Naomi się nie przygotowała. Ręce babki były szczupłe, ale silne.

Madelena była tylko nieco niższa od Naomi. Wspaniałe srebrne włosy zaplotła wokół głowy niczym koronę. Miała na sobie lejącą się czarną bluzkę i spodnie z rozszerzanymi nogawkami. Skóra na idealnie owalnej twarzy była gładka, pozbawiona zmarszczek, jak skóra kobiety o dekady młodszej.

Oczy zasłaniały duże przyciemniane okulary w modnych czarnych oprawkach. W ich szkłach odbijała się niepewna blada dziewczęca twarz Naomi.

– Wezmę to, moja droga.

Zanim Naomi zdążyła zaprotestować, Madelena wzięła walizkę i zaniosła ją ku otwartym drzwiom na końcu korytarza. Jakby o tyle młodsza od Madeleny Naomi nie mogła zrobić tego sama. Co za wstyd!

– Jak minął lot? Jak się masz?

– Dobrze. I mam się dobrze.

– A tak naprawdę? – Madelena uśmiechała się do Naomi z ciepłą, pełną rozbawienia serdecznością, jakby były starymi znajomymi albo wspólniczkami.

Czy to jest matka jej ojca, kobieta przynajmniej siedemdziesięciokilkuletnia? Naomi czuła się oszołomiona spotkaniem z tą energiczną, wyprostowaną osobą, która wyrwała jej walizkę z dłoni z siłą kogoś, komu raczej nikt się nie sprzeciwia.

Przypomniała sobie, jak ojciec z goryczą żartował, że z upływem czasu młodzieńczą, energiczną matkę zaczną brać za jego siostrę – „nieco starszą, despotyczną siostrę”.

Madelena właśnie opowiadała, że nie znosi lotów samolotem. Nie znosi zawierzać życia obcym ludziom.

– Podróżowanie jest takie pasywne. To jak rzucanie kostką – przeżyjesz ten lot albo nie. Sprawdzałam twój samolot po wylocie z Detroit, niepoko-

iłam się, że jest opóźniony z powodu odladzania.

Naomi zdziwiła się i wzruszyła, że Madelena tak się przejmuje. Niepewnie wydusiła:

– Tak. Było bardzo zimno i lodowato... – Uśmiechała się głupio.

W mieszkaniu Madelena uparła się, że Naomi musi wypić szklankę wody.

– Po podróży jesteś odwodniona. Można to naprawić. Jeśli nie uważasz, potem bardzo boli cię głowa. A jutro twój pierwszy pełny dzień w Nowym Jorku, musisz być w dobrej formie.

– Dziękuję. – Naomi posłusznie piła z podanej jej kryształowej szklanki. Rzeczywiście głowa ją rozbolała, zanim jeszcze samolot wylądował.

Madelena zaprowadziła ją do dużego jasnego salonu – okna od sufitu do podłogi wychodziły na wspaniały krajobraz dachów, wież, ulic, małe fragmenty zaśnieżonej zieleni.

– Ta niebieska mgła na horyzoncie to rzeka Hudson. A tam, widać go tylko z tego okna, łuk w parku Washington Square.

Naomi wypatrywała, ale nie widziała... nie była pewna, co widzi.

– Bardzo pięknie...

– Z wysokości tak. Odległość poprawia widok.

Na ścianach salonu wisiały duże obrazy wyglądające jak poplamione wodą. Pastelowe abstrakcyjne płótna naśladujące niebo. Chyba. Eleganckie nowoczesne meble, szorstki jasnożółty chodnik na wypolerowanej drewnianej podłodze. Na stoliku jakiś stary instrument strunowy. Rzeźbione figurki, białe marmurowe głowy. Salon otwierał się na jadalnię, w której stał długi mahoniowy stół, dość duży, by pomieścić dziesięć lub dwanaście osób; na przeciwległym końcu tylko dwie podkładki naprzeciwko siebie i równo złożone kolorowe serwetki z materiału.

Naomi naiwnie się wzruszyła. Babka nakryła stół, czekając na nią.

Przypomniała sobie, że dawno temu, kiedy była mała, rodzice często zapraszali przyjaciół na kolacje, przyjaciół z dziećmi, którzy nieformalnie zbierali się wokół stołu o połowę mniejszego niż ten i dużo mniej eleganc-

kiego. Tamte kolacje były żywiołowe i zabawne. To, co mówili ludzie, było prawdą – Gus Voorhees potrafił cię rozbawić. Trudno było zgadnąć, jak intensywne i często niespokojne życie prowadzi ten człowiek, bo uwielbiał rozśmieszać innych. Dorośli pili wino i piwo, dyskutowali o polityce, opowiadali historie o swojej pracy i szefach, rzucali dowcipami. Gus nie był powściągliwy. Ale też nie dominował – zazwyczaj.

W końcu po tych przedłużonych kolacjach dzieci znikały, by oglądać telewizję, a te młodsze matki kładły spać. Naomi nie pamiętała, czy należała do tych młodszych dzieci, czy była już dość duża, by nikt nie upokarzał jej kładzeniem do łóżka.

Otarła oczy. Od dawna nie wspominała tamtych kolacji. W Detroit, w Grand Rapids, oczywiście w Ann Arbor, ale kilka imprez odbyło się również w wynajętym domu na Salt Hill Road w wiejskim hrabstwie Huron, w którym (jak teraz wiedziała) życie rodzinne zaczęło się rozpadać.

Na stole jadalnym Madeleny dostrzegła bogato zdobiony żeliwny świecznik, a w nim sześć smukłych świec różnej wysokości i różnego koloru; każdy uchwyt świecy był mocno oblany woskiem, jak rzeźba. Naomi przypomniała sobie, że jej rodzice mieli podobny kandelabr, nieco mniejszy; robił wrażenie, ale był niepraktyczny i zwykle stał na kredensie nieużywany. Zastanawiała się teraz, czy może to nietrafiony prezent od Madeleny Kein.

– Jest z Meksyku. Ten kandelabr. Coś ci przypomina? – Madelena patrzyła rozbawionym wzrokiem.

Naomi zastanawiała się, gdzie teraz znajduje się ich świecznik. Co zrobiła Jenna ze wszystkimi rzeczami z domu? Umieściła w magazynie, sprzedała albo rozdała...

– A jak się miewa twoja matka, Naomi?

– Chyba... chyba miewa się dobrze.

– Słyszałam, że nie mieszka już w Ann Arbor.

– Tak. To znaczy nie mieszka. Jest w Bennington, w Vermoncie.

Naomi mówiła urywanymi zdaniami. I dlaczego w ogóle uznała, że musi dodawać „w Vermoncie”, jakby Madelena nie wiedziała, gdzie leży Bennington.

– Ona jest w żałobie, Naomi. To się nie kończy.

Czyżby Madelena broniła Jenny? Ale dlaczego miałaby sądzić, że trzeba bronić synowej przed jej córką?

– Jesteście w kontakcie? Z mamą?

– W pewnym sensie. Nie i tak. Nie całkiem.

Naomi udzieliła tej dziwnej odpowiedzi i zamilkła.

Madelena oznajmiła, że zaplanowała na czas wizyty wnuczki kilka wyjść – do Metropolitan Opera, Metropolitan Museum of Art, Neue Galerie, do Lincoln Center na New York City Ballet – ale przez większość dnia nie będzie jej w domu, bo pracuje na uniwersytecie; w niektóre wieczory też jej nie będzie.

– Zostaniesz sama. Kiedy tylko zechcesz. Albo, jeśli się uda, możesz mi towarzyszyć.

Jeśli się uda? Co to miało znaczyć?

– Życie w Nowym Jorku niekoniecznie jest bardziej skomplikowane niż na Środkowym Zachodzie, ale dla ludzi, którzy żyją z komplikacji, to jest właściwe miejsce.

Madelena poprowadziła Naomi wąskim korytarzem do oszczędnie umeblowanego białego pokoju zalanego gasnącym popołudniowym światłem.

Na zgrabnym białym plastikowym biurku rozłożyła kilka stron z „New York Timesa” z listą wystaw, koncertów, przedstawień, filmów, wykładów i odczytów poezji w nadchodzącym tygodniu. Obok niektórych był czerwony ptaszek.

– Możesz dodać, co tylko ci się spodoba i co chciałabyś zobaczyć, a jeśli będzie czas, to pójdziemy. Dla mnie to też coś w rodzaju wakacji.

Drzwi szafy były uchylone, jakby sugerowały, że Naomi powinna je otworzyć szerzej i powiesić tam rzeczy. U stóp łóżka stała niewielka cedrowa skrzynia.

– Twoja łazienka jest naprzeciwko.

– Dziękuję...

Naomi nie wiedziała, jak zwracać się do babki. „Madelena” zdawało się nie w porządku, a „babciu” nie wchodziło w grę.

Jakby czytając w jej myślach, Madelena powiedziała:

– Mów do mnie „Lena”, proszę. Wiem, że to dziwne, ale się przyzwyczaisz.

– Lena.

– Z większym uczuciem, moja droga! „Le-na”.

– „Le-na”.

Madelena radośnie się zaśmiała i dotknęła ramienia wnuczki. Przez moment Naomi zdawało się, że babka znów ją uściśnie, krótko i mocno, ale tak się nie stało.

Potem Madelena zapytała, czy Naomi ma jakieś pytania, jej jednak nic nie przyszło do głowy, oprócz tego, o co i tak nie śmiała zapytać wyprostowanej srebrnowłosej kobiety, której oczy zasłaniały przyciemniane okulary. *Dlaczego tu jestem, dlaczego mnie zaprosiłaś, czy ty się o mnie troszczysz, czy oczekujesz, że to ja się zatroszczę o ciebie?*

Kiedy została sama, położyła walizkę na cedrowej skrzyni i powoli zaczęła się rozpakowywać. Jej uwagę przykuło ogromne okno wychodzące na czyste lśniące światło. Naomi osłabła z ekscytacji i musiała usiąść na krawędzi łóżka.

Kapę uszyto ze sztywnego białego marszczonego materiału, na wierzchu leżały szorstkie poduszki w jaskrawych kolorach i wzorach, rdzennie amerykańskich czy meksykańskich. Naomi uśmiechnęła się radośnie. Była jak dziecko, które przeszło na drugą stronę lustra do wspaniałego świata – jak Alicja, jej dawna, utracona bohaterka.

Kiedy umarł twój ojciec, przeprowadziłam się tutaj. Nie mogłam oddychać tam, gdzie wcześniej mieszkałam, w kamienicy w Washington Square Mews.

Długo spałam głównie w tym pokoju – choć to ewidentnie pokój przeznaczony dla dziecka. Zasypiałam z tym widokiem za oknem. Budziłam się z tym widokiem. Minęły miesiące, zanim w ogóle zaczęłam się rozpakowywać. Rzadko wchodziłam do pozostałych pomieszczeń... A w ciągu dnia byłam profesorem na uniwersytecie.

Praca zawsze mnie hipnotyzowała i moje życie właściwie nią się stało. I nie jest to raczej życie osobiste.

W instytucie zaproponowali, żebym na jeden semestr wzięła urlop, ale odmówiłam. Zamiast tego przyjęłam nowe obowiązki – seminarium dyplomowe z filozofii językoznawstwa, zajęcia z koleżanką z historii sztuki – Sztuka wyobcowania. Komisja uniwersytecka do spraw mniejszości, komisja rekrutacyjna dla doktorantów w Niezależnym Instytucie Badawczym.

Nie mogłam znieść tego przedłużającego się czasu żałoby po moim synu, bo każda myśl o Gusie była nieskończonością, w którą spadałam i spadałam.

Żałoba nie leży w mojej naturze. To nie moja osobowość. Wciąż nie rozumiałam, co właściwie mi się przydarzyło. Ale to się stało w tym pokoju, a nie w innych pokojach tego mieszkania.

Choć byłam wówczas bardzo zmęczona, byłam również niezmordowana.

Może kiedyś znajdziesz się w podobnym stanie. To chyba jest stan typowy dla kobiet. Twoja matka by wiedziała.

A potem nadszedł wrzesień 2001 – poranek 11 września.

To okno wychodzi na południe – na centrum. Ze wszystkich okien w mieszkaniu właśnie to jedno – o ironio – w tym małym pokoju, daje najbardziej bezpośredni widok na to, co później nazwano Ground Zero. Rankiem 11 września byłam właśnie w tym pokoju. Chyba nie spałam tutaj wtedy, ale wczesnym rankiem, o świcie, kiedy się obudziłam i nie mogłam zasnąć, przyszłam do tego pokoju, z którego rozciąga się ten niezwykły widok na aleje i ulice, i światła, i taksówki – na West Houston taksówki jeżdżą o każdej porze dnia i nocy. Pociesza mnie oglądanie, jak niebo zmienia kolory – jak zmieniają się chmury. A potem, już później, kiedy miałam wycho-

dzić na uczelnię, kilka kilometrów dalej, w okolicy World Trade Center – pojawiła się nagle plama czegoś ogniście czerwonego.

Pożar? Eksplozja? Zdawała się pochodzić znikąd. Tylko zerknęłam przez okno i już nie mogłam odwrócić wzroku.

Jedna z dwóch wież World Trade Center płonęła, buchał z niej dym – widoczny z wielu kilometrów.

Teraz, lata później, czasami wciąż widzę tamten ogień – w tej pustce – okropny dym, wrzące czarne powietrze. I kiedy tak patrzyłam, uderzył drugi samolot...

Długo nie odwracałam wzroku.

Wtedy było we mnie tylko zaskoczenie. To właśnie pamiętam – nie istniały słowa, by opisać, co się stało lub co się dzieje, wyłącznie zaskoczenie. Jakbym próbowała obudzić się ze snu – nie mogłam pojąć, co widzę – bo to nie miało końca, trwało, nie kończyło się całymi godzinami, całymi dniami.

To skłębione powietrze, które uniosło się po wybuchach, wyglądało jak cyklon albo tornado czegoś jakby żwiru i tak potwornie śmierdziało – jeszcze bardzo długo. Zaklęcie padło na nas wszystkich...

I w jakiś sposób śmierć twojego ojca stała się również częścią tego wszystkiego. Gus zginął mniej więcej rok i dziesięć miesięcy przed atakiem i przez cały ten czas go opłakiwałam – zwykle w milczeniu. Ale tamtego ranka z nieba spadła katastrofa i zabiła tysiące mężczyzn i kobiet, i w kilka godzin, może dzień, dzień i noc, potworna śmierć mojego syna znalazła swoje miejsce jak wodospad spadający do wody... Mój żal po śmierci Gusa skończył się, utonął w żalu innych.

Kiedy ginie tak wielu ludzi, pojedyncza śmierć staje się jedną z wielu. Nie jednostkową.

Czy to dobrze? Czy to potworne, niewyrażalne?

To właśnie oznacza „terroryzm” – koniec twojej żałoby.

Rana jest po prostu zbyt wielka. Możesz opłakiwać jedną kończynę, ale jeśli oderwą ci wszystkie – to już po prostu za dużo.

Tam, w Ground Zero, Naomi, jest pustka, której nie możesz zobaczyć.

Niestety ja ją widzę.

Każdego dnia obietnica, że Madelena opowie Naomi coś bardzo ważnego o Gusie.

Każdego dnia niecierpliwe oczekiwanie. Potem rozczarowanie albo ulga.

Wiedziała: nie wolno pytać. Madelena ostrzegła ją już kilka miesięcy wcześniej, w tamtym mejlu. Nie wolno obrazić Madeleny Kein, okazując zniecierpliwienie.

Będę z tobą rozmawiać, ale nie będziesz mnie wypytywać.

Są rzeczy, o których chciałabym ci opowiedzieć...

Naomi zaszokowały słowa babki, że jej żałoba po śmierci Gusa dobiegła końca.

To przecież niemożliwe, prawda? Koniec?

Dwa miesiące wcześniej, w listopadzie poprzedniego roku, Naomi odebrała paczkę – bardzo poobijane, poobklejane taśmą pudełko zaadresowane na jej nazwisko. Nadawcą był dawny kolega ojca, z którym w latach dziewięćdziesiątych Gus pracował w przychodni dla kobiet w Grand Rapids.

W środku znajdował się ręcznie nabazgrany liścik:

Naomi, pamiętasz mnie? Whit Smith. W tym miesiącu odchodzę na emeryturę i sprzątam biuro i akta i zdziwiłem się, że mam tutaj tyle rzeczy Gusa. Nie chciałem ich wyrzucać, nie jestem pewien, co to w ogóle jest i czy jest dla Was cenne.

Kilka razy próbowałem skontaktować się z Jenną, ale bez powodzenia. „Adresat nieznany" – mam nadzieję, że u Twojej mamy wszystko OK.

Słyszałem o egzekucji L.D. Wciąż nie potrafię myśleć o śmierci Gusa, żeby mnie nie ściskało w sercu, i nie jestem zbyt optymistyczny, jeśli chodzi o przyszłość polityczną, bo ta recesja i prawicowe kampanie przeciwko wszystkiemu, co udało nam się poukładać, jak Sherman maszerujący ku morzu.

Mam nadzieję, że Ty i Twój brat (Darin?), i siostra macie się dobrze. Pozdrów ode mnie Waszą mamę, proszę. Nie mogę uwierzyć, że minęło siedem lat, odkąd Was ostatnio widziałem.

Naomi drżącymi palcami rozpakowała pudełko. Poczuła zapach pleśni. W środku znajdowały się listy – służbowe i prywatne – zaadresowane do Gusa Voorheesa; najróżniejsze dokumenty: medyczne, prawne, finansowe, skarbowe; wydruki, wycinki, kieszonkowe kalendarze, biurkowe kalendarze, ścienne kalendarze... Postrzępiona jasnobrązowa koperta formatu C7, a w niej kartki z podziękowaniami: *Drogi doktorze Voorheesie, dziękuję za uratowanie mi życia*.

Drogi doktorze Voorheesie, dziękuję. Dziękuję. Niech Pana Bóg błogosławi.

Drogi doktorze Voorheesie, dziękuję z głębi serca za wszystko, co Pan zrobił dla mnie w potrzebie, przedtem i potem. Nigdy Pana nie zapomnę, doktorze. Będę się modlić za Pana do końca życia. Zwrócił mi Pan życie. Z Bogiem, niech Pana błogosławi.

W jednej z kartek, ozdobionej wielolistną różą, znajdowało się zdjęcie atrakcyjnej kobiety z kręconymi włosami do ramion, szczerze uśmiechającej się do obiektywu. *DZIĘKUJĘ! Kochany doktorze Voorheesie!*

Pana przyjaciółka Irene.

Czy te wszystkie kobiety poddały się aborcji w przychodni w Grand Rapids? Tak zakładała Naomi, dopóki nie odkryła kartki ze złoconym napisem *DZIĘKUJEMY!*, w której znajdowało się zdjęcie uśmiechniętej młodej kobiety trzymającej w ramionach niemowlę. *Dziękujemy, Doktorze Voorheesie, za naszą piękną kochaną dziewczynkę, której daliśmy na imię Augusta. Dwight i ja mamy nadzieję, że niedługo uda nam się z Panem spotkać.*

W pudełku znajdowało się więcej fotografii niemowląt. Niektóre zdjęcia miały na odwrocie nazwiska i daty, inne były anonimowe.

Były też kartki z ręcznie zapisanymi prywatnymi wiadomościami:

Gus – dzisiaj nie dam rady, wybacz. E. w końcu postanowił nie jechać na konferencję autem, leci rano samolotem. Okej? Tel.? Buziaki itp. Kat

Oraz:

Gus, skarbie, muszę zawieźć Carrie na trening kosza i mogę wpaść do biura koło czwartej – mam nadzieję, że będziesz. Wejdę od tyłu – otwórz drzwi, ok? Mam nadzieję, że z J. wszystko ok. Było trochę STRASZNIE. Twoja Kitty-Kat

Serce Naomi zabiło mocno w dziecięcej złości i goryczy. „Twoja Kitty-Kat". Miała nadzieję, że Jenna nigdy się nie dowiedziała.

(I co to w ogóle miało znaczyć: *Mam nadzieję, że z J. wszystko ok*? Oczywiście „J" to Jenna. Czy matka wtedy chorowała, czy dowiedziała się, że mąż ma romans z ich wspólną znajomą, czy Jenna była zdenerwowana, zła, upokorzona? Zrezygnowana?).

Potem wiadomości od Kat nagle się urwały. Pojawiły się inne enigmatyczne liściki od Val, Roslyn, Stuart (sądząc z kontekstu, to też była kobieta: *Gus, musimy porozmawiać. Przez telefon nie byłam całkiem szczera, chyba musimy sobie coś nawzajem wyjaśnić*). Naomi czytała je z niedowierzaniem i pogardą, pospiesznie mięła je w dłoni, ale nie wyrzucała...

Czy Jenna wiedziała? Czy ją to bolało?

Nie do końca było jasne, czy ojciec miał prawdziwe romanse. (Tak powtarzała sobie Naomi). Równie dobrze mogły to być po prostu flirty, z których nic się nie rozwinęło.

A jednak: te lata, kiedy Jenna robiła się milcząca, roztargniona czy (przejściowo) zmęczona depresją, nawet w czasie posiłków, kiedy Gus przebywał w domu z rodziną, emanując tą swoją serdeczną, ciepłą, zawsze zabawną osobowością, która tak hipnotyzowała jego dzieci. Wyczuwali, że matka jest nieszczęśliwa – Naomi i Darren. Ale byli inteligentnie samolubnymi dziećmi i woleli się nie wtrącać.

A gdyby się wtrącili, Jenna odparłaby, że ma migrenę albo „za wiele cholernej pracy, za którą płacą mi mniej niż minimalne wynagrodzenie". I zaśmiałaby się, by pokazać, że tak naprawdę wcale nie narzeka. Tak naprawdę wcale nie jest zdołowana czy wściekła.

Można było tylko kochać tatę najmocniej – oczywiście.

Można było tylko wybaczyć tacie, że jest sobą – oczywiście.

Naomi miała pewność (pewność!), że nie pamięta ani jednej rozmowy rodziców, w której Jenna choćby aluzyjnie oskarżyła Gusa o niewierność – chyba że tym oskarżeniem było jej milczenie.

Rodzice w ogóle rzadko się kłócili. Jeśli słyszało się podniesiony głos odbijający się od ścian sypialni – był to głos Gusa. Tata często okazywał wyczerpanie, ale nie złość. Tata nigdy nie robił się wredny.

Nie słyszeli też, by Jenna płakała. Naomi była pewna.

Zadzwoni do Darrena! On może wiedzieć, kim jest Kitty-Kat z Grand Rapids.

Pewnie matką któregoś z ich szkolnych znajomych. (Kim była Carrie?).

Naomi siedziała na podłodze, rozpakowując byle jak spakowane pudełko. Powtarzała sobie, że cieszy się z tej przesyłki. Powtarzała sobie, że wcale nie zaczyna panikować.

Dzielnie porządkowała cały materiał, odkładając papiery na kupki. Whit Smith przysłał dużo rzeczy nieosobistych i niepotrzebnych – jakby wrzucił zawartość szuflad do pudełka, nawet nie spojrzawszy.

Oczywiście nie pamiętała Whita Smitha, kolegi ojca z Grand Rapids. Była wtedy za mała.

Wielu kolegów, współpracowników, asystentów taty. Jadali u nich, czasami zostawali na noc na rozkładanej kanapie. Gus nie widział nic złego w tym, że wraca do domu o szóstej po południu z gościem lub dwoma. „Jenno! Mam nadzieję, że nie za późno na kolację... Otworzę wino”. A Jenna mówiła: „Oczywiście! Wchodźcie”.

Jednym z tych gości z pewnością był Whit Smith. Innym mogła być „Kat”.

Naomi zaczynała boleć głowa. Czuła się przytłoczona tym, co dostała, a co na początku wzbudziło ekscytację. Próbowała wyciągnąć jakieś wnioski na temat życia (osobistego, zawodowego) ojca z przypadkowo zgromadzonego materiału, który do pewnego stopnia pokrywał się z podobnie

przypadkowymi materiałami pochodzącymi z innych źródeł... Kiedy przeglądała kieszonkowe kalendarzyki, dostawała zawrotów głowy. Te sfatygowane, wystrzępione książeczki mieszkały w ubraniach ojca. Przy jego sercu.

Musiały istnieć osoby, które wiedziały, albo mogłyby się domyślić, co oznaczają te wpisy, tak jak wiedziałyby, kim była Kat i inne kobiety. Ale nawet gdyby odcyfrować inicjały – co by to dało?

Im więcej wiedziała o codzienności, o szczegółach życia ojca, tym bardziej jej to życie uciekało. Z dystansu potrafiła dostrzec kontury intrygującego krajobrazu, podczas gdy z bliska nie widziała właściwie nic.

Wtedy już wiele osób zdążyło napisać o Gusie Voorheesie w rozmaitych wydawnictwach – „The Nation", „Mother Jones", „Atlantic". Większość piszących miała imponującą wiedzę o społeczności planowanego rodzicielstwa w Stanach Zjednoczonych w ostatnich dekadach XX wieku, ruchu, którego Gus Voorhees był ważnym członkiem – odważnym i kontrowersyjnym człowiekiem. Byli to ludzie, którzy znali Gusa prywatnie i zawodowo, przyjaźnili się z nim lub serdecznie kolegowali; ludzie, którzy nie bali się go krytykować, nawet jeśli go podziwiali.

Po śmierci Gusa aktywiści antyaborcyjni zdążyli zamordować jeszcze kilku lekarzy wykonujących zabiegi, a wielu zranili lub zastraszyli. W klinikach aborcyjnych dokonywano aktów wandalizmu i obrzucano je bombami zapalającymi. O wszystkich tych wydarzeniach mówiono w mediach. Najpoważniejsze działania antyaborcyjne prowadzili teraz jednak politycy, w lokalnych legislaturach i wyborach stanowych, nie metodą konfrontacji.

Naomi zaryzykowała: otworzyła jeden z małych notesów ojca i patrzyła na znajome, pochylone pismo. Nawet jeśli nie miała pojęcia, co znaczą te skróty. *6.09.91 Ob spot C.H.T. biuro 16:30. 23.06.93 10:30 Rackham 313-447-1766.* (Kierunkowy do Detroit, mogłaby zadzwonić. Ale minęło tyle lat!). Były tam strony z listami, datami, inicjałami i skrótami, w których nawet „K" się gubiło – kod, którego nigdy nie złamie.

Naomi nagle poczuła się chora.

To wszystko nie przywróci mi życia, skarbie. Może powinnaś odpuścić.

Próbowała wyjaśnić. Próbowała z rozwagą dobierać słowa, ale coś było nie tak z jej mową, z językiem.

To nie tylko pamiątka ku czci taty – Gusa Voorheesa. To upamiętnienie świata, który go otaczał i umarł wraz z jego śmiercią.

Czuła to tak głęboko! To wszystko, czego nie potrafiła wyrazić słowami.

Chciała to wyjaśnić kobiecie, która była matką jej ojca. Która urodziła dziecko, a potem je porzuciła, gdy miało osiem czy dziewięć lat. Naomi chciała zapytać, jak można zrobić coś takiego.

I tak, przez dziesięć dni pobytu u babki w apartamentowcu przy Bleecker Street 110 musiała wychwytywać najbardziej nawet zdawkowe uwagi czynione przez Madelenę. Nie mogła zapytać wprost. Madelena wprost by nie odpowiedziała.

Na widowni w Lincoln Center, w czasie występu baletu Balanchine. Na schodach w Museum of Modern Art, gdy wjeżdżały na wystawę rysunków i płócien Picassa. Na festiwalu filmu polskiego w NYU Film Institute. W Carnegie Hall, podczas koncertu Kronos Quartet. W International Center of Photography na Szóstej Alei, w Whitney Museum, w Guggenheimie i Neue Galerie, na przedstawieniu *Opowieści Hoffmanna* Offenbacha w Metropolitan Opera. W taksówce lub w metrze (to było dla Naomi objawienie, że jej pięknie ubrana i już niemłoda babka często jeździ metrem i wydaje się odporna na jego męczące hałasy). Na wykładzie zatytułowanym *Wzrost świadomości i rozwój emocji* organizowanym przez Wydział Psychologii Uniwersytetu Nowojorskiego oraz na wykładzie *Narodziny etyki* organizowanym przez Niezależny Instytut Badawczy Uniwersytetu Nowojorskiego, podczas którego Madelena Kein przedstawiała mówcę.

Madelena mogła znienacka powiedzieć:

– Wiesz, Naomi, byliśmy bardzo blisko. Twój ojciec i ja. Nie geograficznie blisko. Ale często rozmawialiśmy przez telefon.

Naomi zdziwiła się, słysząc te słowa. Tak bardzo, że zastanawiała się, czy są prawdziwe.

– Gus rozumiał, że choć odeszłam od niego i jego ojca, nie przestałam go kochać. Tyle że nie mogłam być już jego matką, bo nie byłam tamtą osobą. Stałam się kimś innym.

Jakby ktoś rzucił na nie czar. Jakby to był balet i rozległa się nagle hipnotyzująca muzyka sygnalizująca działanie owego czaru. Dopóki Naomi nie przeszkodziła banalną uwagą albo pytaniem, Madelena mówiła, jakby głośno myślała, starannie dobierając słowa; jednak tylko w trakcie wspólnych wyjść, kiedy znajdowały się z Naomi w publicznym miejscu, gdzie możliwość wygłaszania takich uwag była ograniczona.

– Gus nie osądzał mnie, jak robili to inni członkowie rodziny. Zawsze szanował niezależność jednostki. Dlatego właśnie wierzył, że kobiety nigdy nie powinny znajdować się pod kontrolą mężczyzn, ani nawet innych kobiet. Ciało kobiety należy wyłącznie do niej. Gus to po prostu rozumiał. – Madelena urwała, dotykając powiek czubkami palców. – Mam nadzieję, że ty również to rozumiesz, Naomi?

– Tak.

– Choć mam też nadzieję, że nigdy nie będziesz musiała przechodzić, czy nie musiałaś przechodzić, zabiegu usunięcia ciąży...

Naomi poczuła, że się rumieni. Czyżby babka w ten niezręczny sposób pytała ją, czy miała aborcję?

Odpowiedziała sztywno, że też ma taką nadzieję.

Na szczęście rozmowa musiała się urwać, bo rozległ się dzwonek sygnalizujący koniec przerwy.

Naomi była tak rozkojarzona, że na moment zapomniała, gdzie jest.

Ona jest wyjątkowa! Nigdy się nie przyzna, że zrobiła coś złego – nie ma mowy.

Porzuciła męża i syna, wyjechała, by robić karierę, i nie czuje się winna, nie ma wyrzutów sumienia.

Czyżby? Madelena Kein nie czuje się winna?

Uwielbiam ją. Chcę być taka jak ona.

Nienawidzę jej. Jest potworem!

Przy oknie zatopionym w świetle późnego poranka. Naomi rysuje przy linijce linie na kartce białego papieru.

Chce robić notatki ręcznie. Jak w staromodnym pamiętniku albo dzienniku.

Tak jak robił to Gus w notesach, które znalazła. Ale nie tym szyfrem, którego używał.

Dziesięć dni minęło jednocześnie szybko i z przypominającą sen powolnością.

W gwarnym mieście, które czasem zdawało się wręcz szalone, Naomi udało się znaleźć trochę czasu dla siebie, w samotności białego pokoju unoszącego się na wysokości.

Robiła notatki na papierze w linie. Wyglądała przez okno. Przeglądała książki z półek babki, w poszukiwaniu... Nie była pewna czego.

Próbowała dostrzec pustkę, o której Madelena mówiła z takimi emocjami, kilometry dalej, w Ground Zero, ale ponieważ nigdy nie widziała wież World Trade Center przed zamachami, teraz nie potrafiła dostrzec ich nieobecności.

„Naomi, skarbie?" – czasami rozlegało się ciche pukanie do drzwi.

Madelena wychodziła na kilka godzin albo na większość dnia. Ale wychodziły też razem, oczywiście wieczorami.

Tyle osób! Nazwiska i twarze szybko zaczynały się rozmywać.

Znajomi Madeleny, specjaliści od filozofii, językoznawstwa, teatru, muzycy i kompozytorzy, malarze i rzeźbiarze, dziennikarze, prozaicy i poeci... Wśród nich Laslov, wysoki, wytworny, pochodzący z Węgier semiotyk z białą brodą i białymi włosami, którego ciężki akcent był trudny do rozszyfrowania. Mężczyzna wydawał się bardzo lubić Madelenę – z wzajemnością. W trakcie pobytu Naomi w mieście babka kilka razy spotykała się z Laslovem na kolacjach w restauracjach w West Village organizowanych przez Madelenę. (Naomi się zastanawiała, czy Laslov i Madelena są ko-

chankami, czy może byli nimi kiedyś. Uderzyła ją między tymi dwojgiem radosna swoboda, której nie dostrzegała między babką i innymi mężczyznami, a także wyjątkowa łagodność w sposobie, w jaki Laslov wymawiał imię „Lena”). Była dziennikarka „New Yorkera”, Janet Malcolm, którą Madelena podziwiała oraz nazywała nieugiętą i nieustępliwą autorką esejów non-fiction i która chyba ceniła Madelenę jako bratnią duszę. Był kontrowersyjny pisarz gej Edmund White, który urządził elegancką kolację dla Madeleny i jej wnuczki w swoim wytwornym mieszkaniu w Chelsea, gdzie oczarował Naomi inteligencją, ciepłem i erudycją. Izraelska reżyserka Yael Ravel, gościnnie wykładająca w Instytucie, znana z filmów dokumentalnych o społecznościach izraelskich i palestyńskich kobietach, zrobiła wielkie wrażenie na Naomi, gdy powiedziała do publiczności po pokazie jednego ze swoich filmów: „Od dokumentalisty przede wszystkim wymaga się cierpliwości. Jeśli natrafisz na prawdziwy temat, będziesz wiedzieć”. Był też Karl Kinch, najbardziej niezapomniany ze wszystkich nowojorczyków.

– Nie zostaniemy długo. Kinch rzadko przyjmuje gości. Ale okazał pewne zainteresowanie twoją osobą.

Naomi zauważyła kwalifikator „pewne”.

Jeszcze bardziej nieprawdopodobne – „zainteresowanie twoją osobą”.

Z powątpiewaniem zapytała, dlaczego ten znajomy Madeleny chciałby ją poznać.

– Dlaczego? A jak myślisz? – Madelena uśmiechnęła się, ale z lekką irytacją.

– Ja... ja nie wiem...

– Oczywiście, że nie wiesz. Ale możesz wywnioskować, że opowiadałam mu o tobie.

Naomi nie wiedziała, co odpowiedzieć. Zastanawiała się, co, na miłość boską, babka mogła o niej powiedzieć, co wzbudziłoby zainteresowanie i ciekawość tego nieznajomego człowieka.

Madelena dodała:

– No i Kinch nie całkiem jest moim przyjacielem. Jesteśmy ze sobą zbyt blisko i znamy się zbyt prywatnie, żeby być dla siebie tym, co określa nijakie słowo „przyjaciel”.

Kinch był kiedyś poetą („cudowne dziecko, opublikował pierwszy tomik w wieku dwudziestu jeden lat”), kompozytorem („atonalna muzyka, wyrafinowana i subtelna, choć dla zwykłego ucha drażniąca”), pamiętnikarzem („*Memento mori* to tytuł przedwczesnego pamiętnika opowiedzianego z perspektywy pośmiertnej”), tłumaczem („pracował z native speakerem i tłumaczył teksty na własną, idiosynkratyczną prozę”), krytykiem („zdecydowanie oryginalnym, o bardzo wysokich wymaganiach, wielu się go bało”). Stał się również kimś w rodzaju amatorskiego eksperta od Biblii, ze szczególnym zainteresowaniem poezją psalmów; sam nauczył się hebrajskiego, sanskrytu i aramejskiego. Nie miał wysokiego stopnia naukowego – zaczynał doktoraty na Harvardzie, Yale i Columbii, ale rezygnował, gdy uświadamiał sobie, że osoby mające oceniać jego prace prezentują niższy od niego poziom intelektu i wyobraźni; od czasu do czasu wykładał osobliwe, niezwykłe tematy na seminariach dyplomowych – w Hunter College, Columbia College, na Uniwersytecie Nowojorskim i w Princeton – jako wybitny profesor wizytujący.

– Musisz wiedzieć, że Kinch nie jest w dobrej formie. To pierwsze, co się o nim mówi, choć kiedy z nim przebywasz, to ostatnie, albo prawie ostatnie, o czym myślisz.

Naomi zapytała, w jakim sensie Kinch nie jest „w dobrej formie”, a Madelena zaczęła wyjaśniać niechętnie:

– Kinch pięknie i przekonująco pisze o tyranii zdrowia, normalności, poczytalności. Sama zobaczysz.

Kiedy po raz pierwszy Madelena zabrała Naomi w odwiedziny do tajemniczego Kincha, który mieszkał na szesnastym piętrze ponurego wieżowca bez wyrazu, kilka przecznic na północ od parku Washington Square, nie zostały wpuszczone przez zaambarasowanego portiera. Poinformował on Madelenę (do której zwracał się „profesor Wein”), że profesor Kinch nie może

tego dnia przyjąć gości i „głęboko żałuje”, ale wizytę trzeba przełożyć na inny termin.

– Czyżby! – Madelena zaśmiała się, ale z wyraźną irytacją. – Czy mogę porozmawiać z profesorem Kinchem? Zadzwoni pan do niego?

Portier przeprosił, ale nie, nie może zadzwonić do profesora Kincha, ponieważ profesor Kinch zdecydowanie zakazał tego popołudnia łączenia jakichkolwiek telefonów.

– Źle się czuje? To znaczy gorzej niż zwykle? Zdarzył się jakiś wypadek?

– Nie, psze pani. Nic o tym nie wiem.

– Jest z nim ta jego „asystentka”? Nie jest sam?

– Tak, psze pani. Ona tam jest. Nie został sam.

Po wyjściu na Piętnastą Ulicę Naomi odważyła się ponownie zapytać Madelenę, co jest nie tak z Karlem Kinchem, a babka z westchnięciem odparła:

– Cóż, Kinch ma najróżniejsze dolegliwości. Jego geniusz rozkwita na nieoczekiwane sposoby. Najbardziej oczywisty to stwardnienie rozsiane, zdiagnozowane u niego przed trzydziestką. (Nie do końca wiadomo, czym jest stwardnienie rozsiane – to nie jedna choroba, ale syndrom). Podobno młody Kinch był kochankiem filozofa Michela Foucaulta, który w połowie lat osiemdziesiątych zmarł na AIDS, i niektórzy, w tym Kinch, twierdzą, że zaraził się HIV, jeśli nie AIDS, właśnie od Foucaulta. Biedak w dodatku niedowidzi; oficjalnie jest niewidomy. – Madelena urwała, widząc zaniepokojone spojrzenie Naomi. – Ale na teraz już dosyć, moja droga. Z Kinchem nigdy nie rozmawiamy o takich sprawach, jednak jeśli będzie chciał opowiedzieć ci o sobie więcej, to powie.

Wróciły dwa dni później, także po południu. Tym razem ich nie odprawiono, tylko skierowano do windy – portier wciąż zwracał się do Madeleny „profesor Wein”, a ona go nie korygowała.

W windzie Naomi zapytała babkę, dlaczego nie poprawiała portiera, a Madelena wyjaśniła:

– Zawsze wydaje mi się niegrzeczne poprawiać „cywila”. Płacą mi, żeby poprawiać studentów, którzy zapisali się na zajęcia, więc się tego ode mnie oczekuje, nie oczekuje się za to, że mam poprawiać wszystkich wokół. Zresztą dlaczego miałoby mnie obchodzić, jak nazywa mnie obcy facet? O ile tylko Kinch wie, kto przyszedł w odwiedziny.

Madelena się uśmiechnęła, a Naomi poczuła przypływ czułości dla babki, tego dnia będącej w nadzwyczajnie przyjaznym i dostępnym humorze.

– Czy portier zawsze nazywał cię „Wein”?

– Tak! Ale na początku chyba tego nie zauważałam.

– Od jak dawna odwiedzasz pana Kincha?

– Od jak dawna tutaj? Odkąd się tu przeniósł. Kiedyś mieszkał w Washington Mews, w jednej z tych uroczych kamienic należących do uniwersytetu. Ale kiedy poważnie się rozchorował, jakieś piętnaście lat temu, postanowił wyprowadzić się dalej od parku Washington Square; uważa, że tam życie jest zbyt intensywne i działa mu na nerwy. Więc w tym budynku odwiedzam Kincha od mniej więcej piętnastu lat. Tak naprawdę to ja pomogłam mu znaleźć to „burżuazyjne”, czyli „niezmiernie nudne” mieszkanie, które uważa za ochronkę, rodzaj kwarantanny. I muszę powiedzieć, że nigdy tak naprawdę nie wiem, jak Kinch mnie przywita.

Madelena był zadowolona, że nie odprawiono jej znowu, więc nie oburzała się, kiedy wnuczka zadawała kolejne pytania.

Na tę wizytę Madelena nie włożyła jak zwykle eleganckich czarnych ubrań, ale płaszcz w ciemnym odcieniu fuksji i dopasowany do niego kapelusz, którym prawie całkiem zasłoniła srebrne włosy. Zatrzymała się jeszcze w luksusowych delikatesach na University Place, by kupić dla Kincha torbę mango („Twierdzi, że to jego ulubiony owoc”). Jej zazwyczaj chłodne, lekko ironiczne zachowanie zniknęło, była podekscytowana i jednocześnie pełna obaw. Naomi nie znała jej takiej.

Kiedy zadzwoniły do drzwi i czekały, Madelena ostrzegła wnuczkę:

– Nie zdziw się na jego widok. I proszę, nie użalaj się nad nim! Jest bardzo wrażliwy na to, co nazywa nieuzasadnionym współczuciem. Bywa raczej zadowolony ze swojego życia, bardzo twórczego. Zdobył mnóstwo nagród, o których nie chce rozmawiać. Ma niewielu przyjaciół, ale są dla niego ważni i go kochają. Zobaczysz tylko zewnętrzną powłokę, powierzchnię. Nasze prawdziwe życie toczy się w środku i wzrok go nie dostrzeże.

Drzwi otworzyła kobieta w średnim wieku z poważnym wyrazem twarzy; wpuściła je bez słowa i zabrała płaszcze, by powiesić w szafie.

Pielęgniarka? Opiekunka? Ubrana była w bezkształtny rozpinany sweter, białe poliestrowe spodnie i białe buty na płaskiej podeszwie. Uśmiechnęła się sztywno do Madeleny, która zwracała się do niej „Soniu”. Obecności Naomi chyba w ogóle nie dostrzegła.

Naomi podążyła za babką w głąb mieszkania – przez niewielki, słabo oświetlony hol, w którym na podłodze niczym stalagmity stały stosy książek, do równie słabo oświetlonego salonu, w którym książki leżały na stołach i podłodze, a także były powciskane w wysokie do sufitu półki. Pojedyncze okno zasłonięto ciężką welurową zasłoną. Madelena poruszała się szybko, nie czekała, aż Sonia ją wprowadzi, jakby między tymi dwiema kobietami istniał jakiś stary, oswojony konflikt, który Madelena beztrosko ignorowała.

Naomi przeszkadzał zapach w mieszkaniu – brak tlenu i coś jak imbirowe lekarstwo, lekko zjełczałe. Co gorsza, czuć było też smród dymu tytoniowego. Dziwne, że Madelenie, tak obsesyjnej, gdy chodziło o atmosferę w jej mieszkaniu, zdawało się nie przeszkadzać to zatęchłe powietrze.

– Profesor Kein! *Bonjour.*

Mężczyzna w nieokreślonym wieku podjechał na elektrycznym wózku inwalidzkim w ich kierunku i przywitał je szerokim uśmiechem.

– *Bonjour*, profesorze Kinch. Dziękuję, że nas przyjąłeś! – Wesoła Madelena schyliła się, by musnąć ustami policzek mężczyzny, który nie był ani stary, ani młody, a on lekko zesztywniał, jakby bał się dotyku i nie chciał nikogo urazić. – A to moja wnuczka z dziczy Środkowego Zachodu, Naomi.

– No tak, Na-o-mi Voor-hees.

A więc Kinch znał jej nazwisko. Imię i nazwisko. Cóż, właściwie nic dziwnego. Madelena pewnie mu powiedziała.

Naomi zastanawiała się, czy nazwisko Voorhees znaczy dla Kincha coś więcej. Musiał wiedzieć, że Madelena była kiedyś żoną mężczyzny o tym nazwisku, którego nigdy nie przyjęła; zapewne wiedział też o Gusie Voorheesie. Choć z dugiej strony Madelena była tak tajemnicza i tak lubiła sekrety, że być może nawet dobrzy nowojorscy przyjaciele nie wiedzieli o jej małżeństwie oraz tym, że miała syna lekarza, którego zamordowano.

– Naomi, to jest Karl Kinch. Nie musisz nazywać go profesorem, ale nie lubi, gdy mówi się do niego po imieniu.

Naomi nie miała pojęcia, co to właściwie oznacza. Przecież nie będzie zwracać się do niego po nazwisku.

Elektryczny wózek podjechał w stronę Naomi. Kinch był wesoły jak nastolatek w posiadaniu dużej niebezpiecznej zabawki. Zejdziesz na bok, odważysz się mi uciec? Szeroki, odsłaniający przebarwione zęby uśmiech Kincha zdawał się prowokować Naomi. Domyśliła się, że przykuty do wózka człowiek nie znosi tego, że wciąż musi patrzeć w górę, wyciągać szyję ku osobom normalnego wzrostu. Kinch uniósł długą, szczupłą, delikatną dłoń, by Naomi ją uścisnęła, choć próbowała uskoczyć przed wózkiem.

– *Bonjour*, Naomi! Witaj w mauzoleum. – Ostatnie słowo wymówił z przesadnym francuskim akcentem.

Madelena szepnęła do niego:

– *Elle est belle, est-elle?* – a Kinch odmruknął:

– *Pas si belle que tu, ma chère*[6].

Madelena uśmiechnęła się z bolesną irytacją, sygnalizując, że nie podoba jej się ta uwaga. Naomi udała, że jej nie słyszała.

Kinch miał dużą głowę, która zdawała się wyrzeźbiona z kruchego jak skorupka jajka materiału. Rzadkie siwiejące włosy opadały lokami na schylone ramiona. Miał na sobie formalne ubranie – białą koszulę zapiętą pod

chudą szyją, ciemne spodnie w kant. Mógł być między trzydziestką a pięćdziesiątką – skórę miał gładką jak papier i białą, zapewne od braku słońca. Zachowywał się jednak jak chłopiec. Jak niegrzeczny chłopiec. Nieustannie się kręcił, jego nogi i długie blade palce u stóp w sandałach drgały na podnóżkach wózka. Gdyby nie lekka deformacja twarzy i niezwyczajnie duża głowa, byłby atrakcyjnym mężczyzną. Miał wyraziste, klasyczne rysy. Głos lekko modulowany, jak u aktora albo piosenkarza. Nie nosił okularów, choć jedno oko było zamglone, a drugie krótkowzroczne. Usta zdawały się dziwnie szerokie, wargi – wilgotne i zmysłowe. Z tego, jak mrugał, uśmiechał się, mrużył oczy, Naomi wywnioskowała, że widzi ją tylko jak zamazaną plamę.

– Proszę, usiądź, Naomi Voorhees. Gdzie tylko chcesz. Po prostu odsuń te książki. – Kinch mówił tonem jednocześnie kpiącym i czułym.

Dostrzegła cienkie tomiki poezji w sztywnych, lekko wypaczonych twardych okładkach śmierdzących pleśnią. Nie rozpoznała języka.

Usiadła. Sfatygowana skórzana kanapa, i tak lepszej jakości niż pozostałe meble w pokoju. Ależ dziwnie było w tym dusznym miejscu! I jak niewiele światła. Wszystko w półmroku, jakby pod wodą. Zupełnie inaczej niż w mieszkaniu Madeleny, gdzie okna sięgające od sufitu do podłogi rzadko zasłaniano. Madelena mówiła, że oczy Kincha są wrażliwe na światło. Nie może oglądać telewizji, nie może wychodzić na dwór – w ciągu dnia promienie słońca są zbyt jasne, nawet w przypadku zachmurzenia; w nocy światła uliczne i neony przyprawiały Kincha o migrenowe bóle głowy. Nie mógł pracować przed ekranem komputera, którego drgania wpływały na wrażliwy mózg, musiał więc pisać ręcznie lub na starodawnej maszynie do pisania, co z kolei wymagało koordynacji mięśniowej, która często go teraz zawodziła. Tak opowiadała Madelena, dziwnie zdystansowana.

Naomi poczuła pod stopą coś leżącego na dywanie – niedopałek? Zaczynała dostrzegać na stołach popielniczki, które wyglądały na pospiesznie wyczyszczone papierowym ręcznikiem; na każdym stoliku leżało pudełko zapałek.

Madelena oczywiście nie paliła i nie pozwoliłaby, by ktoś palił w jej mieszkaniu. Większość przyjaciół babki, których poznała Naomi, nie paliła, było to również zakazane we wszystkich nowojorskich restauracjach. Ależ to dziwne, że inwalida Kinch palił...

– Naomi, nie martw się! Nikt nie będzie cię zmuszał do palenia w tej jaskini nieprawości. – Kinch wybuchnął świszczącym śmiechem, jakby powiedział coś bardzo inteligentnego, co miało zirytować dystyngowanego siwowłosego gościa. – Zdaję sobie sprawę, że nie jest tutaj specjalnie świeżo, ale niestety nie mogę otworzyć okna. Hałas, przeciąg i zimno by mnie zabiły. I przez większość czasu muszę mieć zaciągnięte te cholerne zasłony. W moim życiu kwarantannie zawsze panuje wczesny zmrok, jak na obrazie Hoppera. Słabe, gasnące światło, ludzie-manekiny, którzy ledwo oddychają, melancholijna niezdarność świata, z którego nie ma ucieczki, bo to jedyny świat.

Kinch mówił ze smutkiem, jednak jego zmysłowe, wilgotne wargi drżały, jakby miały się zaraz ułożyć w zuchwały uśmiech.

By wybawić Naomi z niezręcznej sytuacji, Madelena zgrabnie zainterweniowała:

– Hopper jest niezdarny. Znajduje się między takimi malarzami jak Whistler i Homer, którzy precyzyjnie potrafią kopiować świat. Ale kiedy patrzysz na obrazy Hoppera, jesteś absolutnie przekonany, wcale nie czujesz tej niezdarności.

Kinch parsknął z pogardą.

– Może pani nie czuje, profesor Kein. Ci bardziej uważni owszem.

Ze słabą naiwną nadzieją, że potrafi dorównać babce, która teraz wyglądała na rozdrażnioną i pragnącą wyrazić swoje zdanie (na co zdecydowanie nadeszła pora), Naomi wtrąciła, że Madelena zabrała ją niedawno do Whitney Museum, gdzie obejrzały obrazy Hoppera, które przedtem Naomi widziała tylko na reprodukcjach, i uważa je za bardzo piękne i niepokojące...

– Oczywiście, Naomi. „Piękne” i „niepokojące”.

Czy Kinch ironizował? Kpił z niej? Ale wydawał się serdeczny i wcale nie złośliwy.

Weszła Sonia i ze skwaszoną miną zapytała, czy goście mają ochotę na coś do picia. Herbata, woda gazowana, wino... Z przesadnym dramatyzmem postawiła tacę, na której leżało kilka rodzajów sera, rozrzucone blade krakersy i lekko pomarszczone oliwki.

Herbata dla Madeleny, woda gazowana dla Naomi.

– Ja teraz nic nie chcę – rzucił półgębkiem Kinch.

– Ach, zanim zapomnę. Proszę. Twoje ulubione.

Madelena podała małą torebkę mango Kinchowi, który przyjął ją z dziecięcą radością, niemal oblizując usta.

– Weź je, Soniu, proszę. I przygotuj nam jakieś małe danie.

Skwaszona Sonia bez słowa zabrała owoce.

Madelena zapytała o nowe lekarstwo, które zaczął zażywać Kinch, i o postępy w komponowaniu utworu zamówionego przez Juilliard String Quartet; Kinch zapytał o jej „starego Laslova".

Między tym dwojgiem istniało coś w rodzaju szorstkiej zażyłości. Zdawali się wobec siebie nieco krytyczni, a może speszeni, a mimo to czuli, wręcz dumni z siebie nawzajem. Madelena zerkała często na Naomi, by sprawdzić, jak wnuczka znosi prowokacyjne komentarze Kincha, zawsze na granicy dobrego wychowania. Z nich dwojga Madelena miała większe wyczucie, opowiadała, że obejrzały różne interesujące wystawy oraz doskonałe przedstawienie *Les Contes d'Hoffmann*.

– Ależ! Recenzja w „Timesie" chyba nie była tak entuzjastyczna.

– Moim zdaniem była bardzo entuzjastyczna.

– Nie, jeśli wiesz, jak odszyfrować ten entuzjazm krytyka. Gdy poszukasz między wierszami...

– Wystawa Picassa jest naprawdę niezwykła...

– Nie. Niemożliwe. Nic w Picassie nie jest już niezwykłe. Artysta ledwie dwóch prądów: naiwno-prymitywnego i lubieżnego. Oba w dwudziestym pierwszym wieku już się przejadły.

Kiedy tak rozmawiali, przekomarzając się w swoim quasi-flircie, Naomi rozglądała się po salonie. Zaczynała się przyzwyczajać do kwaśnego zapachu i półmroku. Przez otwarte drzwi widziała też sąsiedni pokój, który wcześniej pewnie był jadalnią, a w nim dziwny mebel, chyba przenośne biurko z przesuwnymi częściami; na blacie stała stara maszyna do pisania, leżały równo ułożone papiery, gazety, książki. Biurko było nieco niższe od normalnego, dopasowane do wysokości wózka inwalidzkiego. Pod ścianą stał mały salonowy fortepian ozdobiony świecznikami.

W salonie znajdowały się różne niedopasowane meble. Skórzana kanapa, tapicerowane krzesła, stolik kawowy ze szklanym blatem. Przy przeciwległej ścianie Naomi dostrzegła coś jakby miniwystawę starych instrumentów, głównie smyczkowych. Na drewnianej podłodze leżał duży, wyblakły, ale wciąż piękny chodnik, perski, który przypomniał Naomi podobny, tylko mniejszy, w salonie Madeleny. Na wszystkich ścianach upchane były na półkach książki, głównie w twardych oprawach. Naomi zastanawiała się, czy te również, jak u Madeleny, ułożono alfabetycznie.

– A co sądzisz o Nowym Jorku, *chère* Naomi? Kwitnąca, brzęcząca gmatwanina, *n’est-ce pas*? – Teraz Kinch zwrócił się tylko do młodszego gościa.

Ze sposobu, w jaki mówił do Naomi, i zachowania (jakby interesowały go jej odpowiedzi) widać było, że zbudował sobie uprzejme nauczycielskie „ja”; miał doświadczenie z młodymi ludźmi. Choć mógł uznać jej odpowiedzi za szkolne banały, nie zachowywał się wobec dziewiętnastolatki tak samo ironicznie jak wobec siwowłosej Madeleny, z którą najwyraźniej łączyła go jakaś skomplikowana przeszłość.

Naomi z przerażeniem pomyślała: *Czy byli kochankami?*

Madelena patrzyła na Kincha w szczególny sposób – z oczywistym uczuciem, ale też z rozdrażnieniem; nie czuła się swobodnie w jego obecności, miała w sobie wręcz rodzaj strachu, emocjonalnego wyczekiwania, radości, co sugerowało wspólną przeszłość bardziej złożoną niż przeszłość z uprzejmym siwowłosym Laslovem.

Im bliżej Naomi przyglądała się młodej-starej twarzy Kincha, tym bardziej się przekonywała, że jest jednak starszy, niż mogło się zdawać na pierwszy rzut oka. W kącikach niewidzących oczu rysowały się cienkie, niemal niewidoczne zmarszczki, a włosy nad czołem były siwe i przerzedzone. Naomi zauważyła, że palce u dłoni Kincha są brudne od nikotyny. Jego szerokie, zmysłowe usta nie należały do młodego mężczyzny. Gdyby odwrócić płcie, wcale nie byłoby dziwne, że energiczny i atrakcyjny mężczyzna koło siedemdziesiątki może mieć romans lub jakiś rodzaj emocjonalnego związku z kobietą pięćdziesięciokilkuletnią.

Oczywiście poznali się wiele lat wcześniej. Kiedy oboje byli młodsi, a Kinch nie był tak osłabiony chorobą. Tak podejrzewała Naomi.

Swoim miłym, nauczycielskim tonem Kinch zapytał ją, ile ma lat, gdzie dokładnie w Michigan mieszka, czy zajęcia na uczelni są ciekawe i stanowią wyzwanie, jakie ma plany po skończeniu studiów. I dodał:

– Jakie masz życiowe pasje? Znalazłaś już czy wciąż szukasz?

– Ja... ja jeszcze nie wiem – odparła Naomi. Słowa „życiowe pasje” jakoś ją zniechęcały.

Próbowała uciec od przesłuchania Kincha, mówiąc z entuzjazmem o New York City Ballet, o wystawach w Metropolitan Museum, o dokumencie izraelskiej reżyserki. O spacerach z Madeleną po Central Parku w padającym śniegu... (A może to było nietaktowne? Niegrzeczne? Bo Kinch nie mógł z nikim spacerować po Central Parku w padającym śniegu). Zaczynała trochę panikować, miała problem nawet z przypomnieniem sobie swojego życia w Michigan.

Powiedziała, że tak, jeszcze szuka – tak sądzi. Miała dziewiętnaście lat, a czasami odnosiła wrażenie, że ma dwa razy więcej albo o połowę mniej.

– Od jakiegoś czasu nie jestem specjalnie szczęśliwa, przez co czas mija powoli, ale też jednocześnie nie zaczęłam jeszcze żyć, co czyni mnie niedojrzałą, opóźnioną. Nie wiem, co zrobić ze swoim życiem, by miało to znaczenie dla kogoś innego. Czasami nie czuję nawet, że to moje życie: mogłoby należeć do kogokolwiek, mogłabym być kimkolwiek innym, tyle

że mój tata zginął przedwcześnie, co odróżnia mnie od większości ludzi. Ale śmierć nie przytrafiła się mnie, tylko jemu.

Dlaczego powiedziała „tata”? Tak mówiła w dzieciństwie. Powinna była powiedzieć „ojciec”.

Ale nie chciała mówić: „Mój ojciec został zabity – zamordowany”. To byłoby zawłaszczanie go dla przyciągnięcia uwagi. Choć zakładała, że Madelena powiedziała Kinchowi o tak istotnym fakcie w ich życiu.

Lewym, widzącym okiem Kinch przyglądał jej się uważnie. Wydawał się naprawdę słuchać. Madelena również słuchała uważnie, choć z lekkim niepokojem, jakby bojąc się, co jeszcze powie wnuczka.

– Naomi! Jesteś bardzo szczera. Ale można się czuć tak samo nie tylko w wieku dziewiętnastu lat. Przynajmniej jeśli chodzi o to wrażenie, że jesteś niedojrzała, opóźniona. A niektórzy z nas tak naprawdę są niedojrzali i opóźnieni bez względu na wiek. – Kinch się zaśmiał i zaniósł świszczącym kaszlem.

Madelena ściszonym głosem zapytała, czy potrzebuje inhalatora, ale Kinch tylko wzruszył z irytacją ramionami i nie odpowiedział.

– Madelena mówiła mi, że interesujesz się kręceniem filmów dokumentalnych. Choć „film” to chyba nie jest już właściwy termin, prawda? Dzisiaj wszystko jest cyfrowe. Urody starych filmów z przeszłości nie da się odtworzyć...

W tym momencie wróciła Sonia i postawiła talerz pokrojonego na ćwiartki mango obok patery z serami. Kinch z pogardą spojrzał na Sonię, a potem na owoce.

– Po co, na miłość boską, nam to przyniosłaś? Zabierz je z powrotem, proszę.

A to niespodzianka. Zapomniał, że kazał Soni przygotować mango? Widząc, że Madelena nie zamierza interweniować i utrzymuje dyskretnie neutralny wyraz twarzy, Naomi postanowiła również się nie odzywać.

Sonia wciąż z tą samą skwaszoną miną wróciła do kuchni.

– Jak mówił Baudelaire: *Parfois j'adore les mangues. Et parfois mangues sicken moi*[7].

Najwyraźniej zapomniał. I nikt nie zamierzał mu przypominać.

– Wiem co nieco o przedwczesnej śmierci twojego ojca, Naomi. Madelena mi opowiedziała.

Naomi czuła się bacznie obserwowana przez lewe oko Kincha. Wolałaby, żeby gospodarz z powrotem skierował uwagę ku Madelenie; wolałaby, żeby ta dziwaczna wizyta dobiegła końca, chciała odetchnąć świeżym powietrzem. Próbowała pić wodę, którą przyniosła Sonia, ale płyn był letni i bez gazu, a szklanka niedomyta.

Kinch był jednak w życzliwym nastroju. I słuchacze mieli wiedzieć, że to szczodry, wręcz altruistyczny nastrój.

– Pro-choice, tak! Musimy szanować wolną wolę, nawet jeśli w nią nie wierzymy. Kobieta, dziewczyna, musi mieć możliwość przerwania ciąży, jeśli tego pragnie. To odrażające i oburzające, że stan może ograniczać to prawo, tak jak prawo do samobójstwa, a ono jest równie cenne! Tak naprawdę aborcja to dla mnie wyłącznie dobry, bohaterski czyn. Życie to horror, aborcja czy poronienie to odkupienie. Jak pięknie powiedział Sofokles: „Najprzedniejszą rzeczą nie żyć, / Druga zasię w tamte strony, / Skąd przybyłeś raz zrodzony, / Chyżym krokiem zmierzyć"[8].

Naomi skrzywiła się, słysząc tak wprost wypowiedziane słowa. Gus Voorhees na pewno nie myślał w ten sposób...

– Aborcja, poronienie powinny się zdarzać powszechniej. Ciąża to aberracja. Nasze życie, życie znoszone w świadomości, to ewolucyjny błąd. Biorąc pod uwagę absurdalny ludzki ośrodkowy układ nerwowy, cud, że ktokolwiek w ogóle się rodzi.

Kinch mówił zdecydowanie. Nagle podniecony, niezdarnie sięgnął po paczkę papierosów wciśniętą między chude udo i bok elektrycznego wózka; wyciągnął długiego papierosa w kolorze pergaminu i pstryknął palcami, by Madelena podała mu zapałki z najbliższego stolika.

– Kinch, proszę cię, nie pal. Wiesz, jak to szkodzi twoim płucom. A ja nienawidzę tego obrzydliwego nałogu.

– Ludzie nienawidzą wielu obrzydliwych nałogów, a jednak im się oddają. Podasz mi, proszę, zapałki?

– Nie!

– *Chère* Naomi, możesz? Wiesz, to nie jest terytorium twojej *grand-mère*. Jest moje.

Naomi się zawahała. Nie chciała urazić Madeleny.

– Naprawdę każecie mi wzywać tę biedną zastraszoną Sonię, która uciekła z jakiejś kiepskiej sztuki Czechowa, by pracować w tym kraju za minimalną płacę, po to, by zrobiła coś, co z łatwością możecie zrobić wy, podając mi te pieprzone zapałki?

Naomi zastanawiała się, dlaczego, na miłość boską, Kinch sam nie weźmie zapałek, przecież mógł bez trudu podjechać na elektrycznym wózku.

Pełne rezygnacji sapnięcie niezadowolonej Madeleny pozwoliło Naomi spełnić prośbę Kincha, choć wcale nie miała na to ochoty.

Z westchnieniem ulgi Kinch zapalił papierosa i wypuścił dym nozdrzami. Jego mleczne oko błysnęło w stronę Naomi.

– Twojego ojca (Augustus Voorhees to dość nieprzeciętne nazwisko) nie znałem osobiście. Moglibyśmy się kiedyś spotkać – to absolutnie możliwe. Twoja babka mogła nas sobie przedstawić. Ale tak nie było. To z pewnością moja strata. Jedna z wielu strat w „tej chorobie, mym życiu”, parafrazując Alexandra Pope’a. – Kinch uśmiechnął się i dalej palił papierosa. Zerknął na Madelenę z zatroskaną miną.

– Oczywiście śmierć Voorheesa była przedwczesna. Co za tragedia. W Ameryce takie tragedie nie są rzadkie. Śmierć idealisty, człowieka bezinteresownego. Taką cenę trzeba zapłacić, mierząc się z czarną powodzią ignorancji i przesądów. W Stanach Zjednoczonych toczy się wojna, toczy się od zawsze. Ci z nas, którzy są racjonalistami, nigdy nie wygrają, bo w amerykańskiej irracjonalności istnieje silniejsza, prymitywniejsza i bardziej mściwa siła. Ten chory, służalczy patriotyzm: „mój kraj dobry czy

zły”. Ten patriotyzm to też Bóg, bo wszyscy są chrześcijanami. Możemy tylko mieć nadzieję, że zapobiegniemy totalnej klęsce. W kraju pojawiły się punkty względnego oświecenia, większe miasta, w których mieszkają ludzie wykształceni i inteligentni. Reszta to wielka ziemia jałowa, religijna i patriotyczna. Wchodzisz na nią na własne ryzyko, bo tam jest wielu uzbrojonych! I ukrywają tę broń! Nawet gdybym był fizycznie silny, nigdy nie zostałbym aktywistą takim jak Gus Voorhees. Aktywista musi być gotów umrzeć za sprawę, a żadna sprawa nie jest warta, by za nią umierać; tak mówi racjonalizm. Moim schronieniem jest inny, mniej oczywisty rodzaj aktywizmu: poszukiwanie prawdy... Madeleno, dlaczego tak mi się przyglądasz? Zapewniam cię, że nie zamierzam teraz wyrzucić z siebie żadnej niewygodnej prawdy.

– Przerażasz moją wnuczkę, gdy mówisz tak ostro – odparła zimno Madelena. – I wiesz dobrze, że ekscytowanie się podnosi ci ciśnienie.

Kinch się zaśmiał. Ale nie potrafił ukryć, że jest zły.

– Za to twoje ciśnienie jest niskie, pani profesor. Bardzo niskie, jestem tego pewien, jak u kogoś, kto ledwie żyje.

– Kinch, już dosyć. To nieprawda, w dodatku obraźliwa.

– No i? Niektóre nieprawdy są bardziej interesujące od prawd. A wiele nieprawd z czasem staje się prawdami.

– Odstraszasz gości, Kinch. Mógłbyś być bardziej życzliwy.

– Ależ jestem życzliwy! Na miłość boską, przecież tu jest miło jak w hospicjum albo szpitalu. Możecie obejrzeć moją sypialnię, mój wlew dożylny... Biedna Sonia musi go czyścić. I znosić inne upokorzenia, moje i własne. – Kinch zamachał rękami, próbował być zabawny. Z papierosa posypał się popiół, który osiadł na ubraniu i wózku.

– A wracając do tematu „Voorhees”, bo chyba powinniśmy. Jedyny sprzeciw, jaki wniósłbym do sprawy tego bohaterskiego lekarza abortera, to absurdalna sakralizacja, którą uraczono go po śmierci. Ten człowiek nie jest świętym, męczennikiem. On był głupcem. Absolutnie głupim, bo robił to, co robił, ślepo, bezmyślnie, prowokując wrogów racjonalności, by go zamordowali, co tacy mordercy robią z przyjemnością. To desperaci: funda-

mentaliści chrześcijaństwa. Nie możesz wchodzić między zdesperowanych ludzi i ich Boga, bo rozedrą cię na strzępy. Z definicji męczennik to głupiec – sprawca *une folie*.

Madelena była blada z wściekłości. Pospiesznie odstawiła filiżankę i zerwała się na nogi.

– Mówiłam już, nie pozwolę ci denerwować mojej wnuczki, Kinch. Zachowujesz się skandalicznie i nie wybaczę ci tego.

– Wnuczki? Ciekawe od kiedy. Można by sądzić, że z opóźnieniem zaczęłaś odgrywać kochającą *grand-mère*.

– Kinch, dosyć. Nie jesteś zabawny.

– Do diabła, powiedziałem coś nie tak? Sama coś takiego mówiłaś. Czy w tym, co powiedziałem, znajdzie się choćby jedna sylaba, która nie jest w oczywisty sposób prawdziwa?

– Naomi, chodź. Idziemy.

Ale Naomi już wstała i była gotowa do wyjścia.

Odkąd Kinch zaczął palić, ledwo mogła oddychać. Było jej niedobrze, chciała tylko wybiec z tego dusznego mieszkania.

Ten chory, samolubny człowiek powiedział okropne rzeczy o jej ojcu. W zdenerwowaniu i konfuzji Naomi większości już nie pamiętała.

– Poczekaj! Profesor Kein...

Kinch na wózku podążył za nimi do holu, protestował i mruczał coś pod nosem. Cholerny pojazd podjechał niebezpiecznie blisko pięt Naomi. Pojawiła się Sonia i bez słowa podała im z szafy płaszcze.

Kinch nie wyjechał za wychodzącymi gośćmi na korytarz, ale wołał do nich, kiedy pospiesznie szły do windy:

– *Au revoir!* Krótka i nie całkiem zadowalająca wizyta, ale mam nadzieję, że wrócisz, *ma chère* Naomi. Teraz już znasz drogę, możesz następnym razem przyjść *non accompagnée*.

– Przepraszam cię, Naomi! Nie miałam pojęcia.

Na ciasnym tylnym siedzeniu taksówki wiozącej je na Bleecker Street 110 Madelena mocno ściskała dłoń Naomi. Ona zaś dziwiła się, że niebo wciąż jest jasne – słońce jeszcze nie zaszło – bo zdawało się, że siedziały w dusznym mieszkaniu Kincha bardzo długo i że na pewno zapadła już noc. Tymczasem nie zaczęło nawet zmierzchać.

– Obiecał mi, że nie będzie się tak paskudnie zachowywał...

Madelena była bardzo zdenerwowana, wycierała twarz chusteczką.

– Widzisz, on źle się czuje. Miewa mikroudary. Groził samobójstwem, jeśli jego zdrowie będzie się pogarszać. Tak bardzo się o niego martwię, ale też mnie brzydzi. Przecież obiecał! – Madelena urwała, oddychając szybko.

A potem, ponieważ Naomi wciąż milczała, babka jakby od niechcenia rzuciła:

– Bo cóż, widzisz, nikt nie wie, nawet moi najdawniejsi znajomi... Karl Kinch jest moim synem.

Naomi nie była pewna, czy dobrze usłyszała. Synem?

– Moim drugim synem. Młodszym o jedenaście lat od twojego ojca.

Naomi odebrało głos. Z otwartymi ustami gapiła się na Madelenę. W końcu wykrztusiła:

– Czy w rodzinie ktokolwiek wiedział?

– Nie, nikomu z rodziny nie powiedziałam. Ty dowiadujesz się pierwsza. Mój były mąż też nie wie. Gus może coś podejrzewał, od czasu do czasu coś tam mu mówiłam... To znaczy mógł podejrzewać. Więcej niż raz zastanawiałam się, czy ich ze sobą nie poznać. Gus bardzo by się ucieszył, że ma przyrodniego brata, a Karl... no cóż, wiedział o Gusie; na szczęście dzieliła ich taka różnica wieku, że nie mógł czuć się zazdrosny. A jeśli nawet się czuł, nie mógł tego okazywać.

Naomi niewiele rozumiała. Próbowała pojąć: Karl Kinch jest synem Madeleny? Czyli Karl Kinch jest jej wujem? Przyrodnim wujem?

– Cóż, nigdy nikomu nie powiedziałam. Niektórzy znajomi mogą coś podejrzewać. Ale nikt nie wie na pewno. „Kinch” to nazwisko przypadkowo wybrane przez jego ojca i przeze mnie – nikt się tak nie nazywa. Jako

dziecko mieszkał ze starszą siostrą swojego ojca, która chciała się nim zajmować; miała duże, niemal puste mieszkanie na Central Park West. Często go odwiedzałam, ale tam nie mieszkałam. Rzadko zostawałam na noc. Zawsze ceniłam sobie prywatność, samotność: to dla kobiety wielki luksus! Karl szybko nauczył się być całkowicie niezależny, wręcz buntowniczy, i opierać się jakiejkolwiek władzy. Do czasu, gdy jego zdrowie zaczęło się pogarszać, był zaskakująco samodzielny. Oczywiście od początku był też wybitny, zanim jeszcze nauczył się czytać. Ta wybitność była mu przeznaczona. A ponieważ ma bardzo różne zainteresowania, łatwo się nudzi. Sama widziałaś, jaki jest nerwowy, zawsze tak było. Nawet w macicy! Przynajmniej potrafi dotrzymać tajemnicy, naszej dotrzymywał przez tyle lat, jednak nie wiem, co się z nim stanie, kiedy poczuje się gorzej, jak będzie się zachowywał. Te leki psychotropowe, które zażywa, są bardzo silne i mogą wpływać na osobowość. Po dzisiejszej wizycie możesz nie wierzyć, ale Karl jest dobrym, uczciwym, moralnym człowiekiem, nie mściwym ani złośliwym. Ale kiedy traci kontrolę...

Madelena mówiła bardzo szybko, ściskając dłoń Naomi. Uliczne światła przepływały po jej twarzy niczym zmieniające się emocje. Naomi była zaskoczona, nigdy nie słyszała, by poukładana i tajemnicza babka mówiła tak otwarcie, bez ogródek.

– Moje życie jest wyłącznie moją sprawą. Nie tłumaczę się. Karl nie ma nic wspólnego z rodziną Voorheesów. To nie jest sprawa Clementa. Karl jest wyłącznie mój, nie ma też nikogo innego. Jego ojciec już nie żyje, a gdyby żył, nie troszczyłby się o zdrowie swego syna. Choć założył dla Karla całkiem sensowny fundusz powierniczy.

Naomi wciąż oszołomiona myślała: *Wuj? Wuj przyrodni?*

Bardzo chciała podzielić się tym z Darrenem.

– Mam nadzieję, że zachowasz to w tajemnicy, Naomi. Dobrze?

Naomi mruknęła: „Tak”. Niechętne „tak”.

– Bo widzisz, Naomi, ja się bardzo martwię o Karla. Bierze leki na stwardnienie rozsiane i HIV. Ma bardzo zmienny poziom białych krwinek. Pogarsza mu się wzrok. Czasami dostaje takiej drżączki, że nie daje rady

utrzymać długopisu. Nie może grać na fortepianie, co absolutnie musi robić, kiedy komponuje. Po śmierci twojego ojca stałam się wrażliwa na... wiele rzeczy... Po ataku na World Trade Center, z którego wciąż wielu z nas się nie otrząsnęło... Kiedyś byłam nieustraszona, tak mi się przynajmniej zdawało. Ludzie wciąż mówią o mnie: „Och, Madelena jest nieustraszona”. Ale ja wiem lepiej. Wcale nie jestem nieustraszona. Jestem pełna strachu. Nienawidzę się za to, że nie próbowałam częściej spierać się z Gusem. Powinnam go prosić, by zajął się jakimś innym kierunkiem medycyny, by gdzie indziej realizował swój idealizm i skierował energię gdziekolwiek... Przecież na świecie jest tylu biednych ludzi, w tym dzieci, którym mógłby pomóc. Trochę usiłowałam się z nim spierać, ale niewystarczająco. Tak bardzo wierzę w wolność innych, w wolność wyboru. Teraz tego żałuję. Być może mogłam go ocalić... Wyobrażam sobie, w jakim niepokoju przez tyle lat żyła twoja biedna matka. Bo przecież coś musiało się w końcu Gusowi przytrafić. To było potworne, potworne! Tyle lat, tak ogromny strach. W klinikach aborcyjnych podkładano bomby, lekarzom grożono. I mordowano ich. Nawet teraz w snach czasami widzę siebie kłócącą się z Gusem. A on każe mi się uspokoić, nic się nie stanie, nic mu nie będzie, to wszystko przesada. Pamiętasz, Gus często mówił: „To przesada”. Pamiętasz? Tak? Na pogrzebie myślałam, że może ktoś to powie jako żart, albo wcale nie żart, głosem Gusa: „Do diabła, to już przesada”. Myślałam, że ktoś wyryje to na jego nagrobku: „To wszystko przesada”. Naomi, przepraszam, sama nie wiem, co mówię. Gdzie jesteśmy? Dojechałyśmy do domu?

Naomi zapewniła zdenerwowaną babkę, że tak, są prawie w domu.

Poznała już tę okolicę. Mogła mówić „dom”. Taksówka objechała park Washington Square, kierowała się do LaGuardia Place i już było widać lśniące, wysokie, srebrne wieże.

– Bo wiesz, Naomi, chciałam, żebyście się poznali. Chciałam cię tu sprowadzić, żebyś poznała swego „przyrodniego wuja”. Bardzo się martwię, co stanie się z Karlem, jeśli... kiedy coś mi się przydarzy... Na funduszu powierniczym jest dość pieniędzy, nie bardzo dużo, ale wystarczy, i ja również go utrzymuję, ma też moje ubezpieczenie medyczne z uniwersytetu i moje

ubezpieczenie na życie, i społeczne... Przelewam pieniądze na jego konto bankowe, na wydatki medyczne... i inne. Na szczęście czynsz w tym jego „mauzoleum” się nie zmienia. Ale Karl potrzebuje przyjaciela. Kogoś, kto się nim zajmie, a nie tylko będzie podziwiać z daleka. „Krewnego z krwi”, że tak powiem. Dlatego chciałam was poznać. Przepraszam, kochana, że tak wyszło, ale mam nadzieję, że nie będziesz zbyt surowo osądzała Karla. Jest przyrodnim bratem twojego ojca i wiem, że Gus by się o niego martwił i byłby dla niego dobry, bo taki już był Gus, nie mógł się powstrzymać. Im ktoś bardziej niesprawny, okaleczony, stuknięty (pamiętasz, jak często używał tego słowa? bardzo je lubił, a mnie denerwowało), tym bardziej Gus mu współczuł. A Karl cię polubił, choć zachował się tak, a nie inaczej. Tak naprawdę myślę, że zachował się tak ze względu na ciebie – chciał zrobić wrażenie. Wcześniej zapytał mnie: „Jak się traktuje bratanicę? Przecież nigdy dotąd nie miałem bratanicy”. Dlatego, Naomi, mam nadzieję, że wybaczysz mi to stresujące popołudnie. I mam nadzieję – obiecasz mi to? – że spotkasz się z Karlem ponownie. Nie porzucisz go?

Taksówka podjechała pod wieżowiec. Czas wjechać na trzydzieste pierwsze piętro.

Naomi, chcąc uspokoić zdenerwowaną kobietę, odpowiedziała szybko:

– Tak.

Później, w samotności białego pokoju wychodzącego na pogrążone w nocy miasto, myślała spokojnie: *Nigdy więcej. Nigdy więcej, Karlu Kinchu*.

Niechciane – chciane

Trudno mi o tym opowiadać. To było tak dawno temu.

Teraz jednak, skoro zaczęłam ci się zwierzać, droga Naomi, sądzę, że powinnam to powiedzieć.

Krótko: twój ojciec nie był chcianym dzieckiem. Z pewnością nie był dzieckiem planowanym. Można powiedzieć, bardzo oględnie, że był dzieckiem niepożądanym.

Kiedy zaszłam w ciążę drugi raz – raczej przypadkiem – byłam już po trzydziestce i miałam ustabilizowaną karierę. Dla dobrego samopoczucia postanowiłam jednak mieć to dziecko (choć „mieć" to dziwne określenie, nigdy nie znosiłam tego charakteru relacji rodzic–dziecko: mieć, posiadać. To błędne pojmowanie prawa własności kogoś starszego i silniejszego do kogoś młodszego), nigdy jednak nie zamierzałam zakładać rodziny z mężczyzną, który był jego ojcem, ani nawet z dzieckiem...

Jednak pierwsza ciąża była zupełnie inna. W 1956 roku byłam tylko nieco starsza niż ty teraz, studiowałam na Uniwersytecie Chicagowskim i nie chciałam dziecka. Bardzo nie chciałam dziecka. Nawet nie lubiłam dzieci. Wolałam małe zwierzątka. Nie chciałam, by ojciec dziecka wiedział o ciąży, bo nie życzyłam sobie stać się od niego zależna. Uważałam, że postanowiłby się ze mną ożenić, a był studentem medycyny i mógł mi wtedy pomóc, ale wolałam go w to nie mieszać. Próbowałam znaleźć lekarza, który przerwałby ciążę. Pytałam znajomych, dzwoniłam, odsyłano mnie do znajomych znajomych, próbowałam nie wpadać w desperację. Dzwoniłam i ktoś dawał mi kolejny numer telefonu, dzwoniłam tam, słyszałam, że to pomyłka, ale mogę zostawić swój numer, to może ktoś do mnie oddzwoni. W końcu musiałam zapłacić siedemdziesiąt dolarów, żeby zdobyć kolejny numer, i po

kilku rozmowach udało mi się umówić na wizytę. To był normalny gabinet lekarski, a może tylko wynajmowali go od prawdziwego lekarza. Był tam mężczyzna, ten niby-lekarz, i kobieta, jego „pielęgniarka". Musiałam zapłacić trzysta siedemdziesiąt dolarów, gotówką. W 1956 roku to było bardzo dużo pieniędzy, nawet sobie nie wyobrażasz! Ale udało mi się zdobyć te trzysta siedemdziesiąt dolarów, które im wręczyłam, i już wtedy byłam bardzo zdenerwowana i bardzo wyczerpana... Przerażona położyłam się na fotelu. „Pielęgniarka" podała mi w małym kubku tabletki na uspokojenie, kiedy w sali obok zadzwonił telefon. Słyszałam, jak „lekarz" mówi podniesionym głosem, najwyraźniej coś poszło nie tak – zaczynałam się robić śpiąca, ale zmuszałam się, żeby nie zasnąć. Ogarnęła mnie panika, że policja już jedzie wszystkich nas aresztować – albo mnie zabiją, albo wykrwawię się po zabiegu na śmierć. Widziałam zatroskaną twarz tej kobiety, nie chciałam, żeby mnie zabili. Więc kazałam im wstrzymać zabieg. Nie mogłam sobie pozwolić na zaśnięcie. Nie wierzyłam w Boga, ale naszła mnie szalona myśl: „Bóg chce oszczędzić ciebie i twoje dziecko. Uciekaj!". I tak właśnie zrobiłam.

Ojciec dziecka chciał się ze mną ożenić. Nie miał pojęcia, że jestem w ciąży. Mówił, że mnie kocha. Twój dziadek Clement.

Nie kochałam go, ale szanowałam. Lubiłam. Nasi rodzice się znali. Dostaliśmy od jego rodziców w prezencie ślubnym rodzinne srebra, komplet dla dziesięciu osób – Oneida, 1905.

I tak się pobraliśmy, i urodził się Gus – nie był chciany (przeze mnie), ale się urodził.

Myślałam, że zrobię się zgorzkniała. Bałam się depresji poporodowej. Jednak nie miałam żadnych oczekiwań względem bycia matką, więc nie czułam się rozczarowana. Nawet polubiłam tego małego. Jako dziecko Gus był pełen życia, ciekawości, ciepła – jego ciałko zawsze było bardzo gorące. Wymyślałam różne zabawy, żeby przyspieszyć – tak myślałam – rozwój mentalny dziecka. Clement również się do tego zapalił. Czytałam Gusowi, jeszcze zanim rozumiał słowa, literowałam mu słowa na kartkach, zaplanowałam zabawę, w której ciągnął za kabel i zmieniał zdjęcia w projektorze –

tego uczy się w psychologii rozwojowej. Uparłam się, by dać mu na imię Augustus, co miało podkreślać jego wartość.

Tego wszystkiego zupełnie nie oczekiwałam. Wszystko, co było związane z ciążą, porodem i dzieckiem, okazało się nieoczekiwane, nieprzewidywalne. Oczywiście nie byłam religijna, z pewnością nie byłam katoliczką, ale lektura Państwa Bożego *Augustyna zrobiła na mnie wrażenie.*

Teraz wiem, że wszyscy klasycy mieli na mnie wielki wpływ. Świeccy, religijni. Starożytni, współcześni.

Z czasem zaczęłam kochać Gusa, podziwiać go i szanować, choć razem nie mieszkaliśmy. Choć nie byłam jego matką, a on moim synem w tradycyjnym rozumieniu tych słów.

Wszyscy nazywali go Gusem, ale ja myślałam o nim jak o Augustusie – był naprawdę wyjątkową osobą. Nigdy nie przestałam w to wierzyć.

Jednak kiedy Gus miał dwa czy trzy latka, wiedziałam już, że muszę go w końcu zostawić. Musiałam odejść też od Clementa. I tak zostałam długo, bo osiem lat. Musiałam zostawić życie pani Clementowej Voorhees. Musiałam zostawić dom w Birmingham. Męża lekarza, ośmioletnie dziecko. Zestaw sreber Oneida czerniał w kredensie – chyba nigdy go nie użyłam. Bycie taką kobietą nie pasowało do mojej osobowości. Macierzyństwo nie przyspieszało bicia mojego serca. Życie rodzinne zdawało mi się pułapką – uwięzieniem w żółwiej skorupie, która nie rośnie razem z żółwiem, ale go ogranicza, a potem dusi na śmierć.

Ale kochałam dziecko. Kochałam Gusa za to, jaki był. Po prostu nie chciałam być jego matką i nie uważałam, że dla jego rozwoju i szczęścia jest konieczne, bym udawała inną osobę.

Kiedy opowiedziałam tę historię Gusowi (był już wtedy dorosły i miał własne dzieci), skrzywił się zażenowany, jak możesz się domyślić. Zapytał, po co mu to opowiadam, odparłam, że byłam wówczas absolutnie pewna, że chcę usunąć ciążę – całkowicie. Nie miałam najmniejszych wątpliwości. Mimo to pomyliłam się, chcąc pozbyć się tego nienarodzonego dziecka. Bo tym dzieckiem był on.

– Bzdura – powiedział Gus.

Z jakiegoś powodu aż do tamtej chwili nie wiedział, dokąd zmierza moja opowieść. A potem nie wiedział, jak ma zareagować. To, co mu powiedziałam, było jak cios – wszedł tak głęboko, że nie dało się go przyjąć.

– To nie bzdura – odparłam. – To wcale nie jest bzdura.

Dodałam, że gdybym miała możliwość usunięcia ciąży w normalnej, bezpiecznej, rozważnej aborcji na żądanie (co było jego ideałem jako lekarza reformatora), to on by się nie urodził.

– A nie sądzisz, że to dobry pomysł, by Gus Voorhees jednak się urodził?

Gus rozmyślał. Nie miał gotowej odpowiedzi.

– Nigdy nie podejrzewałeś, że twoja matka cię nie chciała, kochany Gusie? Czy to nie było oczywiste? A gdyby mogła cię usunąć...

– Jezu, Leno! Naprawdę potrafisz być szczera.

– Wcale nie byłam szczera. Mówiłam zawile. Opowiedziałam ci przydługą historię w nadziei, że dostrzeżesz perspektywę, która nie jest ci przyrodzona.

Teraz już Gus zdołał się uśmiechnąć. Nieśmiałym, oszołomionym uśmiechem.

Miałam nadzieję, że mnie nie znienawidzi. Uznałam, że to ryzyko, które muszę podjąć, by być uczciwą.

W końcu przyznał:

– W porządku, rozumiem ironię. Paradoks. Mimo to kobiety muszą mieć prawo do podejmowania decyzji.

Wiedziałam, jak twój ojciec zamierza rozumować. Jak dobierze słowa. Otrzymał bowiem cios, bolesny niemal fizycznie, i teraz musiał złagodzić jego konsekwencje, dobierając znajome słowa.

To, co nieznane, robi się mniej głębokie dzięki znajomym słowom.

Powiedział:

– Powinnaś mieć wtedy wolność i podejmować własne decyzje, bez względu na ich konsekwencje w późniejszym czasie. To jest fakt.

– Czyżby? Nie byłoby „późniejszego czasu”, nigdy byś się nie urodził. Po prostu nic. Pustka.

– Mogłaś urodzić kolejne dzieci, Leno. By zajęły miejsce tego, które usunęłaś.

– Ale żadne z tych dzieci nie byłoby tobą. A ty jesteś dla mnie ważny, zdobyłeś pozycję, odpowiedzialność i zrobiłeś tyle dobrego dla tak wielu.

A jednak Gus się upierał:

– Kobiety muszą podejmować własne decyzje. Ich ciała należą do nich, nie do nas. Żaden człowiek, żaden, nie może mówić kobiecie, co ma robić ze swoim ciałem. Nakazywać poród, skoro nie jest gotowa. I może nigdy nie będzie.

– Zatem uważasz, że byłoby lepiej, gdybym cię usunęła?

(To były ostre słowa. Ale jak inaczej miałam wyłożyć swoje racje?).

– Leno, tutaj nie ma „lepiej” czy „gorzej”. To śmieszne używać tych określeń. Gdybym się nie urodził, tobyś o mnie nie wiedziała, nie istniałbym. Ale mogliby istnieć inni, lepsi ode mnie. Nigdy się tego nie dowiemy.

– Gdyby Gus Voorhees się nigdy nie urodził, to nikt by za nim nie tęsknił, prawda?

– Cóż, ja bym tęsknił za tobą. Gdybym wiedział, tęskniłbym za tobą jak diabli, Madeleno. Nie ma drugiej takiej matki jak ty.

– Możesz się wyzłośliwiać, Gus, ale fakty są takie: mylisz się, skoro uważasz, że ponieważ się urodziłeś, masz prawo uniemożliwiać innym urodzenie się.

– Mylę się w jakim sensie? Logicznie?

– Moralnie.

– Aborcja jest moralnie neutralna. Liczy się to, że kobieta może kontrolować swoje ciało, co oznacza też prawo do popełniania błędów. To przynajmniej są jej własne błędy. A nawet jeśli jakaś aborcja może być pomyłką, nie jest nieodwracalna, bo większość kobiet może ponownie zajść w ciążę.

– Zgadzam się z tobą, Gus. Nie sprzeciwiam się temu. Uważam, tak samo jak ty, że kobiety muszą być wolne. Aborcja jest nieunikniona: zawsze bę-

dzie się usuwało ciąże. I musi być dostępna, w to również wierzę. A jednak... był tylko jeden Gus Voorhees.

– Jezu, Leno! Ależ jesteś uparta. I zbyt dosłowna. Rozmawiamy o wszystkich kobietach, nie tylko o tobie i o mnie.

– Nie da się być zbyt dosłowną, Gus. Był tylko jeden Gus Voorhees.

Młot Jezusowy. Marzec 2008 – luty 2009

Po tym, jak zobaczył ją po raz pierwszy, nie myślał o niej zbyt wiele. Nie zarejestrował nawet faktu (jeśli to był fakt), że jest kobietą.

Po prostu pojawiła się któregoś dnia na sali w Dayton. Późnym popołudniem, koło szóstej.

Szare spodnie dresowe, szara bluza z kapturem. Włosy ostrzyżone krótko, po męsku. Niewysoka, dobrze zbudowana, jak jałówka. Zmrużone, kamiennoszare oczy wyglądające na wilgotne. I zasmarkany nos, który wciąż ocierała wierzchem dłoni.

Była nieśmiała jak ktoś, kto jest niemy – głuchy i niemy. Trochę niezdarnie stała na nogach. Skrępowana, jakby przestraszona, że ludzie na nią patrzą. (Nie patrzyli. Jeszcze nie). Zapytała, czy może się umówić na „lekcje". I ile kosztuje taka „lekcja".

Odparł, że to zależy.

– No bo ja chcę być bokserką.

Widząc, jak on ją ocenia i że jest bliski śmiechu, dodała szybko:

– To znaczy chcę się nauczyć boksować.

A gdy wciąż nie odpowiadał, dodała:

– No dobra, chcę być bokserką.

– Chcesz być bokserką. Jakiego rodzaju?

– Taką jak te, które walczą w telewizji.

– Zawodową?

– Tak. Zawodową.

Nie uśmiechał się. Daleko mu było do śmiechu.

Myślał, że rzadko bywają białe, jak ta. Jeśli kobiety, to czarne albo Latynoski. Niektóre same tak o sobie mówiły – *Latina*.

Latina przychodziły na salę. Po pracy, żeby ćwiczyć. Śniade ciała, nieumięśnione. Seksowne śniade kobiece ciała przy urządzeniach, walące w worek szesnastouncjowymi rękawicami bokserskimi, a po minucie czy dwóch już oddychające przez usta, dyszące. Czerwone wargi, tusz do rzęs, makijaż spływający z gorąca. Męskie nozdrza wychwytywały wyjątkowy zapach perfumowanego potu. Lśniące paznokcie, idealne. Nic nie liczyło się bardziej niż idealne paznokcie. Faceci na sali nie mogli nie patrzeć, więc ulga, kiedy wychodziły. Nie były zainteresowane prawdziwym boksem, nawet amatorskim, czasami jednak płaciły za lekcje – niewiele. Na ringu, sparując z instruktorem, dostawały w twarz, w korpus, w górne części rąk, nie mocno, ale tak, dostawały – a nie tego chciały.

Cóż, raz na jakiś czas jedna *Latina* wciągała brzuch i uśmiechała się z ukosa: „Hej, Ernie, myślisz, że mogę zostać bokserką? Jak M’lissa Hernandez?”, a on odpowiadał z pobłażliwym uśmiechem, jakby mówił do małego dziecka: „Pewnie”.

Wkrótce potem znikały. Zaręczały się, wychodziły za mąż, wyjeżdżały. Rzadko którakolwiek kobieta rzeczywiście interesowała się prawdziwą sprawnością fizyczną. Interesowało je, jak wyglądają w oczach w mężczyzn.

Widział, że z tą może być inaczej. Twarz miała nijaką, jakby wyszorowano ją szmatą. Brwi grube, ale oczy jakby pozbawione rzęs. Szare wilgotne oczy i skóra koloru matowego zimowego nieba albo porcelanowej umywalki pokrytej warstwą brudu. Osiemnaście albo i dwadzieścia osiem lat. Taka kobieta, która dojrzewa w młodym wieku. Szeroka talia, szerokie ramiona. Uda pewnie wielkie jak kawały wołowiny i pękate od mięśni. Mięsiste przy kolanie. Połamane paznokcie z obwódkami brudu. Makijaż nie poprawiłby wyglądu tej dziewczyny na ringu, szczególnie w telewizji, w której każda skaza jest uwidoczniona, ale widać było (prawie to widział), że może się wydać atrakcyjna pewnej grupie fanów boksu, którzy jarali się na widok takiej pospolitej, nijakiej kobiety, czyjejś sukowatej siostry, którą

jedna ze wschodzących gwiazdek boksu obija, powala na ziemię, upokarza i tłucze do krwi – to może kogoś kręcić. Może.

Czy chciał na tym zarabiać? Nie chciał.

Ale: ktoś mógł chcieć. Znał takich wielu.

Aż do World Boxing Association i promotorów. Do Dona Kinga.

Tych niepozbieranych trzeba szanować. Tych zdesperowanych. Facetów, kobiety. Większość to faceci. Zwykle czarni, z Dayton. Ta dziewczyna nie pochodziła z okolicy, ale na pewno z Ohio, może z Wirginii Zachodniej. Wilgotne proszące oczy wpatrywały się w jego twarz. Usta przypominające małża. Nieszczególne uzębienie.

– Boksowałaś kiedyś? Cokolwiek?

Potrząsnęła głową. Jakby pytanie drażniło ją niczym bzycząca mucha.

– Karate?

Potrząsnęła głową.

– Lekkoatletyka? Koszykówka?

Skinęła głową na tak. Zmarszczyła czoło, że nie szło jej najlepiej, co już rozumiał, bo widział, jakie ma krótkie nogi i ręce.

– W liceum?

– Ta.

– Kiedy?

– Kilka lat temu.

– Czyli ile?

– Dwa, trzy.

Odpowiadała niepewnie, z wahaniem. Nie potrafiła zapamiętać dat. Ale jeśli się nie myliła, to znaczy, że wciąż jest młoda – przed dwudziestką.

– Dlaczego ci się zdaje, że chcesz boksować?

– Bo chyba byłabym dobra.

– Jaki masz dowód?

Gapiła się na niego wilgotnymi kamiennoszarymi oczami. Dowód?

To słowo zdawało się ją kłopotać. Widział, jak myśli, niczym stary komputer w jego biurze, kiedy się zawieszał i na ekranie pojawiała się wirująca tęczowa ikonka.

– Jestem silna. Naprawdę silna. Potrafię unieść ciężkie rzeczy: pudła, ciężary... Wiem, jak się bronić. Nikt mi nie podskoczy. Przed niczym się nie cofam.

Widząc, że się z niej nie śmieje, ale chyba słucha, mówiła dalej – że oglądała w telewizji dużo boksu. Razem z bratem w dzieciństwie oglądali głównie boks. Ich ulubionymi bokserami byli Mayweather, Gatti, de la Hoya, Roy Jones, Mike Tyson – „Nie teraz, ale kiedyś tak". Mówiła szczerze, marszcząc czoło. Jakby mógł nie zrozumieć rozróżnienia „Mike Tyson teraz" i „Mike Tyson wtedy".

Widziała też w telewizji kilka bokserek – zrobiło na nim wrażenie, że zna nazwiska: Hernandez, Gogarty, Crowe, Johnette Taylor. Była pewna, że może nauczyć się boksu tak dobrze jak one.

Teraz musiał się już uśmiechnąć. Niechcący, ale wystarczyło, by ją to zachęciło.

– Przecież zaczynały tak jak ja, prawda? Czym się od nich różnię? – W jej głosie nagle pojawił się wojowniczy ton, który go zaskoczył.

– Zależy, czy jesteś głodna. Aż tak zdesperowana.

Zaśmiała się niepewnie. Nie wiedziała, czy to żart.

Wiadomo, ludzie mówią dużo żartów. Nieważne, czy te żarty śmieszą innych.

– Wiesz, że Johnette Taylor trenowała tutaj?

Nie wiedziała. Przeraziło ją, że nie wiedziała.

To nie do końca była prawda, że Johnette trenowała w tej sali do zawodowych walk, ale zobaczył w tamtej dziewczynie szansę, gdy miała szesnaście lat, na olimpijski kobiecy boks, o którym wtedy mówiono, ale jeszcze go nie włączono do igrzysk. Jak tylko Johnette w wieku dziewiętnastu lat przeszła na zawodowstwo, wyjechała z Dayton – nowy trener, nowy mana-

ger, w Cleveland. Nie śledził już jej kariery po tym, jak rok wcześniej straciła tytuł federacji WBA kategorii półśredniej i chodziły plotki o kontuzjach.

– Myślisz, że nauczysz się boksować jak Taylor? Co?

Dziewczyna nieśmiało skinęła głową.

Twarz ze wstydu pokryły jej plamy. Uśmiechnęła się bezmyślnie. Zastanawiał się, czy nie jest odrobinę opóźniona – mówienie na tyle głośne, by było ją słychać, zdawało się wymagać od niej wysiłku, wręcz tupetu. Jakby ktoś nauczył ją wierzyć, że żadne wypowiedziane przez nią słowo, żadne zdanie nie okaże się ani trochę interesujące dla innych; mimo to miała czelność uważać, że może zostać profesjonalną bokserką...

Ile wysiłku musiała włożyć w to, by w ogóle wejść na salę, wkroczyć do miejsca niemal wyłącznie męskiego, śmierdzącego ciałami, dziwnym słodko-potnym zapachem, gdzie wokół byli sami faceci, przy workach, przy gruszkach, na brudnym ringu (dwóch chudych młodych chłopaczków koło dwudziestki, ciemnych Latynosów – ośmiouncjowe rękawice, kaski – sparowało szybkimi mocnymi uderzeniami), głośne, wyłącznie męskie głosy, na ścianach plakaty i zdjęcia bokserów. Miała przynajmniej odwagę.

Niecierpliwiła go ta przysadzista dziewczyna z nijaką twarzą, ale też chciał ją chronić, myślał: *Zatrzymaj te pieniądze. Nie chcę twoich pieniędzy. Po prostu się odwróć i wynoś stąd, jeśli wiesz, co dla ciebie dobre*.

– No więc? Mogę?

– Co możesz?

– Da mi pan lekcje? Żebym b-była bokserką?

Mówiła błagalnym tonem, oddychała przez usta, jakby jej życie zależało od słów, które nieznajomy facet zaraz rzuci, jakby rozdawał karty w grze – tyle że on nie miał do stracenia nic, a ona wszystko, więc jedyne, co mógł powiedzieć, to:

– Dobra, przyjdź jutro. Dzisiaj nikt tu nie będzie miał dla ciebie czasu.

Ulga na jej twarzy, nagły uśmiech, od którego zrobiła się jakby młodsza, dziecko pełne nadziei.

Wymamrotała: „Dzięki!” i szybko się odwróciła, by wyjść, zanim on zmieni zdanie.

– Czekaj. Jak masz na imię?

Mruknęła coś, co brzmiało jak „D.D. Danfi”.

– D.D.? To jest imię?

Zaśmiała się, zarumieniła, ale z zadowoleniem.

– Ta. Jest.

Młot Jezusowy. To ja.

Z pomocą Jezusa to będzie ona.

Wiedziała, że jest niezdarna, fajtłapowata. Wiedziała, że wiele musi się nauczyć. Nie poruszała wystarczająco szybko nogami (jeszcze), a ręce miała krótkie jak na bokserkę, więc przeciwniczki z długimi od razu zyskają przewagę. Musi się nauczyć przyjmować ciosy, skoro chce zadawać ciosy. (Chciała). Były walki, w których silniejszy bokser zamęczył się na przeciwniku, jak młody George Foreman zamęczył się na niemłodym Muhammadzie Alim (widziała to w telewizji ESPN) – tak też się wygrywa i tego chciała D.D. Dunphy.

Choć była silna, na sali szybko się męczyła, co ją zaskoczyło – w pracy, w markecie Target, przy rozładunku D.D. Dunphy miała lepszą kondycję od wszystkich, łącznie z młodymi chłopakami.

D.D. nigdy nie jęczała. Nie narzekała nawet w bardzo mroźne dni. Robiła, co trzeba, i nie pyskowała. Myślała o swoich sprawach, podczas gdy koledzy nieustannie wyrzucali z siebie głupią gadaninę i sprośne żarty, z których niektóre (wiedziała) odnosiły się do niej. *To tylko znaczy, że muszę ciężko pracować na sali. Będę ciężko pracować.*

Sprawi, że nazwisko Dunphy stanie się wielkie.

Nie będzie zwracała uwagi na siebie, ponieważ zamierzała uczcić pamięć swojego ojca, Luthera Amosa Dunphy’ego.

Jednak jeśli ktoś ją zapyta, jeśli będzie udzielać wywiadu, na przykład w telewizji, to wtedy powie cicho: „Dedykuję moje walki ojcu Lutherowi

Amosowi Dunphy’emu oraz memu Zbawcy – Jezusowi”.

Wielu bokserów, których oglądali z Lukiem w telewizji, dziękowało za zwycięstwa Jezusowi. Wielu klękało w ringu i schylało głowy, by zmówić krótką modlitwę, albo żegnało się, jeśli byli katolikami. Słynny bokser wagi ciężkiej Evander Holyfield (który pobił Mike’a Tysona w dwóch walkach o tytuł) nosił czapkę bejsbolówkę z wyszytym napisem: JEZUS JEST PANEM. George Foreman został chrześcijańskim duchownym. Bokserka, którą D.D. podziwiała najbardziej, Tanya Koznick „Tygrysica”, mistrzyni wagi lekkiej juniorek federacji WBA, nie miała więcej niż metr sześćdziesiąt wzrostu, ale rzeczywiście walczyła jak tygrysica, lekceważąc obronę, rozwagę i bezpieczeństwo, obezwładniając i onieśmielając przeciwniczki szalonym gradem ciosów. Na bicepsach obu rąk Tanya Koznick miała wytatuowane krzyże, a na szyi, nawet na ringu, nosiła niewielki złoty krzyżyk na cienkim łańcuszku. Wywiady telewizyjne zaczynała zachrypniętym łamiącym się głosem, mówiąc, że wszystko zawdzięcza Jezusowi, przede wszystkim życie. „Przed Jezusem moje życie było jak śmietnik. Jezus pomógł mi wygrzebać się z tego śmietnika”. Słysząc te słowa, D.D. Dunphy czuła dreszcz i słabość, jakby Jezus dotknął jej czoła – delikatnie, tylko opuszkami palców.

Dziwne było, że na sali Jezus trzymał się na dystans od D.D. Dunphy. Jakby (jeszcze) tego nie aprobował. Wobec kobiet uprawiających boks ludzie mieli ambiwalentne uczucia. D.D. bała się dnia, kiedy koledzy z Targetu dowiedzą się, że trenuje na sali w śródmieściu (gdzie przychodzili głównie czarni i Latynosi) i na co liczy. Oczywiście nikomu się nie zwierzyła. Nawet kierowniczce, która wydawała się specjalnie traktować D.D. (dlaczego? Przecież D.D. nic jej nie mówiła), wiedząc, że szefuje dziewczynie, której matka nie chce na nią patrzeć.

Edna Mae wyraziła obrzydzenie – jej zdaniem to na pewno przez wpływ szatana młode kobiety chcą boksować jak mężczyźni, pokazywać ciało prymitywnym tłumom i dla pieniędzy jak smarkacze walić się po twarzach. D.D. nie wiedziała, jak przekonywać matkę i innych z jej Kościoła, bo też po części musiała się zgodzić z tymi ostrymi słowami. Ale Edna Mae nie-

słusznie oskarżała ją o to, że jest córką szatana. Oskarżenie raniło i złościło D.D. Przecież ona również odczuwała obrzydzenie i gniew, widząc w telewizji mocno umalowane zawodniczki, w seksownych obcisłych ubraniach bardziej przypominających kostiumy kąpielowe niż stroje bokserskie, jakie nosili mężczyźni. Na swoje walki D.D. Dunphy zamierzała ubierać się na czarno (tak jak Mike Tyson) – czarna koszulka na prosty sportowy biustonosz, czarne spodenki kończące się nad kolanem, czyli w męskiej długości.

Wkrótce nadejdzie jej czas. Czas D.D. Dunphy „Młota Jezusowego".

Podczas pracy w markecie myślała tylko o tym. Przy worku bokserskim, przy gruszce, robiąc przysiady, pompki i skłony, podnosząc ciężary, skacząc na skakance – myślała tylko o tym. Rozchylone usta, przyspieszony oddech. Głosy innych cichły. Głosy innych stawały się gasnącą stacją radiową. Nie widziała pogardliwych i kpiących męskich spojrzeń. Nie słyszała obraźliwych uwag. „Paskudna suka, co za ohydna cipa, niech jej ktoś włoży worek na łeb" – nie słyszała tego. Fascynowała ją wizja „Młota Jezusowego" na ringu, w telewizyjnych reflektorach. Bokserka, która nie była sobą, ale „D.D. Dunphy", w czarnej koszulce, czarnych spodenkach. Mocno zawiązanych czarnych butach. Umięśnione ramiona i ręce, umięśnione uda, nogi. Wazelina wtarta w twarz. Mieszająca się z potem, lśniąca. Włosy ostrzyżone krótko, dokładnie podgolone na karku. Dłonie ściśnięte w pięknych ośmiouncjowych czerwonych rękawicach. Wspina się na ring, światła oślepiają, hipnotyzujące oczekiwanie. Wiwaty i gwizdy tłumu, sędzia podnoszący jej rękawicę ogłasza wygraną: „Zwyciężczynią przez nokaut i nową mistrzynią świata wagi półśredniej kobiecej federacji WBA zostaje D.D. «Młot Jezusowy» Dunphy".

„Jezu, dopomóż. Jezus jest Panem". Będzie wkładać czarną sztruksową czapkę z tymi słowami. Któregoś dnia (jeśli Bóg pozwoli) będzie mieć sponsorów, którzy opłacą jej wydatki – Adidas, Nike, Reebok.

A może miejscowy salon samochodowy. Albo sklep Dayton Sports Supplies.

Kiedy Johnette Taylor mieszkała w Dayton, miała lokalnego sponsora. Miała sponsorów przez całą karierę, dopóki nie zaczęła przegrywać,

a wtedy sponsorzy się wycofali.

D.D. chciała zapytać o sponsorów, wiedziała bowiem, jak są ważni – bez nich nie stać jej będzie na boksowanie, bo zarabiało się zbyt mało, szczególnie kobiety. Nawet te bokserki wysoko w rankingu, z tytułami, wcale nie zarabiały fortuny. Dowiedziała się od Erniego, że obecna mistrzyni kategorii półśredniej musi pracować na pół etatu w sklepie w Omaha w Nebrasce – to była zaskakująca i rozczarowująca informacja.

– Chciałem ci tylko powiedzieć, D.D. Żebyś wiedziała.

– Co wiedziała?

Może teraz tak jest, ale może nie zawsze tak będzie.

W jej głosie pojawiła się złość. Rozumiała, że ten człowiek próbował ją zniechęcić, i nie zamierzała tego znosić.

– I tak nie chciałam walczyć dla pieniędzy.

– W takim razie po co?

– Po coś.

– Ale po co?

Zastanawiała się. Nie mogła powiedzieć mu tego, co miała w sercu – wspomnienia ojca, który poświęcił życie i o którym zapomniano.

Nie mogła mu powiedzieć: „Żeby coś znaczyć. Żeby w imię Jezusa zrobić coś wartościowego”.

Zamiast tego tylko się roześmiała. Tak, jak śmiała się, kiedy stopy zaplątały się w cholerną skakankę albo kiedy zmęczyła się na worku tak, że musiała się go trzymać, by nie zemdleć.

Nauczyła się śmiać z rzeczy, które ją martwiły, złościły i frustrowały. Dzikość pojawiała się w środku jak płomień, wtedy trzeba było się śmiać albo krzyczeć, jak śmieje się i krzyczy szaleniec. Zaskakiwało to innych, którzy nie spodziewali się po niej śmiechu, tylko zawstydzenia i odwracania wzroku. Ale Jezus radził: *Śmiej się, by pokazać, że się śmiejesz. Śmiej się, by pokazać, że potrafisz się śmiać*.

– A może nie ma żadnego powodu? Nie warto? Tak tylko mówię, D.D.

Ernie był czarny, jednak jego skóra miała dość jasny odcień, może nosił w sobie też domieszkę latynoskiej krwi. Kiedy się patrzyło na innych na sali, ciemnoskórych, Ernie Beecher nie wyglądał wśród nich na czarnego, ale kiedy stał obok białych (chyba takich jak ona), wyglądał na czarnego – mówili o takich „Afroamerykanie".

Później dowiedziała się, że Ernie Beecher miał w sobie mieszaną krew – czarną, jamajską, rdzennie amerykańską, azjatycką (kambodżańską). Nie miała pojęcia, czy to prawda. I że ma pięćdziesiąt lat (albo więcej!). To ją zaskoczyło, sądziła, że jest dużo młodszy, skoro potrafił tak sparować z niektórymi chłopakami na ringu i ćwiczyć z nią niezmordowanie, próbując wbić jej do głowy strategię obronną. Mówili, że ma żonę. Mówili, że ma dzieci z kilkoma kobietami. Dawno temu walczył w półśredniej – na postrzępionym plakacie z nagłówkiem: TOMMY HEARNS VS. PIPINO CUEVAS widziała jego nazwisko wypisane małymi literami. To był sierpień 1980 roku, Detroit.

Tak dawno temu – 1980! D.D. próbowała sobie wyobrazić, jak wyglądał wtedy Ernie Beecher.

Nawet teraz nie wyglądał jak zwykły facet. Było w nim coś mocnego, niepokojącego, w tych jego jastrzębich oczach. Twarz miała dziwny wygląd, jak korzenie drzew, które zrosły się ze sobą. W końcu D.D. zrozumiała, że ta twarz jest pokryta bliznami.

Chciałaby zapytać Erniego o jego karierę bokserską. Obejrzeć kilka zdjęć. Ale wiedziała, że lepiej nie. Nigdy nie zapyta. Bała się, że on straci do niej siłę. Cierpliwość.

Zadziwiło ją, że jest taki dobry. Nie kazał jej płacić za salę pełnej stawki – dał jej zniżkę.

Nie pytał. Jeśli nazwisko Dunphy cokolwiek mu mówiło (nie podejrzewała, że tak jest, bo już nikt nie pamiętał), nie zdradził się z tym. Był uprzejmy. Nie tolerował bzdur, hałaśliwego zachowania, przeszkadzania i okazywania braku szacunku na sali. Jeśli ktoś zasłużył, wywalał go. Widziała to na własne oczy. Słyszała, jak ostro rozmawia z jednym z młodych trenerów, swoim krewnym. Nie zapominał, ale czasem wybaczał.

Jego oczy miały kolor miękkiej, płynnej czerni. Głos był delikatny jak na mężczyznę, tak że czasami nie słyszała, co mówi, więc tylko mamrotała: „Tak. Tak, Ernie”.

Miał taki zapach, taki określony, jego zapach. W mieszkaniu wynajmowanym na Post Street kilka przecznic dalej D.D. leżała samotnie w łóżku (w którym często zasypiała zmęczona, nie rozebrawszy się całkiem, a w zimne wieczory włożywszy wełniane skarpety), budziła się nagle w nocy, czując jego zapach, i zdezorientowana nie wiedziała, gdzie jest.

Tak bardzo go kochała! Chciała mu opowiedzieć o ojcu, który oddał życie za życie nienarodzonych dzieci, które same nie mogły się bronić. Chciała mu opowiedzieć, jak bardzo tęskni za ojcem, ale też matką i rodziną w Mad River Junction, dokąd nie mogła wrócić, bo nie była tam mile widziana.

Zapytałby: „Dlaczego nie jesteś tam mile widziana, D.D.?”. A ona odparłaby: „Ponieważ moja matka wierzy, że jestem córką szatana”.

Ale była nieśmiała. Kiedy przebywała w pobliżu Erniego, zwykle brakowało jej tchu – dyszała, serce jak szalone waliło w piersi. Nieustannie się martwiła: *Czy jestem dość silna? Może nie jestem dość silna*.

Przypomniała sobie, jak śmiał się z niej Luke. Dawn Dunphy myśli, że potrafi boksować.

Nie mogła powstrzymać uśmiechu. To było... cóż, to było dziwne. Każdy by się z niej śmiał. Sama by się śmiała, gdyby nie była sobą. Ale miała pewność, że Jezus w nią wierzy. Tak jak wierzył, kiedy postawiła się chłopakom ze szkoły, którzy chcieli ją zhańbić, a zhańbili tylko siebie.

Trzymała wtedy w ręku młot Jezusowy! Kiedy skończyła ze swymi wrogami, główka młotka była śliska od ich krwi.

– Siedemdziesiąt trzy kilogramy.

Ważył ją, jak się waży jałówkę. Z jego miny wywnioskowała, że nie jest zadowolony.

– Ile powinno być? – zapytała jękliwie.

– Sześćdziesiąt sześć z ułamkiem. Półśrednia.

Półśrednia! Po raz pierwszy powiedział, gdzie będzie walczyć.

Serce zalało jej coś jakby ciepła krew. Oczy zaszły łzami. Nie mogła się zmusić, by na niego spojrzeć, w obawie, że zdradzi, co się dzieje w jej sercu.

– No. Dobra. Chyba dam radę.

Była ciężka. „Przysadzista” – tak mówiła ciotka Mary Kay o niej i o sobie.

Większość to mięśnie. Ale nie wszystko.

Musiała przestać jeść śmieciowe jedzenie, jedzenie ze styropianowych pudełek, frytki, pić słodkie napoje. A miała słabość do frytek, aż piekły tłuste słone palce, kiedy żarłocznie pochłaniała swój przysmak. Nęciły ją te frytki w sieciówce Wendy’s, gdzie można było brać tyle keczupu, ile się chciało, i nikt ci nie zabraniał, ani nawet nie patrzył. Lubiła ostry smak keczupu, musztardy, cebuli. Bardzo.

Uwielbiała też pączki. Smażone w tłuszczu, nasączone tłuszczem. Zwykłe pączki, pączki z cukrem pudrem, pączki cynamonowe, pączki z kremem, pączki posypane brązowym cukrem – ślina napływała do ust na samą myśl.

Ze zniżką pracowniczą w dziale spożywczym Targetu można było kupić po obniżonej cenie pączki pozgniatane albo nie całkiem świeże...

Mówił jej o diecie. Dał wydrukowaną listę produktów, które może jeść i których musi unikać. Chciała spróbować, ale na większość rzeczy zalecanych (świeże warzywa, chude mięso) nie było jej stać, o czym pewnie wiedział.

Zaczęła już jednak tracić na wadze, mimo przyrostu masy mięśniowej. Czuła się lepsza, silniejsza, choć często odczuwała też ból w całym ciele, drętwienie i słyszała w głowie dzwonienie jakby kościelnych dzwonów gdzieś daleko. Serce wypełniała jej radość z tego, co ma nadejść.

Kategoria półśrednia to 66,678 kilograma lub mniej. Taka była idealna waga dla D.D. Dunphy mierzącej w butach sportowych sto siedemdziesiąt trzy centymetry.

Marzyła o tym, by w ciągu roku stoczyć pierwszą walkę, a niedługo potem (nie bardzo wiedziała, jak to wygląda, ale trener będzie wiedział) zarobić tyle pieniędzy, by odejść z marketu lub pracować tylko na pół etatu. Jeśli dobrze pójdzie i wygra, wystawią ją przeciwko pretendentkom do tytułów – Angel Diaz, Pryde Elce „Squaw", Yolindzie Crowe. Jeśli wygra z nimi, stanie do walki przeciwko mistrzyni wagi półśredniej żeńskiej federacji WBA, Ilse Kinder, jeśli Ilse Kinder wciąż będzie mistrzynią.

Zobaczą ją w Mad River Junction. W telewizji. Może nie Edna Mae, która nigdy nie ogląda telewizji, ale ciotka Mary Kay, Luke, Anita, Noah, sąsiedzi, dzieciaki ze szkoły i nauczyciele.

Zobaczy ją panna Schine! A panna Schine się ucieszy.

Zobaczą ją też w Muskegee Falls. Ludzie z miejsca, w którym ich znali, w którym mieszkał i pracował jej ojciec, Luther Amos Dunphy, i gdzie w sądzie uznano go za winnego i skazano na śmierć.

Będzie mówić cicho. Dumnym głosem podziękuje Jezusowi. Powie dziennikarzowi, że jej kariera bokserska poświęcona jest pamięci ojca, Luthera Amosa Dunphy'ego.

„Chciałam też podziękować mojej nauczycielce, pannie Schine... Ona również we mnie wierzyła".

Usłyszała go przypadkiem. Jego głos.

Nie podsłuchiwała. Nigdy nie podsłuchiwała.

Nie podsłuchiwała, będąc dzieckiem, choć wiedziała (domyślała się), że rodzice ściszonymi, zatroskanymi głosami rozmawiają o jej młodszej siostrze Daphne. Mówiono bowiem (niektórzy krewni mówili), że mała ma coś nie tak z głową.

Bardzo chciała usłyszeć. Ale nie słyszała.

Bo ona również martwiła się o Daphne. Wymieniali z Lukiem znaczące spojrzenia, kiedy Daphne nie mogła ustać prosto bez podtrzymywania, kiedy upadała na podłogę, jakby złamał się jej kręgosłup. Upuszczała przedmioty, jakby palce nie funkcjonowały.

Zdarzało się, że D.D. chciała usłyszeć, o czym rozmawiają dorośli. Kiedy bracia ojca przychodzili do domu rozmawiać o tym, „co zrobił Luther. I co trzeba teraz zrobić".

Na sali w Dayton też chciała usłyszeć, co mówi Ernie Beecher. Miała nadzieję, ale i bała się, że mówi o niej.

Ernie często rozmawiał przez telefon. Komórkowy, który zabierał ze sobą z biura. Mówił, słuchał, marszczył czoło, schylając głowę. Czasami drżała mu warga i wybuchał śmiechem. Czasami prawie nic nie mówił. Tajemnica czyjegoś życia, niedostępna dla D.D., wypełniała ją niespokojnym zdumieniem.

Lubiła słuchać, jak wydawał fachowe polecenia. W znajomych słowach wypowiadanych znajomym głosem, w znajomym rytmie znajdowała spokój. Nie była zazdrosna – nie bardzo.

Przerzuć ciężar ciała. Pochyl się.

Dobrze. Jeszcze raz.

Nieźle. Ale nie doskonale.

Jeszcze raz.

Na małym starym telewizorze w jego biurze oglądała nagrania. Siadała na zapadniętej poplamionej kanapie. Patrzyła jak zahipnotyzowana. Pod koniec walki siedziała nachylona do przodu, z napiętymi plecami, wyschniętymi oczami, nie mrugając.

Największe walki stulecia. Jack Johnson, Jack Dempsey, Gene Tunney, Joe Louis, Jersey Joe Walcott, Rocky Marciano, Floyd Patterson, Cassius Clay / Muhammad Ali, Mike Tyson. Henry Armstrong, Sugar Ray Robinson, Jake LaMotta, Rocky Graziano, Tony Zale. Carmen Basilio, Marvin Hagler, Thomas Hearns, Roberto Durán, Sugar Ray Leonard, Oscar de la

Hoya, Bernard Hopkins, Floyd Mayweather... Nie było i nigdy nie będzie wśród nich żadnej kobiety.

Widziała również, jak od początku XX wieku przez kolejne dekady bokserzy się zmieniali, od białych do ciemnoskórych i Latynosów.

Zastanawiała się, czy się nadaje. Najlepszymi bokserkami były Latynoski, Afroamerykanki, rdzenne Amerykanki.

Ernie powiedział: „Zależy, czy jesteś aż tak głodna. Aż tak zdesperowana".

Nie powiedział „nie". Na razie.

Osiem godzin w markecie, trzy godziny na sali.

Dzień po dniu, tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu.

Traciła na wadze – tej „miękkiej". Mięśnie twardniały, ciało ją zaskakiwało, stawało się obietnicą.

Piersi spłaszczała tak bardzo, jak się dało. Nosiła sportowe biustonosze, a na nie koszulkę, która nie była ani zbyt luźna, ani zbyt opięta. Nie lubiła patrzeć na siebie w lustrze, szczególnie nago, po prysznicu. Samo słowo „nagi" było wstydliwe – Edna Mae nigdy nie mogłaby go wypowiedzieć.

Ale jeśli lustro zaparowało, czasem nachylała się ku niemu, patrząc na ducha, szybko, niecierpliwie sczesującego mokre włosy do tyłu, płasko przy głowie. Włosie plastikowej szczotki od panny Schine nie dawało się już doczyścić, a rączka popękała, ale D.D. nie chciała kupować nowej.

Nie powiedziała trenerowi, że miewa ataki, podczas których pożera zakazane jedzenie: frytki, pączki, pizzę z pepperoni ociekającą tłuszczem. Ale waga powoli, systematycznie spadała. Powinna się ustabilizować między sześćdziesięcioma czterema a sześćdziesięcioma sześcioma kilogramami, co według Erniego byłoby idealne.

– Dobra. Kolejny krok. Zobaczymy, co potrafisz.

Pozwolił jej zacząć sparingi. Na początku bardzo ostrożne, z jednym z instruktorów. A potem z każdym, kogo namówił, by wszedł na ring z D.D. Dunphy.

Chłopacy od sąsiadów, którzy chcieli zostać bokserami. Faceci po dwudziestce. Starsi faceci, którzy zaczęli bokserskie kariery, jednak przegrali pierwsze walki albo doznali kontuzji i rzucili to, ale zapragnęli spróbować ponownie. Na sali nierzadko zdarzało się, że mężczyzna sparował z kobietą – instruktorów było tylko trzech, sami faceci.

Wszyscy oni niechętnie sparowali z D.D. Na początku symulowali ciosy. Ale gdy Dunphy na ugiętych nogach, pozbawiona wdzięku, ponura i zdeterminowana, ze zmarszczonym czołem i oczami bez rzęs waliła mocno, a jej szaleńcze uderzenia trafiały, sparingpartnerzy byli zaskoczeni.

– Kurwa, laska, wyluzuj.

Cofali się ze śmiechem. Trzymali ją na dystans szybkimi ciosami.

Ernie chodził dokoła ringu. Ernie rozkazywał:

– Do środka, Dunphy. Naciskaj. Nie cofaj się. Ruszaj.

Słuchała go. Próbowała. Niemal od razu zaczynała ciężko oddychać przez usta.

– Naciskaj. Prawym. Dalej.

Parła na ślepo. Rzucała się do przodu na swoich krótkich nogach. Ciosy trafiały w jej odsłoniętą twarz, ale się nie odsuwała.

Te pierwsze walki pamiętała jak przez mgłę. Powódź adrenaliny, wyczerpujący pośpiech. Nie miała zbyt wielkiego pojęcia, co robi, wiedziała, że ma przeć do przodu, musi walczyć.

Będzie walczyła o swoje życie. Nie cofnie się.

Z dawnych bokserów identyfikowała się z Jackiem Dempseyem, który potrafił tylko przeć do przodu i który przegrał z Gene’em Tunneyem, który umiał ruszać się również do tyłu.

Na sali zaczęli gadać: „Ta laska Beechera trenuje? Niezły z niej pitbull”.

„Ta Dunphy jest jak maszyna do zabijania”.

Erniego bawiło, kiedy wyciskała ze sparingpartnerów niechętny szacunek. Słuchał, jak mówią: „Musiałem się cofnąć, rozwaliłbym jej gębę i posłał na liny i na dupę – widziałeś przecież. Ale dziewczyna nieźle uderza”.

Potem po raz pierwszy sparowała z kobietą. To było druzgocące przeżycie.

Nigdy dotąd nie uderzyła w twarz kobiety. Nigdy nie uderzyła dziewczyny. Tylko chłopaków, szydzących z niej, zasługujących na cios.

Nie dam rady. Po prostu nie dam.

To był dla niej szok. Nie przewidziała takiego zaskoczenia. Sparingpartnerką okazała się młoda kobieta z okolicy, która też chciała zostać bokserką. Pięć, sześć lat starsza od D.D., wyższa przynajmniej o pięć centymetrów, raczej szczupła, płaska. Blada, trochę nijaka, rozmyta twarz, jasne włosy z ciemnymi odrostami. Na odsłoniętych bicepsach tatuaże z płonącym sercem, wokół nadgarstków wytatuowane bransoletki. Była lżejsza od D.D. o przynajmniej siedem kilogramów i okazała się wystarczająco szybka, by unikać jej zamachów.

D.D. ugięła kolana, schowała się za podniesionymi rękawicami. Włoski na karku stanęły dęba. Pod kaskiem widziała kobiecą twarz! To było nie w porządku. W swoich marzeniach o wygranych walkach i zdobytych tytułach zawsze wyobrażała sobie przeciwniczki jak niewyraźne duchy. A to jakby uderzać pannę Schine! Jakby uderzać własną siostrę... Nie miała oporów przed krzywdzeniem facetów, bo ich nienawidziła, ale tej młodej kobiety nie nienawidziła i nie chciała jej zranić.

Wiedziała o swojej sparingpartnerce tyle, że nazywa się Mickey Burd i od kilku lat z przerwami trenuje ją Ernie Beecher. Pracowała w stołówce szpitala w Dayton. Musiała przerwać treningi, by utrzymać rodzinę (jej matka zmarła kilka miesięcy wcześniej). Może była mężatką, może była w separacji. Może miała dzieci. Na ringu jej jedyną wyraźną umiejętnością okazał się szybki nerwowy prosty. Ciosy miała słabe, niepewne. Najsilniejszy – lewy sierp w klatkę piersiową, który D.D. ledwo odczuła. Ale przeciwniczka potrafiła zwodzić – cofała się, niespodziewanie uskakiwała w bok, jakby się ślizgała, więc D.D. nie mogła jej dorwać.

A kiedy jej się udało, biła na oślep albo waliła po przekątnej, a Burd odskakiwała.

Klinczowały, dysząc ciężko. Ręce Burd trzymały się szerokich ramion D.D. jak ręce tonącej kobiety. Wiedziała, że jeśli puści D.D., nie będzie po-

trafiła się ochronić.

– Break. Ruszcie się. – Ernie tracił cierpliwość. – Powiedziałem: break.

Ale D.D. nie potrafiła się zmusić do odepchnięcia Burd. Była przecież silniejsza, była dużo lepszą bokserką – to jasne. Jednak czuła się przytłoczona, bezradna. Nie miała doświadczenia w klinczach. Bliskość tej drugiej dziewczyny ją paraliżowała. Uścisk, gorąca, śliska, mokra skóra, zapach jasnych włosów, oddech na twarzy – D.D. stała jak słup soli.

– No dawaj! Prawym.

Próbowała, ale nie potrafiła. Czuła, jak prawa ręka robi się bardzo ciężka. Nie mogła dłużej patrzeć na tę twarz, rozmytą białą skórę jak jej własna.

Ernie z pogardą zakończył walkę po trzech rundach – po dziewięciu męczących minutach. D.D. chwiała się na nogach. Czarna koszulka i spodenki przesiąknięte potem lepiły się do ciała. Skóra na głowie swędziała. Dunphy oddychała sapnięciami. Twarz piekła od szybkich, nerwowych ciosów przeciwniczki; czerwone plamy, strużka krwi pod nosem. Ernie zwrócił się do niej ostro, ale oszołomiony mózg D.D. nie pracował.

Musiała uciec. Zataczając się, zeszła z ringu. Krwawiła. Strużka krwi prowadziła od ringu na tył siłowni, do ciasnej, śmierdzącej damskiej szatni, toalety i pojedynczego prysznica z betonowymi ścianami, wąskiego, poziomego, jakby piwnicznego okna na wysokości niecałych dwóch metrów. Ta druga przybiegła za nią.

– Hej. D.D. – Także była spocona i zdyszana, ale zmoczyła papierowe ręczniki w zimnej wodzie, by otrzeć piekącą twarz D.D. – Hej. Nie przejmuj się. Dobrze ci poszło. Ja tak zawsze robię albo próbuję. Nie potrafię dobrze uderzać, więc wolę uniki albo klinczuję. Ernie czasami przesadza. W porządku?

Nie przychodziła na salę przez dwa dni. Trzy.

Zadzwonił do niej? Nie.

(Wiedziała, że nie zadzwoni, i nie zadzwonił).

Kiedy wróciła, nie komentował. Jakby nie miała przerwy, jakby tylko na chwilę wyjechała. Gdyby odpełzła, by umrzeć, nikogo by to nie obeszło.

I postanowiła go zadowolić, nawet jeśli go nienawidziła. Zacznie trenować jeszcze intensywniej, choć trening był jednocześnie pocieszeniem i torturą. Gruszka, worek, przysiady, ciężary, ćwiczenia na macie, piętnaście minut skakanki. Potem ciosy: prosty, sierpowy, z dołu, hak. Lewy prosty, prawy sierpowy, lewy hak, prawy pod szczękę. On będzie pod wrażeniem, choć tego nie okaże. Ostre słowa, które wtedy powiedział, wisiały między nimi jak słaby, ale odurzający zapach, który ustąpi, choć nie od razu.

Była już mniej nieśmiała. Minęło wiele miesięcy, na sali zaczęli ją rozpoznawać. Chciałaby myśleć, że w końcu przyznali jej tu miejsce.

Unikała kobiet, które przychodziły na salę po pracy, na godzinę czy mniej, na siłowni gapiły się na siebie w lustrach, prężąc w obcisłych topach i getrach, na bieżni lub rowerkach, w drogich różowych damskich adidasach, z wypacykowanymi twarzami i paznokciami jak szpony. Widziała oczy gapiące się na nią spod utuszowanych rzęs, zimne, rozbawione albo pełne politowania, lekceważące.

Do diabła z wami. Walcie się. Pieprzyć takie jak wy.

To nie D.D. Dunphy wypowiadała w myślach te ostre słowa, ale ktoś inny. Z nadzieją, że Jezus nie usłyszy.

Czekała, aż wróci Mickey Burd. Słomkowe włosy z ciemnymi odrostami, przelotny cień uśmiechu. „Hej, w porządku?” Ale Mickey nie wróciła. D.D. nie zamierzała o nią pytać.

Mogła pójść do jej domu, zapukać do drzwi. Wiedziała, że mieszka niedaleko, na ulicy Barrister. Ale nie zamierzała pytać o Mickey, duma jej na to nie pozwalała.

Ernie też nie wspominał o Mickey Burd. Upokarzająca walka, którą oboje chcieli zapomnieć.

Siedziała na sali, patrząc na sparujących bokserów. Niezwykłych młodych czarnych bokserów po dwudziestce, waga lekka. Rozpaczała, że nigdy nie będzie tak szybka ani tak zręczna. Ich ciosy nie były wystarczająco

silne, by spowodować poważne uszkodzenia, ale dość silne, by zranić nieosłoniętą twarz.

Zafascynował ją zawodnik z kategorii półciężkiej, Rodriguez, klubowa gwiazda. Kiedyś trenował go Ernie Beecher, ale teraz pracował z innym, młodszym trenerem, protegowanym Erniego, pod jego opieką.

Nie miało dla niej znaczenia, czy był u szczytu kariery czy już po nim. Na sali, sparując z młodszymi zawodnikami, Hector Rodriguez potrafił pokazać prawdziwy, potężny boks. Przypominał dawnych bokserów, których oglądała na nagraniach Erniego – Graziana, LaMottę. Walcząc, zachowywał minimum ostrożności i uwagi, okazując czystą agresję. Miał silny, krótki lewy hak, który robił wrażenie. Kiedy uwalniał najsilniejsze ciosy, zdawał się wściekły, jak gdyby sparingpartner był przeciwnikiem stojącym na drodze do wielkiej nagrody. Na ból i wściekłość w jego spojrzeniu D.D. Dunphy patrzyła z dreszczem emocji.

Powiedziała Erniemu, że chce boksować jak Rodriguez. Chce być tak dobra jak on.

Innym razem powiedziała, że chce sparować z Rodriguezem, chociaż raz.

Ernie zmarszczył się na te słowa. Pokręcił głową. Kiepski pomysł.

Dlaczego nie? Od Rodrigueza może się nauczyć więcej niż od kogokolwiek innego w klubie.

– Dlaczego nie? Bo to inna kategoria. Zrobi ci krzywdę.

– Potrzebuję tego. Muszę wiedzieć.

Ale Ernie był stanowczy. To zły pomysł. Nie.

Przez wiele tygodni miała obsesję na punkcie Rodrigueza, który przygotowywał się do walki w Cincinnati. Myśl o nim wypełniała głowę D.D. jak pęczniejący balon. Zaczęła zaniedbywać niektóre części swojego treningu, bo obserwowała jego. A on zaczął ją zauważać. W klubie znano już D.D. Dunphy jako bokserkę, którą trenuje Ernie, więc Rodriguez o niej wiedział. Nie miała wątpliwości, że tego nie akceptował. Nie lubił boksujących kobiet i nie lubił jej.

Widziała, że na nią zerka. Nieprzyjaźnie, zimno. Z pogardą. Latynoski facet gardzący poważną kobietą uprawiającą sport. Miał twarz jak jastrząb, małe blizny na brwiach, gładkie, czarne włosy związane w ciasny krótki kucyk z tyłu głowy. Mimo kiepskiej cery był przystojny i próżny. Ciało wagi półciężkiej, umięśnione, sprawne, skóra na brzuchu jeszcze nie sflaczała. Na plecach, bicepsach i przedramionach pajęczyny tatuaży jak ukwiecone rany.

Rodriguez sparował z różnymi partnerami. D.D. Dunphy marzyła, by zostać jednym z nich.

Błagała Erniego:

– Nauczę się.

– Czego się nauczysz? Jak dać sobie łamać szczękę?

Ernie był oburzony. Dobre słowo dla D.D., cenne dla niej jak woda dla spragnionego stworzenia, było coraz rzadsze, wymuszone.

(Czy Ernie był zazdrosny o Hectora Rodrigueza? Uśmiechnęła się na tę myśl).

Spędzała w markecie wiele długich godzin. Marzyła o sali, zapachu męskiego potu, oknach szarych od brudu. W trakcie ćwiczeń, kiedy Rodrigueza nie było w klubie, marzyła o nim. Powieki robiły się takie ciężkie! I nagle sparowali jak równi sobie. Prawie.

Sparowali jak równi sobie, ale w pewnym momencie Rodriguez zaczął zasypywać ciosami głowę, ciało, głowę D.D. – i po raz pierwszy D.D. Dunphy przeżyła nokdaun.

Ustąpił, pochylił się nad nią. Wypowiedział jej imię: „D.D.”.

Byli jak Graziano i LaMotta. Stali objęci. Pod koniec długiej walki, w której jeden człowiek był zwycięzcą, a drugi przegranym, ale obaj mieli poobijane, zakrwawione twarze.

Ośmieliła się przywitać Hectora Rodrigueza, kiedy któregoś wieczoru pojawił się w klubie z dwoma znajomymi. Ubrany w gołębioszarą zamszową marynarkę, znoszoną, lekko przybrudzoną. Skórzane kowbojki. Nową dziewczynę od Erniego Beechera potraktował zdawkowo, obojętnie.

Między Rodriguezem i Beecherem było jakieś napięcie, jak między synem i ojcem, którzy nawzajem się rozczarowali i nigdy tego nie zapomną. Ale D.D. dokładnie zaplanowała to spotkanie, przechodziła obok obu mężczyzn bez momentu zawahania, bez spojrzenia za siebie, swobodnie.

Widziano ją, jak boksuje z cieniem, w stylu Rodrigueza. Schylenie głowy, lawina ostrych, szybkich, precyzyjnych ciosów w głowę, korpus, głowę wyimaginowanego przeciwnika. Krótki lewy hak, w piętnastocentymetrowym łuku.

W bluzie z kapturem naciągniętym na czoło, w zimnym kącie salki. Tak, że z daleka nie było widać, kto to jest – kobieta czy mężczyzna.

– Fizykalne.

Sam dźwięk ją fascynował: badanie fi-zy-kal-ne.

Nigdy nie powiedziała tego słowa na głos. Teraz jednak Ernie Beecher umówił ją w Dayton z lekarzem, miała przejść badania.

Wizyta u lekarza nie była przyjemnym doświadczeniem. D.D. wyjaśniono, że aby boksować, musi mieć licencję, a żeby dostać licencję, musi przejść badanie fizykalne. Z pewnością nigdy w życiu nie przechodziła takiego badania.

Doktor Danks był przysadzistym (białym) mężczyzną po sześćdziesiątce, miał rzadkie, cienkie, siwe włosy, przekrwione oczy i pokryty żyłkami nos; lekko drżały mu ręce. Brzuch miał okrągły i wystający, tak że lekarz nie mógł swobodnie wstać z krzesła, na którym siedział obok pacjentki. Oczy za dwuogniskowymi szkłami przyglądały się jej ciału, od góry do równo ustawionych stóp i z powrotem do zesztywniałej woskowej twarzy.

– Żadnych problemów, tak? Chociaż ciężko trenujesz do pierwszej walki?

Ciężko trenujesz. Pierwsza walka.

Nie słyszała jeszcze, by ktoś tak to ujął – że ciężko trenuje do pierwszej walki.

Czy Ernie Beecher powiedział o tym lekarzowi? Poczuła falę tak wielkiego szczęścia, że nie mogła się odezwać.

– Twój trener prosił o wypisanie ci recepty. Kiedy kobieta boksuje, pojawia się problem... cóż, tak zwanego cyklu menstruacyjnego. Sportsmenka powinna się upewnić, że zawsze jest w pełni formy. Miałem zamiar przebadać cię nieco dokładniej, ale najwyraźniej jesteś w doskonałej kondycji. Wiadomo, że Ernie Beecher pracuje tylko z najlepszymi sportowcami. Zatem, moja droga, jeśli zgodzisz się trochę pomóc, dopełnimy formalności i pójdziesz swoją drogą.

Niewiele z tego słyszała. Nie dotarły do niej wstydliwe słowa „cykl menstruacyjny”. A „swoją drogą”? Co to niby znaczyło?

Myślała tylko: „pierwsza walka”, „ciężko trenujesz”.

Zasapany doktor Danks już nie będzie jej dotykał, tylko to się liczyło.

Naradził się z pielęgniarką-recepcjonistką i szurając nogami, wyszedł z gabinetu. Pogodnym, uspokajającym głosem, jakim mówi się do krnąbrnego dziecka, kobieta oznajmiła D.D., że sama może pobrać wymaz spomiędzy nóg patyczkiem z watą:

– To powinno wystarczyć. To znaczy cytologia.

D.D. bardzo się wstydziła, ale wzięła patyczek i ostrożnie dotknęła się nim między nogami, gdzie (jak zakładała) powinna być klejąca wilgoć. Z wypiekami na twarzy podała zbrukany patyczek pielęgniarce, która ujęła go palcami w rękawiczce.

– Dziękuję.

D.D. została sama w gabinecie i chwilę leżała na kozetce, nie mogąc się ruszyć. Oszczędzono jej hańby badania miednicy.

Ednie Mae by ulżyło, jej obrzydzenie byłoby mniejsze.

D.D. nigdy nie zapomni tych słów: „Ciężko trenujesz. Przed pierwszą walką”. Poczuła ulgę, wdzięczność i nadzieję.

– Dziękuję ci, Jezu!

Jednak jej nie porzucił. Ale przecież to wiedziała.

Po wizycie u lekarza trener dał jej mały plastikowy pojemnik z białymi tabletkami. Jedna dziennie, każdego ranka.

– Na co to? – D.D. nie lubiła pigułek; pamiętała, jak wpływały na Ednę Mae.

Te były mniejsze, ale również białe.

Ernie powiedział, że zapobiegają problemom – „tym comiesięcznym” – a kobiety sportowcy muszą uważać. Wydawał się zażenowany, poirytowany. Jakby to D.D. miała wiedzieć, o co mu chodzi.

Przez długą, wolno płynącą chwilę D.D. nie rozumiała, potem zrozumienie zaczęło pojawiać się jak podnosząca się mętna woda.

Niemal niesłyszalnie, z zawstydzoną miną mruknęła: „Okej”.

Tamtego dnia zaplanowano jej pierwszą walkę.

Teraz była już data, cel. Teraz mogła odliczać w kalendarzu dni do 11 lutego 2009 roku.

Nie chciała sobie przypominać, kiedy poprzednio zaznaczała dni w kalendarzu.

Trenowała już oficjalnie, teraz wszyscy wiedzieli. Szanowali ją. Widziała to w ich oczach, chyba oprócz tych młodych kobiet, które przychodziły na siłownię, tylko żeby „poćwiczyć”. W klubie pojawił się nowy rodzaj zainteresowania, może wręcz podziw.

„To ona? Ta Dunphy?”

„Jezu! Jest jak damski Tyson”.

Któregoś dnia, kiedy sparowała z Eduardem, jednym z obiecujących młodych bokserów Erniego, dawniej walczącym w półśredniej, D.D. zaskoczył cios w prawą skroń, który wyleciał jakby z prawej rękawicy przeciwnika. Była oszołomiona, poślizgnęła się, przyklękła na jedno kolano; czuła, jak ring przyciąga ją niczym magnes. Usłyszała jednak ostrą komendę Erniego: „Wstawaj. Bierz się za niego” i udało jej się odzyskać równowagę, by ruszyć na Eduarda z gradem ciosów w pierś i korpus, w desperacji także w krocze, z morderczym zamiarem rzucenia go na liny.

– Ja pierdolę! Co robisz? Jezu! – Zgięty wpół Eduardo z trudem łapał oddech. Na policzkach lśniły łzy.

Żyłami D.D. popłynęła adrenalina. Tak szybko, jakby przez skórę miały zaraz zacząć dobywać się płomienie.

Ernie wstrzymał sparing. Dunphy uderzyła poniżej pasa, z premedytacją. Do teraz nie widział u tej dziewczyny nic podobnego. W jej kamiennoszarych oczach i małych złośliwych ustach było coś, co go przestraszyło, ale też podekscytowało.

I wtedy już wiedziałem, że Dunphy da radę.

Musisz być głodna, musisz chcieć zabić przeciwnika.

Nic więcej. To wszystko.

„Moja pierwsza walka”.

Te słowa wypowiadane na głos zdawały się odbijać echem.

„Za sześć tygodni, moja pierwsza walka”.

Zaczęła już o tym opowiadać. Kolegom z marketu. Kierowniczce Evelyn, która chyba ją lubiła (choć z zaskoczeniem wysłuchała dobrych wiadomości). Sąsiadce z domu, w którym wynajmowała kawalerkę na parterze, wychodzącą na frontowy dziedziniec, głównie beton.

Nieśmiało, ale z dumą: „Moja pierwsza walka. W Cleveland. Tak, mam trenera i managera”.

Zadziwiało ją, że tak po prostu mogła powiedzieć: „Mam trenera. Ernie Beecher jest moim trenerem”.

Jeszcze dziwniejsze było: „Mam managera. Pana Cassidy’ego”.

Cass Cassidy okazał się wspólnikiem klubu w Dayton. Nie do końca było wiadomo (przynajmniej D.D. nie wiedziała), czy jest partnerem biznesowym Erniego Beechera czy jego pracownikiem. Na pewno traktował go po przyjacielsku, często kładł mu dłoń na ramieniu i nazywał go starym druhem. Facet w średnim wieku (biały), zarządzał bokserami i od czasu do czasu pojawiał się w klubie. Gdy rozlegały się donośny głos i śmiech – to

zapewne był Cass Cassidy wymieniający dowcipy z młodymi (ciemnoskórymi) bokserami.

Cassidy był kiedyś managerem Hectora Rodrigueza. Ale Rodriguez już nie wygrywał i miał innego managera. (D.D. była zrozpaczona, kiedy Rodriguez niejednogłośnie na punkty przegrał walkę w Cincinnati. To była jego trzecia porażka z rzędu. Mówiono, że szczęście się od niego odwróciło, co zaniepokoiło D.D., bo sugerowało, że może pojawić się wielka fala, drżenie ziemi i powódź, której nie da się powstrzymać – akt boski).

Rodriguez od kilku tygodni nie pojawiał się w klubie, a D.D. była tak zajęta własnym treningiem, że przestała go wypatrywać.

– Cze, D.D. Jak tam? – mówił beznamiętnym, ale pytającym głosem.

D.D. mruknęła pod nosem:

– Spoko.

Głos D.D. często zdawał się obrażony, niechętny, kiedy ktoś zadawał jej pytanie. Nie robiła tego specjalnie. Bała się, że zacznie się jąkać albo powie coś niewłaściwego i będą się z niej śmiać.

Byli w biurze Erniego, do którego wezwano D.D. Po południu energicznie ćwiczyła, zdążyła wziąć prysznic, miała mokre, przylizane włosy zaczesane do tyłu. Bolało ją całe ciało, ale była bardzo szczęśliwa! Ernie powiedział, że robi postępy. Kilkanaście razy dziennie szeptała: „Dziękuję Ci, Jezu”.

Ernie przedstawił jej Cassa Cassidy’ego, który miał być managerem D.D.

Cassidy wyciągnął rękę, a D.D. ją uścisnęła. Miał zimne palce. Przez chwilę bała się, że nie puszczą jej dłoni.

W małym biurze Beechera Cassidy mówił, przeciągając samogłoski, głosem jakby zbyt ekspansywnym. Oznajmił, że słyszał o niej od Erniego cholernie dobre rzeczy, a to, co widział na własne oczy, je potwierdza.

D.D. nie wiedziała, czy powinna odpowiadać. Trudno jej było się uśmiechnąć, ale zdobyła się na „dziękuję”.

Mężczyzna przyglądał się jej z tłumionym rozbawieniem. Miał twarz w nieokreślonym wieku, ze zmarszczkami i bliznami, nad górną wargą rósł

wąs w jasnym odcieniu lisiego futra. Cass nie był zbyt wysoki, nosił kowbojki na obcasie, do tego ciemnofioletową koszulę z jakiejś lśniącej tkaniny. Dość rzadkie włosy nieco bardziej płowe od wąsów sczesywał z czoła do tyłu. Oczy miał rozbawione, ale raczej zimne. Zimne gadzie oczy. D.D. przełknęła ślinę i zmusiła się do uśmiechu, bo Ernie się przyglądał, a Ernie by tego chciał. Trener patrzył na D.D. z tą szczególną zmarszczką między brwiami, którą czasami widywała na jego twarzy w trakcie treningu. Potem usłyszała w głowie syczący głos Edny Mae: *To szatan. Oni wszyscy to szatan. Jesteś otoczona przez szatana*.

W biurze trenera podjęto pewne decyzje. D.D. uśmiechała się, by nie wyjść na ignorantkę. Rozumiała, że rozmawiali o niej, zanim przyszła, i poczuła dreszczyk dumy, że dwóch mężczyzn, dwóch dorosłych, naradza się w jej sprawie.

Pomyślała, że ojciec, gdyby wiedział, może byłby z niej dumny. A Luke będzie zazdrosny, ale dumny również.

Decyzja oznaczała, że D.D. będzie pracować w markecie tylko na pół etatu. Ustalili grafik treningów przed walką, która miała się odbyć 11 lutego 2009 roku w Cleveland Armory. Cassidy – „Cass” – będzie przekazywał D.D. pieniądze w miarę potrzeb. Coś jakby kieszonkowe.

– Dostawałaś w dzieciństwie kieszonkowe, D.D.?

D.D. była przytłoczona nowinami. Nie wiedziała, jak odpowiedzieć. Nie zrozumiała nawet pytania.

– Tak. Chyba.

– Cóż, to będzie dużo większe. Gwarantuję.

Podali jej kartkę sztywnego białego papieru – umowę do podpisania. Oszołomiona ekscytacją, wdzięcznością i zaskoczeniem podpisała: „Dawn D. Dunphy”. Szkolne pismo obok dużych pochyłych bazgrołów, których nie potrafiła odczytać, ale które pewnie były podpisem pana Cassidy’ego nad nieznaną D.D. nazwą Dayton Fights, Inc.

Ku swojemu zdziwieniu otrzymała osiem świeżych, pachnących nowością banknotów studolarowych. Odliczył je Cass Cassidy.

– *Vy-la*, D.D., jak to mówią we Francji. Reszta to historia boksu.

Potem niezdarnie, bez ostrzeżenia, Cass Cassidy położył dłoń na głowie D.D., pocierając jej mokre włosy w geście surowego uczucia, jak głaszcze się ulubionego psa. I ośmielił się uścisnąć D.D., nie mocno, ale tak, jak uścisnęłyby Dawn niektóre kobiety z rodziny Dunphych, luźno, uważając na spięte plecy i podniesione brwi przysadzistej dziewczynki. Ścisnął ją i niemal od razu uwolnił.

Dawn była tak zaskoczona niespodziewanym gestem ze strony człowieka, którego się bała, umową i pieniędzmi, pięknie pachnącymi nowymi banknotami, że tylko stała, gapiła się, znieruchomiała, niema, ze spuszczonymi rękami i dłońmi, które bez rękawic były takie nagie.

Równym pismem napisała na kopercie: EDNA MAE DUNPHY NA ADRES MARY KAY MACK, DEPOT STREET, MAD RIVER JUNCTION, do środka włożyła pięć nowych, świeżutkich, pachnących studolarówek i wysłała matce, która zarabiała jako pomoc pielęgniarska w domu opieki jakieś siedem dolarów za godzinę.

Kochana Mamo, to dla Ciebie. Przepraszam, że się trohę nie odzywałam. Mam nadzieję, że u Ciebie, Anity i Noaha wszystko ok.

U mnie dobrze. Teraz jestem w Dayton.

Może pokażą mnie w telewizji w lutym 2009!

Ściskam

Twoja córka Dawn

D.D. Dunphy „Młot Jezusowy”

Jezus jest Panem

Pierwsza walka minęła jak we śnie.

Zakończyła się nagle w drugiej minucie i czterdziestej drugiej sekundzie pierwszej rundy.

W Cleveland Armory zebrało się niewielu widzów. Z pięciuset miejsc w obskurnej hali zajętych było mniej niż sto. Lorina „Puma” Starr kontra D.D. „Młot Jezusowy” Dunphy.

Walkę zawodniczek kategorii półśredniej (obie bez rankingu) zaplanowano na pięć rund jako czwartą przed głównymi pojedynkami. Miała się zacząć wcześnie – o dziewiętnastej. Walką wieczoru był zaplanowany na dwudziestą pierwszą dwunastorundowy pojedynek zawodników wagi ciężkiej, Deontaya Wildera i Tony’ego Thompsona, znajdujących się odpowiednio na czwartym i szóstym miejscu rankingu World Boxing Association.

Walki wstępne ułożono według rosnącego zainteresowania. Tylko dwie ostatnie były transmitowane w telewizji kablowej.

Lorina Starr (D.D. nigdy nie zapomni tego nazwiska) – tę przeciwniczkę wybrali jej na pierwszą walkę. Kobieta po trzydziestce, mieszkała i trenowała w Gary w stanie Indiana. Kiedyś była numerem siedem (w kategorii półśredniej kobiecej federacji WBA), ale po kilku przegranych wypadła z rankingu. Podobno pochodziła z rdzennego plemienia Czikasawów.

(D.D. dowiedziała się, że ani w Ohio, ani w Illinois nie ma rezerwatów rdzennej ludności, mieszkają tam tylko rozrzuceni w różnych miejscach potomkowie, których rząd amerykański dawno temu przeniósł na odizolowane tereny Oklahomy na mocy Ustawy o wysiedleniu Indian. Lorina Starr była potomkinią Czikasawów, którym udało się uniknąć masowej ewakuacji do Oklahomy).

W zdjęciach reklamowych Lorina „Puma” Starr mimo pokrytej bliznami twarzy wyglądała na seksowną, elegancką kobietę. D.D. zdziwiła się, widząc ją na żywo (podczas ważenia), bo okazała się dużo starsza niż na zdjęciach. Sprawiała wrażenie białej, oprócz bardzo ciemnych oczu i bardzo czarnych prostych włosów, ostrzyżonych na krótko, z pasemkami platynowego blondu. Cerę nierówno pokryła czerwonawym pudrem. Ubrana była w seksowny bokserski strój – zdobiony cekinami czerwony sportowy biustonosz i spandeksowe obcisłe spodenki, mocno opinające kształtne pośladki. Nad lewą piersią miała tatuaż czerwonej rękawicy bokserskiej, a na prawym ramieniu warczącą pumę z podkręconym ogonem. Podobno nigdy nie poddała walki i nigdy nie rozczarowała tłumu.

Podczas ważenia przeciwniczka D.D. była roztrzepana i nerwowa, miała ochrypły śmiech przypominający kaszel. Nie chciała nawet patrzeć na dużo młodszą rywalkę, nie mówiąc już o podaniu jej ręki.

– Te, gówniara, nie jestem twoją kumpelą. – Lorina Starr odsunęła się, gdy bokserkom polecono uścisnąć sobie dłonie i D.D. podeszła.

D.D. musiała się powstrzymać przed rzuceniem „Przepraszam!”. To słowo zbyt często cisnęło jej się na usta.

Okazało się, że D.D. Dunphy jest cięższa od Starr o niecałe trzy kilogramy i niższa o pięć centymetrów. Miała zasięg ramion 149, a Lorina 154 centymetrów.

(D.D. nie chciała myśleć, że te pięć centymetrów może okazać się kluczowe. Ernie wzruszył ramionami i powiedział: „Musisz wejść pod nią”).

Wyniki walk Loriny Starr to trzy wygrane, siedem porażek i jeden remis.

Wyniki walk D.D. Dunphy to zero wygranych, zero przegranych, zero remisów.

W hali rozległ się nikły aplauz, kiedy prezenter donośnym głosem przedstawiał bokserki w pierwszej walce wieczoru. Kilka słabych gwizdów na widok błyszczącego czerwonego stanika Loriny i obcisłych spodenek oraz kilka ciepłych oklasków, kiedy ogłoszono wyniki D.D. Dunphy i okazało się, że to jej pierwsza walka.

W najbliższych rzędach siedziało tylko paru widzów, wyłącznie mężczyzn. Głośnych, bardzo prawdopodobne, że pijanych. Niektórzy jedli hot dogi i pili z papierowych kubków. (Piwo oficjalnie zakazane w Armory?).

Podniecona i wystraszona D.D. weszła do hali. Dzwoniło jej w uszach. W ustach zaschło tak bardzo, że nie mogła przełykać, kiedy jeden z pomocników przytknął jej do ust plastikową butelkę z wodą.

W szatni ćwiczyła bardzo energicznie, wręcz desperacko. Pokrywający skórę pot uspokajał ją niczym najmiększy koc.

I rozczarowanie – małe. Manager Cass Cassidy nie pozwolił jej włożyć czarnego stroju imitującego ten Mike'a Tysona. Nie pozwolił jej włożyć czapki z wyszytymi słowami JEZUS JEST PANEM.

„Może później – rzucił na odczepnego. – Kiedy Młot Jezusowy będzie miał jakichś sympatyków".

D.D. Dunphy musiała włożyć ciemnoczerwone spodenki i ciemnoczerwoną koszulkę z białym rąbkiem. Nie miała czarnych butów, ale damskie, ciemnoczerwone z frędzelkami. Na pewno był ku temu jakiś powód, który musiała zaakceptować.

Teraz stała się żołnierzem. Żołnierzem-robotem. Trener ją poinstruował: „Wbij wzrok w przeciwniczkę i nigdy go nie odwracaj. Przykuj do siebie przeciwniczkę spojrzeniem jak żmija i nigdy, przenigdy nie odwracaj wzroku".

Czy zrozumiała? Tak. Zrozumiała.

Przez wiele tygodni powtarzano jej, że ma wygrać tę walkę. Nie może przegrać. Wierzyła w to.

Sekundy przed tym, jak zabrzmiał gong na pierwszą rundę, Ernie spokojnie podawał jej do ucha instrukcje. „Jesteś maszyną do zabijania. Jesteś śmiertelnie groźną żmiją. Jesteś pitbullem". Musi tylko walczyć tak, jak się uczyła i trenowała. Tak wiele razy trener prowadził ją przez kolejne sekwencje ciosów, które wykonywała bezbłędnie i niezmordowanie. Musi „wejść pod nią", bo ma krótkie ręce. Musi iść do przodu, nigdy się nie cofać. W układach treningowych na sali D.D. Dunphy była niemal perfek-

cyjna, ale ze sparingpartnerem robiła się mniej przewidywalna i w tym nieznajomym otoczeniu, w ogromnej hali z setkami miejsc, przy jaskrawych światłach, pojedynczych okrzykach i gwizdach, naprzeciwko przeciwniczki, z którą nigdy nie sparowała, czuła się jak ktoś, kto otworzył drzwi i ma zamiar wejść do środka, wierząc, że po drugiej stronie jest podłoga – a nie czeluść.

W końcu rozległ się gong. Bokserki wyszły z narożników, gapiąc się na siebie jak lunatyczki, które ktoś brutalnie wybudził.

Tak jak puma zbliżałaby się do żmii, Lorina Starr z rozwagą podeszła do młodszej przeciwniczki. Nie zwracała uwagi na wrzaski z widowni. Była wyszkolona w unikach, ucieczkach. Nie zamierzała przyjąć ciosu, bo oberwała już wiele razy i wiedziała, co to znaczy. Dziobała Dunphy lewym prostym, szukając luki, by uderzyć tę przysadzistą białą dziewczynę o szerokich ramionach z wysuniętą prawą ręką i odesłać ją, zataczającą się, na liny, ale to się nie wydarzyło, bo Dunphy stała nisko na nogach, osłaniając twarz uniesionymi rękawicami i umykała ciosom Loriny Starr. To był styl „w chowanego”, który ćwiczył z nią Ernie Beecher, czyli strategia obronna Mike’a Tysona, którą wbił mu do głowy wielki trener Cus d’Amato.

„Jesteś niska, masz krótkie ręce. Musisz iść pod nią”.

Zawodniczki okrążały się do dźwięków pojedynczych okrzyków i gwizdów z widowni. D.D. zdziwiła się, że szybki lewy prosty przeciwniczki ledwo musnął jej ręce i ramiona, zadany dziwacznie, jakby bez siły.

Dziwnie i denerwująco było widzieć twarz i oczy tej drugiej tak blisko swoich! Małe białe blizny na brwiach przyciemnionych kredką, lśniące kolczyki w uszach, co nie było na ringu (D.D. miała pewność) dobrym pomysłem. Skóra wilgotna i zaczerwieniona jak jej własna, nieco blada, szorstka, bez czerwonobeżowego pudru, który (tak zakładała D.D.) miał sugerować „czerwonoskórą”.

Wyczuwając, że jest silniejsza, D.D. naparła do przodu, uderzając prostym, mocniej, niż potrafiła uderzyć przeciwniczka, zmuszając ją do cofnięcia się, wytrącając z równowagi. Cały czas naciskała, próbując wejść pod zasięg wyższej bokserki. Kiedy ustawiła się do zadania prawego prostego

drugą ręką, Starr odskoczyła jak przestraszony królik. Mimo to D.D. udało się trafić szybkim prawym i szybkim mocnym lewym hakiem w prawą skroń i posłać „Pumę” na kolano.

Po sali natychmiast rozeszła się fala podniecenia.

Sędzia zaczął liczyć. Pięć, sześć, siedem... Oszołomiona Lorina Starr próbowała wstać na siedem. Mogła poczekać do dziewięciu, by trochę zyskać na czasie, ale była uparta, arogancka. Krwawiła z rozciętej wargi. Oddychała bardzo ciężko. Sędzia zmarszczył brwi, patrząc na nią, ale pozwolił walczyć dalej. Starr wycofała się, unosząc rękawicę, przygotowując się na atak, o którym wiedziała, że nastąpi i nie sposób mu zapobiec.

Młodsza i silniejsza bokserka agresywnie parła naprzód, atakując zewsząd, uderzając obiema pięściami, gwałtownym nawałem ciosów, do wtóru okrzyków aprobaty rozlegających się w hali.

Widok zakrwawionej twarzy Starr podekscytował D.D. jak widok czegoś zakazanego. Nie spodziewała się, że tak szybko ją zrani. Oczekiwała bardziej doświadczonej przeciwniczki, niebezpieczniejszej.

„Do przodu! Do środka! Uderz!” – słyszała naglący głos trenera, a może wspomnienie jego głosu.

Ogarnęło ją szaleństwo. Czerwona mgła. Przepełniona radością parła do przodu, jakby razem z przeciwniczką tonęły w jakimś okropnym jaskrawo oświetlonym miejscu i D.D. musiała wygrać, całkowicie pokonać tę drugą, by ocalić życie.

Okrzyki tłumu niczym wrzaski drapieżnych ptaków.

Podczas tej pierwszej walki D.D. zrozumiała: stąd właśnie bokser wie, że dobrze mu idzie. Nie tylko zdobywa punkty, ale też podnieca widzów. Onieśmiela przeciwnika, który słyszy okrzyki i doskonale je rozumie. Nie ma potrzeby czekać na skąpe pochwały trenera.

Ta reakcja obcych ludzi jest zaskakująca. Reakcja tłumu pojawiająca się tak od razu. Tłum jest po jej stronie i chce, by zraniła tę drugą, by wygrała.

Potężny lewy hak D.D. Dunphy, ostry prawy prosty. Ćwiczyła je od tylu miesięcy i teraz mogła „odpakować”. Na słabo broniącą się „Pumę” spadały

szalone ciosy, a ona zataczała się na liny, desperacko próbując klinczować z silniejszą przeciwniczką, ale została odepchnięta, zatoczyła się i upadła ciężko, kiedy nogi nie mogły jej już podtrzymać. Głowa uderzyła w matę z głuchym odgłosem. Dysząc z ekscytacji, D.D. schyliła się nad rywalką, nie wiedząc, co robić – nie miała jeszcze doświadczenia, jak reagować na nokdaun czy nokaut przeciwniczki. Cała sytuacja wydawała się nierealna, więc zastanawiała się, czy to nie podstęp. Czy ta druga zerwie się i zaatakuje. Serce D.D. biło jak oszalałe, napędzane adrenaliną. Kiedy ktoś dotknął jej ręki (sędzia kazał jej przejść przez ring do neutralnego narożnika), instynktownie chciała uderzyć tę osobę.

Ale tego nie zrobiła. Zrozumiała. Trener głośno krzyczał i zrozumiała.

Stała w neutralnym narożniku, gapiąc się szeroko otwartymi, piekącymi od potu oczami na sędziego, który po odliczeniu do pięciu przerwał walkę, szybko machając skrzyżowanymi przedramionami, bowiem Lorina Starr nie reagowała.

W hali rozległy się okrzyki i oklaski. Pierwsza walka D.D. Dunphy z Dayton w Ohio w kategorii półśredniej zakończyła się nokautem – to rzadkość w kobiecym boksie. I to w pierwszej rundzie: w drugiej minucie i czterdziestej drugiej sekundzie pierwszej rundy.

Czy to możliwe? Niepewnym krokiem D.D. wyszła z neutralnego narożnika, wezwana przez sędziego. Nie chciała z bliska patrzeć na leżącą Lorinę Starr.

Sędzia podniósł jej rękę. Wymówiono głośno nazwisko: „D.D. Dunphy «Młot Jezusowy», wygrana przez nokaut w drugiej minucie i czterdziestej drugiej sekundzie pierwszej rundy”.

Obok stał trener. Wyjął jej ochraniacz na zęby. Uśmiechnęła się niczym niewidomy zdezorientowany falami dźwięku. Twarz D.D. wyglądała jak spoliczkowana, czerwona od ciosów przeciwniczki, ale bez krwi. Skóra pozostała nietknięta. Wargi nierozcięte. Stała niezdarnie, zlana potem, lśniącym w jaskrawych światłach. Z głupim poczuciem winy gapiła się na pokonaną przeciwniczkę, powoli odzyskującą świadomość. Trener i pomocnicy pomagali tamtej wstać, a niewielka grupa widzów wciąż klaskała, wiwato-

wała, krzyczała. Podobał im się występ D.D. Dunphy, a teraz pora na (przelotne) uznanie dla przegranej bokserki Loriny Starr, dla której miała to być ostatnia walka.

D.D. stała na ringu, w jaskrawych światłach, z opuszczonymi rękawicami, niepewna, co robić. Po prostu nie wiedziała, dokąd iść.

I wtedy pojawił się ktoś, jakiś mężczyzna, złapał ją i uścisnął.

Trener! Ernie Beecher właściwie nigdy nie dotknął. D.D. Dunphy inaczej niż po to, by zawiązać i zdjąć jej rękawice bokserskie. A teraz Ernie ją ściskał!

– Dobra robota, D.D.! Doskonały podbródkowy. Szybki jak żmija.

Ale ileś ciosów spudłowała. Popełniła błędy. Tyle że przeciwniczka popełniła ich więcej.

Powie jej to później, na sali. Ale nie teraz.

Lorina Starr mogła już stanąć bez podtrzymujących asystentów, choć wciąż byli blisko niej. Zapadnięta, pobliźniona twarz krwawiła z licznych rozcięć. Wyglądała na bardzo zmęczoną, na jeszcze starszą niż trzydzieści lat, pewnie o dekadę. Próbowała coś powiedzieć, nawet się uśmiechnąć – ale nie mogła. W przypływie emocji D.D. odsunęła się od trenera, by podbiec do Loriny, przytulić ją z dziewczęcym entuzjazmem, bo widziała, jak zwycięzcy bokserzy przytulają pokonanych przeciwników. Niemal osłabła z wdzięczności, z ulgi, że walka dobiegła końca, że ją wygrała.

Skóra obu była rozpalona i klejąca, dotknęły się, śliskie od potu. Z dużej odległości okrzyki z widowni niczym burza odbijały się echem nad ich głowami.

Lorina miała spuchnięte wargi, nie mogła mówić. D.D. wydała z siebie gwałtowny szloch:

– Niech cię Bóg błogosławi. Jezus kocha też ciebie. Dziękuję.

Asystenci pospiesznie zmusili je do zejścia z ringu. Obok lin stało już dwóch zawodników (mężczyzn) z kategorii półśredniej, zachęcanych świeżą falą aplauzu.

„Pierwsza walka D.D. Dunphy”. Niewyraźne zdjęcia powieszono na frontowej ścianie klubu. Wycinek z gazety o gali bokserskiej w Cleveland; w ostatnim, krótkim akapicie podkreślono na żółto najważniejsze wersy.

Kiedy D.D. pojawiła się na sali w następnym tygodniu, rozległ się spontaniczny aplauz.

Teraz patrzyli na nią już nieco inaczej. Nie z pogardą (kiedy nie widziała), ale z subtelną zawiścią i podziwem.

Za pierwszą walkę otrzymała w kopercie dziewięćset dolarów w świeżych, pachnących nowością banknotach.

Nie wiedziała, ile dostanie pieniędzy – nie chciała o to pytać. Przecież podpisała kontrakt i powinna znać takie szczegóły. Jednak czytanie umowy przysparzało jej trudności, były tam słowa, których nigdy wcześniej nie widziała. Dlatego trzymała swój egzemplarz w bezpiecznym miejscu, w teczce, w małym kartonowym pudełku pod łóżkiem w wynajętym pokoju. Nie chciała się wstydzić przed trenerem. Nie chciała się wstydzić przed panem Cassidym, którego D.D. Dunphy zdawała się jednocześnie lekko bawić i kłopotać, jeśli nie lekceważył jej odrobinę jako „damskiej bokserki”. (Usłyszała przypadkiem, jak Cassidy nazywa ją „naszym byczkiem” – co pewnie miało być czułe. Przypomniała sobie, jak w liceum, kiedy grała w dziewczęcej drużynie koszykówki, o Dawn Dunphy mówiono podobnie, też nie złośliwie).

Ekscytował ją widok takiej sumy pieniędzy. Dziewięć studolarowych banknotów! W pierwszej chwili zapragnęła zadzwonić do Luke’a i mu powiedzieć. Z jakiegoś powodu myślała o swoim bracie. *Widzisz? A nie mówiłam, dupku?*

Ale nie: czuła się dobra, wspaniałomyślna. Kochała brata – wszystkich ich kochała.

Choć kilka miesięcy wcześniej posłała pięć setek Ednie Mae, nie miała wiadomości od matki. Mimo to ponownie włożyła do koperty zaadresowanej: EDNA MAE DUNPHY NA ADRES MARY KAY MACK, DEPOT STREET, MAD

RIVER JUNCTION pięćset z dziewięciuset dolarów i dodała do nich zwykłą, równo złożoną kartkę papieru.

Kochana Mamo, to dla Ciebie.

Mam nadzieję, że u Ciebie, Anity i Noaha wszystko dobrze.

Pozdrów ode mnie Luke'a i Mary Kay.

Wygrałam swoją pierwszą walkę w Cleveland. Mówią, że idę do przodu. Tym razem nie pokazali mnie w telewizji, może następnym.

Mam nadzieję, że dobrze Ci idzie w pracy pielęgniarki.

Uściski

Twoja córka Dawn

D.D. Dunphy „Młot Jezusowy"

– Kiedy wygrywasz, wiele osób chce się z tobą przyjaźnić. Kiedy przegrywasz, nawet twoja cholerna rodzina nie chce cię znać.

Ale Mickey Burd zazwyczaj żartowała. Miała piskliwy nerwowy śmiech, od którego D.D. swędziało coś w środku.

Jakimś sposobem, po wygranej pierwszej walce Mickey Burd została jej przyjaciółką. Pojawiła się w klubie któregoś popołudnia, by popatrzeć, jak D.D. Dunphy trenuje, i tak się zaczęło – najpierw podbiegła, by mocno ją uściskać i pogratulować wygranej, ośmieliła się nawet musnąć ustami jej spocony policzek.

– Cholera, laska, nieźle ci idzie!

D.D. była tak zaskoczona, że opuściła rękawice. Ernie zmarszczył czoło na widok swojej byłej zawodniczki ściskającej nową zawodniczkę, ale nie zareagował.

W przyjaźni Mickey i D.D. dziewięćdziesiąt procent gadania załatwiała Mickey, co D.D. bardzo odpowiadało, a ponieważ Mickey miała szalone poczucie humoru, D.D. śmiała się, aż bolał ją żołądek.

Przez większość czasu (i nigdy w samotności) D.D. wcale się nie śmiała. Co w tym świecie zabawnego? Jej umysł w naturalny sposób pogrążał się w smutku, kiedy zostawała sama. Albo kiedy układała towar na półkach

w Targecie, czyli kiedy właściwie też była sama. Próbowała myśleć o tym, że wygrała pierwszą walkę i że ma już ustawioną drugą, i jak bardzo byłby z niej dumny ojciec, tyle że ojciec już nie żyje, a zresztą kiedy uczciwie się nad tym zastanowiła, to wcale nie miała pewności, że Luther Dunphy zaakceptowałby córkę bokserkę. Zostawiłaby ocenę Jezusowi, ale On stał z boku, jeśli problem był tak banalny, nie lubił bowiem, gdy D.D. rozpamiętywała i była smutna. Należy przecież radować się w Panu, jak powtarzano jej w dzieciństwie. Nigdy jednak nie przychodziło jej do głowy nic zabawnego, za to Mickey Burd – nieustannie.

Mickey zabrała D.D. Dunphy do swojej ulubionej pizzerii, by uczcić zwycięstwo nad Loriną Starr.

– Jaka z niej puma! Suka ma szczęście, że nie złamałaś jej szczęki i nie musieli drutować.

Mickey zaczęła mowić o rzeczach, które D.D. powinna zrobić dla siebie teraz, kiedy trochę zarobiła.

– Po pierwsze, możesz zrobić coś z włosami. Wyglądają, jakbyś nic z nimi nie robiła, tylko czasami myła, ale kiedy stajesz się osobą publiczną, a tak jest w boksie, szczególnie kobiecym, to powinnaś się wyróżniać. Na przykład ja rozjaśniałam włosy na różne kolory, aż się wysuszyły i zrobiły cholernie szorstkie, więc teraz pozwalam im wrócić do zwykłego brązu. Ale zrobię sobie jasne pasemka. Ty też możesz, pomogę ci. Jasne albo czerwone, albo nawet fioletowe, pomarańczowe, zielone, i ostrzyc je na irokeza, wiesz o co chodzi? Żebyś wyglądała jak lesba, ale w fajny sposób.

D.D. zarumieniła się, słysząc te słowa. Wiedziała, co to irokez – niektórzy faceci się tak strzygli.

– No dobra, może nie „fajny”. Bo w końcu jesteś poważnym sportowcem. Ale żeby był jakiś związek, no wiesz, z Indianami. Twój manager Cassidy mógłby mówić, że masz indiańską krew, jak Lorina Starr, tyle że ta biedna suka naprawdę pochodzi z jakiegoś cholernego indiańskiego plemienia, które dostaje ulgi podatkowe. – Mickey zaśmiała się cierpko. – Jakoś jej to nie pomogło!

D.D. zastanawiała się, dlaczego Mickey z taką pogardą mówi o Lorinie Starr. Czy nie wystarczyło, że znokautowała ją w ringu debiutantka i „Puma” przegrała? D.D. zaczęła zauważać, że w boksie przegrani stają się przedmiotem kpin i wzbudzają rodzaj złości, jakby dystansowanie się od frajerów było sposobem na chronienie się przed frajerstwem.

– Boksowałaś z nią kiedyś? – zapytała pod wpływem impulsu D.D.

– Pieprzyć ją. Mam ją gdzieś.

Mickey zdawała się zirytowana. Zapewne walczyła z Loriną Starr i zapewne przegrała. D.D. nie zamierzała drążyć tematu.

– Gadamy o tobie, dziewczyno. „Młot Jezusowy” – to wymaga czegoś wyjątkowego.

D.D. hipnotyzowała ta nowa przyjaciółka, którą ledwie znała, a która mówiła o niej tak poufale i rzeczowo. Kiedy mieszkała w domu jako Dawn Dunphy, nigdy nie przyszło jej do głowy, że jest osobą, o której inni mogą mieć jakieś zdanie, w dodatku takie konkretne. Pasemka we włosach? Irokez?!

Tylko największe dupki pracujące w sklepach takich jak Safeway, Walmart, Walgreen’s, Target robiły sobie irokezy i to były krótkie, mniejsze irokezy, które można by pomylić ze zwykłą fryzurą na jeża.

– Wezmę cię do salonu, w którym pracuje moja kuzynka, i zobaczymy, co mogą z tobą zrobić. Może nie irokeza, ale coś ostrego i fajnego. Ernie mówi, że jeśli wygrasz następną walkę, to pewnie będziesz w telewizji. A wiesz, że Ernie nigdy nie przesadza. Kolorowe pasemka byłyby super. I dziary.

– Dziary?

– Tatuaże. Musisz mieć supertatuaże na swoim superciele.

D.D. się zaśmiała, potrząsając głową. Nigdy się nie zgodzi na tatuaż. To byłoby ostateczne zerwanie z Edną Mae i wszystkimi członkami jej Kościoła. Nie ma nic bardziej dzikiego i pogańskiego niż tatuaże – tak uważali rodzice.

– Raczej nie, Mickey. To niemożliwe.

– Czemu, do diabła?

– Bo to jest coś pogańskiego. Niechrześcijańskiego.

– Jezus mówił coś o dziarach? Już to widzę.

D.D. zaśmiała się zaszokowana. Nie pamiętała, by Jezus kiedykolwiek mówił coś o tatuowaniu ciała, ale to nie byłoby podobne do Jezusa, by kogoś besztać czy ograniczać.

– Po prostu mój Kościół... tak jakby mój Kościół, no ten, do którego chodzi moja rodzina, tego nie akceptuje...

Ale mówiła bez przekonania. Mickey skrzywiła się i roześmiała.

– Są też chrześcijańskie dziary. Takie są najlepsze. Jest też chrześcijański rock, wiesz? I chrześcijańskie kapele heavymetalowe. To serio fajne. Zajebiste. Napij się piwa. Nie możesz bez przerwy trenować.

– Erniemu by się nie spodobało...

– Pieprzyć Erniego. Co on, twój narzeczony? No żeż kurwa.

D.D. zaskoczyły te słowa. Nie mogła uwierzyć, że przyjaciółka wyraża się w ten sposób o Erniem Beecherze.

– Zrozum, laska, Ernie nie musi wiedzieć.

Mickey przelała wodę ze szklanki D.D. do swojej i nalała dziewczynie resztę piwa.

– No dalej, napij się. Nie umrzesz od tego.

D.D. z wahaniem uniosła szklankę. Zapach piwa zawsze ją intrygował. Edna Mae denerwowała się, kiedy Luther pił, kiedy wyczuwała alkohol w jego oddechu, ale inni w rodzinie Dunphych pili, wiedziała. Bracia Luthera.

Upiła mały łyk. Zmarszczyła nos. Smak był tak mocny, że poczuła w nosie coś ognistego. Widząc, że przyjaciółka przygląda jej się bacznie, D.D. zaśmiała się. I czknęła.

Mickey miała wokół oczu rozmazane obwódki z tuszu do rzęs. Często wyglądała na zaspaną, jakby dopiero co wybudzono ją z głębokiego snu. Przez ciemne odrosty słomkowe włosy wyglądały jak dryfująca kilka centy-

metrów nad głową aureola. Mickey miała zwyczaj oblizywania dolnej wargi, a gdy to robiła, D.D. przeszywał dreszcz, jak wtedy, gdy kot lizał ją po ręce.

– Ostrzyżemy cię i zrobimy trochę pasemek. I piękny tatuaż. Sama go wybierzesz.

Zarumieniona D.D. potrząsnęła głową. To się nigdy nie zdarzy.

Mickey zabrała ją do salonu tatuażu Golden Arrow na Division Avenue.

Pojechały do centrum Dayton, gdzie D.D. dotąd się nie zapuszczała, w okolicę knajp, lombardów, salonów kosmetycznych i salonów tatuażu. Division Avenue była szeroką, smaganą wiatrem i zaśmieconą ulicą; przecięły ją biegiem, zanim zmieniło się światło – jak dwie uczennice – śmiejąc się i piszcząc, kiedy ruszyły na nie auta.

– Siema, Marco! To moja kumpela, D.D. Dunphy „Młot Jezusowy". Przyszła cholerna mistrzyni świata wagi półśredniej.

Mickey wkroczyła do jaskrawo oświetlonego salonu tatuażu, w którym dziewczyny odbijały się w ścianach jak wykrzywione, zdeformowane wersje siebie. D.D. spojrzała i szybko odwróciła wzrok. Miała tak nijaką i chropowatą twarz i tak gęste brwi, że aż poczuła do siebie wstręt.

– Patrz. Tutaj. – Mickey pokazywała jej przyklejone na ścianie projekty tatuaży.

Na prawym bicepsie D.D. Dunphy miał się znaleźć krzyż ze szkarłatnych róż, wysoki na dziesięć centymetrów. Na lewym bicepsie – podobny krzyż z białych lilii.

Na plecach, blisko karku, ozdobną czarną czcionką miał być wytatuowany napis JEZUS JEST PANEM.

To ogromne przedsięwzięcie wymagało wielu godzin pracy.

Mickey wyszła, wróciła z colą i cheeseburgerami. D.D. była zdeterminowana, by nie krzywić się z bólu, kiedy igła dziobała, kłuła, męczyła jej skórę, jak żywe stworzenie, które pożerało ciało.

– O Boże, D.D. Jakie to, kurwa, p i ę k n e.

D.D. przyglądała się sobie w lustrze. Na obu nagich rękach – krzyże. Na plecach, pod karkiem, JEZUS JEST PANEM. Spodziewała się poczuć falę wstydu, ale poczuła falę czegoś innego.

Była toporna i niezdarna, ale miała serce. To z pewnością miała D.D. Dunphy.

U boksera serce umiera ostatnie. Tuż przed końcem życia.

Najpierw tracą serce. Potem tracą życie.

– Dziękuję Ci, Jezu.

W ciągu następnego roku D.D. pięła się w górę w rankingu kobiecej kategorii półśredniej. Została numerem trzynastym, potem dziesiątym, potem ósmym... Drugą walkę stoczyła z Kanadyjką, kiedyś z kategorii półśredniej juniorów. Tamta pochodziła z Nowej Szkocji, przechodziła teraz do półśredniej, była wspaniale precyzyjna, elegancka, bardzo szybka, jednak podobnie jak Lorina Starr zaskoczył ją agresywny styl Dunphy: *Idź naprzód. Wejdź pod nią. Użyj siły. Obserwuj. Zrób jej krzywdę*.

Kanadyjka nazywała się Cameron Krist. Miała amerykańskiego trenera, managera i promotora. Stoczyła w Stanach sześć zawodowych walk i wszystkie wygrała na punkty. Nosiła białe satynowe spodenki z czerwonym obszyciem, białą koszulkę z czerwonym liściem klonowym wyszytym z przodu i z tyłu. Jasne włosy mocno splatała. Skórę miała gładką. Emanowała pewnością siebie zawodniczki, której nie da się trafić, bo jest za szybka i za inteligentna.

Wysoki, pełen gracji ptak skonfrontowany z niskim, pozbawionym wdzięku ptakiem atakującym.

Młot nie był ostrożny. Młot zaatakował ze ślepą furią.

Młot w lśniących czarnych spodenkach, czarnej koszulce. W czarnych butach. Na bicepsach Młota tatuaże: krzyż zdobiony białymi liliami i drugi zdobiony czerwonymi różami. Tuż pod karkiem napis JEZUS JEST PANEM.

Jak tylko bokserki wyszły na ring, stało się oczywiste: ta w białych spodenkach z czerwonym zdobieniem jest tą seksualnie atrakcyjną, ta w czarnych – tą nieatrakcyjną. Mimo to pełne ekscytacji zainteresowanie widzów (głównie mężczyzn) skupiło się na zawodniczce w czarnych spodenkach, kiedy zaczęła okładać przeciwniczkę i zrobiła z niej głupią, bezradną dziewczynkę.

Bo bijąc drugiego, stajesz się człowiekiem. To właśnie znaczy „człowiek” – zmuszanie innych siłą do poddania się tobie.

Gładka skóra Krist była zakrwawiona. Oczy podbite, siniaki wyjdą później. Śliska smuga czerwieni pod nosem. Z dwucentymetrowego rozcięcia w łuku brwiowym ciekła krew. Sędzia przyglądał się, marszcząc czoło, ale nie przerwał walki. Kiedy Krist znów próbowała klinczować, ostro rozdzielił bokserki.

– Break! Cofnąć się.

Rozległy się pojedyncze okrzyki, kiedy D.D. ruszyła, by zabić uderzeniami potężnymi jak machnięcia kosy.

Myślała o Mike’u Tysonie: *Lubię uderzać w nos, wciskać kość nosową do mózgu*.

Krist leżała, zaplątana we własne nogi. Krist leżała na macie twarzą do dołu i przez kilka minut miała się nie podnieść.

Tym razem D.D. Dunphy nie była tak zdezorientowana. Na spokojnych, silnych, nogach niespiesznie odeszła do neutralnego narożnika i czekała na liczenie.

Przepełnione adrenaliną serce skakało z radości, podniecenia. Walkę przerwano. Trener wszedł na ring i szybko podszedł do D.D.

Uścisnął ją i radośnie mruknął do ucha: „Dobra robota. Lepsza niż pierwsza”.

Sędzia jej gratulował. Dopiero teraz uważniej na niego spojrzała: czarny mężczyzna, w średnim wieku, spostrzegawczy. Jak ten człowiek na nią patrzył!

Wyjęli jej z ust mokry od śliny ochraniacz. Rękę, która jeszcze nie zaczęła boleć, uniesiono. Rękawicę usmarowaną krwią przeciwniczki uniesiono. Choć D.D. Dunphy rozumiała, że wygrała walkę, waga zwycięstwa jeszcze nie do końca doszła do jej świadomości, jak bawełniany płatek powoli wchłaniający wilgoć; rozglądała się więc po hali, mrugając, z załzawionymi oczami, jakby szukała wśród wykrzywionych od wiwatów twarzy jakiejś znajomej.

– Zwyciężczynią przez nokaut w pierwszej minucie i pięćdziesiątej piątej sekundzie pierwszej rundy zostaje D.D. Dunphy „Młot Jezusowy".

– Ona jest morderczynią. Jezu, przeraża mnie!

Ale to był rozkoszny rodzaj przerażenia. D.D. „Młot Jezusowy" odczuwała je jak dreszcz kota, którego się głaszcze.

Przychodziła na salę codziennie. Uwielbiała to. Na frontowej ścianie przy recepcji wisiał wycinek z „Dayton News" ze zdjęciem D.D. Dunphy „Młota Jezusowego" nad krótkim artykułem z nagłówkiem *Zawodniczka z Ohio (21) niespodziewanie wygrywa z kanadyjską gwiazdą kategorii półśredniej*.

Czy to niespodziewana wygrana? D.D. nie zdawała sobie z tego sprawy.

Za to była prawie pewna, że Cameron Krist nie jest gwiazdą.

Wciąż pracowała na pół etatu w markecie. Za drugą walkę dostała tysiąc dwieście dolarów, ale miała różne nowe wydatki, nie mogła więc wysłać Ednie Mae więcej niż pięćset dolarów.

Wiedziała, że matka dostała poprzednio wysłane pieniądze, bo po drugiej walce odezwał się Luke. Brat zaczął od pogratulowania D.D. wygranych walk, ale w połowie rozmowy zrobił się wredny i w końcu powiedział, że Edna Mae „nie tknie ani grosza z pieniędzy, które dostała, a które nazywa szatańskimi". Oddała je Mary Kay Mack, którą „gówno obchodzi, skąd te pieniądze, dopóki może je wydać na siebie".

Tak, Edna Mae, Anita i Noah wciąż mieszkają z Mary Kay w tym zrujnowanym starym domu na Depot Street. Edna Mae bierze nocne zmiany w domu opieki i dwa razy w tygodniu chodzi do kościoła, w którym – jak

twierdził Luke – jest wyjątkową osobą. Nie z powodu Luthera, ale oddania Kościołowi i ruchowi obrony prawa do życia. Anita i Noah chodzą do liceum. Mary Kay musiała przejść na rentę, bo artretyzm zrobił z niej prawie kalekę. On, Luke, pewnie niedługo się ożeni – od roku mieszka z kobietą, która ma dwójkę małych dzieci. „Chyba już pora". Zaśmiał się, jakby to był żart, a może poważna refleksja podana jako żart. Kiedy się rozłączył, D.D. zdała sobie sprawę, że brat nie zapytał w ogóle o nią – tylko o to, ile będzie zarabiać na boksie, jeśli kiedyś trafi do telewizji.

Odbyła się trzecia walka, w Gary w stanie Indiana, którą D.D. Dunphy wygrała w pięciu rundach przez techniczny nokaut, ale tej również nie pokazali w ESPN. Potem była czwarta walka, w Wheeling w Wirginii Zachodniej, przeciwko miejscowej zawodniczce z rekordem 6-2, którą D.D. Dunphy wygrała niejednogłośnie po pięciu potwornych rundach.

Słyszała, jak ktoś powiedział: „To nie jest ona. To on".

W nielicznych wzmiankach prasowych o występach D.D. Dunphy pisano: *Oto bokserka, której przydomek „Młot Jezusowy" pasuje do stylu. Dunphy to jest młot!*

W Dayton, które stało się jej „miastem pochodzenia", zaczęto ją rozpoznawać. Prowadzący program radiowy przeprowadził z D.D. wywiad dla *Good Morning, Dayton!*

– Oto sportsmenka, która traktuje swoją dyscyplinę tak poważnie jak mężczyźni. D.D. Dunphy się nie przechwala, D.D. Dunphy nie marnuje słów. Jak trafiłaś do tego niebezpiecznego sportu, D.D.? Opowiesz coś?

Miała pustkę w głowie. Nie potrafiła sobie przypomnieć, jak została bokserką. Czy to miało coś wspólnego z jej ojcem?

– Oglądałam boks w telewizji. Chyba.

– Na kim się wzorujesz?

Na to pytanie mogła odpowiedzieć. Gatti, de la Hoya, Roy Jones, Mike Tyson.

– Nie taki, jaki jest teraz, ale jaki był kiedyś.

Słowa spłynęły z języka i chyba były sensowne, bo dziennikarz się uśmiechnął.

– Spotkałaś kiedyś Mike’a Tysona?

– N-nie.

– Czy sądzisz, że kobiecy boks dorówna osiągnięciom męskiego boksu?

Czy to było podchwytliwe pytanie? Wiedziała, że odpowiedź brzmi „nie”. Ale nie mogła tak powiedzieć, więc z wahaniem odparła:

– Może kiedyś, na razie nie.

– A to dlaczego, D.D.?

– Bo nie ma zbyt wielu boksujących kobiet. Jeszcze.

– Ludzie są uprzedzeni do boksujących kobiet, pewnie o tym wiesz, D.D. Nie chcą oglądać okładających się i krwawiących dziewczyn. Skomentujesz to?

Nie była pewna, co powiedzieć. Siedziała, obgryzając skórkę na kciuku i czekając, aż jakieś słowa same przyjdą.

– Uważa się, że kobiety to karmicielki, a nie wojowniczki. Lecz oczywiście powinny móc uprawiać każdy sport, który uprawiają mężczyźni, tak się obecnie myśli. Zgadzasz się?

D.D. skinęła głową.

Ale przecież jest w radiu! Dziennikarz gestem nakazał jej się odezwać.

– T-tak.

– Z tego, co wiem, jesteś w grupie promującej wprowadzenie boksu kobiecego na olimpiadzie?

D.D. skinęła głową.

– To znaczy t-tak...

– Mimo że nie przeszłaś w ogóle kariery amatorskiej. Czy byłabyś lepiej obeznana, wytrenowana, przygotowana do zawodowej kariery bokserskiej, gdybyś mogła ćwiczyć jako amatorka? Na przykład występować w kobiecej drużynie olimpijskiej?

D.D. próbowała zrozumieć, co słyszy. Nie chciała powiedzieć – nie chciała dać do zrozumienia – że w jej treningu, czy w ogóle w jej karierze, czegoś brakuje. O co dokładnie pyta ten dziennikarz? W lewym uchu po walce wciąż lekko dzwoniło. U podstawy karku pulsował tępy ból.

– No cóż, D.D., powiedz teraz naszym słuchaczom: czy jesteś ortodoksyjną feministką? Boksująca kobieta chyba powinna być feministką.

Ortodoksyjną. Nie zrozumiała albo nie potrafiła zinterpretować szerokiego uśmiechu dziennikarza.

– Tak. Chyba tak.

– Popierasz ruch pro-choice?

– Pro-choice? Co?

– Proaborcyjny. No wiesz, kobiety mające kontrolę nad swoimi ciałami.

– Nie wiem... Chyba nie.

– Nie? Nie popierasz aborcji?

Pokręciła głową. Temat ją brzydził, dziennikarz to zauważył i się wycofał.

– W takim razie miło było gościć cię tego ranka w radiu WOHI, D.D. Dunphy! Powiedz jeszcze słuchaczom, gdzie i kiedy będzie można obejrzeć twoją następną walkę.

Na to pytanie znała odpowiedź. Wyrecytowała datę, nazwisko przeciwniczki i miejsce – Indianapolis w stanie Indiana.

– Byłaś kiedyś w Indianapolis, D.D.? Widziałaś miejsce, w którym będziesz walczyć?

Potrząsnęła głową.

Po raz pierwszy oberwała – naprawdę oberwała.

Cios pojawił się znikąd, był zaskoczeniem. Z lewej strony nic nie widziała – najwyraźniej nieświadomie opuściła lewą rękawicę (choć trener tysiące razy uczył, by tego nie robiła), w przypływie adrenaliny straciła koncentrację i przeciwniczka (szczupła, czarna, z Chicago, junior średnia, przy-

tyła sześć funtów, by walczyć, była mistrzyni kick-boxingu, numer dwa w swojej dywizji w kobiecej lidze bokserskiej Środkowego Zachodu, dwadzieścia osiem lat, sześćdziesiąt siedem kilogramów, zasięg ramion sto pięćdziesiąt siedem centymetrów: dynamit) dopadła ją.

– Rusz dupę i walcz, białasko!

Jamala trzymała rękawice przy twarzy, dzikiej i pięknej twarzy. D.D. poczuła, jak jej dusza mięknie na widok takiej urody, tak jak kiedyś na widok Penelope Schine miękły kolana.

I dlatego oberwała tak jak nigdy dotąd. Nie widziała, jak nadchodzi cios, jak trafia w okolice lewego oka, miażdżący cios w kość policzkową śliską od wazeliny (wazelina jednak nie uratowała kości) i łuk brwiowy, gdzie na skórze natychmiast pojawiło się długie na dwa centymetry rozcięcie i zaczęło krwawić, zanim D.D. zdążyła zarejestrować, że w ogóle została trafiona. Musiała teraz kontrować – ale nie potrafiła, nie miała siły. Przez kilka chaotycznych sekund nie wiedziała, co się dzieje, ani że leży (co było dla niej czymś nowym, tak jak nowe i szokujące było szaleństwo tłumu kibicującego miejscowej dziewczynie, „Księżniczce” Jamali Prentis, która miała złote tatuaże sztyletów na bicepsach i pasujący do nich złoty siekacz, pięknie ukształtowaną głowę Nefretete, ogoloną i lśniącą od potu niczym klejnot), ale była zdeterminowana, by wstać, zerwać się na nogi, jakby wchodziła po schodach, w górę, w górę – i w końcu na drżących kolanach wstała, a sędzia odszedł na bok, pozwalając Jamali Prentis znowu zaatakować mocnym, kłującym ciosem w nieosłonięty korpus D.D., która znowu upadła, przyklękła na jedno kolano, potrząsając głową, by oprzytomnieć, słysząc szydzącą Jamalę – „Biała suka!”. Krew zbierała się w ustach. Krew dusiła, wywołując kaszel. (Publiczność wyła – czy to było ostrzeżenie? Czy zachęta dla Jamali Prentis, by ją zniszczyła?). Ale wstała, choć wydawało się to cudem – Dunphy wstała.

Próbowała ocalić resztki tej walki. Nie potrafiła otrzeźwieć na tyle, by sobie przypomnieć, czy to czwarta runda. Trzecia? (I ile jeszcze ich zostało?). Potrzebowała czasu, by się pozbierać, potrzebowała czasu, żeby naprawić swój błąd, ale czy była dość silna, by ustać na nogach jeszcze dwie

rundy? – raczej nie. Niczym zranione zwierzę musiała cofnąć się do swojej strategicznej pozycji obronnej: ugięte kolana, pochylona głowa, rękawice uniesione, by chronić krwawiącą i posiniaczoną twarz. Wyższa Jamala Prentis stała przed nią, uderzając swobodnie, zadając kolejne ciosy, których nie dało się zablokować i skontrować – D.D. miała takie słabe ramiona... *Jezu*, *pomóż!* Jak dotąd w swoim nowym życiu ani razu nie wezwała Go na pomoc.

Na podwyższeniu ringu, w gorącym świetle reflektorów, widziała miniaturowe tęcze wilgoci. Pot spadał kropelkami z oświetlonego czoła Jamali, a oczy ciemniały jak oczodoły w czaszce. Zrozumiała, że triumfująca „Księżniczka" również jest wyczerpana, biła bowiem ileś razy w niereagującą, stoicko upartą białą przeciwniczkę, której niska postawa zmuszała wyższą Jamalę, by uginała kolana, plecy, kurczyła się w nienaturalny sposób, wbrew instynktowi.

Takie wyczerpanie w połowie walki nie było niezwykłe – D.D. Dunphy poczuła przypływ nadziei, że pojedynek jeszcze się nie skończył. Nie została pokonana. Miała zakrwawioną twarz, żebra i ramiona pulsowały bólem, ale był stłumiony, jakby gdzieś daleko. Potrafiła zidentyfikować to uczucie jako ból, ale nie jej własny. Przeciwniczka również oddychała przez otwarte usta.

Sklinczowały. Trzymały się jedna drugiej. Tonęły wspólnie, a jednak nie odważyły się puścić, dopóki sędzia ich nie rozdzielił.

– Break!

Gdzieś przy głowie zadźwięczał gong. D.D. Dunphy zamrugała, by złapać ostrość widzenia, zamazanego w obu oczach. Nie potrafiła pojąć, gdzie jest, do którego narożnika się skierować, ale musiała się do niego dotoczyć i nie upaść na matę.

Ktoś krzyknął do niej:

– Tutaj!

Na ślepo ruszyła w stronę tej osoby. Zataczała się na sztywnych kolanach, przeciwniczka w klinczu uderzyła jeszcze w dolną część pleców.

Mężczyzna czuł do niej takie obrzydzenie, że nie wypowiedział nawet jej imienia; ona nie wypowiedziała jego. Opadła ciężko na stołek. Zamknęła oczy, żeby nie widzieć. Ciemna bliznowata twarz, wściekłe oczy. Zawiodła go! Nie dała z siebie wszystkiego.

Ktoś pospiesznie, desperacko naprawiał zrujnowaną twarz Dunphy sztyftem do tamowania krwi. Sędzia przyszedł obejrzeć ponaddwucentymetrowe rozcięcie na prawej brwi, schylił się nad D.D. z miną uważnie kontrolowanej pogardy.

Bokserski świat, jak mówiono, nie lubił bokserek.

Jakaż głupia, żałosna, niegodna szacunku była bokserka z pasemkami w szorstkich, krótkich włosach, z krzyżami (białym i czerwonym) na bicepsach.

Czy Jezus ją opuścił? Chciała go przekonać, że nie jest córką szatana.

Mózg miała jakby splątany. Gapiła się w chropowatą ścianę. Mucha na ścianie, machała skrzydłami. D.D. nie wiedziała, czy to nie ona – te żałośnie drgające skrzydła.

– Obudź się! Jeszcze jedna runda.

Gwałtownie otworzyła oczy. Jeszcze jedna runda! Trzy minuty.

Głowa zdawała się dziwnie ciężka, z trudem dawała się podnieść. Coś stało się z szyją, kręgosłupem szyjnym... A dolna część pleców pulsowała bólem.

Zadźwięczał gong. Początek nowej rundy. Zepchnięto ją ze stołka. Musiała poszukać przeciwniczki, gdzie jest przeciwniczka? Druga bokserka powoli podnosiła się ze stołka, jakby niechętna spotkaniu z D.D. Dunphy na środku ringu.

Zgrabna i piękna „Księżniczka” Jamala z lśniącymi złotymi tatuażami w kształcie sztyletów, ogoloną głową, w obcisłym stroju – już nie arogancka i pewna siebie, ale ze zmęczonymi rękami, oszołomiona wyczerpaniem. Czarnoskóra mistrzyni kick-boxingu miała pewną tajemnicę – nigdy nie boksowała tak długo. Zawsze szybko wygrywała walki. Była jak burza,

wystarczało kilka bardzo silnych, ostrych, precyzyjnych ciosów. Ale nikt nigdy nie przetestował jej kondycji.

„Młota Jezusowego” również nie poddawano próbie. Teraz miała się odsłonić.

Zastanawiała się, czy Jamala widzi ją wyraźnie, czy może wzrok przeciwniczki jest tak samo zamglony jak jej. I czy adrenalina pobudziła serce Jamali tak mocno, że teraz biło jak szalone, niebezpiecznie szybko... D.D. wiedziała, że musi iść do ataku, ale nogi miała ciężkie jak z ołowiu. Stopy z ołowianymi podkowami. Ledwo mogła poruszać górną częścią ciała i unikać uderzeń, nie potrafiłaby zejść z drogi przed poważnym ciosem, ale na szczęście „Księżniczka” nie mogła uderzyć – nie bezpośrednio, nie mocno.

Jamala zamachnęła się szalonym prawym hakiem, strząsając z wykrzywionej twarzy kropelki potu.

Zaczęła się szamotanina. Gorące oddechy, ostry, mocny zapach dwóch ciał. Każda próbowała uniknąć powalenia przez tę drugą.

Jamala mruczała pod nosem coś jak: „Niech cię szlag, pieprzona biała suko, puszczaj”, nawet kiedy D.D. odpychała ją obiema rękawicami.

Czy to była ostatnia runda? D.D. nie mogła sobie przypomnieć.

Wyczerpanej i zakrwawionej, udało jej się jakoś odpychać przeciwniczkę ciosami za każdym razem, kiedy ta próbowała ochronić się klinczowaniem. Miała niemal ochotę jęknąć do ucha Jamali: „Wybacz mi”.

Wygra tę walkę na punkty – nie będzie próbowała znokautować przeciwniczki. Miała mniej siły, nie była pewna, czy da radę zadać kluczowy cios, a jeśli się otworzy, narazi się na kontrę. Zresztą nawet jeśli potrafiłaby znokautować i upokorzyć „Księżniczkę” Jamalę Prentis, to i tak nie będzie to żadne zwycięstwo.

Ostatnia runda dobiegła końca. Dysząca i zataczająca się Jamala nie zadała w niej żadnego ciosu.

D.D. Dunphy była pewna, że wygrała. Trener nie uścisnął jej, jak robił to zazwyczaj, tylko dotknął z uznaniem jej ramienia.

– Dobrze. Wytrzymałaś.

Spiker zwołał zawodniczki na środek ringu, gdzie stanęły obok siebie zlane potem, posiniaczone, zakrwawione, oszołomione. Czarnoskóra bokserka z wysiłkiem uniosła rękawice, wzbudzając okrzyki poparcia od fanów, więc D.D. uniosła swoje i dostała słabe oklaski. A może te oklaski były ironiczne, bo obie bokserki nie wypadły dobrze? Pod koniec walki Dunphy zadawała ciosy, ale nie położyła przeciwniczki.

– Decyzją sędziów... remis.

Remis! Na moment zapadła cisza, publiczność przyswajała sobie decyzję: biała dziewczyna, która powinna była wygrać, nie wygrała; czarna dziewczyna, która powinna była przegrać, nie przegrała.

Przy trzech sędziach remis to rzadka decyzja. Rozległ się słaby aplauz, okrzyki i gwizdy.

Z jękiem i ulgą Jamala zarzuciła ręce na szyję D.D. Dunphy.

– Mówią, że obie wygrałyśmy.

D.D. zaśmiała się histerycznie. Wiedziała, że nie to oznacza „remis” – żadna nie wygrała.

Jamala odwróciła się, by unieść rękawice w zwycięskim geście, a D.D. próbowała ją ponownie uściskać, bo za pierwszym razem nie zrobiła tego porządnie; gest był niezdarny, żenujący. Jamala zaśmiała się piskliwie i utykając, poszła do narożnika, by zejść z ringu. D.D. stała na krawędzi światła reflektora, podczas gdy widzowie przy linach oklaskiwali Jamalę, jakby była zwyciężczynią.

Ktoś położył jej ręcznik na ramionach. Miała rozpaloną skórę, która zaczynała się kleić. Zęby szczękały jakby ze strachu. Dolna część pleców bolała, nogi ledwo się poruszały. Ale pospiesznie – bo anonsowano kolejną walkę i pojawiali się następni zawodnicy – D.D. Dunphy zeszła z ringu. Trener przeklinał werdykt – nigdy nie słyszała, by Ernie Beecher był tak oburzony.

– Kurwa. Kurwa. Kurwa. Coś tu śmierdzi.

D.D. miała ochotę się od niego odsunąć. Nie chciała patrzeć na jego wykrzywioną twarz.

– A wy, wy dwie, dałyście dupy. Trzymałyście się obie w pieprzonym klinczu. Pierdolony remis. Dałyście dupy, tyle ci powiem.

Wiedziała. Słyszała już to wyrażenie. Nie myślała, że ktoś tak powie o niej.

Było jej niedobrze, czuła się oszołomiona. Musiała się odsunąć od tego wściekłego człowieka.

Pospiesznie ruszyła za wysoką, czarną ogoloną dziewczyną, która szła między rzędami w stronę szatni i błyszczała w wyszywanym złotem szlafroku, otoczona wielbicielami.

– Jamala! Poczekaj...

Dziewczyna odwróciła się do D.D., marszcząc czoło i mrugając, jakby widziała nieostro.

– No? Czego chcesz?

D.D. nie miała pojęcia, czego chce. Z jej ust dobyło się tylko nieoczekiwane:

– Jesteś najlepsza!

– Że co?

– Najlepsza, Jamala. Jesteś.

– Bzdura, dziewczyno. Tak tylko mówisz... bo jestem najlepsza.

Jamala miała spuchnięte powieki, które zaczynały ciemnieć. Twarz, jeszcze pół godziny wcześniej dzika i piękna, teraz była poobijana i pokrwawiona. Złoty ząb chyba się poluzował, pewnie pluła krwią. I może tej nocy będzie sikać na czerwono. Ale była w ekstazie, w euforii. Jakiś rodzaj bezgranicznej miłości emanował z niej w stronę D.D. Dunphy niczym eksplozja muzyki zbyt głośnej, by ją usłyszeć, jednak odczuwanej w formie czystych pulsujących wibracji dla tej białej dziewczyny ze spuchniętą twarzą, stojącej w przejściu i patrzącej na nią z uwielbieniem.

Pojawili się znajomi, krzycząc: „Jamala! J’mala!”, wykrzykiwali swoją miłość do niej i ściskali ją. Fani w hali szaleńczo oklaskiwali „Księżniczkę”

Jamalę Prentis, jakby wygrała walkę.

W przejściu zapomniana D.D. Dunphy stała jak wryta i patrzyła, próbując również się uśmiechnąć bolącymi ustami.

Aż do następnej walki, która miała wymazać wstyd po tej zremisowanej, mówiono jej: „Wygrałaś. Powinnaś była wygrać. Sukinsyny ukradły ci wygraną”.

Trenowała, nie skarżąc się, choć często miała wrażenie, że głowa stała się wnętrzem dzwonu. W uszach słyszała ciągły pisk. Poobijane żebra bolały i na zrobionym w końcu prześwietleniu widać było, że jedno jest pęknięte.

Rana w okolicy oka się zagoi, ale blizna zostanie. Niewielka biała blizna w kształcie sierpa na łuku brwiowym.

Powoli wracała do sił. Nie od razu mogła sparować, ale z czasem zaczęła.

Wbijano jej do głowy: „Nie opuszczaj lewej, kiedy uderzasz hakiem. Nigdy nie opuszczaj lewej. I nie odwracaj wzroku od przeciwniczki”.

Przygotowywano ją do mistrzostwa kategorii średniej kobiecej federacji WBA. Najpierw jednak musiała zdobyć tytuł Midwest Women’s Boxing Association.

W rankingu MWBA D.D. Dunphy zajmowała dziewiąte miejsce.

W rankingu WBA D.D. Dunphy zajmowała dwunaste miejsce.

Uśmiechała się nerwowo na myśl, że następną walkę pokażą w telewizji. „To raczej prawdopodobne”, powiedział Cass Cassidy.

Gala bokserska ESPN w Pittsburgh Armory, przed walkami zawodników wagi ciężkiej Kevinem Johnsonem i Homerem Cruze’em. To dopiero okazja!

Uśmiechnęła się na myśl o tym, powoli zaplatając włosy.

Jamala powierzyła jej to zadanie. Gęste, oleistoczarne włosy zaplecione w warkoczyki. To był miłosny proces – bardzo powolny, dokładny. Palce miała trochę niezdarne. Duże palce, drobne sploty włosów.

Stała przed lustrem, pochylona nad tą dziewczyną, jej głowa, schylona głowa, już nie ogolona, ale sprężysta od włosów, gęstych włosów, które należało ułożyć w pracochłonne dobierane warkoczyki. Nie widziała jednak twarzy ciemnoskórej dziewczyny. A jednak wiedziała, że to Jamala, teraz z długimi włosami, które należało ciasno zapleść. Oleisty zapach pasm, odrobinę szorstkich pod palcami, szorstkich jak jej własne, sztywne i twarde. Uwielbiała ten zapach, pragnęła przycisnąć twarz do tych włosów. Tych części skóry, które były odsłonięte.

Kocham cię, tak jak Jezus cię kocha. Chciałabym, żebyś kochała mnie.

Kolejną walkę wygrała przez techniczny nokaut. A następną przez nokaut w trzeciej rundzie.

Ale bez telewizji. (Na razie).

Pod prysznicem obmywała ciało, energicznie pocierając skórę. Woda była najgorętsza, jaką mogła znieść. Przyjemność gorącej wody oblewającej bolące mięśnie, wrażenie zerwanych więzadeł w karku, pulsowanie dolnej części pleców, w której (nie dało się tego uniknąć!) poobijano nerki. Uniosła twarz ku wodzie. Zamknęła oczy, otworzyła usta, mydło nieśmiało wlewało się w ciało, między nogi, między piersi. Gorąca woda opływająca skórę jakby ją pieściła.

Surowy uścisk drugiej bokserki po walce. Chwytanie siebie nawzajem. Oszołomienie i ekscytacja, odurzenie, upojenie adrenaliną, jak musowanie we krwi – nie czuje się bólu, jeszcze nie.

Ostre kłucie w karku, tępe pulsowanie u podstawy czaszki. Ernie dał jej tabletki przepisane przez doktora Danksa. I te drugie, mniejsze, białe tabletki, jedna codziennie rano, nie wolno zapomnieć, bo nie może krwawić.

Wciąż pracowała w markecie. Na pół etatu. Ani dla połowy, ani dla całego etatu nie było świadczeń pracowniczych; jeśli D.D. Dunphy potrzebowała lekarstw na receptę albo zrobić prześwietlenie, musiała się umówić z doktorem Danksem – za wszystko płaciło Dayton Fights, Inc.

Plus dentysta. Plus nowe buty, nowe rękawice, nowa polarowa kurtka lepszej jakości, niż mogłaby kupić w Targecie z pracowniczą zniżką.

Plus, każdej niedzieli, dziesięciodolarowy banknot (złożony, niewidoczny) w koszyczku na ofiarę w Kościele Misyjnym Syjonu.

Była dumna: „Ta dziewczyna wie, jak przyjąć cios”.

Nie była tak szybka jak niektóre rywalki. Ale uderzała mocniej, jak mężczyzna (podobno). Ćwiczono ją, by się broniła, ale w boksie nie chodzi o obronę, tylko o atak. Dwóch defensywnych bokserów i zostaje smród. Widzowie będą gwizdać, buczeć. Bokserki również często klinczowały. Dunphy nie lubiła klinczu – wiadomo było, że odepchnie przeciwniczkę. Często nie była też dość szybka, by uniknąć ciosu, więc nauczono ją, jak go przyjąć.

Tak właśnie starzejący się, powolny Ali wygrał słynną walkę z bardzo młodym, bardzo mocno uderzającym George’em Foremanem. *Rope-a-dope. Foreman wyprztykał się na Alim, stracił całą siłę i pod koniec walki nie był w stanie uderzyć mocniej niż dziecko czy dziewczyna. Fantastyczne!*

Oczy stały się bardziej wrażliwe. Na dworze zakładała ciemne okulary. Powieki szybko puchły. Krwiaki pojawiały się szybciej niż kiedyś. Widziała tyle, ile musiała widzieć, by walczyć.

Tęcze, lśniące smugi. Najsilniejsza walka to instynkt, a nie rzemiosło czy kalkulacja.

Nie powiedziała trenerowi, narożnikowym, panu Cassidy’emu, nawet swojej przyjaciółce Mickey Burd, jak bardzo czasem zamazuje jej się wzrok. Gdyby im powiedziała w trakcie walki, walkę by przerwano. Gdyby wiedział sędzia lub lekarz ringowy, walkę by przerwano. Albo: Ernie nie przerwałby walki i wtedy D.D. zrozumiałaby, że nie obchodzi ich D.D. Dunphy, a tylko kibicujący jej tłum. Bo „Młot Jezusowy” miała fanów, wielbicieli. Mężczyzn. Sprawiała, że zrywali się na nogi. Niektórzy. Ci gotowi płacić za porządny boks.

W samochodzie, gdzie kazali jej poczekać, D.D. Dunphy jadła kanapkę, którą trzymała trzęsącymi się palcami. Zabrali ją do doktora Danksa na za-

strzyki witaminowe. Była taka głodna: kiełbasa, pomidor, cebula, tona musztardy spływającej po rękach.

Ostatnio nie wysyłała Ednie Mae zbyt wiele pieniędzy. A Edna Mae mogłaby jednak napisać i podziękować. Napisała za to ciotka Mary Kay. Obiecywała, że „naprawdę niedługo” przyjedzie na walkę D.D., jeśli nie będzie zbyt daleko, jak w Cleveland czy Cincinnati.

Pisała, że D.D. jest „dzielną, porządną dziewczyną”. Pisała, że Edna Mae ją kocha, tylko „nie potrafi wyrazić tego, co ma w sercu”.

Po szóstej walce, kiedy D.D. Dunphy awansowała na trzecie miejsce federacji MWBA kategorii średniej i siódme miejsce federacji WBA, transmisja telewizyjna była już niemal pewna, w nowym roku (2010).

Na kopercie starannie napisała: EDNA MAE DUNPHY i wysłała w niej pięć studolarowych banknotów, tak jak poprzednio. Jezusowi by się to spodobało, bo było nadstawianiem drugiego policzka, oddawaniem miłości tam, gdzie jej nie było. Chyba nie było.

Mamo, to dla ciebie. Mam nadzieję, że wszystko u was dobrze.

Jeśli chciałabyś zadzwonić, to mój numer .....

Teraz mam już ranking. Jestem pretendentką.

Całkiem nieźle mi idzie. Może zobaczysz mnie w telewizji w styczniu przyszłego roku.

Uściski

Twoja córka Dawn

D.D. Dunphy „Młot Jezusowy”

Za którymś razem oberwała w dolną część pleców. W nerki.

W toalecie, zanim spuściła wodę, zerknęła i szybko odwróciła wzrok. Och, dlaczego spojrzała!

Rozwlekła strużka krwi w moczu.

Muszę przyznać, byłem zaskoczony, że Dunphy okazała się taka świetna.

Kiedy pierwszy raz ją zobaczyłem (na sali), nie zrobiła wrażenia. Wyglądała jak pospolita dziewczyna potykająca się o własne nogi. Krótkie w dodatku. Ręce też – widać było, że ma gówniany zasięg. Ale Ernie Beecher wciąż powtarzał, że Dunphy ma perspektywy. Dajcie jej szansę.

Okazało się, że Ernie miał rację. Tylko trochę to potrwało.

Boksująca dziewczyna na treningu nie różni się od trenującego faceta. Mogą to robić równie poważnie. Ale kobiety szybciej się zniechęcają. Dunphy taka nie była – ona się nie zniechęcała.

Od razu widziałeś, że potrafi mocno uderzać. Mówi się, że człowiek rodzi się z ciosem albo nie. Jeśli rodzisz się z ciosem, nauczysz się go używać. A jeśli nie, to nie.

Dunphy miała naprawdę obiecujący lewy hak, krzyżowy prawy i lewy podbródkowy, który czasami lądował dokładnie na końcu podbródka, jak trzeba – mimo małego zasięgu rąk. Jeśli się podekscytowała, doskonale kontrowała – nic nie mogło jej zahamować.

Wszyscy mówili o tym, że Dunphy ma serce. Nie dało się jej powstrzymać. Żeby powstrzymać, trzeba by zabić. Typ wojownika – zatrzymasz, tylko jeśli zabijesz. Ludzie mówili: „Cass, masz tam dziewczynę Tysona”.

Ale nie ma porównania. Bo dziewczyny nie uderzają mocno – nie tak jak Tyson. Jeśli przytrafia się kontuzja, to ze słabości przeciwniczki albo od upadku i uderzenia głową w słupek ringu. Albo na sparingu – klinczują i biją się po nerkach. Prawdziwy cios, nawet Dunphy, nie jest tak wspaniały, nieważne, jak wygląda. Facet by go przyjął.

Cóż, zdarza im się wstrząśnienie mózgu. To prawda. Jest coś takiego jak skołowanie u bokserek. Zgadza się. To taka słabość w kobiecej czaszce. Nie da się jej uderzyć, by mózg tak jakby zakołysał się w środku, jakby był w wodzie – jak worek, którym się potrząsa. Ale Dunphy miała mocny cios, jak na kobietę i faceta, i potrafiła się bronić.

Problem w tym, że publiczność nie lubi oglądać kobiet, które wyglądają jak sportsmenki albo jak faceci. Tak mówią promotorzy, producenci telewizyjni i reklamodawcy. To, co mówią, to fakt, bo tak mówią. Oni kupują towar i nikt ich nie wini.

Poprosiliśmy tę dziewczynę z okolicy, Mickey Burd, dawną zawodniczkę Erniego, żeby nam pomogła. Namówiła Dunphy, żeby ufarbowała sobie włosy, zrobiła fajne tatuaże, nosiła kolczyki w uszach. Wyskubała jej nawet trochę brwi, żeby nie wyglądały jak u orangutana.

Dunphy miała wysoki próg bólu. Fani mogą to pomylić z odwagą. Jeśli oberwała, śmiała się. Jeśli straciła ząb, wypluwała go na matę, śmiała się i walczyła dalej. Jak Arturo Gatti albo... jak on się zwał... „Boom Boom" Mancini. Oddałaby wszystko dla publiki, niczego nie wstrzymywała. Taka bokserka zaryzykuje wszystko dla nokautu, żeby tylko publika wiwatowała.

Była samotna, więc to jej sprawiało przyjemność. Słyszeć, jak nieznajomi ją oklaskują.

Jak na bokserkę miała dość ciężkie piersi, ale bandażowaliśmy je tak mocno, jak się dało, by nie sprawiać bólu. Ale może bolało. Dunphy nigdy nic nie mówiła. Załatwiliśmy jej tabletki, nigdy nie miała miesiączki. Nie krwawiła, jak krwawią normalne dziewczyny. Można by pomyśleć, że ta czarna krew zatyka je od środka jak ścieki, co nie?

Może tak jest. Różnie gadają.

Pocieszenie w żałobie

wrzesień 2011 – luty 2012

Prawdziwy temat

„Kiedy natrafisz na prawdziwy temat, będziesz wiedzieć”.

Wierzyła. Nie przestała czekać.

Muskegee Falls, Ohio. Wrzesień 2011

Plamista od słońca, oślepiająca rzeka Muskegee.

Woda w odcieniu matowej cyny. Plamki odbitego słońca jak ogień w lekko wzbudzonych falach.

Dziwne piękno w dźwiękach: „Mus-ke-gee”.

Od wielu godzin jechała przez rolnicze tereny Ohio. Toczące się wzgórza jak te wyrzeźbione na obrazach Thomasa Harta Bentona. Hektary kukurydzianych pól w kolorze wydm, połamane i wyschnięte łodygi kukurydzy, pola zebranej kłującej pszenicy.

Wczesna jesień. Piękno ukośnie padającego światła, rzeczy zasuszonych.

Rzeka biegnąca wzdłuż autostrady przyspieszyła, poprzedniego dnia mocno padało.

Nad głową krążące powoli jastrzębie. Zauważała, zerkała w górę. Czy jastrzębie polują stadami? Widziała kilka szerokoskrzydłych ptaków szybujących, nurkujących, ślizgających się na prawie nieruchomych skrzydłach. Jak umykające myśli, których nie do końca jest się świadomym.

Pomyślała, że jeździł tą trasą. Kiedy jechał na północ i wschód z Michigan. Skręcał z międzystanowej przy Bowling Green albo Findlay. Na południe przez Upper Sandusky do hrabstwa Broome, na południe od Wyandotte. Po dwupasmowej stanowej autostradzie przez wiejskie Ohio (wzgórza, farmy, gęste lasy) do Muskegee, gdzie zaczął swoje nowe życie.

Dowiedziała się, że życie Gusa Voorheesa wiele razy było zagrożone. Wcześniej nie zdawała sobie z tego sprawy, nie sądziła też, by Darren również wiedział, że ojca atakowano werbalnie w miejscach publicznych, a kilkakrotnie zaatakowano go fizycznie. Kiedy mieszkali w Grand Rapids, zaczepiono go na parkingu przychodni i pobito tak bardzo, że trafił na ostry

dyżur. Jednak kiedy Naomi próbowała przypomnieć sobie taką sytuację, ojca rannego, ojca w szpitalu, nic nie pamiętała. Prawdopodobnie powiedziano im wtedy, że tata na jakiś czas wyjechał z miasta. Praktycznie we wszystkich klinikach, w których pracował, podkładano ogień, niszczono budynki i zaparkowane przed nimi pojazdy. Grożono nie tylko lekarzom, ale też pielęgniarkom i innym członkom personelu. Szokiem było z takim opóźnieniem dowiedzieć się o tych groźbach – również pod adresem żony Gusa Voorheesa i jego dzieci.

Wszystko to trzymano przed dziećmi w tajemnicy. Być może o części nie wiedziała również żona.

Madelena powiedziała: „Właśnie dlatego się przeprowadził, Naomi. A Jenna nie zgodziła się jechać z nim. By chronić was. Dzieci”.

Nie chciała myśleć, że to może być prawda. Że ojciec wiedział, co mu grozi, a mimo to kontynuował pracę.

Gus Voorhees nie poddał się swoim wrogom, tak jak postanowił. Ale wrogowie i tak się na nim zemścili.

Ależ to odludna okolica, ta część rolniczego Ohio! Gospodarstwa leżały daleko od siebie i równie daleko od drogi; miasteczka, przez które jechała, składały się z kilku domów, stacji benzynowej, pojedynczych sklepów i kościołów.

Czy ta część Ohio przypominała hrabstwo Huron w Michigan? Każda z tych wiejskich dróg mogłaby być Salt Hill Road.

Tak rozmyślając, niemal przegapiła zjazd do Muskegee Falls. Skręciła w lewo, na wschód, by przejechać przez rzekę Muskegee.

Tą trasą również jeździł ojciec. Starannie zaznaczała na mapie drogi, którymi na pewno podróżował.

Most do Muskegee Falls (ludność: dwadzieścia sześć tysięcy) był starym, dostojnym, jednoprzęsłowym mostem z innej epoki. Wąskim – ledwie dwa pasy. Ograniczenie prędkości do dwudziestu pięciu kilometrów na godzinę.

Gdyby nie wiedziała, to pewnie by nie zgadła: nierówna rzeka koloru rdzy płynęła z północy na południe, pod mostem, którym przejeżdżała teraz

małym wynajętym samochodem. Wodospady, od których miasto wzięło nazwę, znajdowały się jakieś pół kilometra w górę rzeki i zasłaniała je mgła.

Na samochód opadały jeden po drugim cienie rzucane przez zardzewiałe dźwigary mostu. Na maskę, na przednią szybę (brudną od owadów i nasion, trzeba ją umyć, kiedy będzie tankować), na dach (tego nie widziała), i znikały.

Słoneczne plamy, przebiegające cienie dźwigarów, lśniąca maska samochodu – Naomi przypomniała sobie, że światło stroboskopowe może wywołać atak epilepsji. Szybko następujące po sobie błyski mają narkotyczny wpływ na mózg. Wuj (przyrodni) Karl Kinch, chory syn jej babki, nie tolerował zwyczajnego światła dziennego, nie wspominając już o elektrycznym czy fluorescencyjnym. Jeśli Kinch wybierał się na dwór, zakładał ciemne okulary, by chronić mózg przed jeszcze większym zatruciem, ale zwykle nigdzie się nie wybierał. Musiał ukrywać się przed światem, by chronić życie.

Nie chciała jednak myśleć o Kinchu, nie teraz. Nie w Muskegee Falls w Ohio, dokąd (w końcu) przyjechała, sama.

Teraz już wyraźnie widziała wodospady: miały szerokość rzeki, wysokość mniej więcej dziewięciu metrów, spienione na biało, pryskały wodą i pianą. Kaskady wody są fascynujące – Naomi z wysiłkiem oderwała wzrok, by nie dać się zahipnotyzować za kierownicą. Przytwierdziła kamerę do bocznego okna, by nagrać to, co ojciec widywał w ostatnich miesiącach życia.

Była zdeterminowana, żeby nagrać film z miejsca, w którym Gus Voorhees przez krótki czas żył, odważnie pracował i zginął. Okoliczności jego życia w Muskegee Falls. Minęło tyle lat, uznała, że teraz ma już wystarczająco dużo siły.

Madelena powiedziała: „Po prostu jedź, kochanie. Na tak długo, jak trzeba. Będziesz potrzebowała odwagi. Zrób, co musisz. Dzwoń do mnie”.

Pokochała swoją babkę. Ta miłość pojawiła się, choć Naomi jej nie pragnęła, a teraz, kiedy Madelena chorowała, wnuczka zaczęła kochać ją ze szczególną desperacją. Zdawało się, że Naomi miała tak wiele czasu i tyle

go zmarnowała, a teraz przerażający czas jak woda przelewał się przez palce.

„Ale proszę, dzwoń do mnie. Będziemy tęsknić!”

Na początku Madelena sądziła, że plan Naomi, by stworzyć archiwum życia ojca, nie jest dobrym i w ogóle wykonalnym pomysłem. Jak długi miałby to być projekt? Jak go rozsądnie zakończyć? I co, jeśli (czy raczej kiedy) odkryje nieprzyjemne rzeczy na temat swojego ojca?

„Nie spodziewam się odkryć nieprzyjemnych rzeczy na temat ojca”, powiedziała Naomi. I zaraz się poprawiła – oczywiście, rozumie: nie ma życia idealnego. Nawet Gus Voorhees nie był idealny.

Ma dwadzieścia cztery lata – uważała, że to już nie młodość. Musi się pospieszyć.

Przez dwa lata pracowała jako asystentka dokumentalisty związanego z New York Institute – to była jej pierwsza prawdziwa posada. Jego film opowiadał o życiu rodziny Somalijczyków mieszkających w Nowym Jorku i Minnesocie. Praca była wymagająca i satysfakcjonująca; Naomi wiele się nauczyła. Uznała, że jest gotowa zrobić własny dokument.

Zaparkowała wynajętego na lotnisku w Detroit nissana na drodze serwisowej tuż przy moście. Ścieżką dla pieszych przeszła mniej więcej jedną trzecią mostu, by ustawić kamerę na balustradzie i nagrać niewielkie Muskegee Falls z tej perspektywy. Później doda głos – komentarz.

Oto rzeka Muskegee w środkowym Ohio. A tam – Muskegee Falls.

Most Muskegee zbudowano w 1939 roku.

Mój ojciec, Gus Voorhees, przeprowadził się tutaj, by żyć i pracować (jak sądził, tymczasowo), późnym latem 1999 roku.

Przez telefon często brzmiał, jakby czuł się winny. Dużo się śmiał. Mówił do niej „kochanie”. Wymusił ogólnikową obietnicę, żeby odwiedziła tatę. „W któryś weekend, dobrze?”

Ten weekend nigdy nie nadszedł. Ale przyjechała teraz.

Ależ była na niego zła! Wszyscy byli źli.

Nie byli źli na tatę, to głupie. Jeśli na kogoś byli źli, to na mamę (wiedzieli o tym z okrutną przenikliwością dzieci) – za to, że nie kochał jej wystarczająco, że nie zatrzymała w domu mężczyzny takiego jak Gus Voorhees.

Przez długi czas nie lubiła wymawiać na głos nazwy „Muskegee Falls". Sam dźwięk słowa „Ohio" – ironiczne przeciąganie samogłosek – był odrażający.

Ułożyła szczegółową oś czasu dla tamtego roku, 1999. Ostatniego roku. Akta zrobiły się ogromne i trudne do przejrzenia na raz.

Ojciec przyjechał tutaj, akurat do tego miejsca, ze wszystkich miejsc na świecie – i tutaj zginął.

Bez odpowiedzi na żałosne pytanie: dlaczego?

Zebrała materiał. Nauczyła się używać internetu, by szukać informacji dających jakieś pojęcie o środowisku, w którym żył ojciec przez te krótkie miesiące przed śmiercią.

Dlatego wiedziała, zanim jeszcze zobaczyła zamknięte młyny i fabryki nad rzeką, i zaniedbane nabrzeże, że Muskegee Falls nie otrząsnęło się po kryzysie ekonomicznym z połowy lat dziewięćdziesiątych. Zamknięto fabrykę General Motors, zamknięto fabrykę damskiej odzieży, domy przejmowano po fali bankructw. Niewielkie miasto opuściła mniej więcej jedna piąta mieszkańców.

Na wyboistej drodze wzdłuż rzeki filmowała porzucone portowe budynki, doki, magazyny, siedziby firm transportowych, opuszczone działki pełne gruzu, otwarte, zarośnięte trawą posesje, które zmieniły się w pola, a na nich (co widziała przez powiększający obiektyw kamery), wśród śmieci, uwijały się szczury w kolorze ziemi. Dostała gęsiej skórki. W oku kamery szczury były fascynujące.

Trakt kolejowy Baltimore–Ohio, tory, bocznice, wagony towarowe, stare, zniszczone, porzucone. Wyraźny zapach kreozotu.

I rzeka Muskegee, poplamiona słońcem jak małymi lśniącymi ogniskami, zaskakującymi i cieszącymi oko.

Była pewna, że ojciec widział to samo. Szczególnie rzekę – piękną mimo brzydoty nabrzeża.

Tak bardzo kochał wyspę Katechay, poranną mgłę nad Huronem! Nury na jeziorze, wysoki świszczący wiatr. Spacery brzegiem, odciski bosych stóp taty, mocno wgłębione w twardy piasek, córeczka drepcząca obok, próbująca dopasować małe stopy do tych odcisków...

Na Main Street powolny popołudniowy ruch. Powolna sygnalizacja świetlna. Skręt w Center Street, na First Avenue, do Capitol Square. Budynek Sądu Okręgowego Hrabstwa Broome – oficjalny, z niezadowoloną fasadą z piaskowca; jaśniejsze, beżowo-ceglane boczne skrzydło.

Lekko zaszokowało ją, że tak nagle, tak od razu zobaczyła ten budynek.

Jenna uczestniczyła w pierwszym procesie Luthera Amosa Dunphy’ego, który się tu toczył – tym nierozstrzygniętym.

Ich biedna, zdenerwowana matka sama w takim miejscu! Nie chciała, by Naomi lub Darren jej towarzyszyli. Jenna ukrywała przed dziećmi swoją potworną rozpacz, żałobę, która była jak nowotwór zżerający duszę. Miała nadzieję, że je oszczędzi. Wtedy nie zdawali sobie z tego sprawy. Jak to dzieci, myśleli głównie o sobie. Jednak nigdy całkiem jej nie wybaczyli. A zaczynało się już robić za późno.

Naomi skierowała kamerę na mało charakterystyczny budynek Sądu Okręgowego Hrabstwa Broome. W oku kamery budowla wyglądała trochę bardziej interesująco – ale tylko trochę. Oprócz sądownictwa karnego i cywilnego hrabstwa mieściły się tu również archiwum oraz Wydział Komunikacji Stanu Ohio i nie było chyba żadnych innych urzędów czy firm.

Czy ojciec kiedykolwiek wszedł do tego budynku? (Nie miała powodu sądzić, że tak). A jednak to tutaj, po drugim procesie, jego zabójca Luther Dunphy został uznany za winnego i skazany na śmierć.

Z tego powodu chciała sfilmować budynek sądu. Zobaczyć wnętrze, w którym matka musiała obserwować okrutny, nudny i przerażający pierwszy proces Dunphy’ego.

W holu, po obowiązkowej kontroli bezpieczeństwa, Naomi poprosiła o zgodę zastępcę szeryfa na sfilmowanie wnętrza sądu. (W budynku znajdowała się tylko jedna duża sala sądowa, która akurat nie była wykorzystywana).

– Po co? – Zastępca zerknął na nią podejrzliwie.

– Do mojego projektu. Jestem studentką szkoły filmowej.

– Gdzie ta szkoła?

Naomi się zawahała. Może rozsądniej będzie powiedzieć, że w Ann Arbor w Michigan niż że w Nowym Jorku. Tak naprawdę chodziła na zajęcia z filmoznawstwa zarówno na Uniwersytecie Michigan, jak i na Uniwersytecie Nowojorskim. Odparła, że w Michigan. Wyglądało na to, że dobrze wybrała.

Poprosił ją o dokument tożsamości. Podała mu prawo jazdy z Michigan, któremu uważnie się przyglądał.

– Voorhees.

O co mu chodziło? Dlaczego wypowiedział to nazwisko na głos? Czy to możliwe, że je sobie przypomniał?

Funkcjonariusz miał jakieś czterdzieści lat. Niewykluczone, że pracował już w czasie procesów. Być może był nawet na służbie pod kliniką dla kobiet tego ranka, kiedy Luther Dunphy pojawił się ze strzelbą i zabił dwóch ludzi, zanim ktokolwiek zdążył go powstrzymać.

Naomi nerwowo czekała, uśmiechając się. W takich okolicznościach zawsze trzeba się uśmiechać.

Dobrze, że jest białą, atrakcyjną dziewczyną, przyjazną i bezpośrednią, zdecydowanie niestanowiącą zagrożenia dla bezpieczeństwa Sądu Okręgowego Hrabstwa Broome ani dla zastępcy szeryfa tego hrabstwa.

– No dobrze. – Z uśmiechem oddał jej małą laminowaną kartę. Nazwisko „Voorhees” nic mu nie mówiło.

Uśmiechnął się, ale nie oczami. Był przysadzistym mężczyzną o wąskich, podejrzliwych oczkach i masywnej szczęce. Spłowiały niebieski

mundur ciasno go opinał, Naomi widziała broń w kaburze na biodrze. Ale była wdzięczna, że dał jej kilka minut w sali sądowej z kamerą.

Oto sala sądowa, w której sądzono Luthera Dunphy'ego. Dwukrotnie.

Pierwszy proces był nierozstrzygnięty.

Drugi proces zakończył się werdyktem skazującym. Skazany na śmierć za zabicie Gusa Voorheesa i Timothy'ego Barrona.

Stracony w marcu 2006 roku.

Oko kamery jest neutralne, obiektywne. Naomi na własne oczy widziała jałowość tego wysiłku: pusta ława sędziowska, pusta ława przysięgłych, puste ławki dla widzów. Na ścianie miedziane godło – Wielka Pieczęć Stanu Ohio. Za fotelem sędziego flaga Stanów Zjednoczonych.

Słońce wlewające się przez wysokie okna, wirujące drobinki kurzu w powietrzu.

Nic tu nie ma. Z niczego nic nie powstanie.

Komentarz Gusa Voorheesa, zwykle wygłaszany z uśmiechem.

Słodko-ironicznym uśmiechem. Nie wrednym czy sardonicznym.

Procesy dawno się zakończyły. Nie dało się przywołać nic z tamtego czasu.

– Niech pani zostanie tak długo, jak chce. Na dzisiaj nie ma żadnych zaplanowanych rozpraw.

Głos był natarczywy, drażniący. Naomi wiedziała, że zastępca szeryfa się jej przygląda, ale nie chciała wdawać się w rozmowę.

– Dziękuję. Zaraz kończę.

– Na czym właściwie polegają te zajęcia filmowe?

– Mamy nakręcić budynki użyteczności publicznej i historyczne budynki w Ohio.

Odpowiedź tak drętwa, że nawet funkcjonariusz zaciekawiony młodą kobietą, która pojawiła się w pobliżu, nie wiedział, co jeszcze mógłby powiedzieć.

Na wyjazd do Muskegee Falls Naomi ubrała się tak, by nie rzucać się w oczy: luźne spodnie khaki, koszula, sweter. Na głowie czapka baseballowa, której daszek mogła naciągnąć na czoło i w czasie jazdy osłonić oczy przed słońcem i spojrzeniami obcych. Włosy miała do ramion, falujące, w kolorze ciepłego, mahoniowego brązu; związała je w praktyczny kucyk. Na dłoniach nosiła tylko pierścionek – mały mleczny opal w oprawie z białego złota, który babka dała jej na pamiątkę – kiedyś należał właśnie do Madeleny.

Naomi była dokumentalistką. Nie chciała, by ją widziano, pragnęła widzieć. Wszystko w jej wyglądzie i zachowaniu sygnalizowało obserwatorom: Nie zauważaj mnie. Jestem niczym, nikim. Jestem niewidzialna.

– Na prawie jazdy było, że pani jest z Michigan. Dlaczego tak daleko się pani zapuściła?

Naomi widziała, że funkcjonariusz uważnie się jej przygląda, z odcieniem męskiej wojowniczości, którą można by łatwo złagodzić uśmiechem, swobodną rozmową, kokieteryjną kobiecą uległością. Każdy przedstawiciel władzy, w dowolnym wieku, z błyszczącą odznaką, pistoletem na biodrze, w mundurze, z założenia oczekiwał takiego złagodzenia, a Naomi Voorhees nie kosztowałoby to wiele. Mimo to mówiła rzeczowym, chłodnym tonem, nie patrząc na mężczyznę.

– Bo tutaj w dwtysięcznym roku odbył się proces. Luthera Dunphy’ego sądzono za morderstwo. Dwa morderstwa. Pamięta pan? – Jej głos zabrzmiał mniej spokojnie, niż chciała.

– Luther Dunphy. Tak...

Funkcjonariusz mówił z wahaniem, marszcząc czoło. Naomi była ciekawa, co oznacza dla niego nazwisko „Dunphy”, skoro nie przypomniał sobie nazwiska „Voorhees”.

Dodała, że odbyły się dwa procesy. Pierwszego nie rozstrzygnięto.

– Może pani powtórzyć to nazwisko?

– Luther Dunphy. Mieszkał tutaj, w Muskegee Falls...

– Dunphy... Coś mi to mówi. Ale wtedy tu nie mieszkałem. Dopiero w dwa tysiące drugim roku przeprowadziłem się do hrabstwa Broome.

Naomi powiedziała, że dokonał morderstw w listopadzie 1999 roku. Luther Dunphy zastrzelił dwie osoby przed kliniką dla kobiet.

– W trakcie drugiego procesu Dunphy'ego skazano na śmierć. Stracono go w roku dwa tysiące szóstym.

Jej głos dziwnie osłabł. Funkcjonariusz przyglądał się Naomi, a ona zastanawiała się, czy sądzi, że jest spokrewniona z Lutherem Dunphym. Wróciła do sądu, w którym skazano go na śmierć – z jakim zamiarem? Zniszczenia budynku? Podłożenia bomby? Ale przeszła przez wykrywacz metali. Sprawdzono torbę z kamerą. Na pewno jest nieszkodliwa.

Współczuje mi, myśli, że Luther Dunphy był moim ojcem!

– Co się stało? O co chodzi?

– Nic się nie stało. Przepraszam.

Nie ufał jej. Już mu się tak nie podobała.

Ściskając sprzęt i zmuszając się do uśmiechu, Naomi chciała odejść, ale zastępca szeryfa zablokował jej drogę.

– Proszę mi pokazać kamerę.

– Ale dlaczego? To tylko kamera.

– Powiedziałem: proszę mi pokazać kamerę.

Naomi podała mu urządzenie. Poczuła przypływ adrenaliny tak silny, jakby miała zemdleć. Jakże nienawidziła tego człowieka! Sadysta w mundurze, z bronią przy pasku i lśniącą odznaką. Na początku Naomi wzbudziła w nim tylko lekkie seksualne zainteresowanie, nie całkiem onieśmielające, ale też nie całkiem łagodne, nie mogła jednak o nic go oskarżyć. Teraz zamilkła, nie chcąc pogorszyć sytuacji. Pewny siebie mężczyzna oglądał dokładnie kamerę, obracał ją niezdarnie w rękach; poprosił również o torbę i zajrzał do środka. Zbadał obiektywy, potrząsał futerałami. Co spodziewał się znaleźć? Co miał nadzieję znaleźć? Przyszła jej do głowy tchórzliwa myśl – jakie szczęście, że jest biała. Inny kolor skóry mógł sugerować obcość, „terroryzm". Jak wtedy potraktowałby ją zastępca szeryfa

hrabstwa Broome w Ohio? Mogłoby dojść do spięcia, jeśli policjant dotknąłby jej swoimi łapami, a gdyby odruchowo go odepchnęła, mógłby odpowiedzieć siłą. Nawet gdyby go nie odepchnęła, mogłaby nie dać rady wycofać się w porę, by oszczędzić sobie ostrego potraktowania. I jak szybko mogło się to wydarzyć! Kątem oka Naomi dostrzegła przechodniów w holu zerkających na nią i funkcjonariusza, który ją zatrzymał. Przynajmniej miałaby świadków.

Kiedy zastępca szeryfa skończył oględziny, przekonawszy się, że w kamerze ani w torbie nie ma nic podejrzanego, i był zmuszony wypuścić Naomi, ona nie powiedziała ani słowa, nie wyrwało jej się ani mruknięcie niezadowolenia, ani wdzięczności; po prostu zabrała swoje rzeczy i szybko odeszła.

Nie miała nagrania z tego zajścia. Żadnego wspomnienia i dowodu. Jakby nigdy się nie zdarzyło.

Niewidzialna chodziła po „centrum” starego nadrzecznego miasteczka w Ohio.

Oko kamery nie zatrzymywało się, pozostawało w ciągłym ruchu.

Urząd do spraw Rodziny Hrabstwa Broome. Ośrodek dla Seniorów Hrabstwa Broome. Wydział Edukacji Hrabstwa Broome.

Jakże znienawidziła te dwa słowa – hrabstwo Broome!

Od lat nienawidziła tych słów. Bała się ich.

Fountain Square otoczony młodymi, słabo ulistnionymi drzewkami. Otwarty wybrukowany teren, płyty chodnikowe łososiowego koloru. Parkowe ławki niedawno odmalowane na jaskrawą zieleń. Deptak i niewielu pieszych na deptaku. Przystanki z wyglądającymi na nowe plastikowymi wiatami, pod którymi starsi ludzie, w tym ciemnoskórzy, cierpliwie czekali na autobus.

Chyba że to bezdomni po prostu siedzący wśród reklamówek, pudełek i koszy na pranie pełnych rzeczy.

Pojedyncze postacie w centrum miasta, nieruchome jak pomniki w żywych obrazach. Choć ta część Muskegee Falls przeszła (najwyraźniej) ambitną urbanistyczną odnowę, nie wyglądała na nową, ale raczej na wyczerpaną i wypatroszoną. Oko kamery błądziło po otwartych, niemal pustych placach z fontannami radośnie tryskającymi w słońcu, bez ani jednego człowieka, jak na obrazach de Chirico. Plamy wypalonej trawy. Wysokie drzewa jak zostawione na śmierć w suchym, słonecznym żarze jesieni.

Przy skwerze elegancki, chyba nowy budynek, w którym coś się działo – Biblioteka Publiczna Hrabstwa Broome.

Trzymające kamerę dłonie już mniej się trzęsły. Naomi czuła spóźniony przypływ strachu, złości, konsternacji – jakże byłaby bezradna, gdyby zastępca szeryfa skonfiskował kamerę albo ją zepsuł... Czy to przesada wyobrażać sobie coś takiego? Czy źle odczytała jego wrogość, która pojawiła się tak nagle? Nie chciała myśleć, że gdyby znał jej nazwisko – nie Dunphy, lecz Voorhees, córka zamordowanego lekarza abortera – być może stałby się jeszcze bardziej wrogi.

Przemykała z kamerą niczym duch. Ludzie zerkali na nią, niektórzy z pytającymi uśmiechami. Znam cię? A ty znasz mnie?

Nie znała tych ludzi. Żadnego z nich nie znała. Nie potrafiła się zmusić i zapytać, czy ktokolwiek pamięta Gusa Voorheesa lub choćby o nim słyszał.

I dlaczego tutaj, dlaczego te rozrzucone, przypadkowe widoki nagrane na kamerę – nie potrafiła powiedzieć. Tyle że Gus był tutaj w 1999 roku. Tu albo w pobliżu. Nagrywała w Muskegee Falls to, co mogła, w desperackiej, donkiszotowskiej nadziei, że te rozrzucone, przypadkowe obrazki kiedyś w przyszłości pomogą odnaleźć znaczenie, choć teraz ono umykało.

Izraelska reżyserka Yael Ravel, którą podziwiała Naomi, twierdziła, że trzeba zgromadzić godziny, dni, tygodnie materiału filmowego, by wydobyć z niego ledwie kilka minut do zachowania – o ile masz szczęście.

Chciała w to wierzyć. Nie miała innego wyjścia.

Lobby Muskegee Falls Inn, rok założenia 1894. Elegancki historyczny hotel, wyblakła fasada w stylu Tudorów. W holu o tej porze, późnym popołudniem, było bardzo cicho. Słabo oświetlone obite boazerią ściany, staromodne skórzane kanapy, krzesła. Kominek pełen niezapalonych brzozowych polan. Ozdobny żyrandol z cienkimi białymi sztucznymi świecami.

Przez drzwi widać dużą salę bankietową z mnóstwem okrągłych stolików, pustych.

Przez drugie drzwi widać wejście do słabo oświetlonego pubu Pod Baranem.

Naomi miała powód przypuszczać, że ojciec kiedyś pomieszkiwał w tym hotelu. Zanim wynajął mieszkanie w mieście.

A może na początku mieszkał u przyjaciół? U nowo poznanych znajomych, tutaj, w Muskegee Falls. U kolegów z przychodni i pracy. Z ruchu planowanego rodzicielstwa, u lekarzy aborterów.

Braterstwo oblężonych. Straszonych, pogardzanych.

„Zabójcy dzieci. Wasze dusze spłoną w piekle”.

Wiedziała, że w trakcie pierwszego procesu Jenna mieszkała w Muskegee Falls Inn.

Sama, tak jak chciała.

Świeżo owdowiała, przerażona falą litości. Rój współczujących z płaczliwymi okrzykami: „Och, Jenno, tak mi smutno z powodu Gusa, to takie okropne... Okropne, okropne!”.

Śmiali się razem, szaleńczo. Jenna, Darren, Naomi. Jak w pijanym widzie. Stres wywołany zalewem współczucia (oferowanego w dobrej wierze). Przez długi czas bali się wychodzić na dwór (mówiła Jenna) bez woalki, maski albo papierowej torby na głowie, by nikt ich nie rozpoznał i nie zaczął ściskać.

– Mogę w czymś pomóc?

Stojąca za kontuarem recepcji kobieta z natapirowaną fryzurą odezwała się do Naomi, lekko się uśmiechając. Wyszkolona w ocenianiu nieznajomych, dostrzegła, że młoda kobieta, która weszła do hotelu, w pomiętych

spodniach, tenisówkach, czapce baseballowej naciągniętej nisko na czoło, ma ze sobą tylko torbę i kamerę, żadnej walizki.

Naomi uprzejmie zapytała, czy mają wolny pokój.

Lekki uśmiech przeszedł w zmarszczkę na czole.

– Jedynkę?

– Tak, jedynkę.

Czy to dziwne, że Naomi jest sama? Najwyraźniej przyjezdna, nie z Muskegee Falls, chciała wynająć jednoosobowy pokój.

– Na ile nocy, proszę pani?

– Nie jestem pewna. Może dwie albo trzy.

Kobieta z natapirowaną fryzurą uśmiechnęła się do Naomi szczerze zaciekawiona.

– Ma pani tutaj rodzinę?

– Nie, nie mam.

– Interesy?

– Nie.

– Znajomi?

– Nie.

– Po prostu pani podróżuje? Przejazdem?

– Nie całkiem.

Zdezorientowana recepcjonistka nie wiedziała, o co jeszcze zapytać. Z coraz głębszą zmarszczką na czole zerknęła do komputera, tak, jest pokój, dla niepalących, podwójne łóżko, widok na rzekę, czwarte piętro.

Podawała te informacje jakby niechętnie. Naomi zastanawiała się, ile tak naprawdę jest wolnych pokojów w starym, statecznym Muskegee Falls Inn. Pustych pokojów w środku tygodnia.

Na zjeździe z międzystanowej kilka kilometrów wcześniej widziała skupisko moteli, hoteli dla zmotoryzowanych, knajp z fast foodem i stacji benzynowych. Wyglądały jak postawione na gołej, spalonej ziemi; człowiek stawiałby podobne budynki w najbardziej jałowym krajobrazie na Księżycu

czy Marsie, nie próbowałby ich przymocować do tego miejsca. Były bezimienne, bez charakteru. A jednak Naomi pomyślała, że może byłoby lepiej wrócić samochodem do tamtego zjazdu i przenocować w motelu, a rano znów przyjechać do miasteczka, zamiast spać tutaj, w hotelu Muskegee Falls Inn.

Zapytała o cenę pokoju. Nie była tak wysoka, jak się spodziewała.

Recepcjonistka błędnie zinterpretowała jej milczenie.

– Jest też wolny pokój na drugim piętrze, bez widoku na rzekę, jeśli wolałaby pani tańszą opcję...

Naomi uprzejmie odparła, że wolałaby pokój bez widoku.

– Ale chciałabym zobaczyć ten pierwszy, jeśli mogę.

– Oczywiście! Pokażę pani.

W windzie kobieta z natapirowaną fryzurą zapytała Naomi, czy była już kiedyś w Muskegee Falls. Naomi odpowiedziała przecząco.

– Ale moja matka tu była. Jakieś dziesięć lat temu.

– Naprawdę? – Kobieta zdawała się zbita z tropu, niepewna, jak interpretować ton Naomi. Wymiana banalnych uprzejmości, do której była przyzwyczajona jako pracownica hotelu, tutaj się nie odbyła i rezultat był niezręczny. – Odwiedzała tutaj krewnych, tak? Pani matka?

– Nie.

Pokój miał wysoki sufit, ale nie był duży. Naomi od razu poczuła nadchodzący atak klaustrofobii. Szybko podeszła do okna – jedynego – odsunęła ciemnofioletowe zasłony i wpuściła do środka słońce. Zbliżyłac twarz do szyby i wyjrzała na rzekę oddaloną o kilkaset metrów, rozproszone dachy i wieże ciśnień.

– Nad rzeką ładnie zachodzi słońce. Widać je z tego piętra – powiedziała recepcjonistka. A kiedy Naomi nie zareagowała, dodała: – We wszystkich pokojach na czwartym piętrze są nowe telewizory. Z płaskim ekranem.

Ale Naomi nie obchodził telewizor z płaskim ekranem. Ani minibar. Bardziej interesował ją widok z okna, choć nie była pewna, co widzi.

– Przepraszam, czy to jest budynek sądu? Tam?

– Tak, tak mi się zdaje.

– A gdzie jest Howard Avenue? Widać ją stąd?

– Nie jestem pewna...

Klinika dla Kobiet Hrabstwa Broome mieściła się pod numerem 1183 na Howard Avenue.

– A widać stąd Shawnee Street?

– Shawnee? Raczej nie...

– Front Street?

Kobieta w ogóle nie słyszała o Front Street.

Naomi myślała na głos:

– Moja matka uczestniczyła w procesie, tutaj, w Muskegee Falls, w sądzie.

– Naprawdę? – Kobieta uśmiechnęła się niepewnie.

– To było w dwutysięcznym roku. Proces Luthera Dunphy’ego. Pamięta pani?

– Luther Dunphy. Och tak. Wszyscy pamiętają ten proces.

– A co pani pamięta?

– To była... smutna sprawa.

– Dlaczego smutna?

– Bo Luther Dunphy zabił dwie osoby – zastrzelił je na ulicy. Dwóch lekarzy.

Dwóch lekarzy. Naomi to zastanowiło.

– Znała pani któregoś z tych zabitych?

– Ja nie. Ale siostra mojego męża była sąsiadką jednego z nich. Miły człowiek, weteran z Wietnamu.

– Pamięta pani jego nazwisko?

– Chyba Barron. Tom albo Tim.

– A nazwisko tego drugiego?

– N-nie... Chyba nie pochodził z Muskegee Falls.

– Znała pani Luthera Dunphy’ego?

– Ależ nie. Oczywiście, że nie. Nikt z mojej rodziny go nie znał.

Naomi przestała zwracać uwagę na kobietę z natapirowaną fryzurą, która po tym przesłuchaniu z niezadowoleniem zmarszczyła czoło. Od kiedy Naomi zaczęła pracę przy filmach dokumentalnych, stała się dużo bardziej agresywna wobec obcych, niż wynikało to z jej charakteru, a przecież nie ceniła tej cechy ani u innych, ani u siebie.

Zauważyła: zapach odświeżacza powietrza w pokoju. Krzesło z wygiętymi nogami obite ciemnofioletowym aksamitem. Niewielkie biurko z blatem, który dziwnie się otwierał i zamykał, niezbyt praktyczne dla gościa z laptopem. Podwójne łóżko, mosiężne wezgłowie i kremowa narzuta, na której artystycznie ułożono sześć poduszek. Nad biurkiem duże lustro w ramie takiego samego kremowego koloru, w odbiciu Naomi Voorhees i kobieta z natapirowaną fryzurą. Ta młodsza w czapce baseballowej zasłaniającej pół twarzy, druga po czterdziestce, z jaskraworudymi farbowanymi włosami.

– Pamięta pani proces? – zapytała Naomi.

– Cóż... niewiele. Raczej nie. Nie śledziłam go, musiałam pracować. Niektórzy moi znajomi i krewni tam chodzili. Ale trudno było się dostać, zdobyć miejsce. Sala sądowa nie jest duża. A proces przyciągał wielu ludzi. Mówili o nim w telewizji, pisali w gazetach. I ci wszyscy pikietujący przed sądem...

– Pikietujący? Dlaczego?

– Chyba przeciwko aborcji. Niektórzy byli katolikami. To znaczy katolickimi księżmi i zakonnicami. Ale przychodzili też inni, bardzo różni. Przyjeżdżali autobusami. W mieście działała klinika aborcyjna, pod którą zastrzelono tych lekarzy. – Recepcjonistka mówiła teraz rozważniej, świadoma zainteresowania Naomi.

Naomi zapytała, czy pamięta, jak zakończył się proces.

– Uznano go za winnego, tak mi się zdaje. Skazano na śmierć. – I dodała: – Było potem bardzo nerwowo. Uważali, że to surowy wyrok. Ludzie, któ-

rzy znali Luthera Dunphy’ego i jego rodzinę, pracowali z nim albo należeli do tego samego Kościoła. W gazecie publikowano rozmowy z osobami, które go znały, i wszyscy mówili, że to był dobry człowiek, dobry mąż i ojciec, że za darmo wykonywał prace ciesielskie dla Kościoła. Jedna z sąsiadek opowiadała, że po burzy, kiedy wiatr zerwał dachówki z jej domu, Luther Dunphy naprawił dach i nie wziął pieniędzy... – Urwała, jakby niepewna, co to miałoby znaczyć.

Dobry człowiek. Mąż, ojciec. Cieśla. Za darmo.

Naomi zaczęło dzwonić w uszach.

– Czy rodzina Dunphych wciąż tu mieszka?

– Nie wiem! – odpowiedziała ostro kobieta. I lekko się zarumieniła. – Czy pani jest dziennikarką?

– Nie.

– Nie dziennikarką? Zadaje pani takie pytania jak oni. Podczas procesu przyjeżdżało ich wielu. Z telewizji, z kamerami, stali na ulicy...

– Nie jestem dziennikarką.

Naomi zauważyła: na trzech ścianach pokoju wisiały oprawione dagerotypy ze scenkami znad rzeki Muskegee, z innych epok. Na podłodze leżał miękki chodnik, starannie odkurzony. Niewielką łazienkę niedawno odnowiono: lśniące krany i wanna, która wyglądała jak zrobiona z białego plastiku.

Przelotne odbicie twarzy w łazienkowym lustrze. Naomi poczuła przypływ paniki – jej matka mieszkała tutaj, w tym pokoju. Na pewno.

Recepcjonistka pojednawczym tonem opisywała „historyczne” cechy Muskegee Falls Inn, z których najwyraźniej była dumna. Restauracja, pub, room service. O której otwierano salę śniadaniową, do której serwowano jedzenie w restauracji. Naomi uprzejmie słuchała, wróciwszy do okna. Zobaczyła, że popołudnie gaśnie. Rzeka lśniła jak drżąca folia aluminiowa, z tej odległości wydawała się nie poruszać.

– To ładny pokój, proszę pani, czyż nie?

– Rzeczywiście.

– Czy zdecyduje się pani go wziąć? – Pytanie było dziwnie sformułowane.

– Nie.

Naomi usłyszała gwałtowny wdech kobiety. Ale przecież nie chciała powiedzieć „nie”, chciała powiedzieć „tak”.

– Przepraszam, proszę wybaczyć. Miałam na myśli „tak”.

W windzie zjeżdżającej do lobby żadna z nich nie wiedziała, co powiedzieć.

Na dole, w recepcji, Naomi podała swoje nazwisko i kartę kredytową. Ulżyło jej, choć również rozczarowało, że nazwisko „Voorhees” nie zrobiło wrażenia na kobiecie.

Dostała kartę magnetyczną. Dostała klucz do minibaru. Miała już wyjść, żeby przejechać samochodem na tył hotelu, kiedy kobieta z natapirowaną fryzurą nagle odezwała się, jakby przypomniało jej się coś ekscytującego:

– Wie pani, ostatnio dużo słyszeliśmy o krewnej Luthera Dunphy’ego. Bokserka D.D. Dunphy.

Naomi się zaciekawiła.

– Bokserka?

– Jedna z Dunphych. Córka Luthera. Chyba niedawno zdobyła jakieś mistrzostwo. Nie jestem pewna, chyba w Cleveland. Przypadkiem widzieliśmy z nią wywiad w telewizji. Moja siostrzenica chodziła z nią do szkoły.

– Ma pani na myśli Dawn Dunphy? Jest bokserką?

– No tak, jedna z nich. Jedna z córek.

Naomi nie całkiem uwierzyła. Dawn Dunphy bokserką! W telewizji.

Choć właściwie nie powinno jej to dziwić. Ze zdjęć przypominała sobie niezgrabną, szyderczo uśmiechniętą Dawn Dunphy, córkę mordercy, której wyjątkowo nienawidziła.

W Muskegee Falls igły jej kompasu wirowały.

Była tutaj, w tym miejscu. Tutaj, gdzie wydarzyła się śmierć.

Dlatego nie chciała dzwonić do nikogo z Muskegee Falls. Nie chciała uznawać istnienia Muskegee Falls.

Nie chciała wypowiadać słów „Muskegee Falls”.

Nie dzwoniła już do Darrena, chyba że to było absolutnie konieczne, a to zdarzało się coraz rzadziej. Stała się w końcu dorosłą kobietą. Nie mogła obarczać brata młodszą siostrą widmem.

Ale od czasu do czasu dzwoniła do Jenny. I (nieoczekiwanie) Jenna dzwoniła do niej. Ale Naomi nie chciała, by matka wiedziała, że ona wróciła do pracy nad archiwum, bo Jenna uważała pomysł archiwum za bardzo zły.

„Proszę, nie umieszczaj mnie w tym filmie. Proszę, nie cytuj mnie. Nie mogę ci tego zabronić i nie chcę cię cenzurować. Ale błagam cię”.

Oczywiście, że Jenna nie chciała jej cenzurować. Naomi nie do końca wiedziała dlaczego. Mogłaby zapytać matkę: „Czy moja żałoba jest mniej uzasadniona od twojej? Dlaczego nie jest tak ważna?”. Zamiast tego zadzwoniła do Madeleny Kein. Mimo obaw, co usłyszy w głosie babki, który może zabrzmi słabo. Nie będzie ciepłym, pewnym głosem Madeleny Kein, ponieważ od dawna nie jest głosem kobiety, która wypowiada się publicznie, ale głosem kobiety, która zaczęła odczuwać swoją śmiertelność.

– Halo! To ja, Naomi. Jestem... jestem w tym miejscu. Nagrywam. Zadzwonię znowu, Leno. Mam nadzieję... że czujesz się dobrze.

Nie potrafiła się zmusić, żeby nawet pospiesznie mruknąć „kocham cię”.

W budynku pod numerem 1183 na Howard Avenue w kolorze radosnej kanarkowej żółci, ozdobionym kolorowymi postaciami zwierząt z kreskówek, mieściło się CHRZEŚCIJAŃSKIE PRZEDSZKOLE „PEONIA”.

Naomi przez chwilę siedziała w wynajętym nissanie. Miała wrażenie, że jej mózg omiotło czarne skrzydło.

Przedszkole.

Ale on tutaj umarł. Na tym podjeździe.

Musiała jednak nagrać to, co zastała. Oko kamery jest neutralne i obiektywne.

Podjazd pod przedszkolem Peonia był spękany, a w szczelinach rosły małe, twarde chwasty jak koronka. W tym zwykłym otoczeniu nie było śladów krwi, oznak śmierci. Zbyt wiele upłynęło dni, lat, pogoda zrobiła swoje.

W oku kamery całkowita zwyczajność tej scenerii będzie oznaczać tajemnicę. Dlaczego akurat na to patrzymy?

Okolica okazała się trudna do opisania. Po części handlowa, po części mieszkaniowa. Duży skład drewna po jednej stronie Howard Avenue, kilka bungalowów na maleńkich, pozbawionych trawy działkach po drugiej. Duży dom obity sidingiem, z wieżyczkami i wykuszowymi oknami, podzielony na mieszkania, szyld „Howard Manor. Mieszkania do wynajęcia”.

Przedszkole Peonia miało niedbały, swojski wygląd. Jaskrawoczerwone ręcznie malowane litery na żółtym tle. Ręcznie malowane kreskówkowe zwierzęta o dużych przyjacielskich brązowych oczach. Żadnych znaków, że przedszkole jest chrześcijańskie. Żywa, hałaśliwa atmosfera. Jeśli ktoś mieszkał w sąsiedztwie, to pewnie codziennie uśmiechał się, widząc te jaskrawe podstawowe barwy, albo denerwował tak oczywistą i niezakłóconą radością.

Za jednopiętrowym kanarkowożółtym budynkiem stały zaparkowane samochody. Matki przywoziły tu bardzo małe dzieci. Był ciepły wrześniowy poranek – kilkoro przedszkolaków i opiekunów wyszło na dwór, na mały plac zabaw.

Krzyki dzieci, śmiech i entuzjazm.

Na widok maluchów bawiących się na zaimprowizowanym placu zabaw Naomi odruchowo się uśmiechnęła.

„Żadne dziecko nie chce umierać”.

Życie zawsze wygrywa. To prawda, wobec której wszystko inne traci znaczenie.

– Dzień dobry! – Naomi zagadnęła zaganianą, ale sympatyczną kobietę ubraną w dżinsy i tunikę.

Kobieta (miała na imię Diana) powiedziała jej, że owszem, poprzednio w budynku mieściła się przychodnia dla kobiet, ale ona nawet jej nie widziała, bo zanim przedszkole kupiło budynek, przez kilka lat stał pusty. Nie znała też nikogo związanego z kliniką.

– Klinika dla Kobiet Hrabstwa Broome przeniosła się w inne miejsce?

– Nie. Wydaje mi się, że całkiem ją zamknięto. Ale zapytam.

Diana odwróciła się do starszej opiekunki, która wyjaśniła, że z tego, co wie, przychodnię dla kobiet przejął szpital na East Avenue.

– Mają tam radiologię, robią mammografię. Lekarze, fizjoterapia, zajęcia z jogi, pilates. Wyjaśnić pani, jak tam trafić?

Naomi podziękowała, ale nie.

Zapytała, czy wiedzą, dlaczego zamknięto przychodnię tutaj, a kobiety wymieniły spojrzenia i oględnie odpowiedziały, że słyszały o różnych kłopotach – o protestujących.

– Nie wiedzą panie, że pod budynkiem miały miejsce morderstwa? Bo tu się mieściła klinika aborcyjna.

To było zbyt bezpośrednie. Za późno zdała sobie z tego sprawę.

W Muskegee Falls w Ohio nie mówiło się tak po prostu o brzydkich sprawach. Brzydkich miejscowych sprawach. Wychowawczynie z przedszkola Peonia poczuły się nieswojo na widok kamery i przekrzywionej czapki baseballowej. W milczeniu pokręciły głowami.

Naomi zastanawiała się, czy „nie” znaczy, że nic nie wiedzą o tym, co się stało, czy że nie chcą o tym mówić.

Wyjaśniła, że w przychodni oprócz aborcji świadczono też opiekę medyczną dla kobiet i dziewcząt, ale pod koniec lat dziewięćdziesiątych aktywiści pro-life rozpoczęli ataki na klinikę, a w listopadzie 1999 roku na podjeździe zastrzelono dwóch mężczyzn...

Zaniepokojona Diana zapytała:

– Przepraszam, czy pani jest dziennikarką?

Gapiły się na jej kamerę. Gapiły się na Naomi i już się nie uśmiechały.

– Nie, nie jestem dziennikarką.

Jakieś dziecko zaczęło ciągnąć Dianę za łokieć.

– Za chwileczkę, Billy. Już idę.

Naomi odpuściła. Nie chciała ich dłużej zatrzymywać. Nie chciała denerwować, niepokoić ani dręczyć tych kobiet. Nie chciała na siłę wciskać im tego, czego nie miały ochoty słuchać w ten ciepły, suchy wrześniowy poranek 2011 roku.

Powiedziała więc:

– Przedszkole wygląda ślicznie. Na pewno dobrze się tu pracuje i jest to bardzo satysfakcjonujące.

– Tak, to prawda.

– ...ciężka praca, ale...

– ...bardzo satysfakcjonująca.

Odeszła, pomachawszy im na pożegnanie. Widziała ulgę na ich twarzach. Kilka innych kobiet, najprawdopodobniej matek przedszkolaków, również gapiło się na Naomi. Wiedziała, że gdy tylko odejdzie, zaczną z przejęciem rozmawiać o tej wizycie.

Dziennikarka? Z jakiej gazety? Robiła zdjęcia? Szukała kliniki aborcyjnej? Spoza stanu? Pro-choice?

W 1999 roku pod numerem 56 na Front Street mieszkała rodzina Dunphych. Znalazła ten adres.

Jednopiętrowy dom z drewnianą elewacją, w sąsiedztwie niemal identycznych domów, wszystkie pewnie z połowy XX wieku. Farba na nim wyblakła, zamęczona pogodą, jak coś, co zbyt długo pozostawało na deszczu. Okna częściowo zasłonięto żaluzjami. Łatwo było sobie wyobrazić, że ktoś wygląda z jednego z tych na górze.

Zobaczyła: wąski podjazd, pojedynczy garaż za bardzo zawalony rzeczami, by zmieścić samochód. Niewielki betonowy stopień przed wejściem, małe podwórko, wyschnięta trawa i ziemia, przy krawężniku mocno poobi-

jany i brudny metalowy pojemnik na śmieci, pusty. Na podwórku przewrócony trójkołowy rowerek. Czerwona plastikowa miska na wodę dla psa, bez wody. Porozrzucane kości, mocno obgryzione.

W okolicy panował spokój; szczekał tylko jakiś pies, dzieci na rowerach wołały coś do siebie.

To jest dom, w którym w listopadzie 1999 roku mieszkał z rodziną Luther Dunphy.

Jakieś sześć i pół kilometra od Kliniki dla Kobiet Hrabstwa Broome.

Na podjeździe pojawiła się kobieta w średnim wieku, w luźnych ubraniach. Japonki na białych stopach z długimi palcami. Uśmiechnęła się do Naomi, chyba że to był grymas.

W tej okolicy obcy nie zapuszczali się na podwórka i nie stawali na podjazdach z kamerą w ręku, by gapić się na cudze domy.

Oczywiście, teraz mieszka tu ktoś inny.

Minęło niemal dwanaście lat.

– Przepraszam, szuka pani kogoś? – Kobieta osłoniła oczy, patrząc na Naomi spod zmrużonych powiek. Wciąż jednak zdawała się zaciekawiona, przyjazna.

– Och, przepraszam. – Intruzka siliła się na rozbrajającą szczerość. – Oni chyba już tu nie mieszkają. Rodzina Dunphych? Znałam kiedyś ich córkę...

Kobieta przestała się uśmiechać. Naomi dostrzegła, że zaciska zęby.

Trzymała swobodnie kamerę w lewej ręce. W niewidoczny sposób nagrywała to, co widział obiektyw, ale tak, by gapiąca się podejrzliwie kobieta nie mogła się domyślić.

– Zgadza się. Nikt o tym nazwisku już tutaj nie mieszka.

– Dunphy? Zna pani to nazwisko?

Kobieta z niechęcią wzruszyła szerokimi ramionami.

– A wie pani, kiedy się wyprowadzili?

Kolejne wzruszenie ramion. Gest sygnalizował nie: „Nie wiem, kiedy się wyprowadzili”, ale: „Dlaczego mam pani mówić, nawet jeśli wiem, kiedy

się wyprowadzili”.

– Czy wie pani może, kiedy się wynieśli?

Kobieta pokręciła głową.

– Czy w Muskegee Falls mieszkają jeszcze jacyś Dunphy? Ktoś, z kim mogłabym porozmawiać?

Kobieta pokręciła głową.

Podszedł do niej, kulejąc, duży niezgrabny pies o skołtunionej sierści. Mieszanka labradora z terierem, krótki ogon. Zwierzę wyczuło niepokój właścicielki, odsłoniło pożółkłe zęby i zaczęło szczekać na dziewczynę w czapce baseballowej, jakby dobrze znało przeznaczenie małego czarnego przedmiotu w jej dłoni.

Naomi kiepsko to wymyśliła. Nikt nie szukałby jednego z dzieci Dunphych, nie wiedząc, kim był Luther Dunphy. Udawać, że jest inaczej, to nieudolna zmyłka. Ale Naomi uznała, że nie ma wyboru i musi kontynuować tę niezręczną grę, choć kobieta wciąż gapiła się bez uśmiechu, a pies obok niej warczał.

– Nie przyjaźniłam się z Dawn Dunphy... to znaczy nie byłyśmy blisko. Ale słyszałam, że została sportsmenką. Bokserką.

Ależ dziwnie zabrzmiały słowa „Dawn Dunphy” w jej ustach! Była pewna, że nigdy dotąd nie wymówiła ich na głos.

– Nie mieszka tu nikt o nazwisku Dunphy. Od wielu lat. – Kobieta mówiła głośno. Ewidentnie chciała odprawić nieproszonego gościa.

Mimo to Naomi wpatrywała się w dom. Nie mogła oderwać od niego oczu. To był taki zwyczajny dom. Ale przecież wiedziała o tym wcześniej. Dom, w którym morderca jej ojca zaplanował morderstwo jej ojca, dom, w którym trzymał broń. Pewnie w piwnicy.

Gdyby niezadowolona kobieta pozwoliła jej wejść, sfilmować wnętrze, nawet piwnicę, w której mógł wtedy trzymać broń – co by to dało?

– Powiedziałam już pani: nikt o tym nazwisku nie mieszka tu ani w pobliżu. Rozumie pani?

– Tak! Przepraszam. – Naomi głupio się uśmiechnęła. Kamera w ręku zdawała się nieporęczna, zbędna. – Bardzo przepraszam.

Niezgrabnie odwróciła się, by odejść do samochodu zaparkowanego przy krawężniku, obok poobijanego kubła na śmieci. Kobieta stała nieruchomo na podjeździe, warczący pies koło niej. Gapiła się na Naomi, jakby widziała wroga.

Ona mieszka w domu mordercy. Musi się tego wstydzić. To oczywiste, że nie chce, by jej przypominać.

Niewielkim wynajętym samochodem na południe, Front Street do Mason Street i dalej do Woodbind. W lewo na Summit. Znowu w lewo na Howard Avenue. Droga, którą niemal na pewno morderca pojechał tamtego ranka na Howard Street 1183.

Rozrysowała sobie oś czasu. To zawsze pomaga – nakreślić zarys, strukturę. Z tego, czego dowiedziała się przez lata, ułożyła prawdopodobną sekwencję zdarzeń. Wyobrażała sobie paralelne trajektorie: Luther Dunphy wyjechał swoim picku-pem z piętrowego domu na Front Street, jakieś sześć i pół kilometra od kliniki dla kobiet, rankiem 2 listopada 1999 roku. Timothy Barron, ochroniarz ochotnik, wyjechał z domu minivanem i przyjechał do mieszkania Gusa Voorheesa na Shawnee Street, pięć kilometrów od kliniki, około siódmej dziesięć, by zawieźć go do kliniki...

Naomi pojechała na Shawnee Street, do innej części Muskegee Falls. Okolica mieszkaniowa, domy większe, na większych działkach niż te na Front Street; pod numerem 88 na Shawnee, pod adresem mieszkania wynajmowanego przez ojca stał niezgrabny kwadratowy otynkowany budynek z tablicą: „Prestiżowe apartamenty, 1/2/3 pokoje”.

Zastanawiała się, czy przez jedenaście lat budynek bardzo się zmienił. Zastanawiała się, czy Jenna kiedykolwiek była w mieszkaniu ojca.

Pamiętała, jak Gus mówił, że to mieszkanie tymczasowe. Zamierzał się przeprowadzić do innego, bliżej centrum. Albo powiedział (Naomi była wtedy mała, to było przed morderstwem, nie pamiętała wszystkich cennych słów wypowiedzianych przez ojca), że „czeka”, czy Jenna zmieni zdanie

w kwestii przeprowadzki do Ohio: „A wtedy wynajmiemy jakiś naprawdę ładny dom. Dzieciaki, możecie nam pomóc wybrać”.

Niedługo po siódmej rano 2 listopada 1999 roku, nie wiedząc, że za pół godziny umrze, doktor Voorhees wyszedł z tego budynku i wsiadł do dodge’a prowadzonego przez Timothy’ego Barrona. Razem pojechali do kliniki.

O siódmej trzydzieści Gus Voorhees i Timothy Barron już nie żyli.

Nikt nigdy się nie dowiedział, o czym rozmawiali w drodze do przychodni.

Naomi miała nadzieję, że to była przyjacielska rozmowa. Że mężczyźni się lubili. Że nie bali się o swoje życie, kiedy podjeżdżali pod klinikę, pod którą zaczynali się gromadzić wrogo nastawieni demonstranci.

Gdy Naomi jechała w stronę Howard Avenue, narastało w niej poczucie nierealności. Bo przecież to wszystko, co wydarzyło się dawno temu, równie dobrze mogło się nie zdarzyć.

W topografii tego miejsca nie było nic niezwykłego. Nie było przeznaczenia. Gus Voorhees równie dobrze mógłby znaleźć się gdzie indziej, na przykład w hrabstwie Huron w Michigan. Luthera Dunphy’ego mogłaby zatrzymać jakaś codzienna sprawa – choroba dziecka czy jego własna. Zmiana decyzji. Zmiana zdania. To po prostu był czysty przypadek, bez znaczenia.

Zabił ich. Zginęli. I nic więcej.

Wkrótce, zanim zdążyła się przygotować, znalazła się z powrotem na Howard Avenue 1183. Ale Klinika dla Kobiet Hrabstwa Broome zniknęła, a na jej miejscu stało kanarkowożółte chrześcijańskie przedszkole Peonia.

I nic więcej.

Tak, zamierzała wytrwać.

Zadzwoniła do Madeleny i zostawiła wiadomość: „Zniechęcają mnie, ale się nie poddam”. I ochrypłym głosem dodała: „Kocham cię”.

Thelma Barron w końcu zgodziła się na spotkanie. Ale na niecałą godzinę i tylko nagranie głosu, bez filmowania.

– Nikt nie musi oglądać mojej twarzy w pani filmie. Wystarczy, że wykorzysta pani twarz mojego ojca.

Thelma Barron była stanowcza i sprawiała wrażenie urażonej. Z niezadowoleniem zaakcentowała słowo „wykorzysta".

Kobieta w średnim wieku, ironiczne spojrzenie. Inteligentna, starająca się być uprzejma dla nieznajomej.

Naomi bardzo tęskniła za wsparciem kamery. Obiektyw kamery jest odwrócony od człowieka, pozwala mu się ukryć. Daje złudzenie, że jest się niewidzialnym, niewinnym.

Zamiast tego miała nagrywać rozmowę – słowa córki tego drugiego. Usiadły naprzeciwko siebie przy starym stole piknikowym za eleganckim wiktoriańskim domem Barronów na Mercy Street, w ogródku proszącym się o koszenie i grabienie. Policzki Naomi płonęły, kiedy słuchała słów na zmianę słabnących i pełnych gniewu, poczucia krzywdy i buntu.

Przez długi czas o tym nie rozmawialiśmy. Nazwisko pani ojca było dla nas gorzkie.

Czuliśmy ogromny żal, że nasz ojciec, którego tak kochaliśmy, został zabity, bo pracował dla kliniki, i że zginął razem z doktorem Voorheesem – i że nikogo to nie obchodziło, nikt nie wiedział, oprócz rodziny i kilku bliskich osób.

W wiadomościach telewizyjnych czołówka zawsze podawała nazwisko VOORHEES. Zawsze skupiali się na VOORHEESIE. Do dzisiaj to nazwisko jest dla nas okropne, nie możemy wymawiać go na głos.

Kiedy zginęli, to VOORHEESA honorowano. To zdjęcia VOORHEESA pokazywano. To VOORHEES został męczennikiem. Na stronach antyaborcyjnych pisano, że śmierć Timothy'ego Barrona to strata uboczna i tak jak na wojnie – straty ubocznej się żałuje, ale nie da jej się uniknąć.

Przepraszam, że tak z tobą rozmawiam, Naomi. Wiem, że w twoim sercu też zieje wielka rana. Ale nie jestem dla ciebie siostrą. I nie będę.

Doktor Voorhees nie był przyjacielem naszego ojca, choć nasz ojciec chciał, by doktor Voorhees został jego przyjacielem. Niejeden raz zapraszał go do nas na kolację, ale twój ojciec zawsze się wymawiał.

Tata z dumą nazywał Gusa Voorheesa swoim przyjacielem. Ale tak nie było.

Nasza strata jest bardziej gorzka od twojej i bardziej niesprawiedliwa, ponieważ twojego ojca się szanuje i czci jego pamięć, on nie zostanie zapomniany, podczas gdy naszego ojca, Timothy'ego Barrona, pamięta bardzo niewiele osób.

Coś ci powiem: nasz ojciec był naprawdę dobrym człowiekiem. Odszedł z armii w randze majora. Walczył w Wietnamie od 1966 do 1971 roku. Życie prywatne poświęcił pomaganiu innym, mówił, że dlatego pozwolono mu żyć, choć inni żołnierze z jego plutonu zginęli. Mówił, że wrócił z piekła.

Ponieważ był potężnej postury, ludzie błędnie go oceniali – a był spokojny i miał łagodne serce. Mówił, że został „wojownikiem", by chronić swój kraj. Ale dodawał też, że nie ma duszy wojownika. Porównywał się do jednego z naszych psów, mieszańca pasterskiego owczarka collie. Żartowaliśmy, że Andy przestraszyłby włamywacza, gdyby włamywacz go zobaczył, ale jeśli to Andy zobaczyłby włamywacza, wiałby gdzie pieprz rośnie. Andy nie szczekał, jeśli nie musiał. A jego szczekanie przypominało kaszel. W najlepszych czasach Andy ważył ponad pięćdziesiąt kilo...

Nikt bardziej nie opłakiwał taty niż Andy. Kochane, biedne psisko piszczało i wyło, nie mogło usiedzieć w miejscu. W pierwszym tygodniu po śmierci taty Andy oszalał. Machał ogonem, próbował przekonać sam siebie, że tata wraca do domu, ekscytował się, a kiedy nic się nie działo, widać było w jego oczach, jak uchodzi z niego życie. Teraz Andy jest starym psem i czasami wciąż człapie na podjazd, kładzie się i czeka, aż auto taty skręci do domu.

To ci łamie serce. Nie możesz wytłumaczyć zwierzęciu, co się wydarzyło, choć zmieniło to całe jego życie i odebrało mu radość.

Nasz ojciec zawsze wspierał kobiety i dziewczynki. Nie tylko dlatego, że miał cztery córki i jednego syna. Tak po prostu czuł. Niektórzy w rodzinie

się dziwili i może tego nie akceptowali – tata mówił, że prawa kobiet to fala przyszłości.

Wszystkim nam, córkom, zapewnił wykształcenie – żebyśmy poradziły sobie lepiej niż on, tak mówił. (A tata całkiem dobrze radził sobie w życiu! Z jednym z braci prowadził tu w mieście sklep z częściami samochodowymi).

Nasza babka, matka taty, również była wolontariuszką. Udzielała się w Kościele, szkole, szpitalu, hospicjum. Babcia pracowała w schronisku dla zwierząt w Muskegee Falls jeszcze tydzień przed śmiercią. Umarła w zeszłym roku w wieku osiemdziesięciu siedmiu lat, zaledwie dzień po rocznicy śmierci taty.

Oczywiście nie jesteśmy źli na rodzinę Voorheesów. To już za nami. Przepraszam, że mówiłam tak ostro i bez zastanowienia. Myślałam, że w ogóle nie będę potrafiła z tobą rozmawiać, dlatego nie odpowiedziałam na pierwszy list. Nas nie interesuje film dokumentalny o doktorze Voorheesie. Bardzo bolesne jest dla nas nawet wspominanie o tym, co się stało z naszym ojcem. A sprawiedliwość działała tak powoli, proces wciąż przekładali...

Nasz ojciec, Tim Barron, jako ochotnik ochraniał Klinikę dla Kobiet Hrabstwa Broome i przez lata nie spotkał się tam z żadnym poważnym zakłóceniem porządku. Był potężnym mężczyzną, więc z natury nie bał się nikogo, kto chciałby go zastraszyć czy nim pomiatać. Oczywiście protestujący przed kliniką w większości zachowywali się pokojowo. W najgorszym wypadku czasami krzyczeli do kobiet wchodzących do środka – nie grozili nikomu fizycznie. Najczęściej uczestniczyli w czuwaniach modlitewnych i próbowali doradzać ciężarnym kobietom, jeśli któraś chciała słuchać, ale oczywiście nie chciały. Jednak kiedy kliniką zaczął kierować Gus Voorhees, to się zmieniło. Zaczęto wiele o nich mówić, głównie źle. Protestujący stali się bardziej agresywni i skłonni do konfrontacji, było ich też więcej. Tata zauważył tę zmianę w ciągu właściwie jednej nocy. Mówił, że komuś stanie się krzywda. Potrzebowali wzmocnionej ochrony policji. Od razu także pojawiły się paskudne rzeczy na internetowych stronach antyaborcyjnych. Wyróżniano hrabstwo Broome. Wyróżniano doktora Voorheesa. Armia Boga

jest w Ohio silna, szczególnie w wiejskich regionach. Operacja Ratunek wciąż jest aktywna. Wszyscy znamy osoby działające w tych organizacjach. Z niektórymi chodziliśmy do szkoły. Ale nie przyszło nam nigdy do głowy, że ktoś z nich zamorduje jednego z nas.

Powiem teraz coś, ale nie chcę cię zdenerwować, Naomi. W okolicy powszechnie uważano, że twój ojciec zachowywał się prowokacyjnie, bo udzielał wywiadów miejscowej telewizji i prasie. Wiem, że doktor Voorhees uważał, że jeśli ludzie zrozumieją misję kliniki, którą jest udzielanie opieki medycznej i doradztwo absolutnie wszystkim kobietom, bez względu na ich zamożność, to nie będą niechętni. Jednak zdawał się nie rozumieć, że sama jego obecność, słowa, cokolwiek mówił, w niektórych kręgach stanowiły punkt zapalny – i w ten sposób pogarszał sprawę. Był arogancki i szczery do bólu, uważał, że tylko on ma rację. Tata chyba próbował mu to wytłumaczyć, ale jeśli tak, to doktor Voorhees nie słuchał.

Tata rozumiał ryzyko, które podejmował każdego dnia, gdy jechał do kliniki. Był odważnym człowiekiem, ale nie był lekarzem aborterem, nie powinien zginąć w ten sposób.

Ludzie z pro-life twierdzili, że Luther Dunphy nie zastrzelił mojego ojca, że zrobił to ktoś inny. Bo Luther Dunphy odmawiał przyznania, że pociągnął za spust. Wciąż twierdzą, że to jeden z policjantów zastrzelił tatę, a nie Dunphy. To absurd, bo policjanci mieli tylko pistolety, a nie strzelby. Zresztą świadkowie widzieli, jak po wycelowaniu i zastrzeleniu twojego ojca Dunphy odwraca się szybko i pociąga za spust ponownie. Mówili, że miał spokojną twarz i nie okazywał emocji.

Był zimnokrwistym mordercą o kamiennym sercu. Nie zasługiwał, by żyć i oddychać tym samym powietrzem co przyzwoici ludzie.

W tygodniach przed śmiercią tata wstawał wcześniej, by zawieźć doktora do kliniki. Sam zgłosił się do wożenia go, na wypadek gdyby ktoś zaatakował samochód. Plan był taki, że doktor się pochyli, a tata ruszy tak szybko, jak się da, by uciec. Przez ostatnich osiem lat swojego życia tata nie sypiał dobrze, więc wczesne wstawanie nie sprawiało mu trudności. Kiedyś przeszedł chemioterapię z powodu nowotworu – raka okrężnicy. Chorobę wy-

kryto w drugim stadium, ale tata ciężko przechodził chemię, która go wymęczyła. „Jakby ktoś ścierał mnie z tablicy” – tak mówił. Stracił wtedy wszystkie swoje kręcone włosy. Kiedy go pierwszy raz zobaczyliśmy bez nich, rozpłakaliśmy się, taki to był szok. Ale tata się śmiał – „Hej, dzieciaki, przecież nie zamierzałem startować w konkursie piękności, prawda?”. Takie miał poczucie humoru. Wszyscy go kochali.

Kiedy tata poznał twojego ojca, był po chemii, włosy zdążyły odrosnąć, ale już nie kręcone, tylko bardzo cienkie i proste. Nie mówił twojemu ojcu o chorobie, bo nie należał do ludzi opowiadających o swoich prywatnych sprawach. Nie chciał, by ktoś się o niego martwił. Dlatego po raku nigdy do końca nie ufaliśmy tacie – pytaliśmy, jak się czuje, a on odpowiadał „dobrze”, tylko że nie wiedzieliśmy, co to znaczy, więc pytaliśmy mamę, a ona mówiła: „Myślicie, że mnie mówi coś innego?”. Nasz ojciec nie znosił użalać się nad sobą, ale przez to czuliśmy niepokój. Kiedyś podobno twój ojciec wspomniał mu, że zamierza przełożyć część zabiegów, bo ma zapalenie oskrzeli i „nie może powstrzymać tego cholernego kaszlu”. Tata uznał, że to bardzo osobista sprawa, sekret, jakby on i doktor Voorhees byli starymi znajomymi albo nawet braćmi – był bardzo wzruszony...

Był dobrym człowiekiem, a zabili go jak psa.

Nie jest nam przykro, że zamknięto klinikę. We wszystkich materiałach personel prawie nigdy nie wspominał o Timothym Barronie. Oczywiście mówili: „Tim był wspaniałym człowiekiem”, „Wszyscy uwielbiali Tima”, „Tęsknimy za Timem”. I tyle. Skupiali się na doktorze Voorheesie. Media interesowały się, kim był doktor Voorhees. Wiemy, dlaczego tak było, ale to niczego nie ułatwia. Kiedy ludzie mówią o Gusie Voorheesie jak o męczenniku, nawet dzisiaj, chcemy powiedzieć – tak, nasz ojciec Timothy Barron również był męczennikiem.

Przepraszam, bardzo się zdenerwowałam. Dawno tak z nikim nie rozmawiałam. W rodzinie już o tym wcale nie mówimy, a młodsze dzieci nic nie wie-

dzą, nie chcemy ich martwić i wywoływać goryczy. Ale chyba... już nie mogę z tobą rozmawiać.

Jak masz na imię? Naomi?

Przepraszam, Naomi. Proszę, wyłącz to cholerne urządzenie i idź sobie.

Następna rozmowa była przyjacielska, nawet poufała. Zamiast siedzieć przy chyboczącym się stole piknikowym na dworze, Naomi została zaproszona przez córkę policjanta z Muskegee Falls, który odszedł kilka lat wcześniej, do domu, do fornirowanego kuchennego stołu, i poczęstowana lekko tylko wygazowaną dietetyczną colą z trzylitrowej butelki.

Ależ nie – mój tata właściwie nie był świadkiem tej strzelaniny. Źle go zrozumiano.

Razem z drugim funkcjonariuszem jechali do kliniki. Mieli dotrzeć na miejsce o siódmej trzydzieści, a zabójstwa wydarzyły się wcześniej i dostali przez radio w samochodzie informację, że natychmiast muszą tam jechać. Mówił, że ledwie mieli czas włączyć syrenę.

Tacie zdawało się, że słyszał wystrzały. Gdy tylko podjechali, usłyszał krzyki. Zajmował się spanikowanymi ludźmi. To on aresztował Luthera Dunphy'ego. Założył mu kajdanki.

Dach kryty gontem. Niewielki wiejski kościół w kształcie pudełka. I w odcieniu kartonu. Pudełkowy wiejski kościół. Niewielki wiejski kościół, brązowy aluminiowy dach wyglądający na nowy. Budynek stał na nieuprawianym polu, w trawie koloru wydm. Żwirowy podjazd, ręcznie namalowana tablica: KOŚCIÓŁ JEZUSOWY ŚW. PAWŁA. MSZE ŚW. NIEDZIELA 9:00, SPOTKANIA MODLITEWNE ŚRODA 19:00.

Znajdował się na Schylerville Road. Niecałe dziesięć kilometrów od centrum Muskegee Falls, pośród gospodarstw rolnych, zrujnowanych wiejskich posiadłości, przyczep mieszkalnych.

Odbyła ileś rozmów telefonicznych. Miała nadzieję spotkać się z pastorem, ale powiedziano jej, że to niemożliwe, ponieważ wielebny Dennis wyjechał i wróci dopiero za dwanaście dni. Zapytała, czy może dostać numer telefonu lub adres mejlowy wielebnego Dennisa, ale powiedziano jej, że są zastrzeżone.

Zastanawiała się, skąd wiedzieli, kim ona jest. Czy w Muskegee Falls rozniosła się wieść, że przyjechała kolejna „dziennikarka" spoza miasta?

Zapewniano ją kilka razy: „Nie mieszka tu teraz nikt o nazwisku Dunphy".

Okrążyła kościół z kamerą w dłoni. Sucha trawa szeleściła pod stopami.

Za kościołem znajdował się mały cmentarz. Nagrobki wśród kęp kłującej roślinności, drewniane krzyże, kamienne płyty i sztuczne kwiaty w glinianych doniczkach. Znienacka pojawiła się myśl, że przecież tutaj musi być pochowany Luther Dunphy! Ale kiedy obejrzała świeższe groby, nie dostrzegła tego nazwiska.

Dowiedziała się, że najbliższa rodzina Dunphy'ego, żona i dzieci, przeprowadzili się do pobliskiego małego miasta Mad River Junction. Nie zamierzała ich tam ścigać. Nie pragnęła wtrącać się w ich życie. Nawet Dawn Dunphy, której wyjątkowo nie znosiła, już jej nie interesowała.

Kiedyś razem z Darrenem wyobrażali sobie zemstę na Dunphych. Dawno temu, byli wtedy nastolatkami opętanymi żałobą.

– Halo? Halo? Ha-lo? Jest tu ktoś? – Lekko podniesiony smutny głos.

Nikogo nie było. Nikt nie widział. Nikt nie skręcił na żwirowy podjazd samochodem, oburzony wtargnięciem Naomi, i nie zapytał, kim jest.

Żadnego dźwięku, tylko jesienne owady i sporadyczne ptasie krzyki. Ptaki przypominające nietoperze, chyba jaskółki rdzawoszyje albo jerzyki, nurkujące i wznoszące się w pobliżu rzeki. Po drodze do Kościoła Jezusowego Świętego Pawła, jadąc wzdłuż rzeki, Naomi widziała wodospady, lśniąca mgła unosiła się i znikała.

Na dachu kościoła znajdował się aluminiowy krzyż, niespecjalnie okazały, wysoki na jakieś półtora metra.

Tato, pomóż mi. Przegrywam, tonę. Nie wiem, co robić, jak cię znaleźć.

Wyłączyła kamerę. Nagrała już wszystko, co było do nagrania.

Tamtej nocy w pokoju w Muskegee Falls Naomi śnił się ojciec taki, jakiego od dawna nie widziała. Mówił do niej nagląco, jakby w złości, jak mówi się do upartego dziecka, któremu coś grozi.

– Skarbie, posłuchaj: daj mi odejść.

I głos, który miał być głosem Naomi, ale nie dobywał się z jej ust:

– Odejść dokąd, tato?

– Tam, gdzie idą zmarli, skarbie. Pozwól mi tam iść.

– Ale ja... nie mogę. Jakżebym mogła?

– Nie byłem wcale taki wyjątkowy, skarbie. Oprócz tego, że byłem twoim tatą, wcale nie byłem wyjątkowy.

Jej serce zaczyna bić gwałtownie. Budzi się, chora z przerażenia, i tej nocy już nie zaśnie.

Wyspa Katechay. Październik 2011

Czekali w motelu na wyspie Katechay.

– Powiedziała, że na pewno przyjedzie.

– „Na pewno”? Wątpię. Powiedziała, że spróbuje przyjechać.

– „Spróbuje przyjechać”? Mnie tak nie powiedziała.

Naomi mówiła z większą pewnością, niż czuła. Niemalże obronnym tonem.

Darren przywiózł urnę z prochami ojca. Stała na stole niczym starożytny artefakt generujący własny głęboki cień.

W chaosie życia tamtego okresu (w pierwszych miesiącach 2000 roku) Jenna nie pochowała urny na cmentarzu w Ann Arbor, ale powierzyła ją jednemu z najstarszych przyjaciół Gusa w Ann Arbor, który przez lata trzymał ją na półce w pełnym książek gabinecie.

Pozostała między nimi gorycz – między bratem i siostrą a ich matką.

Naomi i Darren chcieli rozrzucić prochy na wyspie Katechay, Jenna się opierała. Dlaczego – nie było do końca jasne.

Wiele rzeczy w miesiącach po śmierci ojca nie było do końca jasnych, a na samo wspomnienie tego czasu, czy też na próbę wspominania, Naomi robiła się niepewna, jakby ziemia pod nią zaczynała się trząść.

Naomi zakładała, że prochy pochowano w Ann Arbor. Darren zakładał, że prochy pochowano w Ann Arbor. Dlatego zaszokowało ich, kiedy niedawno dowiedzieli się od Jenny, że prochy ojca od ponad dekady trzyma ktoś spoza rodziny, że „wziął je na przechowanie”.

„Na przechowanie”. Co to niby znaczy?

Uznali, że to kiepski pomysł zagłębiać się w motywy działania matki. Jednak odkrycie było zaskakujące. I radosne, bo teraz w końcu mogli rozrzucić prochy ojca na wyspie Katechay, tak jak sobie życzył.

– Wydawało mi się, że jeśli mama zostawi urnę u kogokolwiek, to na pewno u dziadka Voorheesa...

– Albo da ją nam, żebyśmy mogli rozrzucić prochy...

Ukłucie w sercu. Połączone bliźnięta. Oboje odczuli ten przelotny dreszcz, przebłysk gwałtownej wspólnej emocji, z której, wydawałoby się, już wyrośli.

Matka nas nie kocha. Matka nas porzuciła.

Ale w ich wieku to przecież absurdalne! Czuć znowu tę znajomą urazę, wyobcowanie. Jak ostatnio mówił Darren, to przecież oni powinni chronić ją.

W Darrenie pojawiła się nowa dojrzałość. Starszy brat miał teraz własne życie, zupełnie niezwiązane z Naomi.

Tęskniła za nim! Tęskniła za własnym młodszym, wściekłym „ja”, które w bracie też już dawno osłabło.

Przeżyła również szok, gdy zdała sobie sprawę, że Darren ma prawie trzydzieści lat. Porzucił komiksy i powieści graficzne (przynajmniej na razie) i studiował na drugim roku szkoły medycznej Uniwersytetu Waszyngtońskiego w Seattle; chciał specjalizować się w publicznej opiece zdrowotnej, tak jak Gus. Mieszkał z Rachel, logopedką, której Naomi jeszcze nie poznała, ale z którą rozmawiała przez telefon. „Naomi? Cześć! Właściwie zdaje mi się, że cię znam, Darren tyle mi o tobie opowiadał”.

Zatkało ją ze zdziwienia, zastanawiała się, co takiego brat mógł opowiedzieć o niej obcej osobie. *Hej, byliśmy zwyczajnym rodzeństwem, które planowało urządzić piekło wrogom. Byliśmy jak szaleńcy w szalonym widzie. Czy naprawę kogoś zraniliśmy? Nie, tylko siebie samych.*

I jakże ją zaskoczył, kiedy go tu pierwszy raz zobaczyła! Darren czekał w południe w Katechay Inn, gdzie dotarł poprzedniego wieczoru. Kiedy Naomi wjechała wynajętym samochodem na parking, wybiegł do niej wy-

soki pogodny młody facet w szortach khaki, koszulce, ciemnych okularach i górskich butach. Szeroko uśmiechnięty, jakby czekał, wyglądając przez okno.

– Hej! Cześć.

Pierwsze wrażenie: *Nie jest już nieufny, ostrożny. Zmienił się*.

Uścisnął ją tak mocno, że się skrzywiła. Zmiana w bracie była oczywista. *Jest szczęśliwy.*

Jasne, że od razu go rozpoznała. Zmiany w wyglądzie były tylko powierzchowne. Gęste ciemne włosy przetykane przedwczesną siwizną jak u ich ojca w młodym wieku, krótsze i mniej zmierzwione niż kiedyś. Nie był już taki szczupły, z długimi rękami i nogami – miał pełniejszą twarz i przyciętą krótko brodę, która przypominała Naomi brodę Gusa w jednym z jej wcieleń, dawno, dawno temu.

Dlaczego faceci zapuszczają brody? Naomi zapytała o to kiedyś ojca. Zaśmiał się i odparł, że powinna raczej spytać, dlaczego mężczyźni golą brody. „Skarbie, sądzisz, że gładka twarz jest naturalna? Skąd ci to przyszło do głowy?”

Chętnie poszukałaby starych rodzinnych fotografii, by sprawdzić, czy odnajdzie wśród nich tę ojcowską brodę, która była pierwowzorem brody Darrena... Ucieszyłaby ją mina brata w chwili, gdy zdałby sobie z tego sprawę. Ale nie miała ze sobą archiwalnych zdjęć. Niektóre zostały w domu dziadków w Birmingham. Inne w Nowym Jorku, w „pokoju Naomi” w mieszkaniu Madeleny Kein.

(Jeśli Naomi gdziekolwiek mieszkała, to najbardziej z babką. Mieszkała z nią, gdy studiowała w szkole filmowej na Uniwersytecie Nowojorskim, i zamieszkała z nią ponownie, kiedy wiosną 2010 roku u Madeleny zdiagnozowano nowotwór, by pomóc jej przejść operację i chemioterapię).

Za Katechay Inn znajdował się drewniany taras wychodzący na błotniste wybrzeże zatoki Wild Fowl na najbardziej wysuniętym na południe krańcu zatoki Saginaw na jeziorze Huron. Dźwięki epoletników krasnoskrzydłych i wielkich żab. Na oświetlonych słońcem jesiennych błotach ostatnie mo-

tyle danaidy i ważki. Naomi tak dobrze pamiętała spacery w tej okolicy z ojcem, że natychmiast poczuła napływające do oczu łzy.

(Czy Darren zauważył? Jeśli tak, był taktowny i nic nie powiedział).

– Zadzwoniłaby, gdyby miała się spóźnić...

– No jasne!

Brat i siostra zaśmiali się jednocześnie. Przyjemnie było dzielić irytację z powodu ekscentrycznej, trudnej wspólnej matki.

Na pewno pojawił się u obojga nieznany wcześniej spokój, że nie od Jenny zależy to, po co przyjechali. Mogli rozrzucić prochy ojca bez niej, tak jak od ponad dekady bez niej żyli.

Tak, czekali. Darren powiedział, że jeszcze kwadrans nie zaszkodzi.

A kiedy minęło piętnaście minut i na drodze, jak daleko sięgali wzrokiem, nie pojawił się żaden samochód, Naomi powiedziała:

– Cóż, jeszcze pięć minut nie zaszkodzi... – Urwała. Czy powinna zażartować? Czy humor był na miejscu? – Dziesięć.

Możliwe, że samolot Jenny wylądował w Detroit z opóźnieniem. Albo miała problem z wynajęciem samochodu. Choć ani jedno, ani drugie nie wyjaśniałoby, dlaczego do nich nie zadzwoniła.

– Może rozładował jej się telefon. Wiesz, jaka bywa roztrzepana.

Uśmiechnęli się na wspomnienie domu na Salt Hill Road. Słyszeli szaleńczo gwiżdżący w kuchni czajnik, podczas gdy matka (o której w tamtych latach nie śmieliby mówić po imieniu) siedziała na górze w pokoiku pełnym przeciągów, który nazywała swoim biurem, i pisała na klawiaturze ogromnego komputera, nie słysząc gwizdania na dole.

Na piętrze bywało tak zimno, że czasem wkładała kurtkę i rękawiczki.

– Rękawiczki bez palców. Pamiętasz?

– Bez palców. To było dziwne.

– Tak. Było dziwne.

– Skąd ona je brała?

– Nie wiem.

– Dzieci nie potrafią pojąć idei rękawiczek bez palców.

– Pamiętam nas jak widmowe dzieci...

– Myślisz, że ten dom jest nawiedzony... przez nas?

Każde z nich myślało: *Możemy pojechać do tego domu. Salt Hill Road. Gmina Huron. Po rozrzuceniu prochów możemy tam pojechać*. Żadne jednak się nie odezwało. Perspektywa odwiedzenia domu, w którym ojciec co prawda nie umarł, ale w którym dostali wiadomość o jego śmierci, była zbyt straszna.

Dom przenikał zapach śmierci. Jakieś stworzenie naprawdę umarło w piwnicy i smród nigdy nie ustał...

– Pamiętasz muchy w tym okropnym miejscu?

– Muchy? Chyba nie...

– Na górze. W ścianach. Na pewno pamiętasz...

– Pamiętam jakiś smród.

Wzdrygnęli się. Zamilkli.

Siedzieli w jasnym jesiennym słońcu na drewnianym tarasie przed swoimi pokojami w motelu. (Specjalnie zarezerwowali sąsiadujące ze sobą pokoje. Jenna wynajęła swój w drugim skrzydle). Wpatrywali się w drogę, która skręcała na bagnistej równinie w kierunku mostu, aż na stały ląd, na którym zobaczyliby wynajęty przez matkę samochód.

Na moście pojawiło się kilka pojazdów, które minęły motel. Minivany, kampery. Żadnego auta tylko z kierowcą.

Jenna spóźniała się już ponad godzinę. Biorąc pod uwagę, jak daleko znajdowało się Bennington, to jeszcze nie było tak dużo.

A co z Melissą? Rozmowa o Melissie bolała.

Najmłodsza siostra bardzo żałowała i w lakonicznych mejlach wyjaśniała: *Strasznie mi przykro. Nie dam rady wyrwać się ze szkoły i pojechać tak daleko do Michigan. Będę o Was myśleć*.

W stylu Melissy było podpisać się tylko „Melissa” zamiast „Uściski, Melissa”.

Przez chwilę wydawało się, że do nich dołączy, by rozrzucić prochy ojca na wyspie Katechay. Nie powiedziała jasno „tak”, ale też nie powiedziała jasno „nie”. Jednak podróż z Kalifornii byłaby bardzo długa. Naprawdę. A poleciała tam dopiero miesiąc temu, by zacząć jesienny semestr na Berkeley. I może pomysł rozrzucenia prochów ojca w tym pięknym odosobnionym miejscu nie znaczył dla Melissy tyle co dla pozostałych.

Na początku wydawało się, że Melissa pójdzie do Bennington College zrobić dyplom ze sztuk wyzwolonych i zamieszka z matką w niewielkim Bennington, w domu należącym do Jenny i jej partnera. (Kim w ogóle jest ten partner? Facetem? Imię miał dziwne – brzmiało chyba jak „Noy”). Ale potem okazało się, że Melissę przyjęto na Uniwersytet Kalifornijski w Berkeley, gdzie miała studiować biologię molekularną.

Nikt z rodziny nie wiedział, że Melissa w ogóle aplikowała do Berkeley. Ani że interesuje się biologią molekularną.

Gdy tylko przyjechała do Berkeley (jak dowiedziała się Naomi), zapisała się do Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Studentów Pochodzenia Azjatyckiego i zamieszkała w akademiku głównie z takimi właśnie studentami. Naomi nie wiedziała, że takie akademiki w ogóle istnieją w Berkeley. Nie wiedziała też, że siostra jest tak bardzo religijna. Ze zdziwieniem usłyszała, że Melissa przyznała się dziadkom, że przez internet utrzymuje kontakt ze swoją biologiczną matką w Szanghaju i zamierza za kilka lat pojechać w odwiedziny do tej kobiety, której nikt z Voorheesów nie znał.

Melissa uczyła się w liceum mandaryńskiego. Z koleżanką ze szkoły chodziła do kościoła baptystów na przedmieściach Detroit, w Oak Park. Dziadkom powiedziała, że najswobodniej czuje się z innymi chrześcijanami, a mniej swobodnie z niechrześcijanami. W mejlu do pozostałych członków rodziny napisała: *Przyjmujemy Jezusa jako naszego Zbawcę. Jezus nie zawsze wywiera presję. Nie osądza nas, tylko nasze intencje*.

Naomi myślała o tamtym dniu, kiedy ostatni raz poszli z ojcem na spacer po wyspie Katechay i jak zostały z Melissą z tyłu. Nie mogły nadążyć za tatą i Darrenem na kamienistym brzegu, o który rozbijały się zimne pieniste fale.

„Tato! Poczekaj!”

„Poczekaj na nas. Tato!”

Melissa ściskała dłoń Naomi. Naomi mocno trzymała małą rączkę.

Ale z jakiegoś powodu to nie wystarczyło. Ich miłość do Melissy nie wystarczyła i nigdy nie zrozumieli dlaczego.

Bo została adoptowana? Bo miała inne pochodzenie etniczne? Te powody były tak oczywiste, że odrzucali je z irytacją.

Nie wiedzieli, co myśli o tym Jenna. Naomi poczuła przelotne ukłucie zazdrości, gdy Melissa przez jakiś czas planowała zamieszkać w Bennington, co znaczyło, że matka ją zaprosiła, zrobiła dla niej miejsce w swoim (nowym) życiu. Ale nie doszło do tego.

Tamtego dnia jedli lunch na wyspie w restauracji Latarnia Morska, która szczególnie interesowała dzieci. Można było wejść zewnętrznymi schodami i wyjrzeć na jezioro Huron (choć nigdy nie dało się zobaczyć kanadyjskiego brzegu, tylko ten w Michigan, po obu stronach). Mama i tata wcześniej rozmawiali podniesionymi głosami, jak czasem im się zdarzało, ale też śmiali się i szeptali, łączyli palce w figlarny sposób. Jednak Jenna postanowiła nie towarzyszyć im w tamtym spacerze wzdłuż brzegu.

Niełatwo iść po gruboziarnistym piasku. Wydmy były zbite i zimne nawet w słońcu. Na plaży leżały wodorosty, zmurszałe kawałki drewna, zgniłe małe rybki i truchła ptaków, na które nie chciałeś nadepnąć gołą stopą; strasznie wyglądały i śmierdziały kwaśno. Oślepiająco jasny dzień nad jeziorem, zimny i wietrzny, tak że woda wydawała się wstrząśnięta, ostra jak folia aluminiowa.

I wtedy to powiedział. Słowa, których nie pojęli.

„Obiecajcie mi, że kiedy umrę, rozrzucicie tutaj moje prochy”.

Nie wiedzieli, o co mu chodzi. Nawet Darren, najstarszy, nie miał pojęcia. I to chyba był żart – prawda? Tata się uśmiechał, ale oczy miał mokre od łez. Tylko że gdyby go zapytać, dlaczego ma mokre oczy, tata by odpowiedział: „Bo jestem taki szczęśliwy. Bo was kocham, dzieciaki, i kocham waszą matkę. Dlatego”.

Głupio było czekać. Mimo to czekali w odrętwieniu, pijąc wrzącą, czarną i pozbawioną smaku kawę z automatu w motelowym lobby.

Żadne nie chciało myśleć o tym, co oczywiste – że matka po prostu nie przyjedzie. Jakże naiwna i głupia była myśl, że Jenna dołączy do nich, skoro nie chciała się z tym mierzyć przez jedenaście lat.

– Jeszcze pięć minut. Nie więcej – powiedział Darren.

Od tak dawna czekali na Jennę, cholerną, egoistyczną, niegodną zaufania Jennę, że Naomi znów musiała skorzystać z łazienki w swoim pokoju, a stamtąd zadzwoniła do niej na komórkę i zostawiła wiadomość. Po powrocie na taras usłyszała głosy i serce jej podskoczyło.

Stała tam kobieta z pierzastymi siwymi włosami i przytulała Darrena. Naomi na początku jej nie poznała.

– Jenna?

– Naomi! Kochanie!

Nikt, nawet Madelena, nie mówił do Naomi „kochanie”. Tylko kiedyś rodzice, którzy (zdawało się) oboje już nie żyli.

– Och, kochanie! Cześć.

Przytuliły się. Uścisk Jenny był silny, zdecydowany. Naomi stała oszołomiona z zaskoczenia, szczęścia i wielkiej ulgi. *Już nie muszę nienawidzić matki. Już po wszystkim.* Czuła przez ubranie szczupłość pleców Jenny, kruchość kości. Zdawało się dziwne, że jest tak wysoka, a nie niższa, skurczona, jak wyobrażała sobie Naomi.

W tym pierwszym uścisku bez tchu miała silne ręce.

Jenna obiema dłońmi ocierała oczy. Miała twarz bladą jak wytarty alabaster. *Nie wygląda staro.* Co za ulga.

Ale jej włosy wyblakły i wydawały się suche, szorstkie. W dziwnym odcieniu siwej bieli, nie tak eleganckie i charakterystyczne jak Madeleny, ale na swój sposób atrakcyjne, bardzo lekkie, puszyste, zaczesane za uszy bez konkretnej fryzury.

Ściskając ręce Naomi i Darrena, Jenna mamrotała, jak jej przykro, że się spóźniła.

– Kazałam wam czekać. Kazałam czekać Gusowi.

Z dziwacznym poczuciem humoru wyrostka Darren powiedział, że Gus nie miałby nic przeciwko temu. Czekał już tak długo, że kilka minut nie zrobi mu różnicy.

Naomi zaśmiała się, choć była zdezorientowana, niespokojna. Jakie to dziwne – i jakie wspaniałe – że matka jednak ich nie porzuciła. A ten przystojny młody mężczyzna z szerokim ciepłym uśmiechem – to jej brat, Darren.

Jeszcze raz uścisnęła oboje. Jej rodzina!

Jenna ochrypłym głosem mówiła, że bała się zadzwonić i powiedzieć, dlaczego się spóźnia. Myślała, że jeśli przyzna, że zgubiła się gdzieś między lotniskiem i jeziorem, powiedzą, że może w ogóle nie przyjeżdżać.

– Powiedzielibyście, że mnie nie potrzebujecie, że poradzicie sobie sami.

Głos jej drżał. Ręce ściskały mocno dłonie obojga dzieci.

– Mamo, na miłość boską! Co za głupota!

– Tak, mamo. Głupota.

Choć dokładnie tak myśleli tuż przed jej przyjazdem.

To była cudowna, ekscytująca przyjemność lekko zganić matkę, która uśmiechnęła się do nich nieśmiało, niepewna, jak odpowiedzieć.

– W każdym razie komórka mi padła. Zapomniałam ją przełączyć na tryb samolotowy i bateria się wyczerpała.

Samochodem Darrena pojechali trzy kilometry do parku stanowego Wild Fowl i na początek szlaku (który Naomi przypomniała sobie, jak tylko zobaczyła pomalowane na zielono podwójne wychodki). Jenna nie chciała tracić czasu na meldowanie się w motelu, rozpakowywanie i wieszanie ubrań, bo i tak za długo na nią czekali.

– Potem będzie na to mnóstwo czasu...

Zawiesiła głos, a słowo „potem” zabrzmiało dziwnie w ich uszach, z jakiegoś powodu, którego nie potrafili nazwać.

Na szlaku prowadził Darren, który niósł urnę. Powiedział, że prochy Gusa są lekkie jak proch – nie mają ciężaru – ale cynowa urna okazała się raczej ciężka.

– Jak powiedziałby tata, „godny pochówek”. Nikt by nie chciał, żeby urnę zrobili ze styropianu albo plastiku.

Naomi się zaśmiała. Dlaczego ją to śmieszyło?

– Och, Darren – powiedziała Jenna. – Mówisz jak on.

– Chyba tak. Czasami sam to słyszę. Jakby echo.

Przemierzali szlak gęsiego. Darren prowadził, ale oglądał się przez ramię, by rozmawiać z matką i siostrą. Darren energiczny, ekspansywny, jak ktoś, komu bardzo ulżyło. Jak ktoś, kto dowodzi.

Na wszystkich szlakach, którymi wędrowali, oczywiście dowodził Gus. To Gus zawsze prowadził każdy samochód, którym jeździli. Teraz wydawało się, że Darren może go dobrze zastąpić.

Był pogodny, chłodny jesienny dzień. W samo południe słońce jeszcze grzało, ale jak tylko zaczęło się obniżać, temperatura spadła do około dziesięciu stopni.

Naomi zauważyła, że Jenna ubrała się w praktyczne górskie ciuchy: lekkie, chroniące przed komarami spodnie, kurtkę khaki, czapkę z daszkiem osłaniającą oczy, trekkingowe buty. Gus zawsze nalegał, by żona i dzieci wkładali odpowiednie obuwie na takie spacery, a na bardziej kamieniste szlaki – wysokie górskie buty. Naomi nie zdziwiło, że matka, która tak daleko, jak się zdawało, odpłynęła od dawnego życia, stosowała się do zaleceń Gusa.

Darren przywiózł dla całej trójki kijki do chodzenia. Taki trekkingowy kijek Gus na pewno zalecałby wziąć na spacer po kamienistym brzegu jeziora, gdzie zdarzały się duże kamienie, skały, powalone drzewa i inne przeszkody, więc trzeba być przygotowanym.

Ściskając kijek, Naomi zaczynała lekko panikować. Przysięgła sobie wcześniej, że się nie załamie.

Tak wiele razy dobiegało do niej stukanie trzymanego przez ojca kijka, którym uderzał o skałę tuż przed nią – stuk-stuk-stuk. Od tak dawna nie słyszała tego dźwięku.

Ale przecież minęło tyle lat, nie była już dzieckiem w żałobie. Nie myślała o Gusie Voorheesie nieustannie każdego dnia – wręcz przeciwnie. Nie myślała też zbyt często o Jennie, jak na ironię, bo Jenna akurat, wydawało się, zaczęła wracać do ich życia.

Tak naprawdę od czasu Muskegee Falls Naomi myślała: *Wszyscy się starzejemy*.

Wprawdzie Jenna wyglądała młodziej, ale była chudawa i mizerna. Miała pięćdziesiąt kilka lat. Biedna Madelena – prawie osiemdziesiąt (i wyglądała na tyle albo na niewiele mniej). Dziadek Voorhees miał przynajmniej osiemdziesiąt pięć. Gdyby Gus żył, miałby pięćdziesiąt siedem.

Naomi wiele razy myślała o tym, że nigdy nie zobaczy swego ojca starego. Nie zobaczy go starzejącego się, schorowanego. Widziała go tylko u szczytu życia, szczytu krzepkiej męskości. Słyszała jedynie jego silny, rozkazujący głos.

Pierwsza część szlaku prowadziła przez okolicę zalesioną brzozami, cedrami, sosnami. Co chwilę pojawiały się kamienie, na które trzeba było uważać. Potem droga otwierała się na trawiasty podmokły teren, później na skalisty i tak znaleźli się na brzegu jeziora, gdzie nagle otworzyło się nad nimi niebo, zanim zdążyli się przygotować. Horyzont majaczył w oddali, z północy wiał chłodny wiatr, niosąc znajomy zapach zgniłych ryb, glonów, drewna.

Jenna szła sprawnie, rozważnie. Oczywiście nie nadążyłaby za dziećmi, gdyby postanowiły iść szybciej. Ale Naomi wolała zostać z tyłu. Chciała być ostatnia, widzieć tamtych dwoje. Wysokiego, pewnego siebie brata, srebrnosiwą matkę. S w o i c h.

Powie Madelenie: „Matka i ja chyba się pogodziłyśmy”.

A Madelena powie: „Cieszę się z tobą. To dobrze”.

Naomi zdała sobie sprawę, że jest bliżej z babką niż z matką. Zaczęła kochać babkę mocniej, niż kochała matkę.

Czy to nienaturalne? Wydarzyło się jakby bez jej świadomości.

Ale Jennę również kochała. Ta miłość była ostrożna, niepewna. Naomi nie do końca ufała matce, jak nauczyła się ufać Madelenie. Jenna trzymała ją na dystans, sugerowała, że może kiedyś Naomi przyjechałaby odwiedzić ją w Bennington i zostałaby na jakiś czas, zaś babka jasno wyraziła, że Naomi może z nią mieszkać, przyjeżdżać, kiedy tylko zechce, i zostać, jak długo zechce.

Madelena ją kochała, ale też jej potrzebowała. Nie było wiadomo, czy Jenna potrzebuje któregokolwiek ze swoich dzieci.

W trakcie wędrówki Darren opowiadał matce o swoich studiach medycznych. O zajęciach, wykładowcach. O klimacie w stanie Waszyngton, o domku, który wybudowali z Rachel nad rzeką Skagit i dokąd uciekali, kiedy tylko mogli. Naomi słuchała jednym uchem. Część słyszała już wcześniej od Darrena, a teraz z przyjemnością chłonęła głos brata. I półsłówka Jenny: „Och, co ty! Naprawdę? Naprawdę!”. Naomi wpatrywała się w plecy matki, w tył jej głowy. Chciała dotknąć jej włosów, ramienia, ręki. Chociaż delikatnie.

Zaplanowali kolację w Latarni Morskiej. Gus wybrałby właśnie tę restaurację. I upierali się, żeby zarezerwować stolik, choć było mało prawdopodobne, by o tej porze roku w środku tygodnia na wyspie Katechay było to potrzebne.

Darren zadzwonił wcześniej, by zarezerwować stolik, jak kiedyś robił to ojciec. Naomi z uśmiechem słuchała rozmawiającego przez telefon brata i słyszała głos Gusa. Echo.

W połowie października pofalowane jezioro miało opalizujący połysk. Daleko na wodzie płynął frachtowiec, dostojny i pewny siebie niczym prehistoryczne morskie stworzenie. Od czasu kiedy mieszkali w Michigan, niedaleko Wielkich Jezior, ruch statków znacznie się zmniejszył, jak dowiedziała się Naomi. Gus zawsze pokazywał im jeziorowce, niewielkie jed-

nostki śródlądowe. Gdy był jeszcze studentem na Uniwersytecie Michigan, pracował latem na takiej – nazywała się Outlander Integrity, przewoziła towar z Sault Ste. Marie do Chicago, Buffalo i Port of Montreal i z powrotem.

Po czterdziestominutowej wędrówce wzdłuż brzegu Darren zarządził przystanek na pięknym skalistym półwyspie. Znajdowała się tu niewielka jaskinia wśród dużych, ogrzanych słońcem głazów. Fruwały chmury opalizujących ważek. Delikatny zapach rozkładającego się życia, nie nieprzyjemny. Naomi zdawało się, że chyba rozpoznaje to miejsce, a Darren oznajmił, że jest idealne.

Postawił urnę na kamieniu i zaczął się mocować z wieczkiem. Urnę i przykrywkę zrobiono z jakiegoś ciemnego tworzywa koloru ziemi, pewnie syntetycznego, rodzaju konglomeratu pomysłowo naśladującego materiał naturalny.

Naomi zacisnęła powieki, przez moment nie chciała patrzeć.

Była bliska śmiechu. A co, jeśli po tylu latach wieko się nie otworzy...

Jenna odezwała się ochrypłym, pełnym niedowierzania głosem:

– Gdyby Gus nas widział, toby się śmiał. Nie znosił takich formalności i ceregieli...

Wieczko zostało zdjęte. Darren odwrócił się i przechylił urnę tak, że prochy zaczęły się wysypywać. (Nie chciała widzieć, czy drżą mu ręce). Czy powinna nagrywać tę scenę? (Zostawiła kamerę, zupełnie zapomniała o swojej kamerze!). Były tam większe kawałki, chyba kości, na które Naomi się teraz gapiła, jakby nie wiedziała, co właściwie widzi.

– Mamo? Chcesz ją potrzymać? Naomi?

Nieco otępiałe Jenna i Naomi podeszły bliżej, by asystować Darrenowi.

– Może powinniśmy się pomodlić, ale...

– Nie! Tata by się wściekł.

– Może nie miałby nic przeciwko temu. Widziałem kiedyś na jakiejś uroczystości, jak tata udawał, że się modli.

– Na jednym z waszych zakończeń roku Gus wygłaszał przysięgę na wierność sztandarowi, jak wszyscy pozostali.

– Spodobałaby mu się ta uwaga...

– Wiedziałby, że go kochamy. I to się liczy.

Rozrzucanie dobiegło końca niemal zbyt szybko: prochy i kawałki kości w falującej wodzie już się rozeszły, zniknęły.

Czy naprawdę to się stało tak prędko? A teraz? Co teraz? Przez moment Naomi miała w głowie zupełną pustkę.

– A w końcu zostaje tylko cisza. Świat bez nas.

Dlaczego powiedziała coś takiego? Oblizała usta, spierzchnięte, jakby pokryte łuską. Miała wyschnięte oczy od słońca i wiatru.

Nie chciała patrzeć na śmiertelnie białą, zrozpaczoną twarzy matki. Usta rozchylone, tak samo wyschnięte i nieczujące.

Czy tylko tyle zostaje? To?

Nie mogli uwierzyć, co zrobili.

Zamiast prawdziwego pochówku na trawiastym cmentarzu, na którym można uklęknąć, opłakiwać.

Zamiast nagrobka – brzeg jeziora Huron.

Żart. Próbowali żartować. Próbowali się śmiać.

Próbowali oddychać.

Próbowali się nie potykać, nie upaść na ostrych kamieniach. (Ale gdzie przewiało te pieniste prochy? Gdzie są blade kawałki kości? Naomi z przerażeniem chciała paść na kolana, sięgnąć do zimnej wody po strużkę prochów i wyciągnąć choć trochę).

– Chciałabym...

Co zamierzała powiedzieć? Nie mogła, w płucach nie było powietrza.

Pozostali zdawali się jej nie słyszeć. Nie potrafili na siebie spojrzeć. Darren z zaciętą miną wysypywał z urny resztki prochów, marszcząc czoło.

Dlaczego to tak istotne, kluczowe, by wytrząsnąć z tej urny wszystko? Darren planował zostawić w zatoczce również naczynie. Jednak Jenna nagle oznajmiła, że ją weźmie. Tę urnę.

Słońce zjeżdżało po zachodnim niebie jak zezujące oko. Wzmógł się wiatr. Zaczęli drżeć z zimna. Odwrócili się, by wrócić tam, skąd przyszli, na początek szlaku, gdzie Darren zaparkował wynajęty samochód; wszystko trwało mniej niż pół godziny i – jakby ktoś zdjął im ciężar z serca – pospiesznie opuścili piękną odludną zatokę Wild Fowl.

Zmęczeni wrócili do Katechay Inn.

Było dopiero dwadzieścia po piątej. Nie upłynęło dużo czasu, choć im się zdawało, że przemierzali wyczerpujący szlak przez wiele godzin – cały dzień.

– Rezerwację zrobiłem na siódmą. Powinniśmy wyjechać do restauracji kwadrans przed, dobrze? Poprowadzę.

Padali ze zmęczenia. Naomi, Jenna. Nawet Darren.

Matka lekko się zachwiała, jakby urna w kolorze ziemi była ciężka, a nie lekka jak styropian, więc Naomi podtrzymała Jennę w talii, by jej pomóc. Teraz Jenna już nie była taka wysoka, jej ciało zdawało się kruche, wątłe. Zdjęła czapkę, pierzaste włosy były przyklepane i matowe, a skóra wyglądała na bezkrwistą, śmiertelnie białą z wyczerpania.

– Wszyscy powinniśmy odpocząć. Spróbuj się zdrzemnąć, mamo.

– Tak zrobię. Ty też powinnaś, Naomi. Obiecaj!

Jakby była małą dziewczynką, która musi obiecać mamie drzemkę.

Ależ głęboko spała Naomi! Padła na łóżko w swoim pokoju, ledwie zdobywszy się na zrzucenie zabłoconych butów trekkingowych, zbyt zmęczona, by rozpiąć i zdjąć ubrania. Było dość czasu na sen. Wszyscy się prześpią i odpoczną przed wieczorem.

Kiedy o szóstej pięćdziesiąt Darren i Naomi zapukali do pokoju matki, numer B18, nikt nie otworzył.

– Halo? Mamo? To my.

– Mamo? Halo...

Z rozgoryczeniem stwierdzili, że pokój jest pusty. W środku nikogo nie było.

Recepcjonistka potwierdziła, że tak, pani Jenna Matheson zapłaciła za pokój, za jedną noc, kartą kredytową, ale zdaje się, nie wniosła do pokoju żadnych swoich rzeczy.

– Chyba tylko skorzystała z łazienki, użyła ręcznika czy dwóch. Nic więcej.

– Ale czy coś powiedziała?

– Że chce się wymeldować. Zmieniła plany i nie zostanie na noc. Nie podała powodu. Odjechała jakąś godzinę temu.

– W którym kierunku pojechała?

– Chyba w stronę mostu.

– Zostawiła jakąś wiadomość?

Recepcjonistka sprawdziła przegródkę pokoju Darrena i Naomi. Z tej drugiej wyjęła złożoną kartkę z wiadomością: *Wybaczcie, przepraszam, Jenna*.

Przeczytali to kilka razy. Darren mamrotał:

– Ale to... niemożliwe.

Naomi była zbyt zaszokowana, by się odezwać.

Na widok ich min recepcjonistka zapytała z troską:

– Czy pani Matheson to państwa krewna? Jesteście rodziną?

Walka, Cincinnati.
Listopad 2011

MIDWESTERN BOXING LEAGUE

8-RUNDOWY POJEDYNEK KOBIET W WADZE ŚREDNIEJ

PRYDE ELKA („SQUAW”) VS. D.D. DUNPHY („MŁOT JEZUSOWY”)

EAST CINCINNATI WAR MEMORIAL ARMORY

18 LISTOPADA 2011

BILETY DOSTĘPNE W KASACH, WYSYŁKOWO I ONLINE

Bilet na walkę kupiła przez internet. Dziewięćdziesiąt cztery dolary plus opłata za miejsce z brzegu, w jedenastym rzędzie. Nie miała pojęcia, co jej strzeliło do głowy, ale chciała to zrobić. Pod wpływem tego samego impulsu i bez zastanowienia kupiła bilety lotnicze. Z Nowego Jorku do Cincinnati i z powrotem. W Cincinnati miała zostać na dwie noce. Może to błąd, pewnie cudem uda jej się wytrzymać jedną.

Tak czy owak zarezerwowała na dwie noce pokój w motelu przy lotnisku.

„Dokąd ty jedziesz, Naomi? Powtórz? Co, na miłość boską, chcesz robić w Cincinnati?” Nie wiedziała, jak odpowiedzieć babce. Nie miała wyjaśnienia. Było jak na początku żałoby, jakby ktoś zasznurował usta od środka szorstką czarną nicią. „Nie wiem. Ale może się dowiem, kiedy tam dotrę”.

W rozpadzie swojego życia nie była nieszczęśliwa. W ruinach, w których się potykała, była pewna, że ocali coś cennego.

Dlaczego wracała na Środkowy Zachód co miesiąc i zawsze brała ze sobą kamerę?

Dlaczego przestała tworzyć archiwum życia (i śmierci) swego ojca, a jednak tego archiwum nie zniszczyła? (Nie zniszczyła ani jednego notatnika, który kiedyś należał do Gusa Voorheesa. Ani jednego listu, pocztówki, przyklejanej karteczki, wycinka z gazety, podartego i pomiętego zdjęcia. Żadnego nagranego wywiadu. Wszystko leżało starannie pooznaczane w teczkach, folderach, pudełkach w pokoju Naomi w mieszkaniu Madeleny Kein w Nowym Jorku).

Dlaczego (w tajemnicy) śledziła karierę „Młota Jezusowego" – D.D. Dunphy?

Było to coś zupełnie nowego, całkowita niespodzianka, że córka Luthera Dupnhy'ego została profesjonalną bokserką. Na początku Naomi podchodziła do tego szyderczo, sceptycznie. Bo bardzo nie lubiła Dawn.

Pamiętała nadąsaną twarz tej dziewczyny na zdjęciach w prasie.

W Naomi i Darrenie budził gniew sam fakt, że dzieci Luthera Dunphy'ego w ogóle istnieją.

Po powrocie z Muskegee Falls Naomi wyszukała w sieci D.D. Dunphy i z zaskoczeniem (oraz pewnym smutkiem) dowiedziała się, że córka Luthera Dunphy'ego zdobyła uznanie jako bokserka, odkąd na początku 2009 roku zaczęła profesjonalnie walczyć. Dunphy wygrała wszystkie walki, tylko raz zremisowała; występowała w Cleveland, Dayton, we wschodnim Chicago, w Indianapolis, Gary, Scranton i Pittsburghu. Wyglądało na to, że często walczy. Nie była jeszcze pretendentką do tytułu, ale w kilku rankingach znajdowała się w pierwszej dziesiątce swojej kategorii wagowej.

Na niektórych stronach internetowych nazywano ją kobiecym Tysonem.

Naomi pamiętała, jak recepcjonistka w hotelu w Muskegee Falls opowiadała, że córka Luthera Dunphy'ego jest bokserką – wtedy pierwszy raz usłyszała o czymś takim. Uznała to za dziwaczne, odrażające. Nienawidziła boksu, czy raczej tego, co wiedziała o boksie. Nienawidziła sportów pełnych przemocy. Przypominała w tym matkę, która pisała kiedyś o wykorzystywaniu kobiet w brutalnych rozrywkach takich jak boks, zapasy, mieszane

sztuki walki. To rodzaj prostytucji, twierdziła Jenna Matheson. I jak zawsze to mężczyźni czerpią zyski z wykorzystywania kobiet.

Jenna Matheson pisała feministyczne polemiki dawno temu, w latach dziewięćdziesiątych. Nadal pisała i publikowała, ale teraz dużo rzadziej, z tego, co wiedziała Naomi.

Zbieg okoliczności: następnego wieczoru w Muskegee Falls Inn, w hotelowym pubie Pod Baranem włączono telewizor nad barem akurat na urywki kobiecych walk bokserskich. Był to czysty przypadek, że Naomi przyszła do pubu na późną kolację – hotelową restaurację już zamknięto. Tylko zerknęła na ekran, ale usłyszała, jak barman i kilku innych mężczyzn rozmawia o walce: „To córka Luthera Dunphy'ego. Jezu!".

Córka Luthera Dunphy'ego! W jednej chwili uwaga Naomi skierowała się w tamtą stronę.

Nie była to transmisja gali bokserskiej na żywo, ale jakiś program sportowy. Urywki z walk się skończyły. Potem pokazano fragmenty wywiadów i zwycięską zawodniczkę, która wciąż dyszała, uśmiechała się z dziecięcym podekscytowaniem, spocona, z grubymi brwiami i szorstką skórą czerwoną od piekących ciosów przeciwniczki. „D.D. Dunphy".

Naomi się gapiła. Nie poznałaby tej młodej kobiety.

Jakie to dziwne, jakie niewłaściwe – smugi szkarłatu i zieleni w ostrzyżonych na jeża ciemnych włosach Dunphy. Na bicepsach obu rąk jaskrawe tatuaże.

Poczuła gwałtowny przypływ niechęci do Dunphy, prosto z trzewi. Najbardziej znienawidziła radość tej bokserki, którą postrzegała jako dziecinne pławienie się w zwycięstwie.

Dunphy mówiła z podnieceniem, ale niepewnie. Jąkała się, przerywała.

Najwyraźniej nie była przyzwyczajona do wystąpień przed mikrofonem – w ogóle nie była przyzwyczajona do mówienia. A pytania zadawał agresywny dziennikarz, który wyraźnie ją onieśmielał, więc cały czas zerkała w bok, szukając wsparcia u kogoś poza kadrem.

– Jakie są moje plany na przyszłość? Chyba... trenować naprawdę ciężko... do może... walki o tytuł...

– A kiedy to się stanie, D.D.?

– Kiedy? Ja... nie wiem. To zależy od...

– A o który tytuł chcesz walczyć, D.D.? Midwest Boxing League? World Boxing Association?

– Ja... nie wiem.

– Gotowa na wielkie rzeczy, co? Atlantic City? Vegas?

– ...n-nie wiem...

Naomi ukradkiem obserwowała ekran. Jakiż żałosny był ten wywiad! Miała nadzieję, że nikt w pubie nie zauważy jej zainteresowania. A już szczególnie nie chciała, by barman albo klienci pijący przy barze wciągnęli ją w rozmowę.

Faceci mamrotali coś do siebie, śmiali się. W ich głosie pobrzmiewał niechętny podziw.

– To ona: Dunphy. Trudno ją poznać.

– Mieszkali tu, na Front Street. Luther był dekarzem, jak mój stary.

– No szlag, pewnie. Nie da się zapomnieć tego biednego skurwiela Dunphy’ego.

– Mój brat trzymał się z jej bratem... jak on ma na imię...

– Jezu, jaka pospolita! Ale bić potrafi.

– Baba bokser, to jakiś żart. Rzygać się chce. Chociaż niektóre są spoko, jak córka Muhammada Alego.

– Przepraszam panią.

– Przepraszam panią.

– Szlag! Przepraszam.

Przeciskając się koło Naomi, ktoś rozlał jej na kolana ciemny musujący płyn, kostki lodu wypadły z wielkiego styropianowego kubka.

– Nie ma sprawy.

Naomi szybko wytarła chusteczką sztruksowe spodnie i uśmiechnęła sie na znak, że nie jest zła ani zdenerwowana.

Tyczkowaci, głośno śmiejący się młodzi mężczyźni zajęli miejsca. Nie śmiali się z samotnej białej dziewczyny na bocznym miejscu w Armory, zapomnieli o niej sekundę później. Inni jednak ją zauważyli, zaciekawieni. Niby nie wrodzy, ale bez uśmiechów.

Naomi Voorhees i jej blada, biała skóra! Jak odsłonięta kość, z której wycieka szpik. W dodatku sama.

Nikt w zasięgu wzroku w tej ogromnej przestrzeni nie był sam. Całe rzędy zajmowały kilkunastoosobowe lub nawet liczniejsze grupy fanów boksu. W większości mieli ciemną skórę. Latynosi. Mężczyźni. Głównie mężczyźni dwudziesto-, trzydziesto-, czterdziestoletni, którzy przyszli obejrzeć walki wieczoru i których boksujące kobiety mało interesowały.

Pojedynek D.D. Dunphy z Pryde Elką miał być trzecim z serii pięciu pojedynków kończących się konkursem (jak go nazywano) w wadze ciężkiej między dwoma najlepszymi bokserami (Afroamerykaninem i Jamajczykiem), gwiazdami wieczoru.

Naomi nie wiedziała, jak się ubrać na galę boksu w East Cincinnati Armory, więc włożyła ciemne sztruksowe spodnie, ciemny sweter, nijaką kurtkę i botki. Włosy sczesała do tyłu. Na głowie miała przeciwdeszczowy kapelusz khaki. Twarz bladą, czystą, jakby wyszorowaną: rzadko się malowała, co rozczarowywało (tak przypuszczała, bo Madelena nigdy nie powiedziała tego wprost) elegancką i wciąż piękną babkę, dla której sztuka nakładania makijażu była równie ważna jak wyjątkowa siwa peruka z prawdziwych włosów, którą teraz nosiła.

Naomi zamierzała wyglądać jak zwykła fanka boksu, ale szybko zauważyła, że wśród tych świętujących tłumów nie było nikogo z w y k ł e g o.

Wszyscy w zasięgu wzroku okazali się ostentacyjnie dobrze ubrani: wydali fortunę na ubrania, buty, fryzury, biżuterię. Ciemnoskóre i latynoskie kobiety i dziewczyny, wystrojone, szykownie umalowane. Pewnie modelki, aktorki. Mogłyby grać w filmach. Paznokcie miały pomalowane i wyjątkowo długie. Fryzury niesamowite, opierające się grawitacji. Biżuteria mi-

gotała i lśniła nawet w mrocznej hali, a z powodu piercingu lśniły również twarze. Mężczyźni byli ubrani równie wymyślnie, wielu ze złotymi łańcuchami na szyjach, w modnych koszulach z rozpiętymi kołnierzykami.

Naomi cieszyła się, że ją ignorują i że młodzi czarni mężczyźni przeciskający się obok niej do swoich miejsc nie okazali się niegrzeczni czy chamscy, ale raczej wyluzowani i weseli.

– Przepraszam panią, cholera jasna.

– Prze-praszam.

Hala mieszcząca ośmiuset widzów była ledwie w połowie pełna, kiedy o dwudziestej dziesięć rozpoczęła się walka Elka–Dunphy. Niemal nikt nie klaskał, gdy D.D. Dunphy w ciemnym szlafroku, pospiesznie, jakby ktoś ją gonił, szła przejściem po przeciwnej stronie ringu, a wybuch entuzjastycznego aplauzu dla Pryde Elki zelżał, dopiero kiedy obie bokserki stanęły na ringu.

Naomi zaszokowała wulgarność tej walki: „Squaw” kontra „Młot Jezusowy”.

Pryde Elka weszła na ring w niby-indiańskim stroju: w szlafroku z turkusowymi piórami, z turkusowymi frędzlami przy wysokich do kostek butach. Włosy miała bardzo czarne, chyba ufarbowane, zaplecione w sztywne, piętnastocentymetrowe warkoczyki. Policzki wyglądały na wytatuowane, jak u wojowników Apaczy. Elka była spiętą, muskularną kobietą koło trzydziestki, miała mocno opaloną skórę, blisko osadzone oczy, ponurą minę. Ubrała się w ciemne spandeksowe spodenki do kolan z logotypami reklamodawców, a może słowami-symbolami plemienia Shawnee. Obcisła koszulka zdobiona była podobnie. Mięśnie rąk Elka miała gruzłowate, opalone nogi mocno umięśnione, ale jakby zasuszone, jak coś organicznego, żywe drewno, które odwodniono i wydestylowano. Strój Dunphy był raczej zwyczajny: czarne spodenki i koszulka z prostym sportowym biustonoszem, niedodającym uroku ciału, mocnemu jak u jałówki.

Naomi gapiła się z nerwowym współczuciem. Nie chciała być pogardliwa ani się wywyższać. Rodzice ją nauczyli, by nie mierzyć innych swoją miarą, bo często ma się przewagę, której inni nie posiadają. Jednak wydało

się jej żałosne, że Pryde Elka, podobno potomkini plemienia Shawnee z Ohio, nosi pseudonim „Squaw” i walczy z D.D. Dunphy, o dziesięć lat młodszą, cięższą, wyższą, pewnie silniejszą, nazywającą samą siebie „Młotem Jezusowym”.

Squaw. Młot Jezusowy. Poganka kontra chrześcijanka? Naomi Voorhees wydało się to obrzydliwe, ponieważ była dzieckiem kultury, w której samo wypowiedzenie słowa „squaw” uważano za obraźliwe, a feministyczne zasady równości i godności traktowano jak niepodważalne fakty naukowe, nie przyjmowano do wiadomości, że kobiety można tak poniżać i wykorzystywać, w dodatku prawdopodobnie za ich zgodą.

Na ringu z ramion Pryde Elki zdjęto szlafrok z turkusowymi piórami. Zawodniczka truchtała, unosząc lśniące czerwone rękawice na dźwięk oklasków. Ktoś przy ringu wydał wojenny okrzyk. Kiedy D.D. Dunphy rozbierała się w swoim narożniku, nikt nie reagował.

– Panie i panowie, ośmiorundowy pojedynek kobiecej wagi średniej Midwestern Boxing League...

Rozległy się pojedyncze okrzyki, wiwaty i gwizdy, kiedy zabrzmiał gong na początek walki. Bokserki ruszyły na siebie, spotkały się na środku ringu, wymachując czerwonymi rękawicami.

Naomi skuliła się na siedzeniu. Poczuła przypływ paniki, że którejś z zawodniczek coś się stanie, a ona będzie tego świadkiem.

Siedziała nieruchomo w niespokojnym transie na twardym drewnianym krześle. Chciała zacisnąć powieki, zatkać uszy. Fruwające rękawice rozmazane jak w koszmarze, szybko zadawane ciosy, wykrzywione twarze. Słyszała, że zawodniczki chrząkają, słyszała ich buty piszczące na macie.

Boże, po co ja tutaj przyszłam? Dlaczego pomyślałam, żeby tu przyjść? Czego właściwie tu szukałam?

Oprócz pojedynczych okrzyków, wrzasków zachęty, buczenia walka toczyła się w milczeniu – bez głosów komentatorów, bez telewizji. Naomi nie była kibicem, ale zauważyła brak komentarza. Bez nieustannej gadaniny boks jest niemy, a widz zdezorientowany, nie ma pojęcia, co się dzieje.

Tępy odgłos ciosów trafiających w ciało. Widziała, że D.D. Dunphy bije i jest bita. Raz musiała kucnąć, zaskoczona uderzeniem. Naomi poczuła dreszcz satysfakcji – Dunphy jest bita.

Potem ulga, kiedy walka nagle się urwała. Bokserki złapały się w klinczu.

A może jedna z nich próbowała zwalić drugą z nóg i położyć na matę. Kilka razy sędzia (biały) ostro rozkazywał: „Break”.

Jaka długa była ta pierwsza runda! Kiedy rozległ się gong na jej koniec, Naomi ledwo mogła oddychać. Bokserki natychmiast opuściły rękawice jak marionetki, którym przecięto sznurki, a potem odwróciły się i szybko przeszły do swoich narożników.

Naomi była hiperczujna, skupiona. Zastanawiała się, która z zawodniczek wygrała tę rundę. Czy któraś zyskała przewagę? Widziała, jak jeden z trenerów szybko starł cienką czerwoną kreskę lśniącą przy linii włosów Dunphy.

Naomi zdawało się, że starsza bokserka była nieco bardziej zwinna, cofała się, robiła uniki na boki, by uciec przed ciosami, a Dunphy napierała agresywnie naprzód, stojąc na całych stopach, z głową spuszczoną jak kobra szykująca się do ataku.

Dziwne, że na jasno oświetlonym ringu wyczuwało się taką koncentrację, napięcie! Ale poza linami, w częściowo wypełnionych rzędach Armory, w przejściach, gdzie sprzedawcy chodzili z napojami, hot dogami, przekąskami, widzowie rozmawiali i śmiali się, jakby ta trudna walka między dwiema kobietami nic dla nich nie znaczyła, a nawet jakby można było się z niej pośmiać. Przez całą pierwszą rundę do Armory wlewał się strumień widzów, głośno rozmawiających i żartujących.

– Rany, co to jest? Baby? Jezu!

Druga runda zaczęła się tak jak pierwsza: gong, napierające na siebie bokserki. Ale tym razem (tak zdawało się Naomi) młodsza biała zawodniczka z kolorowymi pasemkami w krótkich włosach zmuszała rywalkę, rdzenną Amerykankę, do ucieczki, uskakiwania, kulenia się, cofania na liny,

gdzie (to się stało nagle) została uwięziona i nie mogła się ochronić przed szalonymi ciosami.

Ale równie nagle na czole Dunphy, tuż nad prawym okiem, pojawiła się paskudna czerwona rana. Jak to się stało?

Mocno krwawiąc, ocierając rękawicą krew znad oka, Dunphy potykała się i zataczała. Elka natychmiast zasypała ją lawiną ciosów, niektórych chaotycznych, niektórych celnych, a widzowie zaczęli krzyczeć i zachęcać: „Uderz! Uderz! Elka! El-KA!”.

Naomi poczuła przerażenie. Co tu się działo? Armory opanował dziki szał. Miała ochotę zerwać się i krzyczeć razem z nimi: „Uderz! El-KA!”.

Zapomniała o kamerze na kolanach. Tak bliski ryk wielu głosów był przerażający i podniecający jednocześnie. Poczuła głęboki, pełen nienawiści dreszcz satysfakcji, że córka Luthera Dunphy’ego została uderzona i zraniona. Krew spływająca po twarzy nadawała jej upiorny wygląd. *Teraz już wiesz. Teraz wiesz, jak to jest być ranną. Jesteś pełna nienawiści i zasługujesz na karę.*

Czy sędzia zaraz przerwie walkę? Naomi nie wiedziała, czy tego chce, bo wtedy kara Dunphy dobiegłaby końca. Na szczęście zadźwięczał gong kończący drugą rundę.

Serce Naomi zaczęło bić szybciej. Oddech przyspieszył. Z komentarzy widzów siedzących za nią zrozumiała, że D.D. Dunphy dostała głową. Przebiegła wojowniczka Shawnee opuściła głowę i mocno uderzyła Dunphy w kość nad prawym okiem, pozornie przypadkowo, ale sędzia odjął jej punkty za faul.

Z widowni rozległy się okrzyki niezadowolenia. Z decyzji sędziego? Z Pryde Elki? Z D.D. Dunphy?

– Kto prowadzi? – chciała wiedzieć Naomi.

– Nikt. Jeszcze nikt.

Naomi miała nadzieję, że Pryde Elka wygra już niedługo. I że rozcięcie nad okiem D.D. Dunphy zaraz znowu zacznie krwawić. I że ta paskudna

walka zostanie przerwana. Nie podobały się jej uczucia, dotąd nieznane, które się w niej budziły – prymitywne, barbarzyńskie i wstydliwe.

Przyznaj: chcesz, żeby Dunphy bolało. Chcesz, żeby ją bardzo bolało.

Żeby została zniszczona tak jak jej ojciec morderca.

Jednak na początku trzeciej rundy D.D. Dunphy ruszyła na przeciwniczkę z nową energią, zaciekłością godną pitbulla; stała mocno na macie, nie ustępowała, ślepo parła naprzód. Tak zaciekła Dunphy przypominała jednocześnie przysadzistą nastolatkę i dojrzałą kobietę. Jej strategią było wyłącznie naciskać: wykorzystać wagę, wzrost, odporność na ciosy, wszystko na swoją korzyść. Naomi słyszała o kontrowaniu i widziała, że gorzej wyszkolona Dunphy czerpie energię z odbieranych ciosów, przyjmuje mocne uderzenia na twarz, od których robiła się czerwona i nos zaczął krwawić. Każdy kolejny cios zdawał się ją odmładzać, inspirować. Elka potrafiła uderzać i wiedziała, jak to robić, ale żaden jej cios nie był dość mocny, by powstrzymać impet Dunphy. Kiedy rozległ się gong na koniec rundy, z widowni dobiegły oklaski, a nawet okrzyk: „Dun-phy!”.

Ależ są zmienni, pomyślała z pogardą Naomi. Nie można im ufać, ani trochę.

W następnej rundzie i w kolejnej Dunphy zmuszała Elkę do ustępowania. Wiele prostych trafiało w czerwoną twarz D.D., wiele ciosów dosięgało jej ramienia, korpusu, nawet piersi, ale nie odpuszczała. Jak ślepe stworzenie, jak mięczak prący naprzód, zawsze naprzód. Naomi siedziała sparaliżowana. Zaschło jej w ustach, nie mogła przestać przełykać, czy też próbować przełykać.

Za każdym razem, kiedy otwierała oczy, widziała D.D. Dunphy opuszczającą głowę, idącą naprzód, kołyszącą się. Po raz kolejny rozcięcie nad okiem zaczęło krwawić. Teraz na pewno przerwą walkę, prawda? Na pewno, już zaraz. Ale Dunphy nie ustawała, zerkając przez krwawą maskę, mrugając i wyostrzając obraz przeciwniczki, chrząkając; uderzała Elkę obiema pięściami, lewy, prawy, cios pod brodę przez ułamek sekundy niechronioną. Elka zakołysała się niepewnie, ale wciąż trzymała D.D., jak to-

nący trzyma się ratującego, próbując złapać oddech. W końcu rozległ się gong.

– A teraz kto wygrywa?

– Biała.

– Biała... – Naomi urwała z niedowierzaniem.

Rząd czarnoskórych chłopaków się z niej zaśmiał. Przecież sama była białą dziewczyną, co nie?

Przez moment Naomi myślała, że musi wyjść. Bardzo szybko, niezauważenie wstanie, ruszy przejściem i zniknie z Armory, znajdzie taksówkę i wróci do hotelu...

Zadzwoni do Darrena, tylko by usłyszeć jego głos. Pośmieją się razem, powspominają wyspę Katechay. Matka jest niemożliwa! „Czy pani Matheson to państwa krewna? Jesteście rodziną?”

Tylko z Darrenem mogłaby się pośmiać, śmiać aż do wyczerpania. Aż oboje szlochaliby ze śmiechu. „Jesteście rodziną?”

W piątej rundzie bokserki zaplątały się nawzajem w swoje nogi. W klinczu Elka waliła wściekle w dolną część pleców Dunphy (czy to faul? uderzenia w nerki?), łapała ją za umięśnione ramiona, a Dunphy wyrywała się, by odzyskać równowagę i uderzyć w schyloną głowę rywalki, aż nagle w komiczny sposób obie upadły na matę, a tłum zaniósł się śmiechem. Zirytowany sędzia rozkazał:

– Na nogi. Na nogi!

Naomi zdawało się przez moment, że sędzia dodał: „moje panie”.

„Na nogi, moje panie”. Wymamrotane drwiąco.

A może się przesłyszała?

Bardzo pragnęła, by córka Luthera Dunphy’ego została znokautowana, upokorzona, by przegrała tę koszmarną walkę. Ale tak naprawdę nie chciała, by którakolwiek z bokserek została poważnie ranna.

Szczególnie nie chciała, by Pryde Elka (to naprawdę było jej nazwisko? Pryde Elka?) została ranna i przegrała. Przeczytała wcześniej, że Elka jest rozwiedzioną matką dwojga małych dzieci, w tym jednego dotkniętego

poważnym autyzmem; pracuje w fabryce w mieście Electra w Illinois; boksuje z przerwami od siedemnastego roku życia i miała dwie walki o tytuł (przegrane); rok wcześniej zdobyła nowego managera, nowego trenera i to jest jej powrót.

(Na niektórych stronach internetowych podawano w wątpliwość związek Pryde Elki z plemieniem Shawnee, ale ekipa Elki stanowczo przeciwko temu protestowała).

Informacji o D.D. Dunphy Naomi nie znalazła w sieci wiele. Trudno było się nawet dowiedzieć, że jest córką mordercy straconego w Ohio w 2006 roku. Oprócz rekordu walk o „Młocie Jezusowym" napisano tylko, że jest aktywną działaczką Syjonistycznego Kościoła Misyjnego w rodzinnym Dayton w Ohio.

Osiem rund! Napięcie robiło się nie do zniesienia.

Walka nareszcie dobiegała końca. Obie zawodniczki wyglądały na wyczerpane. Jeszcze w ostatnich sekundach Dunphy zasypywała Elkę ciosami, a ta próbowała trzymać się, klinczować i (znowu) uderzyć głową – ale Dunphy okazała się na tyle przebiegła, że unikała ciosów kierowanych w twarz.

Przez całą walkę Elka poruszała się po ringu dużo lżej niż Dunphy, która stała na całych stopach, nieustępliwa jak błotna lawina. To twarz Dunphy była bardziej poobijana; krwawiący nos, spuchnięta i zamknięta prawa powieka. Jakże groteskowo wyglądały pretensjonalne kolorowe pasemka w jej włosach, jaskrawe tatuaże na rękach! (Naomi zauważyła też niewielki tatuaż tuż po karkiem Dunphy, chyba napis *Jezus jest Panem*). Czuła do D.D. wrogość tak wielką, że niemal pochłaniającą, wychodziła z trzewi jak mdłości.

Gong! Naomi zaczęła oddychać. Gehenna dobiegła końca, nigdy więcej nie będzie oglądać czegoś takiego.

Podniosła kamerę, zaczęła kręcić. Nikt się nie sprzeciwiał, nikt nie zauważył. Nagrała Pryde Elkę „Squaw", jak w udawanym geście zwycięstwa z wysiłkiem unosi rękawice, a „Młot Jezusowy" Dunphy, jakby oszołomiona (nie rozumie, że walka się skończyła?), ociera krew z oczu, kiedy podbiegają do niej członkowie ekipy.

Wśród publiczności rozległy się pojedyncze krzyki, wiwaty, oklaski. Pryde Elka miała swoich fanów, D.D. Dunphy najwyraźniej też. Ale wielu widzów weszło do hali dopiero w trakcie ostatniej rundy, nie interesowało się gorączkową akcją na ringu. Czuło się zbiorowe zniecierpliwienie, oczekiwanie, by ta walka się skończyła i mogła zacząć następna.

Naomi wierzyła, że Elka wygrała. Entuzjazm dla niej był bardziej widoczny. To ona miała lepsze wyszkolenie, nawet jeśli oszukiwała, próbowała uderzeń głową i ciosów w nerki. Budziła też większą sympatię z powodu rdzennego pochodzenia. A o Dunphy można było powiedzieć tylko, że jest twarda, odporna. I niezdarna.

Gdyby Pryde Elka wygrała, Naomi mogłaby z radością wrócić do Nowego Jorku. Zrobiłaby kilka ujęć w Armory, poleciała do domu i dalej opiekowała się babką oraz (nie do końca pojmowała, jak do tego doszło) swoim przyrodnim wujem Kinchem. Teraz byli rodziną. Potrzebowali jej i Naomi cieszyła się, że jest potrzebna. Zbierała fotograficzne portrety, a portrety „Squaw" i „Młota Jezusowego" będą odpowiednie. I już nigdy więcej nie pomyśli o córce Luthera Dunphy'ego.

Jednak ku jej zdziwieniu wszyscy trzej sędziowie przyznali wygraną Dunphy. Naomi do tej chwili nie była w ogóle świadoma istnienia sędziów – dwóch białych i jednego Afroamerykanina; wszyscy w średnim wieku, siedzieli z boku ringu. Pierwszy przyznał wygraną w siedmiu rundach Dunphy, w jednej Elce; drugi – sześć rund dla Dunphy, dwie dla Elki; trzeci – wszystkie osiem rund dla Dunphy.

Jak to możliwe? Naomi była zaskoczona.

Nagłośniony głos spikera ogłosił z entuzjazmem:

– D.D. Dunphy „Młot Jezusowy" – jednogłośna wygrana i poprawa rekordu tej młodej zawodniczki do ośmiu wygranych, jednego remisu, zera porażek!

Teraz rozległa się ostatnia fala oklasków. Widzowie, którzy niedawno weszli do Armory i nie widzieli walki, klaskali głośno, wiwatowali i gwizdali. Nastrój w hali był radosny i odświętny. I pełen zniecierpliwienia. „Zabierzcie te suki z ringu!" – rozległy się krzyki pomieszane ze śmiechem.

Na ringu, w oślepiającym blasku reflektorów, bez lśniących czerwonych rękawic podniesionych dla ochrony, D.D. Dunphy czuła się nieswojo. Uśmiechała się bezmyślnie jak zdenerwowane dziecko. Spiker zaprosił ją, żeby powiedziała kilka słów do publiczności, ale zanim zdążyła się odezwać, nastąpiła zmiana planu i trener musiał sprowadzić Dunphy z ringu. Trzeba było rozstawić sprzęt dla ekipy telewizyjnej, która za kilka minut miała rozpocząć transmisję z następnej walki.

Naomi zapytała siedzących obok młodych fanów, jak to możliwe, że Dunphy wygrała, skoro jest taka niezdarna i wygląda, jakby w ogóle nie potrafiła boksować, a oni rzucili:

– Wygrała normalnie. Ta biała laska potrafi walnąć.

Naomi poczuła się skarcona. Zarumieniła się, jakby zdradziła kogoś, wobec kogo z założenia powinna być lojalna.

Pospiesznie ruszyła z kamerą za D.D. Dunphy i jej ekipą, robiła zdjęcia z lampą błyskową. Teraz widziała to, czego przed walką nie dostrzegła: na czarnym szlafroku sięgającym do kolan wyszyto z tyłu złote litery: D.D. DUNPHY „MŁOT JEZUSOWY”. Na głowie Dunphy nosiła czarną czapkę ze złotym napisem JEZUS JEST PANEM.

W ekscytacji po wygranej walce także inni fotografowie robili zdjęcia D.D. Dunphy. Powódź błyskających lamp. Naomi była wdzięczna za anonimowość. Założyła, że bokser jest czymś w rodzaju własności publicznej i zespół Dunphy ucieszy się ze zdjęć, bo oznaczają dobrą promocję.

Zapytała jednego z narożnikowych, czy bokserka może udzielić wywiadu, i usłyszała:

– Może. Zależy.

Drugi rzucił przez ramię:

– Niech się pani skontaktuje z Dayton Fights, Inc.

Dunphy i jej ekipa zniknęli w korytarzach Armory, gdzie bez przepustki nie dało się wejść. Naomi dostrzegła, że jeden z fotografów, którego najwyraźniej znali, pewnie z miejscowej gazety, dostał zgodę, by towarzyszyć im w drodze do szatni.

To absurd. Dlaczego miałabym chcieć z nią rozmawiać?

Czuła lekkie oszołomienie, zawroty głowy. Serce waliło z emocji, ale też z rozczarowania czy wstydu. Nigdy nie była świadkiem niczego takiego jak osiem rund między Pryde Elką i D.D. Dunphy.

Szybko, w obawie, że może zemdleć, Naomi wyszła z Armory i przez kilka minut stała na ulicy, wdychając głęboko świeże powietrze, świeższe niż to w hali, choć i tak ze śladem czegoś metalicznego i drożdżowego – zapachem pobliskiej rzeki Ohio. Nie była pewna, gdzie jest, czuła się zagubiona. Nie mogła przestać myśleć o walce, wciąż miała ją przed oczami – gdy je tylko zamknęła, natychmiast pojawiały się obrazy walczących bokserek, latające rękawice, uderzane twarze. Atakowały ją jak wyzwolony prymitywny senny koszmar.

„D.D. Dunphy" – to było przebranie.

Zastanawiała się: czy Dawn Dunphy znała ją tak dobrze, jak ona znała Dawn Dunphy.

Na wywiad wyznaczono jej czterdzieści minut następnego ranka. W pomieszczeniu nazywanym salą konferencyjno-bankietową w hotelu Cincinnati Marriott niedaleko lotniska.

– Dzień dobry. Nazywam się...

Nazwisko gładko spłynęło z języka: Naomi Matheson.

(I jakie to było piękne nazwisko! Nigdy dotąd Naomi nie przedstawiła się tak na głos).

– ...przygotowuję film dokumentalny o kobietach bokserkach. – Urwała na moment, by dodać z przyjazną szczerością, uśmiechając się do wyraźnie speszonej D.D. Dunphy oraz farbowanej blondynki w wieku mniej więcej trzydziestu pięciu lat, która przedstawiła się jako Marika i była szefową public relations w Dayton Fights, Inc.: – Tylko o najlepszych bokserkach, które są mistrzyniami albo pretendentkami do tytułów. Film finansowany jest przez – nazwa spłynęła równie gładko z jej języka: – Nowojorski Instytut Filmowy, czyli prywatną uczelnię produkującą dokumenty prezento-

wane w PBS i innych kanałach telewizyjnych oraz na festiwalach filmowych takich jak Sundance, Telluride i Lincoln Center.

Farbowana blondynka chyba była pod wrażeniem. D.D. Dunphy mrugała nerwowo ze wzrokiem wbitym w podłogę; powieki miała tak spuchnięte, że ledwie widziała. Rana nad prawym łukiem brwiowym została zaszyta, a jedna strona twarzy była mocno obrzmiała i posiniaczona.

D.D. miała na sobie ciemnoszarą bluzę i dresowe spodnie, luźne na przysadzistym ciele i niczym nieozdobione. Naomi szukała czarnej czapki ze złotymi literami JEZUS JEST PANEM, ale jej nie zauważyła. Mówiła dalej:

– Razem z koleżanką zrobiłyśmy kilka filmów o pionierkach w dziedzinach tradycyjnie przypisywanych mężczyznom. Zainteresowanie kobietami bokserkami rośnie i możliwe, że ESPN wesprze finansowanie tego filmu...

Wszystko, co mówiła „Naomi Matheson”, było hipotetycznie możliwe. Było też całkiem prawdopodobne, że niedługo powstanie w Stanach Zjednoczonych film dokumentalny o boksujących kobietach, z udziałem D.D. Dunphy, który pokaże PBS albo rzeczywiście ESPN.

Było jasne, że D.D. Dunphy i Marika uwierzą we wszystko, co im schlebi. Czy raczej Dunphy zgodzi się na wszystko, co zaakceptuje Marika, a co może ruszyć do przodu jej karierę dla Dayton Fights, Inc.

– Pani Matheson, czy nakręci pani z wywiadu z D.D. film także do naszego użytku? – sprytnie zapytała farbowana Marika, a Naomi odparła z najcieplejszą siostrzaną serdecznością, na jaką się mogła zdobyć:

– Oczywiście, że tak.

Marika zwróciła się do Dunphy jak do dziecka:

– To tylko czterdzieści minut, D.D. Wrócę, by na pewno nie trwało to dłużej. Dasz radę? Już kiedyś cię nagrywano. Czy chcesz, żebym z tobą została?

Poważnie i z odwagą D.D. Dunphy pokręciła głową. Żałosny wyraz twarzy tej młodej kobiety, smutne, posiniaczone, wbite w podłogę oczy sugerowałyby bardziej spostrzegawczemu obserwatorowi, że „nie” tak naprawdę

znaczy „tak”, ale farbowana blondynka już wstała z niezapalonym papierosem w palcach i postanowiła niczego nie zauważać.

Marika stała jeszcze w drzwiach przez minutę czy dwie i słuchała pierwszych pytań Naomi, by się upewnić, że będzie to konwencjonalny wywiad w zwyczajowej dziennikarskiej formie: dlaczego postanowiłaś zostać bokserką, jakie masz nadzieje na dalszy ciąg kariery, czy to ekscytujące być częścią rewolucji w kobiecym boksie...

Dunphy odpowiadała na pytania powoli, ostrożnie, jak ktoś idący wąską kładką nad przepaścią. Czasami przestawała mówić, ale kilka słów zachęty wystarczało, by kontynuowała. Nieśmiałość, małomówność, a może bydlęcy upór nie pozwalały jej podnieść wzroku i spojrzeć w szczere, przyjazne oczy rozmówczyni. Nie tak łatwo było nawiązać siostrzane porozumienie.

Naomi zaskoczyło (i zdawało się nierzeczywiste), że pozwolono jej na taki dostęp do D.D. Dunphy. Właściwie nikt nie zapytał o jej referencje, kobieta od PR-u nie miała żadnych wątpliwości ani podejrzeń. Od przyjazdu do Cincinnati dwa dni temu Naomi w ogóle nie czuła się prawdziwa – w swojej białej skórze w Armory była jednocześnie widoczna i niewidzialna. Jakby przeczołgała się przez lustro do świata po drugiej stronie, w którym, jeśli w ogóle ktoś ją widział, to jako zupełnie inną osobę.

Ustawiła kamerę na stole między nimi. Wyjaśniła, że nagrywa, ale Dunphy zdawała się nie słuchać. Odpowiadała na pytania tak cicho, że Naomi musiała uprzejmie poprosić, by powtórzyła to, co powiedziała.

Dunphy wyglądała na zaskoczoną, zdezorientowaną. Powtórzyć to, co powiedziała?

Czyżby zapomniała? Tak szybko?

Naomi zastanawiała się, czy młoda bokserka doznała wstrząsu mózgu. Czy raczej wstrząsów. Tyle ciosów w głowę poprzedniego wieczoru...

Poprosiła łagodnie:

– D.D., czy mogłabyś spojrzeć w kamerę? To jest również nagranie filmowe, nie tylko audio.

Dunphy nerwowo otarła nos wierzchem dłoni i mruknęła coś jakby „okej”.

– Udzielałaś już kiedyś wywiadów? Dla telewizji? Z nagraniem?

Dunphy niepewnie skinęła głową. Miała problem z podniesieniem spuchniętych powiek i spojrzeniem na rozmówczynię albo w kamerę.

Czy ona się wstydzi? Ale dlaczego?

Naomi rozpoczynała ten wywiad z uczuciem obrzydzenia. Czuła mdłości i gniew, że córka Luthera Dunphy’ego w ogóle istnieje i siedzi teraz naprzeciwko niej, po drugiej stronie stołu, przygarbiona, lekko poruszając obitymi wargami.

Blat stołu był zwyczajny, z jakiegoś taniego materiału, chyba korka. Pewnie w trakcie bankietów rozkładano na nim biały lniany obrus.

– Cóż, D.D.! Wczorajsza walka była wspaniała, świetne wystąpienie. Wszyscy trzej sędziowie...

Dunphy zdawała się słuchać. Ale się nie uśmiechała.

– Nie jesteś... nie jesteś zadowolona z walki? Wygrałaś.

Dunphy wzruszyła ramionami. Na jej twarzy pojawił się na moment wyraz zażenowania, jakby wstrzymywała gazy.

– No. Było okej. Ernie mówi, że muszę jeszcze pracować.

– Ernie to twój trener?

Ale Dunphy zamilkła. Marika zostawiła jej butelkę wody, z której teraz piła, zachłannie, niezdarnie, spuchniętymi ustami. Naomi zobaczyła, że nos D.D. pokryty jest drobnymi popękanymi naczynkami krwionośnymi. Zęby miała nierówne, koloru słabej herbaty. Kiedy na moment uniosła wzrok, Naomi dostrzegła, jak przekrwione są białka oczu dziewczyny.

Krótko ostrzyżone włosy, podgolone maszynką na bokach i karku, były przyklepane, wymagały umycia. Kolorowe pasemka w świetle dnia wyglądały dziwnie, cyrkowo.

– Mam nadzieję, że zbadał cię lekarz?

Dunphy chyba mruknęła „ta”.

– Coś więcej niż pobieżne badanie? Czy badał cię prawdziwy lekarz? Prześwietlenie, tomograf?

Dunphy znowu coś mruknęła, tym razem z irytacją. Gwałtownie wytarła cieknący nos grzbietem dłoni.

Naomi przypomniała sobie dokładne badania lekarskie, które przechodziła w dzieciństwie. Konieczne bywało pobieranie krwi – nie dało się uniknąć wbicia igły i wyssania płynu z delikatnej żyły. Posiniaczony bok i bolące żebro trzeba było oczywiście prześwietlić. Ukąszenia owadów i infekcje po dziecięcych wypadkach natychmiast leczono antybiotykami. Nie można ryzykować boreliozy. Dorastanie w domu lekarza oznacza świadomość zaniedbań w tak zwanej służbie zdrowia. Gus Voorhees wyznawał egalitaryzm w każdej dziedzinie oprócz medycyny: lekarz był albo dobry, albo zły. Tych złych trzeba unikać. Niestety źli byli wszędzie oprócz najważniejszych centrów medycznych i uczelni.

– Cóż, „D.D.”! Albo raczej „Dawn”? Ktoś mi powiedział...

Dawn zaczęła się wiercić. Nie spodziewała się usłyszeć swojego imienia, zaskoczyło ją, ale nie zaprzeczyła. Tylko lekko się uśmiechnęła i zawstydzona podniosła wzrok na rozmówczynię.

Została zdemaskowana. Nie ma się już gdzie ukryć.

– Powiedz mi, Dawn. Własnymi słowami. Skąd przyszło ci do głowy, żeby zostać bokserką...

Naomi uśmiechnęła się zachęcająco. Tak naprawdę nie nienawidziła Dunphy. To istnienie Dunphy doprowadzało ją do wściekłości, tak jak przez wiele lat po śmierci ojca nienawidziła Luthera Dunphy’ego za to, że w ogóle był.

Zamierzała odgrywać szczerą dokumentalistkę. W pewnym sensie naprawdę była szczera. Przez całą noc nie spała z podniecenia, że mogłaby zrobić film o kobietach bokserkach, między innymi o D.D. Dunphy i Pryde Elce. Przypomniała sobie słowa Yael Ravel: „Jeśli natrafisz na prawdziwy temat, będziesz wiedzieć”.

Czy to był prawdziwy temat Naomi? Tak długo na niego czekała.

Dunphy mówiła w ten swój powolny, ostrożny sposób, jakby przestraszona. Okazała się kiepską rozmówczynią – Pryde Elka z pewnością byłaby lepsza.

– Zwykły człowiek boi się zostać uderzony, odczuwa strach. Ale ty zdajesz się go nie odczuwać.

Czy to pytanie? Dunphy przygryzała wargę i nie odpowiadała.

– Nie boisz się, że ktoś cię zrani? To znaczy tak poważnie?

Dunphy energicznie potrząsnęła głową.

– A to dlaczego?

– Dlaczego. – Dunphy spojrzała na Naomi tak, jakby ta zadała głupie pytanie albo żartowała. – Bo jestem za dobra.

– Jesteś za dobra?

– Trenuję po to, by uniknąć kontuzji. A nawet jeśli dostanę, to nie boli mnie tak, jak bolałoby kogoś innego. – Lekki uśmieszek przy „kogoś innego”.

Naomi zrozumiała, że Dunphy powtarza słowa, które ktoś jej powiedział. „Jestem za dobra”. „Nawet jeśli dostanę”.

– Nigdy nie przegrałaś. To godne podziwu.

Dunphy wzruszyła ramionami. Spuchnięte wargi lekko się uśmiechnęły.

– Trochę poszukałam i to zaskakujące: niektórzy mistrzowie bokserscy przegrywali walki. Ale ty nie. – Naomi urwała. Czekała, aż Dunphy mruknie „na razie”.

Przecież w podobnej sytuacji każdy młody sportowiec powiedziałby „na razie”.

Po chwili kontynuowała przyjaznym, szczerym tonem.

– Czy dobrze zarabiasz na boksie? Czy możesz nam na przykład powiedzieć, ile dostaniesz za wczorajszą walkę? – Naomi uśmiechnęła się, by złagodzić bezczelność pytania, ale Dunphy nie zarejestrowała, że coś jest nie tak.

Spuchnięte oczy zaczęły szybko mrugać, jakby D.D. próbowała sobie przypomnieć sumę.

– Chyba... nie wiem... Są różne wydatki.

– Bokserka ma różne wydatki, tak? To normalne... Pewnie dość wysokie?

Dunphy ponuro pokiwała głową.

– Pokoje hotelowe, posiłki i różne materiały. I jeszcze zestaw medyczny.

– Ale czy nie dostajesz zagwarantowanej sumy? Nie pamiętasz, jaką sumę ci zagwarantowano?

Dunphy potrząsnęła głową.

– Podpisałaś umowę. Tak?

Dunphy z wahaniem pokiwała głową.

– Miałaś prawnika, który przeczytał umowę, zanim ją podpisałaś?

– P-prawnika? Nie... – Dunphy zmarszczyła czoło, zastanawiając się. – Może tak. Może miałam.

– Prawnika w Dayton? Twojego prawnika?

Dunphy chrząknęła niejasno, wyraźnie nieswoja. Naomi odpuściła.

– Wysyłasz pieniądze do domu, rodzinie?

Dunphy z większym przekonaniem pokiwała głową.

– To bardzo hojne z twojej strony. Jesteś dobrą córką.

(Posuwa się za daleko? Czy Dunphy wyczuje pochlebstwo z trudem maskujące pogardę? Chyba raczej nie).

Naomi mówiła dalej, z przekonującą troską:

– Czytałam w internecie, że większość kobiet bokserek pomaga się utrzymać swoim rodzinom. Niektóre mają małe dzieci... Na przykład Pryde Elka. Wiesz coś o jej pochodzeniu?

Dunphy z irytacją wzruszyła ramionami. Jakby chciała powiedzieć: „Dlaczego, do diabła, miałaby mnie obchodzić Pryde Elka?”.

– Ty chyba wciąż pracujesz, prawda? W markecie Target w Dayton? To musi być trudne... pracować i jednocześnie trenować, jeździć na walki...

Jakby przypominała sobie coś jednocześnie przyjemnego i bolesnego, Dunphy odparła:

– Miałam mieć lokalnego sponsora, sklep sportowy w Dayton, ale nic z tego nie wyszło. Ale może jeszcze się uda. Są mistrzowie, którzy muszą pracować. Nie wyżyją z boksu. – Urwała z goryczą. – To znaczy mistrzynie. Nie faceci.

– Mężczyźni zarabiają więcej?

Dunphy parsknęła, jakby rozmówczyni powiedziała coś zabawnego.

– Ta. Faceci zarabiają więcej.

– To zaskakujące, że mistrzyni musi pracować... Czy mistrz, czy mistrzyni. Wielu fanów boksu by to zdziwiło.

Kolejne pytania sprawiały, że Dunphy robiła się niespokojna i poirytowana.

Naomi nigdy w życiu nie przeprowadzała wywiadu i zaczynała rozumieć subtelne, specyficzne wyzwanie, jakby to była walka byków prowadzona z użyciem bardzo ostrej szpady. Ten, kto dzierżył pytania, dzierżył i ostrze.

– Ile godzin w tygodniu pracujesz, Dawn?

„Dawn”. Imię zabrzmiało naturalnie. Dunphy przyjęła je bez niechęci.

– Ile godzin? Nie wiem... W Targecie, jeśli nie pracujesz na pełny etat, to dzwonią, kiedy cię potrzebują. Czasem inaczej w każdym tygodniu. Szczególnie jeśli robisz w magazynie albo przy rozładunku. Pan Cassidy zrobił mi grafik w Targecie, bo zna tam kierownika. Mam inny rozkład, kiedy trenuję przed walką i kiedy wyjeżdżam na walkę.

– Cass Cassidy, twój manager?

Dunphy skinęła głową. Najwyraźniej czuła dumę z tego, że ma kogoś takiego jak manager.

– A Ernie Beecher jest twoim trenerem? Dowiedziałam się, że ma świetną reputację.

Dunphy uśmiechnęła się z wahaniem. Najwyraźniej była też dumna, że ma trenera, Erniego Beechera.

– Czy dziwnie pracuje się z mężczyzną? Trudno być tak blisko, fizycznie blisko, z mężczyzną takim jak Ernie Beecher?

Dunphy się zastanawiała. Naomi widziała, że słowa „fizycznie blisko” wywołują u niej dyskomfort.

– No i pan Beecher jest czarnoskóry. Biorąc pod uwagę twoje pochodzenie... to musi być nieco dziwne...

Dunphy wzruszyła ramionami, jakby zawstydzona. Było jasne, że do teraz w ogóle nie zastanawiała się nad tą dziwnością.

– A co myśli o tym twoja rodzina?

– Co myśli moja rodzina?

– O twojej karierze bokserskiej. Na przykład o tym, że tak blisko pracujesz z Erniem Beecherem.

Dunphy potarła powieki. Miała mięsistą skórę o ziemistej cerze. Naomi widziała na linii włosów niewielkie białe blizny przypominające miniaturowe klejnoty. Zaskakujące, że zwycięska bokserka, młoda kobieta, która nigdy nie przegrała walki, ma na twarzy ślady tak ostrego traktowania. Dunphy z trudnością odpowiadała na pytania Naomi, i ciągle pocierała kark i górną część pleców, jakby coś ją bolało.

Naomi dodała ze zrozumieniem:

– No ale oczywiście nie ma trenerek. Szczególnie białych trenerek. Jeśli chcesz trenować boks, musisz to robić z kimś takim jak Ernie Beecher. Tak naprawdę masz wielkie szczęście, że pracujesz z Erniem Beecherem.

– Ta. Mam szczęście.

– Z tego, co czytałam, boks staje się głównie czarnym sportem. Afroamerykanie, Latynosi. Kolorowi dominują, tak jak Angel Hernandez, która walczy w twojej kategorii. Będziesz z nią walczyć, z Angel Hernandez?

Dunphy wzdrygnęła się, jakby miała dreszcze. Na jej twarzy pojawił się wyraz ożywienia i jednocześnie strachu.

– Ta. Chyba tak.

– Jedyną zawodniczką, której nie pokonałaś, jest czarnoskóra dziewczyna, Jamala...

Naomi szukała informacji o Dunphy w internecie. Zrobiła listę jej rywalek. Zobaczyła teraz, że imię „Jamala” zaskoczyło D.D., która gapiła się na nią z trudną do rozszyfrowania miną.

– Jamala... no. Jest debeściarą.

Dziwne, ale Dunphy jakby zaczęła mówić czarnym slangiem. Jej głos zmienił się na gardłowy, melodyjny. Wymruczała te słowa z bolesnym uwielbieniem.

– Jamala Prentis „Księżniczka”? Nie, przegrała ostatnią walkę. Przegrała trzy lub cztery i jest w rankingu niżej od ciebie. Przygotowałam się do tej rozmowy. Midwestern Boxing League, World Boxing Association. W obu federacjach jesteś przed Jamalą. Ty jesteś najlepsza.

Naomi pozwoliła sobie na szalenie ekstrawagancki ton, jakby wyzywając Dunphy, by jej uwierzyła.

Ale tamta wpatrywała się w Naomi bez zrozumienia. Najwyraźniej nie wiedziała, że Jamala Prentis przegrała ostatnie walki.

– Nie, Jamala jest debeściarą. Księżniczka. Ona ma styl.

Choć w sali bankietowej było chłodno, Dunphy zdawała się rozgorączkowana. Z chrząknięciem zdjęła bluzę, gwałtownie ciągnąc ją przez głowę; Naomi odruchowo chciała jej pomóc, ale się powstrzymała. Pod bluzą Dunphy miała koszulkę bez rękawów z jakiejś cienkiej syntetycznej tkaniny, opinającą twarde, ciężkie piersi; widać było jaskrawe tatuaże na obu rękach. Na jednym bicepsie krzyż z czerwonych róż, na drugim – krzyż z białych lilii. Na lewym przedramieniu fioletowy młot – „Młot Jezusowy”.

Co za widok! Czy ona nie wie, jak wygląda...

Jest taka naiwna! Taka żałosna.

Chce wierzyć, że jest ważna.

Chce wierzyć, że każdy pragnie przeprowadzić z nią wywiad. Że coś w jej żałosnym życiu się liczy.

– Ależ niesamowite tatuaże! – Naomi mówiła z przekonującym podziwem.

– Tak, chyba tak. – Dunphy nieśmiało się uśmiechnęła. Przechyliła głowę, by spojrzeć na tatuaże w sposób sugerujący, że często na nie patrzy.

Ona patrzy na tatuaże, zamiast patrzeć w lustro. Tatuaże są jej lustrem.

Naomi bardzo chciała zakończyć wywiad. Sądziła, że rodzicom nie spodobałoby się to, co robi, gdyby wiedzieli. Ale była zahipnotyzowana, nie potrafiła przestać.

– Opowiedz mi trochę o swoim pochodzeniu, Dawn. Podobno mieszkasz w Dayton, ale nie tam się urodziłaś, prawda?

Dunphy niedbale wzruszyła ramionami, jakby mówiła: „No nie. Chyba”.

– W internecie czytałam, że pochodzisz z Muskegee Falls, niewielkiego miasta w środkowym Ohio.

Czy to było pytanie? Dunphy niepewnie zmarszczyła czoło.

– Jak to było dorastać w Muskegee Falls?

– Jak to było? – Dunphy zdawała się zdziwiona tym pytaniem.

– Miałaś szczęśliwe dzieciństwo?

Słowa „szczęśliwe dzieciństwo” wprawiły Dunphy w zakłopotanie. Nie odpowiadała przez długą chwilę.

– Czy ktoś z rodziny cię zachęcał?

– N-nie... Chyba nie chcieli, żebym została bokserką.

Dunphy mówiła z wahaniem, w jej oczach była tęsknota.

– Nikt? Ani trochę? Skąd w takim razie ten pomysł?

– Chyba... z oglądania telewizji. Z moim bratem Lukiem. – Dunphy nagle się zaśmiała. – On uważał, że nigdy mi się nie uda!

– A co spodobało ci się w boksie, kiedy oglądałaś go w telewizji? Bo przecież mogłaś oglądać coś innego, choćby inne krwawe sporty... – Naomi mówiła ironicznie, ale Dunphy tego nie zarejestrowała.

– Chyba... bicie. Jeśli ktoś cię uderzy, to oddajesz. Chyba... może o to chodziło.

– W boksie chodzi o uderzanie, tak?

– Nie. W boksie chodzi o to, żeby uderzyć i nie dać się uderzyć. – Dunphy zaskoczyła samą siebie, zaśmiała się. Te mądre słowa, w dodatku wypowiedziane w niby-czarnym dialekcie, nie były jej, ale cieszyła się, że je zapamiętała i wyrecytowała.

– Czy możesz nam opowiedzieć (po prostu mów do kamery, naturalnie, jakbyś z kimś rozmawiała, mój głos zostanie wycięty), o czym myślisz w trakcie walki? Co chodzi ci po głowie?

Dunphy zmarszczyła czoło, zastanawiała się. Naomi niemalże widziała toporne myśli przesuwające się w jej mózgu, jakby za duże na to miejsce, jakby cisnęły się przez wąskie arterie i powodowały, że dziewczyna się wzdrygała.

– Walka to jakby się tonęło. To znaczy... wydaje ci się, że toniesz i musisz się uratować. A możesz się uratować, tylko jeśli uderzysz przeciwniczkę, zranisz ją, powalisz, żeby cię nie złapała i nie pociągnęła w dół. Albo ty, albo ona. W głowie mam głos trenera: „Prosty, prosty, prosty. Wchodzisz. Prawy sierpowy. Wchodzisz. Lewy hak. Kontratak. Wchodzisz. Rękawice w górze. Lewa w górę. Wchodzisz. LEWA W GÓRĘ”. – Zaśmiała się i otarła bluzą spocone czoło. – Ja mam krótkie ręce, dlatego każe mi wchodzić pod przeciwniczkę.

– Czy to niebezpieczne? Zauważyłam, że ta druga bokserka cały czas się cofała, a ty szłaś do przodu. Ale na pewno często cię trafiają.

To było chytre stwierdzenie. Jednak Dunphy nie wyczuła chytrości.

– Już mówiłam: jeśli jesteś dobra, to cię nie trafią. „Młot Jezusowy” potrafi przyjąć cios. Wszyscy to wiedzą. – Również te słowa wypowiedziała jak wyuczone na pamięć. I brzmiała w nich duma.

– Naprawdę nie boisz się, że ktoś cię zrani? Głowa, czaszka, mózg są w boksie takie narażone... – Naomi urwała.

Ale Dunphy uparcie kręciła głową. Bez wątpienia ktoś upewnił ją w tym, że „Młot Jezusowy” potrafi przyjąć cios.

– Masz ubezpieczenie zdrowotne? Szpitalne? Na wypadek gdyby stało ci się coś poważnego.

– To wszystko jest załatwione. Mój manager...

– Czy w kontrakcie masz ubezpieczenie medyczne? A co się stanie, jeśli...

Dunphy podniosła butelkę z wodą i zaczęła łapczywie pić. W tym geście były zniecierpliwienie i grubiaństwo, mięsista twarz stężała.

Naomi pomyślała ze złością: *Ja też cię nie lubię. Chciałabym, żeby coś ci się stało. Żebyś przegrała. Nie jestem twoją przyjaciółką!*

Wiedziała, że powinna zakończyć tę rozmowę. Co sobie w ogóle myślała! Dokument o kobietach bokserkach – okropny, pełny bólu, intymny. Nikt nie chciałby oglądać takiego filmu. Istniało pewne zainteresowanie kobiecym boksem, ale D.D. Dunphy nigdy nie będzie charyzmatyczną mistrzynią. I nikt nie chce oglądać przegranego prywatnego życia, którego w telewizji się nie pokazuje. Nikt nie chce słyszeć o przegranych.

– Jeszcze kilka pytań, Dawn. Czy twoi rodzice wciąż mieszkają w Muskegee Falls? Masz tam rodzinę? – Naomi mówiła swobodnie, zachęcająco.

Dunphy mruknęła coś jakby: „Nie. Już nie”.

– Przeprowadzili się? Dokąd?

– Mad River Junction. Tam mieszkają.

– Cała twoja rodzina?

– Moja matka jest pielęgniarką. Pracuje tam w domu opieki. Brat pracuje dla hrabstwa.

– Twoja matka jest pielęgniarką?

Naomi tego nie wiedziała, ciekawe, czy to prawda.

Dunphy powtórzyła, że tak – jej matka jest pielęgniarką.

– To jest praca, którą ludzie szanują – być pielęgniarką. Ale ciężka. – Dunphy urwała, rozważała to, co powiedziała. Własne słowa chyba ją zaskoczyły.

– Ty też chciałabyś być pielęgniarką? To znaczy, jeśli nie byłabyś bokserką?

– Nie. – A potem, ustępując: – No może. Taką pracę ludzie szanują, bo się pomaga. I ciebie szanują.

– A twój ojciec, Dawn?

– Mój ojciec... Mój ojciec nie żyje.

Dunphy przygotowywała się na to pytanie i odważnie na nie odpowiedziała. Potem jednak nagle urwała, jakby zabrzmiał gong na koniec rundy.

– Przykro mi to słyszeć... Byłby dumny, że jesteś dobrą bokserką, prawda?

Słowa „dobra bokserka” przykuły uwagę Dunphy. Wpatrywała się z ledwie widocznym uśmiechem w ciemny kąt sali bankietowej i na moment zapomniała o wywiadzie.

– Szczególnie jeśli zostaniesz mistrzynią, a na to się zapowiada...

Dunphy nieprzytomnie spojrzała na Naomi.

– Twój ojciec byłby z ciebie dumny. Szczególnie jeśli zostaniesz mistrzynią.

Dunphy bez przekonania pokiwała głową.

Pocierała kark, jakby chciała zmniejszyć ból.

– Co robił twój ojciec, Dawn?

– Był dekarzem i cieślą. Ludzie mówili, że świetnym dekarzem i cieślą.

– Jak umarł?

– Mój ojciec zginął w wypadku samochodowym.

Dunphy mówiła teraz szybko, byle tylko wyrzucić z siebie słowa. Przekrwione oczy zaszły łzami i przesuwały się w oczodołach jak poluzowane kulki. Bardzo kiepsko kłamała.

Naomi ciągnęła okrutnie:

– Ile miałaś lat, kiedy zginął twój ojciec, Dawn?

Przez długi czas Dunphy nie odpowiadała. Nieświadoma jak dziecko podniosła koszulkę i otarła nią oczy. Naomi dostrzegła kawałek czarnego sportowego biustonosza, mocnego i opinającego ciało jak gorset.

– Nie pamiętam dokładnie. Może dziesięć, jedenaście...

– Co pamiętasz o swoim ojcu?

Dunphy siedziała nieruchomo, ale jej twarz drżała, jakby zaraz miał nastąpić wybuch płaczu. Podbite oczy wciąż wzbierały łzami, które jednak nie spadały na policzki.

Po dłuższej chwili usta Dunphy się poruszyły. Naomi ledwie usłyszała mamrotanie:

– ...kochałam mojego tatę.

Dunphy nie powiedziała już nic więcej, choć Naomi czekała. Pogodnym, przyjacielskim, obłudnym głosem pytała dalej, jakby nic się nie stało:

– Próbujesz jeździć do domu tak często, jak możesz? Pewnie jesteś samotna, ciągle w podróży.

– Tak. – Beznamiętna odpowiedź.

– Pewnie odwiedzasz grób swojego ojca? Kiedy jeździsz do domu?

Dunphy skinęła głową. Na jej twarzy pojawił się niejasny, dziwny wyraz.

– Czy twój ojciec jest pochowany w Mad River Junction?

Dunphy zesztywniała i nie odpowiedziała. Mrugała szybko.

Naomi dziwiła się, że młoda bokserka nie wstała jeszcze z krzesła, nie pochyliła się przez stół i twardą jak kamień pięścią nie walnęła denerwującej i wścibskiej reżyserki w gębę.

– Twoja matka jest pielęgniarką. To bardzo ważny zawód. Jesteś blisko z matką?

Dunphy skinęła głową. Bardzo kiepsko kłamała.

– Z rodzeństwem?

Co za głupie słowo – „rodzeństwo”. Naomi poczuła odrazę do samej siebie, nie wiedziała, czy da radę to ciągnąć. Tyle nienawiści. Jednak nie potrafiła przestać.

Jeśli przeciwnik jest na linach, musisz uderzać dalej. Jeśli jesteś zawodowcem. Tyle nauczyła się Naomi poprzedniego wieczoru w Armory.

– Z rodzeństwem, to znaczy z siostrą albo braćmi. Jesteście blisko?

Naomi za późno zdała sobie sprawę, że Dunphy może się zrobić podejrzliwa, skąd rozmówczyni tak wiele wie na temat jej rodziny. Ale D.D. tylko wzruszyła ramionami, skrzywiła się. Jej czoło naznaczone słabymi zmarszczkami teraz zmarszczyło się bardziej. Mruknęła, że z rodzeństwem jest okej.

– Są dumni, że mają w rodzinie zawodową bokserkę? Bez żadnej porażki?

Dunphy przytaknęła. Ale bez przekonania.

– Przychodzą na twoje walki?

Dunphy się zastanawiała. Na jej twarzy pojawił się jakby chytry uśmieszek.

– Ta, czasami. Przychodzą. Ciotka przyjechała. Do Cleveland. Strasznie się o mnie bała, ale mówiła, że jak wygrałam, to była dumna.

Dunphy zamilkła. Raczej nie powiedziała całej prawdy, ale Naomi nie zamierzała naciskać.

– Czy sądzisz, że bycie chrześcijanką i bicie innych ludzi się nie wykluczają? Bicie innych kobiet na ringu?

Dunphy zmarszczyła brwi. Otarła mocno nos wierzchem dłoni. Przez długą chwilę wydawało się, że odpowie na pytanie, ale ostatecznie nic nie powiedziała, tylko wbiła wzrok w podłogę.

– No cóż – odezwała się Naomi. – To chyba jest sport. A sport na tym polega.

Dunphy bez przekonania skinęła głową.

– Przyjaźnisz się z innymi bokserkami?

– Nie za bardzo.

– A znasz jakieś? Czy po prostu nie przyjaźnisz się z tymi, które znasz?

Dunphy z ponurą miną wyjaśniła:

– Nie przyjaźnisz się z kimś, z kim będziesz walczyć. Z nikim takim nie możesz się przyjaźnić.

– W takim razie to samotne życie?

– Nie. Jeśli masz Jezusa, nigdy nie jesteś samotna.

Znajomy dźwięk słów, których nauczyła się na pamięć i które po wielokroć powtarzała. I nowy na twarzy Dunphy wyraz sprzeciwu.

– Jakiego jesteś wyznania?

– Jestem chrześcijanką Syjonistycznego Kościoła Misyjnego w Dayton.

– Czyli baptystką?

– Chrześcijański Syjonistyczny Kościół Misyjny.

– Czy to kościół protestancki?

– T-tak. Chyba tak.

– Czy religia pomaga ci w byciu bokserką?

– Pomaga?

– Czy religia cię inspiruje?

– Jezus jest moją religią. Tak, Jezus mnie inspiruje.

– W jakim sensie?

– Jezus jest moim przyjacielem. Wszystkie walki dedykuję Jezusowi, a Jezus mi pomaga. – Dunphy mówiła z dumą i zapałem. To była chyba jedyna rzecz, co do której miała pewność.

– Jezus ci pomaga. Ale czy Jezus nie pomaga innym bokserkom, twoim przeciwniczkom?

Dunphy zmarszczyła czoło. O tym nie pomyślała.

– Może. Może Jezus im pomaga. A może pomaga nam obu, byśmy wypadły jak najlepiej.

To była celna odpowiedź! Naomi musiała przyznać.

– A więc Jezus pomaga ci zrozumieć własny talent i potencjał. Nie rządzi walką.

– Chyba nie. – Dunphy zgodziła się, ale niechętnie.

– Jezus jest sprawiedliwy i nie ma faworytów?

Naomi mówiła jasno i prosto, jak do małego dziecka. Teraz naprawdę nie była ironiczna, ale bardzo chciała wiedzieć, co odpowie Dawn.

A Dunphy zaskoczyła ją, mówiąc zdecydowanie:

– Chcesz wiedzieć, to sama go zapytaj.

Szybki prawy prosty. Naomi poczuła cios. Mimo to z uprzejmym uśmiechem powiedziała:

– Obawiam się, że nie jesteśmy z Jezusem tak blisko.

Uważaj! Wyśmiewając jej Boga, śmiejesz się z niej samej.

Nie chcesz, by wiedziała, że jesteś wrogiem.

Nagle zdenerwowanym głosem Dunphy odparła:

– Walczę dla chwały Jezusa. Żeby poganie poznali Jego imię.

Szczęka jej drżała. Pięści zaciskały się, jakby miała ochotę walnąć kogoś w twarz.

Mówiła drżącym z bólu głosem, tak jakby ktoś się z niej wyśmiewał, jakby ją lekceważył:

– Walczę dla Jezusa. Tylko po to walczę, dla Jezusa. Jeśli nie będę walczyć dla Jezusa, ale dla siebie, wtedy Bóg mnie ukarze i pośle do piekła.

Dlaczego się zdenerwowała? Dlaczego płacze? Naomi nie mogła zrozumieć.

Sytuacja zmieniła się tak szybko. W jednej chwili Dunphy była dumna i odważna, w następnej zdenerwowana, a na jej twarzy zalśniły łzy.

– Czy coś się stało, Dawn? Co się stało? Przepraszam...

Naomi instynktownie sięgnęła, chcąc dotknąć dłoni D.D., ale ta była szybsza i schowała obie ręce, jakby uciekała przed wężem.

– Ja już... ja już nie chcę rozmawiać. Wychodzę.

Dunphy wstała niepewnie. Oddychała głośno, dyszała. Dzikie, przekrwione oczy były mokre od łez nie smutku, ale gniewu. Naomi się spięła. *Mogłaby mnie zabić pięścią. Mogłaby mnie zatłuc na śmierć. Nie byłabym w stanie ruszyć palcem, by się bronić.*

– Oczywiście, nasza rozmowa i tak już dobiegała końca. Bardzo dziękuję za...

– No. Cześć.

Dunphy odeszła. Nie zerkając przez ramię, popchnęła podwójne drzwi prowadzące do holu.

Naomi wyłączyła kamerę. Drżała z ekscytacji. Wciąż wydawało się nierealne, że zaaranżowała wywiad z córką Luthera Dunphy'ego. Pod wpływem impulsu chciała zadzwonić do Darrena, pochwalić się i napawać triumfem.

Nigdy nie zgadniesz...

Ale tak mi wstyd...

Ręce trzęsły się jej tak bardzo, że niemal upuściła kamerę na podłogę, wsuwając ją do czarnej skórzanej torby.

Na parkingu przed hotelem farbowana Marika, szefowa PR w Dayton Fights, Inc., paliła papierosa i rozmawiała przez komórkę.

– O, skończyłyście wywiad? Jak poszło? D.D. Dunphy nie jest gadułą, co? Możemy ci wysłać zdjęcia, jeśli potrzebujesz więcej. No wiesz, „«Młot Jezusowy» przy worku bokserskim, na ringu". Może zdobędziemy dla niej miejscowego sponsora, sklep sportowy z Dayton, tam możemy zrobić jakąś sesję. Ernie mówi, że ona przypomina Joego Louisa. To pewnie znaczy, że nie gada dużo, ale mocno wali.

Marika dała Naomi wizytówkę i chyba nie zauważyła, że Naomi nie dała jej swojej.

– Prześlij mi film... Natalie, prawda? Proszę. Następna walka D.D. może już być o tytuł. Ona może zostać następną mistrzynią świata w kategorii średniej. Nie możesz tego przegapić.

Rodzina

To była prawda. Przepowiednia.

„Nie możesz tego przegapić”.

Wyjechała, wróciła do Nowego Jorku. Nie zamierzała myśleć o tym, co się działo w Cincinnati. Nie zamierzała myśleć o D.D. Dunphy, bo myśląc o niej, musiałaby sobie przypomnieć, jak okrutnie, złośliwie, mściwie się zachowała, udając wywiad z naiwną młodą bokserką. Jak nieetyczne było zachowanie Naomi Voorhees.

Na szczęście nikt nie wiedział. Na szczęście nie zadzwoniła do Darrena, by chełpić się swoją odwagą.

Ani Gus, ani Jenna nie mogliby wiedzieć. To była wielka ulga, że oszczędzono im tej świadomości. Wasza córka jest nienormalna, pokręcona. Waszej córce brak człowieczeństwa, życzliwości, przyzwoitości. Miłosierdzia.

Nie powiedziała o tej podróży babce, nie powiedziała Kinchowi.

(Zawsze kusiło ją, by podzielić się z Kinchem jakąś tajemnicą. Im bardziej cudownie wstydliwa tajemnica, tym większa pokusa, by się nią podzielić z przyrodnim bratem ojca, który zamieszkiwał swoje legowisko niczym pająk, wygłodniały i żądny pożywienia, wdzięczny za każdy kęs, który mu dała. Ale Naomi miała opory).

A jednak nie było łatwo zapomnieć D.D. Dunphy. Jakże Naomi była bezmyślna, jak niewiele brakowało, by ujęła dłoń tej dziewczyny, pocieszyła ją. Co by się wtedy stało? Czy Dunphy odepchnęłaby ją gwałtownie, przeklinając? „Nie dotykaj mnie. Jesteś poganką, nie wolno ci mnie dotykać”.

To było chyba najbardziej niezwykłe wspomnienie w życiu: jak niewiele brakowało, by ujęła dłoń córki Luthera Dunphy’ego.

W białym pokoju trzydzieści pięter nad gwarnymi ulicami West Village Naomi nauczyła się spać z półotwartymi oczami, nie mogąc lub nie chcąc zasnąć całkiem, zaufać snowi. Ze strachu, że jeśli się zrelaksuje, stanie się coś okropnego. „Lewa w górze. Wchodzisz. Wchodzisz!” Otwierała oczy, kiedy gong głośno obwieszczał koniec rundy. Widziała przekrwione oczy, opuchnięte powieki, oskarżycielskie spojrzenie i słyszała głos, który zdawał się mówić jej do ucha: „Walczę dla chwały Jezusa. Żeby poganie poznali Jego imię”.

Naomi zrozumiała, że rzucono jej wyzwanie. O co ona walczy? Nie miała pojęcia.

– Naomi, kochanie, musimy porozmawiać.

Niechętnie podeszła i usiadła obok babki. Lodowate palce szukały jej dłoni, także niezbyt ciepłej.

– Ale dlaczego teraz? Kiedy indziej.

– Och, *chérie*, właśnie teraz jest kiedy indziej.

Madelena się zaśmiała. Lubiła być zabawna, błyskotliwa. A by być zabawną i błyskotliwą, potrzebujesz przynajmniej jednej słuchającej osoby, która się roześmieje lub wzdrygnie.

Na szczęście w tej chwili zadzwonił telefon.

Niczym niesforne dziecko Naomi pobiegła odebrać komórkę i przynieść ją babce siedzącej przy jednym z wysokich okien wychodzących na otchłań.

– Leno, do ciebie.

Te kruche chwile. Chwile kruche jak lód. Telefony ze szpitala Sloan Kettering. Radiologia, onkologia. Nauczyła się już rozpoznawać te numery, które zwykle budziły strach. Z jej doświadczenia wynikało, że żaden nie przynosił spokoju.

Na początku pierwszej serii chemii Madelena podjęła dramatyczną decyzję: zamiast czekać, aż włosy zaczną wypadać garściami, ogoliła je tuż przy

skórze tak, by dopasować perukę w odcieniu niemal identycznym do swojego naturalnego, ale z włosów sztywniejszych i bardziej odpornych niż jej włosy.

Naomi towarzyszyła babce podczas wizyty w eleganckim salonie w wieżowcu w śródmieściu. Razem ze sprzedawczynią pomagała Madelenie Kein przymierzać peruki, próbując nie zauważać łez w jej oczach. Łez wstydu, odrazy, żalu czy pogardy – nie wiadomo.

– Nikt nie musi wiedzieć. Nawet jeśli będą podejrzewać, to nie wiedzą. A jeśli nie wiedzą, nie będą się nade mną użalać.

Operacja, chemia, utrata włosów, peruka. Duma Madeleny zaskoczyła Naomi, bo wcześniej wydawało jej się, że racjonalna, rozsądna babka odważnie zmierzy się ze strachem przed śmiercią i nie będzie się go wypierać.

Przez ponad osiem miesięcy Naomi dobrze poznała ładne, jasno oświetlone, tylko trochę śmierdzące poczekalnie w instytucie Sloan Kettering w centrum Manhattanu. Przynosiła ze sobą pracę, zadania, laptopa, czekała przez kilka godzin chemioterapii, która odbywała się w sali, do której Naomi nie miała wstępu. (Chemioterapia bowiem oznaczała chemikalia, a chemikalia to niebezpieczne materiały medyczne. Przepisy szpitalne dotyczące chemioterapii i naświetlań są bardzo surowe i tylko specjalnie przeszkolone pielęgniarki mogą się wtedy zbliżać do pacjentów).

Czekała przy jednym z wysokich okien w poczekalni, aż pielęgniarka przywiezie babkę na wózku.

– Naomi? Babcia już jest.

Spojrzała i ścisnęło ją za serce.

Biedna Madelena, taka blada, taka zmęczona. Bez pięknej srebrnej peruki z naturalnych włosów, którą musiała zdjąć, z nieszczęsną gołą głową, która sprawiała wrażenie kruchej jak skorupka jajka. Ale w tym samym co zawsze elegancko-swobodnym zestawie: pulower i spodnie. I w kolczykach.

Madelena uśmiechnęła się odważnie.

– Hej! Przepraszam, że musiałaś tak długo czekać.

Na wózku przywieziono ją tylko do poczekalni, gdzie niepewnie wstała, wzięła Naomi pod rękę i podeszła z nią do windy. Wózek był częścią protokołu. Chyba chodziło o ubezpieczenie. Ale widok babki na wózku nieodmiennie szokował Naomi.

Zawsze albo prawie zawsze Madelena zachowywała spokój, nie narzekała. Duma nie pozwalała jej narzekać. Dni chemii były wypełnione stresem, niepewnością, czy w wynajętym samochodzie zjeżdżającym do Village, w windzie na Bleecker 110, w przepoconej pościeli Madelena nie zareaguje alergicznie na truciznę, którą pompowano w jej żyły, nagłym wzrostem albo spadkiem temperatury, mdłościami i wymiotami, biegunką, przeszywającym bólem głowy, upiornym przekrwieniem oka. (Dlaczego tylko jednego oka, a nie obojga? I nieprzewidywalnie – prawe oko czy lewe? Nikt tego nie potrafił wyjaśnić).

„Przynajmniej wieczorem nie będzie zamieszania z kolacją”, mówiła Madelena. Naomi przygotowywała mały talerz bulionu, miseczkę białego ryżu i miseczkę musu jabłkowego.

W takie wieczory Madelena chodziła spać wcześnie. Czy raczej zamykała drzwi do sypialni, a Naomi słyszała, jak rozmawia przez telefon (ze swoim przyjacielem Laslovem? Rozmawiali przynajmniej raz dziennie). Szelest słów, nawet śmiechu, ledwie słyszalny.

W tamtych miesiącach ani Madelena, ani Naomi nie brały tak naprawdę pod uwagę możliwości, że Madelena umrze. Gdyby Naomi uświadomiła sobie wtedy swoje naiwne założenie, pewnie brzmiałoby to tak: „Mój ojciec umarł. Matka jest dla mnie martwa. To niemożliwe, żeby umarła i moja babka”.

I tak Naomi zaczęła kochać Madelenę. Zaczęła czuć bezgraniczną miłość. Zrodziła się między nimi więź niczym miękka, delikatna koronkowa sieć, która pojawia się nocą niezauważona. Taką więź można łatwo przerwać – ale dlaczego ktoś miałby przerywać coś tak pięknego?

Na ulicy, w metrze Naomi emanowała kobiecą siłą; zmieniła się w mieszkankę Nowego Jorku, podgatunek „młoda kobieta, profesjona-

listka”. Dla tych, z którymi się spotykała, była konkretna, kompetentna, nie narzekała, nigdy nie dawała się przyłapać na dekoncentracji.

Najbardziej krucha czuła się nie w sytuacjach publicznych, ale gdy wracała do apartamentowca na Bleecker 110 i wchodziła do mieszkania babki, kiedy nie było w nim nikogo. Szczególnie kiedy Madelena musiała zostać na noc w szpitalu. W trakcie drugiej serii odbyło się sześć sesji, każda kilkudniowa, intensywnej całodobowej chemioterapii, nie w pozornie otwartej salce w Sloan Kettering, ale w prywatnym szpitalnym pokoju na innym piętrze.

Naomi włączała światło w mieszkaniu, w którym ogromne okna dryfowały na nocnym niebie, a wieczorne miasto poniżej mrugało światłami. Cienie odbijały się, naśladując ludzkie ruchy, a ona nie mogła się powstrzymać i pełnym nadziei głosem wołała: „Halo?”, choć oczywiście nikogo nie było.

Tak naprawdę nie czuła się nieszczęśliwa. Nie do końca pamiętała, jak to jest być szczęśliwą, ale nie była nieszczęśliwa.

Tłumaczyła sobie, że chemioterapia chyba babce pomaga. Choć wiąże się z utratą włosów, spadkiem wagi. Na początku sesje odbywały się co dwa tygodnie przez osiem miesięcy. Potem nastąpił krótki, trzymiesięczny, okres remisji. A teraz nawrót choroby. I bardziej ekstremalna terapia. Onkolodzy ze Sloan Kettering lubili zajmować się najrzadszymi nowotworami, przerzutami (na przykład) z nerki do okrężnicy albo z okrężnicy do nerki. Mniej interesujące były „zwykłe” nowotwory – okrężnicy, nerek, piersi, kości, krwi. Istniała intensywna i zawistna naukowa niechęć do raka, której Naomi nigdy by się nie domyśliła. I sądziła, że jej ojciec również by się nie domyślił, bo specjalizował się zupełnie w innej dziedzinie. Ależ intrygowaliby Gusa onkolodzy, którzy leczyli jego matkę! Chciałby na pewno omawiać z lekarzami jej stan oraz terapię, którą zalecali. Nie po raz pierwszy Naomi czuła, jak wiele traci ojciec, nie żyjąc.

W każdym razie owa potworna całodobowa pięciodniowa terapia zdawała się przynosić efekty. W ostatnim wypisie od onkologa napisano, że wyniki krwi Madeleny Kein pozwalają stwierdzić, że jej stan jest stabilny.

– „Stabilny”. Wzruszające określenie. Jakby jakaś siła próbowała mnie zwalić z nóg, odebrać równowagę. Ale ja nie pozwolę jej nic odebrać, nie będę pasywna w obliczu przeznaczenia, pozostanę „stabilna”. Dziękuję za te dobre wiadomości.

Kiedyś te słowa wypowiedziane przez Madelenę przesycałaby ironia. Ale teraz były szczere, Naomi o tym wiedziała. Pomyślała też, jak bardzo skrupulatnie babka opiera się ironii w tak trudnym okresie.

Bo dobre wiadomości, nawet jeśli tylko tymczasowe i kruche, to dobre wiadomości. Oczywiście można je cofnąć następnym badaniem PET albo badaniem krwi, ale to wciąż fakt, nawet jeśli tymczasowy i kruchy.

– Gdyby zmarli mogli wracać do życia, cieszyliby się życiem, jakiekolwiek by było. Nie wybrzydzaliby i nie kłócili się. Nie byliby ironiczni. Więc my, którzy żyjemy, powinniśmy się cieszyć za nich.

– Tak, Leno.

– Dobrze! W końcu nauczyłaś się nazywać mnie Leną. Co teraz? – Madelena zaśmiała się z zadowoleniem.

– Nauczę się mówić do Kincha „Kinch”.

Naomi rzeczywiście nie potrafiła zwracać się do Kincha inaczej niż w drugiej osobie, jeśli nie było innego wyjścia.

Kiedy wróciła do Nowego Jorku z pierwszej podróży na Środkowy Zachód, do Muskegee Falls, okazało się, że Madelena z radością „zrezygnowała”. Przedwcześnie zrezygnowała. W kościach babki pojawiła się nowa zwiewność, lekkość. Nie było to spustoszenie chemioterapią – raczej spustoszenie duszy. Rozrzedzenie duszy. Naomi ze zdziwieniem znalazła na nocnym stoliku Madeleny (i miała ochotę wrzucić go do zsypu w korytarzu) egzemplarz *Tybetańskiej księgi umarłych*.

Przekartkowała książkę, bojąc się, co może tam wyczytać. Wiedziała, jak Gus szydził z literatury „mądrościowej” – ze świętych tekstów wielkich religii, apologii opresji, ignorancji, przesądów, pacyfizmu w obliczu politycznej tyranii. Nie mówiąc już o zniewoleniu i maltretowaniu kobiet. Żadna

„mądrość” nie jest warta takiej ignorancji, mówił. Okraszona antynauką jak wąglikiem.

Naomi zakładała, że *Tybetańskiej księgi umarłych* nie należy traktować dosłownie, tylko symbolicznie. Podtytuł brzmiał *Wyzwolenie przez słuchanie w stanie przejściowym*.

Pisano w niej, że nie umiera się natychmiast. Umiera się stopniowo, w miarę jak słabnie świadomość. Do zupełnego zgaśnięcia potrzeba wielu dni i wielu nocy. Być może kiedyś to była prawda, albo częściowa prawda, przed nowoczesnymi technologiami medycznymi. Zatem świadomość w umierającym człowieku słabnie, zanika, a ciało wciąż żyje jak zombie w zredukowanym stanie. To jeszcze życie – ale wyłącznie fizyczne.

Naomi odłożyła książkę i nie chciała konfrontować się z babką. Wiedziała, że jeśli to zrobi, Madelena zażartuje z niej w jakiś bolesny sposób.

Tęskniła za dawną niepokorną Madeleną. Za jej sprzeciwiającym się duchem. Od wykrycia raka Madelenę przestało obchodzić, że ktoś się z nią nie zgadza, i rzadko chciało jej się nie zgadzać z innymi. Straciła swoje wyraziste zdanie, jak traci się nieporęczne domowe przedmioty i nigdy za nimi nie tęskni. Nie sprzeczała się z kolegami, nie zabierała głosu w dyskusjach. Kiedy Kinch mówił coś bzdurnego albo prowokacyjnego, Madelena po prostu się uśmiechała.

Składała dłonie, jakby je ograniczała. Uśmiechała się.

Kiedy Naomi powiedziała babce, że chyba w końcu znalazła swój temat (film dokumentalny o kobietach bokserkach), Madelena odparła: „Doskonale!” i nie wniosła oczywistych zastrzeżeń, których spodziewała się Naomi.

– Będziesz się starać o grant? Z Instytutu? A może szukasz prywatnych sponsorów? Jeśli tak, to ci pomogę.

Naomi szybko odpowiedziała, że nie szuka pieniędzy – jeszcze nie. Przeraziło ją, że Madelena zaproponuje sponsorowanie filmu dokumentalnego, oprócz tego, że pozwalała Naomi mieszkać u siebie i nie płacić.

– Ale ja chciałabym ci pomóc, jak tylko będę mogła. Jakże mogłabym nie chcieć ci pomóc, Naomi? Jesteś moją wnuczką. Kocham cię.

Naomi doskonale zdawała sobie sprawę, że Madelena zamierzała wmanewrować ją w bliską relację z przyrodnim wujem Kinchem. Wiedziała niemal od razu. Wiedziała.

To jednak i tak się stało. Choć miała siłę, żeby to powstrzymać, nie zrobiła tego, bezwolna.

I tak jak z czasem zaczęła kochać Madelenę, tak zaczęła też kochać Karla Kincha. (Do pewnego stopnia).

Moja rodzina. Moja!

Nie wiedziała, czy się z tego powodu śmiać czy płakać. Często wpadał jej do głowy ulotny obraz czegoś – popiołów, kości – z wirem wsysanych przez strumień.

Przed diagnozą Madeleny Naomi nigdy nie odwiedziła Kincha sama – oczywiście. Byłoby to bardzo dziwne, niezręczne odwiedzać przyrodniego wuja bez babki.

Kiedy przyszła odwiedzić Kincha sama, był pogodny, radosny, gadatliwy i ciekawski jak zawsze. Wysilił się, by o siebie zadbać: świeżo wyprana biała koszula, woda kolońska. Z zabawną bezczelnością odesłał skrzywioną Sonię, by „próchniała” w drugim pokoju i im nie przeszkadzała. Ale nie wypytywał szczegółowo o Madelenę.

Nie drażnił się z Naomi tak, jak robił to na początku ich znajomości. Jej obecność stała się naturalna, jakby była krewną, którą znał od dawna. Nie musiał jej zadawać dociekliwych pytań.

Kinch lubił zaskakiwać Naomi, w nieoczekiwanych momentach dając jej prezenty. Pierwsze wydanie *Poezji zebranych* Marianne Moore w idealnym stanie. Egzemplarz *The Origin of Consciousness in the Breakdown of the Bicameral Mind* Juliana Jaynesa w miękkiej oprawie, ze swoimi notatkami na marginesach. Własne wczesne wiersze zatytułowane *Tristes*, opublikowane, kiedy autor był w wieku Naomi, których nakład wyczerpał się (jak

mówił Kinch) trzy dekady temu, z dedykacją: *Mojej drogiej bratanicy Naomi, z nadzieją, że szczęście w jej życiu nadejdzie. Twój, z miłością, „wuj Karl”*.

Brała te książki i próbowała je czytać. Wdzięczna, że Kinch nigdy o to nie zapytał.

W zamian za prezenty Kinch prosił czasem Naomi, by mu poczytała. Cokolwiek, wszystko – fragmenty z porannego „New York Timesa” albo z nowej książki o epistemologii wydanej przez Cambridge, podpisy pod rysunkami w „New Yorkerze” drukowane zbyt małą czcionką, by jedno widzące oko Kincha mogło je przeczytać.

Wzdychając z zadowoleniem, mówił:

– Bardzo miło jest mieć bratanicę. Dla kogoś, kto nigdy ani trochę nie pragnął własnych dzieci, taka bratanica to idealne rozwiązanie.

– Rozwiązanie czego?

– Problemu samotnictwa. Czasami przenikającego się z samotnością.

Naomi nauczyła się reagować na uwagi Kincha z łagodnym sceptycyzmem – maniera inteligentnej studentki pasująca do młodej bratanicy.

Nigdzie indziej Naomi Voorhees tak się nie wyrażała – jakby była młodsza, niż się czuła, a jednocześnie starsza, bardziej „wyrafinowana”, jak dziewczyna w romantycznym filmie Jeana Renoira.

(Madelena zabrała ją na festiwal Renoira w Film Forum. Naomi zakochała się w wizualnie pięknym kinie, wolno poruszającym się świecie osobnym jak sen).

Kinch w podobnym tonie mówił o swoich problemach zdrowotnych: swobodnie, gawędziarsko, z rozbawieniem. Lubił opowiadać anegdoty o szpitalnych nieszczęściach, koszmarnych badaniach i zabiegach, które mogły pójść bardzo źle, ale z jakiegoś powodu nie poszły. Nie chciał, by się nad nim użalano, ale potrzebował uwagi – publiczności. Kiedy miał naprawdę dobre wiadomości, nowe, skuteczne lekarstwo, badania, których wynik był zadowalający, zwolnienie postępów stwardnienia rozsianego,

mówił o tym z trudnością. Naomi podejrzewała, że najbardziej bał się mieć nadzieję.

A jednak w życiu Kincha była nadzieja. Wprowadzono nowe dożylne lekarstwo na ten rodzaj stwardnienia rozsianego, na który cierpiał; okazało się też, że być może Kinch wcale nie ma HIV, ale rzadkie schorzenie krwi – że źle go zdiagnozowano.

Gdy mówił o tych sprawach, wuj utrzymywał lekki ton konwersacji. Naomi rozumiała, że nie chciał okazywać nadziei. Bezpieczniejszy był typowy dlań cynizm: „Lekarstwo okazało się bardzo skuteczne, pacjent zmarł". Albo: „Życie jest tym, co wyłania się z podpisu pod rysunkiem w «New Yorkerze»".

Opierała się Kinchowi. Mężczyźnie w średnim wieku, który pozostał wiecznie młody, nienaturalnie chłopięcy – dziecinny. W obecności Karla należało udawać, że się psoci, konspiruje, choć tak naprawdę nie wiedziałeś, co właściwie broisz. Nie chciała lubić Kincha. Podejrzewała, że gdyby żył Gus, nie zaakceptowałby go – w tym człowieku była jakaś żywiołowa chorobliwość, sprzeczna z bezpośrednią i nieironiczną naturą Gusa Voorheesa.

A jednak Naomi zaczęła ufać Kinchowi. Któregoś popołudnia odwiedziła go sama w skromnym mieszkaniu na Piętnastej Ulicy, na wschód od Piątej Alei. Niedawno wróciła z Muskegee Falls i popadła w stan bezwładności. A może to był stan zwątpienia i rozpaczy, które próbowała ukryć przed babką. W końcu postanowiła zaniechać pracy nad archiwum, nie miała jednak żadnego innego projektu. Praca przy filmach była tymczasowa, chaotyczna – Naomi lubiła ją i wiele się uczyła, ale kariera dokumentalistki okazała się epizodem, a kiedy nie mogłeś wybierać własnych tematów, stawała się po prostu zwykłą niewdzięczną harówką.

Yael Ravel ją ostrzegała: w filmie nie ma romantyzmu. Chyba że w oku widza.

Kinch zauważył milczenie bratanicy. Widział swoim jednym okiem jej smutek, który nie wiązał się jedynie z chorobą babki (szczegółów choroby nie znał), ale z czymś bardziej osobistym, prywatnym. Zapytał, co się

dzieje, więc mu opowiedziała: pojechała do Muskegee Falls, zrobiła zdjęcia, nakręciła filmy.

– Ale to wszystko z wierzchu. Nikogo z rodziny Dunphych nawet tam nie było. A on nie żyje od sześciu lat.

– Twój ojciec nie żyje nawet dłużej – powiedział Kinch.

Naomi się wzdrygnęła. Nie wiedziała, co miał na myśli. Ale zasłużyła na te słowa, bo odsłoniła się przed ambitnym przyrodnim bratem ojca.

Nieoczekiwanie Kinch zaczął mówić o Lutherze Dunphym. Naomi nie wiedziała, że w ogóle się nim interesował, że choćby znał nazwisko zabójcy, a co dopiero, że badał tę sprawę. Nie mogła wiedzieć, że Kinch, udając obojętność na rodzinne relacje, bardzo interesował się Gusem Voorheesem. Teraz zapalił papierosa i przeciągle wydmuchiwał dym jak bohater filmowy, pewny, że jest w centrum zainteresowania. Naomi paraliżowała świadomość, że ktoś zajmuje się obsesją jej młodości, którą prawie z nikim się nie dzieliła.

– Dunphy, Luther Amos. Ten człowiek mianował się żołnierzem Boga, czy też żołnierzem Chrystusa, o ile to jakaś różnica. Najistotniejsze jest to, że Dunphy był męczennikiem. Nie spodziewał się, że przeżyje po tym, co zrobił. Zaplanował własną egzekucję. To było samobójstwo.

Kinch urwał. Pochylił się na wózku z potwornym wilgotnym uśmiechem ekscytacji, wydmuchując dym. Najwyraźniej świetnie się bawił. Naomi pomyślała, że nigdy nie poruszyłby tego tematu w obecności Madeleny.

– Czy ukrzyżowanie Jezusa było rodzajem samobójstwa? – zapytała Naomi.

– Nie, jeśli Jezus zmartwychwstał. To szczęśliwe zakończenie.

– Ale... my nie wierzymy, że Jezus zmartwychwstał, prawda?

– My nie. Ale inni tak. Bardzo możliwe, że Jezus sądził, że zmartwychwstanie, przynajmniej przed ukrzyżowaniem. – I ciągnął: – Pamiętasz, że Jezus na krzyżu zawołał głośno: „Boże, Boże, czemuś mnie opuścił?”. *Eli, Eli, lema sabachthani?* To najsmutniejsze słowa w Nowym Testamencie. Ale te słowa są echem starotestamentowych psalmów. Jezus był znawcą Bi-

blii! Reszta opowieści: śmierć, złożenie do grobu, zmartwychwstanie i wniebowstąpienie, to oczywiście inna, późniejsza epoka. Bajkowe zakończenie, zalecane zakończenie. To wersy prowadzące do ukrzyżowania opisują trudną do zaakceptowania rzeczywistość. Zdrada Judasza, wyparcie się Piotra, namaszczenie stóp Jezusa przez Marię, jakby już był trupem, słowa Jezusa przeczuwającego swoją śmierć: „Jeszcze przez krótki czas przebywa wśród was światłość. Chodźcie, dopóki macie światłość, aby was ciemność nie ogarnęła. A kto chodzi w ciemności, nie wie, dokąd idzie".

Kinch urwał, jakby znaczenie słów, które wypowiadał, dotarło do niego dopiero w tej chwili. Naomi siedziała wyprostowana na sofie, twarzą do siedzącego na wózku, w stanie przypominającym senną dezorientację, budzenie się ze snu, kiedy jeszcze przez chwilę masz to, co utraciłeś, choć nie potrafisz tego nazwać.

Ta ciemność ogarnęła Gusa. Postępowała nieustająco. Żaden ludzki wysiłek nie mógł jej powstrzymać.

W tym dziwnym stanie Kinch zasysał swojego absurdalnego papierosa, choć Naomi tego nienawidziła. Chciałaby móc nienawidzić j e g o.

Kinch odzyskał nieco swej beztroski i mówił dalej:

– Czym jest samobójstwo? Co nazywamy męczeństwem? W Ewangelii Jezus wyraźnie akceptuje swoją śmierć – tę, która poprzedza zmartwychwstanie. „Albowiem zawsze ubogich macie u siebie, lecz Mnie nie zawsze macie". To przejmujące zdanie, oznajmiające, nie pełne skargi. Jezus akceptuje swoją śmierć, ale można powiedzieć, że jest oszukiwany: wierzy, że Ojciec w niebiosach w każdej chwili może go ocalić. Wie też jednak, że musi umrzeć, by zmazać grzechy ludzkości. To tragiczna historia, jeśli nie wierzysz, jeśli nie potrafisz uwierzyć, że Jezus naprawdę był półbogiem, zmartwychwstał i wstąpił na tron niebieski. Jezus nie jest samobójcą, ponieważ wierzy, że jest zbawcą ludzkości: można go zabić, ale nie można zniszczyć. Człowiek, który zamordował twojego ojca i drugiego mężczyznę, jest bardziej samobójcą. Podobno nigdy nie próbował się ocalić. Nigdy nie stracił wiary i umarł w służbie tej wiary. To urojenie. A jednak nie do końca, bo

wiedział, że Bóg go opuści i że będzie martwy. Takiego człowieka trzeba podziwiać, co nie?

To „co nie?” było szczególnie oburzające. Naomi wzdrygnęła się, jakby Kinch powiedział coś nieprzyzwoitego. Nie potrafiła odpowiedzieć.

Kinch nie odpuszczał:

– Niewielu ludzi potrafi umrzeć dla ideałów. Nawet urojonych. Taka odwaga jest rzadka.

– To nie była odwaga. To okrucieństwo, głupota...

– Nie był szalony. Nikt nie próbował na poważnie sugerować, że Luther Dunphy był szalony. A twój ojciec, Gus Voorhees? On oczywiście nie był szalony.

Naomi bez słowa gapiła się na Karla Kincha. O czym ten człowiek mówi?

– Ale de facto Gus Voorhees również został samobójcą. Twój ojciec wypierał istnienie wrogów, podejmował ryzyko, i miał odwagę, ale też (i wiedział o tym) samobójcze skłonności. Ważył prawdopodobieństwo swojej śmierci przeciwko wartości służenia kobietom, które go potrzebowały, i postanowił, że warto, cokolwiek się zdarzy. Idealny męczennik jest samobójcą.

Naomi wstała w gniewie. Wybiegnie i zostawi Kincha w tym jego elektrycznym wózku, z żałosnym słabym zapachem wody kolońskiej na wychudzonym ciele i drobinami popiołu na kościstych kolanach.

– Nienawidzę cię. Nie muszę tego słuchać.

– Ale ja cię nie nienawidzę. Uwielbiam cię. I twojego ojca Gusa Voorheesa. Ogromnie go podziwiam. Im więcej się o nim dowiaduję, tym bardziej go podziwiam. Luthera Dunphy’ego również, tego smutnego człowieka z urojeniami... Ale obawiam się, że Gus Voorhees nie podziwiałby mnie.

Kinch zaczął kaszleć. Pergaminowy papieros w jego dłoni zadrżał, spadł z niego popiół. Naomi miała ochotę wyrwać papierosa i rzucić go wujowi w twarz.

– Przepraszam, Naomi...

Kaszlał coraz bardziej. Po kilku sekundach atak przeszedł w dręczące spazmy. Naomi miała nadzieję, że Sonia przybiegnie, by pomóc męczącemu się pracodawcy, ale ona chyba udawała głuchotę, chowała się w odległym pokoju, gdzie oglądała telewizję.

Naomi podeszła do skurczonego na wózku Kincha, białego, drżącego, postury i wagi chłopca. Papierową serwetką otarła mokrą twarz. Wyjęła znienawidzonego papierosa spomiędzy palców i szybko zgasiła go w popielniczce.

Chwilę później Kinch się pozbierał. Z irytacją oznajmił:

– Po prostu źle przełknąłem. To nic takiego.

Pocieszenie w żałobie.
Luty 2012

Po raz kolejny poleciała na Środkowy Zachód.

Ostatni raz. Tak sobie obiecała.

Na lotnisku Kennedy’ego okazało się, że lot jest opóźniony, bo trzeba odlodzić skrzydła. Oglądała to, siedząc z tyłu, z fascynacją, ale i strachem. Na lotnisku pod Cleveland pasy startowe otoczone były dwumetrowymi zaspami śniegu, a pasażerom, i tak już zmęczonym po pełnym turbulencji locie i wyboistym lądowaniu, kazano czterdzieści minut siedzieć w samolocie w oczekiwaniu na otwartą bramkę. Powtarzała sobie: *Jesteś tu z własnego wyboru. To tylko twój wybór, nikt ci nie kazał.*

Tamtego wieczoru w Cleveland Sports Arena, przed mocno promowaną walką bokserską wagi średniej między dwoma wysoko notowanymi zawodnikami, miała odbyć się walka o tytuł mistrzowski kobiecej federacji Midwest Boxing League między posiadaczką tytułu Siri Ayą „Icewoman” a D.D. Dunphy „Młotem Jezusowym”.

Tym razem Naomi miała lepsze miejsce: w trzecim rzędzie, w środku. Darmowy bilet dzięki uprzejmości Dayton Fights, Inc.

Od czasu wizyty w Cincinnati utrzymywała kontakt z Mariką, która była pod wrażeniem (do pewnego stopnia nie bezpodstawnym) faktu, że Naomi Matheson przygotowuje film dokumentalny o kobietach bokserkach, w którym D.D. Dunphy miała odegrać ważną rolę.

Każda z nich uważała się za przebiegłą, pozostając w kontakcie z tą drugą.

Marika nie miała wątpliwości, że w lutym w Cleveland D.D. Dunphy zdobędzie tytuł mistrzowski MBL. A ta naprawdę wielka walka o tytuł miała się odbyć z Ilse Kinder, mistrzynią federacji WBA, co gwarantowało wysoką sprzedaż.

– Wtedy nie będą mogli nas zignorować. Będą musieli dogadać się z telewizją.

I dodała:

– To będzie poważna walka, najprawdopodobniej latem. Co najmniej w Atlantic City. Na Vegas słabe szanse, ale to też możliwe.

I:

– Może w końcu zrobisz cały film o D.D. Dunphy, Naomi. *Pierwsza wielka bokserka, Pierwsza wielka amerykańska boksująca kobieta*, albo coś w tym rodzaju.

Trudno było nie zarazić się tym entuzjazmem, tym optymizmem, nawet kiedy ostrożnie (jeśli nie z niepokojem) spoglądało się w przyszłość – o ile w ogóle można było zajrzeć w jakąś przyszłość, a nie w coś w rodzaju wykrzywiającej lustrzanej powierzchni, w której odbijała się własna zdenerwowana twarz.

Naomi ostrożnie odparła:

– Jest taka możliwość. Tak.

Porywczo i z przekonaniem Marika ciągnęła:

– Jezu! Przecież wszyscy piszący o sporcie to faceci. Niektórym się zdaje, że to się zmienia, ale wcale tak nie jest. Fotografowie sportowi to sami faceci. Producenci sportowych programów telewizyjnych to faceci. Mają gdzieś kobiety bokserki i mają gdzieś naszą bokserkę, bo nie jest fotogeniczna. Wiesz, co mówią? Co powiedzieli w ESPN? „Dunphy za bardzo wygląda jak sportowiec, widzom się to nie spodoba”. A Mike Tyson to może nie wygląda jak sportowiec? Jak niby ma wyglądać Dunphy, jak baletnica? Łyżwiarka? Nasza zawodniczka wygląda na tego, kim jest.

Tym razem Naomi wiedziała, że należy przyjść do hali później. Uniknąć paskudnych wczesnych walk między niedoświadczonymi bokserami, którzy budzili pogardę wśród nielicznych jeszcze widzów.

W hałaśliwej hali Naomi siedziała sama. Ten harmider już nadszarpnął jej nerwy.

Tym razem nie czuła się też tak bardzo obserwowana. W Cincinnati nie wyróżniała się tym, że była sama, tylko tym, że miała inny kolor skóry. Tutaj, w znacznie bardziej eleganckiej Cleveland Sports Arena, przynajmniej w pierwszych kilkunastu rzędach, większość widzów była biała.

I znalazły się wśród nich kobiety. Kobiety w grupach, w rzędach. Rozochocone i rozbawione. Z komentarzy, które dosłyszała Naomi, zorientowała się, że te fanki przyjechały z daleka, by zobaczyć, jak walczy „Icewoman".

Siri Aya dwa lata wcześniej obroniła swój tytuł, tu, w Cleveland, w tej samej hali, i dzisiaj wieczorem obstawiano jej wygraną trzy do jednego.

O D.D. Dunphy niewiele wiedziano i mało kogo obchodziła.

Naomi nie chciała patrzeć, jak Dunphy wygrywa tę walkę i zostaje mistrzynią. Ale też nie chciała patrzeć, jak haniebnie przegrywa albo zostaje kontuzjowana. W sieci obejrzała wcześniej kilka walk, w których elegancka w ruchach, pozornie niezwyciężona „Icewoman" Aya była lepsza, szybsza, zwinniejsza od przeciwniczek. Miała osiemnaście wygranych i dwie porażki – rekord. Dunphy miała dziewięć wygranych, zero porażek, jeden remis.

Aya: dwadzieścia dziewięć lat, boksowała od jedenastu. W jednym ze słynnych wywiadów powiedziała, że nigdy nie zakończy kariery i prędzej zniosą ją z ringu nogami do przodu. W rodzinnym Milwaukee trenowała sztuki walki i kick-boxing, w młodości była również amatorską mistrzynią obu dyscyplin. Jej starszy brat został kiedyś pretendentem do tytułu federacji WBA w kategorii ciężkiej, ale skazano go za przemoc domową i trafił do więzienia. Jedyne porażki Aya poniosła na początku kariery. Kilkukrotnie broniła tytułu federacji MBL.

Kiedy weszła do hali w Cleveland w jedwabistym szlafroku w kolorze kości słoniowej, entuzjastycznie pozdrawiając tłum, rozległy się okrzyki i długie oklaski. Gdy kilka minut wcześniej wchodziła D.D. Dunphy, oklaski były rzadkie i szybko ucichły.

Na ringu zawodniczki nie mogły bardziej się od siebie różnić. Jasny szlafrok Ayi wyszywany był w błyskawice w kształcie sopli lodu, spodenki i spandeksowy top uszyto z tego samego materiału; modnie ostrzyżone na jeża włosy miała ufarbowane na platynowy blond, na umięśnionych rękach misterne tatuaże w kolorach złota i kości słoniowej. Aya była zgrabna, z nogami długimi jak u antylopy, ręce zdawały się lśnić niczym zakrzywione szable. Skóra miała odcień jasnego kakao, ale rysy były białe. Wszystko w Dunphy zdawało się bardziej surowe – matowy czarny strój, sterczące włosy z pasemkami, jaskrawe tatuaże na bicepsach. Ziemista cera. Przysadziste, umięśnione, pozbawione wdzięku ciało. Na koszulce z tyłu kolorowa reklama sklepu sportowego w Dayton, na którą Naomi patrzyła z zażenowaniem.

Siri Aya włożyła buty w kolorze kości słoniowej ze złotymi frędzelkami. D.D. Dunphy miała zwykłe czarne buty na stopach dużych jak kopyta.

– Panie i panowie, dziesięciorundowy pojednek kobiecej wagi półśredniej o tytuł Midwest Boxing League...

W pierwszych kilkunastu sekundach pierwszej rundy stało się oczywiste, że Aya jest szybsza, a Dunphy silniejsza. Dunphy przegrywała z wyższą, szczuplejszą, bardziej dojrzałą i sprytniejszą przeciwniczką, która dręczyła ją szybkim prostym, serią ciosów, poruszaniem się na boki, jakby się cofała, a jednak nie cofając się, tylko agresywnie, niespodziewanie prąc naprzód, podczas gdy przysadzista, silniejsza bokserka musiała szaleńczo zadawać ciosy, które nie trafiały, a jeśli nawet trafiały, to ledwie muskały przeciwniczkę.

Aya nie pozwalała Dunphy „wchodzić pod siebie”, a dopóki rywalka z krótszymi rękami nie mogła wejść, była bezradna.

Naomi widziała również, że Dunphy nie trzyma cały czas w górze lewej rękawicy. Była rozkojarzona, wybita z rytmu. Jak tylko do D.D. dotarło, że

jej styl walki nie będzie skuteczny wobec przeciwniczki, która z taką łatwością unikała silnych ciosów i była dużo szybsza, najwyraźniej wpadła w panikę.

Kiedy rozległ się gong, Naomi poczuła, że bolą ją tylne zęby, tak mocno zaciskała szczęki w trakcie walki.

Naprawdę nie chciała, żeby Dunphy wygrała, nie chciała, by nazwisko „Dunphy" zatriumfowało. Ale nie mogła pozbyć się lęku, że zobaczy kontuzjowaną D.D. W ciągu tych trzech minut ledwo oddychała.

Gdyby tylko Dunphy mogła przerwać walkę bez kontuzji, bez nokautu.

Naomi próbowała oglądać pojedynek jak coś zwykłego. Spektakl. Jakie to miało znaczenie, kto wygra? Żadna z bokserek nic dla niej nie znaczyła. Nie miały wpływu na jej życie.

Z tego, co wiedziała Marika, Naomi Matheson była reżyserką filmów dokumentalnych przeprowadzającą wywiady z boksującymi kobietami. Nie miało więc dla niej żadnego znaczenia, kto wygra ten pojedynek, bo tematem były boksujące kobiety, a więc zarówno te, które przegrywały, jak i te zwyciężające.

Druga runda okazała się intensywniejsza i ostrzejsza niż pierwsza. Aya naciskała Dunphy, zmuszała ją do cofania się, potykania. Dziwne, że ta antylopa była tak pełna agresji, szybka, zręczna i bezlitosna. Jałówka była ciężka, nieruchawa, ślepo prąca naprzód, zdeterminowana, by nie okazywać słabości. Między rundami w narożniku Dunphy trener Ernie Beecher na pewno dawał jej nerwowe instrukcje, do których ona nie potrafiła się zastosować.

W połowie walki Dunphy ciężko oddychała, cała czerwona, nad obiema powiekami miała rany od ciosów przeciwniczki. A jednak brała górę: ze skulonymi ramionami próbowała chronić twarz i głowę uniesionymi rękawicami. Nie mogła wejść pod przeciwniczkę, mogła tylko uderzać szaleńczo w jej ręce i rękawice.

– Kto wygrywa? – zapytała po piątej rundzie Naomi widzów w rzędzie za sobą.

– Żartujesz? Icewoman.

Słysząc te słowa, poczuła głęboki, wredny dreszcz satysfakcji. Na pewno były prawdziwe. Poczuła upokorzenie Dunphy we własnych trzewiach.

I ta absurdalna, żenująca reklama na plecach.

Poddaj się, poddaj! Nie masz szans.

A jednak kilka sekund po rozpoczęciu szóstej rundy Dunphy udało się trafić szybką przeciwniczkę w skroń jednym ze ślepo zadanych szaleńczych ciosów. Olśniewająca Aya zaczęła się zataczać i musiała przykucnąć.

Z widowni rozległy się okrzyki rozczarowania i zdenerwowania. Dunphy nie przestawała przeć naprzód i uderzać. Szeroka, mięsista twarz była wykrzywiona, krwawiła. Dawn oddychała przez usta. Choć zdawała się ciężka i pozbawiona wdzięku, zmienna sympatia tłumu z czystej przekory przechodziła na stronę tej młócącej białej bokserki, która mogła pokonać dużo piękniejszą rywalkę.

– Dun-phy!

Ale Aya była zbyt inteligentna i zbyt doświadczona. Nawet w kłopotach potrafiła klinczować, uderzać przeciwniczkę w nerki, przetrwać rundę i nie upaść.

A potem, w kolejnej rundzie, jakby trenerzy podali jej jakiś magiczny napój, Aya chyba całkowicie odzyskała siły. Tańczyła wokół powolnej Dunphy niczym toreador kuszący i dręczący byka. A Dunphy była ospała, nogi miała jak z ołowiu. Czuło się wysiłek, jakiego wymagało od niej podniesienie ciężkich ramion, osłanianie się rękawicami.

I po raz kolejny sympatia tłumu przeszła na stronę Ayi. W końcu to ona była faworytką. Oczywiście, że „Icewoman” to faworytka: tylko spójrzcie, jaka jest piękna, jak lekko się porusza, z jaką pogardą unika ciężkich ciosów przeciwniczki. Kiedy Dunphy poślizgnęła się i prawie upadła, Aya skorzystała z okazji, by uderzyć ją mocno w skroń szybkim jak błyskawica ciosem, a tłum eksplodował okrzykami i gwizdami.

– A-ya! A-ya!

Naomi widziała, albo tak się jej zdawało, małe białe blizny na łukach brwiowych Dunphy, przypominające kawałki odsłoniętej kości między smugami rozmazanej krwi.

Runda zakończyła się lawiną ciosów z obu stron. Siri Aya również oddychała przez usta. Niezbyt pewnie doszła do narożnika, kiedy zabrzmiał gong.

– Kto wygrał tę rundę? – zapytała przestraszona Naomi.

– Nie wiadomo. Prawie równo.

– Ale Aya prowadzi?

– Tak. Aya wyraźnie prowadzi.

Jednak w następnej rundzie Aya zachowywała się zaskakująco. Próbowała klinczować, kiedy tylko mogła, jakby dla niej walka się skończyła, bo prowadziła na punkty. Jakby wiedziała, że nie może przegrać, musi tylko panować nad przeciwniczką. Tłum to wyczuł i zaczął się niecierpliwić. Sfrustrowana Dunphy odparła ręce rywalki i ślepo rzuciła się naprzód. Przez moment bokserki wyglądały, jakby miały stracić równowagę, i pewnie by upadły, ale Aya się odepchnęła. Aya już była gotowa. Aya się uśmiechała i szydziła z D.D., drwiła z jej niezdarności.

Zawsze elegancka, przebiegła „Icewoman” odsuwała się od zirytowanej Dunphy, cofała się, uskakiwała na boki, poza zasięg nieobliczalnych ciosów. Kiedy to było konieczne, broniła się uniesionymi rękami, łokciami. Ciasno skręcone platynowe loczki podskakiwały i wiły się na jej głowie. Aya zdawała się czerpać przyjemność z ciężkiej walki, choć jej piękna skóra koloru kakao również była zaczerwieniona i mokra od potu. Mimo to Dunphy parła naprzód, próbując wejść pod przeciwniczkę. To było dla niej charakterystyczne, podświadomie opuszczała lewą rękawicę, narażając się, i w chwili jej słabości Aya uderzyła precyzyjnie wykonanym prawym podbródkowym.

Z szalonej reakcji tłumu Naomi wywnioskowała, że Dunphy dostała mocno. Zataczała się, oszołomiona i jakby oślepiona. Nie mogła się bronić. Opuściła rękawice, które zrobiły się za ciężkie, by utrzymać je w górze.

– Nie! Nie... – zawołała Naomi.

Kolejny cios w głowę Dunphy, ciosy na tułów, przeponę, eksplodujący radością tłum. Naomi poczuła do tych ludzi potworną nienawiść... dzicy, durni jak stado zwierząt.

Ale Dunphy nawet nie uklękła. Dunphy wciąż stała, skołowana, kiedy sędzia zaczął liczyć: nie pozwoli jej na dalszą walkę, przeciwniczka by ją zniszczyła.

Przy sześciu rozległ się gong.

Naomi zdała sobie sprawę, że zerwała się na nogi z przerażenia. Inni widzowie również stali.

Dunphy zatrzymała się na środku ringu, zakrwawiona i zdezorientowana, nie wiedząc, co robić. Podbiegli do niej narożnikowi.

Słychać było głosy: „Przerwać walkę!”.

Lekarz ringowy wszedł, by zbadać Dunphy w jej narożniku. Naomi stała w przejściu, patrzyła. Chciała przyłożyć dłonie do ust i zawołać: „Przerwać walkę!”.

Ochrypła. Nie miała świadomości, że krzyczy.

Nie do wiary, ale lekarz ringowy najwyraźniej uznał, że Dunphy może kontynuować. Jej trenerzy z pewnością twierdzili, że Dunphy może kontynuować. Wyglądała już na mniej oszołomioną, wzrok miała jaśniejszy. Zakrwawioną twarz obmyto, rany posmarowano.

Kiedy rozległ się gong i walka potoczyła się dalej, Naomi szybko zeszła ze schodów i zbliżyła się do jaskrawo oświetlonego ringu. W jej uszach rozlegał się huk, coś jakby odległy wodospad – dźwięki tłumu albo dźwięk szybko pompowanej krwi. Znalazła się tuż pod walczącymi bokserkami. Widziała zaciętą poobijaną twarz Dunphy i twarz tej drugiej, niemłodą, ściągniętą i spiętą; słyszała, jak obie stękają, jak szurają stopami. Naomi nigdy nie była tak blisko, tak przerażająco blisko kogoś tak zamkniętego w walce. Czuła zmagające się ciała. Czuła zapach własnego strachu. Próbowała przejść na przeciwległą stronę ringu, gdzie siedzieli narożnikowi Dunphy, bo zamierzała do nich zaapelować, błagać, by przerwali walkę, ale

drogę blokowały nogi i stopy, wściekli bogaci widzowie w pierwszych rzędach wrzeszczeli:

– Wynoś się! Wypierdalaj stąd, suko! Wariatka.

Zatrzymał ją ochroniarz.

– Halo, dokąd to?

Naomi paliły policzki. Powiedziała błagalnym tonem:

– Walka... musicie ją przerwać. Ona jest poważnie ranna. Może ma wstrząs mózgu. Czy nie można czegoś zrobić? – Nawet w nerwach próbowała zachowywać rozsądek.

Rodzice by się uśmiechnęli, pomyślała. „Nie podnoś głosu. Jeśli podniesiesz głos, to już przegrałaś tę kłótnię”.

Ochroniarz, wysoki facet w średnim wieku o młodzieńczym wyglądzie, ciemnoskóry, przyglądał jej się z niedowierzaniem.

– Ale wie pani, że to jest walka?

– Ale... Dunphy jest ranna...

– Zajmą się nią, psze pani. Przerwie, jak będzie chciała. Musi pani wrócić na swoje miejsce. Pomóc?

Naomi odwróciła się obrażona. Oczywiście, że nie potrzebowała pomocy, by wrócić na miejsce.

Ale na swoim krześle czuła się bardzo dziwnie. Okrzyki i wiwaty dochodziły do niej jak podwodne zawroty głowy. Zmrużyła oczy, udając, że nie widzi, by ochronić się przed spektaklem na ringu, na który nie miała już odwagi patrzeć.

Jedna z bokserek się poślizgnęła albo została trafiona i przyklękła na jedno kolano. Zaskakujące, ale to nie była Dunphy, tylko ta druga, zawodniczka z ciasno skręconymi platynowoblond włosami i gładką kakaową skórą. Przez krzyki tłumu Naomi nie mogła się skoncentrować i sprawdzić, kto jest ranny.

Czy to był nokdaun? Sędzia zaczął liczyć. Dunphy odeszła do neutralnego narożnika.

Przy dziewięciu Aya stała już na nogach. Sprytna weteranka wytrzymała prawie całe liczenie, by odzyskać siły.

Ale cała się trzęsła, oddychała z trudem. Dunphy pobiegła do niej jak szalona krowa i uderzyła, a rękawice Ayi opadły. Dunphy w końcu weszła pod nią. Zadała kilka ciosów, jednak Aya nie upadła, tylko trzymała się rywalki, desperacko próbując ustać. Bokserki kołysały się, niemal padając na liny. Sędzia zawołał ostro:

– Break!

Dunphy wyrwała się, przygotowując do walki, ale Aya opuściła głowę, zdawało się, że robi unik i... upadła na Dunphy.

Na czole D.D., nad prawym okiem, pojawiła się nagle jasna krew. Potworne kilkunastocentymetrowe rozcięcie w cienkiej zabliźnionej skórze, która ledwie zdążyła się zagoić po poprzedniej walce.

To było uderzenie głową. Niedozwolone, faul. Dunphy osunęła się na kolana, oparła się na rękach; coś z jej ust wypadło na matę – wybity ząb? Naomi była przerażona, ale zobaczyła, że to tylko ochraniacz...

Okrzyki i wrzaski. Protesty. Sędzia energicznie wymachiwał rękami nad głową, przerywając walkę.

Narożnikowi Dunphy natychmiast wspięli się na ring, do wtóru głośnego buczenia. Żałosna, mocno krwawiąca bokserka już wstała i też próbowała protestować.

Walka zakończyła się tak nagle. Dunphy odprowadzono do narożnika, gdzie ciężko usiadła, oszołomiona, podczas gdy badano jej ranę na czole.

Naomi nie widziała, co się dzieje na ringu. Przez liny przeszło zbyt wiele osób – sami mężczyźni, oprócz Siri Ayi, która truchtała, unosząc rękawice w geście zwycięstwa.

Publiczność nie była zadowolona. Spiker poprosił o ciszę.

– ...zwyciężczynią i obrończynią tytułu mistrzowskiego Midwest Boxing League w kobiecej wadze średniej pozostaje Siri „Icewoman” Aya...

W talii Ayi zapięto ciężki pas wysadzany sztucznymi kamieniami, absurdalnie ozdobny.

Aya prowokująco unosiła rękawice, okrążając ring jak królowa. Jej długie, kształtne ręce lśniły od tatuaży. Twarz miała ściągniętą ze zmęczenia, ale uśmiechała się, nie zamierzała przestać się uśmiechać, dopóki była na ringu i strzelały migawki aparatów. Rozległ się aplauz, ale też wiele gwizdów. Spiker podniósł głos, by przekrzyczeć zamęt.

– ...prosimy o oklaski dla pretendentki D.D. Dunphy „Młota Jezusowego” za doskonały, spektakularny występ...

Dunphy nigdzie nie było widać. Wciąż rozbrzmiewały gwizdy i buczenie. Naomi stała w przejściu obok swojego miejsca w trzecim rzędzie, które chyba musiała porzucić. Ściskała w dłoniach kamerę, którą zapomniała włączyć. Była wyczerpana, emocjonalnie wycieńczona, jakby sama sklinczowała się w żałosnej walce i została pokonana.

W przejściu zapanowało poruszenie. Ochroniarze nie pozwalali nikomu zbliżyć się do ringu.

– Proszę pani, proszę odejść. Zrobić przejście.

Zrobienie przejścia nie było wcale łatwe. Naomi powoli ruszyła po schodach w stronę wyjścia. Powoli, bo musiała się przepychać. Wyjście było również wejściem. Nowi widzowie wlewali się do środka.

Naomi znalazła w torebce wizytówkę Mariki z Dayton Fights, Inc. Próbowała pokazać ją ochroniarzowi, twierdząc, że jest koleżanką D.D. Dunphy i że czekają na nią w szatni, ale ochroniarz ledwie zerknął.

– To jest zamknięta strefa, proszę pani. Musi pani mieć przepustkę.

Dowiedziała się potem, że walkę trzeba było przerwać, ponieważ kontuzja D.D. okazała się zbyt poważna. Rana nad okiem nie dawała się zamknąć zwykłymi środkami ściągającymi, wymagała szycia.

Choć rana powstała w wyniku faulu, bez wątpienia popełnionego z premedytacją, i choć Dunphy niespodziewanie prowadziła w tamtej chwili, a Aya miała stracić punkty, to Aya wygrała pojedynek, ponieważ prowadziła na kartach sędziowskich. Nie dało się udowodnić, że uderzenie głową było

zamierzone. Narożnik Dunphy gorliwie protestował, ale decyzja sędziego głównego i punktowych była ostateczna.

Dowiedziała się tego wszystkiego od Mariki, która z rozgoryczeniem opowiadała Naomi, dlaczego przerwano walkę i stracili pas.

– Wszyscy wiedzą, że D.D. powinna zostać mistrzynią!

Wtedy jeszcze wydawało się, że zaplanowany na poranek następnego dnia wywiad z D.D. Dunphy zostanie odwołany.

A jednak zadzwoniła komórka. Naomi miała właśnie telefonować do linii lotniczych, by przesunąć bilet powrotny do Nowego Jorku na wcześniejszy termin, gdy w słuchawce rozległ się zdyszany głos Mariki. Jeśli Naomi chce, może się spotkać z Dunphy na kilka minut. „Żeby opowiedziała naszą wersję".

I dlatego Naomi czekała teraz na Dunphy. W kolejnej pozbawionej okien hotelowej sali bankietowej, w przeciągu.

Marika w kącie nerwowo rozmawiała przez komórkę, ignorując Naomi, która podsłuchała tylko kilka syczących dźwięków i przekleństw. Ufarbowana na blond Marika nie była taka atrakcyjna, jak się na początku zdawała, i nie była tak przyjazna wobec Naomi, jak ta zapamiętała.

W Dayton Fights, Inc. wszyscy byli wściekli. Wszyscy byli głęboko oburzeni, jakby pas mistrzowski odpięto z talii ich bokserki i siłą zabrano, by dać innej.

Naomi tego nie słuchała. Naomi była neutralna, po prostu robiła film. Przesuwała na ekranie komórki informacje w poszukiwaniu „Dunphy, D.D.", ale zdała sobie sprawę, że przecież powinna szukać raczej „Aya, Siri".

Informacji nie było wiele, same fakty. *Siri Aya (29 l.) z Milwaukee w Wisconsin zachowała kobiecy tytuł mistrzowski w kategorii średniej Midwest Boxing League po walce w Cleveland, w której zeszłego wieczoru pokonała D.D. Dunphy (24 l.) z Dayton w Ohio.*

Ciekawe, jak ciężko kontuzjowana jest Dawn Dunphy. W boksie najcięższe rany (zakładała Naomi) nie są widoczne gołym okiem.

Nie zewnętrzny, ale wewnętrzny krwotok. Może być śmiertelny.

Marika stała nad nią i mówiła:

– Halo? Ona już idzie. Zaraz będzie.

„Ona”. Naomi przez moment zastanawiała się, jaka ona.

Rozgorączkowana Marika dodała:

– Musisz powiedzieć w wywiadzie, że D.D. ukradziono tytuł mistrzowski. Żeby to było jasne. Uderzenie głową to jest faul. To jak napaść. Dwadzieścia dwa szwy! Dlatego Tyson ugryzł Holyfielda w uszy, dwa razy, bo Holyfield walił go głową. Gnoje, to był spisek. Cass sprawdza u prawnika, czy może ich pozwać. Tyle że jak pozwiesz, to masz przerąbane. Nikt już cię nie dotknie. Telewizje, ESPN, Vegas – zapomnij. Cass żąda rewanżu. Manager Ayi dogadał się z sędzią. Tylko ślepy by tego nie widział. Aya jest na cracku. Przed treningiem ją czyszczą. Karmią sterydami. Połowa jej walk jest ustawiona. Dogadują się. Nie możesz o tym wszystkim wspomnieć w filmie (choć wszyscy to wiedzą), ale możesz jasno pokazać, jak Dunphy okradziono z mistrzostwa. Dwadzieścia dwa szwy! Następnym razem odgryzie tej suce uszy. Zniszczy ją, kurwa. Zapamiętaj, że będzie następny raz: rewanż. Rozumiesz?

Naomi bezgłośnie kiwnęła głową, tak, zrozumiała.

Po katastrofalnej walce Naomi miała noc, żeby się pozbierać. W hotelu wypiła dwa, a może trzy kieliszki wina i poszła spać.

Bardzo długa noc, jak wszystkie noce w podróży. Kiepsko spała. Ktoś walił ją w głowę. Odskoczyła. Ból w szyi. Popękane naczynka krwionośne w oczach. Biedna Madelena, naczynka pękające po chemii. Nosiła ciemne okulary. Nikt nie widział. Naomi pomogła poprawić piękną srebrną perukę. Tak samotnie było w podróży. Spała dobrze tylko w swoim łóżku na trzydziestym pierwszym piętrze apartamentowca w mieszkaniu babki w Nowym Jorku, bo tam, postanowiła, jest dom.

Zastanawiała się, czy powiedzieć Madelenie o Dawn Dunphy. Oczywiście babka wiedziała o Lutherze Dunphym, o bezowocnym wyjeździe Naomi do Muskegee Falls. To znaczy wiedziała tyle, ile wnuczka zdecydowała się powiedzieć.

Ale Madelena nie wiedziała nic o Dawn Dunphy. Naomi nie była też pewna, ile jest o niej do opowiedzenia.

Postanowiła, że tak, spróbuje nakręcić film dokumentalny o kobietach bokserkach. Zrobi dłuższy wywiad z D.D. Dunphy i jeśli się uda, porozmawia też z Siri Ayą. Zaplanowała projekt, o którego sens będzie musiała walczyć. Film o kobietach, które są bokserkami.

– Naomi, skarbie, musimy porozmawiać.

Madelena złapała ją w końcu za rękę. Naomi nie mogła się wymknąć.

Babka powiedziała, że najwyraźniej jest w fazie remisji. Po ostatnich badaniach krwi w Sloan Kettering skrupulatny onkolog azjatyckiego pochodzenia oznajmił, że jej krew jest „stabilna”.

Ale:

– Remisja nie trwa wiecznie.

I:

– Naomi, proszę, zrozum, przeżyjesz mnie o dziesiątki lat.

Naomi wzdrygnęła się na dźwięk tych słów. Dorośli często cię zawstydzają, udając, że są dobrzy. A podobne uwagi były jeszcze bardziej denerwujące, kiedy wychodziły z ust babki w tonie oznajmienia, jakby Madelena wspominała, że znajomy wpadnie na kolację albo że ma dwa bilety na koncert Philipa Glassa tego wieczoru.

– To ty mogłabyś przeżyć mnie, Leno.

– Założymy się? – Madelena głośno się zaśmiała.

Naomi pomyślała, że stare kobiety śmieją się w ten specyficzny sposób skręcający kiszki.

Madelena oznajmiła, że zamierza zostawić w testamencie dla Naomi poważną sumę pieniędzy. Uczyniła też wnuczkę wykonawczynią swojej ostatniej woli.

– To będzie kształcące doświadczenie – dodała.

Ale postanowiła, że część pieniędzy, może większość, przekaże Naomi już teraz. To dużo lepszy pomysł.

– Dzięki temu obie się nimi nacieszymy.

Madelena odziedziczyła pieniądze po rodzicach i pomnożyła je dzięki inwestycjom. Zarabiała też na wykładach i pisaniu, a żyła dosyć oszczędnie. Gdy mówiła o swoim majątku, wyraźnie promieniała. Zachowywała się dziewczęco, co nie zdarzało się często od czasu diagnozy.

Naomi miała ochotę zakryć uszy. *Proszę, nie chcę o tym rozmawiać.*

Próbowała wyjaśnić Madelenie, że naprawdę nie chce i nie potrzebuje pieniędzy. Oboje rodzice uważali, że odziedziczona fortuna tylko szkodzi dobrobytowi młodych ludzi. Gus zawsze chciał pracować. Jenna zawsze chciała pracować. Oboje bez pracy byli nieszczęśliwi. Oczywiście praca musiała mieć sens. Być w jakimś sensie twórcza.

Madelena śmiała się z niej, ale serdecznie.

– Tyle że ja chcę zostawić swoje pieniądze tobie, Naomi. Mam oczywiście różne organizacje charytatywne. Ustanowię jedno czy dwa stypendia. No i jest jeszcze Karl, nienasycony. Ale chcę zostawić pieniądze właśnie tobie.

Naomi była głęboko zażenowana.

– Cóż... pewnie przydałyby mi się fundusze, chyba. Na film. Jeśli...

– Właśnie – przerwała jej Madelena. – Masz absolutną rację.

Czterdzieści minut później, kiedy Naomi miała się właśnie pakować i wychodzić, pojawiła się Dunphy.

– Siema.

Miała beznamiętny, nijaki i nieprzepraszający ton. Spękane, spuchnięte usta wygięły się w posępnym udawanym uśmiechu.

– Cześć. Dzięki, że przyszłaś.

– Jasne.

– Mam na imię Naomi, jakbyś zapomniała.

Zwracała się do Dawn Dunphy prostymi, uważnie układanymi zdaniami. Jakby mówiła do dzikiego zwierzęcia: drapieżnego kota, ptaka. Najdrobniejszy błąd i ucieknie. Najdrobniejsze przejęzyczenie i zostaniesz sama, zawstydzona.

– Możemy kontynuować wywiad, jeśli się zgodzisz. Marika mówiła...

– No. Pieprzyć Marikę.

Naomi nie była pewna, czy dobrze usłyszała. Z poobijanej twarzy Dunphy nic nie dało się wyczytać. Jej powieki drżały, jakby z nerwów.

(Marika w rogu sali rozmawiała nerwowo przez komórkę. Paliła papierosa).

Naomi wymamrotała przepraszająco:

– ...powiedziała, że możemy, jakieś pół godziny. Rozumiem, że to nie jest dobry czas. – Urwała, zastanawiając się, czy nie powiedziała czegoś nietaktownego. – Cóż, mam jeszcze tylko kilka pytań...

Dunphy beznamiętnie czekała, aż Naomi zapanuje nad kamerą dziwnie niezgrabnymi, zesztywniałymi z zimna palcami. W tej chłodnej, niegościnnej przestrzeni panował przeciąg, na dworze też było bardzo zimno, więc w drodze do hotelu dłonie Naomi w skórzanych rękawiczkach zmarzły.

Zobaczyła, że Dawn Dunphy ma krótkie paznokcie z cienkimi obwódkami brudu, obcięte blisko skóry i nieopiłowane. Palce miała grubsze od Naomi, dłoń wystarczająco dużą, by (tak się zdawało) zamknąć w niej dłoń Naomi, gdyby chciała.

A gdyby Dawn Dunphy mocno ścisnęła i nie puszczała, zmiażdżyłaby kostki w dłoni Naomi.

Dunphy zaśmiała się ponuro.

– Tak jak ostatnim razem. Tyle że chyba gorzej wyglądam...

– Ależ nie... No może.

Naomi zastanawiała się, czy Dawn Dunphy wie, co znaczy *déjà vu*.

Zimne bezosobowe hotelowe wnętrze. Smętne jarzeniowe światło w pomieszczeniu bez okien.

Siedziały naprzeciwko siebie przy stole z jakiegoś taniego materiału, który, jeśli go dobrze uderzyć, rozpadłby się na kawałki.

– Chyba to rozcięcie nad okiem wygląda gorzej. Ile masz szwów?

Dunphy wzruszyła ramionami. Otarła nos bokiem dłoni.

– Pewnie ze dwadzieścia? Dwadzieścia pięć?

– No. – Usta Dunphy ułożyły się w gorzki uśmiech.

– Boli?

– A jak myślisz? Jak cholera.

– No tak. Przepraszam.

– W porządku. Dają mi ten, no, tyl-e-nal.

– Powinnaś obłożyć ranę lodem. Zmniejszy opuchliznę.

– Ta, obłożyłam. Wieczorem.

– Mogłaś zasnąć?

– Ta. Zmęczona, to śpisz.

Rany na twarzy Dunphy wyglądały gorzej niż te po walce w Cincinnati. Oczy miała podbite i przekrwione, na czole małe rozcięcia. Czarne skośne szwy nad prawym okiem wyglądały paskudnie i groźnie. Było w tym coś groteskowego. Ale Naomi nie zamierzała się uśmiechać.

Dawn Dunphy chyba przyszła w ubraniu, w którym spała. Czuć było od niej nieświeży, ale nie bardzo nieprzyjemny zapach. Szare spodnie od dresu i bluza z kapturem, poplamiona z przodu.

– Jeśli to jakieś pocieszenie, ludzie mówią, że wygrałaś tę walkę, wygrałabyś ją. W tej ostatniej rundzie...

Naomi mówiła zachęcająco, ale Dunphy tylko tępo gapiła się w stół.

– Gdyby walki nie przerwano, gdyby przeciwniczka nie walnęła cię z główki...

Naomi pozowała na znawczynię i zastanawiała się, czy Dunphy wydawała się tak samo naiwna jak sobie samej.

Na ten wywiad Marika nie przyniosła już butelki Evian dla Dawn. Czekając, Naomi piła kawę ze styropianowego kubka z automatu w holu i ten kubek stał teraz na stole. Naomi zakręciło się w głowie na nagłą myśl, że Dunphy może pod wpływem impulsu wziąć ten styropianowy kubek i się z niego napić. Żałowała, że kawa jest bardzo słaba i już wystygła.

– Przynieść ci kawę? W holu stoi automat...

– Nie, dzięki.

– To żaden kłopot, Dawn. To tuż obok.

„Dawn”. Naomi wymówiła to imię bardzo naturalnie – ale Dawn Dunphy chyba nie zauważyła.

Ponieważ D.D. nie odmówiła po raz drugi, Naomi wyszła na korytarz. Wepchnęła ćwierćdolarówki do szczeliny w automacie. Była oszołomiona, zdezorientowana.

Wróciła, trzymając w dłoniach gorący styropianowy kubek. Przyniosła też małe opakowania cukru i śmietanki.

Postawiła kubek przed Dawn Dunphy, która w pierwszej chwili chyba go nie zauważyła.

– Dzięki – odezwała się po jakimś czasie.

– Jak mówiłam, wszyscy sądzą, że wygrałaś. Powinnaś zostać mistrzynią WBL.

– MBL.

– To znaczy MBL. Powinnaś być mistrzynią wagi półśredniej.

– Ta. No.

– Podobno dostaniesz szansę rewanżu.

– No.

– Następnym razem pokonasz Siri Ayę. Wszyscy tak mówią.

Dawn Dunphy lekko wzruszyła ramionami. Wzięła kubek w obie dłonie i zajrzała do środka, ale nie piła.

– O ile będzie następny raz.

– Wszyscy mówią...

– Ta. Wiem.

– Nie powinnaś się zniechęcać. Do wczorajszego wieczoru byłaś niepokonana...

O czym ona gada? Przecież nie to chciała powiedzieć.

Oczywiście, że powinnaś się zniechęcić. Powinnaś rzucić ten potworny sport, zanim...

Dunphy powiedziała, że trener Ernie kazał jej wziąć tydzień wolnego. Odpocząć.

– Wciąż pracujesz, prawda? W Targecie?

– Nie na cały etat. Tylko kiedy mnie potrzebują.

Dunphy popijała gorącą czarną kawę, do której nie dodała ani cukru, ani śmietanki. Na pewno była gorzka.

– Wiesz, może pójdziemy do Starbucksa? Postawiłabym ci naprawdę dobrą kawę.

– Star-bucksa? – Dawn Dunphy chyba nie znała tej nazwy.

– Chociaż pewnie nie w tej okolicy. Nie wiem, gdzie dokładnie jesteśmy... Czy w Cleveland jest jakieś centrum?

– A skąd mam wiedzieć?

– W każdym razie w Starbucksie sprzedają różne rodzaje kawy, i to prawdziwej, a nie rozpuszczalnej jak ta.

Naomi wróciła do wywiadu, gdy Dawn Dunphy nie okazała entuzjazmu na wieść o Starbucksie.

– Marika mówiła, że twój manager, pan Cassidy, będzie żądał rewanżu.

Dawn Dunphy wzruszyła ramionami.

– Ta. Może.

– Sądzisz, że się uda? Wiesz kiedy?

– Raczej się nie uda.

– Dlaczego?

– Wiedzą, że następnym razem załatwiłabym Ayę. I nie zarobią na mnie tyle forsy co na kimś innym.

– Ale czy posiadacze tytułu nie muszą walczyć z pretendentami? Czy manager Ayi nie powinien z tobą negocjować?

– Powinien? Nie.

– Są chyba inne mistrzostwa, prawda? W WBL...

– WBA.

– ...może tam by negocjowali? Z twoim rekordem...

– Wiedzą, że jestem za dobra. Potrafię wygrywać i robić krzywdę. To dla nich za duże ryzyko. – Dunphy urwała, zmarszczyła czoło. – Jeśli każą mi odejść, mogę pójść do szkoły pielęgniarskiej jak moja matka.

– Ale dlaczego mieliby kazać ci odejść?

– Jeśli przegram następną walkę. Jeśli nie będę wygrywać.

– Ale do wczoraj byłaś niepokonana... Wszyscy mówią, że jesteś świetną bokserką, Dawn.

Jesteś toporna i niezdarna. Ale potrafisz przyjąć cios.

– Ta. Bzdura.

– Ostatnio powiedziałaś mi, że walczysz dla Jezusa. Czy wciąż tak jest?

– Jezus chyba ma mnie dosyć. Czasami tak myślę.

– Ale dlaczego?

Oczy Dawn Dunphy poruszały się niespokojnie, jakby szukały w pomieszczeniu Jezusa.

– Nie wiem. Tak czuję.

– Czy twoja matka chciałaby, żebyś rzuciła boks?

– Ta. Raczej.

– Martwi się, że coś ci się stanie.

– Nie. Wcale. Nie sądzę.

– Zabrali cię wczoraj do szpitala?

– Do jakiejś przychodni. Założyli szwy.

– Zrobili prześwietlenie?

– Nie wiem.

– Ale jak się czujesz? Boli cię głowa?

– Po walce wszystko boli. Nieważne, czy wygrasz, czy przegrasz.

– Dawn, nie chcę ci mówić, co masz robić, ale powinnaś pójść do neurologa. Być może doznałaś wczoraj wstrząśnienia mózgu. Kiedy upadłaś na kolana...

– Co? Ja nie upadłam!

Dawn Dunphy mówiła z pogardą. Naomi z przerażeniem zrozumiała, że dziewczyna nie pamięta.

– ...nie zemdlałam i nie upadłam. Ernie by mi powiedział.

– Powinni ci zrobić tomografię. Na wypadek gdyby było jakieś drobne pęknięcie. Powinnaś się tego domagać.

Naomi mówiła szybko, ściszonym głosem. W kącie pomieszczenia Marika wciąż rozmawiała przez telefon, niezadowolona i wściekła, nie zwracając na nie uwagi.

– W Dayton jest lekarz. Tam mnie zabierają.

– No ale co to za lekarz? Czy to na pewno lekarz?

– Ma na ścianie jakiś dyplom. I daje mi lekarstwa.

– Jakie lekarstwa?

– Nie wiem.

– Czy to może są sterydy?

– Nie wiem.

– Może powinnaś mi kiedyś pokazać te lekarstwa. Sprawdziłabym, co to jest.

– A skąd byś wiedziała?

– Jestem córką lekarza. Jeśli nie wiem, mogę sprawdzić.

Dawn Dunphy się zastanawiała. Przez moment chyba chciała się odezwać, ale tego nie zrobiła.

– Powinnaś pójść do porządnego lekarza – naciskała Naomi. – Zabiorę cię.

– Jak niby to zrobisz? – Dawn uśmiechnęła się z niedowierzaniem.

– Jak? A dlaczego nie?

– Kto za to zapłaci?

– Ja.

– Ty!

Dawn zaśmiała się niemal szyderczo.

Naomi nie odpuszczała:

– Ja zapłacę.

– Dlaczego chcesz to zrobić?

– Bo chcę.

– Ale dlaczego?

– Bo wymagasz lepszej opieki medycznej, niż otrzymujesz. Tak mi się zdaje.

– Ale dlaczego miałabyś to dla mnie robić? Przecież mnie nie znasz.

– Zrobiłabym to dla każdego, kto by tego potrzebował...

To była nieprawda. Naomi mówiła szybko, czuła, jak krew napływa jej do twarzy.

– Twój ojciec? Twój ojciec jest lekarzem? Do niego mnie zabierzesz?

– Nie. Nie mój ojciec.

– Ten lekarz, do którego mnie wożą, jest w porządku. Nic mi nie będzie. Nawet jeśli wygrywasz walkę, to i tak boli jak diabli, i to długo.

– Sikasz krwią?

– Nie.

Dawn odpowiedziała tak szybko i z tak zawstydzoną miną, że Naomi wiedziała: na pewno ma krew w moczu.

– To znaczy, że nerki są uszkodzone. Trzeba je zbadać.

– Nie, jest okej. Nieważne.

– Proszę, posłuchaj. Zapłacę za badania. Wracasz dzisiaj do Dayton? Sprawdzę, czy jest tam jakiś wolny lekarz. Wszyscy lekarze się znają i mogą nawzajem polecić, więc sprawdzę. Zadzwonię i umówię wizytę. Za-

łatwię to, w Dayton. Nawet nie muszę tam jechać, chociaż pojadę. Jeśli to będzie konieczne.

– Nic mi nie jest, mówiłam.

Dawn zaczynała się irytować. Naomi wiedziała, że nie powinna naciskać. Ale była podekscytowana. Nierozważna.

Poprzedniego wieczoru napisała list. Nie mogła zasnąć w nieznanym hotelowym łóżku, napisała więc list do Dawn Dunphy i to ją uspokoiło. Oczywiście nie zamierzała przekazać tego listu D.D. A jednak przyniosła go ze sobą tego ranka – miała w torbie równo złożoną kartkę.

Obstawała przy swoim:

– Sprawdzę to, Dawn. Znajdę lekarza. I zabiorę cię do niego.

– Jezu! Po co ty to robisz?

– Po co? Bo mogę. Przepraszam.

Naomi wstała. Bardzo trzęsły się jej ręce. Wyjęła list, złożoną kartkę z hotelowej papeterii, i podała ją Dawn Dunphy.

– To dla ciebie. Zaraz wrócę. Muszę skorzystać z toalety – powiedziała.

Popchnęła podwójne drzwi prowadzące na korytarz i wyszła. Dzwoniło jej w uszach. Miała wrażenie, że jej głowa została z obu stron obita rękawicami bokserskimi.

W toalecie, na ścianie luster, zobaczyła bladą, podekscytowaną twarz, której w pierwszej chwili nie rozpoznała.

Droga Dawn,

nie powiedziałam Ci prawdy, kiedy pierwszy raz się spotkałyśmy. Prawdy, dlaczego chciałam się z Tobą zobaczyć.

Jestem córką Gusa Voorheesa. Nazywam się Naomi Voorhees.

Przepraszam, że Cię okłamałam. Nie wiedziałam, jak inaczej mogłabym się z Tobą spotkać.

Wrócę za dziesięć minut. Mam nadzieję, że wciąż tam będziesz.

Jeśli nie – zrozumiem.

Tylko my dwie zrozumiemy. Ale może to niemożliwe.

Jeśli chciałabyś się ze mną spotkać innym razem, nie teraz, zostawiam Ci tutaj mój numer telefonu. I adres mejlowy.

Jeśli nie chcesz się ze mną spotykać, zrozumiem i nie będę próbować.

To prawda, robię filmy dokumentalne. Właśnie zaczynam projekt o kobietach bokserkach. Chciałabym, żebyś była jego częścią, ale nie wiem, jak mi pójdzie.

Tak wyglądało moje życie – zaczynałam różne rzeczy i zajęcia na uczelni, ale ich nie kończyłam.

Kiedyś myślałam, że to dlatego, że mój ojciec został zabity, kiedy byłam dziewczynką. Ale teraz zastanawiam się, czy to nie jest tylko wymówka dla mojego życia, które popękało na kawałki, a niektóre kawałki się zgubiły.

A może tak wygląda każde życie i nie jestem wcale wyjątkowa?

Mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy. Jeśli nie, zrozumiem.

Z pozdrowieniami

Naomi Voorhees

Głowa bolała tak, jakby ktoś nieustannie ją okładał. Usta wygięły się w głupawy uśmiech.

Mogła wybiec na dwór, nie musiała wracać do sali bankietowej.

Ale nie – przecież zostawiła tam swój drogi sprzęt. Nie miała wyboru, musiała wrócić. Mogła jednak tylko zabrać kamerę, bez względu na to, czy Dawn Dunphy tam jest, czy wyszła.

Weźmie kamerę. Nerwowo sprawdzi obiektyw. Sprawdzi, co się nagrało. Pewnego dnia może złoży się to w film dokumentalny. Będą go pokazywać w zaciemnionej sali. Obcy ludzie będą patrzeć na poobijane twarze kobiet bokserek. Obcy ludzie będą się wysilać, by usłyszeć ich jąkające się głosy. Obcy ludzie może będą płakać: „Opowiedziałaś moją historię! Wzruszyłaś mnie. Dziękuję”.

Naomi odważnie popchnęła podwójne drzwi, a tam stała Dawn Dunphy, w szarej bluzie i dresowych spodniach, zaszokowana, zagubiona.

Ten wyraz na jej twarzy! Pod siniakami, ranami i opuchlizną widać było zdumienie.

Naomi zastanawiała się, czy Dawn Dunphy chciała właśnie wybiec z pokoju, czy chciała poszukać Naomi.

– Cześć...

Serce Naomi waliło jak szalone. Nie mogła uwierzyć, że Dawn Dunphy wciąż przed nią stoi, że nie odeszła bez oglądania się do tyłu.

To stało się tak szybko. Decyzja została podjęta.

Pocieszając się w żałobie, mocno się przytuliły i nie chciały puścić.

Podziękowania

Podczas pisania *Księgi amerykańskich męczenników* korzystałam z licznych książek, artykułów i wspomnień, przede wszystkim z *The Wichita Divide: The Murder of Dr. George Tiller and the Battle over Abortion* Stephena Singulara (2011), *When Abortion Was a Crime: Women, Medicine, and Law in the United States 1867-1973* Leslie J. Reagan (1998) oraz *Abortion Rites: A Social History of Abortion in America* Marvina Olasky'ego (1992).

Serdecznie dziękuję mojemu przyjacielowi Gregowi Johnsonowi, za jego czujne oko i pomoc przy czytaniu tej powieści w rękopisie, oraz mojemu mężowi Charliemu Grossowi za nieustający entuzjazm, wsparcie, cierpliwość i sumienność nieustraszonego pierwszego czytelnika.

Przypisy

[1] *Woe* (ang.) – żałość. (Wszystkie przypisy, jeśli nie oznaczono inaczej, pochodzą od tłumaczki).

[2] Podanie nigdy nie zostało dokończone i wysłane (przyp. aut.).

[3] *Axe* (ang.) – siekiera, topór.

[4] Leonard McMahan, nagrane 11–12 sierpnia 2006 roku w Ann Arbor, w stanie Michigan (przyp. aut.).

[5] *Voir dire* (fr.) – w amerykańskim sądownictwie jeden z etapów selekcji ławników.

[6] *Elle est belle, est-elle? Pas si belle que tu, ma chère* (fr.) – Ładna jest, prawda? Nie taka ładna jak ty, kochana.

[7] *Parfois j'adore les mangues. Et parfois mangues sicken moi* (fr.) – Czasami uwielbiam mango. A czasami mango mnie brzydzi.

[8] Sofokles, *Edyp w Kolonie*, tłum. Kazimierz Morawski.